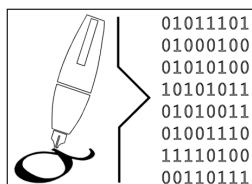


**JOANNA CHMIELEWSKA**

**NAJSTARSZA  
PRAWNUCZKA**

Data wydania : 1999 r.



*Ja, niżej podpisana, Matylda Wierzchowska, z domu Kręglewska,  
córka Teodora i Antoniny z domu Zawadzkiej...*

— Co wypisujesz, głupia babo — powiedział zgryźliwie Mateusz, patrzący Matyldzie przez ramię, przerywając jej twórczość. — Coś ci się chyba pomyliło. To nie ty masz być własną spadkobierczynią i nie musisz wszystkich swoich babek wymieniać. W testamencie takie rzeczy o spadkodawcy wcale nie są potrzebne.

Matylda zreflektowała się, ale nie zamierzała poddać się bez walki.

— A jeżeli ja chcę to napisać, to co? Testament będzie nieważny?

— Ważny owszem, ale głupi.

— Sam jesteś głupi. Ja ci nie przeszkadzałam pisać, co ci się podobało. Wynos się stąd.

— Nie mogę. Muszę pilnować, żebyś nie pisała andronów. Mówiłem, wezwać notariusza!

— A ja nie chcę! Notariusz też człowiek i ma głowę. Odczep się.

Rozsunęła szerzej łokcie na biurku i podjęła pracę.

*...zdrowa na ciele i umyśle i w pełni sił trochę steranych wiekiem...*

— Zdrowa na umyśle! — zachichotał Mateusz. — Wariatka. Już same te głupoty wystarczą, żeby wszyscy zwątpili...

— Ty półgłówek byłeś całe życie i do tej pory ci zostało! — rozłościła się Matylda, teraz już prawie rzetelnie zirytowana. — Takie rzeczy zawsze się pisze w testamentach! Ciekawe, co sam napisałeś? Że jesteś umysłowo chory? I na ciele zramolały, ręka ci się trzęsie i nie pamiętasz własnych dzieci i wnuków?

— Nie wiem, kto tu jest barowej zramolały! — obraził się Mateusz. — W pełni sił, znalazła się podfruwajka!

— Steranych wiekiem! — wrzasnęła Matylda.

— A że steranych, to jedno słowo prawdy...

— A jak mówiłam, żebyś wazon przestawił, to co było? Z rąk ci wyleciał! Śliski, akurat, olejem go kto smarował, akurat, ciężki niby to, akurat, kolce po oczach, akurat...

— A to już oślicą trzeba być, żeby z takim wiechciem wazon przestawiać, to do dziś dnia nie wiesz, że róże mają kolce, wazon sobie znalazła, nie dość, że srebro, to jeszcze z wodą, to i młody parobek dwóch kwintali nie podniesie...! Też chyba zgłupiałem, żeby coś takiego do ręki brać...

— A kiedyś brałeś i dobrze — wypomniała Matylda z nagłym żalem.

— A ty dłużej tańczyłaś niż orkiestra grała...!

Nagle zamilkli obydwójce, pełni ciężkiej urazy, każde do tego drugiego, że się zestarzało. Nie dostrzegali zjawiska na co dzień, trzymali się świetnie, otoczeni

służbą nie odczuwali dolegliwości wieku, dopiero to wzajemne wytykanie uświadomiło im, że coś tam stracili bezpowrotnie. W gruncie rzeczy wcale nie chcieli tego odzyskiwać, starość bez uciążliwych obowiązków była całkiem przyjemna.

— Już też nie masz kiedy mi tego wymawiać tylko akurat teraz — powiedziała gniewnie Matylda. — Czego mi tu w ogóle nos wtykasz, chcę napisać testament i napiszę, żeby nie wiem co! Po swoim. A ty mi przestań głowę zawracać!

Mateusz jednakże zdenerwował się poważnie. Ten idiotyczny wazon rzeczywiście okazał się dla niego za ciężki, jego podupadła męskość stała się zagrożona ostatecznie, nie chciał się na to zgodzić. Złe w niego zniecka wstąpiło.

Siedział w milczeniu, pęczniąc protestem, tak długo, że Matylda, porzuciwszy ozdobniki, zdążyła napisać przeszło połowę testamentu, bez przeszkód z jego strony.

*... zapisuję synowi mojemu, Tomaszowi, posiadłość moją posagową w miejscowości Placówka pod Warszawą razem z ogrodem cztery morgi i domem drewnianym razem ze wszystkim, co się w nim znajduje, bez żadnych warunków i zastrzeżeń, za wyjątkiem tego, żeby portretów rodzinnych, mojej babki i dziadka, nigdy nie sprzedał. Zapisuję córce mojej, Hannie z męża Kolskiej, drugą moją posiadłość posagową, a to dwór stary z ogrodem i sadem półtorej włóki w miejscowości Kośmin pod miastem Grójcem i niech z tym robi, co chce. Zapisuję mojemu młodszemu synowi, Łukaszowi, pięćdziesiąt tysięcy złotych, w banku państwowym na moje nazwisko leżące. Zapisuję mojej młodszej córce, Zofii, z męża Kosteckiej, trzydzieści tysięcy złotych, w tymże banku leżące. Zapisuję moim wnuczkom, a to: Barbarze, córce Tomasza, Dorocie i Jadwidze, córkom Hanny, Katarzynie, córce Łukasza, oraz Danucie, córce Zofii, wszystkie moje precjoza i klejnoty. Garnitur diamentowy dla Barbary. Garnitur z rubinów dla Doroty. Szafirowy dla Jadwigi. Szmaragdy dla Katarzyny. Diamentowy z rubinami i perłami dla Barbary. Każdą z tych rzeczy pozostawiam w puzderku jak się należy oznaczonym. Ponadto najstarszej mojej prawnuczce po kądzieli, córce Doroty, a wnuczce Hanny, przeznaczam mój pamiętnik, w młodości pisany, razem z puzdrem, w którym się znajduje. Zabraniam ów pamiętnik czytać komukolwiek pod karą wydziedziczenia, z wyjątkiem mojej najstarszej prawnuczki po kądzieli. Ponadto tejsze prawnuczce zapisuję dom po mojej babce w miejscowości Błędów...*

Więcej Matylda napisać nie zdołała, mimo iż ten rodzaj twórczości zaczął jej się bardzo podobać, ponieważ Mateusz zakończył właśnie proces pęcznienia.

Przez te kilka krótkich chwil, niczym tonącemu, przeleciało mu przez głowę całe życie i wszystkie pretensje do żony.

Satysfakcję sprawiała mu myśl, że sam, w swoim wcześniej sporządzonym testamencie nic jej nie zapisał, wszystko rozdzielił pomiędzy dzieci i wnuki. Ona miała majątek własny, zabezpieczony intercyzą, nie musiała mieć więcej. Doskonale wiedział, że w odwecie też mu nie zostawi żadnego legatu, chociaż kto ją tam wie co posiada naprawdę. . .

Owe rozdysponowane właśnie bogactwa przedstawiały się znacznie bardziej imponująco na piśmie niż w rzeczywistości. Pieniądze w gotówce istniały, to fakt, ale posiadłości były raczej skromne i w nie najlepszym stanie, gdyby chciało się je wszystkie porządnie odrestaurować nie wiadomo czy starczyłoby funduszków, owe garnitury jubilerskie zaś nie całkowicie zasługiwały na swoją nazwę. Naszyjniczki albo wisiołki na złotym łańcuszku, do tego kolczyki, bransoletka lub broszka, kilka pierścionków, nic wstrząsającego, tyle że Matylda umiała poskładać z tego eleganckie komplety. Jednakże nie było to wszystko. . . Mateusz wielokrotnie zastanawiał się, co też żona zrobiła ze spadkiem po swojej babce, tej z portretu w drewnianym domu, która kto wie, czy przypadkiem nie była dziećciem samego Napoleona. Krążyły w rodzinie plotki, jakoby prababcia, kobieta wielkiej urody, wpadła cesarzowi w oko i we właściwym czasie córeczka pojawiła się na świecie. Klejnoty dla dam były wówczas w modzie. Matylda odbyła jakąś poufną konferencję z babcią leżącą na śmiertelnym łożu i rezultaty tej konferencji starannie przed mężem ukryła. Informacji żadnych udzielać nie chciała, zarzuciła mu interesowność, aż w końcu Mateusz uniósł się honorem i zaniechał pytań, co mu przyszło o tyle łatwo, że braków finansowych nie odczuwał.

— Czekać, przyjdzie jeszcze koza do woza — rzekł tylko mściwie, krótko po pogrzebie babci.

— Akurat! — odparła zwycięsko Matylda, świadoma już wówczas, iż własnym majątkiem gospodarować potrafi.

Po czym napoleoński spadek został okryty urażonym milczeniem. Mateusz przez lata całe słowa nie mówił, nawet jeśli na jego żonie przy wielkich okazjach coś niezwykłego błyskało. Tak naprawdę w trakcie owego pisania testamentu zaglądał jej przez ramię z czystej ciekawości, czy coś na ten temat napisze.

Prawdziwie pański dwór, którego na starość już prawie nie opuszczali, rozsiadły na setkach hektarów, mieścił się w okolicy Głuchowa, blisko Warszawy. Wszystkie posiadłości leżały dookoła Warszawy, bo od lat rodzina związku małżeńskie zawierała w sąsiedztwie i nie wychodziła poza Mazowsze. Po pierwszej wojnie światowej wszyscy byli z tego nad wyraz zadowoleni i Mateusz nie omieszkał żonie dość często wytykać konkurenta z kresów, krewniaka Potockich, omal nie wybranego, zubożałego obecnie doszczętnie. Proszę, wahała się, wykłubała mu nim oczy, a proszę, proszę, trzeba było. Teraz by się tu włóczyła o żebranym chlebie. . .

— Długo bym się nie włóczyła, bo ten od ciebie w gardle by mi stanął i na śmierć zadławił — odpowiadała jadownicie Matylda. — A i tak moje by zostało,

nie do ukąszenia. Tu cię gryzie, co?

W gruncie rzeczy miała rację, jej faktyczna separacja majątkowa denerwowała Mateusza niewymownie. O intercyzę ślubną zadbał teść przy pomocy żydowskiego prawnika, zaprzyjaźnionego z nim z niewiadomych przyczyn, gdzieś tam, kiedyś, życie sobie ratowali wzajemnie czy coś w tym rodzaju i żydowski prawnik trząśł się nad przyjacielem niczym barani ogon, pilnując jego majątku więcej niż własnego. Jego córki również. Mateuszowi posag żony potrzebny był jak dziura w moście, nie dla posagu z nią się żenił, ale jej pełna samodzielność była nieznośna. Nie miał nad nią żadnej władzy. Niczego nie mógł jej zabronić, mogła robić, co chciała, kupować kiecki, wojażować, przyjmować gości i nawet, zgroza absolutna, własne pieniądze stawiać na wyścigach...!!!

Co też niekiedy czyniła...

Chwilami czuł się tak, jakby wcale nie miał żony, tylko kurtyzanę pełną kaprysów, zdolną porzucić go, kiedy zechce.

Niewątpliwą zaletą kurtyzany był fakt, że nie zamierzała go zrujnować i obdarzała wielce udanymi dziećmi. Ponadto, dzięki temu odczuciu, inne kurtyzany nie wchodziły w rachubę...

Zgodziła się jednakże, dobre i tyle, by zasadniczą siedzibą uczynić dom jego przodków, urządziła pięknie pałacowaty dwór i zarządzała nim konkursowo, idąc z duchem czasu umiarkowanie i bez przesady. No, może trochę zbyt szybko łąpała nowe wynalazki, tę jakąś niepokojącą elektryczność, łazienki z ciepłą wodą, telefon i samochody, zdaniem Mateusza wymysły szatana, które z czasem okazywały się, mimo piekielnego pochodzenia, użyteczne. Wariactwo to było czyste, ale znów niczego nie mógł jej zabronić, odmawiając pieniędzy, skoro płaciła swoimi. Zły był na nią przez to całe życie, a zarazem bezsilny, bo w dodatku kochał ją dziko i jej urodzie nie umiał się oprzeć.

Raz jeden tylko stało się inaczej.

Wydarzenie to było tak osobliwe i wstrząsające, że zuchwała, nieprzyzwoicie samodzielna Matylda złamała się i z łkaniem padła mężowi na pierś, żądając pomocy, co Mateusza tak zaskoczyło, że owej pomocy bez namysłu i z wielkim zapałem udzielił. Nastąpiło to w półtora roku po pogrzebie błędowskiej babci, kiedy obydwójce byli jeszcze bardzo młodzi i nawet wszystkich dzieci nie zdążyli spłodzić.

Na pogrzebie oczywiście byli, Matylda, główna spadkobierczyni, musiała za dbać o przyzwoite załatwienie sprawy ze stypą włącznie. Zarządziła co należy, rozsądnie ograniczyła ilość służby i dopiero po odjeździe rodziny i gości pokazała pazury. Uparła się zostać na miejscu na cały czas dokonywania niezbędnego remontu. Nie pomogły żadne argumenty, przekonywania i groźby, osobiście postanowiła dopilnować wszystkich robót, decydując o ich zakresie na bieżąco. Mateusza omal szlag nie trafił, sam musiał wrócić do domu, gdzie zostały pierwsze dzieci, sianokosy, cielące się krowy i młode konie, trenowane do wyścigów.

Miał do wyboru: zaniedbać sprawę i zubożeć albo zadbać o wszystko i nadal być bogatszy od żony. Zubożenia by nie strawił ambicjonalnie. . .

Matylda wróciła dopiero w końcu lipca, wzajemna irytacja i dzika kłótnia rzucała ich sobie w ramiona, dzięki czemu w następnym roku urodził się Łukasz, w półtora miesiąca później zaś przydarzyło się właśnie to coś okropnego.

Przy kolacji siedzieli, kiedy z Błędowa przybył posłaniec na prawie ochwacowanym koniu. O świtaniu wyjechał, żeby przywieźć wieść straszną. Zbrodnia jakaś tajemnicza stała się we dworze, trup leży jeden, a drugi raniony, pode dworem zaś jakiś obcy, też ledwo dycha i czarne postacie uciekły. . .

Wtedy to, na ów pośpiesznie i niewyraźnie wydyszany komunikat, Matylda doznała chwilowego upadku ducha i uznała wyższość męża, szlochając mu na łonie. Mateusz też się zdenerwował, aczkolwiek więcej zdumiał, w żonie nareszcie ujrzał całkiem słabą kobietę i szarpnęła nim rycerska męskość, tak długo tłumiona i niedoceniana. Natychmiast kazał zaprzęgać i ruszać, noce w czerwcu krótkie, ponadto świeciła pełnia księżyca. . .

Wszystko to zdążył sobie teraz wspomnieć i wybuchła w nim żądza czynu.

Niegdyś, za młodych lat, bez trudu mógł chwycić fotel razem z małżonką i unieść go w górę, ciesząc się z jej pisków i krzyków, delektując się później podziwem w jej oczach. Ni z tego, ni z owego poczuł się zdolny uczynić to samo także i obecnie. Zerwał się z krzesła, nie bacząc kompletnie na swój wiek ani też zmianę wagi żony, której przybyło dobre dwadzieścia pięć kilo, chwycił poręcz jej fotela i poderwał go w górę. Zaskoczona Matylda krzyknęła i zrobiła kleks na testamentie. Mateusz zamierzał okręcić ją w koło i postawić na tym samym miejscu, ale nie najlepiej mu wyszło, poderwany fotel z powrotem runął w dół. Matylda z wielkim hukiem znalazła się tam, gdzie była, a mąż zastygł za nią, pochylony niczym w ukłonie, z dłońmi na poręczach. Ból straszliwy w kręgosłupie unieruchomił go radykalnie.

Pierwsze minuty po tym przedsięwzięciu przypominały koniec świata. Matylda ugrzęzła w siedzisku, z kolanami pod biurkiem, bez żadnej szansy wyjścia na wolność i swobodę, ani wyleźć, ani odsunąć się od mebla, dzwonka na służbę nie mogła dosięgnąć. Mateusz za jej plecami, z zaciśniętymi zębami, trwał niczym kamień, razem tworzyli pomnikową grupę. Na szczęście przy każdym jej drgnięciu wydawał z siebie straszne krzyki, które zwróciły wreszcie uwagę domowników, kamerdyner zapukał i zajrzał do gabinetu, z energią wielką Matylda wydała rozkaz sprowadzenia lekarza i zabrania jaśnie pana, pierwsze zostało wykonane błyskawicznie, drugie napotkało nieprzewyciężone trudności. Jaśnie pan nie pozwalał się dotknąć. Stał zgięty w ukłonie za plecami małżonki, blady śmiertelnie, i od czasu do czasu okropnie krzyczał. Unieruchomiona za biurkiem jaśnie pani, po pierwszych chwilach dzikiego popłochu, straciła cierpliwość.

— Niechże chociaż coś z tego mam — powiedziała histerycznie i zamasyście podpisała testament. — Feliks tu podpisze. I niech przyjdzie jeszcze ktoś, kto umie pisać, Słowikowska może być...

W ten sposób i z tak niezwyklej przyczyny testament Matyldy Wierzchowskiej nie uzyskał zaplanowanego, barwnego zakończenia, nie sprecyzował legatów dla służby i został podpisany przez testatorkę i świadków jakby w połowie, przy akompaniamencie strasznych krzyków i jęków jej małżonka, który, jako człowiek niezwykle wytrzymały, zemdlął z bólu dopiero w chwili przybycia domowego lekarza. Dzięki czemu zdołano wreszcie oderwać go od poręczy fotela i przenieść na łożo boleści.

Przy pełnej aprobacie lekarza miejscowy znachor wepchnął mu na właściwe miejsce wypnięty z kręgosłupa dysk i Mateusz prawie całkowicie wrócił do zdrowia. W Matyldzie jednakże, po tym całym zamieszaniu, pozostało głębokie przekonanie, iż sprawę testamentu załatwiła do końca jak należy. Zalakowała go w kopercie i zajęła się mężem, wściekła na niego za nieodpowiedzialny wygląd.

Działo się to roku pańskiego 1930, akurat w środku między dwiema wojnami.

Wypadki, jakie zaszły w Błędowie i mignęły załamaniem Matyldy, opisane zostały dokładnie przez ubogą krewną, niejaką pannę Dominikę Błędowską, piastującą we dworze stanowisko gospodyni. Oważ Dominika, panienka już blisko trzydziestoletnia, nie kryjąc lekkiego rozgoryczenia, bo wszak cały Błędów przed wieloma laty do Błędowskich należał, a tu ona, Błędowska, ninie omal że nie na łaskawym chlebie, tak oto zmienne są losów koleje i taki skutek rozpusty pradiadka, dziadka i tatusia... niewiele mając do roboty, prowadziła diariusz systematycznie i rzeczowo. Więcej w nim było konkretów niż rzewnych westchnień, bo ze zwyczajnych nudów każde jajko, zniesione poza kurnikiem, stanowiło wydarzenie.

Jasne jest zatem, iż wstrząsająca sensacja została wyeksponowana właściwie.

### **16 czerwca roku pańskiego 1878**

*Teraz dopiero, przed wieczorem, usiąść mogę, żeby opisać rzeczy straszliwe i nie do pojęcia, jakie zaszły od wczorajszego dnia i któż by czegoś podobnego mógł się spodziewać! Jeszcze nie mogę przyjść do siebie i ręka mi się prawie trzęsie, a umysł ogarnąć takiego okropieństwa nie może. Ale niechże spróbuję w kolejności, może i sama uspokojenia niejakiego doznam, bo o śnie nie byłoby co i myśleć.*

*Nauczono mnie od dzieciństwa porządku i systematyczności, przeto niechże teraz z owych nauk skorzystam.*

*Tak oto dzień wczorajszy przeszedł, jakom już opisała.*

*I pacierze zmówiwszy, spać się układałam i sen mnie ogarnął, czystemu sumieniu właściwy. Co mi się śniło, nie pamiętam, ale nagle zbudziły mnie jakoweś hałasy. Jakoby krzyki i łomotanie. Pierwsze, com pomyślała, jeszcze senna trochę, to że pożar, ale krzyków „gore!” nie słyszałam. Ledwom usiadła na łóżku, na dole, pod moimi nogami, znowu się rozległo walenie straszne, krzyk rozpaczliwy zabrzmiał, huk okropny i nagle wszystko umilkło. Drżąc cała, chwilę jeszcze siedziałam, aż myśl, że ja tu jestem gospodynią i o samo jedno własne życie dbać nie mam prawa, ta myśl sił mi dodała. Wyskoczyłam z łóżka, szlafrok narzuciłam na siebie, pantofle moje domowe stały na swoim miejscu, nogi w nie wsunęłam i już chciałam ku drzwiom się rzucić, kiedy przyszło mi na myśl, że ciemność we środku domu panuje. Zapaliłam przeto świecę i z nią w rękę na wschody wyszłam.*

*Cisza na dole już była, alem szepty jakoweś i jęki ciche usłyszała, światło też przebijało od kuchennej strony, przetom pomyślała o służbie, bo wszak wrzawa tak straszna wszystkich winna pobudzić. Lęk mi zelżał nieco. Ozwałam się, pytając kto tam, głosem trochę nie swoim, ale kamerdyner stary, Kacper, rozpoznał mnie i odpowiedział.*

— Czyli to panna Dominika?

— Jam jest — odparłam. — Cóż się tam stało i skąd te hałasy? Jakom nieraz już pisała, służba mnie szanuje. Mniemam, iż na pytanie stanowcze odpowiedzi wszyscy chcieli udzielić. Świece wysunięto, ujrzałam, iż za Kacprem cała prawie służba się zgromadziła, a mówić zaczęli wszyscy razem, z czego nic nie mogłam wyrozumieć. Zeszłam przeto po wschodach na dół i nakazałam mówić kolejno.

*Rychło wyszło na jaw, że pierwsza jakoweś hałasy usłyszała Madejowa, kucharka, którą gniecenie wątroby snu pozbawiło. Źle śpiąc, obracała się na swoim postaniu, aż dobiegły jej dźwięki jakoweś, jakby kto chodził i meble trącał. Przeto wstała i do Kacpra się udawszy, którego jest jej krewnym, też go obudziła. Kacper, sen lekki mając, zaraz wstał, lokaja Albina obudził i kazał mu obaczyć, co też się dzieje na pokojach, bo hałasy owe dobiegały jakby z salonu, jadalni, biblioteki, lubo też może z gabinetu. Wielce zaspany Albin, sam może nie wiedząc, co czyni, wziął świecę i, nijakiej ostrożności nie zachowując, tamże się udał. I zaraz potem, ledwo po mgnieniu, rzeczy okropne na nowo się zaczęły, łamanie mebli, krzyki, łomoty, służby reszta na równe nogi stanęła, szyby tłuczenie się rozległo, na co z nagłą chłopak kredensowy. . . a muszę wyznać, że przez dobrą chwilę jego imienia nie mogłam sobie przypomnieć, ale teraz już wiem, Apoloniusz, Poldzio go zwał, wyskoczył z za ludzi i za Albinem podążył. I znów krzyk straszny się rozległ i łomot brzęczący. Zamarli wszyscy, o co żalu do nich mieć nie mogę.*

*Tak oto staliśmy, mówiąc do siebie cichym głosem, kiedy jedna dziewczka kuchenna, Marta niejaka, wielka i silna niezwykle, krzyknawszy nagle, iż oknem skaczą, do drzwi się rzuciła. Kacper jej pomógł otwierać, wypadli wszyscy. Nie pozostałam zbyt w tyle, własnymi oczami ujrzałam, jak czarne jakieś osoby uciekają w ogród, sama już nie wiem, dwie ich było czy trzy. Jedna zaś pada przy*



stonecznym zegarze. Marta się na nią rzuciła, za gardło chwytając i głowę onego waląc o podstawę marmurową, aż ją Kacper oderwał.

Wejść do onych pokojów, gdzie się wszystko zaczęło, nikt nie miał odwagi. Przeżegnawszy się przeto, ruszyłam pierwsza, bo to był mój obowiązek.

W jadalni człeka żadnego nie było, a w salonie jeno potłuczone wazony, potłamane dwa krzesła, lustro zbite i gruzы różne, w gabinecie jednakowoż, zaraz u wejścia do biblioteki, ujrzałam widok straszny. Lokaj Albin leżał nieżywy w krwi kałuży. . .

Przerwać relację musiałam, sole trzeźwiące wzięłam i kieliszek starki, by móc pisać dalej, bo obrazy owe, wspomniane, omal mnie przytomności nie pozbawiły.

Tedy lokaj Albin leżał nieżywy w gabinecie. W bibliotece zaś jęczał strasznie Poldzio, chłopak kredensowy. Zrujnowane było mnóstwo rzeczy, ale nie bardzo, bo nawet szafa przewrócona nie potłamała się, tylko hałasu narobiła. Szyba widniała wybita w salonie, nie wiem po co, bo są tam portefenetry, do ogrodu wiodące. Onegoż spod zegara stonecznego Marta razem z Kacprem do domu wciągnęli i zaraz potem zarządziłam, żeby po felczera jechać, a po drodze zawiadomić policmajstra. Nigdy w życiu moim rzecz taka na mnie nie spadła, alem słyszała, że złe czyny rozmaite, rozboje i kradzieże, policja bada i złoczyńców łapie. Razem wysłałam umyślnego do kuzynostwa.

I felczer, i policmajster przybyli tu rychło, felczer rzekł, iż nasz Poldzio wyjdzie z tego, ledwo ranny, za to ów obcy spod zegara stonecznego mocno ucierpiał na głowę. Może i zdola coś powiedzieć, tak rzekł, ale nie jest to pewne, i trzeba było tłuc nim troszeczkę słabiej.

Nikt nawet nie miał pretensji do Marty i nikt nie zdradził, że to ona tłukła, bo, jak wyszło na jaw między służbą, lokaja Albina upodobała sobie nadmiernie. Choć to gorszące, pojąć jej wzburzenie można.

Cóż to było jednakże, co za wdarcie się do nas i po co? Ochłonęłam już nieco, o wczesnym świcie powiedziałam wszystko. Starłam się zachować spokój i rozsądek, chociaż wiele wysiłku mnie to kosztowało, i zostałam nagrodzona przynajmniej uznaniem ludzkim. Asystent pana policmajstra, niejaki pan Andrzej Romisz, nader grzeczny osobnik, zadawał mi pytania o wschodzie słońca i na końcu powiedział mi rzecz komplementową, że marzyłby o tym, żeby wszyscy świadkowie tak mówili jak ja. Mimo iż kobieta, która przeżyła wstrząs straszliwy, jednakże odpowiadam mu rzeczowo, spokojnie i bez żadnej przesady. Bardzo mnie to podniosło na duchu.

### **17 czerwca**

Wczoraj o zachodzie słońca przyjechali kuzynostwo. Pół nocy upłynęło na składaniu relacyj i wyjaśnieniach i dopiero teraz mogę się zwierzyć samej sobie. Nie ukryję przed sobą, że ciekawi mnie niezmiernie, co się właściwie stało i z jakiego powodu. Kuzynka Matylda mdlała prawie, kuzyn Mateusz wszystkich pytał, czy co zginęło, ale co miało ginąć, skoro cenności żadnych tu nie ma. Od samego ra-

na prawie pan Romisz z żandarmami dom i okolicę penetrowali, ciągle pytając, aż wyszło im, że jakowś złoczyńcy od ogrodu się wdarli, a że salon w odległości leży, tedy nikt ze służby, śpiący, by nie słyszał. I tylko wątrobą Madejowej sprawiła, że nic nie wynieśli, a sama rozmyślam, co by mogli wynieść, i tak dochodzę, że może wazy chińskie, podobno bardzo stare, albo portrety ze ścian w złoconych ramach kosztownych, bo pieniądze, co są na utrzymanie domu, w szkatule co wieczór do swojego pokoju sama przenoszę, o czym nikt nie wie.

Ninie mam wolną chwilę, bo kuzyn Mateusz z rządcą, policmajstrem i doktorem konferuje, nad pogrzebem nieboszczyka Albina radząc i nad wieściami dla jego rodziny, a już im rzekłam, skąd nieboszczyk pochodził, bom to wiedziała. Połdzio też, ów kredensowy, przytomność odzyskawszy, wyznał, że wpadł do jadalni i ujrzał, jak w progu między biblioteką a gabinetem świętej pamięci Albin mocuje się z dwoma zbirami, przeto skoczył mu na pomoc i chwyciwszy szczypce kominowe, walnął jednego bardzo silnie. A jak potem się bili, to już nie pamięta, bo rychło przytomność stracił.

Zbir, przez Martę potłuczon, w pokoiku przy czeladnej leży i żandarm jeden go pilnuje. Nic jeszcze nie rzekł, ciągle nieprzytomny, doktor zaśię wzbronił go ruszać, bo z tego mógłby umrzeć, nic nie rzekłszy do końca i wcale, a jedyne to źródło, by się czego dowiedzieć. Porządki na pokojach już zostały uczynione, z czego widać, że największy hałas był z figury alabastrowej, strąconej ze słupka w bibliotece, i zastawy srebrnej co w jadalni zleciała wraz z nadstawką i gzymsem kredensowym. Owej figury mi nie żal, bom jej nigdy nie lubiła, jako nieprzyzwoitej i gorszącej, nikomu tego nie powiem, ale prawie raduje mnie, że się potłukła.

Kuzynka Matylda od podwieczorku zamknęła się w bibliotece i nakazała sobie nie przeszkadzać w żałości, chociaż, by prawdę powiedzieć, nie wiem z czego ta żalność, boć chyba nie z onej potłuczonej figury i nie z nieboszczyka Albina, który ledwo trzy lata temu nastąpił i prawie wcale go nie znała. Tedy nad czym rozpacza?

Oto walają mnie już...

### **19 czerwca**

Wieczór późny i dopiero ninie spokój nas tal. Wczoraj ni jednej chwili dla siebie nie miałam, a i dziś było urwanie głowy. Po porządku napiszę.

Onegdaj wieczorem, kiedym wezwana została, odnaleziono stróża z rozbitą głową, ale żywego, i tu widzę, w jaką alterację musiałam popaść, sama o tym nie wiedząc, bom ni słowem o nim nie napomknęła, a wszak rozważano gwałtownie, co też się z nim stało, gdzie się podział i dlaczego domu nie pilnował. Psów też nie było. Wróciły wielce pokorne, z czego można mniemać, że wszystkie trzy poleciały za suką i one dopiero go znalazły. Wywęszyły w samym kącie ogrodu, gdzie leżał, gałęziami i liśćmi wielkimi osłonięty, tak że go wcale widać nie było. Już otrzeźwiony, gada słabo, ale gada, że psy istotnie za suką przybłąkaną poleciały, on zaś je wzywał i nawet nie wie, co go w głowę walnęło. Pan Romisz powiada, że jakby był przy tym. Stróż na psy apelował, sam hałas robił i nic nie słyszał, jak się

za nim zbóje podkradli i od razu walnęli, a z krzyków na psy wiedzieli, gdzie jest, przeto w innym miejscu przez mur przeskoczyli. Łaska boska, że chociaż z życiem uszedł, a psom to zawdzięcza, boć one go odnalazły i szczekaniem cienkim ludzi zwabiły.

A zaraz potem ów złoczyńca za czeladną leżący odzywać się począł, ale jęczał tylko i rano dopiero słowa wymówił, które się dało zrozumieć. Kuzynka Matyllda poszła go obaczyć i na twarzy się zmieniła, ale nic nie rzekła. Mniemam, iż go musiała znać i rozpoznała, ale swoje mniemanie zachowam dla siebie, skoro ona się z tą znajomością kryje. Pan Romisz mi wyjawiał, co też myśli, że ów rzekł, a jest to pomocnik kowala spod Grójca, majaczył pewno, bo gadał o pijaństwie. Samom nic z tego nie pojęła. Jako pijany był i sekret jakowys zdradził, a insi go namówili. Do napaści na dwór, ale to już pan Romisz sam ze siebie wydedukował, bo zbir gadał słowa bez nijakiego sensu. Jakowas bułę wymieniał, ninie już wiem, iż Buła jest to człek podejrzany, zwany tak z racji bułowatej figury. Schwytają go lada chwila.

Kuzynka Matyllda cały czas stała w nogach łóżka z twarzą taką, żem w sobie ścierpła, słowa nie mówiąc i tylko patrząc na onego okropnie. Aż krzyknął wreszcie: „Szymon!” i od tego zaraz ostatnią parę puścił. Kuzynka Matyllda wdrygnęła się na to, a potem jakby zmiękła w sobie, dalej nic nie rzekła i wyszła. Kto by był ów Szymon, tego nie wiem, może drugi zbrodzień.

A zaś potem zaraz, jakby mało było wszystkiego, kuzynka Matyllda wielkie porządki jeła czynić w bibliotece, sama książki przebierając i w skrzynie pakując, po czym znosić je do piwnicy kazała, a drugie, które tam stały, na górę wynosić, zaś potem na odwrót i tak na cały prawie dzień zamieszanie wielkie uczyniła. Kuzyn Mateusz, w komitywę wszedłszy z policmajstrem, pomocą mu służył, i tak, o świtaniu, onych dwóch zbójców schwytali, od czego wszyscy odetchnęli z wielką ulgą. Za to w domu takie się coś porobiło, żem niemal głowę straciła i sama już nie wiem, co jedli, obiad czyli wieczerzę, upilnować musiałam bezustannie, bo kucharce wszystko z rąk leciało.

Dziś nareszcie spać poszli dosyć wcześniej, a jutro odjeżdżają zaraz po śniadaniu, chyba że jeszcze co będzie.

## **21 czerwca**

Otom w złą godzinę napisała, jakoby w przeczuciu. Dziś rano dopiero kuzynostwo odjechali, bo wczoraj najpierw przy śniadaniu gorsząco się posprzecjali, kuzynka Matyllda rzekła nagle, iż do domu nie wraca, jeno na jakiś czas zostaje, a kuzyn Mateusz nijak jej na to nie zezwalał. Krzyki były, aż całą służbę musiałam od jadalni na drugą stronę usunąć, kuzynka Matyllda od stołu uciekła, kuzyn Mateusz gonił za nią, efektu zaś były takie, że na podróż zbyt późno się zrobiło. Przeto zostali oboje i kuzynka Matyllda znowu się zamknęła w bibliotece, a zaraz potem pan policmajster z panem Romiszem przyjechali i zeznania onych złoczyńców dostarczyli. Pożałowałam szczerze, wyznam to sama sobie, że nie pan Romisz

tylko i że nie do mnie, więcej bym się bowiem zapewne dowiedziała, a i sympatię on budzi, chociaż policjant.

Ale i tak wiem już, co owi zbóje rzekli. Onże pomocnik kowala powiadał im, pijany całkiem będąc, jako we dworze wielkie skarby się znajdują, gdzieś tam ukryte, a on zna drogę do nich. Miejsca wyjawiać nie chciał, głupkowato się śmiejąc i obiecując, że ich zaprowadzi. Oni też pijani być musieli, bo mu uwierzyli, a potem, wytrzeźwiawszy, namowom jego ulegli tak, że teraz nie wiadomo kto tu najwięcej zawinił i kto kogo do czego nakłaniał. Pan Romisz powiada, że na niezwywego winę zrzucają, bo się już bronić nie może, a sami gorsi od niego, o czym policja wie dobrze. We czterech razem poszli rabować dwór, stróża zranili całkiem tak, jak pan Romisz mówił, a ona sukę ze wsi, ciekającą się akurat, sami przy ogrodzie puścili, wiedząc dobrze, iż wszelkie psy za nią pójdą. Jeden na dworze został do pilnowania, a trzech wdarło się drzwiami od ogrodu do salonu, a dalej do gabinetu, bo ów nieboszczyk jakiś był niepewny i po ścianach macał to w jadalni, to w bibliotece, to w gabinecie, od czego się hałasy czyniły. Aż wlaźł im tam z nagła lokaj i sam rzucił się na nich, przeto się tylko bronili, ale on nie popuszczał, no i w końcu nieboszczyk go zabił, a oni opędzać się musieli od drugiego sługi. Wszystkie nieboszczyk! Co nieprawdą jest całkiem, bo Poldzio, nim przytomność stracił, dosyć zobaczył i przysięga, że ów krył się raczej, a lokaja Albina ci dwaj właśnie mordowali.

Oni zaś dalej powiadają, że trwoga ich ogarnęła przed całą służbą, zatem uciekli. Nic złego nie zrobili i niczego nie zrabowali. O, jakież to głupie gadanie!

Pan Romisz mówi, że nie pierwszy to ich taki uczynek i teraz im się już nie upieczą, katorga dla nich pewna. I całe szczęście. Kuzyn Mateusz, słuchając, ramionami ruszał, aż po kuzynkę Matyldę sam poszedł i razem już rzekli, że wszystko to jest bredzenie zwykłe i niedorzeczność, bo skarbów w tym dworze nigdy nie było i nie ma. Największe biblioteka zawiera, gdzie stoją i leżą książki ręcznie pisane, starożytne bardzo, w srebro i skórę oprawiane, z kamieniami nawet, ale ileż ich, cztery wszystkiego, a ciężkie przy tym okropnie. I cóż by z nimi tacy złoczyńcy zrobili? Przeto iście po pijanemu cała napaść została uczyniona, ale trupy dwa po niej zostały i tego się płazem nie puści.

Ledwo poszli, człek jakiś stary na wasążku w jednego konia przyjechał i o kuzynkę Matyldę zapytał, a nim zdołałam wywiedzieć się, kim jest, bo prosto bardzo, acz chędogo wyglądał, kamerdyner Kacper go ujrzał i sprzed oczu moich zabrał, do kuzynki prowadząc, co mnie wielce zbulwersowało. Gniewna, poszłam za nim. Kuzynka Matylda, ninie jak miód słodka, małżonka zaraz uprosiła, by zarządził co należy w stajni, gdzie o dwóch przegrodach dla ogierów była mowa, bo tutejsze klacze chciała stanowić, a on w tej materii najlepszy. Podstęp to był, na który kuzyn Mateusz zaraz dał się złapać i do stajni się udał, ona zaś znów się w bibliotece zamknęła, teraz już z owym człekiem, któren na wasążku przyjechał.

Zaraz na pierwsze moje słowo wyrzutu Kacper z wielkim szacunkiem rzekł, iż

*jest to stary sługa rodziny, wielce zmyślny, do różnych robót używany przez lata całe, obecnie przy wnuczce ostatnich dni dożywający, Szymon niejaki. Pewno z jakową prośbą do jaśnie pani przyjechał, dowiedziawszy się o jej bytności, a zawsze miał tu wielkie prawa.*

*Tedy ów Szymon, przez nieboszczyka wykrzyknięty, to nie żaden złoczyńca, jeno sługa. Co też za znajomość łączyć ich miała? Nicem się nie dowiedziała, bo biblioteka tak jest położona, że jeśli kto nie przy samych drzwiach gada, niczego nie słyhać. Kuzynka Matylda konferowała z nim tam, aż kuzyn Mateusz ze stajni wrócił, po czym Kacper onego Szymona w swojej izbie uczył piwem i posiłkiem, nawet mnie o zezwolenie nie pytając. Zalterowałam się, alem nic nie rzekła, bo kuzynka Matylda własnymi oczami na to patrzyła i z przyjemną twarzą.*

*Zaczem na wieczór znów się pokłócili, ale o co, nie wiem, chociaż wchodziłam do gabinetu często, wino i frukta donosząc. Na mój widok milkli. Coś tam o cesarzu Napoleonie w ucho mi wpadło, coś tam o mojej świętej pamięci dobrodziejce, pani Zawadzkiej, która babką kuzynki Matyldy była, coś tam o jakowychś sekretach. Tak mi się wydawało, że kuzyn Mateusz żonie docinał i naśmiewał się z niej, a ona, chociaż zła, molo się tym przejmowała. Wreszcie ostatni już kaprys zaprezentowała, rachunki z zeszłego roku uparła się ze mną obejrzeć, przez co strasznie późno spać poszłam.*

*Nareszcie o poranku zgodnie wyjechali i jaki taki spokój nastał.*

Rzecz oczywista diariusz panny Dominiki ciągnął się dalej, ale opiewał już wydarzenia codzienne, wyzute z elementów sensacji. Krwawy eksces ginął w niepamięci, za to coraz częściej pojawiał się pan Romisz, który po roku zdeklarował się wreszcie. I byłaby panna Dominika ten straszny mezalians popełniła, gdyby nie to, że zaraz po zdeklarowaniu, a jeszcze przed otrzymaniem wyraźnej odpowiedzi, konkurent gwałtownie ją się wycofywał. Panna Dominika pożałowała swojej powściągliwości, która okazała się zgubna, ale nie mogła przecież tak od razu wyrazić zgody, musiała wdzięcznie poprosić o czas do namysłu. Niepotrzebnie. Pan Romisz zapewne poczuł się urażony. . .

Rychło wyszło na jaw, iż nie o urazę mariaż się rozbił. Pan Romisz, nowy człowiek w powiecie, bo ledwo od trzech lat tu właśnie zatrudniony, zmacony niedokładnym gadaniem zwierzchnika, mniemał, iż panna Błędowska ma swój udział w Błędowie, siedzibie przodków, a co najmniej zagwarantowany na niej posag. Tymczasem panna Błędowska nie miała nic, wyłącznie posadę gospodyni zarządzającej, jeden pierścioneczek po matce i oszczędności w postaci stu trzydziestu dwóch rubli, uciulane w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Zbyt mały to był dodatek do splendoru, pan Romisz z żalem zwinął chorągiewkę i przeniósł afekt na pannę młynarzównę, zasobniejszą dokładnie dwieście razy. Panna Dominika wniosła ten cios mężnie, najświęciej przekonana, iż uczynił to z rozpaczy po jej

słowach, niewłaściwie pojętych jako rekuza, i przez całe lata czyniła sobie gorzkie wyrzuty...

\* \* \*

Testament Matyldy, która poszła na tamten świat za małżonkiem zaledwie w dwa miesiące po jego śmierci, otwarto w roku pańskim 1935.

Aż do legatu dla prawnuczki wszystko było zrozumiałe i proste, dopiero dwór błędowski i pamiętnik w puzdrze wprowadziły przerażające zamieszanie. Dwór owszem, stał, nawet w niezłym stanie, pamiętnika natomiast nie można było znaleźć. Ponadto nikt nie miał pewności, czy ów dwór ma należeć do prawnuczki z całym dobrodziejstwem inwentarza, to znaczy z końmi, krowami, hektarami pól uprawnych, lasu, sadu, i jednym stawem rybnym, czy też ma to być sam dwór z ogrodem, a reszta winna zostać we władaniu pozostałej rodziny. Zważywszy, iż przy Tomaszu i posiadłości w Placówce Matylda wyraźnie napisała: „...ze wszystkim co się w nim znajduje”, tu zaś zamiast instrukcji widniał potężny kleks, pojawiła się nawet wątpliwość co do wnętrza budowli. Stały tam wszak chińskie wazy, w bibliotece spoczywały średniowieczne wolumena, jakieś stare obrazy wisiały na ścianach, a kto wie, miało to może swoją wartość...? Ma należeć do prawnuczki czy nie?

Co gorsza, zanim kwestię rozstrzygnięto, pogmatwała się sytuacja w prawnuczkach.

Deliberacje testamentowe trwały, dwudziestolecie międzywojenne rozkwitało. Najstarsza prawnuczka, Helena, córka Doroty, miała w owym momencie dwadzieścia lat i była istotą przerażająco lekkomyślną. Zważywszy ogólny dostatek rodziny, podróżowała sobie po Europie w towarzystwie młodszej siostry, Justyny, i przyzwoitki w osobie ciotki, owdowiałej już i bezdzietnej córki Tomasza, Barbary, przyczyniając im licznych zmartwień i kłopotów. Głupoty popełniała beznadziejnie, przez nią wszystkie trzy świeciły nieobecnością na pogrzebie Matyldy i nie było ich przy otwarciu testamentu, ona spowodowała pełną niemożność powrotu do kraju. Na Riwierze poznała francuskiego hrabiego, który wzbudził w niej wielką miłość, jak się okazało rzeczywiście dozgonną. O żadnym ślubie nie mogło być mowy, hrabia bowiem, acz prawdziwy, to jednak okazał się oszustem i złodziejem, co gorsza nieudolnym i gołym jak święty turecki. Złodziej bystry i zręczny zdołałby się wzbogacić. Cała familia nader zgodnie zaprotestowała, takie mariaże nie wchodziły w rachubę, niech go sobie Helena natychmiast wybije z głowy. Helena nie chciała i w ramach presji moralnej wypijała całą butelkę stężonego wyciągu z arniki. Nie dało się jej odratować. Na łożu śmierci wyznała, iż

wypiła to przez pomyłkę, myślała, że wyciąg jest rozwodniony, zamierzała tylko rodzinę postraszyć, nie zaś całkiem umrzeć. Komunikat o pomyłce pozwolił pochować ją w poświęcanej ziemi.

Natychmiast wybuchł problem. Odziedziczyła już ta Helena sporne mienie po prababci czy nie? Jeśli tak, jej spadkobiercami są rodzice i młodsza siostra, Justyna, jeśli nie, spadek automatycznie przechodzi... zaraz, na kogo? Na całą rodzinę? Czy też w całości na kolejną najstarszą prawnuczkę, Justynę? Czyli Justyna wchodziłaby w ten interes niejako podwójnie...

Rozwikłano sytuację polubownie, mianowicie rodzice Justyny, Dorota i jej małżonek, zrzekli się praw spadkowych na korzyść córki, reszta rodziny zaś, nadepta, urażona, ale na szczęście bogata, z pewnym wysiłkiem i licznymi dąsami uszanowała wolę Matyldy. Ma być prawnuczka, trudno, niech będzie prawnuczka, z imienia wymieniona nie została... W zamian Justyna, znacznie rozsądniejsza od starszej siostry, dobrowolnie zrezygnowała z dóbr dodatkowych, krów, koni, stawu i hektarów sadu, pozostając przy samym dworze z ogrodem.

Czas do wybuchu drugiej wojny światowej spędzono na poszukiwaniu zaginionego pamiętnika.

Posiadłość jako taka, pieniądze w banku, owe sławetne garnitury, wszystko znajdowało się na swoim miejscu i zostało rozprowadzone po spadkobiercach. Brakowało tylko pamiętnika w puzdrze i nikt nie wiedział, gdzie się owo dzieło znajduje. Przeszukano Chichów, Błędów i Placówkę, szukano w bibliotece wśród książek, w biurkach, komodach i sekretarzykach Matyldy, w szufladach z galanterią odzieżową, w kufrach na strychu, bez rezultatu, czas jakiś każdy z szukających wpatrywał się rozpaczliwie tępym wzrokiem w portrety prababci i pradziadka z nadzieją, iż na ich obliczach ujrzy jakąś informację, nic to nie dało. Pamiętnika nie było.

Odnaleziony został wreszcie w chwili możliwie najbardziej niewłaściwej i w miejscu doskonale idiotycznym. Trafiła na przedmiot głuchowska sługa, sięgająca w chłodnej piwnicy po kiszoną kapustę. Ciężkie żelazne puzdro od lat służyło jako przycisk do denka w beczce, lepszy niż kamień, bo równiej obie półowki denka przygniatał. Kto go do tej roli przeznaczył, Matylda osobiście czy któraś z gospodyń, nie zdołano odgadnąć, w każdym razie sługa trochę rozumu miała, bo skojarzyła poszukiwania z przedmiotem. Nabrawszy kapusty z nowej beczki, przyszła do kuchni i rzekła:

— A to jaśnie państwo pudła jakiegoś szukają a szukają, wszystkie latają i grzebią po łąkach, a nikt nie wie, jakie onoż pudło. A może takie jak w piwnicy?

Usłyszała te słowa obecna w kuchni przypadkiem synowa Tomasz, aktualna pani na posiadłości, bo Tomasz, sam nie chcąc gospodarować, oddał Głuchów we władanie synowi Ludwikowi, zapalonemu hodowcy koni, bydła i nierogacizny. Małżonka Ludwika głupsza się okazała od własnej sługi, bo nic jej do głowy nie

przyszło i zainteresowała się wyłącznie kapustą, przeznaczoną na bigos.

— Jaka tam ona? — spytała i spróbowała z uwagą. — Dobra, może być.

Kucharka stanęła na wyższym poziomie.

— Przecie że dobra, sama kiszenia pilnuje — oznajmiła z urazą i przez ramię podjęła właściwy temat. — Cóżeś tam wypatrzyła w piwnicy, przynieś i pokaż, jaśnie pani sama zobaczy i powie, takiego się szuka czy nie, bo to kaźden szuka, a sam nie wie czego.

— Nie przynieść — zaprotestowała harda sługa energicznie. — Toż cała resztę dociska.

— Kamień znajdź jaki i zamień.

— Gdzie mnie tera do kamienia, jak tu mam indyki skubać...!

Do Ludwikowej nareszcie dotarło.

— Zaraz. O czym wy mówicie? Co za jakieś pudło znalazłaś w piwnicy?

— A takie wielkie, żelazne, jak raz do beczki... .

— A to przecie już ze cztery lata będzie, jak państwo i wszystkie ludzie pudła jakiegoś szukają, co podobnieź nieboszczka świętej pamięci jaśnie pani w testamencie nakazała — wypomniała ze skrywaną naganą kucharka. — A nikt go na oczy nie widział i nie wiadomo jakie ono... .

— A któż by pamiętnikiem nieboszczki babci kapustę przygniatał? — zgorzzyła się Ludwikowa. — Grzyby namoczyć, bo do bigosu to już ostatnia chwila! A pudło, może być, jak znajdziesz kamień, to przyniesiesz. Indyki gotowe w lodzie potrzymać, żeby mięso skruszało... .

Rozpoczęły się właśnie przygotowania do wesela Justyny, honorowanej od-ruchowo, jakby z rozpędu, przez testament Matyldy. Najważniejsza prawnuczka, nikt się nie zastanawiał nad przyczynami, ale wszyscy uważali, że należy ją uczcić i wesele urządzano w Głuchowie, posiadłości przodków, zarówno mały dworek w Kośminie, jak i apartamenty jej rodziców na Nowym Świecie uznaw-szy za niedostatecznie reprezentacyjne. Ojciec Justyny, niegdyś potomek dziedzic-ów na włościach pod Wyszkowem, sprzedawszy mienie protoplastów, obecnie przekształcony w dyrektora banku, zajmował mieszkanie zaledwie dziewięciopo-kojowe i odpowiednio hucznego wesela nie można tam było urządzić. W dwóch salonach nie mieściło się więcej niż sześćdziesiąt par, a jadalnia, jeszcze gorzej, przeznaczona była dla najwyżej czterdziestu sztuk gości... .

Małżonka Ludwika, wdzięcznego imienia Hortensja, piękna była urodą ape-tyczną, co pozwoliło jej na tej urodzie poprzestać. Umysłem sięgała sztuki pro-wadzenia domu, ale niczego więcej, innymi słowy, znakomita gospodyni, poza tym była niezmiernie głupia i skojarzeń nie miewała żadnych, co pozwalało jej spać spokojnie i nigdy nie odczuwać dolegliwości gastrycznych. Wesele urządzi-ła z największą przyjemnością, tak tym zajęta, że o pudle napomknęła dopiero w chwili, kiedy na Justynie upinano welon.



— Czy ty sobie ten Błędów urządzisz? — spytała z troską, patrząc na zwiewną postać przed lustrem, otoczoną pokojówkami, kuzynkami, ciotkami i własną matką. — Bo to posada posada, a co człowiek ma, to jego. Ten twój narzeczony może i figura, zawsze jednak. . . Chociaż z drugiej strony gospodarstwo to też krzyż pański, żebym służby nie ukróciła, bigos by nie wyszedł. Zamiast kapustę do garnka kłaść, kucharka chciała żelazne pudła oglądać. . .

— Jakie żelazne pudła? — zainteresowała się z lekkim roztargnieniem ciotka Barbara.

— Jakieś ciężkie. Denka w beczce przyciskało. Marcysia coś tam mówiła, że wszyscy szukamy pudła, pewno miała na myśli to puzdro z pamiętnikiem babci Matyldy. . .

— Co? — spytała całkiem niegrzecznie Justyna, odwracając się nagle i wyrwijając głowę z rąk osób towarzyszących.

— Co, co?

— Ja bardzo proszę, niech ciocia powtórzy!

— Co robisz, o Boże, znów się rozleciało! — krzyknęła rozpaczliwie Katarzyna, córka Łukasza. — Stój przez chwilę spokojnie!

— Moje dziecko, odwróć się, niech ci upnę. . . — poprosiła żałośnie Dorota, matka panny młodej.

— Pudło, mówię, jakieś — powtórzyła niecierpliwie Hortensja. — Z piwnicy. Oglądać chciały, akurat przy bigosie. Nawet kazałam je przynieść, ale w tym rozgardiaszu nie wiem, przyniosły je czy nie. . .

Ciotka Barbara przecknęła się nagle i wypuściła z rąk zwały tiulu.

— Piąty rok szukamy pamiętnika babci, jej zapisanego — rzekła złym głosem, wskazując pannę młodą. — Chcesz powiedzieć, że jakaś służąca znalazła go w piwnicy?

— Otóż to — poparła ją z naciskiem Justyna, obracając się znów do lustra, bądź co bądź w wysokim stopniu zajęta własnym ślubem, pełna nadziei, że ciotka Barbara przejmie pałeczkę.

— A skąd ja mam wiedzieć, co która służąca znalazła! — rozgniewała się Hortensja. — Ciężar na kapustę i tyle. Chcecie oglądać, proszę bardzo, tylko beczki nie zmarnuję, najpierw Marcysia kamień przyniesie. Po weselu. . .

— Nie po żadnym weselu, tylko zaraz! — zdecydowała energicznie ciotka Barbara. — One tu niech ją ubiorą, a my pójdziemy. Chcę to zobaczyć! Na ślub zdążymy.

W piwnicy nad beczką kapusty nastąpiła kontrowersja. Ciotka Barbara chciała od razu chwycić pudło, ale okazało się zbyt ciężkie dla samych rąk, musiałyby je przytulić do łona, co balowym atlasom i koronkom nie wyszłoby na zdrowie, zażądała pomocy służby. Hortensja zaprotestowała gwałtownie, nie widząc zastępczego kamienia, w rezultacie pudło zostało na miejscu, przewidziane do wniesienia na pokoje we właściwej chwili. Żadna ze sprzeczących się dam nie była

przy tym pewna, czy ma to jakiś sens, kłócąc się, wróciły na górę i wzięły udział w uroczystościach.

Justyna z małżonkiem Bolesławem odjechała w podróż poślubną, zobligowana godziną odjazdu pociągu w kierunku Wiednia, dowiedziawszy się jedynie od ciotki Barbary, że jakieś żelazne torobajdło rzeczywiście znajduje się w beczce. Pamiętnik prababci gnębił ją, nie do tego stopnia jednakże, żeby miała dla niego zapomnieć o wszystkich uciechach młodej małżonki. Trochę zbyt bez trosko zdecydowała się poczekać na wyjaśnienie sprawy.

W Głuchowie, nadęte i obrażone wzajemnie na siebie, Barbara i jej bratowa Hortensja, wspólnymi siłami dopilnowały służki Marcysi, żeby znalazła kamień. Marcysia znalazła. Żelazne pudło wyniesiono na górę.

Ciężkie było zdumiewająco. Przestano się jego wadze dziwić, kiedy wyszło na jaw, że po pierwsze było bardzo grube, a po drugie zawierało w sobie drugie pudło, srebrne, misternie rzeźbione, któremu też materiału nie pożałowano. Oba opakowania zdołano otworzyć i w środku znajdował się oprawny w czerwony safian, nader okazałych rozmiarów, pamiętnik babci Matyldy.

Obecny przy otwieraniu Tomasz zdołał powstrzymać córkę i synową przed lekturą utworu. Surowo przypomniał testament matki, która na czytanie swych wynurzeń zezwoliła wyłącznie prawnuczce i nikomu innemu. Prawnuczka znajdowała się właśnie w podróży poślubnej gdzieś pomiędzy Biarritz a Monte Carlo i nie należało jej głowy zawracać.

Sam osobiście zadbał o to, żeby diariusz Matyldy bezpiecznie doczekał powrotu spadkobierczyni, ukrywając go we własnym sejfie, w swoim domu, na skraju folwarku Służewiec, przekształcanym akurat w grunta miejskie i tereny wyścigów konnych. Od budowanych właśnie torów wyścigowych dzielił go ładny kawałek drogi, ale to go osobiście nie interesowało. No owszem, jego własny syn załatwił sobie gdzieś tam przechowalnię dla koni, bo krowy krowami, chlewnia chlewnią, a konie uwielbiał i w wyścigach zamierzał brać udział, niemniej jednak była to jego prywatna sprawa, do której Tomasz nie chciał się mieszać. Miał z czego żyć nawet i bez dochodu z Głuchowa, zyski z międzynarodowej spółki handlu drewnem były całkiem godziwe.

Justyna zaś delectowała się całkowicie nowymi, zaskakującymi doznaniem. Podróż poślubna spodobała się jej ogromnie, również i samo małżeństwo przypadło do gustu. Nieżyjąca już starsza siostra, Helena, wywarła zdecydowany wpływ na jej charakter i dotychczasowy sposób życia i dopiero teraz mogła trochę odtajać.

Helena od urodzenia denerwowała ją niewymownie i Justyna, odruchowo i podświadomie, usiłowała stanowić z nią kontrast. Gdzie Helena prezentowała wściekłą lekkomyślność, tam Justyna umiar i rozsądek, gdzie Helena pchała się w rozrywki, tam Justyna w kulturę i sztukę, ze wzgardą odwracając się tyłem do gorszącego rozpasania. Helena była leniwa i głupia, Justyna musiała być zatem

pracowita i mądra. Helena nosiła suknie frywolne i kuszące, Justyna, wcale nie mając na to ochoty, przyodziewała się na sportowo. Teraz wreszcie, w obliczu nieistnienia Heleny, mogła sobie pozwolić na odrobinę swobody i nie musiała już stanowić przeciwieństwa beztroski. Okazała się żoną płomienną i dziko atrakcyjną, Bolesław, młodzieniec dotychczas porządny i bardzo umiarkowany, teraz oszalał z miłości, pył spod nóg jej zmiatał i wszelkie życzenia spełniał z zapalem. Po raz pierwszy w życiu wyglądała przepięknie, bawiła się znakomicie bez ograniczeń i usiłowała tę okazję wykorzystać do końca, do imentu i do wypęku. W nosie miała wszystkie pamiątki świata z prababcią na czele.

Jednakże głęboko zakorzeniony rozsądek nie dał się długo spychać w kąt i przydeptywać. Bolesław piastował wysokie stanowisko w kolejnictwie, na przesadnie długi urlop nie mógł sobie pozwolić, trzy miesiące to była górna granica. Wzdychając z głębokim żalem, Justyna z własnej inicjatywy zakończyła tę czarującą podróż poślubną.

Ledwo zdążyła wrócić i odpracować wszystkie obowiązkowe wizyty, zaniepokoił ją lekko stan zdrowia. Poranne mdłości i niespodziewane zawroty głowy mówiły same za siebie, oczywiście, cięża, nic niezwykłego. Ucieszyła się z niej nawet, ale dolegliwości przez to nie znikły, utrzymały się dość długo i trochę odebrały jej wigor. Upewniła się tylko, że pamiątkiem zaopiekował się dziadek Tomasz. . .

Dziadek Tomasz właśnie umarł, w miesiąc po jego pogrzebie urodził się Pawełek, a zaraz potem wybuchła wojna. Druga wojna światowa.

Pierwsza wojna światowa nie zrobiła rodzinie nic szczególnie złego, zubożyła ją tylko mniej więcej w połowie, nie pozbawiając dachu nad głową. Druga odpracowała to niedopatrzenie dziejowe.

W chwili odczytywania testamentu Matyldy całe jej potomstwo żyło i składało się z czworga dzieci, dziesięciorga wnuków i siedmiorga prawnuków. W pół roku po zakończeniu drugiej wojny ten stan liczebny uległ dość radykalnej odmianie.

Na zebraniu rodzinnym, które odbyło się w ocalałym, acz więcej niż w połowie zrujnowanym domu Tomasza na Służewie, znalazło się zaledwie ośmioro potomków w prostej linii Mateusza i Matyldy, mianowicie Zofia, najmłodsza ich córka, wnukowie: Barbara, Ludwik, Dorota i Jadwiga, dwoje prawnuków: syn Ludwika, czternastoletni Darek, i Justyna, córka Doroty, wreszcie jeden pra-prawnuk, dziecko Justyny, sześciolatek Pawełek. Resztę stanowili powinowaci. Żona Ludwika Hortensja, mąż Zofii Marian, mąż Doroty, a ojciec Justyny, były dyrektor banku Tadeusz, mąż Justyny Bolesław oraz jego znacznie młodsza siostra, piętnastoletnia Amelia, która po śmierci rodziców jeszcze przed wojną spadła bratu na kark. Razem sztuk trzynaście.

Wzrokiem pełnym powątpiewania Hortensja popatrzyła na swoich gości przy

stole. Trzyście, feralna liczba... Z wysiłkiem powstrzymała się od jakiejś nietaktownej uwagi, bo cóż było robić, tyle ich z rodziny zostało i gdzie się mieli podziąć w obliczu ustroju i morza ruin, stanowiącego niegdyś stolicę kraju...? Bogu dziękować, że jej dach w jednej trzeciej ocalał i pod tym dachem mogła ich przyjąć...

Rodzina zaś spotkała się w celu dość dramatycznym, dla ustalenia aktualnego stanu posiadania i sytuacji ogólnej, która prezentowała się nie najlepiej.

Dom, w którym siedzieli, bezsprzecznie należał do Ludwika, spadkobiercy Tomasza, który testamentem przeznaczył go synowi, córce Barbarze zostawiając zrujnowaną posiadłość w Placówce. Rzecz jasna, synowi przeznaczył także Głuchów, co nie miało już żadnego znaczenia, bo głuchowskie dobra zostały rozparcelowane, a pałacowaty dwór zamieniano właśnie na ośrodek zdrowia. Diabli wzięli także posiadłość Zofii i jej męża pod Wyszkowem. Ziemie błędowskie przepadły również, aczkolwiek przy realizacji testamentu Matyldy rozproszono je po jej wnukach i w zasadzie przepadły bezprawnie.

Ocalał natomiast dwudziestotrzyhektarowy Kośmin, obecnie wspólna własność Doroty i Jadwigi. O licznych przedwojennych kamienicach nie warto było nawet wspominać, na ich miejscu widniały wielkie kupy gruzu i tyle.

Większość dawnych dochodów umknęła w siną dal. Szlag trafił akcje handlu drewnem, z których doskonale żył Ludwik, szlag trafił zyski z rozparcelowanych posiadłości, przepadły pieniądze w bankach i renty z papierów wartościowych. Najlepiej z całej rodziny wyglądała jeszcze Barbara, której dom przy ulicy Madalińskiego nie ucierpiał prawie wcale, przestał tylko do niej należeć, z czego się nawet ucieszyła.

— Gdyby był mój, musiałabym go sama na nowo tynkować — rzekła z satysfakcją. — A tak, chcą państwowe, niech sobie mają państwowe, mnie nie obchodzi. Grunt, że mieszkanie mi zostało.

Oprócz tego pięciopokojowego mieszkania, do którego przygarnęła dwie mocno wiekowe osoby, została jej także rudera w Placówce i całkiem niezła forsa po nieboszczyku mężu w akcjach szwajcarskich. Nieboszczyk mąż, jedyny w rodzinie człowiek rozsądny i przezorny, lokował całe swoje mienie w Szwajcarii, a Barbarze nie chciało się tego po jego śmierci zmieniać ze zwyczajnego lenistwa. Teraz, można powiedzieć, wyszła na swoje i nawet kłopot z ukrywaniem zagranicznego majątku zdołała rozwiązać. Wymyśliła, że ktoś tam po kawałku przedwojenny dług oddaje, stąd jej zasobność, a zwracania długu oraz przyjmowania go nawet ten upiorny ustrój nie mógł zabronić. Stanowiła obecnie coś w rodzaju opoki dla części rodziny, pozbawionej mieszkań. Dorota z Tadeuszem, Zofia z Marianem i Justyna z Bolesławem, Pawełkiem i Amelką nie mieli się gdzie podziąć i Barbara bez chwili namysłu zaprosiła ich do siebie. No, nie wszystkich...

— Justynka z Boleczkiem i z dziećmi u mnie — zarządziła. — A Dorotka z Tadeuszem tu zostaną, u Ludwiczka, bo razem nam ciasno będzie. To, co teraz

te rządy robią, woła o pomstę do nieba, straszna hołota się wszędzie pcha, lepiej mieć rodzinę. Was czworo, ja i Marcelina, to całkiem starczy na cztery pokoje, nikogo mi już nie dokwaterują. Oficjalnie dwa pokoje zajęte, a naprawdę te moje dwie stare baby mieszkają w jednym. A ty tu nosem nie kręć — zwróciła się do Hortensji.

— Co ci się wydaje, że was też nie zagęszczą? Wszystkich zagęszczają, tak to się teraz nazywa. A tak, proszę, bierzecie Dorotkę z Tadzkiem i już są dwie rodziny!

Hortensja zamknęła usta otwarte już do protestu, bo gadanie szwagierki miało swój sens. Niespokojnie łypnęła okiem na pozostałych troje.

— My u Jadwini w Kośminie zostaniemy — podchwyciła szybko Zofia. — Marianek pomoże jej gospodarować, sama nie da rady, a Ludwiś wszak jakieś konie ocalił i może nam ze dwa użyczyć...

Ludwik drgnął nerwowo.

— Wyścigowe konie do orki... — wyszeptał ze zgrozą.

— Przyzwyczajają się — zaopiniowała stanowczo Barbara.

— Człowiek się w końcu do wszystkiego może przyzwyczaić. Bardzo dobry pomysł, a Jadwina sama jedna, szykanować ją będą.

— A Błędów...? — bąknęła niepewnie Hortensja.

— Błędów już przepadł — zakomunikował suchym głosem Bolesław. — Już sprawdziłem, za własność rodzinną uznany. Na własność ludu przechodzi.

— Ponadto wszyscy musimy pracować, bo nikt jeszcze nie jest w wieku emerytalnym — przypomniał smętnie najstarszy z obecnych, sześćdziesięcioletni Marian, mąż Zofii.

— Ja też? — zdziwił się Ludwik. — A cóż ja mógłbym robić? Nic nie umiem...

— Jak to, a konie...? — wytknęła mu żona z wielkim oburzeniem. — A bydło, a świnię...? Kto to hodował?

— To była przyjemność, a nie praca — odparł Ludwik z godnością. — Przyjemności obecny ustrój nie przewiduje. Zresztą, mniejsza o krowy i świnię, ale konie to co innego, przed samą wojną Kaprys wygrał, a w OAKS-ie klaczy Gwiazda przysłała trzecia...

— Tylko tu teraz nie zaczynaj ich wszystkich wyliczać! — ukróciła brata Barbara.

— No dobrze, sześć uratowane, dwa ogiery i cztery klacze, na Wyczółkach w chłopskiej oborze się uchowały, a Niemcy tak zwiewali, że nie zdążyli ich zabrać...

— To też słyszeliśmy już ze dwadzieścia razy...

— Ale wyścigi mają ruszyć, już się organizują, mógłbym mieć stajnię...

— Nie może stryj — przerwał smętnie Bolesław. — Prywatne stajnie nie są przewidziane, wszystko ma być państwowe.

— Człowiek, znaczy, nie będzie miał prawa posiadać konia. . . ?!  
— I co z tym koniem zrobisz? — spytała trzeźwo Barbara.  
— Tu go będziesz trzymał? W ogródku? A jeszcze może wszystkie sześć. . . ?  
— Konie muszą biegać — wtrącił z westchnieniem Marian, mąż Zofii. —  
To nie jest zła myśl, żeby do Kośmina poszły na razie, a ja już jakoś dopilnuję.  
Wyszkowskie wszystkie przepadły. . .

— I będziesz Kaprysa albo Gwiazdę zaprzęgał do pług. . . ?!!!

— Kaprysa i Gwiazdę to może nie, wybiorę te najgorsze.

— U mnie nie było najgorszych!

— Czy my o koniach rozmawiamy, czy o ludziach? — spytała karcąco Justyna o siebie chwilowo spokojna, bo była w ciąży i nikt nie miał prawa zmusić jej do noszenia cegieł i gruzu, a Bolesław wrócił już do pracy w kolejnictwie. Okupacyjna przeszłość, którą przetrwał jako zwyczajny robotnik, z wielkim talentem wynajdujący newralgiczne punkty sprzętu kolejowego, świetnie nadające się do powodowania katastrof niemieckich pociągów z wojskiem, bronią i amunicją, jako też znakomita skuteczność jego pomysłów, ustawiły go na właściwym poziomie i pozwoliły od razu zająć wysokie stanowisko w dyrekcji bez głupich szykan i podejrzeń. Sprawdzony patriota, wrócił właściwie na to samo stanowisko, jakie zajmował przed wojną, i rzetelnie zabrał się za remont zdewastowanej sieci kolejowej. Fachowość sprawiła, że do żadnej partii nie musiał wstępować. — Że Kośmin nam został, to czyste błogosławieństwo i cud. . .

— A w dodatku wszyscy zdrowi — odezwała się nagle milcząca dotychczas Jadwiga. — Trzech synów straciłam i męża, sama zostałam jak palec, myślałam, że mnie chociaż szlag trafi, a tu nic, sami widzicie. Umysłowo może i jestem niedowarzona, ale fizycznie jak Horpyna i aż mi wstyd przed samą sobą.

Wszyscy doznali wielkiej ulgi, że Jadwiga wydała z siebie głos, bo właściwie od chwili tragedii, niemal równoczesnej śmierci synów i męża, który umarł na raka żołądka, prawie wyłącznie milczała i pojawiła się w rodzinie obawa, iż cios był zbyt wielki. Zwariowała od tego i już jej tak ten bierny obłęd zostanie. Taktownie usiłowano nie wspominać dramatu, bo nikt na razie jeszcze nie wiedział, że litościwa opatrność dostarczyła jej pociechy, ona sama zaś wahała się ciągle, powiedzieć im prawdę czy nie.

— A nasze dzieci. . . — bąknęła żałośnie Zofia.

— Wasze dzieci żywe i gdzieś tam po Amerykach i Kanadach dadzą sobie radę — przerwała jej natychmiast Barbara. — Lepiej im pewno niż nam. Odezwią się prędzej czy później.

— A co w Placówce? — spytała z nadzieją Dorota. Ludwik machnął ręką, a Barbara wzruszyła ramionami.

Placówka należała do niej, ale nie miało to wielkiego znaczenia, bo w budynku zagnieździli się już dzicy lokatorzy, teren wokół zarósł drzewami, a dawnych

stajni w ogóle nie było, ponieważ poszły na opał. Placówki nie miało sensu nawet wspominać.

Zdenerwowana dyskusją Hortensja zrobiła to, co umiała i do czego los ją przeznaczył. Wezwawszy Gienię, niegdysiejszą sługę z Głuchowa, na nowo zastawiła stół produktami spożywczymi, stosownie dobranymi. Migdałki w cukrze i migdałki w soli, bajaderki własnej roboty, serki ziołowe skali światowej, słone paluszki z francuskiego ciasta, malutkie obwarzanki z metką i kaparami, kilka innych frykasów, do tego smorodiniówka, cytrynowka wytrawna, łagodny koktajl na wytrawnym wermucie. . . Z produktów krajowych wszystko umiała zrobić sama, produkty zagraniczne zaś przychodziły ze Szwajcarii w paczkach dla Barbary i Hortensja potrafiła je koncertowo wykorzystać.

— Jedzcie i pijcie — powiedziała trochę żałośnie. — Tyle naszego.

— Cieszymy się, że nie postanowiono w pierwszym rzucie wszystkich nas na latarniach powiesić — rzekł melancholijnie Tadeusz, mąż Doroty, dziś księgowy w banku, którego przed wojną był dyrektorem. — A propos, przypomina mi się mój przyjaciel. Miał własne przedsiębiorstwo budowlane, ogromne, już się zaangażował jako kierownik budowy, świetny fachowiec, biedny człowiek, jego żona jajka na miękko nie potrafi ugotować. . . I poskarżył mi się dopiero co, że ona nie wie, z czego się robi rosół. . .

— Maria Skłodowska-Curie też nie wiedziała — wyrwało się Justynie.

— A służba. . . ? — zainteresowała się Hortensja.

— Kucharka otworzyła własną budkę na Marszałkowskiej i serwuje flaki, pyzy i grochówkę. Ma szalone powodzenie. Ten mój przyjaciel często u niej jada. A pokojówka zapisała się do partii i zasiadła w biurze przepustek jakiejś instytucji, gdzie wprowadza różne osobliwości ortograficzne. Ale za to zyskała awans społeczny. Lokaj przerzucił się na kupno-sprzedaż biżuterii i antyków, na razie uliczną, ale wygląda na to, że ma przed sobą wielką przyszłość, a podkuchenna, jednostka młoda i niebrzydka, przekształciła się w damę do towarzystwa dla cudzoziemców. Ciekawe po jakimu z nimi rozmawia. . .

— Skąd to wszystko wiesz? — zaciekała się Dorota.

— Ten mój przyjaciel specjalnie to sprawdził. Na kucharkę i lokaja natknął się przypadkiem, zadał sobie trud, żeby rozszyfrować resztę. Zwierzył mi się. Podkuchenna wychodzi na tym interesie najlepiej. . .

— Zamkną ją w końcu jako szpiega — przepowiedziała grobowo Barbara.

— Wątpię. Ma doskonałe pochodzenie społeczne.

— Czekać, ale jeśli Błędów przepada całkiem, to co? — zatroskała się nagle Hortensja. — Czy i domu samego nie pozwolą zostawić?

— Dom stoi dokładnie w środku ogrodu — przypomniała jej Justyna. — Nie ma sposobu go wydzielić. A nawet gdyby, nie dałoby się do niego dojeżdżać.

— Znaczą, zabiorą?

— Zabiorą.

— No ale przecież tam jest pełno wszystkiego! Meble, obrazy, książki, porcelana... Pamiątkowe! Co ty z tym zrobisz, nie zostawisz chyba na zmarnowanie?!

— Pewnie że nie zostawi — odpowiedziała za córkę Dorota. — Przepatrzy się wszystko i wywiezie...

— Niezupenie — sprostowała posepnie Justyna. — Nie pozwalają wywozić. Możliwe, że ledwo trochę uratuję, a możliwe, że już wszystko rozkradli. Trzeba tam jechać i sprawdzić.

— Straszne czasy nastały — westchnął Marian, mąż Zofii.

Nastrój zapanował grobowy. Ludwik, jakby nie było gospodarz, ujął karafkę ze smorodiniówką i na pociechę jął napełniać kieliszki, przy tej okazji zrzucając rękawem z talerza kulkę-bajaderkę. Kulkę pożarł natychmiast pies imieniem Glancuś, rasy kundel, osobliwy mieszaniec wilka z owczarkiem podhalańskim, przygarnięty pod koniec wojny, bo jakieś zwierzę Ludwik musiał mieć. Dwa koty mu nie wystarczały. Marian, słynący przy pracach delikatnych z dwóch lewych rąk, chciał usłużnie przesunąć talerzyk ku środkowi stołu, zahaczył o mały stosik krokiecików drobiowych na zimno, z korniszonkami i majonezem, i jeden z tych specjałów wsunął mu się do rękawa. Poczawszy blisko łokcia tajemnicze mazi-dło, szybko cofnął ramię i cały talerz z przekąskami zepchnął Barbarze na kolana, po drodze przewracając wazonik z różyczkami, zdobiącymi stół. Woda z wazonika wylała się wprost na resztkę śmietankowych serków, a zaskoczona Barbara odruchowo strzepnęła ciało obce, talerz i pożywienie, z sukni na podłogę. Równocześnie Marian gwałtownie machnął ręką, krokiecik wypadł mu z rękawa i pacnął w gors Doroty majonezową stroną.

— Jezus Mario... — jęknęła cichutko Hortensja.

Dalszy ciąg konwersacji wypadł następująco:

— ...talerz z zastawy, ostatnia suknia, to cud, że nie w sosie, bo i po co ty po stole rękami machasz, o mój Boże, serki na nic, ostrożnie, kieliszek!!! Nie szkodzi, Glancuś zje, co to jest, strząśnij, strząśnij...! Za dekolci mi wpadło!!! A co miałam zrobić, a przytrzymać nie łaska, majonezik świeżutki, nic ci wcale nie zaszkodzi... czekajże, tu masz plasterki korniszonka, weźcie butelkę!!! Gieniu, ścierkę!!! Szklanka!!! Tyle szkody jednym ruchem narobić, orać ci i drzewo rąbać, no, kelnerskich talentów to ty chyba nie masz, ależ nic już, nic, tu się podłóż, nic nie szkodzi, obarżanków jest więcej, ależ nie masz plamy, nie ruszaj niczego, siedźże spokojnie!!! Serwetkę podłóż... A mówiłam, trzynaście osób przy stole i nieszczęście gotowe...

Z brzękiem poleciały na podłogę noże i widelce. Glancuś nie zawiódł nadziei, skonsumował zawartość talerza Barbary tak delikatnie, że porcelanowych skorup nawet nie dotknął. Nie był wybredny, zjadł nawet korniszonka, strząśniętego z gorsu Doroty. Pawełek, dziecko grzeczne, przesiedział całe przedstawienie na swoim podwyższonym foteliku, oglądając spektakl niczym z łoża i pokwikując tylko z uciechy. Amelka i Darek omal nie udusili się ze śmiechu. Stół uporząd-



kowano na nowo, każdy taktownie usiłował zatrzeć niemiłe wrażenie. Barbara pocieszała, że Kośmina nie zabiorą, bo za mały, a jak jeszcze uprawiać się go będzie...

— Byle tylko przymusu nie stosowali — wtrącił z troską Bolesław.

— Co masz na myśli? — zaniepokoił się Marian. — Jakiego przymusu?

— No, wy macie lekkie ziemie, a każą wam produkować na przykład buraki cukrowe. Albo sadu nie uwzględnia i zażądają samych kartofli...

— Przecież to by żadnego sensu nie miało!

— Im nie chodzi o sens — pouczyła Barbara. — Tylko o taką ideologię, żeby ludzi ogłupić.

— Ale może się uda coś załatwić — ciągnął Bolesław. — Chociażby sprawę koni. Ludwik ma właściwe znajomości...

— Zgadza się, znam wszystkich — przyświadczył żałośnie stroskany Ludwik. — To by się załatwiło, ale jak on ma orać Kaprysem...

— Może byś już przestał z tym oraniem! — zirytowała się Dorota, widząc na własnym żołądku rosnącą plamę po świeżutkim i nieszkodliwym gastrycznie majoneziku. — Mnie się zdawało, że rozmawiamy o Błędowie. Justysiu, będziesz musiała tam pojechać i przepatrzyć wszystkie rzeczy, to przecież pamiątki po babci Matyldzie...

— A, właśnie! — przypomniała sobie nagle Justyna. — Pamiątki, zgadza się, ale gdzie jest ten pamiętnik prababci, który miałam koniecznie przeczytać? Przez tę całą wojnę nawet go do ręki nie dostałam, była mowa, że dziadek Tomasz schował, a teraz co? Stryj go chyba odnalazł? Czy został gdzieś tam i teraz trzeba będzie zakradać się i włamywać...?

— No coś ty, moje dziecko! — obrazila się Hortensja. — Ja bym o taką rzecz nie zadbała...! Co w testamencie, to święte, a to nie widzisz, że i pra-prababcia z pra-pradziadkiem z Placówki tu na ścianie wiszą, bo jak tam się hołoty nawaliło...

— Nie całkiem hołoty — zaprotestował sprawiedliwie Ludwik. — Portrety nam oddali kulturalnie i grzecznie.

— No toteż wiszą. Od razu Ludwisia przymusiłam, żeby zabrał!

Cała rodzina zagapiła się przez chwilę na dwa mocno poczerńiałe wizerunki przodków w potężnych, obdrapanych ramach, rzeczywiście wiszące na ścianie jadalni. Nie rzucały się w oczy, bo z racji swego niezbyt świetnego stanu umieszczone zostały skromniutko, w kącie. Ludwik westchnął i pokiwał głową.

— A nie było to łatwe. Ciężkie okropnie, riksą dookoła miasta...

Ten właśnie moment znów na długo zamilkła Jadwiga wybrała sobie, żeby wyjawić rodzinie swoją tajemnicę. Zdecydowała się wreszcie. Skoro Zofia z Marianem mieli przenieść się do niej na stałe, tajemnica powinna ujrzeć światło dzienne.

— A otóż Bóg miłosierny pociechę mi zesłał — rzekła wielkim głosem i tak nieoczekiwanie, że cała rodzina, drgnąwszy gwałtownie, odwróciła się ku niej. — Dzięki temu żyję i nie zwariowałam, chociaż wszyscy mnie o wariactwo posądzacie, o czym wiem dobrze. Z grzeczności tylko i z litości nic nie mówicie. Ale dosyć tego i właśnie wam powiem.

Wszyscy, porzuciwszy wszelką myśl o portretach, pamiętnikach i testamentach, wpatrzyli się w nią, niezdolni do wydania głosu, teraz akurat ugruntowując się ostatecznie w przekonaniu o jej obłądziej. Nikt nie wiedział, co zrobić.

Jadwiga przyjrzała się im wzajemnie i podjęła:

— Tak mi się tylko wydawało, że sama zostałam, a tu pokazało się, że nie. Nic nie mówiłam, bo upewnić się chciałam. Ledwo się ta cała wojna skończyła przyszedł do mnie jeden ksiądz, który ostatnich partyzantów na śmierć dysponował i przy moim Jurku był. . .

Na sekundę ją zadławiło, ale mężnie ciągnęła dalej.

— Ksiądz powiedział, że dziewczyna tam znalazła się przy nim i razem go pochowali. Ona głową tłuła o pień i wyła jak wilczyca, bo mojego syna kochała. Żoną mu była, choć ślubu nie brali, i krótko potem okazało się, że jest w błogosławionym stanie. Rodzinę jakąś miała, ale wszystko chore i obdarte, bo z Warszawy pochodziła, przed wojną mieli dobrze i nikt potem, za okupacji, nie umiał sobie dać rady, sprzedali wszystko i przymierali głodem. Jakieś takie to było niemrawe, ona jedna do konspiracji poszła, a później do lasu i tam Jurka spotkała. Ewa miała na imię. Za parę miesięcy, mówił ksiądz, tak gdzieś na jesieni, dziecko urodzi, i będzie to dziecko mojego syna.

Milczenie kamienne panowało w jadalni, zamurowana doszczętnie rodzina oczu od Jadwigi nie odrywała. Jadwiga lekko ochrypła, sięgnęła po pierwsze lepsze naczynie, szklankę z koktajlem na wytrawnym wermucie, i wypija zawartość duszkiem.

— Nie wierzyłam — podjęła. — Oj, nie wiem, może bałam się uwierzyć, chociaż ksiądz tak się zdenerwował, że powiedział mi, że wie o tym pod tajemnicą spowiedzi. Gdybym w ogóle cokolwiek wcześniej wiedziała, toć przecie głodnym ludziom dałabym schronienie, kim by nie byli, ale dopiero wtedy. . . Gdzieś za Poznaniem się zagnieździli, też sobie rady nie dawali, ta nieszczęsna na cztery osoby próbowała pracować. No i po księdzu zawahałam się. Dosyć długo się wahałam, bo właściwie, po moich wszystkich, na co mi było żyć. . . ? Aż wreszcie pojechałam tam, to wtedy było — zwróciła się nagle do Zofii i Mariana — kiedy wam znikłam z oczu, a wyście myśleli, że poszłam się utopić. Akurat mi było topienie w głowie. No i trafiłam na nieszczęście, ta dziewczyna przy porodzie umarła. Ale dziecko urodziło się zdrowe, chłopiec. Zabrałam go. Nasze czy nie nasze, przy tych ludziach by się nie uchowało, matka tej Ewy niedojda zupełna, godziny całe siedziała i lży jej z oczu ciekły, babka reumatyzmem powykręcana i poszkodowana na umyśle, zamiast dziecko przewinać, jakieś sztuki nad nim wyprawiała,

tańce to chyba miały być, żeby je zabawić. Nie ja wariatka, ale ona. Ojciec niewydarzeniec, nic nie umiał, do żadnej roboty się nie nadawał, a dziadek, chwalić Boga, zdążył umrzeć. No i miałam im niewinne dziecko zostawić?

Westchnęła ciężko, rozejrzała się po stole i sięgnęła po kieliszek cytrynówki, wprawiając rodzinę w osłupienie absolutne. Od śmierci pierwszego syna Jadwiga nie spożywała ani kropli alkoholu. Nagła odmiana wydawała się czymś zgoła przerażającym.

— Zabrałam go, ochrzczone już było, Jureczek ma na imię, bo tak matka chciała. Jeszcze nie wierzyłam. Oddałam Florianowej, żeby karmiła, bo swoje właśnie urodziła dopiero co, i nikomu słowa nie powiedziałam. Wróciłam, pamiętacie...? Toście mnie powitali, jakbym z grobu wyszła...

Zofia i Marian odruchowo i równocześnie kiwnęli głowami i był to jedyny ruch, jaki zmącił najdoskonalsze skamienienie. Wątpliwe jest, czy ktokolwiek by się poruszył, nawet gdyby w tym momencie wybuchł pożar domu. Jadwiga nie zwracała już uwagi na swoich słuchaczy, tak długo tłumiony sekret ulewał się z niej teraz niczym lawa z wulkanu.

— Florianowa go chowała, a ja tylko patrzyłam. I serce trzymałam na wodzy. Aż wreszcie teraz, niedawno... Toż on już siedzi, zębki mu się wyrznęły... Fotografie odnalazłam. I jemu zrobić kazałam. Od miesiąca już wiem na pewno, ksiądz prawdę mówił, skóra z mojego Jureczka zdarta, rozpoznać nie można, który jest który! To mój wnuk, rodzony, najukochańszy, po trzech synach on jeden mi został i wybijcie sobie z głowy moje wariatwo! Milczałam, póki nic byłam pewna, teraz wiem, mam wnuka i mam po co żyć. Do Koźmina go zabieram, Florianowa niech przychodzi i z nim razem niech swoje chowa, ona chciwa na błyskotki, po trochu jej oddaję ten garnitur po babci, a te całe bolszewickie władze mogą się powiesić i nic nam nie zrobią, bo nowy gospodarz rośnie! Po moim trupie nam to odbiorą!

W obliczu tak wstrząsającego wyznania wszystko inne poszło w zapomnienie. Po długiej chwili osłupienia rodzina zaczęła mówić równocześnie.

Wieść, ogólnie biorąc, była radosna. Tragiczne osamotnienie nieszczęsnej Jadwigi wszystkim leżało kamieniem na sercu i na każdym kroku utrudniało kontakty rodzinne, nie wiadomo było, o czym rozmawiać i czego do niej nie mówić, większości tematów należało unikać, siostra, ciotka i rodzeństwo stryjeczne bali się wspominać o swoich dzieciach, w każdej chwili oczekiwano ze strony Jadwigi jakiegoś okropnego czynu, podpalenia domu na przykład albo potrawy z trujących grzybów. Istnienie wnuka zmieniało sytuację radykalnie, nie szkodząc przy tym wcale finansom, z drugiej strony jednakże wnuk był nieślubny...

— A czy ten ksiądz nie mógł chociaż połączyć ich na śmiertelnym łożu? — dopytywała się Dorota z lekką naganą. — Bywały takie wypadki. Bodaj stułą ręce związać...

— Może nie miał stuły przy sobie...

— A jakież nazwisko to dziecko nosi? — pytała natrętnie Hortensja. — Przy

chrzcie zapisać musieli, matka znana, a ojciec co? Dał ci ksiądz tę metrykę czy ona gdzieś tam po urzędach się poniewiera?

— Ależ to można skorygować, nawet i teraz. . .

— Przez wojnę wszystkie papiery ludziom przypadły, od razu trzeba, dwóch świadków, ksiądz jeden, drugiego trzeba. . .

— Mieli księdza i co? To tak trudno było ten ślub od razu wziąć. . .

— W partyzantce? W strzelaniu? Pod tymi mostami, co je w powietrze wysadzali. . . ?

— Między jednym a drugim. . .

— A dziecko spłodzić zdążyli!

— Do tego dwojga tylko potrzeba, gdzie im było za księdzem po lesie latać. . .

Nikt nie pamiętał o niewinnej dziewczce i młodym chłopcu, Amelii i Darku, słuchających z zapartym tchem w swoim kącie. Urzędowa przynależność do rodziny nieślubnego wnuka wydawała się najważniejsza, grzeszną nieskromność owej Ewy pomijano milczeniem i odkładano na ubocze, niejedna panienka w obliczu bitwy patriotycznie obdarzała ukochanego młodzieńca swoim najcenniejszym skarbem, gorszące to było, ale, w ostateczności, dopuszczalne, tu zaś nawet wręcz słuszne i ze wszech miar pożądane. Tyle że można było w końcu rzecz udoskonalić. . .

Jadwiga doszła wreszcie do głosu.

— Ksiądz był człowiek rozumny — oznajmiła z satysfakcją. — Sam z siebie pod przysięgą zaświadczył, że oni małżeństwem byli, partyzancki ślub im oświadczył i Jureczek nazywa się jak należy, Sawicki. Z ojca Jerzego i matki Ewy z Borkowskich. A świadectwo ślubu pod bombami przypadło i nikt się o to czepiać nie ma prawa. Ja go uznałam. A za jedną minutę wszyscy uznacie, bo te fotografie na wszelki wypadek wzięłam ze sobą. . .

Resztę czasu poświęcono wnikliwemu oglądaniu podobizn dwojga pobocznych niemowląt, po czym rzeczywiście nikt już nie wiedział, które jest które. Dla upewnienia się, po supozycji Bolesława, że wszystkie niemowlęta są podobne do siebie, przyniesiono album z rodzinnymi zdjęciami, z których wyraźnie wynikało, iż rzeczony niemowlęta bardzo się między sobą różnią. Identyczne były tylko te dwie sztuki, prezentowane przez Jadwigę.

Jureczek został uznany jednogłośnie.

— No i proszę — rzekła Hortensja jakimś dziwnym tonem, zarazem natchnionym i niepewnym, rozpoczynając sprzątanie ze stołu — trzynaście osób, to zawsze coś. . .

Jasną jest rzeczą, iż w obliczu takiej sensacji pamiętnik prababci Matyldy znów nie został obdarzony dostateczną uwagą. Nie miał on jakoś szczęścia, ustawnie go coś przebijało. Teraz do wnuka Jadwigi, którego wszyscy chcieli zo-

baczyć na własne oczy, przyplątał się jeszcze Błędów, wymagający podstępnego opróżnienia z reliktywów po przodkach. Wnuk Jadwigi wielkich trudności nie przyczyniał, do Kośmina można było dostać się kolejką grójecką, zatłoczoną wprawdzie przeraźliwie, ale jeżdżącą mniej więcej według rozkładu, Błędów natomiast...

Pojazdów do wyboru było mnóstwo. Rozklekotane ciężarówki wojskowe z demobilu, przedwojenne taksówki, poruszające się głównie siłą woli ich posiadaczy, furmanki chłopskie, działające na zasadzie dawnych poczty, jedna stąd dotąd, a dalej następna, rowery i riksze, których drobna ilość ocalała z zawieruchy wojennej, ruskie łaziki, łapane na los szczęścia po rozmaitych drogach i szosach, oraz własne nogi. Błogosławiony stan Justyny wykluczał komunikację nadmiernie uciążliwą, w rezultacie zatem do Błędowa poszły dwa wyścigowe konie Ludwika, zaprzężone do zdemolowanej mocno, starej i od dawna nie używanej karety. Do dyspozycji była jeszcze bryczka, również niemłoda, ale zdecydowano się na karete, ponieważ miała dach.

Pojechały we dwie, Justyna i Dorota, a wraz z nimi dawny stajenny Ludwika, zatroskany o konie. Konie ruszyły w podróż chętnie, tyle że, zdziwione nieco i uradowane brakiem ciężaru na grzbiecie, trochę zbyt skwapliwie wpadały w ostry galop. Do Błędowa doszły w dwa dni, uczyniwszy nocny postój w Tarcynie, a i to tylko z inicjatywy stajennego, który trząśł się o nie bardziej niż o własne dzieci, bo same z siebie doszłyby jednym ciągiem.

Justyna przetrzymała kawalerską jazdę jakoś bezboleśnie i zaraz po przyjeździe przystąpiła do penetracji posiadłości.

Dwór, jak się okazało, nie został w pierwszych chwilach wolności zdewastowany ani okradziony, bo gospodyni, która nastąpiła po pannie Dominice, pilnowała powierzonego jej mienia rzetelnie i uczciwie. Ponadto dawny chłopak kredensowy, przeszło sześćdziesiąt lat temu poszkodowany w bandyckim napadzie, żył jeszcze i, mimo przekroczonej osiemdziesiątki, trzymał się krzepko, całą budowlę z przyległościami uważając za mienie własne, niegdyś osobiście przed zagładą uratowane. Do żadnych rabunków i kradzieży w życiu by nie dopuścił, a że postacią był okazałą, żylastą, awanturniczą i zgoła legendarną, ludność miejscowa bała się go śmiertelnie.

Dzięki tym czynnikom Justyna ujrzała wewnątrz niemal dokładnie takie, jakie pamiętała z dzieciństwa i jakie uchowało się z czasów jej prababki. Tyle że nieco podupadłe, wielkim głosem domagające się odnowienia i gdzieś tam zaopatrzone w tajemnicze pieczęcie. Napis na pieczęciach, niewyraźny i skomplikowany, głosił coś o zabytkach i okazach muzealnych, narodowi przynależnych.

— Jakim cudem to się uchowało przez wojnę? — zdumiała się Justyna, świadoma poczynań okupanta.

— Poldzio gdzieś schował — odparła tajemniczo Dorota, która zdążyła już z paroma osobami pogadać. — Powiada, że nawet nie w piwnicach, bo tam Niem-

cy włązili, wina szukali, wypili, co było, do ostatniej kropli. . .

— Mam nadzieję, że im zaszkodziło. . .

— Dobre wino nikomu nie zaszkodzi. Ale zamurował w ścianie, sam, powiada, własną ręką. . .

Osiemdziesięciodwuletni były chłopak kredensowy do dzisiejszego dnia siłą przyzwyczajenia nazywany był Poldziem. Dumny z siebie, wtajemniczył jaśnie panią w swoje wojenne poczynania. Na miejscu wszak cały czas pozostawał, do wojska, z racji wieku, już go nie wzięli, a nikomu z tych tumanów do głowy nawet nie przyszło, ile on jeszcze ma siły. Niemce okazały się jeszcze głupsze od naszych. A on dobrze wie i pamięta, na którym chlebie tak wyrósł i swojej siły i zdrowia nabrał. . .

— Co też mama mówi, dał radę? — zdumiała się Justyna. Obejrzawszy się, czy nikt nie słyszy, Dorota wyjawiała córce plotkę.

— Florka twierdzi, poufnie mi się zwierzyła, że on podobno jeszcze teraz za dziewczynami się ogląda. . .

— Nie do wiary — rzekła Justyna z podziwem i lekkim roztargnieniem. — Boże drogi, tyle tego. . . A jeszcze przecież strych został! Sama pamiętam, że na tym strychu stare rzeczy stały. . .

— I tak, moja droga, już widzę, że wszystkiego zabrać nie damy rady, chociaż w normalnym kraju majątek można by za to dostać. Ale Poldzio prosił, żeby mu jawnego świństwa nie robić. Utrzyma całość, powiada, pod warunkiem, że to będzie zabytek. Muzeum regionalne, tak to nazwał, a różne hieny się na to rzucają. . . No, zresztą, sama z nim pogadaj. . .

Rezultat pogadania był taki, że wywiezione z Błędowa pamiątki zmieściły się do tej jednej karety. Resztę, choćby i z pieczęciami, Poldzio obiecał bezpiecznie przechować do lepszych czasów, boć przecież taka bolszewicka głupota wiecznie trwać nie może. Co bez pieczęci, niech jaśnie panie biorą, byle szumu i hałasu nie robić.

— Myśli mama, że mamy prawo zabrać rzeczy panny Dominiki? — spytała niespokojnie Justyna w chwili pakowania skromnych szczątków mienia. — Nie kradniemy tego?

— Czy masz źle w głowie, moje dziecko? — zgorszyła się Dorota. — Skąd ci w ogóle przychodzi na myśl, że są tu jakieś rzeczy panny Dominiki?

— Pamiętam ją przecież. Gospodarstwa mnie uczyła. Ten sekretarzyk, w jej pokoju to stało, pisała przy nim, robiła rachunki. . .

— No i co z tego, że w jej pokoju, nie przyjechała tu przecież z własnymi meblami, domowe to było, tutejsze. Używała i tyle. Bo co. . . ?

— Bo ja bym go wzięła dla siebie. Prześliczny jest, istne чудо! I wąski dosyć, u ciotki Barbary się zmieści.

— To bierz. Ale czekaj, opróżnić go trzeba, pełno w nim jakichś szpargałów. . .

W tym miejscu córka wykazała więcej rozumu niż matka.

— Ale skąd, właśnie ze wszystkim! Mamo, to takie piękne, te rachunki, te opisy która kura jakie jajko zniosła, te wyliczenia cukru, pieprzu, mięsa, te przepisy na roladę, te recepty na zioła. . .

— Ależ bierz, jeśli chcesz! Szufladki i drzwiczki zamykane, czekaj, kluczyki. . .

— Są tutaj, na jednym kółku. Aż się dziwię, że nie zginęły, ona musiała być niezmiernie porządna! Umarła, zdaje się, jakoś nagle, i niech mama popatrzy, zadbaj, żeby wszystko było na swoim miejscu! Bo jestem pewna, że to ona, najpierw zawiesiła na haczyku kluczyki, a potem położyła się, żeby umrzeć. Może nawet jakąś ostatnią wolę tu gdzieś zostawiła. . .

— Gdzie jej było do ostatniej woli, skoro nikogo nie miała na świecie — westchnęła Dorota. — Pamiętam ją lepiej niż ty, całe życie tu spędziła, sierota bez grosza. Nie miała szczęścia do przodków, trzy pokolenia, o ile wiem, samych utracjuszy i rozpustników, już jej dziadek stracił Błędów, a ojciec roztrwonił resztki i umarł młodo. Matka jeszcze wcześniej. Powinowaci nam byli i dlatego babcia wzięła ją do siebie. . . Co ja mówię, jaka babcia, babcia babci to była, małą dziewczynką wzięła ją do siebie.

W Justynie zaległa się chęć upamiętnienia jakoś panny Dominiki, reliktu przeszłości.

— Tym bardziej biorę całość. Panna Dominika też zabytek. Niech jej rachunki przejdą do historii.

— A proszę cię bardzo, niech przejdą. Skoro są kluczyki, wszystko można zamknąć i niech przejedzie w dwóch częściach, góra i dół. . . Wezmę to biurko dla ojca, nie poznali się na nim. No i oczywiście książki. . .

Tym sposobem uchowane jako tako resztki zawartości błędowskiego dworu ulokowane zostały w trzech miejscach. Trochę w Kośminie, a trochę u Ludwika na Służewie i u Barbary na ulicy Madalińskiego. Zauroczona sekretarzykiem panny Dominiki Justyna znalazła przedwojennego stolarza meblowego, który podjął się renowacji antyku. Rzecz oczywista, przy renowacji należało mebel opróżnić z całej zawartości. . .

Nie pracująca zawodowo, nie cierpiąca z racji opieki Barbary zbyt wielkich braków finansowych, nie zagęszczona mieszkaniowe dzięki przytomności umysłu ciotki, Justyna wiodła życie, niedostępne całej reszcie społeczeństwa. Pięciopokojowe mieszkanie, oficjalnie zamieszkałe przez pięć rodzin, nie stanowiło soli w oku kwaterunku i miało szansę ocaleć w ludowej zawierusze. W porównaniu z ogólną sytuacją krajową jej egzystencja przypominała raj.

Jedno grzeczne dziecko, Pawełek, stanowiło samą roztkliwiającą przyjemność. Anielka, siostra Bolesława, żywa, inteligentna i w najmniejszym stopniu nie rozwydrzona, dostarczała rozrywki. Miała swój pokój, którego część, oddzie-

loną parawanami, zajmował Pawełek, drugi pokój należał do Barbary, w trzecim mieściła się sypialnia Justyny i Bolesława, czwarty, salon, stanowił teren wspólny. Piąty, cichutko i grzecznie, zajmowały dwie przygarnięte po wojnie, kompletnie zramolałe staruszki, nie wiadomo jakim cudem jeszcze trwające na tym świecie. Marcelina, przedwojenna osobista służąca Barbary, mieszkała w służbówce przy kuchni i niczego więcej od życia nie wymagała. Razem wzięwszy, było to istne niebo.

Dla jeszcze większego, zgola już niezmiernego: problem zaopatrzenia nie kulał zbytnio, bo produkty podstawowe przychodziły z Kośmina. To schab kaszanka, to mostek cielęcy, to wołowe na pieczeń, to konfitury na miodzie... Z elementarnej przyzwoitości nie mówiło się o tym wyraźnie, ale pół Kośmina po przodkach należało do Doroty, matki Justyny...

W dodatku w jakiś tajemniczy sposób Justyna stanowiła w rodzinie wyjątkową postać. Przyczynił się do tego nie tylko sugestywny testament prababci Matyldy, ale także Bolesław, który od podróży poślubnej wielbił żonę wręcz bałwochwalczo, zarażając nią otoczenie. Odruchowo i bezwiednie obdarzano ją pełną aprobatą i szacunkiem, nie wnikając w przyczyny. O Helenie rodzina zdążyła zapomnieć, ale pozostało zakodowane we wszystkich przekonanie, że to właśnie Justyna prezentuje mądrość, rozsądek, umiarkowanie i w ogóle wszelkie zalety świata.

Justyna nie miała absolutnie nic przeciwko własnej doskonałości.

Nie pracowała zarobkowo nigdy w życiu i pomysł czegoś takiego nawet jej w głowie nie zaświtał. Do posiadania pieniędzy przywykła od dzieciństwa, wojna i okupacja niczego nie zmieniły. Jaki głód, jakie kartki, co ją obchodziły kartki, skoro z Głuchowa przychodziło wszystko, Błędów też, bez jej wiedzy, dostarczał produktów spożywczych. Wszyscy sąsiedzi w jej eleganckim domu na Koszykowej korzystali z mięsa, masła, miodu, kielbasy i jajek z wiejskich posiadłości, nie pojmowała, że czegokolwiek mogłoby zabraknąć. Karę śmierci za ubój świni uważała za idiotyczny dowcip. Powstanie... Akurat w przeddzień wybuchu powstania Bolesław odwiózł do Głuchowa żonę i dziecko i, chwalić Boga, nie zdążył już wrócić...

Teraz chyba zrobiło się trudniej, ale ciągle jeszcze wszystko było. Jak długo miało być, na jak długo wystarczać, nie zastanawiała się wcale. No owszem, irytowały ją braki w zaopatrzeniu, żadnego wyboru w sklepach i w ogóle co to za sklepy, komórki jakieś, niemal stragany, rozumiała jednak, że po każdej wojnie trudności muszą istnieć i zdecydowana była przeczekać je cierpliwie.

Z błogością w sercu i dreszczem szczęścia na plecach przystąpiła do przeglądu zawartości sekretarzyka panny Dominiki. Sam sekretarzyk udał się do przedwojennego stolarza artystycznego, papiery z niego zaś usłały podłogę w sypialni. Sama w domu, tylko z Pawełkiem, który bawił się na zewnątrz, w straszliwie zarośniętym ogródku, i z Marceliną, która ze śpiewem na ustach zagniała



w kuchni makaron, Justyna zajrzała do zabytkowej makulatury. Uwielbiała takie historyczne szpargały. Uwielbiała w ogóle historię, a szczególnie nie tak dawno minioną epokę, koniec wieku, znany jej doskonale z opowieści rodzinnych, fotografii i wewnątrz starych domów, które aż do wojny niewiele się zmieniały. Wracała jej własna, bardzo wczesna młodość i okres międzywojenny, wojaże po Europie w towarzystwie ciotki i starszej siostry, bale, przyjęcia, rosnąca swoboda obyczajowa i te rozrywki, z których zbyt mało korzystała na przekór Helenie. . .

Przypomniła sobie, że ciotka Barbara miała wtedy trzydzieści cztery lata i wydawała jej się starszą panią. Ona sama teraz ma trzydzieści jeden i czuje się młodą kobietą. Śmieszne. . .

Układała porządnie rozmaite rachunki i notatki gospodarskie panny Dominiki, z rozczuleniem dowiadując się, że szóstego kwietnia 1887 roku pochorowała się indyczka, którą pies gonił, i zesła z jaj, przez co owe jaja trzeba było rozdzielić między siedzące kury, a kłopot z tym, bo już mało kur siedzi, większość kurcząt się wylęła; że dziewiątego maja łaciate proszę, wyrwawszy się z chlewa, pięknie wyrosła i świeżo opieloną marchew spyskało ze szczętem; że ptactwo zapaskudziło prześcieradła, suszące się w sadzie po dużym praniu; że biała kotka okociła się trzema kociętami i wszystkie zostaną dla myszy. . .

Większość rachunków pogrupowana była starannie, zebrana w pliki, ponumerowana i wpisana do zeszytów o twardych oprawkach. Jeden wpis wydał się Justynie osobliwy i zaciekawił ją, bo oburzenie i uraza panny Dominiki kłębiły się w nim między wierszami. Kuzynka Matyllda mianowicie wprowadziła bałagan, niby to sprawdzając, a w rzeczy samej gubiąc rachunki za murarskie i stolarskie roboty przy szafie bibliotecznej, w ścianę wpuszczonej. A jeden cały zeszyt, jeszcze z czasów starszej pani Zawodzkiej, zupełnie zginął i panna Dominika czuje się zmuszona mniemać, że go zabrała kuzynka Matyllda, nie zapisując jego treści, i teraz całkiem już nie wiadomo co w nim było. Pogubione rachunki zaznaczone były i podkreślone w zeszycie, komentarz panny Dominiki zaś widniał na marginesie.

Justyna prababcie Matylldę pamiętała doskonale, ponieważ była to postać barwna. Rozbawił ją teraz ten eksces, tak ciężko raniący pedanterię panny Dominiki. Wdała się następnie w przepisy kulinarne i poznała z detalami całą historię jednego specjalnego sufletu, który szesnaście razy nie chciał się udać i wreszcie za siedemnastym wyszedł. Z uciechą przeczytała nader niezwykłą korespondencję od żydowskiego krawca, protestującego gwałtownie przeciwko obarczaniu go odpowiedzialnością za zmianę kształtów jakiejś pani radczyni, która sama z siebie i bez uprzedzenia ostatnimi czasy bardzo na ciele przybrała. Dowiedziała się jak stosować tran rybi dla poprawy cery. I wreszcie trafiła na cztery grube zeszyty, w których od pierwszego słowa odgadła diariusz panny Dominiki.

Nad tym diariuszem usiadła z ogromnym zainteresowaniem.

Do obowiązków jej należało prowadzenie domu, jako takiego, co uważała za

rzecz naturalną. Ciotka Barbara miała inne zajęcia. Otworzyła kawiarnię z wypiekami własnym, wznosząc pawilon z cegły rozbiórkowej i uzyskując na to wszelkie możliwe zezwolenia i koncesje. Uświadomiony politycznie Bolesław sam był zdumiony osiągnięciami ciotki, bo ustrój dla niej jakby nie istniał, robiła, co chciała. I nikt się jej nie czepiał ani nie stwarzał trudności. Wyjaśniła to chętnie akurat tego dnia, kiedy Justyna rozpoczęła swoją lekturę.

— A ja ci mogę powiedzieć, Sławeczku, dlaczego nie, to żadna tajemnica — rzekła beztrąsko przy rosoli z makaronem, bardziej podobnym do włosów niż do klusek. — Bo to, uważasz, jeszcze przed wojną przychodził tu taki zabiedzony chłopiec, żal mi go było, uczyć się chciał koniecznie, więc mu trochę pomagałam. Jeszcze i kolegów pozwalałam zapraszać, na komunizm mnie nawracali i okropnie to było śmieszne. No i teraz ten chłopiec to jest wielka figura, ci koledzy też, chociaż nie wszyscy przeżyli, za to doszli inni, wojnę u ruskich przesiedzieli, politycy jak z koziego ogona wielka trąba, ale rozum w głowie mają. Łapówki brać potrafią doskonale i, co tylko mi potrzebne, wszystko u nich mogę załatwić. Świat, moi drodzy, na kumoterstwie i na pieniądzech stoi, trzeba tylko wiedzieć komu, ile i kiedy.

Tak Bolesław, jak i Justyna z wielkim uznaniem kiwnęli głowami. Amelka kiwnęła głową nawet kilkakrotnie, ale z westchnieniem.

— Ale to nigdy nie wiadomo, bo dużo się zmienia — ostrzegł jeszcze Bolesław. — Ciocia musi trzymać rękę na pulsie, żeby cioci czymś nie zaskoczyli.

— A ty myślisz, że co ja robię? Oni tak trochę spółkę ze mną mają, więc dobrze pilnują. A i tak, dobrze wiecie, niby mam z czego żyć, ale tego dochodu niewiele, więc właściwie nie dla samej przyjemności pracuję. Chociaż lubię to, owszem. A ty, Justysiu, te papiery po Dominice oglądasz, widziałam, może tam przepisy są jakieś staroświeckie, to daj mi, będziemy robić coś niezwykłego i niech ludzie widzą, jakie to stare było dobre. Niejeden sobie rzewnie wspomni. . .

Rzecz oczywista Barbara nie gotowała własną ręką, nie obsługiwała klientów osobiście, nie wozila do kuchni rozmaitych produktów i nie siedziała za kasą. Do roboty byli inni, ona tylko dała pieniądze i zarządzała, w zasadzie uprawiając w swojej kawiarni stosunki towarzyskie. Dom bardzo chętnie zostawiła Justynie, która panowanie na włościach miała niejako we krwi. Fakt, iż włości ograniczyły się do apartamentu na pierwszym piętrze trzypiętrowej eleganckiej kamienicy z małym ogródkiem, nie przeszkadzał wcale, przeciwnie, był nawet ułatwieniem.

Pozbywszy się rodziny nazajutrz, Justyna wróciła do diariusza panny Dominiki i pogrążyła się w nim bez reszty.

Straszną historię napadu przeczytała z wypiekami na twarzy. Nieudany mariaż z panem Romiszem wzbudził w niej zarazem współczucie i niesmak, potem zaś zaczęła myśleć. Z napadem, nie wiadomo dlaczego, skojarzyły jej się osobliwe poczynania prababci, która beztrąsko pomieszała pannie Dominice rachunki i podwędziła zeszyt swojej babci. . . Zaraz, ale krążyły przecież plotki, że babcia

prababci była córką Napoleona...

Nic jeszcze z tego nie dedukując, Justyna przypomniała sobie nagle o kwestii w niepojęty sposób zaniedbanej od lat, mianowicie o pamiętniku prababci, przeznaczonym jej testamentem, którego do dziś dnia w ogóle na oczy nie widziała. Pamiętnika nie widziała, nie testamentu. Gdzież, u diabła, stryjeczny dziadek Tomasz go schował...? Stryjeczny dziadek czy stryj Ludwik...? Ciotka Hortensja coś chyba mówiła...? Oczywiście, akurat wtedy kiedy wyszło na jaw istnienie kościńskiego Jureczka i pamiętnik prababci wszystkim wyleciał z głowy...

Poderwała się na równe nogi, gotowa natychmiast jechać na Służew, ale zegar właśnie wybił godzinę, nie wybiegła zatem z domu. Lada chwila wszyscy powinni wracać na obiad. Zaraz, czy ona w ogóle zadysponowała ten obiad...? Krokieciki z wczorajszego mięsa z rosółu, to tak, zupka... Co z zupką...?

Powęszyła w kierunku kuchni. Marcelina była niezawodna, cebulowa z żółtym serem i z grzankami, znakomicie. Deser, mówiła chyba o deserze...? Placuszki z jabłek w cieście...

— Marcelino, bardzo przepraszam — powiedziała ze skruchą, wszedłszy do kuchni. — Ja chyba tylko napomknęłam o jabłkach w cieście...? Bo zupę, zdaje się, Marcelina sama dobrała, doskonale, świetny wybór, ale ten deser...?

— A to już przecież ciasto mam rozrobione i jabłka we wiórkach, tak jak pani lubi — odparła Marcelina, zarazem dumna z siebie i zgorszona. — A co do zupy, to zawsze przecież przy pierogach i naleśnikach albo cebulowa, albo pomidorowa. Tom zrobiła cebulową, bo przecier się skończył. A deser, jam nie głucha, pani mówiła.

— Marcelina jest czystym błogosławieństwem. Powiedziałabym wyraźnie, ale pewnie tylko mamrotałam, bo czytam właśnie papiery panny Dominiki... Marcelina znała pannę Dominikę z Błędowa?

Marcelina, niemal wstrząśnięta, odwróciła się od patelni.

— A któż by nie znał?! Toć dzieckiem małym przy niej się uczyłam! Z Błędowa przecież jaśnie pani jeszcze przed wojną mnie wzięła! W dwudziestym dziewiątym roku pannie Dominice się zmarło, a ja wtenczas już owdowiała u jaśnie pani nastalam i cały dom na mnie spoczywał, bo jaśnie pani co i raz to w podróż jechała. Co też w tych papierach panna Dominika pisze? Przepisy miała sekretne, może coś tam z nich zostało? Mazurek królewski na ten przykład, niby każdego wie, ale swoje dodatki w tajemnicy trzymała...?

Tak potężna chciwość i ciekawość zabrzmiała w głosie wiernej sługi, że Justyna niemal się zawstydziła. Po tym siedemnastokrotnym suflecie przepisy kulinarne nieco zlekceważyła i zaniedbała, mazurek królewski umknął jej uwadze. Doceniając Marcelinę, postanowiła natychmiast nadrobić niedopatrzenie.

— Dam Marcelinie do czytania. Panna Dominika porządna była, przepisy są oddzielnie, razem związane, tylko niech Marcelina da sobie spokój z tym sufletem na brzoskwiniach. I tort mocca, to nie na dzisiejsze czasy, kto by jajka ubijał

dwanaście godzin bez przerwy. . .

— Pani sama by mogła — powiedziała surowo Marcelina, rozbawiona propagandą ustrojową, po czym nagle zreflektowała się. — Chociaż nie, w paninym stanie to więcej trzeba w nogach niżli w rękach, jakby deptać, to tak. Ale ubijać, możliwe, że nie. Ja poproszę, poczytam, co po panie Dominice, to jakby czyste złoto.

Klucz we drzwiach zazgrzytał, wracała Barbara. Nim dowołano się Pawełka z ogrodu, Justyna zdążyła spełnić obietnicę, cały plik papierów rozmaitego formatu wręczyła Marcelinie. Zakodowała sobie w pamięci, żeby nazajutrz wydać ściśle dyspozycje, bo lektura, jak widać, może ją nieco ogłuszyć. Po czym, po obiedzie, zaproponowała mężowi wizytę u rodziny.

Ludwik, Hortensja i Darek oficjalnie zajmowali we własnym domu trzy pokoje wyłącznie dzięki temu, że Ludwik wplątał się w wyścigi i prowadził coś w rodzaju biura genealogii koni, miał zatem prawo do oddzielnego pokoju do pracy, jakby biura czy archiwum. Dorota z Tadeuszem zajmowali dwa, symulując rozpad pożycia małżeńskiego. Gieni teoretycznie przysługiwał jeden. Nad dalszą częścią domu, na piętrze, dach się szczęśliwie zawalił, zrujnował wszystko, pomieszczenia nie nadawały się do użytku w sposób rażący, reszta zaś, zawierająca w sobie przed wojną jeszcze siedem komnat, całkowicie legła w gruzach, nie dokwaterowano im więc nikogo. Przed dzikimi lokatorami Hortensja potrafiła się obronić, zdewastowana willa wciąż zatem należała do rodziny. Justyna wystąpiła energicznie.

— Stryju, ten pamiętnik prababci. Stryj mówił, że został uratowany. Może ja go wreszcie dostanę i przeczytam? Stryjenka sama mówiła, że ostatnia wola, to rzecz święta. . .

Ludwik zakłopotał się okropnie.

— Zgadza się, moje dziecko, on jest, to znaczy powinien być, zabrał go mój ojciec, twój stryjeczny dziadek. . .

— I to jeszcze całkiem przed wojną zabrał — mruknęła Hortensja bardzo głośno — żeby go przypadkiem kto nie przeczytał.

— No i on jest w sejfie. Tu, w tym domu. Cały czas tam leży.

— To dlaczego stryj mi go nie daje? Ludwik zakłopotał się jeszcze bardziej.

— Bo ja go, powiem ci prawdę, moje dziecko, nie umiem otworzyć. . .

— A on się nieco nie rozleciał? — spytał podejrzliwie Bolesław, śmiertelnie zaskoczony nagle ujawnioną kwestią.

— No właśnie. Może trochę. To znaczy nie, nie rozleciał, ale chyba się zaciął. Nic nie mówiłem, wiecie, ciągle coś przeszkadzało, jakoś mi jakby. . . nieprzyjemnie. Nie wiem, co tam jeszcze jest. . .

— Od roku, bo o wojnie nie mówię, stryj nie może otworzyć sejfu po ojcu. . . ?!

— No nie mogę — zdenerwował się Ludwik. — O koniach tam nic nie ma, tego jestem pewien, a co do reszty. . . No, pamiętnik babci. . .

— Boże jedyny — powiedziała ze zgrozą Justyna — a ja myślałam, że to moje zaniedbanie i miałam wyrzuty sumienia! Przecież to już... zaraz, ile...? Od testamentu licząc, prawie dwanaście lat! Chyba czas już najwyższy wolę prababci wypełnić?!

Ludwik zaprezentował przygnębienie ostateczne.

— Masz, dziecko, rację absolutną. Tak, powinienem był tego dopilnować. Ten sejf należy otworzyć, ale nie wiem jak. Ślusarza zwyczajnego sprowadzić czy może takich ze świdrem albo z tym, jak mu tam, płomieniem tlenowym...?

— Acetylen może spalić zawartość — bąknął ogłuszony problemem Bolesław.

— No to ślusarza. Albo po prostu włamywacza. Może ktoś z was zna jakiegoś przedwojennego włamywacza?

— Powojenny włamywacz się nie nada...?

— A ktoś zna powojennego...?

Na długą chwilę w rodzinie zapanowała konsternacja. Sprawa wydawała się nie do rozwikłania bez udziału przestępcy.

— Trzeba znaleźć jakiegoś fachowca! — zażądała Justyna gwałtownie. — Wszyscy przecież chyba nie wymarli, ta wojna nie uwzięła się specjalnie na ślusarzy! A ja chciałabym ten pamiętnik wreszcie dostać i niech on już u mnie będzie, bo to i tak istny cud, że do tej pory ocalał!

— Kowala to owszem, mógłbym sprowadzić — wymamrotał Ludwik — ale ślusarza nie bardzo. Chociaż może...

Bolesław otrząsnął się z zaskoczenia i przypomniał sobie, że ma do czynienia z kolejowym personelem technicznym. Pośrednio bo pośrednio, ale zna przecież tych ludzi jeszcze z czasów wojny. Niewątpliwie kogoś odpowiedniego uda mu się znaleźć.

Obiecał podjąć starania i w uczuciach rodziny nastąpiło ukojenie. Kwestia sejfu właściwie zaskoczyła wszystkich, nikt bowiem nie pamiętał o jego istnieniu. Używał go Tomasz przed wojną, Ludwik do niego prawie nie zaglądał i wątpliwe było, czy niedostępne wnętrze zawiera w sobie coś cennego. Zapewne przedwojenne akcje spółki handlu drewnem, które nieprzyjemnie było nawet wspominać. Ponadto sejf nie rzucał się w oczy, zasłonięty dużym i nieco zamglonym ze starości lustrem.

— Przy okazji można by to lustro odnowić albo całkiem wymienić, bo już nic w nim nie widać — ożywiła się Hortensja.

— Wymienić nie — zaprotestowała Dorota. — Odnowić. Takiego kryształowego szkła teraz przecież nigdzie nie dostaniesz, wszystko ta wojna wytłukła. I tak się dziwię, że wam tu tyle ocalało...

— Jakbyś nie wiedziała dlaczego. Toż w lutym tu już byłam, zaraz za ruską armią...!

Justyna przypomniała sobie. Rzeczywiście, koniec wojny wszyscy przetrzymali w Głuchowie i Hortensja pierwsza, niecierpliwa i rozplamiona, ruszyła

do zrujnowanej Warszawy bronić domu. Wzięła ze sobą oręż w postaci wielkiego tasaka do mięsa. Chyba tylko dzięki niej ten sejf po dziadku ocalał. . .

Akcja otwierania żelaznego torobajdła, wmurowanego w ścianę, odbyła się już po dwóch dniach, bo ślusarzy Bolesław znalazł bez trudu, i zajęła całe popołudnie i wieczór, znów gromadząc wokół stołu Hortensji wszystkich członków rodziny. Jak przedtem o sejfie w ogóle nie pamiętano, tak teraz obudził nagle powszechne zainteresowanie. W dodatku wszyscy byli ciekawi, jak też to będzie wyglądało technicznie, mogło bowiem naprawdę przypominać czynności postaci tak egzotycznej jak prawdziwy włamywacz.

Ślusarzy przyszło dwóch, za ich uczciwość Bolesław gwarantował i Hortensja prawie pozbyła się obaw. Przy stole w pierwszej chwili zasiadło dziewięć osób, w ostatniej pozostała jedna, ponieważ sejf znajdował się w dawnym gabinecie i z jadalni nie było go widać. Wszyscy z wyjątkiem Tadeusza, ojca Justyny, popędzili oglądać operację, gniotąc się nieco w obecnym rzekomym biurze Ludwika i przeszkadzając rzemieślnikom.

Nie poszło im jak po maśle, bo coś tam istotnie okazało się zwichrowane. Przyjrząwszy się budynkowi od zewnątrz, obaj zgodnie stwierdzili, że zawinił ten rykoszet, który tu trafił, a musiał to być tylko rykoszet. Pocisk wprost wywaliłby całą ścianę razem z sejfem, tak jak tam obok, a przez rykoszet zaledwie drgnęło, że jednak takie sejfy robione były precyzyjnie, to i drgnięcie zaszkoziło. No nic, może się uda. W najgorszym razie wytnie się palnikiem ten kawałek dookoła zamka. . .

Zacięci ambicjonalnie rzemieślnicy w pocie czoła dłubali w mechanizmach, a osiem osób gapiło się im na ręce. Wreszcie, dumni z siebie, dokonali dzieła. Sejf stanął otworem.

Z okrzykiem radości Justyna rzuciła się na wielkie, żelazne pudło, wciąż jeszcze woniejące odrobinę kiszoną kapustą.

Było tak ciężkie, że nie zdołała wyciągnąć go sama, płec męska pośpieszyła jej z pomocą. Rezultat zbiorowej gorliwości był taki, że wymknęło się z chwytających je rąk i runęło na nogi, cudem istnym niczego nikomu nie łamiąc. Runąwszy, otworzyło się samodzielnie i ukazało swoje wnętrze, a mianowicie owo srebrne puzdro, wymienione w testamencie Matyldy. Srebrny kluczyk leżał obok, nie zginął, pamiętnik prababci, gruba księga w czerwony safian oprawna, znajdował się na swoim miejscu.

Srebro i księga bez opakowania wierzchniego były już możliwe do udźwignięcia.

Justyna zajęła się swoim spadkiem, Hortensja w zadumie obejrzała i obmacała leżące na ziemi żelazo.

— Gdybym kisiła kapustę, byłoby jak znalazł — rzekła z żalem. — Najlepsza

kapusta była z tej beczki, którą to dociskało. Czy ja wiem, może jeszcze ukiszę...?

— Przecież nawet szatkownicy nie masz — zwróciła jej uwagę Barbara. — A szkoda, bigos bym wprowadziła u siebie.

— Bigos w kawiarni...? — zdziwił się Ludwik i zajrzał do wnętrza otwartego wreszcie sejfu. — O, coś tu jeszcze jest...

No i było. Bezwartościowe akcje drzewne, bezwartościowa przedwojenna gotówka w postaci banknotów, nie tak już całkiem bezwartościowe dwie talie kart Piatnika w fabrycznym opakowaniu, trzy tajemnicze kluczyki na jednym kółku i raczej dość wartościowa paczka walut obcych, acz wzbronionych ustrojem, to jednak doskonale chodliwych.

— O, masz ci los... — zakłopotał się znów Ludwik, biorąc do ręki plik studolarówek.

Hortensja porzuciła już dociskacz do kapusty i stała obok męża. Obejrzała się teraz szybko i z niepokojem na resztę obecnych.

W gabinecie została już tylko część rodziny. Dumnych z siebie ślusarzy Bolesław zdążył zabrać do jadalni, gdzie od razu przystąpili do czczenia sukcesu, Anielka i Darek podążyli za Justyną. Przed Barbarą i Dorotą nie trzeba było zakazanego mienia ukrywać.

— I tyś nie zaglądał do sejfu, bo nic tam miało nie być — powiedziała Dorota, kiwając głową z politowaniem.

— I ja o tym nic nie wiedziałam! — wyrwało się Hortensji.

— Zostaw to, nie wyjmuj, obcy ludzie w domu!

— Przecież i tak otwarte.

— No to wyjmij, a ja schowam...

— Nie chcę być drobiazgową — wtrąciła się nieco kąśliwie Barbara — ale czyje to jest właściwie? Nie po naszym ojcu przypadkiem zostało?

Ludwik zawahał się z plikiem w ręku i popatrzył na siostrę.

— Czy ja wiem... Chyba po ojcu...? To co...?

— To podzielić musicie między siebie i nikt inny pretensji wnosić nie będzie — zawyrokowała Dorota z wielką godnością. — Należy wam się. W waszym domu mieszkamy i na karku wam siedzimy...

— Nie wygłupiaj się! — zirytowała się Barbara. — Wielkie mi znowu siedzenie! A jakby tak obcy ludzie siedzieli, to byłoby lepiej?

— Nie, ale zawsze...

Hortensja otworzyła usta, zamknęła, po raz tysięczny pomyślała, że Barbara ma rację, bo nikt jak człowiek i po swojemu po tej okropnej wojnie mieszkać nie zdoła, i otworzyła je ponownie.

— O siedzeniu to już nawet nie mówcie — rzekła stanowczo, chociaż w pierwszej chwili miała ochotę powiedzieć zupełnie co innego. — Wszyscy z siebie wzajemnie korzystamy i niech będzie, bo od tego jest rodzina. A to, Dorota ma rację,

podziemny i jakby co, każdemu się przyda. Tylko schować trzeba i nikomu nie mówić, bo nie dość, że nam odbiorą, ale jeszcze może na Sybir pognają. . .

— To włóż „na razie do szuflady — poradziła Ludwikowi od razu ułagodzona Barbara — i nie trzymaj tak w rękę, jakbyś sztandarem machał. Wieczorem. . . no, już jest wieczór. . . Ale jak ludzie pójdą, spokojnie sobie nad tym posiedzimy.

Hortensja ponownie zajrzała do sejfu.

— Zaraz, a to? — spytała, biorąc do ręki kluczyki. — Od czego te klucze?

Barbara i Ludwik spojrzeli i pokręcili głowami. Barbara się zastanowiła.

— Przy testamencie babci. . . Czekajcie, tak mi chodzi po głowie. . . Czy one jakoś tak nie leżały. . . Nie, nie wiem. Wrażenie mam i tyle.

— No to co z tym zrobić? Nie wyrzucimy chyba? Dziwne one jakieś. I wcale nie stare.

Ludwik wzruszył ramionami.

— Pewno od czegoś, co już nie istnieje. . .

— No dobrze — powiedziała równocześnie Barbara. — Mogę je zabrać i pieczołowicie przechować. Może to pamiątka. Justynka lubi historyczne pamiątki, wezmę dla niej.

— To weź. . .

Barbara wzięła. Obejrzała. Trzy klucze dosyć długie, chociaż każdy nieco innego rozmiaru. I kółko jakieś dziwne, lite, niemożliwe do otwarcia, jakby zespolone. . . czy zespawane. . . czterolistną koniczynką. Całe szerniałe, możliwe, że srebrne. . .

Amelka zajrzała do gabinetu, popatrzyła jej na ręce, zaciekawiała się znaleziskiem średnio. Jej ciekawość w pełni zaspokoił komunikat, że coś takiego było w sejfie.

Zważywszy, iż chęć spokojnego posiedzenia zgłosiła także Justyna, dziko spragniona pamiętnika prababci, rodzina rozproszyła się dość szybko i każdy przystąpił do upragnionych zajęć. Ludwik i Barbara zajęli się podziałem spadku po ojcu, Hortensja popadła w zadumę nad żelaznym pudłem, Justyna niecierpliwie pośpieszyła do domu, zostawiając mężowi wyrażanie wdzięczności dla utalentowanych ślusarzy. Amelka z Darkiem dotrzykali mu towarzystwa. . .

Od samego początku, od pierwszej strony owej grubej księgi, nieszczęsna prawnuczka ujrzała trudności, jakie postawiła przed nią prababcia. Przestała czynić sobie wyrzuty, że zaniedbała sprawę wcześniej i dotychczas nie odpracowała lektury. Marcysia znalazła zaginiony dokument w kiszzonej kapuście, i co z tego, był jej ślub, wesele, podróż poślubna, dziecko, wojna. . . Jakim cudem w takich warunkach mogłaby czytać coś podobnego. . . ?

Diariusz panny Dominiki pisany był porządnie, pięknym, wyraźnym pismem, czarnym atramentem, z właściwymi odstępami, słowa same wpadały w oko. Pa-



miętnik prababci natomiast...

Nie dość, że pismo było okropne, zgoła nieczytelne, prababcia bazgrała jak kura pazurem, to jeszcze upodobała sobie jakąś idiotyczną zieloną ciecz, nie służącą nawet na miano atramentu, która to ciecz wypłowiwała i wyblakła kompletnie. Razem przypominało to dziki płas pijanej muchy, wydobytej z rozwodnionej akwareli. Pamiętnika prababci w ogóle nie dawało się czytać, trzeba było odgadywać go, odszyfrowywać niczym hieroglify egipskie. W żadnym razie nie miałyby wtedy do niego cierpliwości!

Może by zabrakło jej cierpliwości i teraz, gdyby nie doping ze strony panny Dominiki. Kawalek po kawałku wyłaziło z jej diariusza coś wysoce interesującego, napad na dwór stanowił wprawdzie szczytowy punkt programu, ale już i przed nim panna Dominika napomykała o nader tajemniczych konszachtach wnuczki z babką, na łożu śmierci leżącą.

*...jako to zawsze śmiertelnie chora osoba coś tam w sobie przemienia, ku zbawieniu wiecznemu patrząc, tak i moja dobrodziejka cicha i łagodna się uczyniła i kuzynkę Matyldę pokochała strasznie. Może przez to, że wcześniej tylko prychała na nią i raz jeno kuzynostwo byli z wizytą po ślubie, a i to krótko. A teraz nikogo nie chce, jedna wnusia dobra, całymi dniami u łóżka siedzi i nawet sługa żadna ani kuzyn Mateusz, ani ja, nikt nie ma wstępu. Co sprawiło, że, przebac mi Boże, całe wiśnie zdążyło się przerobić bez nijakiego zmarnowania i szparagami dopatrzyć, a nawet zimowych rzeczy od moli dopilnowałam...*

*...nie do pojęcia, rzecz okropna i ażem ścierpła w sobie, mniemając, że ducha widzę, bo żeby sama jaśnie pani, przy jednej tylko pomocy, z łoża się podniosła i po domu nocą chodziła, to nie do pojęcia. Kuzynka Matylda ją prowadziła, a z biblioteki szły i łaska boska, że mnie tknęło i zeszałam, bo do położenia jej nazad i czterech rąk było mało. Jak za dawnych dobrych czasów na mnie prychnęła i — jeszcze żyję — powiada — a póki żyję, robić będę, co mi się podoba. Cóż to, książek mi wzbronisz? — Tak się na mnie rozgniewała. Nijakich książek nie miały, ale to prawda, że dobrodziejka wiecznie w tych książkach siedziała, a im starsza, tym więcej...*

*...szepotała jej do ucha, ręką mnie odganiając, a kuzynka Matylda owe papiery jej pokazywała, jakoby listy stare, i tylem usłyszała, żeby spalić. Woalem się nie zdziwiła, bo to każdy całe życie pamiątki młodości trzyma, a potem do grobu każe kłaść albo na spalenie idą...*

Wszystkie tego rodzaju uwagi panny Dominiki, czynione jakby na marginesie domowych wydarzeń, wyraźnie wskazywały, że w ostatnich chwilach życia babcia prababci powierzała wnuczce jakieś sekrety. Znacznie później i, być może,

pod wpływem skażenia zawodowego pana Romisza, pojawiły się wzmianki o reliktach napoleońskich. Kto wie, czy istotnie jaśnie pani nie była cesarską córką, i kto wie, czy jakieś skarby po tatusiu gdzieś tu nie zaginęły? Nie darmo złoczyńcy się pchali, zaś pomocnik kowala głupoty po pijanemu wygadywał, a że do skarbów nie umiał trafić to nic dziwnego, boć tajemnicze roboty, po których ślad nawet żaden nie został, wiele lat wcześniej były czynione. I najpewniej wcale nie pomocnik osobiście, pan Romisz tak odgadł, za młody był ów pomocnik, tylko dawny kowal, któremu coś się może na starość wyrwało. . .

Ech, ten pan Romisz, osobista klęska panny Dominiki. . . ! Justyna pożałowała jej szczerze. Poza wszystkim, urodą od młodości musiała nie grzeszyć, bo nawet rządca na nią nie polecał, a w końcu niejedna piękna dziewczyna, mimo ubóstwa, wychodziła za mąż. Ciekawe też, dlaczego babcia prababci ledwie sto rubli zapisała zaufanej damie do towarzystwa, gospodyni, klucznicy, czy jak ją tam nazwać, w dodatku dalekiej krewnej. . . Gdyby więcej, byłby to przecież jakiś posąg?

Coraz potężniej zaintrygowana historycznymi zagadkami Justyna zastanowiła się, czyby pamiętnika prababci po prostu nie przepisać. Przepisywany tekst bada się wnikliwiej. Dobre światło, szkło powiększające. . . Zanim jej się drugie dziecko urodzi, ma jeszcze trochę czasu, może zdąży uporządkować bodaj fragmenty tekstu.

Odsunęła na bok resztę twórczości panny Dominiki i usiadła do roboty.

Córeczce, która urodziła się wczesną jesienią, dano na imię Maria Serafina. Do Serafiny przez całe późniejsze życie usiłowała się nie przyznawać, Marię zaś od razu przerobiono na Marynkę, z której wyszła Maryna. Posturę od niemowlęctwa miała imponującą i ta Maryna doskonale do niej pasowała.

Pawełek poszedł do szkoły, od czego nikomu czasu nie przybyło, bo należało go odprowadzać i przyprowadzać, przynajmniej przez ten pierwszy rok. Nie była to daleka droga, ale dwa razy musiał przechodzić przez ulicę, co wykluczało samotne spacerowanie siedmioletniego dziecka. Przyzwyczajona do służby rodzina sensowną pomocą nie służyła, wszak Dorota w swoich młodych latach nie wychodziła na ulicę inaczej jak z lokajem, a co najmniej z pokojówką. Powojennie samodzielna Anielka chodziła już do gimnazjum, ale gdzie indziej i w innych godzinach, Barbara całkowicie odpadała, zajęta swoimi towarzyskimi interesami, a na Marcelinę nie można było zwać wszystkiego, no owszem, rano szła po zakupy i przy okazji podrzucała Pawełka, ale odbierać go musiała Justyna osobiście. Wykorzystywała ten przymus na spacer z dzieckiem.

Nie były to jeszcze żadne wielkie udręki. W porównaniu z kobietami pracującymi zawodowo wiodła egzystencję zgoła królewską, szczególnie że karmiła dziecko własną piersią i użeranie się z krupkowatym mlekiem w proszku nie ztruwało jej życia. Ale pralki elektryczne nie zdążyły się jeszcze w zrujnowanym

kraju załęgnać, w przeciwieństwie do ogonów po najprostsze zakupy, i aczkolwiek Kośmin dostarczał jednych produktów, Barbara zaś drugich, to jednak życie codzienne potykało się o kłopoty na każdym kroku, a pieniędzy zaczynało brakować.

Justyna, mimo koniecznych oszczędności, uparcie starała się trzymać dom na wysokim poziomie, pamiętnik Matyldy zatem mocno kulał.

W szesnastym roku życia rozpoczęty, od razu rozkwitł bujnie, prababcia bowiem wcześniej weszła w świat i wielkie powodzenie stało się jej udziałem. Upojny kulig opisany został na samym wstępie, ze szczególnym uwzględnieniem futerek przy salopce, bucików na zmianę, falban i wstążek przy sukni, loków, co się na mrozie i wietrze przygnębiająco rozkręciły, i, rzecz oczywista, późniejszego mazura, którym się skromny balik rozpoczął. Jakiś pan Anzelm już wcześniej tego mazura zamówił i w trzecią parę stanęli, chociaż panna Salomea niekontenta była, boć starsza i już trzecią zimę baluje, a tu ją, Matyldę, taki honor spotkał. . .

Dość długo Justyna nie mogła się doczytać, gdzie też się ten bal po kuligu odbywał, aż wreszcie odcyfrowała nazwy miejscowości. Na drugi dzień z Borków do Kręglewa wrócili, no tak, prababcia była przecież Kręglewska z domu, czy te Borki przypadkiem nie należały do pradziadka. . . ? Nie, pradziadek miał Głuchów. . .

Przebrnąwszy przez kulig, Justyna już chciała ominąć dalsze szczegóły odzieżowe, ale zdjął ją żal. Ten upiorny zielony atrament mógł wyblaknąć jeszcze bardziej, cały tekst stałby się do reszty nieczytelny i przeurocze drobiazgi ze środka wieku przepadłyby w niepamięci. Szkoda ich. No, co tam, niech będzie, nikt jej przecież nie goni!

W ten sposób nie tylko zadecydowała o całym swoim życiu, ale też własnej wnuczce dostarczyła wiedzy praktycznej. Rychło bowiem w gorseciki, koronki, wachlarze i dworskie salony wplątały się sprawy wielce dramatyczne.

*. . . Zosieńka, przyjaciółka moja najlepsza, biedna, najbiedniejsza — pisała prababcia — już sama myślałam, że z panem Wacławem szczęśliwy finał będzie, a tu o taką rzecz wstrętną wszystko się rozbija! Rodzice zgody nie dają, chyba że cały klucz łętowski na nią się przepisze, bo z nędzarką pan Przeclawski żenić się nie będzie. Nędzarką, moją Zosię nędzarką zwać przy jej pół sta posagu, we łzach mi to rzekła, co od służby usłyszała, boć jej Petronela z ich lokajem jest zmówiona, on zaś podsłuchał, jak pana Wacława judzili. Jeszczem wiary nie dawała, ona też w nadziei trwała, że przecież pan Wacław dla paru folwarków serca nie odmieni, aż tu, samom widziała, zimny przybył niczym lodowa góra, co podobnie na morzach je widują i chłód od nich straszny wieje. Wiał i od niego. Oczy od Zosi obracał w inną stronę, samych ich zostawiłam specjalnie i cóż wyszło z tego? Jakoby obcy i sztywny, pień całkiem, zaraz się pożegnał, o wyjeździe bredząc, i Zosię*

*jakby półżywą zostawił. O! Co za szczęście, że po babci schedą cała ma być dla mnie i nikt mnie nędzarką nie nazwie!*

*A oto widzę, że więcej szczęścia Petronela zazna i w niskich warstwach nie pieniądź rządzi, jeno uczucie...*

Ładne parę tygodni minęło, nim Justyna stwierdziła, iż szczęście Petroneli również okazało się problematyczne, bo lokaj pana Wacława przeniósł swoje afekta na jakąś Teodorę, pannę służącą starościny Mszczonowskiej, która uprzemie zmarła i, nie lubiąc swojego siostrzeńca, jedyne krewne, w testamencie ogromne legaty przeznaczyła służbie, żeby mu na złość zrobić. Oważ Teodora cały tysiąc rubli otrzymała, po czym natychmiast Petronela poszła w ką, a wielką miłość połączyła Teodorę z lokajem.

Nowe łyzy popłynęły, z czego Matylda, jednostka niewątpliwie inteligentna, wyciągnęła własne wnioski.

*... a tak myślę, żeby majątek ukryć. Perłę z diamentowym zapięciem nie włożę, wisiorek tylko jeden z małym szmaragdem, co nawet lepiej pasuje do seledynowej sukni z zielonym przybraniem i gałązką serpentynową w dole przy samej falbanie. Choćby mi na kolanach przysięgał, już nie uwierzę, że mnie kocha, a nie mój posag. I na cóż mi ten posag? Na to chyba, żeby nie wiedzieć, czyli jakie uczucia sama w kim budzę.*

*Honorata szczęśliwa jedna, nic nie mając wcale, boć kto mógł wiedzieć, że ją matka moja tak wyposaży, choć jest mi młeczną siostrą, ale mamka moja, a jej matka dawno nie żyje i na łaskawym chlebie u nas była, a gajowy ją pokochał i bez niczego chciał brać za żonę. Tom przecie dobrze w lesie widziała, jak się ku sobie skłaniali, i aż splotęłam cała natenczas, w oczach mi się zmąciło przed Zaduszkami jeszcze. Spytałam ją, wyparła się, alem widziała, że prawdy nie mówi, tyle że parę miesięcy temu dzieckiem prawie byłam i jeno dziwowałam się, nic nie pojmując. A potem ta awantura straszna od babci, co wachlarz z rubinem w rączce zaginaj, pamiątkowy, a komuś wypożyczony, chyba ciotce Klementynie, co go w końcu moja matka odnalazła, ale wśród okropnych niesnasek. Całkiem mi wszystko inne z głowy wyleciało, bom wszak ów wachlarz raz jeden widziała. Jakoby ogień płonął... A skryte wszystko było przede mną, jak to przed dzieckiem, i do tej pory nie wiem, o co rzecz szła, ale babcia wreszcie wachlarz zabrała i spokój nastął, a zaraz potem na pierwszy bal mi pozwolono. Przeto dopiero teraz wiem o Honoracie i gajowym. Do ołtarza poszli i wtenczas właśnie na jaw wyszło, iż moja matka ją wyposażyła, do nóg jej padli, ze szczęścia płacząc, ale przez to wiadomo, że dla samej ją wziął, a nie dla majątności. Też bym tak chciała*

*i tak myślę, jak by tu ubogą dziewczeczkę symulować. . .*

Ukrycie pereł z diamentowym zapięciem nie bardzo pomogło, bo kolejny wielbiciel, jakiś pan Florian, od samego początku wydał się głupio, iż w stanie majątkowym młodej damy jest doskonale zorientowany. Matyldzie nie podobał się wcale, ostro skrytykowała jego cienki nos, blisko siebie osadzone oczy i nawet pozwoliła sobie na wysoce nieprzyzwoitą uwagę o jego nogach. Mianowicie, jej zdaniem, były krzywe. Nie chciała męża z krzywymi nogami z przyczyn niedokładnie wyjaśnionych.

Z wysiłkiem odczytawszy informacje o trzech sukniach balowych, jednej amazonce i kapelusiku z woalem, jednej tragedii w postaci pryszczka na samym środku czoła, jednej kłęsce na balu, kiedy to Matyldzie odłamał się obcasik, początkach nowego romansu Petroneli z nowym stajennym, Justyna dotarła do pierwszego komunikatu o własnym pradziadku.

*. . . jak pan Mateusz tego mazura zatańczył! W powietrzu płynęłam, a oczy mu lśniły niczym latarnie. Pierwszym raz go ujrzała, a nie wiem, kim jest, bo mówiono, że dopiero co z jakichś wojaży wrócił. Nie chciałam zbyt patrzeć na niego, żeby sobie w głowie nie zawrócił, ale same oczy mi się obracały ku niemu. Energetyczny się bardzo wydaje. Czyli też i on również posażnej panny szuka? Jeśli tak, gorzko się na mnie zawiedzie! . . .*

Nader mętnie prababcia wyjaśniała dalej, jakim to sposobem zamierza przed panem Mateuszem symulować ubóstwo. Zaczynał już występować niemal na każdej stronie, budząc uczucia kontrowersyjne, to był miły, to okropny, to pozwalał sobą pomiatać, to znów sam pomiatać usiłował, to czekało się na niego w napięciu, to nie chciało się go więcej widzieć na oczy. Zalążki późniejszych kłótni pojawiły się już w pierwszych chwilach znajomości, a otumaniony uczuciami Mateusz najwyraźniej w świecie został zręcznie oszukany. Mimo wszystko uwierzył w uległość panienki.

Gdzieś po trzech latach udruk optycznych Justyna, przebrnąwszy przez oświadczyń, rekuzy, burzliwe zrywania, pojednania i czułe uściski, oficjalne narzeczeństwo i całą wyprawę, osiągnęła wreszcie ślub pradziadków. Sama wyprawa zajęła jej blisko pół roku, bo do nieczytelnych bazgrołów traciła cierpliwość i dawała sobie niekiedy dłuższy urlop, chociaż te wszystkie tasiemki, monogramy, peniuary, kokardy, powleczenia na pościel, ścierki i ręczniki, klejnoty od narzeczonego, od tatusia, od babci, od ciotki Klementyny i od ojca chrzestnego, te srebra i kryształ, te faramuski rozmaite, rękawiczki, wachlarze, pudzeczka i parasolki, te posażki, zegary i umbrellci, stanowiły spis rzeczy wręcz upojnie piękny.

Część owych rzeczy uchowała się jeszcze i przybyła z Błędowa, część Justyna sama pamiętała, a resztę doskonale umiała sobie wyobrazić.

Nim ślub zawarto, na scenę wyszła intercyza. I cóż się okazało, wbrew obyczajom i wszelkiej przyzwoitości, wbrew obowiązkowej głupocie i skromności dobrze wychowanych panienek, prababcia osobiście wtrąciła się do sprawy. To z jej inicjatywy tatuś wraz z przyjacielem-Żydem, uzdolnionym notariuszem, wysmażyli dokument przeciwko Mateuszowi. Rzecz jasna, młoda dama nie wystąpiła jawnie i z hukiem, podpuściła tatusia cichutko i podstępnie, ale twardo. Nie popuściła, bo wciąż chciała być kochana dla siebie samej, a nie dla posagu.

Dziwiła się nawet w pamiętniku, że narzeczony tak uległ na wszystko się zgadza, suponując delikatnie, że chyba jest głupi. Nie była to wada odstręczająca.

*... to już nie wiem, bo wszystkie, a to i ciotka, i baronowa, i Klaryssa, i pani Waldecka, i różne inne osoby, powiadają, że głupi mąż to doskonała rzecz, byle żona rozumna i już dookoła palca można go sobie owinąć. A tylko jedna pani Jaworska przeczy i mówi, że głupi mąż to straszne nieszczęście, aleć tak mniemam, że idzie jej o ten cały majątek, co go już całkiem prawie stracił. Otóż i z tej przyczyny ową intercyzę tak chcę mieć uczynioną, by nie mógł stracić tego co moje. Bożeż mój, intercyza, rok temu jeszcze tego słowa wcale nie znała!*

*Albo i to możliwe, że mnie istotnie kocha. Zosieńka moja, prawdziwy anioł, tak mówi. Nie zazdrości mi nawet, choć ciągle jeszcze nieco zgnębiona chodzi, ale widzę, że moim szczęściem się cieszy, a może to być, że pan Henryk w grę wchodzi. Jakoś wtedy bywa, kiedy i Zosia przyjeżdża, a chociaż serce ma złamane, nie pokazuje wstrętu do niego. I powiada, że pan Mateusz świata za mną nie widzi, a słyszała, że za dziwo go mają, bo żadnych długów nie narobił, majątek po ojcu jeszcze pomnożył i żenić się może, z kim zechce. Dla panny, a nie dla posagu. To może być prawda, bo choćby nic nie mówił, oczy mu się do mnie strasznie świecą i wcale mi to nie jest niemiłe...*

Myśl, że pobłażliwie zostawiając żonie do dyspozycji posagowe mienie, zarazem tracił praktyczną władzę nad nią, jakoś Mateuszowi nie zaświtała i ślub nastąpił ku powszechnemu zadowoleniu.

Po czym prababcia uczyniła przerwę dwumiesięczną, najwidoczniej zajęta urokami stanu małżeńskiego tak silnie, że na kontynuację memuarów ani czasu, ani chęci nie miała. Podjęła pracę pisarską w tydzień po powrocie z podróży poślubnej i zwierzenia natury dość intymnej runęły górkim potokiem. Z ogromnym zainteresowaniem i nawet lekkim zdziwieniem Justyna stwierdziła, iż dziewiętnastowieczne damy wcale nie były tak powściągliwe, jak wynikało ze współczesnych im utworów. Bez wątpienia w publikacjach przyzwoitość nakazywała

ukrywać, co tylko się dało.

*... i jak pomyślę, że pan Florian z tymi swoimi nogami mógł tak do mnie przystąpić, aż mnie dreszcz obrzydzenia przechodzi. Co to za szczęście, że Mateusza wybrała! Choć wcale nie wiedziałam, jaki jest piękny, a jest, tym włoskim posągom równy, on zaś powiada, że jest piękniejsza od nich i same przezroczystości muszą mieć na sobie w onych chwilach. Oczy mrużę, żeby w lustro nie patrzeć, bywa, że płonę cała, a on robi, co chce, choć mu nie zaraz na wszystko pozwoliłam, tylko stopniowo. Dech mi zapiera, kiedy w dzień wspominam, co też czynił nocą...*

*... przerażająca rzecz z tą Zenią, dziś dopiero się dowiedziała! Za pana Fularskiego ma iść, toż to okropność! Wizytę nam oddała sama z panią Lipowiczową, bo wujaszek już się prawie z fotela nie rusza, a między krewnymi, choćby i dalszymi, formy nie tak ważne, no i udało mi się wziąć ją na stronę, kiedy Mateusz panią Lipowiczową włoskimi kotami zabawiał, a jej te wizerunki niezmiernie się podobały, bo koty lubi. I tu mi Zenia wyznała ze łzami w oczach, że ojciec ją przymusza do tego mariażu dla siebie samego, na nią wcale nie bacząc. Pana Fularskiego nie kocha, nawet się nim trochę brzydzi...! Trochę...! Mowę mi prawie w tym miejscu odjęło! Aleć z jej ojcem tak się zgadzają, że mieszkać będą razem, a pan Fularski wszelki dobrobyt mu zapewnia i dla onej wygody Zenia ma iść w niewolę.*

*Pieniądzy już nic wcale nie mają, wierzyciele im tam nad głowę wiszą niczym sępy i kruki, a któż temu zawinił, jak nie kochany wujaszek osobiście? W Paryżu, na Riwierze, w Londynie i w Wiedniu tracił, aż huczało przez lata całe. Toć wujenka ze zgryzoty umarła, córka mu została do poniewierania, toteż ją poniewiera, nie tylko pieniądze, ale i zdrowie straciwszy, podobno na te choroby z rozpusty pochodzące. Trochę mi Mateusz wytłumaczył, jakie te choroby, bom z ciekawości pytała, obrzydliwość!*

*A widzę z tego, com tu przed chwilą napisała, teraz mi to właśnie na myśl przychodzi, że prawdą jest, co mówiono. We wspólnym łóżku i wzajemnych objęciach każdy mężczyzna wszystko powie, najgorsze tajemnice zdradzi, jak się do niego upragniona kobieta rozumnie dobierze...*

*A i sam wygląd pana Fularskiego jest niemożliwie wstrętny. Gruby on strasznie, na pół łasy, pryszczki i krosty ma na twarzy, nos jakoby gąbczasty, tu siny, tu czerwony, z gułą na boku, i kępki włosów z uszu mu wyrastają, ślina z ust mu cieknie. Nie żeby zawsze, ale czasem. Jedząc, mlaska i sapie, aż apetyt odchodzi. Ujrzyć go bodaj bez surduta, a już, nie daj Boże, bez dolnej garderoby, pfuj, to lepiej zaraz do rzeki skoczyć. I ta Zenia nieszczęsna poślubić go ma i karesy znosić, i do jednego łóżka z nim się położyć...*

*Na samą myśl taką mdłości czuję.*

*Przetom nie wytrzymała i zaczęłam ją buntować. Niech sobie wujaszek sam*

*własne piwo wypije, którego nawarzył. Pan Fularski bogaty, a Zenie śliczna, nic dziwnego, że ją chce. Ona zaś, zastrachana i zakrzyczana przez ojca tyrana, już się prawie ugięła. Pan Fularski deklarował, a wujaszek od razu go przyjął, a Zenia głupia, miast wyraźnie odmówić ręki, we łzach z salonu uciekła. Potulnie to nieszczęście chce przyjąć. Tom jej rzekła wyraźnie, czego panienom się nie mówi, co to jest małżeństwo i na czym rzecz polega, a pokazuje się, że stanowienia czy to koni, czy krów, choć na wsi żyje, nigdy nie widziała. Prawie jej przytomność odjęło i dreszczy dostała.*

*Skoro tak, rzekła mi, głos odzyskawszy, a cała drżąca, za pana Fularskiego nie pójdzie i bodaj przed ołtarzem powie: nie! Skandal to byłby okropny. Poradziłam, by się ojcu sprzeciwiła zawczasu, a panu Fularskiemu odmówiła wyraźnie, najlepiej przy pani Lipowiczowej, żeby jakiej śmiałości wstrętnej nie okazał. Postanowiła, że tak zrobi, ale widzę przecież, że ona łagodna i ustępliwa, nie wiem, czy zdoła na swoim postawić.*

*No i proszę, co to te pieniądze robią, przez nie tylko Zenia, jakby co, na całe życie nieszczęśliwą zostanie, chyba że pana Fularskiego struje, co bym na jej miejscu pewnie uczyniła. Obiecałam, że do nich pojadę i wujaszкови parę słów do słuchu powiem. . .*

Wyłącznie z ciekawości co do losów dalekiej kuzynki Zeni Justyna przebrnęła przez kolejny kawałek tekstu, po czym, stwierdziwszy, że jednak sterroryzowana Zenia za pana Fularskiego poszła, wielce zde gustowana, znów na jakiś czas odłożyła uciążliwą lekturę. Jęła się zastanawiać, dlaczego właściwie prababcia z takim naciskiem zapisała jej pamiętnik w testamencie, doszła do wniosku, że pewnie dalej coś będzie, spróbowała poczytać jeszcze trochę i wreszcie wydarzenia rodzinne zastopowały ją radykalnie.

Przy wymianie pieniędzy ciotka Barbara straciła tyle, że nawet nie chciała o swojej klęsce mówić. Ogólny familijny upadek finansowy dał się zauważyć, mimo iż szwajcarskie konto jeszcze prosperowało. Dodatkowych kłopotów dostarczyła Amelka.

Dwie starszki z piątego pokoju umarły jedna po drugiej, czego Justyna prawie nie zauważyła, chociaż uczestniczyła w obu pogrzebach. Przestrzeń mieszkalną odziedziczyła po nich Amelka, już, ku zdumieniu bratowej, pełnoletnia. Znalazła sobie narzeczonego z doskonałej rodziny, ale pozbawionego mienia, bo doskonała rodzina przez wojnę i ustrój zdołała stracić wszystko. Rwała się do ślubu zajadle, wyposażona we własny pokój, w którym młody małżonek bez problemu mógłby się zmieścić. Ponadto, dziko dumna z siebie, ukończywszy gdzieś po drodze jakieś kursy fotograficzne, zaczęła robić uliczne zdjęcia i zarabiała pieniądze, dzięki czemu poczuła się ważna i dorosła. Na dobrą sprawę, miała prawo decydować o sobie i nie można jej było przeszkodzić.



Darek, syn Ludwika, zdał maturę i nie dostał się na studia w Warszawie,, w żaden sposób nie mogąc wykazać się chłopskimi i robotniczymi przodkami, dostał się za to we Wrocławiu i przyczynił kosztów, bo gdzieś musiał mieszkać i nawet coś jadać. Upatrzył sobie archeologię.

Oszalała na tle wnuka Jadwiga przysłała Jureczka z Koźmina do Warszawy, do szkoły, upierając się przy edukacji na wysokim poziomie, i zgębiona nieco Hortensja przyjęła go na miejsce syna. Tadeusz, ojciec Justyny, zaczął dość gwałtownie podupadać na zdrowiu, odezwała się w nim wątroba i cały przewód żółciowy, podobno ze zdenerwowania. Nie mógł znieść czegoś takiego jak waluta niewymienialna, a, pracując w księgowości bankowej, ustawicznie miał z nią do czynienia. Dorota jeła odczuwać dolegliwości sercowe. Zofia i Marian narzekali, że brakuje im rąk do pracy, sześćdziesięcioletni Marian już własną ręką dwudziestu hektarów nie obskoczy, a normalny parobek to jest obecnie postać gorsząca i wręcz nieosiągalna. Żeby nie Jadwiga, prezentująca siły niespożyte, chyba nie daliby rady.

W tym wszystkim Justyna ponownie zaszła w ciążę.

W obliczu trzynastoletniego Pawełka, pięcioletniej Marynki, soseniastej i znerwicowanej Barbary, przygnębionej Hortensji, chorego ojca, osłabłej matki, ślubu młodej bratowej, rosnących kłopotów z zaopatrzeniem i nagłego ograniczenia swobody finansowej, nie miała głowy do prababci. Krążyła między domami w charakterze anioła-pocieszyciela, usiłując trzymać rękę na pulsie, łagodząc, doradzając, hamując ataki hysterii i przywracając równowagę. Jediną pociechę stanowił mąż, Bolesław, który, na razie doskonale zdrowy, za osiągnięcia w kolejnictwie dostał nawet jakąś nagrodę państwową, co wszystkim wydało się podejrzane. I Marcelina, nie do zdarcia i chyba wieczna.

W tym całym galimatiasie rodzinnym urodziła się Idalka. Urodziła się w domu, do szpitala bowiem Justyna nie zdążyła, w ostatnim momencie Bolesław ściągnął znajomą panią doktor, pani doktor zażądała pomocy, którą musiały posłużyć Amelka z Marceliną, bo Barbary w domu nie było, dziecko urodziło się w olśniewającym tempie, ale Amelka przetrzymała imprezę z kurczowo zaciśniętymi zębami. Usłyszawszy w dodatku, iż był to najłatwiejszy poród świata, inne bywają znacznie gorsze, poprzysięgła sobie nigdy w życiu nie narazić się na podobny koszmar. Przysięgi dotrzymała.

Najwięcej kłopotu przy owej operacji sprawiał właściwie Bolesław, nie wiadomo kim bardziej przejęty, żoną czy siostrą. Zazwyczaj opanowany, wpadł teraz w jakiś amok. Zapomniał kompletnie, że Anielka jest już kobietą zamężną, rwał włosy z głowy na tle angażowania młodej panienki w tak brutalną fizjologię, miotał się po całym domu, tupał nerwowo pod drzwiami, protestował, rozpaczał i zgłaszał setki idiotycznych propozycji. Zachowanie brata utwierdziło Amelkę

w zamiarze unikania dzieci.

Idalka miała rok i miesiąc, kiedy Justyna wróciła do swojej lektury. Życie codzienne stało się tak uciążliwe i denerwujące, że z całej siły zatęskniła do uroku staroświecczyny. Było jej już wszystko jedno, dlaczego prababcia pchała prawnuczce swój pamiętnik, może przeczuła, iż nadejdą czasy, kiedy stanie się jedynym wytchnieniem.

Z mozołem odcyfrowała, iż przyjaciółka prababci, Zosieńka ze złamanym sercem, doznała pociechy w postaci wspomnianego wcześniej pana Henryka, który porzucił ziemiańską sferę i rewolucyjnie zajął się przemysłem, wnosząc cukrownię za posagowe pieniądze młodej małżonki. Nie poprzestając na tej jednej inwestycji, dołożył sobie cegielnię i jakieś tajemnicze spekulacje z koleją żelazną, mającą podobno przed sobą wielką przyszłość. Wbrew nędzy, w jakiej do ołtarza przystępował, bo cóż miał, obdłużoną ruinę po stryju, teraz wyraźnie pomnażał majątek i ciągnął w górę. Tyle że czasu temu zbyt wiele poświęcał i Zosieńka pozostawała w pewnym zaniedbaniu.

Zdumiewająco nikła ilość tekstu opiewała narodziny pierwszego potomka prababci, Tomasza. Zapewne niewygodnie jej było pisać w łożu boleści i nie czarowne niemowlęce piąsteczki stanowiły dla niej sens życia, ledwo wstała, zajęła się czym innym.

Mimo woli Justyna pomyślała w tym miejscu, że zapewne prababcia więcej prawdy wyjawia niż dziewiętnastowieczni klasycy, tacy na przykład Dickens i Thackeray. U nich dama, która powiła dziecko, cały świat traci z oczu, z ramion nie wypuszczając najdroższej kruszyny w kaszmirowe szale spowitej, sama nie śpiąc, nie jedząc, nie myjąc się także zapewne, bo jak można się umyć z dziećciem w ramionach...? Mąż idzie w kąt i nic dziwnego, że oni sobie zaraz potem przygarniali rozmaite kurtyzany... Ej, chyba jednak klasycy łgali, a prababcia prawdę pisze...

Ściśle biorąc, prawda ujawniała się w tym, że o Tomaszku prawie nic nie było pisane. Dziecko zresztą, najwidoczniej, nie przyczyniało żadnych trosk.

Mamusia beztrósco zostawiła je w domu pod opieką licznych nianieek, sama udając się na pogrzeb wujaszka.

*... I czemuż ta Zenia nie przewlokła sprawy? — pisała z marszu, na bieżąco. — Ledwo rok minął od tego ślubu nieszczęsnego, a widać wszak było, że wujaszek długo nie pociągnie. Dziś, wolna od ojca potwora, mogłaby panu Fularskiemu figę pokazać, a niechby nawet za koniuszego poszła, bo cóż się pokazało? Świeć Panie nad grzeszną duszą wujaszka, na klejnotach po nieboszczce wujence sie-*

*dział, okropna to rzecz, która na jaw teraz dopiero wyszła...*

Powyższy akapit Justyna przeczytała dwukrotnie, przepisała i przeczytała jeszcze raz, bo nic z niego nie mogła zrozumieć. Z rosnącym zaciekawieniem czytała dalej.

*Wszyscy mniemali, a wierzyciele szczególnie, że wujaszek nic wcale nie ma, a co po wujence świętej pamięci zostało, też zdążył przepuścić. A tu, ledwo zmarł, pokazało się, że testament wujenki skrywał, w którym swoje precjoza posagowe córce zapisywała. I oweż precjoza ocalały, dziś już całkiem Zeni, bo długi teścia pan Fularski popłacił, majątność oczyszczając. Tak się wydaje, że już tego ruszyć wujaszek nie miał śmiałości, a może z tamtego świata duch żony mu się pokazał, grożąc karami, jeśli córkę więcej skrzywdzi. A możliwe też, że do ostatniej chwili trzymał, chcąc strwonić na końcu, tymczasem zaś zapomniał, gdzie to ma, i odnaleźć nie umiał. Co mi się wydaje najpewniejsze, bo i z chodzeniem nie dawał sobie rady, i pamięć tracił, imbecyla wrażenie czyniąc, niech mu ziemia lekką będzie. Albo nie. Niech go tam trochę ugniecie. Przebacz, Boże.*

*Tak tedy już po pogrzebie, porządku czyniąc, Zenia jego fotel, w którym już całkiem życie pędził, spalić kazała, bo rupieć to był straszny i wprost mówiąc, odorem nieznośnie śmierdzący. Ale wciąż mówiąc, że się ojcu nieboszczykowi od niej należy, czemu już nawet nie przeczytałam, choć myślę, że co mu się należało, dawno z nawiązką oddała, sama własną ręką ów fotel ją psuć przy rozpalonym kominku. Byłam przy niej i tylko nos zatykałam. Nożycami i nożem ostrym siedzenie i oparcie na kawałki cięta, w ogień wrzucając, i w moich oczach natrafiła pod grubym i poniszczonym obiciem na papier pomięty i pudełko drewniane, płaskie, nawet bez zamka.*

*Może matka z tamtego świata ją natchnęła, żeby tę ostatnią usługę złemu ojcu oddać, bo gdyby kto inny, mogli skraść wszystko. Zdarza się służa nieuczciwy. A tak, swoje odzyskała, bo był to testament nieboszczki i owe klejnoty.*

Szczegółowy opis klejnotów zajął Matyldzie całe dwie strony i Justyna wyobraziła je sobie bez trudu i z wielką przyjemnością. Najbardziej zainteresował ją medalion na łańcuszku, który we wszystkie ogniwo miał wprawione rubiny jednakowej wielkości i szlifu, w samym wisiorze zaś diament jak orzech laskowy, większymi rubinami otoczony. We wnętrzu medalionu znajdowały się włoski, należące, wedle testamentu, do małego braciszka Zeni, zmarłego w wieku lat trzech.

Z lekkim powątpiewaniem Justyna pomyślała, że zapewne przez te włoski braciszka wujaszek zawahał się przed roztrwonieniem także i tej spuścizny. A może nie cenił ozdoby w mniemaniu, iż nikt jej nie zechce kupić. Na co komu włoski

obcego dziecka...?

Niezmiernie zainteresowana, co też Zenia z medalionem zrobiła, porzucając opis jakiegoś niewątpliwego okropieństwa, złożonego ze złota, srebra, emalii i wszelkich możliwych kamieni rozmiarów łebka od szpilki, ale bardzo świecących... okropieństwo nazwane było broszką... z zapalem rzuciła się na dalszy ciąg.

*...jak na oko oceniam, razem to warte najmniej pięć tysięcy rubli, a może nawet i więcej, bo rubiny wielkiej piękności. Nad medalionem i włoskami braciszka Zenia się gorzko splotała. Pamiątki po matce zachować może, bo panu Fularskiemu jego bogactwa starczą, i poradziłam jej, żeby to przednim ukryła. We dwie tylko byłyśmy i Gabrysia, dawna niańka Zeni, do nas dochodziła, też to samo rzekła, do pana Fularskiego samą niezyczliwość czuje i aż syczała niczym żmija. Schować, schować, mówiła, nie wiadomo co się może wydarzyć na tym świecie, a niech panienka coś swojego ma. Nikt przecie o tym nie wie, mówiła, a pismo jaśnie pani zaświadcza, że jaśnie panu do tego nic. Poparłam ją mocno, przypominając, że w intercyzie wyszczególnione nie zostało i Zenia może wszystko stracić.*

*Płakała ciągle, ale nam uległa i o mało się rzecz nie rozbiła, bo pan Fularski nagle wrócił i ku nam przyleciał. Tylem miała przytomności umysłu, by Zeni pudełko i papier z rąk wyrwać i w fałdy sukni schować. Jakby co zauważył, rzekłabym, że to moje, ale nie spojrzął nawet i, całe szczęście, prędko sobie poszedł, bo chociaż bałwan wstrętny, woń obrzydliwą czuje. Zenię chciał zabrać od owego zajęcia, ale uparła się i postawiła na swoim. Widzę, że chyba więcej ma śmiałości do oporu teraz niżli za życia ojca. Nie mógł to wujaszek tyle chociaż przyzwoitości pokazać, żeby umrzeć rok wcześniej?*

*O mołom nie zapomniata napisać, że się krewny objawił. Na pogrzeb wujaszka przyjechał siostrzeniec, pan Bazyl Pukielnik, o którym wszyscy zapomnieli, a mało kto wiedział. Samom nie pamiętała, że takowy istnieje, a tymczasem siostra wujaszka, dziwne mi ciotką ją nazywać, nimem jeszcze na świat przyszła, uciekła z nauczycielem muzyki i całą resztę życia w obcych krajach spędziła. Skandal to był straszny, chociaż ów nauczyciel, pan Teofil Pukielnik, z doskonałej rodziny pochodził, a wyklęty został, bo muzyce postanowił się oddać. Siostra wujaszka, z papierów pana Bazylego wiem, że na imię jej było Teofila, za omen tę zbieżność imion wzięła i zakochała się w nim na śmierć i życie. Co do muzyki, pan Teofil miał chyba rację, bo całkiem niezłe mu się wiodło, koncertował i lekkie utwory tworzył, za które mu dobrze płacono.*

*Teraz, tak prawdę mówiąc, o tej rzeczy dopiero się dowiedziałam, a najwięcej od ciotki Klementyny, która w młodości w Paryżu ich spotkała. Pan Bazyli podobno, sam to wyjawiał, czas jakiś nawet u dziadków po ojcu przebywał, na wieś przystany dla zdrowia, i tak mi wychodzi, że dziadek już nie żył, a babka, matka*

pana Teofila, jak każda matka złagodniała i wnuka przyjęła. Możliwe to, bo po polsku jak każdy z nas mówi. Rodzice mu zmarli, a on do kraju wrócił i krewnych ją szukać. Po ojcu już nikogo nie ma, posiadłość w obce ręce poszła, przeto o matce pomyślał i wuja odnalazł tak, że akurat na pogrzeb trafił.

Młody jest, nie ma więcej niżli 24 lata. Przyjrzałam mu się, wdzięcznej twarzy i postury, doskonale wychowany i nawet przymilny, ale coś ma w oczach takiego, co mi się wcale nie podoba. Jakby mu igła ostra z nagła wyskakiwała. Rzadko się to trafia i zaraz powieki przemyka, alem dostrzegła, kiedy pan Fularski, z właściwym sobie taktem i delikatnością, wprost go pytał, z czego żyje. Pan Fularski do wszystkich swoich zalet jeszcze i tę jedną dokłada, że wychowania i manier nie ma za grosz. Pan Bazyli oczami błysnął, ale znalazł się grzecznie, rzeki, iż papiery wartościowe po ojcu mu zostały i z tego ciągnie godziwy dochód.

Jako jedyna krewna, zaprosiła go Zenia, by został, ile zechce, a pan Fularski potwierdził, bo towarzystwo lubi...

... opędzić się od tej myśli nie mogę, że nie musiała Zenia za pokrakę wychodzić. Ale może to stąd, że wszystko mi na piersi wyplakala, jak ją wstręt straszny bierze na sam widok męża. A on, do obowiązków małżeńskich zwyczajnych nie całkiem już zdolny, obrzydliwości różne wymyśla i ją przymusza, tak że gdy wieczór nadchodzi, w niej się wszystko trzęsie. Upijać go próbuje, albo karmić nadmiernie, bo, na wątrobę narzekając, jej daje spokój. Za to przy smacznych potrawach jeszcze więcej ją kocha i do mdłości doprowadza. Ten siostrzeniec Bazyli może się na co przyda, grać w karty będą albo co, i ona może się jakoś wymknąć.

A cóż to za życie potworne! Przysnił mi się z tego wszystkiego pan Fularski, jak mnie w kolano całował, ale nie wiem, dlaczego siodło miał na grzbiecie. Wyrażniem to siodło widziała, wężykiem srebrnym z turkusikami ozdobione było. Nie przez siodło jednakże o małym z krzykiem z łóżka nie uciekła i Mateusza musiałam zbudzić, żeby coś zrobił, żeby pana Fularskiego razem z siodłem i całowaniem z oczu i z pamięci straciła. Śmiał się, ale zrobił co należy i pomogło...

Nie zdoławszy dojść do losów medalionu z włosami braciszka, Justyna znów musiała porzucić kojącą lekturę, bo okropne wydarzenia rodzinne wdarły się w błogą egzystencję prababci.

W Kośminie umarł Marian. Na gospodarstwie zostały dwie kobiety i dziecko, sześćdziesięcioośmioletnia Zofia, pięćdziesięciopięcioletnia Jadwiga i dziewięcioletni Jureczek. Jureczek nadziei nie zawodził, uczył się doskonale, rósł jak na drożdżach i twardo przewidywał dla siebie zawód rolnika, na razie jednak do prowadzenia traktora jeszcze się nie nadawał. Jadwiga nie rezygnowała, w okresie letnim, przy sianokosach, żniwach i zbiorze owoców zdołała zatrudnić u siebie młodzież studencką, przeważnie pochodzenia wiejskiego. Kto nie musiał brać udziału w pracach polnych u przodków, chętnie dorabiał sobie w Kośminie, bo już

wyraźnie było widać, że stypendia na taki luksus jak nowe buty nie wystarczają. W pozostałych porach roku pojawiały się same kłopoty.

Dwie osoby z rodziny udały się w delegację, Justyna musiała towarzyszyć Hortensji do Głuchowa. Zadaniem ich było znaleźć wśród dawnych podwładnych kogoś, kto, niezadowolony z ustroju, zgodziłby się wrócić na przedwojenne stanowisko parobka. Silne chłopcy były potrzebne, a przydałaby się i z jedna baba, bo udojowi krów Zofia nie dawała już rady. Krążyły wprawdzie wieści o elektrycznych dojarkach w Ameryce i Barbara obiecywała sprowadzenie takiego wynalazku, ale to nie teraz. Nie w tej chwili. Teraz musi przyschnąć, żeby przypadkiem nie ujawnić szwajcarskich pieniędzy, bo za takie zagraniczne konta idzie się do więzienia, a ona nie chce. Trudno, trzeba przeczekać.

Powiodło im się, znalazły starszą parę małżeńską, którą dzieci wygryzły z ojcowizny. Para zgodziła się na wyjazd do Koźmina i problem zmałał.

Dorośli już Darek Ludwika skończył studia i dostał nakaz pracy gdzieś w okolicy Niemczy, gdzie należało badać piece garncarskie z początków tysiąclecia. Usposobienie miał pogodne, pogodził się z wygnaniem, twierdząc, że trzy lata nie majątek. Potem nakaz się skończy i będzie robił, co zechce. Zapłakana Hortensja na łonie zrównoważonej siostrzenicy szukała pociechy i pomocy w wyposażeniu syna, bo już bujnie kwitły czasy, kiedy niczego nie można było dostać.

Ledwo te wszystkie kłopoty zelzały, umarł Tadeusz, ojciec Justyny. Nie wytrzymał tej waluty niewymienialnej i opuścił idiotyczny padół, przenosząc się do normalniejszego świata. Przewożenie zwłok do zrujnowanego grobowca w Głuchowie najpierw wydawało się zgoła niewykonalne, a potem wypadło tak upiornie drogo, że poszła na to reszta pieniędzy z babcinych garniturów.

Całą sprawę załatwiała Justyna, bo nikt inny się do tego nie nadawał. Dorośl okłapała doszczętnie, Hortensja w ogóle nie rozumiała w czym rzecz, reszta nie miała czasu. Od owego załatwiania lęzło się w niej namiętne pragnienie zatrudnienia się w kamieniołomie, w kopalni jako górnik na przodku lub też przy dalekomorskich połowach ryb. Pogrzebem ojca ustrój dokopał jej ostatecznie i pamiętnik prababci wydał jej się w końcu czymś utęsknionym, środkiem uspokajającym, lekarstwem na rzeczywistość. Nie miała kiedy go chwycić i zaczynała cierpieć nad tym głęboko.

Owa lektura zaś, w której zagłębiała się bez reszty, tracąc z oczu świat, miała swoją dodatkową dobrą stronę, mianowicie starsze dzieci, Pawełek i Marynka, zyskiwały wychowanie praktyczne. Zdarzało się, że stojąca w ogonkach Marcelina w domu siłą rzeczy była nieobecna i nie miał kto przygotować i podać pożywienia, przyszyć na poczekaniu guzika, znaleźć zagubionego przedmiotu czy uprasować wstążki, bluzki albo nawet portek. Justyna wychowała się w otoczeniu służby i doskonale potrafiła prowadzić dom, nawet wielki, ale owe głupie drobiazgi nie przychodziły jej do głowy. Nie umiała w ogóle posłużyć się żelazkiem. W rezultacie obydwójce, Pawełek nawet bardziej niż Marynka, nauczyli się obsługiwać sami

siebie, widząc wyraźnie pełną indolencję mamusi.

Zaledwie drobna odwilż ustrojowa pozwoliła odżyć nieco ciotce Barbarze, bezcenna i nieodzowna Marcelina zapadła na zdrowiu. To już było nieszczęście absolutne. Justyna zadbała o jej szpital, sanatorium, wreszcie, na jej własne życzenie, odwiozła ją do wsi rodzinnej w okolicy Głuchowa, gdzie jakieś wnuki cioteczne z radością ją przyjęły, licząc na spadek po ciotecznej babci. Z teź samej wsi przywiozła sobie pomoc domową, która Marcelinie do pięt nie sięgała, ale lepsza była niż nic.

Niemal równocześnie zaczęły się niesnaski pomiędzy Amelią a jej młodym małżonkiem. Póki kłócili się w swoim pokoju, rodzina usiłowała się nie wtrącać, kiedy jednakże przebiegli kilkakrotnie przez całe mieszkanie, przy czym Kazio uciekał, zaś Amelka goniła go z nożem w dłoni, i najwyraźniej w świecie nie stanowiło to niewinnych igraszek, Bolesław zdecydował się wkroczyć. Karcenie mężów za pomocą dźgania nożem dobre było może w innych czasach i w innych krajach, ale nie tu i teraz. W końcu wdali się w konflikt wszyscy z nową pomocą domową włącznie, źródła niesnasek nikt wprawdzie nie zdołał zrozumieć, ale młoda para dała sobie przetłumaczyć i wróciła do awantur w ograniczonym zakresie.

Najwięcej, być może, do złagodzenia namiętności przyczyniła się świeżutka pomoc domowa, niejaka Fela, czyniąc uwagę wyjątkowo rozsądną.

— Po ty wojnie to chłop trza szanować — rzekła ze zgorszeniem, zabierając do kuchni nóż, wydarty Anielce. — I babę tyż. Starczy, co ten swołocz Hitler nagubił...

Razem wzięwszy, Justyna miała do karmienia w domu troje dzieci, jednego męża, jedną ciotkę, jedną bratową, jednego szwagra i jedną sługę. Osiem osób, plus siebie. Barbara świetnie umiała parzyć kawę oraz mieszać koktajle i na tym się jej możliwości kulinarne kończyły. Dzięki swojej restauracyjno-kawiarni przepisów znała setki, ale praktycznie i własną ręką nie potrafiła zrobić nic. Bolesław, odebrawszy wychowanie przedwojenne, nie wiedział, jak się gotuje jajka. Amelka, zajęta bez reszty atrakcjami małżeńskimi i swoją ukochaną fotografią, nie miała już głowy do niczego innego. Pozostały dzieci, Marynka jakoś mało praktyczna, trzyletnia Idalka, trudno od niej wymagać, no i Pawełek...

Z jakiej przyczyny Pawełek uwielbiał gotowanie, było nie do pojęcia. Przywieziona ze wsi Fela, średnio rozgarnięta, ale myśląca racjonalnie, z zachwytem witała jego działalność w kuchni, sama gorliwie odwalając całą resztę roboty, Pawełek zaś wolał przyrządzać posiłki na następny dzień niż grać z kumplami w piłkę. Zważywszy uporczywe trudności z zaopatrzeniem, zestawy posiłków bywały nieco oryginalne, ale to Justynie nie przeszkadzało.

— On zostanie kiedyś szefem kuchni w największej restauracji świata — wyprorokowała Barbara, spożywając dziwny, ale całkiem niezły gulasz rybny na słodko. — Są jakieś szkoły kucharskie dla chłopców?

— Nie mam pojęcia — odparła Justyna. — Talent ma, to pewne.  
— Bez kolejki były tylko dorsze — powiadomił rodzinę Pawełek. — Ale jutro mają rzucić mięso i Fela kupi. Obiecała.  
— Może Jadwiga coś przyśle. . .  
— A ty chcesz zostać szefem kuchni? — spytał syna Bolesław nieco podejrzliwie.  
— Znaczy co? Wymyślać potrawy i gotować. . . ?  
— Coś w tym rodzaju.  
— A pewnie. Sama frajda. Tylko nie mówcie nikomu, bo się kumple będą ze mnie natrzasać.  
— Zatrudniłabym go u siebie od zaraz — westchnęła Barbara. — Ale o jakichś domiarach słyszę i pewnie będę musiała zwinąć interes. Podobno mają naliczyć takie podatki, od których wszyscy zbankrutują. No dobrze, zwinę, przeczekam i otworzę nowy. Na razie niech Pawełek kultywuje te uzdolnienia. . .  
Dzięki osobliwym upodobaniom syna, Justyna zdołała na nowo zorganizować dom i po długim czasie wrócić wreszcie do pamiętnika prababci. Idalka w ogródku razem z dziećmi sąsiadów, Marynka i Pawełek w szkole, reszta rodziny w pracy albo gdzieś na mieście, Fela w kuchni. . . Znalazła trochę czasu dla siebie.

Pomoc pradiadka przy strasznym śnie z osiodłanym panem Fularskim w roli głównej okazała się nader skuteczna, rychło Matyllda stwierdziła, że znów jest w błogosławionym stanie. Narzekała na to trochę, bo stan przeszkadzał w podróżach, na które właśnie nastął jakiś urodzaj. Zwizytować należało babcię w Błędowie, Zosieńkę w połogu, rozmaitych znajomych i powinowatych, urządzających zaręczyny i wesela, okrojoną posiadłość w Kośminie, gdzie były rządca ogród kwiatowy na sad przemieniał, i tym podobne miejsca. Wśród opisu uczt i przyjęć błysnął rubinowy medalion.

*. . . a tak by jej pasował! — pisała prababcia z irytacją i żalem, wyraźnie bijącymi z gryzmołonych pośpiesznie liter. — Do tej sukni wprost wymarzony! To nie, nawet pokazać nie może, samom jej radziła. . .*

*Z panem Fularskim coraz ma się gorzej i tak mi naszeptać zdążyła w kącie, że chyba od niego ucieknie. Gdyby klejnoty po matce sprzedała, na życie jej starczy, aleć najwięcej wart medalion, a jakże, mówiła, sprzedać włoski braciszka. Tom jej znów poradziła, by włoski wyjęła i oprawić dała inaczej, a medalion to już co innego. Zgodziła się, choć jej żal, a i niełatwo to przyjdzie, bo znów w sekrecie. Pana Bazylego o pomoc nie poprosi, bo w takiej jest komitywie z panem Fularskim, że pewnie by sekretu nie dotrzymał. Tom jej znów rzekła, że sama to zrobię,*



*niech się tylko tego ciężaru w łonie pozbędę. Aż się splotała z wdzięczności...*

Dwóch lat ciężkich wysiłków Justyna potrzebowała, żeby dotrzeć do wydarzeń straszliwych i niepomierne sensacyjnych, poprzedzonych tysiącem drobiazgów bez znaczenia. Błogosławiony stan coraz bardziej ograniczał ruchliwość Matyldy, zajmowały ją zatem przypadłości domowo-gospodarskie i planowanie przyszłych strojów. Trzystronicowych rozrywek dostarczył romans podkuchennej z chłopakiem stajennym, na dalszych trzech rozwijała się poważna sprawa wędzenia szynki w jałowcowym dymie, który, mimo starań różnych, okazał się jednak lepszy do kiełbas. Resztę wypełniły trudności ciążowe i komplikacje z kąpielą, przy czym wyszło na jaw, iż nikt nie umiał tak dobrze stóp prababci wytrzeć jak pradziadek Mateusz osobiście i własną ręką.

Wreszcie w trybie normalnym urodziła się Hanna, sensacje zaś zaczęły się od wizyty Zeni.

*... i konno wierzchem musiała przyjechać. Coś takiego! Szatę jakiegoś pana Fularski dostał, z domu jej nie puszcza samej, do mnie nawet uparł się, na przyzwoitość nie bacząc, że razem z wizytą przybędą, w głowie mu się chyba do reszty pomieszało. Tedy Zenia, śpiącego go zostawisz, osiodłać sobie kazała, żeby zaprzeganiem zamieszania nie czynić i tego purchela nie zbudzić, i z jednym tylko koniuszym na swojej Marietce przyjechała, niespokojna o mój stan. Aż mnie rozczuliła i ucieszyła ją, że doskonale się czuję i już bym wstała, żeby nie owa Pietruska, co powiada, że od wczesnego wstania po porodzie figura się psuje. Bicie zegara Zenię wypłoszyło, bo tylko małą przejażdżkę koło domu chciała symulować, a koniuszy zaufany, tedy jej nie zdradzi...*

*... Bożeż ty mój, a cóż słyszę! Rzecz straszna i nieszczęsna Zenia, taką okropność w domu zastać! Służba mi rzekła i Mateusz już wrócił, tedy mi resztę opowiedział, a już się chyba podniosę, bo Zeni pociechy potrzeba. Jutro wstanę i karetę każę wymościć.*

*W pół drogi ją sługa spotkał, tedy widać, że wiedzieli, iż do mnie pojechała, ale tam pan Fularski, świeć Panie nad jego duszą, miłością wielką się nie cieszył, Zenia więcej, boć jej to dom i jej wierni. Od razu rzekł, zmieszany strasznie, że nieszczęście zastanie, po doktora już posłali, a on tu po panią jedzie. Cóż się stało, Zenia spytała, na co rzekł, że jaśnie pan wypadek miał okropny i pewno nie żyje, przeto już nic nie mówiąc, Marietę pogoniła. A do nas gajowy, co to słyszał, przypadkiem obecny, zaraz przybył.*

*A tam w domu, Mateusz zaraz pojechał i od niego to wiem, taka rzecz się stała. Pan Fularski spał w fotelu przed kominkiem, jak zwykle po obiedzie, chrapał chustką nakryty, kamerdyner mu starą przyniósł po cichutku, na paluszkach, żeby*

potwora nie zbudzić, bo tyle spokoju w domu było, ile jego snu. Postawił i wyszedł. Długo spał, aż się wszyscy dziwili, aż pan Bazyli z myśliwskiego domku wrócił, gdzie sobie broń na dziki szykował i coś tam jeszcze, i do gabinetu poszedł, śmiejąc się, że czas kuzyna zbudzić. We drzwiach już krzyknął strasznie i w głąb się rzucił, a lokaj, co był za nim, aż prawie zaniemiał.

A pan Fularski wcale nie spał w fotelu, tylko leżał dziwnie przed kominkiem, z głową na obramowaniu i już bez ducha. Mateusz sam go widział, bo ruszyć się go bali, choć wodą polewali i do ust wódki wlać chcieli, ale leżał, póki doktor nie przyjechał, a Mateusz krótko po nim. Skóra niedźwiedzia, stara już dosyć, tam leżała zbałwaniona, co przed fotelem była, i Mateusz powiada, że musiał pan Fularski nagle wstać, na niej się poślizgnął i do tyłu przewrócił i doktor rzekł to samo. Głową od tyłu na obramowanie kamienne trafił i tak się zabił od razu, bo jakieś to miejsce ma być specjalne, co od byle czego kość się łamie i życie odbiera.

Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie. Tak oto Zenia wolność odzyskała. Przed ludźmi żałość musi udawać, a ja wiem, że panu Bogu za łaskę dziękuje. . .

. . . oto co się wykrywa. Do mnie jednej Zenia prawdę mówi, sama mi rzekła, że aż twarz ją boli dla radości skrywania, niech jej Bóg przebaczy, ale nic lepszego nie mogło się zdarzyć. Już była chwila, że sama chciała ten łeb mu rozbić albo nożem gardło poderznąć, jak spał, albo uciec jak stała, ale to na nic, boby ją znalazł. Złe jakieś w niego wstąpiło ostatnimi czasy, myła się bez przerwy i szorowała, bo wstręt ją brał do samej siebie i przytomności prawie pozbawiał, schronić się przed nim nijak nie mogła, siłą ją zniewalał do tych zabiegów obrzydliwych. W sekrecie mi wielkim rzekła, że wódką, gorzałką zwykłą, upijać się próbowała, bo wtenczas robiło się jej wszystko jedno, a i tak womity mieć zwyczajne się jej zdarzało. Ze zgrozą na nią patrzyłam, kiedy mi te zwierzenia czyniła, jakby szalona z radości, że już temu koniec. A znów dziwić się trudno, bo Zenia ciągle prześliczna, nic wcale nie zbrzydła, nawet wypiękniata, chociaż nie dba o siebie wcale i włosy nosi niczym strzecha.

Alem nie to miała napisać. Nim się podniosłam i do niej pojechałam, już był notariusz, pan Wrzosowicz, i pokazało się, że pan Fularski dopiero co, niedawno, testament nowy zrobił i cały majątek jej zapisał, co mógł uczynić, rodzeństwa nie mając. A w dodatku do takowego czynu pan Bazyli go nakłonił, bo przedtem pan Fularski jakimś siostrzeńcom i bratankom pół mienia przeznaczał z krzywdą Zeni. Tak tedy istotnie pan Bazyli do czegoś się przydał.

Ochłonąć trudno po takim wydarzeniu i już nie musi Zenia klejnotów po matce sprzedawać. . .

. . . gadanie jakieś do mnie dotarło, a to przez moją pokojówkę Klarcie. Mówią, naśmiewając się trochę, że dziwna ta broń na dziki pana Bazylego, co się sama szykuje. Bo gajowy, ten sam co nam o nieszczęściu doniósł, powiada, że koń pana Bazylego owszem, pod domkiem myśliwskim stał, ale w domku nikogo nie było. A w tym samym czasie do lasu poszła taka Kundzia ze wsi, z urody słyną-

ca, i możliwe, że pan Bazylki przez okno ją ujrzał i o dzikach zapomniał. No i cóż takiego, pan Bazylki młody...

...nie rzuciła się Zenia na trumnę, bo i głupie by to było, ale za czarnym welonem jak trzeba na zbolatą wdowę wyglądała. Cichcem do mnie przyjechała nazajutrz po stypie, nauczyła się już, tak mi rzekła, konia używać, po co zaraz wszyscy mają widzieć czwórkę przy karecie. Z koniuszym tylko jeździ. Ejże, czy nie za dużo o tym koniuszym słyszę...? Czyżbym w złą godzinę kiedyś pomyślała...?

...Edmund mu na imię. W pierwszej minucie zgroza mnie ogarnęła, alem się zaraz potem zreflektowała. Czyja wiem...? Roztockci, dobra szlachta, a że ubogi i pracy jąc się musiał? To i cóż takiego, niejeden zubożał i nie z własnej winy. A co muszę przyznać, to że całkiem przeciwieństwo pana Fularskiego stanowi, piękny prawie jak mój Mateusz...

...temperuje ją tylko, jak mogę, by nie za wcześnie po sobie pokazywała, bo ludzie gadać będą. A już nie daj Boże brzemienności, tfu, na psa urok, chociaż Pietruska podobno i taką rzecz ułatwić potrafi, aleć Zenia powiada, że jeszcze jej nie grozi, bo do takiej konfidencji z nim nie doszła. Odżyła po panu Fularskim, niebo, jak mówi, przed nią się otwarło, kondolencyjne wizyty przyjmuje, wiadomo, że bogata ogromnie, więc wszyscy tam jadą. Za rok, mówi, przebierać będzie mogła, a śmieje się tylko ze mną, bo jeszcze jej nie wypada, więc dla samej ulgi często u nas bywa albo mnie zaprasza, aż się Mateuszowi dziwne wydaje. Kuzynka przecież, tłumaczę mu, i przyjaciółka wielka, nawet chyba dla niej Zosię zaniedbałam...

...Jezus Mario Józefie święty, a cóż ja słyszę?! Do prawdy niepodobne, niemożliwe! Pomyśleć nad tym muszę, nim się bodaj nawet Mateusza poradzę.

Chłopak jeden, ogrodnika pomocnik z Małej Wsi Zeni, koło Klarczi się kręcąc, nabąkał jakoś, że ze mną chce mówić, jako przyjaciółką najlepszą jaśnie pani Fularskiej. Wypytała go Klarczia, ale nic jej nie rzekł, tylko jaśnie pani i jaśnie pani. Kazałam go przyprowadzić i wyznał mi coś takiego, po czym jeszcze myśli zebrać nie mogę.

Otóż powiada, że w ogrodzie był. Ogrodnikowi spod ręki uciekł, żeby polenić się trochę, za co o przebaczenie błaga, ale przy domu się zaplątał. I tak, błąkając się i łażąc, przy oknach gabinetu się znalazł, z pustej ciekawości zajrzał i coś takiego zobaczył, co mu spokoju nie daje. Firanki przesłaniały, ale dwóch ludzi widział, jako jeden drugiego z fotela podnosił, ten mu się łał przez ręce, na posadzce owego układał i głowę o kominiek wspierał. A potem poduszkę chwycił, chłopak zaglądnący mniemał, że mu pod głowę podłoży, ale nie, coś z nią robił i trzymał długo dosyć, a potem nazad na fotel odrzucił. Zamazane figury to były, bo firanka gesta, ale co czyniły, widać było. Nic mu całkiem do głowy nie przyszło, ogrodnik z dala go ujrzał i gniewnie krzyknął, tedy odskoczył i na rozkaz popędził, więc nic więcej nie wie. Jenó się później obejrzał i jeszcze za krzewami zobaczył, jak ktoś oknem wylazł, ale nie portfenetrem, tylko drugim z boku. Kto by to był,

*nie rozpoznał. Ale jak się rozeszło, że jaśnie pan Fularski życie stracił, na kominek się wywróciwszy, coś mu zaczęło po głowie chodzić, bo wszak ułożony tam został, a nie sam z siebie się przewracał, więc chce się poradzić, co z tym czynić, ale nie byle kogo, tylko najlepszej przyjaciółki jaśnie pani. A wie, że lepszej nie ma niż jaśnie pani Wierzchowska.*

*Zdrętwiałam prawie, tej opowieści słuchając. Wybadałam go surowo, upierał się przy swoim. A cóż to ma znaczyć, na miły Bóg, czyżby pan Fularski własną śmiercią nie zginął...? Na fotelu umarł, a ktoś go chciał ratować, do czego później bał się przyznać? Czyli co złego mu zrobił, a potem na kominku oparł, wypadek nieszczęśliwy symulując? Cóż mam uczynić z takowym zwierzeniem, prawie bym mogła myśleć, że Zenia udział swój w tym miała, gdyby nie to, że u mnie samej w tym czasie była i jeszcze ze swoim koniuszym, co powszechnie jest wiadome. A nikt inny dla niej takiej rzeczy by nie uczynił i Zenia sama do tego niezdolna, choćby nie wiem co wcześniej gadała. Przeto cóż to ma znaczyć...?*

*Chłopakowi kazałam gębę zamknąć i trzymać język za zębami, póki co.*

*Otóż Mateusz powiada, że jest to rzecz możliwa. Posępny bardzo i zatroskany, bo wie, że losami Zeni dawno się przejmuję. Pan Fularski miły i dobry nie był, odwrotnie, jakie miał oblicze, taki i charakter i wrogów mógł sobie narobić. Suchodolskich zlicytował, chociaż, uparty się nieco, można ich było ocalić, dla innych też miłosierdzia nie miał. Dlatego taki bogaty. Jeśli chłopak dobrze widział i nic sobie nie imaginuje, może to być, że ktoś panu Fularskiemu w drodze na tamten świat dopomógł, możliwe nawet, że z własnej służby, bo go mocno nie kochali.*

*Razem tam zaraz jutro jedziemy, by na noc zostać, tak Mateusz mówi, że przez ten czas coś może wybada, a ja sama nie wiem, powiedzieć o tym Zeni czy nie...*

W tym miejscu dramatyczną opowieść przerwało długie zdanie, które doprowadziło Justynę do rzetelnej wściekłości. Napisane zostało wyjątkowo niewyraźnie, odczytała je z najwyższym trudem, święcie przekonana, że zawiera treść co najmniej kluczową, po czym okazało się, iż dotyczy podwiązek. Kolor, wstążeczki, elastyczność i tym podobne cechy sprawiły, że prababcia nie mogła tak od razu podjąć trafnej decyzji w ich kwestii i rozważyła sobie rzecz na piśmie.

Dla podjęcia dalszej lektury Justyna musiała odetchnąć nieco i napić się zimnej wody. Wyjrzała przez okno, stwierdziła, że jej córka usiłuje wbić blaszane wiaderko do piasku na głowę młodszego nieco od niej chłopczyka, widok wydał się jej kojący, wróciła zatem do biurka. Prababcia, na szczęście, pamiętnika ze sobą do Zeni nie zabrała, przystąpiła do opisu wydarzeń dopiero po powrocie do domu i zdołała jakoś utrzymać się w temacie, uczyniwszy jeszcze tylko pół strony

uwag o zawartości poduszek, na których spała w gościnie.

*... tak nam się dobrze ułożyło, że nim Zenia przybiegła, w gabinecie przy salonie sami byliśmy długą chwilę, czego się właśnie spodziewałam, czas właściwie wybrałszy. Mateusz prędko obejrzał fotel, nawet usiadł na nim, potem skóry niedźwiedziej spróbował, szurając nogami i zaraz głową kręcił i mówił, że wcale nie śliska. Przetom też spróbowała i rację mu przyznając, by nią szurnąć, czyli posunąć, dobrze się postarać trzeba. Zaś kominek oglądając, wszystkie przyrządy poruszył, do ręki brał i patrzył, i przy obramowaniu klękał, pod nosem mamrotał, co mnie nawet zgniewało, ale nic mi powiedzieć nie zdążył, bo Zenia nadbiegła, a zaraz później i pan Bazyle.*

*... tak wykręciłam, by na noc zostać bez napierania zbytniego. Promenować po ogrodzie, rzecz zwykła. Zenia dysponować poszła, pana Bazylego zajęłam, a Mateusz niby przypadkiem w okna gabinetu spoglądał.*

*... rzekł mi wszystko dopiero w łóżku późnym wieczorem. Powiada, że i tak mogło być, że pan Fularski zamordowany został zbrodniczą ręką. Spał mocno z głową na pierś zwieszoną, a zbójca, przez okno, jak to latem, otwarte, włazłszy, w owo miejsce czułe na tyle z całej siły go walnął. I potem na kominku ułożył, co ogrodniczek zobaczył. A do walenia pogrzebacz najlepszy, sam go w rękę potrzymał i powiada, że ciężki bardzo, zamach wzięwszy, jak nic można głowę człeku rozbić, a nawet i świnie ogłuszyć. A co z poduszką, z ciekawości spytałam, na co mi przypomniał, że sama powinnam wiedzieć, jako dziecko w kolebce poduszką można udusić, na twarzy mu potrzymawszy, a taki wypadek się zdarzył. Aż mnie otrząsnęło. A on dodał jeszcze, że chyba tylko dla pewności ów zbrodniarz pana Fularskiego dodusił, bo samo walnięcie wystarczyło, szczególnie jeśli trochę jeszcze nim puknął, na obramowaniu kładąc. Przeto ogrodniczek prawdę mógł gadać. Okropność to straszna, alem i ja mu miała coś do powiedzenia, bom służbę wzięła na siebie.*

*... rzekli wszyscy bardzo zgodnie, że w czeladnej się zabawiali wypożyczkiem. A Klarcie zabrałam, bom czuła, że do niej śmieiej prawdę wyznają. I tak się stało, a Klarcia mi zaraz powtórzyła. Jaśnie pan zasnął, jaśnie pani odjechała, jaśnie panicz Pukielnik już wcześniej do lasu się udał, przeto ze spokoju skorzystali. Wiadomo, jak kota nie ma, myszy tańczą, bo do tego jeszcze i pani Lipowiczowej nie było, z wizy tą pojechała i dopiero nazajutrz wróciła. A rzecz w tym, że kucharka nową potrawę przyrządzała, jakoweś gulki mięsne o różnych smakach, i wszyscy chcieli próbować, na co im chętnie pozwalała, sama ciekawa, co się pokaże najlepsze. Mówi Klarcia, że niektóre były słodko nadziane. Gadali przy tym, o panie Zarzeckiej strasznie plotkując, wieść bowiem młodszy lokaj przyniósł, że z wielką awanturą ją z Paryża przywieźli, gdzie jakiś romansowy skandal się zrobił. Świeżo to się właśnie zdarzyło i nic o tym nawet jeszcze nie wiedziałam, ale już dopilnuję,*

*żeby się dowiedzieć. I na owe gulki mięsne też przepisu zażądam. . .*

Oderwawszy się na chwilę od lektury, Justyna przetarła zmęczone oczy. W kwestii gulek mięsnych zdania nie miała, błysnęła jej tylko mglista myśl o Pawelku, który zapewne bardzo by się nimi zainteresował, panna Zarzecka natomiast zirytowała ją od razu. Co za panna Zarzecka znowu, nigdzie o niej do tej pory mowy nie było! Iluż jeszcze przyjaciółek, znajomych i powinowatych prababcia nie wymieniła i z iloma zniecka wyskoczy. . . ?!

*. . . Tak tedy siedzieli wszyscy razem i tylko najmłodsza podkuchenna do ogrodu na chwilę poskoczyła, by mięty urwać, i zaraz wróciła, ciekawa i gadania, i owych gulek. Dosiedzieli, aż pan Bazyli wrócił, którego usłyszano powszechnie, jak konia kazał obrządzić, a potem w wejściu hałasował i zaraz lokaj do niego poszedł. Przeto nikt nie mógł w tym samym czasie gdzie indziej być i pana Fularskiego za głowę szarpać, co, wedle gadania onegoż ogrodniczka, dosyć długo trwało. Wychodzi, że służba domowa niewinna, co i Mateusz przyświadczył, kiedym mu wszystko powtórzyła.*

*Na folwarku sam zdążył wszystkich przepytac, bośmy wszak wcześniej przyjechali, a u Zeni swoboda dla nas panuje i akurat gości żadnych nie było, wyjąwszy kupca jednego, który godzinę może z Zenią samą i rządcą interesy załatwiał. Tak więc Mateusz się wywiedział porządnie, a i rozumnie, co muszę mu przyznać, bo każdego pytał o innych, a nie o niego samego, niby to kogoś szukając. I znów wyszło na jaw, że jedni przy krowie byli, co się bliźniatkami ociełiła, dwie jałoweczki jak lalki, co jest rzadka rzecz, przeto z ciekawością patrzyli, a drudzy, w koniuszego nieobecności, skoki sobie czynili na łące za stajniami, niby to konie objeżdżając. Tak się jakoś złożyło, że każdy każdego na własne oczy widział, od roboty zwykłej się oderwawszy, jak to nieraz bywa, kiedy państwa nad karkiem nie czują. Jeden tylko, młodszy stangret, ledwo koniuszego z oczu stracił, konia chwycił i gdzieś popędził, ale wszyscy wiedzą gdzie. Do jednej córki włościańskiej, z którą się mają ku sobie. Co wiadomo, bo zaraz za nim, jak tylko wrócił, ojciec owej córki nadleciał z krzykiem, że ich zdybał na grzechu, ale że to już śmierć nagłą dziedzica wyszła na jaw, tedy gębę zamknął i więcej zamieszania robić się nie ośmielił.*

*Jeszcześmy długo w noc rozważali, mówić o tym Zeni czy nie, aż postanowiłam, że powiedzieć trzeba. Niemożliwe jest, by się nic wcale między ludźmi nie rozeszło, najlepszy przykład pan Bazyli, co pewno się tam specjalnie nie demonstrował, a o Kundzi wszyscy wiedzą, przeto niech i Zenia wie. Może udawać, że nie wierzy. Mateusz mi doradził, bym uczyniła, jak zechcę. . .*

*. . . Zenia spokojnie nad podziw wystuchała, blada się tylko zrobiła strasznie*

*i bałam się, że zemdleje. Ale żeśmy w ogrodzie przy wodotrysku siedziały, wodę miałam pod ręką i już nabrałam pełne dłonie, żeby na nią napryskać. Ale mnie powstrzymała i dziwną rzecz rzekła, dech łapiąc i głosem jakby nie swoim. Już bym wolała, powiedziała, żeby się takie coś okazało, żeby go zbrojca zwykły zamordował, a nie śmierć od wypadku trafiła, boby mi zeszyły z duszy wyrzuty sumienia.*

*Jakie wyrzuty sumienia, spytałam zdumiona, na co mi ona, że najgorszego mężowi życzyła i proszę, spełniło się, jakoby na jej zamówienie. A w dodatku smutku w sobie wzbudzić nie potrafi, sama radość w niej i szczęście, więc sumienie ją zaczyna gryźć, bo to tak jest, jakby to ona go swoimi życzeniami zabiła. Przecież chciałaś go zabić, przypomniałam jej, nożem gardło poderznąć... I aż się zlektałam, że Zenia się obrazi. Ale nie, otóż właśnie, powiada, chciałam strasznie, a teraz widzę, że taska boska mnie spotkała, gdybym go naprawdę własną ręką zabiła, sumienie by mnie zagryzło na śmierć, a i teraz, sama widzisz, że niepokój czuję. U spowiedzi byłam, powiada, rozgrzeszenie dostałam, ale jakby się pokazało, że kto inny go zabił całkiem beze mnie, ulga byłaby to taka, jakiej sobie nawet nie wyobrażasz!*

*Ucieszyłam się nad wyraz, że ona tak myśli, i pocieszyłam ją od razu, bo już byłam pewna swego, tak jak i teraz jestem. Nie ślizgał się pan Fularski na niedźwiedziu sam z siebie, tylko morderca go zabił. Zenia zaraz odżyła i poczęłyśmy razem rozważać, kto by to mógł być. Zenia lepiej wiedziała, z kim jej mąż miał na pieńku, bo teraz sama wszystkie interesy po nim wzięła i z wielkim rozgoryczeniem rzekła mi przy tej okazji, że gdyby za życia ojca uczyniła to samo, nie musiałaby owej małżeńskiej tortury przechodzić. Wcale to nie jest takie trudne, trzeba tylko fałdów przy sięść i trochę rozsądku w sobie obudzić, a reszta całkiem łatwo da się prowadzić. Z podziwieniem patrzyłam i słuchałam, bo już widać, że męskie zdolności do interesów i gospodarstwa posiada, choć ma urodę anioła. Niezmiernie rzadka to rzecz, chociaż podobno się zdarza. Z ciekawości spytałam, czy kuzyn Bazylej jej nie pomaga, na co mi sucho jakoś odrzekła, że nie. Nastęrczał się i próbował, ale ona nie chce. I tak wróciłyśmy do rozważań.*

*Nieśmy jednak nie wymyśliły i nie odgadły, co się tyczy owego zbrodniarza, bo z takich co by się nadali, nikogo w okolicy nie było, a wszak nieobecność domowników nie bardzo długo trwała. Jak Zenia sama policzyła, ledwo półtrzecia godziny. Może obcy przyszedł, rabować chciał, z bogactwa pan Fularski słynął, ale nic nie zrabował, bo spłoszony uciekł. Może onego ogrodniczka usłyszał. I tu rozum Zeni się pokazał, bo zaraz rzekła, że po cóż by ów obcy wypadek i pośliżnięcie symulował?*

*Alem ja też nie taka głupia. Prawie od razu wymyśliłam, że może chciał znów próbować, przeto podejrzenia chciał odsunąć, by nikt się nie miał na baczności. Po namyśle Zenia mi przyświadczyła i rzekła, że na wszelki wypadek będzie się pilnować.*

*A i przyzwoitość okazała, którą zawsze miała w sobie, do mnie jednej szczerze*

zwierzenia czyniąc, wiedząc dobrze, że słówka o nich nikomu nie pisnę. Rozumnie rzekła, by wszystko zachować przy sobie, Mateusza też o to uprosić, bo skandal straszny by wyszedł i wstyd. Z policją i żandarmami mieć do czynienia, to Boże uchroni! Jakby co, mówić, że plotki same i androny, w które nikt rozumny nie wierzy. I całkiem się z nią zgodziłam.

Na tym się nasze badania skończyły, bośmy do domu w końcu wracać musieli, a przedtem jeszcze goście przyjechali, pani Jezierska z córkami i z synem dorosłym, co widzi mi się, że bardzo by chciała z młodą wdową go wyswatać. Przy Zeni pieniądzech on by nie był od tego. I, rzecz to była oczywista, z plotkami o pannie Zarzeckiej. Pan Bazyl nas znalazł przy wodotrysku i potem już cały czas byliśmy obie między ludźmi. O pannie Zarzeckiej jeszcze tu sobie napiszę, ale niech skończę o pierwszym, bom się z Mateuszem cala drogę powrotną kłóciła, karetą jadąc, a Klarcie na kozioł wystawszy.

Głupstwa same mówił, zacietrizewiony, aż prawie ogłuchł na słowa rozsądku. On by już chciał wielką sprawę robić, zbrodni płazem nie puścić, jeśli ona istotnie była, a że była, tak samo jest pewny jak i ja. Do naczelnika policji już by się jutro wybierał, z zagranicy agentów sprowadzał, a cóż ci to, powiedziałam rozgniewana, pan Fularski swat czy brat, świeć Panie nad jego duszą? Żandarmi w domu, co też ci ta Zenia nieszczęsna zawiniła, że ją na języki ludzkie chcesz wystawić, wstydu narobić, a to nie wiesz, że ją mogą posądzić, że męża zabiła? Przecież u nas była w tym czasie, rzekł mi na to, też zły okropnie, jakże go miała z odległości zabijać? Tom mu zaraz przypomniała, że nie kto inny, tylko on sam będzie musiał zaświadczać, że ją widział u siebie, podejrzenia budząc. Jakie znowu podejrzenia, wrzasnął na to. A takie, ty głupcze, rzekłam mu, że łiesz z korzyścią dla niej, boś z nią romansował. Mało go nie zatchnęło. Czy ci rozum odjęło, powiada, ja z nią, toż sama zgłupiałaś chyba, pomieszania zmysłów dostałaś. Sam dostałaś, ja na to, a bo to nie wiesz, co ludzie wymyślać potrafią, jednemu wróblem z gęby wyleci, do drugiego wielkim wołem dojdzie. I jeszcze żonę własną po owych żandarmach chcesz włóczyć, bo ja ją tutaj przyjmowałam więcej niż ty, przy moim łóżku siedziała!

Jakoś to do niego doszło w końcu, złościł się jeszcze, parskał i prawie bulgotał, ale utemperował się nieco, tyle że do końca na niesprawiedliwość narzekał. Sam nareszcie rozważył, że ów zbrodniarz ze swojego czynu żadnej korzyści nie miał, bo niczego nie ukradł, przeto wielkiej uciechy nie doznaje.

Chyba że zemstę jakąś zaspokoił, to niech go już pan Bóg skórze. Ale gdyby jeszcze raz coś takiego nastąpiło, tak zapowiedział, jakby się tam kto zakradł albo co, to już sam dopilnuje, żeby nie popuścić. I na to się już prawie zgodziłam. . .

Całego tego sensacyjnego tekstu Justyna, rzecz oczywista, nie zdołała przeczytać jednym ciągiem. Mimo zaciekawienia i mozolnych wysiłków dwa miesią-



ce musiała zużyć na rozszyfrowanie owej jakby powieści w krótkich odcinkach, nastąpił bowiem wyjątkowy urodzaj na głupie przeszkody.

Pierwszą stało się blaszane wiaderko do piasku, które Idalka niepojętym sposobem zdołała wbić na głowę chłopczyka, sąsiada z drugiego piętra. Zgięło się przy tej operacji tak jakoś dziwnie, że nie dawało się zdjąć, i matka chłopca przybieciała z awanturą, żądając pomocy. Dziecko ryczało wielkim głosem, dzięki czemu wiadomo było przynajmniej, iż uduszenie mu nie grozi, niemniej jednak pozostawienie na nim tej ozdoby na zawsze nie wchodziło w rachubę. Pozbawił go jej wreszcie późnym wieczorem blacharz, ściągnięty przez Bolesława aż z dworca Warszawa-Zachodnia. Nigdzie bliżej żadnego nie znał.

Następnie Amelka jeła sprowadzać do domu w godzinach pracy jakieś obce osoby, płci żeńskiej, młode i wielce urodziwe, którym robiła portretowe zdjęcia, twierdząc, że od jakości owych podobizn zależy cała kariera jej i modelek. Zamieszanie tym wywołała okropne, zajmując całe mieszkanie i pozbawiając Justynę azylu, bo modelki były ruchliwe, a do tego jeszcze trudno im było odmówić jadła i napoju, skoro męczyły się po parę godzin. Trzy tygodnie te seanse trwały.

Po Amelce dała występ dziesięcioletnia już Marynka, dziecko na ogół spokojne i mało kłopotliwe, drapiąc po twarzy koleżankę w szkole za nazwanie jej kochanką Napoleona. Wezwana natychmiast, śmiertelnie zdumiona Justyna, kochając burzę, usiłowała zarazem dociec, skąd się dziewczynkom w tym wieku wzięły tak niezwykle słowa, i dowiedziała się, że jej własna córka chwaliła się pochodzeniem w linii prostej od cesarza Bonapartego. Co silnie zirytowało przyjaciółki, nauczone w domu, iż koniecznie powinny pochodzić od robotników niewykwalifikowanych i nieuczonych chłopów małorolnych. Kontrast między cesarzem a bezrobotnym analfabetą był zbyt wielki i wrażliwa młodzież nie mogła tego znieść, pozwalając sobie w rezultacie na niestosowne inwektywy.

— Co to za pomysł z tym cesarzem, na litość boską? — pytała Justyna, wracając z córką do domu. — Skąd ci się to wzięło?

— No jak to — odparła urażona i jeszcze nieco zapłakana Marynka. — Przecież babcia mówiła.

— Która babcia?

— Babcia Dorota.

Justyna gwałtownie zaczęła szukać w pamięci. Sklerozy i mitomanii u swojej matki nigdy w życiu nie stwierdziła.

— I dziadek Ludwik — dołożyła Marynka.

— I co mówili? Powtórz możliwie dokładnie, bo ja nie pamiętam. Przypomnij mi.

— Wcale mamusi przy tym nie było. Bardzo dawno mówili, jeszcze byłam mała. Ze na portrecie jest babcia, którą nad życie kochał cesarz Napoleon i ożenił się nią tak na boku i mieli mnóstwo dzieci, i te dzieci to jest nasza rodzina.

Na moment Justynę zamurowało, ale zarazem pamięć jej wróciła. Prawda, o portrecie prababcia w testamencie pisała. . .

— To wcale nie tę babcię kochał Napoleon. . . — zaczęła i ugryzła się w język.

— Tylko którą? — podchwyciła Marynka z wielkim zainteresowaniem.

— Tylko całkiem inną. Jeszcze starszą. I po pierwsze, wcale się z nią nie ożenił, bo nie miał na to czasu, a po drugie nie wiadomo czy mieli jakieś dzieci. I w ogóle było to tak dawno, że teraz się nie liczy.

Marynka milczała przez chwilę.

— Ale było? — spróbowała się upewnić.

— Właśnie ci tłumaczę, że nie wiadomo na pewno. A skoro coś nie jest pewne, nie należy o tym mówić. Tylko ludzie głupi tak robią i potem im wstyd. Czytam teraz akurat pamiętnik pra-prababci i nic tam nie ma na ten temat, a przecież pra-prababcia powinna wiedzieć, czyją jest wnuczką, nie sądzisz? Szczególnie gdyby była wnuczką cesarza. Wtedy to było ważne.

— A teraz nie?

— Teraz wręcz przeciwnie. Jest szkodliwe.

— Dlaczego?

Justyna wyraźnie poczuła, że musi się wspiać na jakieś szczyty. Macierzyństwa, dyplomacji i może nawet polityki. Z nadzieją rozejrzała się po wystawach sklepowych, które mogłyby podsunąć inny temat, ale nic na nich nie leżało interesującego.

— Dlatego, że mnóstwo ludzi nie lubiło cesarzy. Ani królów. Mnóstwo ludzi cierpiało głód i nędzę, a cesarze żyli w wielkim dobrobycie. Bogactwie. Ci ludzie teraz, po wojnie, zaczęli rządzić i nie życzą sobie pamiętać o niesprawiedliwych czasach. Jest wielkim nietaktem wytykać, że się miało z cesarzami coś wspólnego. Sprawiedliwość wymaga, żeby teraz na wierzch wyszli ludzie, którzy przedtem byli biedni.

Marynka taka całkiem głupia nie była.

— To tak, jakby komuś wypominać, że ma zeza? Albo że nie umie jeść nożem i widelcem?

— Coś w tym rodzaju. Nieładnie. Naucz się przecież i wcale nie będzie gorzy.

Czując wyraźnie, iż omija sedno rzeczy i obdarza córkę prawdą mocno wypaczoną, Justyna aż ścierpła w sobie. Marynka jednakże uchwyciła sens.

— No dobrze, to jutro im powiem, że się pomyliłam. Ale ona nie miała prawa tak mnie nazwać!

— Nikt tam nie miał żadnych praw. Rzućmy na to czarną zasłonę.

— No dobrze. Ale ja też bym chciała ten pamiętnik pra-prababci poczytać.

— Jak będziesz starsza.

— Nie, ja bym chciała teraz!

— Teraz nie możesz.

— Dlaczego?

— Bo teraz. . . — Justyna zawahała się i nagle wpadła na pomysł. — A proszę bardzo, czytaj sobie. Sama się przekonasz, dlaczego nie teraz.

Spokojnie zostawiła pamiętnik Matyldy na wierzchu, ukrywając tylko przepisany tekst. Marynka oczywiście rzuciła się na lekturę i natychmiast okazało się, że owe bazgroły, coraz bardziej płowiejące i ledwo dostrzegalne, są jej całkowicie niedostępne. Zniechęciła się od razu i sprawa upadła.

Przyłożyła się wreszcie do uciążliwości Barbara, bądź co bądź właścicielka mieszkania. Zła i zniecierpliwiona, bo sytuacja finansowa układała się jej nie bardzo pomyślnie, wyładowała swój gniew na prysznicu w łazience, powodując tym konieczność remontu całej instalacji. Dom na trzy tygodnie przeistoczył się w rodzaj placu budowy, a rzemieślników, rzecz jasna, musiała pilnować Justyna.

Po dwóch miesiącach wreszcie mogła odetchnąć i spokojnie wniknąć w intrygujące plotki o pannie Zarzeckiej. Prababci musiały się one podobać, bo roman-sowy skandal zagraniczny opisała jednym ciągiem.

Panna Zarzecka mianowicie, dla edukacji wysłana do Paryża, osiągnąwszy poważny wiek lat szesnastu, postanowiła wkroczyć w życie samodzielnie. W tajemnicy wielkiej i przy pomocy francuskiej pokojówki jęła wymykać się spod skrzydeł personelu surowej i wytwornej pensji, by oglądać z bliska nocne rozrywki osławionego miasta. Justyna przypuszczała, że pensją było Sacre Coeur, choć ten szczegół prababcia potraktowała lekceważąco. Duży, a może nawet zasadniczy udział w imprezie miał jakiś wicehrabia Jean-Paul o niewiadomym nazwisku, używał bowiem kilku i pewno wszystkie fałszywe. Panna Zarzecka, dziewczę o kształtach doskonale rozwiniętych i wielce ponętnych, wzbudziła w nim dzikie zapały najpierw na odległość, a potem z bliska, i skutek był wprost potworny. Wicehrabia wprawdzie okazywał wielką chęć przypiecztowania związku mariażem, ale któż by wydawał córkę, bodaj nawet upadłą, za podejrzanego hołysza. Panna Zarzecka pochodziła z bogatej rodziny. . .

Jakieś tam tajemnicze wojaże odpracowano, rzekomo dla zdrowia, szukając w celach leczniczych możliwie głuchoj i zapadłej wsi, już wszystko jedno w jakim kraju, bo za późno było, by wmawiać właściwemu epuzerowi, iż młoda małżonka powiła dziecię przedwcześnie. Po czteromiesięcznej terapii pannę Zarzecka w doskonałym stanie przywieziono do rodzinnego domu, zaś posag jej uległ wydatnemu zwiększeniu. Gdzieś tam podobno została jakaś zdrowa baba z bliźniętami przy piersi, aczkolwiek w pierwszej chwili powiła tylko jedną sztukę.

Plotki, rzecz oczywista, rozpuściła służba, posuwając się nawet do supozycji, iż tylko patrzeć, jak wicehrabia tu przybędzie, bo na tle panny Zarzeckiej czy-stego szału dostał, ona zaś sama okropnie po nim desperuje. Państwo Zarzeccy okazali się tak bezczelni, że owym plotkom nawet nie fatygowali się przeczyć,

najzwyczajniej w świecie prezentowali córkę po salonach, jakby nic się nie stało, budząc powszechne, starannie kryte oburzenie. Gdyby nie byli tak wściekle bogaci, niewątpliwie spotkałby ich absolutny bojkot towarzyski, w tej sytuacji jednakże, w obliczu milionów, nikt by się nie ośmielił takiego głupstwa próbować i skandal powolutku zdychał, przyduszony złotym płaszczem.

Barwna prezentacja gorszących namiętności zajęła Matyldzie przeszło pięć stron, a Justynie prawie pół roku. Po czym w pamiętniku na nowo pojawiły się sensacje natury zbrodniczej.

*...wczesnym rankiem roztrzęsiona przyjechała i cala drżąca, znów konno, choć pogoda okropna, samom już nie wiedziała, jak ją do spokoju doprowadzić. Zimną wodę jej dawałam i koniak prawdziwy francuski, sole wachała, aż wreszcie mówić zaczęła, całe słowa wypowiadając, a nie urwane kawałki. Wtedy zrozumiała i też mnie zgroza ogarnęła, choć zgoła trudno w to było uwierzyć.*

*Otóż tak było: nie dalej jak wczoraj wieczór Zenia kolację małą wydawała, bo księstwo Szumscy przejazdem mieli być, z panem Wrzosowiczem, notariuszem, zmówieni w pół drogi, a to wypadło akurat u niej, za co niezmiernie przepraszali, że razem przyjemność z interesem łączą. Jej to było nawet wygodnie, bo w owym interesie ma swój udział. Dostyc nagle to wypadło, ale że do Zeni co i raz to ktoś przybywa, bez zapowiedzi całkiem i bez zaproszenia, przeto, wiedząc, jak się takie wieści rozchodzą, na jakiś tuzin gości liczyła. Teraz pożałowałam, że na jej liścik wczorajszy odpowiedziała odmownie, ale naprawdę swoich gości do niej zawozić nie mogła.*

*I tak oto już na sam wieczór, lada chwila spodziewając się pierwszej karety, gotowa już i przybrana, Zenia szybkim krokiem z sypialni wyszła, by na dole wszystkich witać. I tu właśnie... Dreszcz mnie przejmował, kiedy słuchała, i dreszcz przechodzi, kiedy to piszę.*

*Już u góry schodów była, kiedy, jak mi rzekła, poczuła, że zapięcie od reform puściło. A sama wiesz, jaka to niewygoda, powiada, na cały wieczór, a najmniej na pół, niemożliwa rzecz, tedy jak wryta stanęła, ostatni jeszcze nich nogą uczyniwszy. Już na pierwszy schodek bym zeszła, powiada, ale właśnie stanęła i wyraźnie poczułam jakby przeszkodę jakąś. Jakby mnie coś za stopę zatrzymało przy kostce prawie. Zamarłam i tak stałam niczym słup soli albo pień drewniany, o tej materii z tyłu wiszącej prawie zapomniawszy. Ale nic sobie złego jeszcze nie pomyślała, a pośpiech mnie gnał, przeto cofnęłam nogę ostrożnie i do garderoby zawróciłam, tyle że serce mi się tłukło nie wiadomo z czego.*

*Na pokojówkę zadzwoniła, alarmując i niecierpliwiąc się, i usłyszała, jak jej Florka biegnie po schodach z dołu, bo jej pokój i garderoba zaraz blisko tych schodów, a drzwi z niecierpliwości zostawiła otwarte. I zaraz łomot okropny i okrzyk, wtedy prędko wyjrzała.*

*Jeszcze nic złego nie myślała, tak mi rzekła, bo też Florka od razu się podniosła, zmieszana bardzo przez to potknięcie i wywrócenie. Kazałam zapięcie poprawić, co uczyniła, a w owej chwili jakby mnie tknęło, powiada, mróz po mnie przeleciał. Z dołu już karety było słychać. Jakiegoś olśnienia jakbym doznała, Florce przykazałam w garderobie zostać i wszystkie zapięcia obejrzyć i naprawić, by mnie takie kłopoty więcej nie spotykały, a samam wyszła, drzwi zamykając i nożyczki małe i ostre ze sobą biorąc. I nie pytaj mnie po co, bom wtedy jeszcze nie wiedziała. Do owych schodów podeszłam, powiada, bez tchu prawie, a jako wiesz, powiada, tam ciemno dosyć, bo tylko jedna świeca na konsolce w rogu stoi, przeto przyklętałam, z bliska popatrzyłam i palcami pomacałam, co to za przeszkoda jakaś za nogę mnie złapała i Florkę wywróciła.*

*Też bez tchu słuchałam, bo już się złe przeczucie we mnie pojawiało. Zenia tedy przyklęknawszy więcej poczuła niżli ujrzała. Nitka to była, rzekła do mnie i koniaku jeszcze wypila, ta mocna nić do zeszywania worków, a sama wiesz, że mocna i nie bardzo gruba, od jednej strony zamotana na balasku przy poręczy, a od drugiej na gwoździu, w boazerię nisko wbitym, przez całe schody. I takem sobie wtedy nareszcie pomyślała, powiada, że gdyby nie te reformy odpięte, prędko idąc, ze wszystkich schodów na dół bym upadła i już bym teraz nieżywa była.*

*Całkiem to samo i mnie do głowy przyszło i też się tego koniaku napiłam, chociaż okropny to napój, nieznośnie palący. Pierwsze, com pomyślała, to co z Mateuszem zrobić, bo zapowiadał wszak, że jakby jeszcze co, do policmajstra ptakiem leci. Nic mu nie mówić chyba. Alem ciekawa była strasznie, co dalej.*

*I cóżeś uczyniła, spytałam Zeni, pod niebiosy przejęta. A oto może głupstwo, odrzekła mi na to, bom najpierw chciała sekret zachować, goście już prawie wchodzili, ale mógł przecież kto inny zaczepić nogą i zabić się, tędym prędko nożyczki wyjęła i nić przecięłam. I więcej nic, na dół zeszałam, ale kto przyjechał, kogo witałam i co się w ogóle działo, do tej pory nie wiem. Józef mówił, bom go pytała, że wszyscy bardzo wieczór chwalili, a odjechali prawie nad ranem, bo jeszcze i w karty grali, i książkę z notariuszem konferował.*

*Pierwsze zaś, com potem uczyniła, mówiła Zenia dalej, tom do owej nitki poszła. I oto śladu nawet po niej nie znalazłam, nic, nawet gwoździa nie było. Tylko dziurka mała w drewnie, tom się palcami domacała i trochę przy świecy zobaczyłam. A żadnych przywidzeń nie miałam, to wiem na pewno, bo i Florka nie jest niezgraba, i proszę, patrz. Jakem tę nić przecinała, kawałek sobie odcięłam, by ją przy świetle obejrzyć i mam tutaj. . .*

*Z puzdereczka małego wyjęła i pokazała mi nić konopną, istotnie do szycia worków używaną, kawałek mały jak palec. Zgroza mnie ogarnęła jeszcze większa, boć przecie ta nić sama na schody nie poszła i do balasków się nie przywiązała. Żeby dzieci jakie psotne u Zeni były, ale wszak nie ma. Nimem się odezwąta, pokazało się, że to nie koniec.*

*Nic ci wcześniej nie mówiłam, bom nie myślała, by w tym coś było, wyznała mi*

*Zenia dalej, ale teraz powiem. Taka rzecz się przytrafiła, jako wiesz, w gotowni mojej przy supraporcie, przy drzwiach samych, na konsolach wysokich stały marmurowe figury, bo nieboszczyk mój mąż marmury lubił i wszędzie upychał. Jedna zleciała i żeby nie cofnęła się raptem, nie przez rozum, tylko sobie nagle przypomniała... że... w ogrodzie leży...*

*Tu zmieszała się całkiem i nie rzekła mi, co w ogrodzie leżało. A deszcz padał, mówiła dalej, no, wszystko jedno, aż się wzdrygnęłam i cofnęłam, żeby do ogrodu pobiec i żeby nie to, owa figura prosto by na moją głowę zleciała. Wyrzuciłam obie i już ich tam nie ma, nie taki to znowu wielki wypadek, tyle że panu Bogu podziękowała. Ale potem jeszcze się zdarzyło. Wodę z sokiem porzeczkowym lubię pić po obiedzie, to też wiesz, goście znów byli, nawet nie wiem kto, że cztery osoby może, o, to wtedy wiosnie było, kiedy ktoś krzyknął, że pożar. A przy wietach byliśmy. Wszyscy się do okien rzucili, istotnie, jakoby płomień w parku, a to słońce padło na klon czerwony, który tam rośnie, a że dzień był pochmurny, padło zniecka i jakby ogień wzniciło. Samom w pierwszej chwili przeraziła się, że pożar, musisz to kiedy zobaczyć, bo widok nie do uwierzenia, zamieszanie się zrobiło, służba poleciała, pokazało się, że alarm niepotrzebny. Do stołu wszyscy wrócili, w emocjach jeszcze, i ktoś, machając rękami, moją szklankę zrzucił. Nim lokaj poskoczył, pies napój zlizał, wiesz, że u mnie psy wszędzie. No i za dwa dni ten pies nieżywy znaleziony został...*

*Zenia mi to wszystko mówiła, a jam czuła, jak mi szpik w kościach lodowacieje. Głosu z siebie wydać nie byłam zdolna. Rzekła mi dalej, że teraz dopiero na myśl jej przychodzi, że trzy razy śmierci uniknęła i jak figura zlecieć mogła od konsoli obluźowania, a pies zdechnąć od byle czego, tak owa nitka na schodach przez przypadek tam się nie znalazła. I czyja myślę, spytała, czy to jest możliwe, że ktoś chce ją zabić, tak jak zabił pana Fularskiego.*

*Dopieroż nas obie zgryzota ogarnęła. Albo to kłątwa jakaś, albo wroga ma pod bokiem, o czym nic nie wie. Cud istny ją ocalił już trzy razy, tak rzekłam bez ogródek. Zenia mi przyświadczyła i wyznała, że od wczorajszego wieczoru naprawdę zaczęła się lękać. Trwoga ją ogarnia, rzekła mi, we własnym domu boi się po schodach chodzić, do mnie tu przyleciała najpierw, a teraz nie wie, co po powrocie zastanie, jakie pułapki na nią czyhają. Pana Bazylego przed odjazdem zbudziła i kazała mu na krok z domu się nie ruszać, na wszystko dając baczenie. Bo on najwięcej lubi po polach i lasach się włóczyć, to polując, to tak sobie, i w domu mało co siedzi.*

*Już jęłam rzecz rozważać, kiedy mi Zenia z wahaniem wielkim coś więcej zwierzyła. Z koniuszym swoim, panem Roztockim jak zwykle, przyjechała, a po drodze o wydarzeniu mu powiedziała. I na to on jej rzekł, że nie trzy, a cztery razy śmierci uniknęła, bo nie tak dawno temu, dwa tygodnie ledwo będzie, jak sam, wiosną ręką, popręg jej zmieniał, który został dziwnie wystrzępiony, a pewniej nawet podcięty. Polowanie miało być, konie stały osiodłane dosyć długo, bo na*

*damy czekano, i w ostatniej chwili jeszcze, jak już szła, jej Marietę sam sprawdził. I gdyby nie to, jakby rów jaki, nie daj Boże, albo krzaki, niechybnie by to pękło, a ona zleciała. Nic nie chciał mówić, żeby jej nie straszyć, sam się gryzł, ale teraz wyraźnie widzi, że trzeba, bo coś tu jest niedobrze.*

*Prawiem serca nabrała do pana Roztockiego, skoro taki rozum okazał. Wszak samam w onym polowaniu brała udział i doskonale pamiętam, jak Zenia ostatnia wsiadała i ktoś tam gniewnie na służbę stajenną sarkał. A szła gonitwa przez wądoły i upadek istotnie nawet śmiercią groził.*

*Tak oto, wszystko to razem próbując rozważyć, Mateuszem się troskałam, kryć przed nim czy nie. Byłabym pewnie ukryta, gdyby nie to, że znienacka nas naszedł. Ostupiał całkiem, oczom nie wierząc, że dwie niewiasty przed południem samotnie koniak piją, aż śmiech mnie wziął, widząc jego wyraz twarzy. Nie popuścił już, zalterowany rzetelnie, słusznie mniemając, że nie może to być bez powodu, boć nawet szansonistki i kurtyzany, jak rzekł nam wprost, dopiero pod wieczór zaczynają.*

*Wahałam się jeszcze, aż Zenia z odwagą wielką o pomoc go poprosiła. Pod warunkiem, że nic nie powie i nic nie uczyni bez jej zgody. Mnie by zapewne nie uległ, ale że ona osoba obca, choć daleka krewna, tedy przyobiecał.*

*Ustyszawszy wszystko, sam tego koniaku trochę wypił, po czym o drugie śniadanie zawołał, nawet mi wyrzutów żadnych nie czyniąc, boć rozumiał, że przejąc się mogłam. Czasem, to muszę przyznać, dobrym mężem się pokazuje, wyrozumiałym i nie całkiem głupim. Powiadomił nas, że mężczyzna o pustym żołądku myśleć nie potrafi, a tu widzi sprawę poważną.*

*Zadysonowałam, żeby nie być gorsza, i w gabinecie nowe rozważania się zaczęły. Sama byłam ciekawa, co też mu przyjdzie do głowy.*

*Mateusz najpierw Zenię zapytał, o szczerą ją prosząc, czy nie wie na pewno o jakim bogactwie, które w domu leży. Obojętne, po panu Fularskim czy po jej przodkach. Zenia na to rzekła, nad podziw zdrowy rozum odzyskawszy, że interesy rodziny zna już doskonale na sto lat wstecz, a pałac dłużej nie stoi. Jedyne, co tam było ukryte, to klejnoty po matce, ocalałe dzięki włosom braciszka i niepamięci chorobliwej wujaszka, ale to już wyjęta i więcej nie ma. Nie miałoby skąd pochodzić, od stu lat rodzina tylko traciła. Pana Fularskiego majątek zaś, jej w całości przypadły, dobrze został ulokowany. Mateusz bardzo to pochwalił, pomyślał i pytanie zadał, czy testament sporządziła. Zenia na to zmieszana się jakoś, zawahała i wyznała, że nie, bo zdrowa się czuje, a decyzja dla niej trudna z braku rodziny. Swoje wiedziałam, alem słowa nie rzekła. Mateuszowi, jak to mężczyźnie, żadna właściwa myśl nie przyszła, choć o panu Roztockim przecież usłyszał. Koniuszego w nim widział i nic więcej.*

*Zaraz dalej stwierdził, że, wobec tego, jedynym krewnym Zeni jest pan Bazyli. Gdyby nagle z tego świata zesza, niezamężna i bezpotomnie, on by dziedziczył. Szczerze wyznać muszę, że więcej się chyba zdziwiłam niż Zenia, bo pan Bazyli,*

*jako sukcesor, nawet mi nie zaświtał. Gdyby ubóstwo w nim widać było, to może, ale beztrzęsąco prezentował i żadnych potrzeb ani kłopotów nie miał.*

*Znów trochę pomyślawszy, Mateusz spytał grzecznie, czybyśmy tak obie do jakich wód nie wyjechały. Nie byłam od tego, ale Zenia rzekła, że gospodarstwa w tej chwili nie zostawi, bo jest jakby w połowie interesów. Pan Fularski dużo pozaczynał, korzystnie bardzo, i stratą wielką byłoby własnemu losowi wszystko zostawić. Rozumie, co Mateusz o panu Bazylim pod rozwagę poddaje, ale uwierzyć nie potrafi. Pana Fularskiego zabójcę powinno się znaleźć, a pan Bazyli być nim nie mógł, bo go nie było, dłużej prawie nawet niż jej samej, bo wcześniej dom opuścił.*

*Mateusz się nie sprzeczał, aż dziw mnie brał, bo zazwyczaj na swoim lubi postawić. Długo myślał. Czyli ma Zenia kogo naprawdę zaufanego, spytał, na co rzekła, że ma. Zarazem spytała, jakby nagle jakaś myśl jej przyszła, czy zamążpójście sprawę zmienia i kto po osobie zamężnej naturalnie dziedziczy. Bez testamentu, rzeki na to, rodzina się może procesować, choć mężowi coś tam przypada, ale testamentem można wszystko współmałżonkowi przekazać, tak jak pan Fularski zrobił. Na to Zenia wypogodniała, na mnie znacząco popatrzyła i rzekła, że byle jeszcze trochę pożyła, zbójca nie będzie miał na co się łąszczyć. Na co znów Mateusz jakby się ucieszył i żartować począł, pytając, czy ma konkurenta upatrzonego. Tak na niczym pozornie stanęło, ale Zenia, pocieszona, do drogi zaczęła się zbierać.*

*A gdybym tak bodaj chłopca wzbogaconego w miliony sobie znalazła, rzekła do mnie, kiedyśmy zostały same i do drzwi ją odprowadzałam, bodaj młynarza, ale milionera, co myślisz? Nie przyjmowałiby nas razem z naszymi milionami?*

*To już wolę pana Roztockiego, odpartam jej na to wprost, bo szlachcic z dobrej rodziny i nawet miliony mu niepotrzebne, tysiące by wystarczyły i lada jaki mająteczek. Pan Fularski też z wielkiej krwi nie pochodził.*

*— Ale koniuszy.*

*— To i cóż? Przy mająteczku koniuszym by być przestał.*

*Ucałowała mnie ze łzami w oczach i odjechała. Pan Roztocki konie trzymał, popatrzyłam na niego z daleka i ukłon oddalam, ej, żeby nie Mateusz...*

Wstrząsająca historia Zeni zajęła Justynę tak, że nie zauważyła niemal, kiedy jej najmłodsza córka poszła do szkoły. Dzieci dawały już sobie radę same, nie deranżując mamusi, która spełniała uciążliwy obowiązek: zobligowana testamentem, chcąc nie chcąc, czytała pamiętnik prababci.

Zajęcie to było przerażające, co kolejno stwierdzili wszyscy. Barbara, Bolesław, Amelia, Pawełek, Marynka i nawet Idalka. O katordze powiadomili resztę krewnych, ich żona, siostrzenica i matka wdaje się w coś, co przerasta badanie hieroglifów egipskich, jakaś subtelna, bladozielona, nieczytelna pajęczyna, którą



z wyraźnie widocznym mozołem przetwarza na ludzki język. Trudno się dziwić, że przy takim zajęciu traci przytomność umysłu i zapomina, ile ma dzieci, nikt jej przy tym zastąpić nie ma prawa, możliwe, że wolałaby galery, ale wyboru jej nie zostawiono. Siła wyższa, czyta pamiętnik prababci. Obarczające ją brzemię należy szanować. . .

Musiała go czytać, wszyscy to rozumieli i nikt nie zgłaszał zastrzeżeń. Wciąż jeszcze testament Matyldy rzutował na egzystencję rodziny, wciąż istniał Kośmin, błogosławieństwo mięsne w kraju, gdzie świnie, niepojętym sposobem, nie posiadały szynki i schabów, a bydło rzeźne składało się z łbów, ogonów i niekiedy odnóży, wciąż istniały drobnostki na czarną godzinę w postaci smętnych resztek porozdzielanych między wnuczki garniturów. Nadal wisiał na ścianie portret napoleońsko podejrzanej pra-prababci, szerniał tak, że już nawet płęć jej trudno było stwierdzić. Gdyby nie pra-pradziadek obok, można by mniemać, iż dzieło przedstawia sobą wizerunek szwoleżera. Ewentualnie popa. Rabin z siwą brodą też byłby do przyjęcia.

Z drugiej zaś strony Justyna uparcie stanowiła rodzaj opoki moralnej. Miała autorytet. Nadal była tą najważniejszą prawnuczką. . .

Czując, że jej zajęcie zostało niejako zalegalizowane, z niejasną ulgą na nowo przeniosła się w przeszłość.

*. . . spokoju nie mogłam sobie znaleźć. Trzeba trafu, przyjechała ciotka Klementyna. Napadła mnie zaraz na drugi dzień, kiedym jeszcze opanowania nie odzyskała i sama nie wiedziałam, co jej powiedzieć, bo natrętna się zrobiła i namolna. Połapałam się rychło, że mnie podejrzewa o jakieś konszachty przeciwko Mateuszowi, który zaraz po naszych rozważaniach wyjechał, a nie wiedziałam gdzie, przeto jej rzekłam, że tu idzie o panienkę, w leśniczym jednym na śmierć zakochaną. Całą historię wymyśliłam, o majątek i ubóstwo opartą, a z takim przejęciem mówiłam. Zenię mając na myśli, że mi całkiem uwierzyła. Przyznała mi rację, że gdyby ów leśniczy nagły spadek dostał albo co, to choćby i zaściankowa szlachta, do towarzystwa przyjętyby został, bo na pieniądzech świat stoi. Sama mi nawet przykład podała, z Francji prosto, jako handlarz wołów córki za arystokrację wydal. Obawy mając o Zenię okropne, namówiłam ją na wizytę. . .*

*. . . tyleśmy jeno słów zamieniły, co przy tych sukniach, zdążyła mi rzec, że pomysł już ma, ale do Warszawy musi pojechać. W hotelu stanie. . .*

Wcześniejsze zdanie o sukniach Justyna bardziej odgadła niż przeczytała. Wyszło jej, że Zenia z prababcią symulowały przegląd garderoby, żeby chwilę pof-

nie pogadać.

*... ilem się nadenerwowała, naszamotała, namęczyła okropnie, wypowiedzieć trudno! A i tak nie wiem, co by było, żeby nas ciotka nie podsłuchiwała i doświadczeniem swoim nie wspomogła. Że romansowa, z dawna wiedziałam, alem nie myślała, żeby aż tak!*

*Świttem najwcześniejszym Zenia przyjechała, mniemając, że wszyscy śpią i będziemy same, a łatwiej jej się tak wyrwać niżli mnie, bo panią jest sobie i nikt prawa nie ma pytać, dokąd jedzie i po co. Pani Lipowiczowa całkiem się nie wtrąca, a służba niech sobie myśli, najwyżej się rozejdzie, że pani Fularska w głowie ma przewrócone, bo o wschodzie słońca kaczkę strzela, a cóż to szkodzi. Fuzję jawnie zabrała, a pan Roztockie przez czas naszej rozmowy już się o te kaczki postarał.*

*Tedyśmy do altany poszły, ja w peniuarze, Zenia w amazonce, i tam siedząc, wszystko mi powiedziała. O to, jeśli męża weźmie i zaraz testament napisze, już jej zabijać nie będzie potrzeby. Kłopot tylko jeden, bo sprzeczność występuje. Ogłosić tego nie można, a trzeba. Trzeba, by ów zbrodniarz na jej śmierć czyhający wiedział, że nic mu z tego nie przyjdzie i zamiaru poniechał. A nie można, bo od śmierci pana Fularskiego jeszcze nawet rok nie upłynął i kto widział, żeby wdowa tak nieprzyzwoicie prędko do ołtarza szła znowu, i do tego z koniuszym. Jeden skandal jeszcze by może wszyscy strawili, dwóch już nie da rady. Żebyż tak chociaż na pana Roztockiego jaka sukcesja spadła, ale na to nie ma nadziei. A do Warszawy jedzie, by tam się notariusza poradzić, a nie tu, gdzie od razu wszystko by się rozeszło, ale najgorsze, że żadnego nie zna i na łajdaka może trafić. Panna Wrzosowicza pytać nie chce, żeby sobie co nie pomyślał i niechęci do niej nie nabrał.*

*Otóż kłopot istotny! Tak się biedziliśmy obie, aż tu zaszeleściło i ciotka Klementyna do altany wtargnęła, też w peniuarze i w czepku nocnym. Porwałyśmy się z siedzeń, spłoszone okropnie, ciotka natomiast usiadła i zaraz nam wyrzut uczyniła, żeśmy jej dawno do sekretu nie dopuściły. Głupie dziewczyny, rzekła, boście przy mnie ledwo dziewczyny, chociaż i zamężne, dwadzieścia lat od was jestem starsza i dwadzieścia lat dłużej ten świat oglądam. Tu ujęła sobie trochę, bo wiem, że najmniej dwadzieścia pięć. Aleśmy nic nie rzekły, tylko usiadły na jej rozkaz. Zenia blada się zrobiła i wiedziałam, że lada chwila jakowś rewolucję uczyni, co ciotka chyba też dostrzegła.*

*Wszystkom słyszała, rzekła wprost, od wczoraj czuję, że coś tu jest na rzeczy, zbudziłam się i specjalnie za wami poszłam. I któż to jest, ten leśniczy, boć dobrze rozumiem, żeś mi oczy mydliła, tak rzekła do mnie, a o Zenię wszak szło. I to jeszcze wiedzcie, że jestem po Zeni stronie i może co poradzę.*

*Tedyśmy jej wszystko powiedziały rzetelnie, a że chłód ranny trochę ciągnął, ciotka do domu kazała wracać i tam w pokoju śniadaniowym przy czekoladzie*

*dalej gadać. Służba jeszcze spała. Tom cichutko poszła zbudzić tylko moją Klarcie, a tu coś się pokazało. Niczym grom z jasnego nieba. Nie sama Klarcia spala, galant przy niej, z krzykiem go kołdrą nakryła, alem jej głowę zatknęła i rzekłam, że niech Bogu dziękuje, że co innego mam na głowie niżli jej cnotę. Z galantem niech robi, co chce, a nam czekoladę zaraz poda, zamieszania nie czyniąc. To jej do gustu przypadło, poderwała się, nim drzwi za sobą zamknęłam, i czekoladę w mig podała, a kto by był ów wybraniec, nawet nie spytałam. Ciotce i Zeni nic nie rzekłam, bo na romanse służby czasu teraz nie było.*

*Tak oto ciotka Klementyna rzecz rozwikłała. Pan Roztockci, a pochwaliła Zeni wybór, bo od pierwszej chwili w oko jej wpadł i wysoką krew w nim czuje, choć służyć musi, pan Roztockci tedy jakąś własność musi posiadać, bez tego się nie obejdzie. A Zenia pieniądze ma. Przeto trzeba prędko kupić majątek, wszystko jedno jaki, byle duży, obdłużony może być i zapuszczony najokropniej, a takich teraz do wyboru, za jej pieniądze, a na jego nazwisko. Gotowiznę Zenia musi mieć, albo papiery jakie wartościowe bezimienne, i tym pan Roztockci niby to sam ze siebie zapłaci. Rozgłosi się zaraz, że w spadku wziął po prawdziwych krewnych, do tajemnicy jeden tylko notariusz może być dopuszczony, a takiego ciotka zna. Majątek gdzieś dalej, byle nie za blisko. Jeszcze i taką rzecz można by ogłosić, że krewny nieboszczyk warunek postawił, jakoby spadkobierca mógł objąć schedę jako człowiek żonaty. A tam wszystko się wali, więc pośpiech niezbędny. Dawniej się już wykryło, że pan Roztockci z wielkiej rodziny pochodzi, choć nic nie mówi, i tu żyda jakiego trzeba, żeby o tym pod sekretem prędko rozpowiedział, niedyskrecję taką czyniąc. Rozejdzie się w jednej chwili.*

*Ślub cichy niech wezmą zaraz w tej Warszawie za indultem, co jest możliwe, bo ciotka zna biskupa, który jej tę grzeczność robi. Zaraz do niego napisze i sama na ten ślub pojedzie, bo śluby wszelkie kocha i tego sobie nie odmówi. Od razu pomyślałam, że też pojedę, a Mateusz niech robi, co chce. I ów testament, o którym była mowa, też ma natychmiast zostać napisany, ale ciotka radzi dwa testamenty, niech i pan Roztockci na korzyść Zeni napisze, bo to nigdy nie wiadomo.*

*W tydzień, a najdalej we dwa, wrócą małżeństwem i niby jeszcze się będą ukrywać dla przyzwoitości, ale cały świat będzie wiedział, że ten pośpiech niestosowny dla korzystnego interesu nastąpił. I to całą rzecz załatwi, bo romans budzi zgorzienie, a dobry interes tylko pochwałę. Panu Roztockiemu majątku dołożyć należy bez umiaru, nikt sprawdzać nie będzie, a Zenia, taki doskonały mariaż zawierając choćby i w pośpiechu, z żadnym potępieniem się nie spotka. Karty i zawiadomienia rozeszła za jakie trzy miesiące, po rocznicy śmierci pana Fularskiego, a nie przed. Tylko dzieci, niech ręka boska broni, żeby się w pierwszym terminie nie pokazały, bo to plotki wzbudzi, więc z tym troszeczkę poczekać.*

*W podziwieniu ciotki słuchałam, że tak doskonale świat odgadła, a i Zenia jej przyświadczała. Co by kto nie mówił, pieniądze najważniejsze. Krzywić się mogą ile chcąc, a nawet chłopa i żyda do rodziny przyjmą, jeśli ogromnie bogaty*

*będzie, tyle że im gorszy stan, tym więcej złota trzeba, by go przysypać. Z panem Roztockim, prawdziwym szlachcicem dobrego rodu, małe zmartwienie i ledwo trochę wystarczy.*

*Pocieszona niezmiernie Zenia z kaczkami kilkoma do domu odjechała, a jam się jeła zbierać do wyjazdu razem z ciotką, do tej Warszawy. Nie taka to znowu straszna podróż, a hotele, ciotka mówi, bardzo przyzwoite. Do rodziny i znajomych, tak rzekła, zajeżdżać nie należy, by się przedwcześnie sprawa nie rozeszła.*

*Ledwo nam Zenia z oczu znikła. Mateusz się pojawił, wracający skądś.*

*O Warszawie zaraz od ciotki się dowiedział i krzyk podniósł, że zabrania. Byłabym mu później i na spokojnie powiedziała, ale skoro tak, musiałam też się postawić i żadnego zabrania nie tolerować. Wyszło jednak, że ciotce mam towarzyszyć, więc musiał popożyczyć z wielką niechęcią. Zemścił się za to, coś załatwił, powiedział na stronie, ważne bardzo, ale mi nie wyjawi co, ja mam sekrety, on też mieć może, i tak mi się widzi, że z nami do Warszawy chciał jechać i coś mu na przeszkodzie stanęło. Ale ciekawa byłam okropnie, co też takiego załatwił.*

*No i razem się zbiegło, tu rwetes z pakowaniem, tam Zenia, wiedziałam, że do wyjazdu prawie gotowa, pośpieszyć chciałam, a wśród służby zamieszanie się jakieś zrobiło, aż Klarcia, od wczorajszego ranka jak w obraz święty we mnie wpatrzone, wyjawiała, że człek jakiś obcy między ludźmi się płacze, to grozi, to fetuje, i pytania różne stawia. A jaśnie pan po jego stronie i odpowiadać zaleca. Na co przyszła wieść z Błędowa, że babka choruje i widzieć mnie pragnie. W dwie strony naraz przecież jechać nie mogłam, utrapienie istne, a w owym człeku wyraźnie sekret Mateusza czułam. Przeto zwykłym sposobem, przymiłwszy się doń w łóżku, sedno rzeczy z niego wyciągnęłam i pokazało się, że jest to agent jakiś specjalny, nie urzędowy, a prywatnie najęty. Podobno bystry niezwykle i wszystko zbadać potrafi, a tu dla zabójcy pana Fularskiego sprowadzony.*

*Tom w zamian wyjawiała mi trochę, po co do Warszawy jedziemy, i nawet nie bardzo się krzywił. Zatem jedziemy. Suknię kretami obszytą wezmę...*

Cały opis zabieranej w wojaż garderoby Justyna odpracowała rzetelnie, w obawie, iż między riuszkami, narzutkami i woalami zaplątać się mogły jakieś uwagi, istotne dla sensacyjnego śledztwa. I rzeczywiście, wśród wahań w kwestii kiecek i kapeluszy pojawiła się owa Kundzia, która skusiła w lesie pana Bazylego. Coś tam z tą Kundzia było nie tak, ale co, nie wiadomo, dawno kusiła, a pamięć ludzka zawodna, w rezultacie prababcia wyjechała, nie zdobywszy dokładnej wiedzy na jej temat.

Równe dziesięć stron zajął Matyldzie pobyt w stolicy, kawałkami i w pośpiechu opisywany. Tak uczyniono, jak ciotka Klementyna radziła, ślub Zeni z panem Roztockim odbył się cichutko o wczesnym poranku, przy bocznym ołtarzu w kościółku na Starym Mieście, w obecności zaledwie czworga świadków, a to

Matyldy, Klementyny, wtajemniczonego notariusza i niezmiernie dalekiego kuzyna pana młodego, który to kuzyn wieś posiadał tuż pod miastem, wianem żony wzięta, i jakoś tak gospodarował, że wstydu wielkiego nie przynosił. Służbie przykazano zostać na ulicy, do sekretu jej nie dopuszczając, chociaż dyskrecji Klarci Matylda była pewna.

Podstępny zakup dóbr dla pana Roztockiego również udało się przeprowadzić i wszyscy odetchnęli z ulgą.

Spędziwszy nad owymi dziesięcioma stronami pełny miesiąc, Justyna po raz pierwszy uświadomiła sobie, że wolniej czyta niż prababcia pisała. Zaniepokoiła się, czy jej życia starczy, i pomyślała o swoich spadkobiercach. Na którą córkę zwalić dalszy ciąg obowiązku, z jednej strony szalenie atrakcyjnego, z drugiej ciężącego nieznośnym brzemieniem...? No, może nie córka to będzie, może wnuczki doczeka...

Z westchnieniem przystąpiła do dalszej lektury.

*... przez babki wezwanie dalej jechać musiałam, zostawiwszy ich tam, i ledwo dwie suknie w magazynie wykończyć mi zdążyli. Wcale mi się ten Błędów nie uśmiechał. Szczęściem z babką nie tak źle i prędko wróciłam, a zaraz niedługo drugi raz pojedę...*

*... w ostupienie wpadłam, kiedy mi Mateusz pod tajemnicą wielką wyjawiał, co też ów agent wykrył. Pan Bazyli winien wszystkiemu, co zdawało się całkiem nie do wiary, a i teraz jeszcze przyjść do siebie nie mogę i powątpiewam. Ale wybadał podobno, że pan Bazyli nic nie ma i te papiery po ojcu wymyślił sobie, a co tam trochę miał, to już wydał i w długi zaczyna popadać, sekretnie bardzo wierzyciela, żyda jednego, sobie upatrzywszy. To jedno. A drugie, nie tak całkiem z Kundzią było i nie dla pana Bazylego ona do lasu poszła, tylko z młynarczykiem się spotykała, co już pewne jest, bo są po ślubie i dziecko jest na świecie. Taili to, bo młynarz synowi bogatszej panny szukał, a nie chłopskiej dziewczuchy, choćby i najpiękniejszej, ale rzecz się rozwiłała nawet całkiem łatwo. Oto stara klucznica Zeni, chrestną matką owej Kundzi będąca, już na łaskawym chlebie, zmarła z wieku i z choroby i całe swoje oszczędności jednej Kundzi przeznaczyła, księdza proboszcza na świadka wzięwszy. Przeto młynarz gębę zamknął i tak się to cicho i grzecznie załatwiło, że nikt prawie nie wiedział i hałasu żadnego nie było. A już pewne jest, że młynarczyk po panu Bazylim Kundzi by nie brał, bo ognisty jest kawaler i wielce ambitny.*

*Zatem pan Bazyli z Kundzią się nie gził po lesie, w domku myśliwskim go nie było, tylko koń stał uwiązany, wobec tego gdzie był? Agent powiada, że, dobrze biegnąc, w ćwierć godziny można z domku myśliwskiego do pałacu przelecieć ukradkiem, sam próby czynił i nikt go nie widział. A próby czynił tak, że aż mnie rozśmieszyło, jakem usłyszała. Jednemu chłopakowi kredensowemu i jednemu ze*

*stajni, oddzielnie ich namówisz, po całym rublu obiecał, jeśli odgadną, gdzie był i o jakiej porze. Starali się z oka go nie spuścić, bo każdy chciał rubla zyskać, ale nie spostrzegli, jak on się po zaroślach przemykał, i nic nie zarobili, po dziesięć kopiejek tylko dał im na pocieszenie. Za to widać, że przemknąć się można i on powiada, że pan Bazyli tak uczynił. Oknem do gabinetu wszedł, pana Fularskiego zabił, poślizgnięcie symulował i nikt by nic nie wiedział, żeby nie ów leniwy pomocnik ogrodnika.*

*A jeszcze agent przypomniał, co pan Wrzosowicz poświadcza, że pan Bazyli wszak nakłonił pana Fularskiego do testamentu na korzyść Zeni, a w rzeczy samej na swoją korzyść to zrobił, bo gdyby Zenia zmarła, on wszystko dziedziczy. I któż by inny konsolę mógł obruszyć i nitkę na schodach wiązać, jak nie ten, kto w pałacu mieszka. W dodatku lokajczyka znalazł, który przypomniał sobie, że pana Bazylego na górze schodów z daleka widział jak sobie coś przy trzewikach poprawiał. Nie pokazał się i prędko uciekł, przestraszony, że może nie za dobrze wyczyścił i ukarany zostanie, i z tej przyczyny ani słowem o tym nikomu nie napomknął.*

*Agent powiada, że jemu całkiem starczy, a Mateusz mówi to samo. Dumny z siebie niezmiernie, wypomniał mi, że ja tam po stolicach baluję, a on tu całą sprawę rozumnie załatwił. Teraz tylko, rzekł, poczekać trzeba, aż Zenia wróci i pana Bazylego na gorącym uczynku złapać.*

*Zatroskałam się na to i musiałam mu wyznać, że Zenia już zamężna. Rozzłościł się zaraz, na co nam to było, skoro i bez mariażu rzecz rozwikłana. Co też mnie rozgniewało, bo kto widział Zeni życie narażać i żeby w trwodze bezustannej była, toć już lepiej tego złoczyńcę wtajemniczyć i niech zbrodni poniecha, na co znów Mateusz się uparł, że bez kary być nie może. Na com go spytała, czy jawny zbrodniarz w rodzinie to taki upragniony nabytek i co ludzie na to powiedzą, i czy nie lepiej cichaczem niebezpieczeństwo odsunąć. Rozzłościł się jeszcze więcej, bo to nim zawahało, i całe szczęście, że w łóżku takeśmy się kłócili, bo jest to miejsce, gdzie pogodzić się łatwo. Co też i wreszcie nastąpiło. Rzekł mi jeszcze tylko, że z agentem się naradzi, a ja sobie postanowiłam do Zeni napisać. Co będzie dalej, nie od razu się dowiem, bo wyjechać znów muszę...*

*...babce już lepiej, choć całkiem do zdrowia może nie wrócić. Aż się boje papierowi powierzyć wszystko, co mi wyjawiała...*

W tym miejscu niebotycznie zirytowana prawnuczka pomyślała, że za pomocą ulubionego zielonego atramentu mogła prababcia bez obawy przelewać na papier najkrwawsze nawet tajemnice. Gdyby nie jej własna, Justyny, obowiązkowość, wzmożona upodobaniem do historii, światła dziennego z pewnością by nie ujrzały i żywa dusza o niczym by się nie dowiedziała, nawet gdyby babcia prababci własną ręką wymordowała pół powiatu. Pomyślała o Napoleonie, przetarła oczy

i wróciła do tekstu.

*... aleć sobie napiszę. Jednakże chyba prawdą jest, że cesarz na protoplastkę naszą się połaszczył, zaraz, niechże policzę, wszak to matka babki, dla mnie prababka, przeto byłabym prawnuczką rodzoną Napoleona! No, nie do rozgłaszania to rzecz, boć oficjalnie nikt o tym nie wiedział i przed pradziadkiem tajemnica była, dopiero po jego śmierci mogło co w rodzinie wyjść na jaw. A i to niepewne, babka wyraźnie mi tego nie rzekła. Nie bez powodu jednakże cesarz ją tak obdarował i wachlarz ów, który z panińskich czasów jeszcze pamiętam, a o który cała awantura była, od niego pochodził. Inne klejnoty również, a wyznam, że w wypiekach o nich słuchała. Ach, ujrzeć...! Może i ujrzę...*

*Okropna natomiast jest rzecz z Dominika i słusznie się mówi, że za grzechy ojców cierpią dzieci. Po kądzieli Błędów przechodzi z babki na wnuczkę i dlatego mój będzie. Dominice nic z tego i z niczego. Żal mi jej trochę, ale nic nie poradzę.*

*Kto by to pomyślał, że w czasach dawniejszych takie straszne rzeczy się działy! To już wiem od babki wyraźnie, że króla Poniatowskiego jeszcze młoda pani Błędowska męża do zguby doprowadziła, sam sobie śmierć zadał, a potem znowu syn jej ładacznice sobie znalazł. Ona sama dziecę na boku splecione zadusiła i w ogrodzie je zagrzebali, co się po latach wykryło. A i przodków naszych te Błędowskie zrujnowały, pół majątku na nie stracili i z wysiłkiem pradziadek musiał się wydźwigać. Jak już Błędowscy całkiem upadli, bo co jeden to był gorszy utracjusz, dawno Błędów na Zawadzkich przeszedł, została jedna Dominika, gdzieś tam poniewierana, i babkę litość wzięła. Zabrała ją na łaskawy chleb, a potem na klucznicę, ale legatu poprzysięgła jej nie zostawić i ja też mam przysiąc, że jej nic z sukcesji nie dam. Tylko dach nad głową i chleb niech ma do samej śmierci...*

Wykrywszy tajemnicę ubóstwa panny Dominiki, Justyna odetchnęła z wielką ulgą, bo osobliwością faktu od początku się gryzła. Jakże to, zaufanej gospodyni i w dodatku krewnej sto rubli zapisać i nic więcej...!

Ciekawiły ją dziko owe amory z królewskich czasów, owe zguby romansowych protoplastów i kościotrupki noworodków, ale nadzieja na szczegóły strasznych wydarzeń nawet w niej nie zakiełkowała. Jedynym źródłem wiedzy mógłby być sekretarzyk panny Dominiki, częściowo dopiero przejrzany, ale korespondencji od i do ładacznicy raczej trudno było się w nim spodziewać. Niemniej jeden sekret dał się wyjaśnić i to już było coś!

Ciekawe, swoją drogą, czy panna Dominika znała przyczyny, dla których ją tak dyskryminowano... W diariuszu nie napisała o tym ani słowa...

Wróciła do czytania.

*... żebyż chociaż była urodziwa, ale i to nie! Niby nic wstrętnego w niej nie ma, ale jakaś taka, od dziecka, sztywna jak drewno. I nawet nie bardzo chuda, a kości się w niej czuje. Sama nie wiem... oczki małe, nos duży, usta wąskie a rozciągnięte, włosy nijakiego koloru, a nie bardzo obfite... Od onej pięknej Błędowskiej-ladaczniczki musiała się mocno wyrodzić...*

*Tak się jej przyglądałam, kiedyśmy gadały trochę, przy czym rzekła mi, że o jednym wie na pewno, a to o testamencie jej dobrodziejki, mojej babki. Wie, że zapisu dla niej być nie może, możliwe nawet, że wie dlaczego, ale o tym gadać nie będzie. Ina tym koniec, więcej na ten temat głuchnie i niemieje. Nie nalegałam na nią wcale, od babki wszystko wiedząc, ale tak wyglądała, że jeszcze więcej mi się jej żal zrobiło.*

*Ale co tam Dominika. Babka mi rzekła wprost, że cesarskich podarunków na wierzchu nie trzyma. Różne były wydarzenia, o czym wie każdy, za mojego dzieciństwa bitwy się rozgrywały, nie takie to władze nami rządzą, jak by każdy chciał, różne bezprawia się trafiają, przeto wolą ukryć. Szczególnie, że co, tak mnie spytała mocno zgryźliwie, wędzenia kiełbas miała pilnować w diamentowym naszyjniku? Jak w Paryżu była ostatni raz, jeszcze za życia dziadka, owszem, nie można powiedzieć, czy to w Operze, czy po salonach, dobrze się za nią oglądali, bo jak już się należało pokazać, to się pokazała, miała w czym, ale potem już nigdy więcej. Tylko perły trzyma na wierzchu i nosi, bywa, że pod suknią, bo perły od nienoszenia umierają. A szkoda by ich było.*

*I jeden naszyjnik dała mi zaraz ciepłą ręką, jak nikt nie widział. Podwójny, z diamentowym zapięciem, a w każdym sznurku jedna większa perła pośrodku, czarna. Piękności takiej, że mi dech odebrało...*

Justynę w tym momencie lekko przydławiło. Przecknęła się w niej pamięć, zamajaczyło mętne wspomnienie z dzieciństwa, jak to, przecież te perły ona sama na prababci widziała! Wielka gala w Głuchowie, złote wesele prababci i pradziadka, osiem lat chyba wtedy miała... Ale, jak normalna dziewczynka, na ozdoby stroju zwracała uwagę, matka miała złotą suknię z trenem, ciotka Jadwiga złoty szal, strasznie długi, młoda wówczas Barbara, jeszcze nie wdowa, jakby sztywną kryzę z koronki, złotem haftowanej, jakaś osoba... kto to mógł być...? Suknię w złote kwiaty, ze złotą kokardą... Wszyscy mieli na sobie coś złotego, z wyjątkiem właśnie prababki, która wystąpiła na czarno z perłami na szyi. I tylko wachlarz miała złotem malowany, otóż to, pamiętny wachlarz z rubinem w rączce. No i te perły...

Co też się z tym wszystkim stało...?



No jak to, Boże drogi, przecież pamiętnik prababci powinien udzielić odpowiedzi! Już widać, że prababcia schowała, gdzie, w Błędowie zapewne, chociaż maści na ten temat wszelkimi siłami. Jezus Mario. . .

Chciwie rzuciła się na dalszy ciąg.

*. . . ale masz nosić, rzekła mi, takie suknie wybieraj, by pasowało, młoda jesteś i towarzystwa używasz, zawsze masz być w perłach, chyba żeby najwyżej czasem nie.*

*Bogu w głos podziękowałam, że mam córkę. Więcej ich może będziesz miała, rzekła babka, a wnuczek się spodziewaj, bo sama widzisz, że nie twoja matka po mnie dziedziczy, tylko ty. No i dalej mi rzekła, co z tym skarbem cesarskim zrobiła. Otóż ukryła, ale nie za dobrze i tym się troska. Kryjówka lepsza jest, nie z jej czasów pochodzi, odnowić ją trzeba było i odmienić trochę, a jeszcze prababka o to zadbała. Zaufany sługa jeden to robił, drugi mu pomagał, przysięgę na milczenie o tym składali, sługę zaś znam, był to Szymon. Przecież, że znam Szymona, za dzieciństwa mnie zabawiał, różne igraszki pokazując, a zrobić umiał wszystko. Stary już bardzo i niewiele mu życia, zatem sposób otwarcia kryjówki babka zapisała i te zapiski po jej śmierci dostanę. A i to jeszcze mi rzekła, że dwór cały przerabiany był i odnawiany, za jej matki niby to budowany na nowo, ale na starym się opierał. I stare części mam mieć na uwadze. A czego pilnować najwięcej, to trzech kluczy razem zespojonych na jednym kółku. . .*

*Długośmy tak gadały, dzień, wieczór, a bywało, że i w nocy. O Mateusza mnie pytała, jak mi się z nim żyje, tom prawdę wyznała, że łaska boska była nade mną, kiedym go za męża brała. Kłócić się, kłócimy, ale to chyba jeno dla rozrywki, bo pogodzenie rychło następuje, a owa intercyza, co prawie nieprzyzwoicie została sporządzona, wszelką wolność mi daje. Pochwaliła to bardzo.*

*Z ciekawości o prababkę pytałam, bo mi się wydawało, że musiała być nader piękna, i cóż się pokazało, sama prababka portrety w Placówce zostawić kazała, bo to miejsce pamiątkowe. Jużem nawet nie pytała, kto tam mógł wiedzieć, gdzie i kiedy cesarz wycieczkę sobie zrobił, a z Jabłonny nie tak daleko. . . Postanowiłam sobie przy pierwszej okazji pojechać i zobaczyć. . .*

*. . . tak u babki siedziałam, aż Mateusz po mnie przyjechał i z nim razem wróciłam, a tu znów Zeni sprawy na pierwszy plan wyszły, o czym nic wcześniej słowa nie powiedział, co za człowiek okropny, ale innego męża bym chyba nie chciała. Jednym dniem ta podróż się odbyła, bo konie trzymał rozstawne. Zaraz na drugi dzień do niej pojechałam, już trochę wiedząc o zmianach, bo nie całkiem w tym milczeniu wytrzymał.*

*Pan Bazylu uparty i prędki. Na Zeni powrót wszystko przygotował, mniemając, że sama wróci i zmęczona. Jak to osoba zmęczona, na wieczerzę zje niedużo, kąpiel może weźmie, spać pójdzie, napój ulubiony wypije i boleści jakich nocą*

dostanie, co w alteracji zawsze jest możliwe. Gotowy stał już ten jej sok porzeczkowy, pan Bazyli do proboszcza na mariasza pojechał, by go nie było na wszelki wypadek, a w soku więcej szaleju, bielunia i lulka niż czego innego było. To agent sprawdził, do jakowegoś laboratorium, tak to nazwali, wzięwszy, bo pana Bazylego śledził i widział, jak karafki zamieniał. Jakby to Zenia wypita, możliwe jest, że rana by nie doczekała. Alec ona nic nie wypita, do pana Roztockiego w tajemnicy poszedłszy. A i tak agent pilnował, by napoju do ręki nie wzięła.

Na drugi dzień dopiero owe badania uczynił, sam świadkiem będąc, i tu Mateusz za moją radą poszedł. Pana Bazylego wzięli na stronę, wszystko mu powiedzieli, co wiadomo i co kto widział, a do tego, że Zenia zamężna i testament uczyniony. Tedy co woli, zostać na łaskawym chlebie i ujawnić czyny czy pójść precz, a wówczas nikt nic nie powie dla honoru rodziny. Pan Bazyli bezczelność zaprezentował taką, że się wierzyć nie chce. Oznajmił, że chętnie pójdzie, bo tu widzi, że nic nie zyska, ale dla owegoż honoru rodziny tysiąc rubli żąda, żeby złej pamięci po sobie nie pozostawić. Mateusz mało trupem nie padł, agent go utemperował i na połowie tego stanęło.

Przeto cud zgoła i laska boska, kiedym wróciła, już pana Bazylego nie było i życiu Zeni nic nie zagraża, ale pan Bazyli, człowiek podły, zemścił się i o jej zameściu wieść rozpuścił. Do mnie z indagacją ruszyli, a ja zaraz zaczęłam mówić, jak to wielki spadek w grę wchodzi i pan Roztockki do majątku wrócił, o pośpiech nieprzyzwoity z klauzuli testamentowej wynika. Agent też chyba z żydami sprawę załatwił...

...z samej ciekawości, bo to i o panu Bazylim trochę się rozeszło, nie wytrzymali i wszyscy do Zeni jęli przyjeżdżać, tak natrętnie, że w wielkim pośpiechu musiała karty rozsyłać. Niby to przyganę i potępienie mają na ustach, ale pan Roztockki w rzeczy samej z dobrej rodziny pochodzi i już się mówi, że koniuszym był dla przyjemności, a pani Waldecka nawet wymyśliła, że z dawna Zenię wielbił i z miłości do niej u wujaszka jeszcze się zatrudnił, by chociaż na nią patrzeć z daleka. Wielki romans z tego wynika, że zaś pieniędzmi grubo podszyty, nikt zbytnich fochów nie stroi...

...Mateusz perły zobaczył, które, wedle babki zalecenia, pod suknią nosiła i trochę ze mnie wywlócił, że nie jedyna to rzecz, co po cesarzu ocalała. Napoleona sam odgadł, bom ja przeczytała i przeczę, nie chcąc honoru prababek na szwank narażać...

Dotarcie do końca perypetii Zeni zajęło Justynie tyle czasu, że Pawełek zdążył skończyć studia gastronomiczne, Kościński Jureczek pójść na SGGW, Amelka rozpocząć sprawę rozwodową, Marynka zaś znaleźć sobie narzeczonego. Ciotka Barbara udała się do Szwajcarii w celu uporządkowania swoich spraw finansowych i wróciła niezbyt zadowolona z życia, bo pieniędzy zostało jej ty-

le co kot napłakał. Zofia w Kośminie umarła, ale Jadwiga, podbudowana wnukiem, trzymała się świetnie. Od Ludwika władze miasta zażądały uporządkowania budowli, co było wyłącznie złośliwą szykaną, obliczoną na sprawienie kłopotów, jakiś dostojnik państwowy bowiem chciał nieruchomość odkupić dla siebie. Odnalezione w sejfie i starannie przechowane dolary pozwoliły stawić mu opór. Posiadanie walorów wymienialnych, szczególnie odziedziczonych po przodkach, przestało już być przestępstwem wzbronionym pod karą śmierci, Ludwik zatem podniósł z gruzów dwa pokoje, pokrył dach, odremontował dodatkową łazienkę i zyskał przestrzeń, z którą nie wiadomo było, co zrobić, żeby się nie narazić ustrojowi.

Na szczęście wrócił trzydziestoletni już Darek, syn Ludwika, przywożąc ze sobą młodą żonę z bogatej rodziny. Szczęśliwym trafem uzyskał wreszcie miejsce pracy w warszawskim Instytucie Archeologii i mógł małżonkę przywieźć do stolicy, ponadto zapowiadał się im potomek. Trzy osoby na te dwa pokoje rozwiązywały sytuację.

W charakterze prezentu ślubnego bogata rodzina szarpnęła się na prawdziwy samochód. Był to mercedes. Wstrząs w warszawskiej rodzinie nastąpił potężny, bo przedwojenne samochody, będące niegdyś w jej posiadaniu, przepadły już na początku wojny i ów mercedes błysnął wspomnieniem o dawnej świetności. Całe młodsze pokolenie rzuciło się na kursy samochodowe w celu uzyskania prawa jazdy. Starsze pokolenie w osobach Bolesława, Barbary i Justyny prawa jazdy miało od młodości i wszyscy nawet umieli prowadzić. Owe stare prawa jazdy wciąż były ważne, przewidująca Justyna zadbała o ich odnowienie zaraz po wojnie, tak na wszelki wypadek, i teraz triumfowała, znów zaprezentowawszy dalekowzroczność i rozum. Mercedes to niezły początek, może pojawi się w rodzinie więcej pojazdów mechanicznych...

— Żeby to można było ten samochód jakoś zwyczajnie kupić! — powiedziała z irytacją Barbara. — Ale te przydziały... Jeden Sławek może mógłby dostać.

— Ja mam służbowy — westchnął smętnie Bolesław. — Z kierowcą...

— Samochód! — prychnęła gniewnie Amelia. — Mnie nie stać na przyzwoity powiększalnik!

— Ja bym się za motor nie obraził — mruknął Pawełek.

— Kupić można — pouczył Darek. — Prywatnie, z importu marynarskiego, używane i do remontu. Diabli wiedzą w jakim to stanie.

Ponowne pełne zgromadzenie rodzinne nastąpiło z okazji fetowania młodego małżeństwa. Dodatkowo zamierzano Potępic Marynkę, która zgłupiała zupełnie na tle wyjścia za mąż w wieku lat siedemnastu i przed ukończeniem szkoły średniej.

Z Marynka właśnie Justyna miała najwięcej kłopotu. wyższym wykształceniu dla niej nie próbowała nawet marzyć, wyraźnie było widoczne, że jej córka sięga raczej poziomu umysłowego prababek, a nie młodzieży współczesnej. Ale maturę,

na litość boską, powinna była zdobyć, bo już tego rodzaju papierki zaczynały mieć swoje znaczenie.

Przy stole Hortensji zasiadło czternaście osób. Ludwik z Hortensją niejako u szczytu, Darek ze swoją świeżo poślubioną Joasią, Jadwiga z osiemnastoletnim już Jureczkiem, wpatrzona we wnuka rozanielonym wzrokiem, podupadła na zdrowiu Dorota, Barbara, rozwodzająca się Amelka bez męża, Justyna z Bolesławem i wszystkie ich dzieci: świeżo dyplomowany Pawełek, siedemnastoletnia głupia Marynka i najmłodsza, jedenastoletnia Idalka.

Na samym wstępie Ludwik wygłosił przemówienie.

— Otóż... moi drodzy... miło nam Joasię powitać, a tu mi właśnie moja żona podpowiada, że całe szczęście, że ona jest, bo znów by było trzynastcie osób... Co przynosi pecha...

— Jakiego pecha? — przerwała mu podejrzliwie rodzona siostra Barbara.

Ludwik, speszony nieco, spojrzął na nią żałośnie, ale nie zdążył odpowiedzieć.

— A co, nie pamiętasz, jak przy trzynastu osobach ostatnie brukselskie koronki Dorocie się zniszczyły? — wtrąciła ze zgorszeniem Hortensja. — Wszystko się wyślukło, jedna ruina na stole...

— A...! No może... No dobrze, dobrze, mów dalej.

— Zapomniałem, co miałem powiedzieć — wyznał Ludwik z rozbrajającą szczerością. — No, rodzina nam się powiększa... Nie, nie to. Dzieci rosną...

— Pieniądze przeciwnie — podsunęła usłużnie Barbara.

— Pieniądze przeciwnie — powtórzył Ludwik i westchnął. — Ale i tak miło nam... No, miło nam ogólnie. No to... jak by tu... wasze zdrowie!

Część oficjalna została zakończona, można było przystąpić do części rozrywkowej. Barbara, Dorota i Amelia obdarzyły uwagą onieśmiałą nieco Joasię, Pawełek, zainteresowany produkcją artykułów spożywczych, uczeplił się Jadwigi i Jureczka, Ludwik informował Bolesława o kwestiach końskich, Marynka próbowała znaleźć sprzymierzeńca w świeżo ożenionym Darku, Hortensja zachęcała wszystkich do jedzenia, Justyna gapiła się intensywnie na wciąż poczerniały i wręcz nierozpoznawalny portret pra-prababci, nie słuchając, co się do niej mówi. Idalka grzecznie milczała.

— Wujku, czy tej prababci nie można by wreszcie jakoś trochę umyć? — spytała nagle jej matka. — Wujku Ludwiku! Czy nie oddać prababci do renowacji? To chyba nie może drogo kosztować...? Wujku Ludwiku!

Ludwik z pewnym wysiłkiem oderwał się od opisu narodzin niezwyklego źrebca płci żeńskiej w hodowli Moszna, przez parę sekund przypominał sobie, kto też był prababką owej kłaczkii cudownej urody, przelotnie zdziwił się koniecznością jej mycia, po czym zrozumiał pytanie ciotecznej siostrzenicy. Skierował wzrok na ścianę.

— A, prababci... No owszem, może... Ale...

— I pradiadka. Skoro prababcia specjalnie podkreślała te portrety w testamentie, powinno się chyba o nie zadbać? Ciocia Hortensja sama mówiła, że testament rzecz święta...

— No mówiłam — przyznała Hortensja z lekką niechęcią.

— Joasiu, tych grzybków spróbuj... Tak uważam. Toteż się zadbało, tu wiszą bezpiecznie.

— Ale czarne...

— A czy to się da umyć? A jakby się przy myciu zniszczyły...?

— Co też ciocia mówi, teraz wszystkie obrazy podlegają renowacji, to znaczy oczyszczeniu, i nic im to nie szkodzi — wtrąciła niecierpliwie Amelka, mająca liczne pośrednie kontakty z dziełami sztuki, i natychmiast wróciła do pogawędki z Joasią.

— Musi to kosztować — powiedziała Hortensja.

— Nawet jeśli, to chyba nas nie zrujnuje? — zauważyła Barbara.

— Jak kogo. Cośmy mieli, na dom poszło.

— Nie mogę się mądrzyć, bo nie mam pieniędzy — powiedziała cierpko Justyna. — Ale w końcu prababcia z pradiadkiem to nie są tylko moi przodkowie. Cała ich rodzina tu siedzi.

Ludwik się zakłopotał. Czuł się poniekąd głową tej rodziny, ale przecież Dorota była starsza. Skierował na nią niepewne spojrzenie.

— Ja też nie mam pieniędzy — oznajmiła Dorota z godnością. — Jestem u kuzyna na łaskawym chlebie. A moja córka pozostaje na utrzymaniu ciotki...

Na to energicznie obruszył się Bolesław, przypominając z naciskiem, że on pracuje i jak na dzisiejsze czasy całkiem nieźle zarabia. Jego siostra też pracuje i też zarabia jako tako. Justyna z pewnym wysiłkiem powstrzymała się od skromnej uwagi, że te świetne zarobki pozwalają im jeść, ale nic więcej, gdyby nie Barbara, obuwie musieliby zapewne robić sobie z łyka. Barbara oderwała się od Joasi i wzięła udział w rodzącej się scysji, przypominając, że od końca wojny wszyscy żerują na Jadwidze, a obecnie także i Jureczku, inaczej bowiem całe życie marnowali by w ogonkach po mięso. Jadwiga machała ręką i wspaniałomyślnie przeczyła, Jureczek zaś, zmartwiony, próbował powiadomić rodzinę, że właśnie całe gospodarstwo przestawia na witaminy, sad i szklarnie, więc z mięsem sam może mieć kłopoty. Hortensja rzewnie wzdychała, wspominając swoje mienie po przodkach, które w całości przepadło, poza tym co na sobie, a posag przecież miała piękny. Prababcia z pradiadkiem poszli w zapomnienie, dyskusja twardo zaparła się na pieniądzech.

Najgorzej w rodzinie wyglądała Dorota, teoretycznie żyjąca z nader skromnej emerytury po Tadeuszu, oraz Justyna z Bolesławem i trojgiem dzieci. Poza pensją Bolesława, nie mieli właściwie nic, bo Błędów już dawno przepadł.

Jadwiga jednakże była jednostką szlachetną. Aczkolwiek wpatrzona w Jureczka niczym w obraz święty, drapieżna i chciwa dla niego, zmogła się jednak i obja-

wiła uczciwość. Mężnie przypomniała wszystkim, że Kośmin ma wszak po matce, a tej samej matki córką i jej siostrą rodzoną jest przecież Dorota. I tak naprawdę, chociaż po wojnie trzeba było różne głupoty zaświadczać, pół Kośmina do Doroty należy. Pewnie że dzielić tych dwudziestu hektarów nie będą i Dorota nie pójdzie teraz drobiu karmić i jabłek z drzewa zbierać, ale połowę dochodu dostawać powinna. Na to zaprotestowała sama Dorota, rzetelnie przyznając, iż ów rosnący dochód nie jest jej dziełem, wszystkie zasługi Jadwidze przypadają, obecnie także Jureczkowi, więc połowy nie przyjmie, choćby ją zabili.

— Byłby to bardzo oryginalny motyw zabójstwa — zauważył Pawełek w zadumie. — Ofiarę zamordowano, bo nie chciała pieniędzy.

— Ależ ja chcę pieniędzy — obraziła się Dorota, jakby ją posadzono o nieprzyzwoitość. — Ale rodzonej siostry wyzyskiwać nie będę. Nawet dla córki własnej tego nie zrobię!

— O córkę tak znowu bardzo trząść się nie musisz — mruknęła sucho Barbara.

— Słusznie mówisz — pochwaliła równocześnie Hortensja.

— Połowa to nie, ale ćwierć możesz dostać. . .

— Ćwierć tośmy już dawno wszyscy dostali w tym mięsie, serach i całej reszcie!

— Ale pieniędzy ani grosza — rzekła surowo Jadwiga.

— Teraz dostaniesz. I wycenimy to jak należy, żeby Jureczek mógł cię spłacić. Jednorazowo może tymczasem nie da rady, ale ratami. I Justynka w tym, i Boleczek, i wasze dzieci, więc niech to się nie płacze, żeby Jureczek w długi nie popadł.

Po krótkim namyśle rodzina zaaprobowwała propozycję i doznała wielkiej ulgi. Wszystkim wydało się nagle, że trudności finansowe znikły całkowicie i nie ma czym się przejmować. Ludwik wrócił do beztroskiej pogawędki z Bolesławem o koniach, włączył się w te końskie sprawy Jureczek, Pawełek snuł marzenia o prawdziwej, zachodniej Europie, bo pracę wprawdzie miał już zapewnioną, i to gdzie, w hotelu Europejskim, jako zastępca szefa kuchni, co, rzecz jasna, załatwiła mu Barbara, ale wołał wielki świat. Justyna tłumaczyła Hortensji, że chce obejrzeć oblicze prababci i przekonać się, czy istotnie piękną sięgała cesarskich szczytów, Dorota wyrażała zgorszone powątpiewanie co do umizgów napoleońskich. O Marynce prawie zapomniano, ale ona sama lekkomyślnie zwróciła na siebie powszechną uwagę.

— Jak tak — powiedziała zniechęcona — to i na mój ślub wystarczy. Na suknię i na welon. A wesele tu się może odbyć, nieduże.

Rozmowy na tematy uboczne zgasty w pół słowa, jak nożem uciął. Justyna oderwała się od urody frywolnej prababci.

— Idalko, zobacz, jak tam babcia urządziła nowe pokoje na górze — poleciła głosem łagodnym, ale z wielkim naciskiem. — Jeszcze ich nie widziałas.

— Widziałam — odparła Idalka uprzejmie. — Ale mogę obejrzeć jeszcze raz.

- I pooglądaj sobie z góry ogródek — poradziła życzliwie Barbara.
- No właśnie — poparł żywo Pawełek. — O tej porze roku, w listopadzie, jest po prostu przepiękny.
- Idalka łypnęła jakoś dziwnie okiem, ale grzecznie spełniła polecenie. Dorota popatrzyła za znikającą na schodach wnuczką.
- Rychło w czas — zganiła córkę. — Kto to widział, przy młodej panience o amorach Napoleona plotkować. . .
- Postać, bądź co bądź, historyczna — pouczył łagodząco Ludwik. — Cezar i Kleopatra to też nie najlepszy przykład moralności, a jednak młodzież się uczy.
- I niesłusznie. . .
- Czy to znaczy, że mam zawrzeć taki związek, jak Cezar z Kleopatą? — spytała gniewnie Marynka. — Ja mogę, dlaczego nie. Ale mieszkać będziemy razem!
- Ciekawe, gdzie? — zainteresowała się Hortensja.
- U niego. On będzie miał mieszkanie, bo ich dom jest do rozbiórki, to ruina przy Koszykowej. I na małżeństwo rozwojowe dadzą trzy pokoje. A ja będę miała dziecko.
- Jezus kochany. . . — wyszeptwała wstrząśnięta Justyna, której nagle ze świstem przeleciała przez umysł panna Zarzecka. — O tym mi nie mówiłaś. . . !
- Nie miałam kiedy. Mama wcale nie słucha, jak się do mamy mówi. Tylko jakąś Zenię sprzed stu lat mama morduje.
- Kto to w ogóle jest ten młody łajdak, jej narzeczony?! — zdenerwowała się Dorota.
- O, proszę babci, tylko nie łajdak. . . !
- Student politechniki, wydział elektryczny, prądy słabe — wtrąciła się rzeczowo Amelia. — Już kończy, jest na ostatnim roku. Z bogatej rodziny, cztery pokoje mają, przy rozbiórce ich rozparcelują, ale za nowe mieszkanie trzeba będzie zapłacić. Ja ich znam, był ślub córki i zdjęcia robiłam. Na zamówienie, tanio im nie wypadło.
- Jakiej córki? — zainteresowała się Hortensja.
- Ich córki. Siostry tego narzeczonego, jak mu tam. . . ? A, Januszek.
- Stać ich było. . . ?
- Jeszcze jak. Całą wojnę przyszły teść w Anglii przesiedział, na wysokim stanowisku pracował, jakaś wielka figura naukowa, ale patriotycznie wrócił. Konto w londyńskim banku ma legalnie.
- Skąd to wiesz?
- No jak to, znam go przecież. Więcej z niego wydołam niż ta zakochana idiotka. Całą rodzinę znam.
- Mieszczaństwo. . . — wyrwało się Dorocie.
- No to co, że mieszczaństwo? Za to bogaci. . .
- Dużo ich tam, w tej ruinie do rozbiórki? — spytała Podejrzliwie Barbara.

— Pięcioro. Teściowie, siostra z mężem i Januszek. Jeśli z żoną, to trzy rodziny, i mają prawo do trzech mieszkań.

— W takim razie niech biorą ten ślub — zdecydowała stanowczo Hortensja. — I tam u nich będzie mieszkać. A pieniądze, jak widać, już się znajdują, nikt nie powie, że ją wziął w jednej koszuli!

— Ależ, ciociu, przecież ona ma siedemnaście lat. . . !

— A ile miała ta prababcia, której pamiętnik, chwalić Boga, od dwudziestu lat czytasz?

— Nie od dwudziestu, tylko od osiemnastu. Siedemnaście miała, ale to były inne czasy!

— A szkoła? — spytała surowo Barbara. — A matura?

— A na co jej ta matura, na uniwersytet przecież nie pójdzie. . .

— Ależ mówię przecież, szkołę musi skończyć, maturę zrobić! -jęknęła rozpaczliwie Justyna. — Ostatnia klasa! Jeśli wyjdzie za męża, wyrzucą ją!

— Jeśli urodzi nieślubne dziecko, też ją wyrzucą — zauważyła rozsądnie Amelka.

— Urodzę — zapewniła z uporem Marynka. — I nikt mnie nie zmusi, żeby nie.

— W dawnych czasach gdzieś by się ją wywiozło i do czasu ukryło, świat by się nie dowiedział i ludzie nie gadali — powiedziała posepnie Dorota. — A teraz co? Wszystko jawne i taki wstyd. . .

— W Kośminie może. . . ? — podsunęła nieśmiało Jadwiga.

— W Kośminie też matury nie zdam — zarzekła się Marynka.

Justyna wyłączyła się nagle z dyskusji, bo historia panny Zarzeckiej rzuciła się na nią z okropną siłą. Desperowała ta kretyńka po amancie, ciekawe, czy jeszcze coś o niej w pamiętniku prababci będzie. . . Zachwiała się w potępieniu głupiej córki, nie ona pierwsza, nie ona ostatnia. . .

Barbara, przyzwyczajona do samodzielnego rozstrzygnięcia rozmaitych problemów, podjęła decyzję i rozwikłała sprawę.

— Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Wyglupiała się, trudno, przypało. Niech biorą ten ślub, niech zamieszkają w ruinie, a ona skończy szkołę dla pracujących. Na ostatni rok pójdzie i maturę zrobi. Pod tym warunkiem ja się zgadzam i do mieszkania, jakby co, dołożę.

— To ja wesele zrobię — zaofiarowała się Hortensja z zapałem wręcz nieprzyzwoitym, ale nie zdołała się powstrzymać i ukryć prawdziwych uczuć. Uwielbiała urządzać przyjęcia, a tak mało było uzasadnionych okazji!

Nastawiona na znacznie większy opór Marynka stłumiła zdumienie i padła na szyję wszystkim ciotkom i babkom. Prezentacja narzeczonego odbyła się zaraz nazajutrz. Wrażenie zrobił doskonałe, kindersztubą się wykazał, maniery miał nieskazitelne, języki obce znał, może podejście do życia prezentował trochę zbyt



optymistyczne, ale w końcu pogoda ducha to nie wada. Była nadzieja, że jakoś z Marynką wytrzyma.

Puścić córkę w zamęcie całkiem bez wyprawy, w obliczu pamiętnika prababci, było dla Justyny nie do pomyślenia. Mogła sobie Amelia wywijać numery, pełnoletnia i samodzielna finansowo, pozbawiona matki, ale Marynka sierotką nie była, a czasy już nastały pokojowe. Musiała zostać zaopatrzona, i to tak, żeby wzbogacone mieszczaństwo nosa nie zadzierało. Lektura, a z nią razem i portrety poszły w zapomnienie, strój ślubny został nabyty w Pewexie za pieniądze Barbary, ale o rozmaite prześcieradła, ręczniki i wyposażenie osobiste Justyna musiała sama zadbać. Marynka, zmuszona trzymać się szkoły aż do końca półrocza, wielką pomocą nie służyła, mimo iż o jej przyszłość chodziło. Wszystkie komplikacje zaopatrzeniowe spadły na Justynę.

Ślub odbył się hucznie w kościele świętego Michała, Marynka istotnie zamieszkała u teściów, ale niedługo był spokój, bo owa rozbiórka ruiny okazała się prawdą. Młode małżeństwo zdobyło własne mieszkanie i Marynce należało z kolei pomóc w meblowaniu domu. Potem urodziła się Ewa, potem Pawełek ją się wybierać w podróż do Francji, potem zdecydowała się ponownie wyjść za mąż za kolegę po fachu i wspólnie urządzali sobie atelier fotograficzne na jakimś strychu, potem Ludwik zleciał z konia i złamał rękę, należało go obsługiwać i pielęgnować, a we wszystkich tych przedsięwzięciach wydatna pomoc Justyny okazywała się niezbędna. Wciąż była młoda, wciąż nie pracowała zawodowo, wciąż dysponowała czasem i uparcie wykazywała rozsądek, opanowanie i równowagę. Szukała mebli dla Marynki, doradzała Amelii, załatwiała Pawelkowi, pocieszała Hortensję, siedziała przy Ludwiku, woziła go do ukochanych koni. . .

Do pamiętnika prababci zdołała wrócić po dwóch latach przerwy, czując się tak, jakby wstępowała do raj.

*. . . znowum tydzień cały w Błędowie przebyła, bo z babki życie już uchodziło. Instrukcje na kartkach małych spisałam, bom ze sobą pamiętnika mojego nie wzięła, w pośpiechu tam jadąc. Najgorsze zaś, że pamięć jęła prędko bardzo tracić, jakby trochę paraliżem rażona, przez co sama już nie wiem, co mi z sensem rzekła, a co pomyliła. Com zrozumiała, to spełniłam, na jej polecenie niewyraźne zapiski odnalazłam, pokazuje się, że jeszcze po nieboszczce prababci, które w sekretnej szufladzie sekretarzyka spoczywały. Te mi kazala zachować, alem ich odczytać tak zaraz nie zdołała.*

*Tak mi się wydawało, że coś pozmienić zaleciła. Od razum sobie pomyślała, że ktoś tam mógł co widzieć albo odgadnąć, i zaraz postanowiłam precjoza ukryć po swojemu, chociaż wahałam się, czy nie brać ze sobą do Głuchowa. Znów w Głuchowie kryjówki żadnej, a to rzeczy lakome. I znaczne, tabakiera z wizerunkiem cesarza chociażby. . .*

*... na mnie spadło wszystko, jako na spadkobierczynię jedyną, babka Bogu ducha oddała, a jam musiała honory domu czynić i o pogrzebowe uroczystości zadbać, com rzetelnie i jak należy uczyniła, aż mi nawet matka moja komplement powiedziała, że nie spodziewała się po mnie takiej gospodarności. Uwagi różne czyniono, bardzo dwuznaczne, i dobrze jeszcze, że nikt nic nie ukradł, co jest za usługą Dominiki, która na cudzą służbę miała oko. Bo z naszych, to pewne, nikt by szpilki jednej nie tknął. Potrawy zadysponowałam z wielkim namysłem i staraniem, szczególnie tort migdałowy niezwykle dobrze wyszedł...*

Opis uczty pogrzebowej zajął Matyldzie zaledwie dwie strony, za to detaliczne wyliczenie strojów żałobnych rozciągnęło się na pięć, bo świeżo z Paryża przybyła dalsza powinowata, niegdyś panna Klaryssa, obecnie baronowa Gardan, nową modę na czarne koronki z aksamitem łączone przywiozła. Ponadto ciotka Klementyna z czeluści swoich szaf wygrzebała ozdobę iście cmentarną, mianowicie trupie główki z kości słoniowej misternie wykonane, budzące zarazem uznanie, trochę zawiści i lekkie obrzydzenie.

Zaraz po pogrzebie Matylda, pozbywszy się gości i rodziny, pokłóciła się z Mateuszem.

*... od razu mu rzekłam, że tak prędko odjechać nie mogę. Nie dość, że zastawę ową srebrną z ludzkich oczu usunąć musiałam, to jeszcze zmiany, z babką umówione, wprowadzić. A wolałam uczynić to sama, nawet Mateuszowi nie mówiąc, za co się na mnie rozżłościł. Wracać musiał, interesów i gospodarki dopilnować, bo w gorącym czasie pogrzeb babki wypadł, z czego byłam bardzo zadowolona. Bez wyrzutów sumienia, bo moja to sprawa, a nie jego, oszukałam go, że w dwa dni po nim przybędę, a nieprawda, bo blisko miesiąc jeszcze siedziałam w Błędowie.*

*Zrobiłam co trzeba i pogodziłam się z nim po powrocie, po awanturze wielkiej, bardzo ogorzłej zakończony, na co wcale nie narzekam...*

*... ciągiem niespokojna, czy tam się co złego nie stanie. Służbie wymówiłam, zostawiając jeno kilkoro najbardziej zaufanych, reszta poszła precz. Klucze sklepać razem kazałam już tu u siebie... Z tych wahań wszystkich niepotrzebnie chyba zastawę zabrała, a szczególnie wagę ową, kamieniami ozdobioną, bo zbyt cenna to rzecz, żeby ją na stoi dla byle kogo stawiać. Choć z drugiej strony Napoleona w niej nie widać, starsza od cesarza o wiele, mówiła świętej pamięci babka, że z renesansowych czasów pochodzi, czy ja wiem... Ale już same rubiny, diamenty i szafiry w niej swoje znaczenie mają. Tak mi się widzi, że nikt czegoś podobnego nie posiada, no to przecież w kredensie jej trzymać nie będę. Chyba ziem uczyniła...*

*... tylko perły sobie zostawię, a jakby zaszła potrzeba, osobiście po klejnoty pojedę...*

W Justynie znów coś drgnęło. Co w końcu z tymi klejnotami...?

*... z tego wszystkiego ogórków muszę sama dopilnować, żeby mi twarde wytrzymały do wiosny. Żeby nie te roboty, już bym pojechała. Cała pociecha, że tu szumi skandalem bardzo śmiesznym, bo pani Lipowiczowa Zeni adoratora sobie znalazła. Toć ona ma najmniej czterdzieści lat, a może to być, że i pod czterdzieści pięć podchodzi, choć się tylko do trzydziestu czterech przyznaje. Wedle moich wyliczeń, te trzydzieści cztery trzymają się jej już od lat dziesięciu i na krok ruszyć nie chcą. Chociaż to muszę przyznać, że twarz ma gładką, zmarszczek bardzo mało, a figurę, choć nadto w ciało zasobną, to jednak kształtną.*

*Zosieńki mojej to dzieło bezwiedne, bo sama do Zeni swojego rządcę wysłała, kiedyś jej rzekła, że pan Roztocki ową zapuszczoną majątność, rzekomo odziedziczoną, miast sprzedać, podnieść usiłuje i jakieś nowe sposoby stosować zamierza. A że pan Henryk swoim przemysłem zajęty, Zosia by chętnie gospodarstwa dopilnowała, rządcą kierując. Wysłała go tedy do pana Roztockiego, ale tak się złożyło, że, w nieobecności chwilowej państwa, pani Lipowiczowa go przyjęła i z samych nudów rozmową zabawiła. Rządca zaś od pierwszego wejrzenia na umór się w niej zakochał. Tak wnioskować można, bo jak szalony tam jeździ, godzinami całymi przesiaduje i tylko na panią Lipowiczowa czyha, a ona też nie od tego. Niby udaje, że oburzona, ale każdy widzi, jak aż podryguje do niego, i tak myślę, że chętnie by na swoje poszła, choćby i do gorszej sfery. Śmiech z tego i zgorszenie, bo pani Lipowiczowa z dobrej rodziny, już przez pierwszy mariaż niżej zeszała, a teraz jeszcze schodzi. Ale znów mówią, że Zosiny rządcą nieźle się u niej podkarmit i na pieniądzach siedzi...*

*... Okropne rzeczy się teraz dzieją i wszyscy narzekają, że honor szlachecki całkiem upada, córki się daje byle komu, a synów z byle kim żeni. A czy ja wiem, młody Edzio Waldecki kupcówną sobie znalazł i już całe towarzystwo przysięgało, że jej nie przyjmą, krzyki były, chociaż na odległość, bo w Warszawie ślub brali, a potem cóż wyszło? Pałac odnowiony, splendory wielkie, a jak z podróży poślubnej wrócili, wszyscy polecili wizyty oddawać z ciekawości i prosię. Aż uciechę z tego miałam. Przy owej kupcównej nasze panny i panie niczym sługi się prezentowały, bo i stroje, i maniery, i wzięcie całe księżniczki prawdziwej. A panna Potocka okazuje się przyjaciółką jej od serca, najlepszą. Piękna bardzo średnio, żaden cud, za to na grubo wyzłocona i obyta w świecie jak mało kto. I muszę powiedzieć, że wcale nie głupia...*

*... druga awantura okropna! Późnym wieczorem z nagła ktoś nam do drzwi*

zakolatała, ale że wszyscy w domu, tom się nie wystraszyła. Tymek poszedł otwierać, ile że z lokai najsilniejszy, a Wawrzyniec przy fuzji na wszelki wypadek stanął, a tu nie złoczyńca, tylko Wiesia Szeliżanka sama jedna, na piechotę i ledwie żywa. Do nóg mi padła, we łzach cała, mniemałam, że oszaleć musiała albo jakie straszne nieszczęście się stało, słowa z niej dobyć nie było możliwości, może pożar, może napad jaki, razem z Mateuszem, z Klarcją, z niewiastami Wszystkimi do przytomności ją doprowadzić żeśmy się starali, Mateusz chciał po doktora posyłać, na to dopiero wyraźnie krzyknęła, że nie! Nie! Aż Mateusz cierpliwość stracił i kielich duży gorzałki wlał w nią prawie siłą. Tu wreszcie, dech odzyskawszy, trząść się przestała i mówić zaczęła.

Odrzazum się połapała, że to nie dla ludzkich uszu, i wszystkich z gabinetu wyrzuciłam. Oto powszechnie wiadomo, że Zenia w swoich nieszczęściach do mnie przybiegała i jam ją wspomagała w perypetiach, przeto i Wiesia toż samo uczyniła, a i do nas najbliższej miała. Z pomieszaniem wielkim wyznała mi, że upatrzyła sobie już całkiem nie wiadomo co, kierownika cukrowni parunastu, co nowe buduje i wszystkimi zarządza, w spółce będąc z właścicielami, a od jej ojca na te cele ziemi kawałek kupował i tak się poznali. Zakochała się w nim śmiertelnie, a on w niej, oświadczyć się nawet ośmielił, na co ojciec w gniewie szalonym zapowiedział, że prędzej córkę ze świata zgładzi niż gołodupcowi odda. Tym się wcalem nie zdziwiła, stary Szeliga wysoko mierzy, synową sobie znalazł z Konicpolskich, a tu nagle jakiś Potyra nie wiadomo skąd, robotnik prosty. Tom jej zaraz rzekła, mocno zgorszona, na co Wiesia porwała się z krzykiem, że nic podobnego, pan Potyra jest stara szlachta, choć nie z magnatów, i nie żaden robotnik, tylko człowiek wysoko ukształcony, co szkoły kończył w Wiedniu i w Berlinie i wcale nie nędzarz i nie wyrobnik, w połowie swoją własnością zarządza i żyć ma z czego. Całą tyradę do mnie wygłosiła z ogniem wielkim, a do tego jeszcze, że bez żadnego posagu ją weźmie.

Tum ją spytał, czy ojciec wie, że bez posagu, bom pomyślała, że u Szeligów jeszcze trzy córki, prócz najstarszej zameżnej, o której powszechnie wiadomo, że się ojciec dla niej potajemnie wykrwawił, żeby ją za hrabiego Strumińskiego wydać. Tedy dla innych wiele mu zostać nie mogło i może z tego coś być. Wiesia mi na to rzekła, że o posagu wcale jeszcze nie było mowy, bo na pierwsze słowa pana Potyry ojciec za szablę złapał, którą zerwał ze ściany, ale szczęściem pochwa to sama była bez ostrza w środku, czym się bardzo skonsternował, przeto do krwawych zająć nie doszło. Krzyk się zrobił wielki i pan Potyra uciekł. Słowem więcej o nim odezwać się nie wolno nikomu.

Ale się obydwójce uparli i spotykali w sekrecie, żeby narady odbywać, jak by tu o tym posagu ojca powiadomić, bo Wiesia wie dobrze, że na wywianowanie reszty córek pieniędzy już nie ma. Tedy dobrze zgadła. Przez ojca ambicje, tak rzekła dalej, starymi pannami wszystkie zostaną i albo do klasztoru pójdą, albo na lasce siedzieć u siostry i brata. I szczerłość z niej nagle taka wybuchła, żem niemal

w podziwieniu wpadła, nadzwyczajnie piękna to żadna z nich nie jest, sama widzę, tak mi rzekła wprost, nawet hrabia Strumiński nie na Marię polecał, tylko na ten posag ogromny, który ojciec dla niej wydtubał z krzywdą reszty córek, jeśli się zatem taki znalazł, co ją chce, a w dodatku ona go kocha, no to pójdzie za niego, żeby nie wiem co. I niech się ojciec jej posagiem udławi i hrabia Strumiński też.

A co matka na to, spytałam, na co Wiesia rzekła, że wiem przecież, jak matka ojcu podlega i sama od siebie na nic się nie ośmieli, tyle że splotała się nad nią i nic więcej. Matka by się zgodziła, a teraz trzeba tylko jakoś ojcu o tym posagu powiedzieć, że pan Potyra choćby i z milionów go chętnie skwituje.

No i teraz dopiero powiedziała, skąd się u nas tak raptownie wzięła, prawie nocą i sama. Oto z panem Potyra konferowali, jak ich stary Szeliga naszedł i niby to nic, bardzo grzecznie powiedział, że pana Potyry w gości nie prosił, więc niech sobie idzie, a córkę do domu zabiera, co mu wolno. Wiesia od razu złe przeczucia miała, a ojciec aż pęczniał w sobie i jak tylko pan Potyra na konia wsiadł i znikł z oczu, wreszcie wybuchnął. Sądny dzień się zrobił, do skarbczyka ją ciągnął, zamknąca na cztery spusty, a tam kraty w oknach i nijak by nie uciekła, na wszystkich gromy ciskał, matce klucze z rąk leciały, tedy w tym zamieszaniu Wiesia wyrwała się i jak stała, uciekła. Bała się do stajni po konia lecieć, więc uciekła na piechotę i tak do nas trafiła, bom jej po drodze na myśl przyszła.

Zakłopotala mnie okropnie. Osiemnastu lat jeszcze nie skończyła i ojciec pełną władzę ma nad nią. I zgorszyłam się mocno w pierwszej chwili, bo też istotnie takich Potyrów sobie wynajdywać, to już nadto, alem powoli inaczej myśleć zaczęła. Prawda to, że wielkiej urody w Szeliżankach nie ma, gospodarne, owszem, bo tego ojciec żądał, żeby dom wszystkie w małym palcu miały, ale nic więcej. Talentów żadnych, ukształcenia tyle co kot napłakał, a w dodatku pieniędzy wcale. Kto je weźmie? Ma Wiesia rację, że starymi pannami zostaną na taskawym chlebie. A teraz takie czasy...

I zaraz przypomniła mi się panna Celestyna, co z piętnaście lat temu, jak jeszcze dzieckiem byłam, za mąż nie poszła za doktora. Panna Celestyna z senatorskiego rodu, tyle że uboga, ze starą ciotką na resztkach siedziała, ledwo mając co do ust włożyć, i tak samo nie bardzo urodziwa. Tylko głos miała piękny i jak śpiewała, aż serce rosnęło. Doktor z Grójca się w niej zakochał, człowiek majątny, wykształcony, powierzchowności przyjemnej, ale bardzo miernego pochodzenia, nie wiadomo było nawet czy nie z chłopów. Pannie Celestynie też do serca przypadł, co z tego, wystraszyła się, co też ludzie powiedzą, i odmówiła, choć sama sobą dysponowała. I tak się rozeszło. Dopiero com o niej od kogoś słyszała, stara już i nieszczęśliwa okropnie, u obcych się poniewiera, młode panienki muzyki i śpiewu ucząc, i trochę się wydaje jakby pomyłona.

Przeto się przy tej Wiesi wahać zaczęłam, a ona jak w obraz we mnie patrzyła. Do jutra kazałam zaczekać wreszcie, a jakby ojciec tu wpadł w poszukiwaniach, sama z nim pogadam. Mateusza na pomoc wołać nie chciałam, bo dla niego pan

*Potyra to też coś gorszego i możliwe, że po stronie Szeligi by stanął, a ja sama jeszcze nie wiem...*

*... że mu nasz dom akurat do głowy nie przyszedł i tu jej nie szukał, karetę wzięłam i pojechałam, Wiesię u nas zostawiając. Uprzejmie bardzo mnie przyjął, sam na sam, choć widać było, że się w nim wszystko gotuje. Tom pomyślała, brać byka za rogi, i wprost poczęłam, bez owijania w bawełnę, jaki też to posag swoim córkom przeznaczą. Trzeba powiedzieć, że gębę otworzył i jakby zbaraniał.*

*A śmiałość miałam do niego, bo we wczesnej młodości mojej, ledwie dorosta, zawsze miał do mnie upodobanie, wielkie względy mi okazywał i szarmancki był aż nadto. Do rączek całowania się brał i popregi bez żadnej potrzeby poprawiał przy każdej sposobności. Gdyby tak, nie daj Boże, we wdowieństwo popadł, pewno by o mnie konkurował, nie bacząc na córki i syna, szczęście to, że pani Szeliżyna, choć niepozorna, zdrowie ma żelazne. I tak mu te sentymenty zostały, na com liczyła.*

*Aż wreszcie głos odzyskał. Moja mościa panno, tak huknął na mnie, zapomniawszy z cholery, że dawno zamężna i matka dwojga dzieci, cóż ci do moich córek posagu, co to w ogóle za napaść, cococo, jakoby kwoktał i bełkotać począł, poczerwieniawszy okropnie. Więc mu rzekłam, że czas prędko leci i tylko patrzeć, jak będę musiała własne dzieci wywianować, to jedno, a drugie, może wszak się przy trafić, że dla której jego młodszego epuzera znajdę i powinnam wiedzieć, co mu o pannie rzec. A do niego sentymentu mam wielkie, przeto z przyjaźni i sympatii przychodzę. I tak popatrzyłam, że mu zaraz te wielkie gniewy przeszły, o córkach zapomniał i ku mnie posunął, ale że z natrętami umiem sobie radzić, nic mi to nie szkodziło. Mało co o szampana nie wołał, by z pantofelka mojego wypić, i tak mi jakoś rozparzonego byka na myśl nasunął, alem odrazy żadnej po sobie nie pokazała i do owego posagu wróciła.*

*Tak od słowa do słowa, wreszcie mi wyznał, że młodsze córki nic nie mają i sam nie wie, co z nimi robić. Tum koło pana Potyry ogródkami jeła chodzić, aż stanęło na tym, że niech sobie Wiesia z nim ucieknie. Pan Szeliga zgody nie wyrazi, boby mu przez gardło nie przeszło, ale jak klamka zapadnie, klątwy nie rzuci. Dyplomatycznie zwróciłam mu uwagę, że tym sposobem pozór niedania posagu będzie miał doskonały. To mu się spodobało, bo do zubożenia za nic przyznać się nie chce...*

*— Z dobrą wieścią do Wiesi wróciłam, a tu cóż się pokazało? Pan Potyra, bezczelny -chyba czy co, bo się krzywi i waha. W jednej koszuli ją weźmie, akurat, gadanie takie, wkręcić się chciał do lepszej sfery i na jakieś wiano w gruncie rzeczy liczył. Wiesia głupia, ciągle go kocha i powiada, że prędzej-później nie z ojcem, to z matką rzecz załatwi, bo matki sumy posagowe tak czy inaczej dzieciom się należą, a pan Szeliga ich nie przetrącił. Nie utracysz z niego wielki, tylko na dwoje starszych tak się wyekspensował...*

*... zła byłam taka, że coś okropnego, a jeszcze Wiesia języka nie utrzymała*

*i wyszło na jaw moje pośrednictwo. Z Mateuszem pokłóciliśmy się okropnie, bo to się ze mnie naigrawał, to wyrzuty czynił, to jadownicie pytał, jakimi też sposobami pana Szeligę łagodziłam, to się w ogóle awanturował. Ale pan Potyra poszedł po rozum do głowy i widocznie powinowactwo z hrabią Strumińskim spodobało mu się więcej niż posag, bo w końcu z Wiesia uciekli, nie bardzo się kryjąc i nie bardzo gonieni. . .*

Mozolnie odczytując całą historię głupiej Wiesi, Justyna niemal zapomniała, że szuka w tych zielonych bazgrołach wieści o klejnotach prababci. Przepisywała już tekst na maszynie, zdobytej przez Barbarę jakimś tajemniczym sposobem. Wciągnęły ją owe dziewiętnastowieczne perypetie i ciekawiły dalsze losy bohaterów, niepokoiła się, czy zdoła je poznać. Wiesia, jej zdaniem, wcale nie była taka głupia, uparła się mieć męża, co w owych czasach istotnie było jedynym sposobem na życie, i osiągnęła swój cel. Jeśli pan Potyra zdołał się wzbogacić, kto wie, czy w jednym salonie z hrabią Strumińskim cygara nie palił. . .

Ż wielką niechęcią musiała przerwać lekturę, ponieważ w rodzime nastąpiły wydarzenia okropne i przygnębiające.

Fakt, że umarła Dorota, nie stanowił zaskoczenia. Od paru już lat narzekała na serce, które wreszcie odmówiło usług i wykończyło ją spokojnie w czasie snu. Pochowano ją bez problemu, acz bardzo kosztownie w głuchowskim grobowcu obok męża, co odebrało jej córce szansę na nowe palto zimowe. Zaraz potem dom rodzinny opuścił Pawełek, wyjeżdżając prawie legalnie do Stanów Zjednoczonych, zaangażowany jako szef kuchni w restauracji średniej klasy, prowadzonej przez Polaka z pochodzenia, który to Polak postanowił się wybić na bazie jadłospisu. Pawełek również zamierzał się wybić na tej samej bazie i prywatnie zawiadomił rodzinę, że już nie wróci. Śmierć matki i pożegnanie syna na zawsze trochę wytrąciły Justynę z równowagi, a jakby tego było mało, Barbara wpadła w jakiś amok i postanowiła wyjść za mąż. Za pułkownika wojsk polskich w stanie spoczynku. Na całą rodzinę padł blady popłoch, bo pułkownik nie był zwyczajnym sobie artylerzystą czy saperem, tylko dawnym pracownikiem wojskowego kontrwywiadu i miał jakieś powiązania tak straszliwie tajemnicze i niebezpieczne, że prawie nie wolno było do niego się zbliżać. W związku z czym osoby postronne musiały opuścić mieszkanie.

— Moje dziecko, to chwilowe, ja z nim sobie trochę pożyję na stare lata, a potem umrzemy i będzie z głowy — pocieszała Barbara dziko zdenerwowaną Justynę. — Antoś załatwi wszystko co trzeba z tym wyłączeniem spod kwaterek i moim prawem własności, i tak dalej. A już teraz mogę ci powiedzieć, że wszystko po mnie dziedziczysz. Ty jedna. I Placówka będzie twoja, i to mieszkanie, i moje pieniądze, i cała reszta. I nic się nie martw, załatwię to notarialnie, ja nie zgłupiałam zupełnie, tylko on mi się podoba i sama zobacz, jak się świetnie

trzyma. . .

— Młodszy od cioci — mruknęła Justyna nietaktownie.

— Wielkie mecyje, cztery lata. . . Starszy by się trzymał gorzej. A tam Hortensja z Ludwikiem sami zostają. . .

— Jak to sami? Darek z rodziną. . .

— A to nie wiesz jeszcze, że Dareczek z Joasią jadą gdzieś tam do Afryki, badania archeologiczne robić, Stefanka zabierają ze sobą, ale to tylko na jakiś czas, cztery lata wszystkiego. Ludwik z Hortensją sami w siedmiu pokojach. . . Jeszcze się kto przyczepi.

— Przecież to ich własność!

— No to co, że własność? Czasy takie, że przyczepić zawsze można. Moje dziecko, zróbcie to dla mnie, zostawcie mi dom na trochę, tam Sławeczek gabinet będzie miał dla, siebie. . .

Ogłuszona nieco komunikatem o kolejnym odjeździe młodszego pokolenia, Justyna ugięła się, pomyślała, że istotnie, żyją i mieszkają wygodnie przez tyle lat wyłącznie dzięki ciotce, dogadała się z Hortensją i przystąpiła do organizowania przeprowadzki.

Potrwało to dwa miesiące.

Siedmiopokojowa willa na Służewie rzeczywiście okazała się całkiem wygodna dla pięciu osób, tyle że Idalka musiała zmienić szkołę. No i zagraciły się nieco wszystkie pomieszczenia, bo Barbara, z niepojętych przyczyn, poprosiła także o wyprowadzenie większości mebli. Gienia w charakterze pomocy domowej wciąż istniała i robiła swoje bez żadnych grymasów, Hortensja prowadziła gospodarstwo, zdawałoby się zatem, że Justyna zyska czas dla siebie, a ściśle biorąc dla prababci. Niestety, Hortensja była świetną gospodynią, też miała dużo czasu i lubiła pogawędkę.

— A co ty myślisz, że Barbara tak się w tym swoim Antosiu na śmierć i życie na starość zakochała? — rzekła tajemniczo zaledwie w dwa tygodnie po instalacji rodziny w czterech wolnych pokojach, pomagając Justynie ustawiać książki. — Gdzież tam, ona ma całkiem co innego na myśli.

— Co na przykład? — zainteresowała się Justyna, oczekująca po Barbarze właściwie wszystkiego.

— Coś oni tam kombinują. Antoś z ludźmi się spotyka. . . te tam takie, wiesz, szpiegowskie konszachty. . .

— Ale co też ciocia mówi, on jest już dawno na emeryturze!

— Na jakiej tam emeryturze, to znaczy owszem, oficjalnie może i jest, ale tak naprawdę to kto go wie. I ja ci powiem, co Barbara chce zrobić, żeby mu tych ludzi sprowadzać. . .

— No? — spytała niecierpliwie Justyna, bo Hortensja urwała efektownie.

— Otwiera kasyno!

— Co. . . ?



— Kasyno otwiera, mówię ci. Do tego jej pusty dom potrzebny!

— Jezus Mario...! Przecież to nielegalne...!

— No to co, że nielegalne? Dla tych takich, jak on, wszystko jest legalne. Władze na nich ślepe i głuche, a ona przecież ogłoszenia nie wywiesi. Tajne będzie. Justynyomal nie zadławiło.

— Na litość boską...! Skąd ciocia to wie?!

— A to nie wiesz, że wasza Fela z moją Gienia wielkie przyjaciółki i jedna do drugiej ciągle lata, a Fela przecież nie ślepa i nie głucha. Przeganiają ją wprawdzie i nie wolno jej wieczorem do salonów wchodzić, ale trochę zobaczyła i powtórzyć umiała, a resztę już ja sama odgadłam. Ruletkę mają i karty, pokera głównie. Stoły ustawili od razu, ledwoście się wynieśli, a od paru dni już towarzystwo się zbiera.

— Ależ ciociu, to nie do pojęcia! — rzekła Justyna po chwili oszołomienia. — Feli takie zaufanie okazali, że ją zostawili...? Ciotka Barbara rozumiem, znają, ale ten Antoś...?

— Fela mówi, że Barbara za warunek ją postawiła i wcale się nie dziwię, bo ona sama do gospodarstwa jak koza do opery, a Felę tyś wszystkiego wyuczyła i nawet jej pilnować nie trzeba. W dodatku Barbara kazała jej przysięgać tajemnicę na krucyfiks. Ma mówić, jakby co, że państwo gości lubią i w brydża grają.

— A Gieni powiedziała...?

— Gienia to co innego, dla niej się nie liczy. I wiadomo, że Gienia sekretu dochowa.

— To może byłoby lepiej, gdyby i ciocia dochowywała...?

— A czy ja komu coś mówię? Tobie jednej, bo lepiej, żebyś wiedziała...?

Justynie włos się zjeżył na głowie. Na wszelki wypadek podstępnie wymogła na Bolesławie, żeby zyskał jakąś wiedzę na temat nielegalnych kasyn gry, i doznała nikłego ukojenia usłyszawszy, że za kasyna na Sybir się nie idzie i pod mur nie stawiają. Kary łupią potężne i sprzęt zabierają, ale właściwie nic więcej. Możliwe, że przy recydywie idzie się siedzieć, z drugiej jednakże strony podobno ten gatunek przestępstwa traktowany jest wyjątkowo łagodnie z racji wyższych, mianowicie pozwala wyłapywać co bogatszych badylarzy oraz inicjatywę prywatną i zdzierać z nich skórę.

Informacje to były przeraźliwie tajne i poufne, zdobyte wyłącznie dzięki temu, że za okupacji Bolesław jednemu takiemu uratował życie, a ów jeden taki obecnie piastował nieoficjalne stanowisko szefa ochrony innego takiego. Oficjalnie żadnej ochrony i żadnego szefa w ogóle nie było.

Również na wszelki wypadek Justyna poczuła się zmuszona ostrzec Jureczka, całkiem już przemienionego w badylarza, i w tym celu pojechała do Koźmina, korzystając z jednego z dwóch Wartburgów, w jakie przeistoczył się ślubny mercedes Darka.

Jadwiga, starsza od Barbary zaledwie o rok, wyglądała wprawdzie znacznie mniej młodo, ale wciąż trzymała się znakomicie.

— Prawników postanowiłam sobie doczekać — powiadomiła Justynę na wstępie. — Nie poganiam Jureczka, ale wołałabym, żeby się już ożenił. Z taką Krysią chodzi, ale nie wiem, czy co z tego będzie, bo ona do zwierząt ciągnie. Wołałaby świnie niż kalafiory. A najwięcej konie.

Justyna chciała sprawę załatwić delikatnie i dyplomatycznie, najlepiej bezpośrednio z Jureczkiem, chwilowo nieobecny. Musiała na niego zaczekać. Podjęła pogawędkę.

— To chyba jedno drugiemu nie przeszkadza? Stajnia jeszcze stoi, a kawałek miejsca na padok się znajdzie...?

— I co, będzie te konie pomidorami karmić? Ja bym wołała, moje dziecko, wspólność zainteresowań.

— Ależ to przecież jest wspólność, obydwój na wsi, gorzej byłoby gdyby, na przykład, uparła się żyć w środku miasta... .

Jureczek wrócił, kiedy Jadwiga prawie dała się przekonać, że konie i ogórki mogą iść w parze. Justyna powędrowała z nim do szklarni, rzekomo po warzywa. Układając w koszu witaminy, spełniła swój zamiar.

— Więc ty ciotkę Barbarę omijaj szerokim łukiem — poradziła na zakończenie dramatycznej relacji. — I gdybyś się dowiedział poufnie o jakim kasynie, broń Boże nie idź tam. Tylko czekają na takich z pieniędzmi.

— Szczęśliwie się składa, że jeszcze nie mam wielkich pieniędzy — odparł Jureczek beztrąsko. — A co do kasyna, to wołę wyścigi, więc nie ma obawy. Moja dziewczyna lubi konie... .

— Otóż to! Babcia się martwi, że tu sobie stadninę założysz... .

— Babcia się niepotrzebnie martwi, prywatnych stadnin u nas nie ma. Ale ze trzy konie nie zaszkodzą i już się układam z dziadkiem Ludwikiem, bo ciocia wie przecież, że on ciągle trzyma dwie klacze u chłopca na Wyczółkach. Zmienia je, kryje folblutami i już osiągnął wysoką półkrew. To co mi szkodzi?

— I chcesz przez to powiedzieć, że chodzisz na wyścigi?

— A dlaczego nie? Rzadko, bo nie mam czasu. Ale Krysia jeździ jako amator, więc czasem tam bywam.

— I grasz?

— No pewnie, że jak już tam jestem, to gram. I wygrywam. Skość kupiłem z wygranych. Niech się ciocia sama zastanowi, kto w tej rodzinie nie zna się na koniach?

Rzeczywiście, Justyna uświadomiła sobie, że Jureczek ma rację. Jakieś geny przodków musiały przechodzić z pokolenia na pokolenie, bo na koniach właściwie znali się wszyscy, nawet Marynka. Mglisto przypomniawszy jej, że wszystkie dzieci jeździły i jeżdżą przy każdej okazji, zaplecze mając w Ludwiku, poczuła żal, że sama, uporczywie zajęta prababcią, zaniedbała tę rozrywkę, doznała jakiegoś niejasnego wrażenia co do Idalki, po czym ostatecznie przeszła na stronę

Jureczka i nie znanej jeszcze Krysi. Od kasyn się odczepiła, pocieszyła Jadwigę, że wszystko będzie dobrze, i wróciła do domu, zaopatrzona w wiktuały.

Uporządkowała nowe mieszkanie, odnalazła czerwoną księgę z zielonym wnętrzem i znów chciwie przystąpiła do czytania i przepisywania kojącej treści.

*... Boże mój, teraz dopiero zapisać mogę te potworności, co się wydarzyły! Jak z Błędowa postaniec przyleciał, tak od tamtej chwili myśli zebrać nie mogłam i aż mi było słabo, ale na wapory czasu nie miałam. Uwierzyć wprost niemożliwe!*

*W tym oszołomieniu okropnym jeden Mateusz był mi pociechą, bo wszystko zrobił jak trzeba i jednym dniem tamęśmy się znaleźli. Dominika niczym kamień, niby to nieporuszona się wydawała, alem widziała, że coś podejrzewa, wypatruje i węszy. Możem źle uczyniła, tak wszystko zostawiając...*

*... kiedym owego potłuczonego ujrzała, aż mi się coś zrobiło, bom go poznała doskonale. A już babka napomykała, że kowal niepewny, na starość gadatliwy się stał, ten zaś, skoro zbirów sprowadził, za wiele musiał wiedzieć. Dobrze chociaż, że w nieprzytomności gadać nie mógł, podobno Marta go tak wy tłukła, dwa złote imperiały jej wetknęłam ukradkiem i pewno się nimi zbytnio chwalić nie będzie. Takem stała nad nim i Bóg ustrzegł, zdechł, nim co powiedział, świeć Panie nad jego grzeszną duszą...*

*... aż ostatek w sobie i musiałam skryć się przed wszystkimi, a najlepiej mi było w bibliotece...*

*... a i Szymon potwierdził, toć był to przecież syn owego, co z kowalem razem przy wejściu robił, a chociaż dziecko wówczas, potem od ojca dużo usłyszał. Łaska boska, że nie wszystko, bo rzeczy najważniejsze Szymon prawie sam wykonywał i co mógł, to ukrył...*

Odczytawszy z wielką uwagą bladezielone gryzmoły, gorsze niż wszystkie poprzednie, bo prababcia w nerwach bazgrała już konkursowe, Justyna poczuła się zmuszona sięgnąć po diariusz panny Dominiki i obie treści porównać ze sobą. Panna Dominika opisywała wydarzenia, prababcia dawała wyraz raczej doznaniom i przeżyciom, stronę informacyjną lekceważąc.

Diariusza panny Dominiki dość długo nie mogła znaleźć, bo przeprowadzka, mimo starań, wprowadziła całkiem niezłe zamieszanie. Okazało się wreszcie, że zaopiekowała się nim Hortensja, jednakowo traktująca stare szpargały po przodkach i dokumenty poświadczające genealogię koni Ludwika. Wszystko razem wyrzuciła na strych. Ludwik był Justynie niezmiernie wdzięczny za odnalezienie przy okazji jego zaginionych papierów, o które nie śmiał pytać żony, a teraz właśnie cudownym sposobem odzyskał.

Dwa opisy tego samego sensacyjnego dramatu dały Justynie pełny obraz sy-

tuacji. Prababcia w owej bibliotece, oprócz napawania się samotnością i odzyskiwania równowagi, sprawdzała też zapewne stan tajemniczej kryjówki. Zatem wejście do niej w bibliotece musiało się znajdować...

*... wszystko znalazłam jak trzeba i ostatnie poprawiania dobrze się trzymają. Nie zdaje mi się, żeby Dominika tam co odkryła i śladów ludzkiej obecności nie dojrzałam żadnych. Zamieszania trochę narobiłam, żeby ludziom w głowach pokręcić i rachunki dawne za te roboty wolałam zabrać, bo za dużo tam babka pisała, co i komu płaciła, a jeszcze by się kto zaciekał, za co. Myślałam długo, czyby do Głuchowa nie przewieźć, ale Głuchów Mateusza i na Tomcia przejdzie, a Błędów mój i zrobię z nim, co zechcę. A i to jeszcze, że trzeba by w Głuchowie takie roboty zacząć, coby na nie wszyscy uwagę zwrócili, zatem lepiej nie...*

*... cała instrukcję babki po swojemu ukryłam i tego wolę nie pisać, a spadkobierczyni swojej sama powiem przed śmiercią, gdzie ma szukać. Jeśli rozum będzie miała, i bez tego odgadnie. Zdenerwowałam się tym wydarzeniem najokropniej, ale żem w Placówce wszystko w porządku zastała, tom się już uspokoiła trochę...*

Przerwawszy lekturę na kilka chwil, Justyna zastanowiła się, czy prababcia przed śmiercią powiedziała cokolwiek. Kto w ogóle miał być tą spadkobierczynią...? Dobry Boże, Helena przecież...!

Helena, jej głupia starsza siostra, w owym momencie żywa! Bóg raczy wiedzieć, czy i co prababcia jej powiedziała, ale nawet jeśli wyjawiała sukcesorce wszystkie sekrety, informacja przepadła na zawsze. Helena nie była zdolna do poważnego potraktowania tematu, głowę miała jak sito, a do tego piórowstręt, z pewnością nic nie zapisała, do całej sprawy zaś odniosła się z właściwą sobie lekkomyślnością i beztroską. Ustne komunikaty diabli wzięli, skończona idiotka, świeć Panie nad jej duszą...

A w ogóle w chwili śmierci prababci obie były na Riwierze...

Westchnęła ciężko, opanowała nagle wybuchłe rozgoryczenie i gniew i wróciła do mozolnego przetwarzania gryzmołów na czytelne pismo.

*... przeto dla rozerwania do Warszawy pojedę...*

*... a co mi będzie Mateusz wzbraniał, pojechałam i już. Na wyścigi konne kazałam się zawieźć, co Mateusz musiał przewidzieć, bo za mną zaraz przyjechał, wyrzuty mi czyniąc, ile że w błogostawionym stanie ludziom się pokazywać, to jest rzecz nieprzyzwoita. Sama wiem, co robię, pod gorsetem nic jeszcze po figurze nie znać, a za parę tygodni już w domu uwiązana będę, ostatnia chwila była zabawić się trochę. Suknię tylko musiałam mieć nową, bo tamte przyciasne odrobię, i kazałam zrobić szafirową aksamitną, z draperią jedwabną, która i gorszy*

stan by ukryta. Kapelusz bławatkowy, na nim kwiaty hortensji i pióra ciemniejsze, szafirowe pod sukni kolor, mieniające, a do tego woal różowy. No i ten jeden raz szafirami błysnęłam, bo mnie skusiły, ale zaraz odwiozła. Rosynant biegał w owych gonitwach, ze stadniny po dziadku, kazałam sobie zagrać na niego i proszę, wygrał! A ja przy nim. Mateusz zły był na mnie tak, że sam na przekór stawiał, nie na Rosynanta, tylko na Dantesa hrabiego Tyszkiewicza, i przegrał, bo Dantes dopiero trzeci do mety przybiegł. Ale że potem już nie grałam, udając, że to tak z posłuszeństwa jego naleganiom, opamiętał się i wygrał dużo na Złotą Gwiazdę pana Regulskiego, która niespodziewanie całkiem wszystkie inne konie przegoniła. Wypatrzył ją jakoś, a na koniach, to muszę przyznać, zna się bardzo dobrze. . .

. . . co mnie zdziwiło, chociaż niepewna jestem, to chyba pan Pukielnik gdzieś mi w oczach mignął. Że też mu nie wstyd między ludźmi się pokazywać! . . .

. . . rękawiczek haftowanych dwa tuziny przywiozłam i wszyscy wierzą, że paryskie, a tymczasem jedna hafciarka na ulicy Długiej takie robi, o czym prawie nikt nie wie. A te panie, co u niej kupują, w sekrecie ją trzymają. . .

. . . kapusty cała jedna beczka się zmarnowała, bo źle docięnięta była, a od początku mówiłam, że ciężar na niej za mały. Deszczułka tu się ugięła, a tu odstawiała i beczka na nic. Dobrze jeszcze, że Teofila na wędch poczuła i do kuchni nie wzięła, bo i garnek by przeszedł, a tu bigosu przyrządzanie rozpocząć trzeba było. W domu gości jeszcze przyjmą mogą, tylko do innych już nie pojedę, i cała pociecha, że do Pamiętowa krewni zjechali. Mówią, że pannę Luizę z Warszawy musieli wywieźć przez kompromitację wielką i tu się skryli czasowo u kuzynostwa, a że Pamiętowo blisko, od służby wszystkiego się dowiem. . .

. . . ejże, całe gadanie o panie Luizie coś mi za bardzo huczy, pan Wolski tak ją kompromitował, kręcąc się blisko i bez opamiętania, a wszak żonaty! Żonę gdzieś za Skierniewicami trzyma, ludzkie oko jej nie widuje, chora podobno od paru lat, a nieprawda, Klarcia powiada, a też od służby wie, że wcale nie chora, tylko taka piękna, że wstyd ją pokazywać. Garbata, dziobata i kulawa, a pan Wolski ją wziął dla majątku wielkiego. Powodzenie wśród panien ma nadzwyczajne, bo jakoś tak tańczy, że się w głowie kręci, i wszystkie myślą, że ta chora żona rychło świat opuści i epuzera będą miały gotowego, a nie widzą, że więcej na młode mężatki pan Wolski okiem łypie. Tu się nie ma co dziwić, że choćby i Klaryssa jego woli niż tę pokrakę, swojego męża. Zatem jeśli panna Luiza skompromitowana, to i te inne też, a nie widzę, żeby wszystkie Warszawę opuszczały. . .

. . . no i dobrzem myślała, wychodzi szydło z worka, panna Luiza tylko pretekst, bo przed wierzycielami uciekli. Zrujnowani są całkiem, resztkami ciągną, żeby pozory zachować, a taniej im w Pamiętowie u krewnych siedzieć niż w mieście balować przy trzech córkach dorosłych. Podobno pani Wojniczowa sama córkę namawiała, żeby pana Wolskiego zbytnio nie odpędzać, dla uknucia całej intrygi, co garderobiana ich słyszała. A tak, wilk syty i koza cała, wielką obyczajność pokazali i oszczędności robią. . .

*... to już uczciwsza konkurencja u nas się odbywa, bo jawnie strzelec stajennego dookoła folwarku ganiał dla córki stelmacha, strzelec z fuzją, ale nie nabitą, bo nabić nie nadażył, a stajenny z widłami, i niczego nie udawali. Stelmachówna istotnie urodziwa, może nawet nadmiernie, bo ze dwie mizerniejsze sztuki dałoby się z niej wykroić, włosy ma po kolana, a na twarzy jak malwa czerwona, ale taka im się podoba. Sama ów pojedynek biegany zakończyła, wprost krzycząc wielkim głosem, że żadnemu nic do niej, bo już sobie cegielnego wybrała i za niego pójdzie. To przez Wiesię, pan Potyra z całej siły przedsięwzięcie rozwija, mało mu cukrowni, cegielnie buduje i zarządców ustanawia, a z nich jednego Stelmachówna sobie upatrzyła, dobry gust okazując, bo chłop na schwał i do tego jeszcze dom stawia murowany, czego nie omieszkła podkreślić. Jak z łoży przez okno na ten cały spektakl patrzyłam z wielką uciechą, bo aż pod pałac przylecieli. Skutek był taki, że strzelec ze stajennym upili się w karczmie razem i w wielkiej przyjaźni wspólnie rozpaczali...*

*... ostatnia to już chyba Wilia z moimi rodzicami spędzona, bo ojciec chory bardzo i długo nie pociągnie, a i matka moja niedobrze wygląda. Dzieci wszystkie zabrałam, Łukaszka nawet, choć jeszcze chodzić nie zaczął, ale mówią, że duże i grube dzieci później na nogi stają i sama to widzę po Hani. Że misterniejsza, ile wcześniej chodziła niż Tomaszek...*

Prababcia dat nie stawiała i Justyna poczuła, że zaczyna się gubić. Ileż czasu minęło od krwawej napaści w Błędowie do owej ostatniej wigilii? Półtora roku? Dwa lata? Cały wielki kawał czasu prababcia w pamiętniku całkowicie ominęła...

Zdezorientowana nieco, znów sięgnęła do diariusza panny Dominiki i dopiero teraz uprzytomniła sobie, ile jeszcze jej zapisków do przeczytania zostało. Dwa grube zeszyty i wielki plik luźnych kartek, nie zajrzała do tego nawet, poruszona pamiętnikiem prababci, a potem ogłupiona doszczętnie upiornym, zielonym, z roku na rok blednącym szyfrem. Panna Dominika była systematyczna i porządna, dat pilnowała skrzętnie, rachunki komentowała obficie, być może, dzięki niej, dałoby się to wszystko uporządkować...

Wahała się właśnie nad kolejnością lektury, kiedy przyszła jej przeszkadzać Hortensja.

— Co ty widzisz w tych strzępach, to ja nie mogę zrozumieć — rzekła z niesmakiem. — Czytasz i czytasz, to oślepnąć można. A ja tu się o Dareczka martwię, bo niby w mieście mieszkają... czy to w tej Afryce są jakieś miasta w ogóle?

Nie tak od razu Justyna zdołała się wydobyć z dziewiętnastego wieku i jedy- nym miastem afrykańskim, jakie przyszło jej na myśl, był Kair. Hortensja poszła już dalej.

— Że Kair, to ja wiem, i nawet Algier chyba, ale to na północy, na mapie widziałam. A oni gdzieś tam w środku i nawet więcej ku południowi. Ale nie

w tym rzecz, bo jakieś wyprawy robią i tym się martwię, tam dzikie zwierzęta i Murzyni. Nie ludożercy czasem...?

— Przecież Joasi i Stefanka Darek by nie naraził — zauważyła Justyna surowo, zarazem usiłując sobie szybko przypomnieć, co ostatnimi czasy słyszała o kanibalizmie. — A poza tym tam już cywilizacja się rozpowszechnia i podobno gdzieś tam nawet drogi są.

— Oni w bezdroża chodzą — rzekła Hortensja z westchnieniem. — A jak pomyślę, że tam banany, pomarańcze, cytryny, daktyle i różne takie, ile chcąc, to aż prawie im zazdroszczę. Jak ja mam zrobić placek z bakaliami, kiedy nawet rodzynek nie ma? A ty wiesz, że Gienia kabałę nauczyła się stawiać?

Związek owoców południowych z kabałą wydał się Justynie niejasny i nie bardzo wiedziała, jak powinna nań zareagować.

— I co? — spytała ostrożnie.

— I polędwicę wołową dostała, befsztyki prawdziwe jutro będą. Szynek mamy już pewną, mózdzek cielęcy i wątróbkę. I papier toaletowy, całe dwa opakowania, na jakiś czas wystarczy. A jest nadzieja na austriackie majtki.

Austriackie majtki dobiły Justynę ostatecznie. Nic nie mówiąc, patrzyła na Hortensję pytająco.

— Bo Gienia, rozumiesz, tę kabałę stawia ekspedientkom i kierowniczkom sklepów — wyjaśniła Hortensja z wielką satysfakcją. — Specjalnie, tak dyplomatycznie, z nimi zaczęła i teraz wszystkie do niej lecą, bo tylko po złotówce bierze, żeby się sprawdziło. Całkiem za darmo się sprawdza. I każdy towar mamy spod lady, i bez kolejki. Niegłupia ona. No, może ją trochę namówiłam...

Rzecz oczywista Justyna, nie głupsza od Gieni, zrozumiała. Mimo pograżenia w minionych czasach, trudności z zaopatrzeniem znała doskonale. Ożywiła się.

— Ciociu, a gimnastyczne pantofle? Idalka do szkoły potrzebuje...

— Moje dziecko, to ja wiem lepiej od ciebie. W przyszłym tygodniu ma być dostawa, ale tylko dla swoich, więc dostaniemy, już im numer dałam. Ta kierowniczka z obuwia z mężem ma kłopoty i Gienia jej z kart radzi wszystko co trzeba. Dlatego wczoraj pierogów nie było, nie miała kiedy zrobić, bo cały czas nad tymi wróżbami siedziała. Za to papieru do maszyny możesz dostać, ile chcesz, do domu przyniosą...

— Chcę! Boże drogi...

— No to dostaniesz. Aleja nie to miałam powiedzieć. Jak już tak ślepisz w tych starych szpargałach, nie wiem po co, to ci powiem, że Ludwik... ja nie wiem, może to u was rodzinne, jak pomieszanie zmysłów albo suchoty... chociaż z dwójga złęgo już wolę waszego bzika niż suchoty... że Ludwik w tych końskich papierach jakieś listy znalazł. No, może ja znalazłam, bo jego jakoś mało obchodziły. To jak chcesz, mogę ci dać.

— Jakie listy?

— A skąd ja mam wiedzieć? Stare. Coś tam mówił, że ojca łobuz chciał oszukać. A może nawet dziadka. No, na tych koniach, ale jemu na nic, bo metryk tam nie było i w końcu nie oszukał, więc co go obchodzi. Twój wuj, moja kochana, na starość tak już zgłupiał, że tylko czekam, kiedy w jakiej stajni zamieszka. Aż mnie korci czasem, żeby w talerzu zwyczajny owies mu dać i zobaczyć, co powie. . .

Przez mgnienie oka Justyna sama była ciekawa, co by też wuj Ludwik na owies w talerzu powiedział, ale bardziej zainteresowały ją listy. Dziadek, dla niej pradziadek, czyżby to był Mateusz. . . ? Epoka powinna korespondować z pamiętnikiem prababci. . .

Z wielkim zapałem wyraziła chęć zawładnięcia listami przodków. Hortensja z lekkim sieknięciem podniosła się z fotela, Justyna pośpieszyła za nią na dół, do gabinetu Ludwika. Wśród ściśle końskich dokumentów znalazły się trzy listy i jeden jakiś brudnopis odpowiedzi, chwyciła je zachłannie i oczywiście nie zdołała od razu wrócić na górę, bo Hortensja wciąż była spragniona pogawędki. Kwitły plotki o kasynie Barbary, należało je skomentować, Jureczek żenił się z Krysią, Ludwik świecił nieobecnością, bo właśnie załatwiał przeprowadzenie koni do Kośmina, nie wziął furgonu i nie przewoził, konie poszły pod jeźdźcami, czterdzieści trzy kilometry, no i cóż takiego, dobry koń więcej przejdzie, a tu pośpiechu nie ma, jak zwykły trening. Tyle że potrwa. . .

— I ja ci powiem, że osobiście jedzie — mówiła Hortensja gniewnie i z goryczą. — Jezus Mario, siódmy krzyżyk na karku, a jeszcze gotów, ja nie wiem, przez parkany skakać. Już by mógł się ze starością pogodzić. Obydwoje tacy, Barbara też sama nie wie, ile ma lat, i młodą panienkę udaje. . .

— Ależ ciociu, wuj Ludwik doskonale się trzyma — pocieszała Justyna. — I może właśnie dzięki koniom, codziennie jeździ. Na świeżym powietrzu, to doskonala gimnastyka!

— Dajże mi spokój z gimnastyką, dwie wojny za nami. . . A czy ty chociaż wiesz, że twoja Idalka też jeździ? W stare szpargały nos wtykasz i pojęcia nie masz o świecie, a ona, to o świecie, to pod wieczór, do koni leci. Z dziadkiem pomylonym w komitywie. A ten Jureczek Jadwigi, taką miałam nadzieję, że przy pomidorach zostanie, to nie, Krysią go przekabaciła i na konie się zgodził. Ale, jeszcze i ten z Gieni pożytek, że welon będzie miała tiulowy, pantofelki z importu, a suknię crepe-satin, nasze, odrzut z eksportu. A rękawiczki, wyobraź sobie, czeskie, do łokcia, sześć par ledwo przyszło i jedną Gienia dostała za wróżbę, że się jakiś tam rozwiedzie i z taką za firankami ożeni. . .

— Za jakimi firankami? — wyrwało się głupio Justynie.

— Za żółtymi. Nie mów mi, że nie wiesz! Zgorszenie w głosie Hortensji było tak potężne, że Justyna zmobilizowała ostro swoją świadomość polityczną.

— Wiem, oczywiście. To i takie klientki ma Gienia. . . ?

— Jedna z tych wysoko partyjnych nawet do niej przyszła. Mówię ci, że Gienia niegłupia, wie, co wróżyć. A karty ją lubią. Myślę teraz, jaki by im prezent



dać ślubny. Coś ci do głowy przychodzi?

Cała reszta wieczoru została poświęcona rozważaniom praktycznym i Justyna mogła wrócić do coraz bardziej ulubionego zajęcia dopiero, kiedy na kolację przybył Ludwik, cały i zdrowy, a z nim razem Idalka, która, jak się okazało, zaraz po szkole, w połowie drogi, przejechała jednego konia, dowieziona na właściwe miejsce przez Jureczka jego dostawczą furgonetką. Nagabnięta o kwestię lekcji, zdumiona pytaniem, zapewniła, że wszystko odrobiła w przerwach i została jej tylko malutka komplikacja z czymś dziwnym z fizyki, czego i tak nie zrozumie, choćby siedziała nad tym rok. Justyna tego czegoś nie rozumiała również i przekazała córkę ojcu. Bolesław, jak się okazało, wiedział, o co chodzi, i sprawę przemiany energii w siłę, czy też siły w energię, załatwił bez problemu.

Niezwykłą wiedzą męża Justyna poczuła się tak wzruszona, że dała spokój historii i koniec wieczoru poświęciła rodzime, zaskoczona nieco upodobaniami młodszej córki. Nic nie wiedziała o tym, że Idalka jeździ. Po pra-pradziadku Mateusza musiała to wziąć, więc chyba nie powinno się jej przeszkadzać...?

Dopiero nazajutrz, z dreszczem emocji w sercu, przystąpiła do odczytania korespondencji przodków.

Okazało się, że czasy mniej więcej się zgadzają. Jakiś pan Trzemsza w imieniu swojego klienta chciał nabyć od pradziadka dwa konie po niezbyt korzystnej cenie, bo wprawdzie jeden okazał się doskonały, ale za to drugi nie spełnił nadziei. Miał to być rodzaj transakcji wiązanej, zrozumiałej dla Justyny doskonale, bo właśnie w jej świecie współczesnym nastąpiła moda na takie transakcje. Przedmiot upragniony można było kupić tylko pod warunkiem nabycia przy nim czegoś niepotrzebnego, na przykład czajnik albo nocną lampę wyłącznie razem z rzeźbą robotnika walczącego lub też zbiorem biografii działaczy rewolucyjnych. Rzeźbę i biografię wyrzucało się do śmieci od razu, a czajnika i lampy używało zgodnie z ich przeznaczeniem. Najwidoczniej przed stuleciem wystąpiło podobne zjawisko.

Pradziadek koni za byle grosze nie sprzedał, ale wśród pisemnych targów pan Trzemsza wymienił nazwisko swojego klienta. Mianowicie pan Bazyl Pukielnik. Zaskoczona nieco Justyna nie musiała się długo zastanawiać, skąd zna to nazwisko, zdumiało ją natomiast, że jawny zbrodniarz tak śmieie sobie poczyna i z najbliższym sąsiadem zuchwale próbuje nawiązać kontakty handlowe. Pozostałe listy w dodatku wykazały szaloną ruchliwość pana Pukielnika, który oglądał te konie we wszystkich niemal posiadłościach pradziadków, w Głuchowie, w Błędowie, w Kośminie i nawet w Placówce, mocno oddalonej i przegrodzonej od reszty metropolii. Co się tak uczeplił jak rzep psiego ogona...?

Z brudnopisu odpowiedzi wyraźnie wynikało, że pradziadek podzielał zdanie prawnuczki i z panem Bazylim nie chciał mieć do czynienia, mimo znacznego upływu czasu. Porównawszy daty na listach i w diariuszu panny Dominiki, Justyna stwierdziła, iż swoją ożywioną końską działalność pan Bazyl rozpoczął

w dobre dziesięć lat po wyjeździe od Zeni. Może miał nadzieję, że stara zbrodnia poszła w zapomnienie...?

Nagle zaciekawiły ją ogólne losy pana Bazylego. Ożenił się w końcu? Zamieszkał gdzieś w okolicy? Popłacił swoje długi? Skoro kupował konie, musiał chyba mieć jakieś pieniądze? Skąd też je wziął...?

Odpowiedzi mógł zapewne udzielić pamiętnik Matyldy, ale Justyna zamierzała przecież przerzucić się chwilowo na diariusz panny Dominiki. Zawahała się.

Siedziała nad dwoma manuskryptami, jednym wyraźnym, drugim nieczytelnym, niepewnie rzucając okiem to na jeden, to na drugi, kiedy znów wtargnęła do niej Hortensja, bardzo zemocjonowana.

— A no i masz, a mówiłam! Nosiła Barbara i ucho się urwało, spelunki jej się zachciało, proszę, jak nieszczęścia z tego nie będzie, to już ten świat na głowie stoi! Nic nie wiesz pewno, przed chwilą Gienia od Feli przyleciała, a tam cała Sodomia! Wierzyć się nie chce!

— A co się stało? — zaniepokoiła się Justyna i na wszelki wypadek odsunęła krzesło od biurka. Mignęła jej w głowie obawa, że Barbara urządziła u siebie zamtuz. Skojarzenie z Sodomą nasuwało taką myśl.

Hortensja padła na fotel.

— Zabijają się w tym jej kasynie! Trupy leżą po kątach! Fela dziś rano znalazła!

— Dużo...?

— Co dużo?

— Tych trupów.

— Jednego. A ileś chciała? Jeden nie wystarczy?

— O jednego za dużo... I co?

— I nic właśnie, ale pewno coś będzie. Ten cały Antoś tak cicho sza, Feli gębę zatkał, bo już krzyczeń zaczęła, pogotowie jakieś specjalne wezwał i kazał mówić, że gość jeden umarł na serce. Na serce, akurat, a tu krew dookoła, Fela powiada, podsłuchała, że zastrzelony. Już tam ze sobą jacyś szeptali, Barbara wymyśliła, że wrzód żołądka mu pękł i krwotoku dostał, bo Felę ta krew tak zdenerwowała, a chyba najlepiej wie, skoro sama sprząta, tego żołądka ma się trzymać. No i popatrz, a mówiłam, że nic dobrego z tego kasyna nie wyniknie!

Ogłuszona nieco komunikatem Justyna sama nie wiedziała, jak skomentować wydarzenie. Chyba rzeczywiście ciotka Barbara wmieszała się na starość w jakieś dziwne rzeczy... O zbrodnię może jednak, mimo wszystko, jej nie posądzą, chyba raczej Antosia, który pewnie wybrnie z tego bez trudu, a może nawet i nie jego, tylko kogoś z kasynowych gości, z drugiej znów strony nie ujawnią przecież istnienia nielegalnego kasyna... A, prawda, oficjalnie grają tam w brydża...

— Ciotka Barbara bardzo zdenerwowana? — spytała z troską.

— A gdzie tam — odparła Hortensja z wyraźną urazą. — Fela powiada, że po niej jak woda po gęsi. Na trupa popatrzyła i nic.

— No to może ktoś obcy...  
— Pewnie że obcy, a nie z rodziny. Ale znajomy, skoro był. I popatrz, jak to, zastrzelony, nie mówię Fela, bo spała, ale ta reszta co? Nikt huku nie słyszał?  
— Zajęci byli grą...  
— A już to widzę, zastrzelił jeden drugiego, uprzątnęli nieboszczyka do kąta, żeby po nim nie deptać, i dalej grali, tak?  
— No, nie deptać, to nawet dość przyzwoicie...  
— Niewygodnie im pewno było, takie coś pod nogami... Gdzie im do jakiej przyzwoitości! Ciekawa rzecz, czy się rozejdzie, a jak ty myślisz, o co tam poszło?  
— O pieniądze zapewne...  
— W same pieniądze to ja nie uwierzę. Bo co, zastrzelił go i na ludzkich oczach zaraz obrabował? Niemożliwe, na rabowanie tak by spokojnie nie patrzyli. Od początku mówię, Barbara Antosiowi różnych podejrzanych sprowadza, kasyno tylko pozór, no i proszę, pewno szpieg jaki, albo innego szpiega rozpoznał, albo co. Zamkną teraz chyba to gniazdo zarazy?  
— Dlaczego ciocia nie zadzwoni do ciotki Barbary i bezpośrednio jej nie zapyta?  
Hortensji najwidoczniej ta myśl samodzielnie do głowy nie przyszła, bo ucieszyła się teraz.  
— A wiesz, że masz rację. Zadzwonię. Udam, że chcę przepis na ten sernik na gorąco i przy okazji może co się zgada...  
— Po co ciocia ma udawać?  
— Żeby Feli nie zdradzić, ty głupia dziewczyno. Żadnej dyplomacji w sobie nie masz!  
Zanim Justyna zdążyła zdecydować się na wybór lektury, Hortensja wróciła na górę.  
— Zgroza ogarnia! — oznajmiła, wstrząśnięta. — Ty wiesz, że tam u nich nic? Trupa wynieśli, posprzątane, Barbara sama z siebie powiedziała, że gość jeden im umarł, i tego żołądka się uczepliła, a ta reszta już się schodzi i w pokera grają. Co to za świat jakiś teraz się zrobił?! I o sernik ją nawet zapomniałam zapytać, ale to nic nie szkodzi, bo znam ten przepis lepiej niż ona. A i tak teraz go robić nie będę, dopiero jak sera dobrego dostanę...  
Świeżo zajęta panem Pukielnikiem Justyna miała ochotę powiadomić ciotkę, że świat właściwie nie uległ wielkiej zmianie, bo już przed stu laty równie zrzęcznie zatuszowano zbrodnię, a tu wszak mogły wystąpić zwykłe porachunki w łonie jakiejś sitwy czy kliky, ale dała spokój, wiedząc, że Hortensja nie ma zbyt dużego nabożeństwa do historii. Postanowiła jednakże zobaczyć się z Barbarą i na wszelki wypadek sprawdzić jej stan ducha. A także zorientować się w sytuacji ogólnej, bo Bóg raczy wiedzieć, co z takiego trupa może wyniknąć...

Z tego wszystkiego zapomniała o panie Dominice i wróciła do prababci.

*... Chyba gęsi więcej każe posadzić, bo mi stado maleje, chociaż tak wrzeszczą rankiem, że aż w sypialni słysząc. Przy zamkniętym oknie słysząc by nie było, to nie, Mateusz wiecznie w to świeże powietrze wpatrzony...*

*... Zenia szczęśliwa niestychanie i kwitnie niczym róża, że syn pierwszy, tak się cieszy, a pan Roztockci wpatrzony w nią jak w obraz. Klaryssę u niej akurat zastałam, aż pożółkła z zawiści, bo ma dwie córki, a pan baron też syna spragniony, więc spokoju jej nie da. Nie wytrzymała i wyznała nam, a we trzy tylko byliśmy, Zenia jeszcze w połogu, że prawie zębami zgrzyta na małżeńskie pana barona karesy, a boi się okropnie, żeby nie było jak u Lewickich, osiem córek i syna ani jednego. Jeszcze próbują, choć pani Lewicka trzydzieści pięć lat przekroczyła, ale że pan Lewicki dość urodziwy, zmartwienie niewielkie. Zenia powiada, że tyle urodzi, ile tylko zdoła, bo całkiem lekko jej poszło, choć trzy lata czekała. Podobno stara Pietruska mówi, że czekanie stąd, że po pierwszym mężu ściśnięta w sobie była i płód się w niej nie mógł utrzymać, dopiero jak przy drugim szczęścia zaznała, wszystko się poluzowało. Teraz może rodzić a rodzić.*

*O pana Bazylego z ciekawości spytałam, czy czego o nim nie słyszeli, bo już teraz całkiem niegroźny, dziedzica i spadkobiercą Zenia ma z natury. Powiada Zenia, że owszem, przez żydów wieści dochodzą, koło Radomia podobno pannę znalazł, do której w konkury uderza, nie bardzo wielkiej paranteli, za to z posagiem takim, że aż cmokają. Wygląda na to, że mu ją dadzą i wreszcie z pieniędzmi się ożeni...*

*Ten komunikat odczytawszy, Justyna kiwnęła głową do samej siebie. No tak, więc widocznie pan Bazyli się ożenił i miał czym za konie pradziadka płacić. Czemuż jednak uczepił się właśnie tych pradziadkowych, a nie jakichś innych? A, może po prostu pradziadek miał dobre...*

*... pogrzeb ojca mojego w piękny dzień wypadł, jakby to już lato było, a nie wiosna, w tym roku jakaś chyba spóźniona, bo jeszcze tydzień wcześniej śniegiem sypało. Tomaszкови zegarek złoty po dziadku przypadł, mnie nic, bom już spleciona i całą resztę mój brat bierze. O matkę się martwię, bo i źle bardzo wyglądała, i żadnej chęci do życia nie ma, za ojcem, jak sama powiada, prędko pójdzie. Bratowa w sukni wedle mody sprzed lat co najmniej dziesięciu, wypustki widać, że przesywane, bo pewno potem na liliowe zmieni dla półtałoby, nie wiem, sama taka niedbała czy brat dla niej skąpy? Nie miałam kiedy matki zapytać. Ale na stypę roladę dali z mięs mieszanych, pół wolu na to musiało pójść i cały wieprz, o innych nie mówiąc, a tak doskonale zrobioną, zew ustach się rozpląwała, to tylko stara Józefina taką rzecz potrafi. A przepisu na nią dać nie umie, tak gadała, że nic zrozumieć nie mogła.*

*Ledwom wróciła, już nowa awantura się zaczęła, bo średnia Szeliżanka, to*

Ludwika chyba, z domu uciekła. Nie wiem, czy jej Wiesia nie wspomogła trochę. Sama do Warszawy się udała, że jej odwagi starczyło...! Ale podobno o prokurenta rzecz idzie, który tu dla spraw bankowych załatwienia do starego Szeligi przyjeżdżał, a że Ludwika dwadzieścia jeden lat ma ukończone, każde głupstwo zrobić może. Ma Szeliga zgryzotę z córkami, bo ma, ale kto mu kazał za wysoko sięgać? Tyle zyskał, że hrabia Strumiński przyjechał wyrzuty mu czynić, bo nie na to brał żonę, żeby się z plebsem bratać, tak sobie miło konwersowali, że na folwar-ku było słycać. Stąd wiem o sprawie. Ostatnia, Ewelina, w skarbczyku podobno siedzi, czego Wiesia uniknęła, i odgraża się, że też ucieknie, choćby miała nawet gdzie na służbę pójść i szewca poślubić, bo starą panną zostać nie chce i już. Powiada, że do siostry hrabiny z owym szewcem na salony przyjdzie. Dlaczego szewca? To już bym chyba na jej miejscu krawca wołała... Mateusz powiada, że ze służbą w zbytnej komitywie jestem, a dużo bym wiedziała, żeby nie to...

... Ludwika nie taka głupia, jakby się zdawało, pokazuje się, że ów prokurent to bratanek właściciela, ale panny bez posagu mu wzbraniają. Pana Szeligi omal apopleksja nie trafiła, bo myślał, że wielki honor dla miejskich tyków jego córkę brać, a tu tyki wcale nie chcą. Pieniądze nad honor przedkładają i woleliby kupcówną bogatą niż ubogą szlachciankę, a sami pana Szeligę mogliby kupić ze wszystkim i jeszcze by im dużo zostało. Już i hrabia Strumiński mocno z tonu spuścił, interesy ma z bankiem takie, że parantela mu w smak. I nie Szeliga ma tu teraz zezwalać, tylko stryj prokurenta, istotnie muszę powiedzieć, że dziwne czasy nastały.

Z wszystkich jajek indycznych ledwo dwa były zbuki, piękne stadko mi się wylę-gło. Nigdzie się już nie ruszę przez ten ostatni miesiąc, aż dopiero po połogu...

... i tak wieści o ślubie Ludwiki mam tylko przez posły. Pan Szeliga pół lasu sprzedał, ambicją tknięty, żeby miejskie tyki jego córkę wzięły, a że hrabia Strumiński całkiem już zdanie odmienił, przeto sam nie wie, co myśleć. Ewelinę ze skarbczyka wypuścił i nawet do Warszawy zabrał, bo tam ów ślub się odbył. Co się w dodatku objawiło, to to, że pan Potyra Wiesi wcale nie taki najgorszy, z wielkimi kupcami za pan brat, a księżę Lubomirski poufną konferencję z nim na weselu odbywał w ustronnym gabinecie. Pan Szeliga tak z tego zgłupiał, że małom nie pękła ze śmiechu, jak mi Klarcia opowiadała. A suknie miały wszystkie panie, że ach...! Całe udrapowanie z tyłu w tren przechodzące, przód ku kolanom podcięty, podobno to najnowsza paryska moda, zaraz sobie każę taką zrobić, ze trzy bodaj, i niech Mateusz mówi, co chce, na karnawał do Warszawy pojedę. Kopie mnie to małe okropnie...

... na chrzestną matkę Zosieńkę poprosiłam wreszcie i Zofia małej daje na imię...

Tu Justyna przerwała nie tylko dlatego, że trochę czasu jej zajął ślub Jureczka

z Krysią oraz denerwująca nieco pogawędka z Barbarą, ale też i z tej przyczyny, że musiała wspomnieć sobie cioteczną babkę Zofię, która umarła w Kośminie przed paroma laty. To ona wszak była owym małym, co prababcię kopało. Zaraz, jak, do licha, nazywała się po mężu cioteczna babka Zofia...?

Nie mogła sobie tego przypomnieć. Dziadek Marian i dziadek Marian, a nazwisko...?

Kostecki. Ustaliła to Hortensja, która, rzecz jasna, też nie pamiętała, ale do tej pory przechowywała spis gości, jacy znaleźli się na jej własnym ślubie. Odnalazła na długiej liście Zofię i Mariana Kosteckich i nawet ich dzieci, Danutę i Andrzeja, nieżyjące od wojny.

Uspokoiwszy się w kwestii ciotecznej babki Zofii, Justyna mogła znów przystąpić do swojej katorżniczo-historycznej pracy.

*...przecucie matka musiała mieć albo chorobę w sobie czuła. Jak pogrzeb ojca w piękny dzień się odbywał, tak matki w okropny. Lało i lało, po kostki nogi grzęzły na cmentarzu, suknię miałam uszarganą do kolan, na nic chyba będzie, w potrzebie żałoby nową sprawię. Dobrze jeszcze, że futra długiego nie wzięłam, tylko krótkie, te czarne foki. Został dla mnie po matce pierścionek zaręczynowy z różową perłą rubinami otoczoną, cały jej przybór do szycia złoty, posagowy jeszcze naszyjnik z diamentów i owo puzdro z papierami po babce. Bratowa okiem gniewnie typała, ale przepadło, córce zostało przeznaczone, a nie synowi, i tak mi się wydaje, że to ona skąpa i chciwa, a nie brat. Tę samą suknię miała, co na ojca pogrzebie, i to już skandal! Jedną ma taką na wszystkie okazje? A puzdro, nic dziwnego, duże, z litego złota, cały ornament ma z drobnych szafirów, dużymi rubinami przerywany i na rogach cztery diamenty. Nie papierów pewnie taka była spragniona.*

*Józefina znów się pokazała, ale to już pewno ostatni jej występ. Siedemdziesięciu lat dobiega i tylko dla matki ruszyła się jeszcze o kiju, a tak to u syna sobie poleguje, a synowej, takiej jak jej, każdemu życzyć. Uczy ją, tak myślę, kucharzenia i może jej przepisy jakoś się przechowują, ale tymczasem nie pytałam. Pomyślę, jakby co...*

*...listy w tym puzdrze. Boże mój...! A toż naprawdę prababcia była kochanicą Napoleona...!*

*...teraz rozumiem, dlaczego schowała, zamiast się chwalić. Łupy... Jakie tam łupy, złodziejstwo zwykłe. I kto? Cesarz...?! Po królu, po królowej, po carze... no, niech będzie, że po bojarach...*

*...póki mamy co mamy, niech leży. A czy ja wiem, może i naprawdę ta Polska kiedyś będzie? Aż trudno sobie wyobrazić, ale takie rzeczy już były, żeby Francja republiką się stała, to już chyba wszystko jest możliwe...*

*...razem ukryłam z innymi rzeczami. W potrzebie będzie jak znalazł, a tym-*

*czasem waham się pokazywać. Chociaż znów, z drugiej strony, siedemdziesiąt lat przeszło, nikt już chyba z tamtych czasów nie żyje? Ale opisy mogły zostać i choćby listy, jak te... A, co tam, na wszelki wypadek niech sobie te cesarskie prezenty jeszcze trochę poczekają...*

Justyna znów się zatrzymała. Puzdro z papierami po pra-prababci, i to z litego złota... Niczego takiego na oczy nie widziała. Co, u Boga Ojca, prababcia z tym puzdrem i z papierami zrobiła? O żadnym spaleniu mowy nie było, gdzie to jest? Zostało w Głuchowie i przepadło na zawsze...? A nie, prawda, ukryła z innymi rzeczami...

Wróciła do dalszej lektury.

*... Mateusz ambicją tknięty dwa konie do wyścigów chce wystawić i cały folwark tylko stajnią zajęty. Tomaszek guwenera przekabacił, też tam siedzą, zamiast lekcje odbywać, powiadają mi obaj bezczelnie, że z natury chłopiec się uczy. I żeby tylko, Hanusi guwernantka dala się namówić do tej natury, ale wcale nie wiem, czy to tak z samego sentymentu do koni, bo na boki oczkiem rzuca. Spacery z panienką dla świeżego powietrza, już to widzę, to akurat w stajni najświeższe, szczególnie przy mierzwy usuwaniu. Mniemałam, że pan Władysław tak ją tam ciągnie, bo skoro w stajni z pupilem siedzi, w domu go nie ma i panna Wanda jego towarzystwem cieszyć się nie może, ale coś mi tu zaczyna piszczeć w trawie. Nasz koniuszy jeszcze całkiem młody i wielce urodziwy, ale wszak żonaty, weterynarz człowiek już starszy, ejże, Mateusz zostaje. Coś ona zbyt przy Mateuszu się trzyma, oszalała chyba, na niego parol zagięła? Będę chyba musiała też do stajni się przenieść... Albo może te dzieci do szkół powysyłać, chociaż nie, to na nic, Łukaszek za maty, o Zosi nie wspominając, wciąż bym musiała guwernantkę trzymać...*

*... nic jej z tego nie przyjdzie, jużem się uspokoiła. Mateusza tyle obchodzi, co psa piąta noga. Pan Władysław też do niej nieskory, czemu się trudno dziwić, bo starsza od niego, trzydziestu lat dobiega, a on ma ledwo dwadzieścia pięć. Jak się na weterynarza nie namyśli, który jest wdowiec, albo jakiego stajennego nie wybierze, dalej w panińskim stanie trwać będzie musiała. Nawet mi jej szkoda trochę, bo w gruncie rzeczy miła jest i dosyć wdzięczna, a Hania na dobrze wychowaną panienkę pod jej okiem wyrasta...*

*... całe towarzystwo z Pamiętowa niespodziewanie przybyło na to oglądanie koni, jedenaście osób i młodzież do tego. Szczęście to, że służbę mam wytresowaną, sama wie, co robić, a w lodowni zawsze zapasy. Mądra myśl była lodownię dużą zrobić i z każdej zimy lód przechowywać. Ubrać się mogłam od razu, bo szczęśliwym trafem dwie suknie letnie przyjąć zdążyły, a po Zosi zażywności żad-*

nej nie nabrałam wcale. Co tylko trochę dziwne mi się wydało, to że Ewelina, ostatnia Szeliżanka, jakimś osobliwym przypadkiem prawie równo z nimi nadjechała, tak w niej się miłość do naszych koni nagle obudziła. Aż mnie tknęło i popatrzyłam pilniej, i proszę! Pan Wąsowicz młodszy! Dobrze jej życzę, bo już czas najwyższy, dwadzieścia cztery lata ukończyła, a na pana Wąsowicza stary Szeliga nie będzie chyba zbyt niosącym. Dwóch ich jest tylko braci Wąsowiczów i chociaż starszy, już żonaty, na całej ojcowiznie siedzi, to w spółce z młodszym tartaki mają. Ze zdziwieniem słyszę, że ziemiaństwo teraz na przemysł i handel przechodzi i nikt już prawie tego za złe niema, ale może to stąd, że po chłopskim uwłaszczeniu majątki bardzo podupadły. . . . całe przyjęcie ogrodowe nadzwyczaj się udało, a naszym koniom wszyscy dobrze wróżą i sama widzę, że Mateusz się z nich pociechy doczekał. . .

. . . od Klarci wiem, że u Szeligów ciągle awantury, a to przez płacze i szloch Eweliny, bo panu Wąsowiczowi posag jednak potrzebny. Szeliżyna się podobno zbuntowała przeciwko mężowi i swoje sumy posażne kazała Ewelinie przeznaczyć nie po śmierci, a jeszcze za życia. A tam podobno pan Szeliga coś naruszył. No, ciekawe, wyjdzie co z tego czy nie, bo nie ma tam komu kiesę potrzęsnać, gołe splendory dla starszych dzieci pan Szeliga zdobył. Chyba że prokurent Ludwiki, ci jedni w pierze porastają. Pan Potyra jeszcze na wszystko skąpi, gotowe pieniądze pchając w interesy. . .

. . . dawnom się tak nie bawiła doskonale, wielka chwata dla Mateusza! Aż serce rośnie patrzeć, jak oba nasze konie wygrywały na owym polu w Warszawie, i Tytan, i Stokrotka! W powozie kwiatów miałam tyle, że w tłum rzucać musiałam, boby nas chyba zadusiły. Suknię specjalnie pod kolor dobrałam, zieloną, i do niej czarne rajery, bo Mateusz sobie barwy wymyślił zielone z czarnym. W zielonym mi do twarzy. Zdaje się, że wszystkie koszty mu się zwróciły i nawet z dużą nawiązką, a że ja też grałam, wygrałam więcej niż sześćset rubli. Jakoś tym razem nie protestowałam!, śmiał się, że wierna żona szczęście przynosi. Pokłóciliśmy się dopiero w domu, jak mi zaczął fochy stroić o hrabiego Dębickiego, że się przy mnie jak rzep trzymał. No trzymał, no to co? Miałam go batem odpędzić? Wcale mu się nie przyznałam, że mnie hrabia Dębicki tyle obchodzi co zeszłoroczny śnieg. . .

. . . przez te nasze konie królową balu zostałam obrana i wytańczyłam się lepiej niż za panińskich czasów. Po szmaragdy do Błędowa musiałam pojechać z lekką obawą, ale nie żałuję. . .

Wreszcie dotarła do Justyny konkretna informacja o klejnotach. Do Błędowa prababcia po nie jeździła, zgodnie z wcześniejszym postanowieniem. I co potem? Co z tymi szmaragdami zrobiła? Odwiozła je z powrotem do Błędowa czy zatrzymała przy sobie. . . ?

Po raz pierwszy i rychło w czas przyszło na myśl czytającej prawnuczce, że



ów skarb prababci musiał naprawdę istnieć i gdzieś się znajdować. Zamarła nagle nad tekstem i lodowaty dreszcz poczuła na kręgosłupie.

Na litość boską...! Jasne przecież, że tam właśnie, w tym przeklętym Błędowie, został ukryty! Jej, Justynie, najstarszej prawnuczce przeznaczony... I co, leży tam nadal...? Przepadł...? Boże jedyny, taki majątek, a oni tu gonią resztkami...! Była tam przecież, na miły Bóg, dlaczego nie obejrzała porządnie tej piekielnej biblioteki, dlaczego, kretynka skończona, nie przeczytała pamiętnika prababci jeszcze przed wojną...?!!!

A wydawało jej się, że to Helena jest głupia i lekkomyślna, ona sama zaś zrównoważona i rozsądna. Cha, cha, ale rozsądek...! Okazuje się, że zidioceniem starszą siostrę pobiła na głowę...

Wstrząs był tak potężny, że opanowanie go wymagało pełnej godziny. Straszliwa pretensja do samej siebie omal jej nie rozsadziła. Poszła do łazienki, napiła się wody, po namyśle zeszła na dół i rąbnęła sobie rzetelne sto gramów jarzębiku, doskonale schłodzonego w lodówce, nie zwracając żadnej uwagi na obecność Gieni i Hortensji. Obie na widok pijącej Justyny osłupiały doszczętnie.

— Jezus Mario, moje dziecko, co ty robisz? — spytała z przerażeniem Hortensja. — Co ci się stało?

— A bo pani pewno już wie, co tam się u pani Barbary porobiło — wysunęła przypuszczenie Gienia. — To każdy by wypił, choćby i truciznę.

Justynie przestało szumieć w uszach, ocknęła się ze swego transu, popatrzyła na nie i w mgnieniu oka podjęła decyzję. Nie powie im prawdy. Za skarby świata nie przyzna się do tak potwornego błędu życiowego. Okazała się idiotką, postąpiła jak debilka, świetnie, niech przynajmniej nikt się o tym nie dowie. Nagle poczuła, że utrata piastowanego dotychczas stanowiska najrozumniejszej osoby w rodzinie stałaby się dla niej klęską absolutną, upadkiem śmiertelnym. Nie zniosłaby tego. Niedopatrzenia już nie nadrobi, w czterdziestym piątym to jeszcze, ale nie po dwudziestu latach przeróbek i remontów, które tam niewątpliwie nastąpiły... Niech je zatem chociaż ukryje. Inaczej reszta jej życia będzie zmarnowana.

Zmobilizowała się.

— Ciśnienie mi spadło — wyjaśniła zimno. — Co tam się stało u ciotki Barbary? Nic nie wiem.

— Nikt nie wie — odparła tajemniczo Hortensja. — Zamknęli się w pokojach i nikomu nie otwierają. Fela płacze w kuchni. Przez telefon nam powiedziała.

— Ale żyją w ogóle?

— Żyją chyba, bo czasem jakieś hałasy słychać.

— A telefon? Co mówią?

— Nic nie mówią, wcale nie odbierają. Tylko Fela...

— No to przecież trzeba tam jechać, dowiedzieć się! Dlaczego ciocia nie pojedzie?

— Bo mnie nie wpuszczą, to co mam jechać...

— To ja pojadę. Mnie wpuszczą. Albo wedrę się, choćby siłą. Może ten Antos oszalał i więzi tam ciotkę Barbarę przemocą. . .

— Akurat Barbara taka uległa i da się więzić. Ale może ty masz rację, pojechać chyba trzeba. Ale myślałam, że mężczyzna do tego lepszy, Boleczek albo Ludwik. Że też te nasze wszystkie dzieci powyjeżdżały. . . ! Słuchaj, a może Jureczka sprowadzić. . . ?

— Gdzie teraz ciocia Jureczka znajdzie, on swoje różne dostawy załatwia. Jadę. Do przedpokoju Fela mnie wpuści, zadzwonicie do niej, że jadę.

— Samochodem?

— No a czym?

— A ty pijana nie jesteś po tym jarzębiaku? Zaskoczona nieco, bo o zdrowotnym kielichu zdążyła już zapomnieć, Justyna zastanowiła się uczciwie.

— Nie. Całkiem trzeźwa. Jadę!

Z owych dwóch pomercedesowych Wartburgów jednego używał Ludwik, drugim posługiwała się Justyna. Barbara, dzięki Antosiowi, była zmotoryzowana bardziej elegancko, pod jej domem parkowało volvo.

Powiadomiona telefonicznie o wizycie, zapłakana Fela czyhała pode drzwiami i otworzyła na pierwsze brzęknięcie dzwonka. Powitała Justynę z wielką ulgą, szeptem informując, że państwo tak już od rana i może wcale się nie kładli. Coś w nocy było, nie wie co, bo sama prawie spała, ale hałasy jakieś i wszyscy goście razem wyszli, a tak normalnie to różnie wychodzili. I jak chciała posprzątać, pokazało się, że wszystkie drzwi zamknięte, a pani krzyknęła, żeby poszła precz i głowy nie zawracała. I kazała nikogo nie wpuszczać, drzwi nie otwierać, ale Fela otwiera i tylko przez łańcuch patrzy. I tak do tej pory, tylko tu kuchnia dostępna, ta mała łazienka, służbówka i przedpokój, a reszta na mur. Chwalić Boga chociaż, że drugi telefon tutaj, to do rodziny mogła zadzwonić.

Justyna usiadła na kuchennym krześle i zastanowiła się nad sytuacją. Wplątywać się w tajemnicze, polityczno-partyjno-przestępcze sprawy Antosia. . . o, nie! Na to nie miała najmniejszej ochoty. Poczekać. . . ? Jak długo? Aż zgłódnieją i sami wyjdą. . . ?

— Mają tam coś do jedzenia? — spytała, przerywając Feli szeptane zwierzenia.

— I jeszcze ile! Tam cały bufet na zimno, a czajnik na elektryce stoi, i kawa, i herbata. . .

Zatem czekanie do niczego, na zimnym bufecie można przetrwać całą dobę. Wyciągnąć jakoś stamtąd Barbarę. . . ?

Nim zdążyła podjąć decyzję, znów brzęknął dzwonek u drzwi i pojawiła się Amelia.

— A, to i ty tu jesteś? — ucieszyła się na widok Justyny.

— Co się dzieje? Ciotka Hortensja mnie złapała z objawami paniki, podobno Antos ciotkę Barbarę morduje, czy może odwrotnie, mam przybyć na ratunek. Na

wszelki wypadek zabrałam dwa aparaty. Co jest?

— Jeszcze nie wiem. Siedzą tam podobno zamknięci już od nocy i właśnie myślę, jak ciotkę wywlec z tej klauzury. . .

— Podpalić coś — zaproponowała Amelia bez namysłu.

— Nie żeby poważnie, ale na kłęby dymu i krzyk, że pożar, wyjdą, gwarantuję. Co by tu. . . Mokre szmaty! Niech Fela zmoczy parę ścierek, podetkniemy pod drzwi.

— Czy ty nigdy nie wydoroslejesz? — zgorszyła się Justyna.

— A co, chcesz tu siedzieć i czekać do sądnego dnia? Ja nie mam tyle czasu. Pukałeś do nich chociaż? Wiedzą, że tu jesteś?

— Nie mam pojęcia. Chyba jeszcze nie.

— To zapukaj. Podpalać możemy w drugiej kolejności. A jak nie chcesz, to ja mogę.

— No dobrze, spróbuj. . .

Ledwo Amelia uniosła rękę ku drzwiom salonu, otworzyły się drzwi sąsiednie i Barbara wyszła dobrowolnie. Miała na sobie elegancki strój poranny i wyglądała zupełnie normalnie, tyle że jakby bardziej staro niż poprzedniego dnia.

— Jak się macie, dziewczynki — powiedziała spokojnie.

— Dobrze już, dobrze, uspokójcie Hortensję, i czegoż ona histeryzuje. Wiem, Fela narobiła rabanu, ale nic takiego się nie dzieje. Do małych kłopotów każdy ma prawo, a dłaczegóż to mnie właśnie całe życie ma płynąć po różach? O co wam chodzi?

Fela odbiegła na paluszkach i skryła się w kuchni. Justyna i Amelia popatrzyły na siebie.

— Nam o nic — powiedziała Amelia. — Myślałyśmy, że może cioci. . .

— Osobiście obawiałam się, że znów komuś coś pękło — wytknęła Justyna lodowato i grzecznie. — I coś trzeba. . . Ale jak nie, to nie.

— Mamy się nie wtrącać? — spytała Amelia podejrzliwie.

— Co się właściwie stało?

Barbara starannie zamknęła za sobą drzwi gabinetu.

— A mówiłam, że umiarkowanie każdemu się przyda — rzekła ściszym głosem. — To nie, zawsze chcą za dużo, takie hieny bez opamiętania. No dobrze, powiem wam, bo i tak wyjdzie, u żłobu zmiany się szykują — tu wskazała palcem sufit — i jeden drugiemu ostatni złoty ząb by wyrwał. Poprztykali się trochę, każdy szarpie dla siebie, a ja tej kliky finansować nie będę. Uda się czy nie, przeczekać trzeba. Niech wam Fela da coś do picia, ja nie mam głowy na razie, muszę Antosia uspokoić, bo się zdenerwował. I Hortensji też powiedzcie, niech tymczasem nie zawraca głowy. A my tu sobie damy radę. . .

Dalszy ciąg wieści dotarł do Justyny nazajutrz za pomocą kolejnych ogniw zwykłego łańcucha. Amelia zainteresowanie sprawą porzuciła całkowicie i nawet przez telefon nie próbowała niczego się o niej dowiedzieć. Miała własne kłopoty.

Hortensja natomiast wysłuchiwała komunikatów od Gieni z najszczerzą przyjemnością i natychmiast popędziła do siostrzenicy.

— Mówi Fela, że dobrze zgadłaś i przecucie miałaś, powiada, tam znowu trup leżał. Co oni tak się mordują u tej Barbary, naprawdę żadna z was na własne oczy nic nie widziała?

Justyna jeszcze nawet nie zdążyła się zabrać do ulubionego zajęcia. Zrezygnowała z siadania przy biurku.

— W przedpokoju był porządek — odparła z westchnieniem. — A dalej, mówiłam przecież, ciotka nas nie wpuściła.

— A tam właśnie leżał. Nic dziwnego, że Antoś zdenerwowany. Jak mają kogo posadzić, to prędzej jego niż Barbarę. Wynieśli go wieczorem dopiero, cały dzień tak trzymali dom zamknięty, Feli kazali pomagać, że to gość chory z pijaństwa, tak w nią wmawiali, do samochodu, do szpitala zawieźć. Myśleli, że wytrzeźwieje, a tu nic, więc tego... No, do doktora. A nie chcą wzywać, bo na co im ten kłopot, z domu szpital robić, jeszcze czego, tak Barbara Feli tłumaczyła, okropna rzecz, same go zawieźć musiały...

— Jak to, same? Kto?

— Fela z Barbarą. Antoś tylko nosił z piętra, bo on silny jak wół. A potem zaraz wrócił i w domu się zamknął.

— A one z tym gościem co...?

— Do szpitala, tak jak im kazał, pojechały, na Grochów. A tam ciemno dookoła, wywlokły go z samochodu, na schodkach posadziły i uciekły. Nikt nawet nie zauważył...

— Niemożliwe! Żadnych ludzi nie było, żadnych karettek? Pod szpitalem?

— Może i byli, ale nikogo nie obeszło. Jak nawet kto widział, myślał pewno, że pijaka przywiozły, bo tam pijaków dużo. Możliwe, że do rana tak przesiedzi, a dopiero w dzień go uprzatną. Zgroza ogarnia.

Justyna była tego samego zdania, też ogarnęła ją zgroza. Ponadto zdumienie i niedowierzanie, cóż to znaczy, na Boga, w tym kasynie Barbary trup pada za trupem i nikt się tym nie interesuje? Może naprawdę był to jakiś pijanica, a Fela przesadziła, wyobraziła sobie zwłoki i przekazała informację wedle własnych poglądów...

— A tak prawdę mówiąc, to Fela powiada, że w ciemnym miejscu go utknęły — mówiła dalej Hortensja — i nie bardzo delikatnie, wypchnęły z samochodu i tyle. A dom dalej zamknięty, kasyno nieczynne, coś to musi znaczyć. I obydwójce siedzą, Barbara to chociaż po mieszkaniu chodzi, ale Antoś jak wlaź do sypialnego, tak nosa nie wychyla, na klucz od środka się zamknął. Barbara sama tacę mu nosi, i nie od przedpokoju, tylko przez jadalnię, a jak telefon, albo dzwonek do drzwi, Fela ma mówić, że państwa nie ma. Wyjechali i za miesiąc dopiero wrócą. To ty myślisz, że co...?

— Nie mam pojęcia. Ale chyba rzeczywiście mają kłopoty. Nic na to nie poradzimy, przeczekajmy po prostu.

— Żeby tylko Barbara mogła niewinną udawać, to już bym się nie martwiła prawie wcale — westchnęła z kolei Hortensja. — Przez Antosia zdrowia tracić nie myślę. I na co jej było to wszystko, zgłupieć musiała na starość. . .

Dopiero po tygodniu i z wielkim wysiłkiem Justyna zdołała wrócić do swojej lektury. W ciągu tego tygodnia ciotka Barbara jeden raz wyszła z domu, przyjechała specjalnie do niej i udzieliła wyjaśnień, zabraniając stanowczo bodaj jednym słowem zwierzyć się Hortensji czy komukolwiek. Antoś okazał się lekko-myślny i zuchwały, skorzystał z popłochu w wyższych sferach partyjnych i chciał się przesadnie wzbogacić, a szkopał polegał na tym, że wszyscy inni, szczególnie zagrożeni upadkiem, też chcieli. Mieli nadzieję na wielkie wygrane, bo pieniądze u nich chodziły duże, większe niż zwyczajny człowiek mógłby sobie wyobrazić, no i możliwe, że Antoś trochę oszukiwał. Ale oszukiwać próbowali wszyscy i tak prawdę mówiąc, szantażowali się wzajemnie. Nadal się szantażują. Antoś woli po mieście nie latać, żeby go jaki nieszczęśliwy wypadek nie spotkał. Do czasu to tak tylko, zmiany nastąpią, takie wewnętrzne, uspokoi się wszystko i wróci do normy.

Na pytanie, po co jej to było, Barbara wzruszyła ramionami.

— Dla pieniędzy, moja droga, a coś ty myślała? Z tamtych dawnych już mi niewiele zostało, a tu była szansa, żeby sobie trochę dorobić. Za Placówkę podatki płacę, dzicy lokatorzy teraz już legalni i darmo siedzą, domiar mi przyłupali. . . Bez Antosia nielegalnego kasyna za żadne skarby bym nie prowadziła, za to przy nim proszę bardzo, wiadomo, że nic mi nie zrobią. To on przecież decyduje co legalne, a co nie, i kogo łapać, on i ci jego, pozał się Boże, przyjaciele. Tacy oni wszyscy przyjaciele, jak ja caryca Katarzyna. Może i przesadziłam trochę, i Hortensja ma rację, że musiałam pomieszania zmysłów dostać, ale nie wiedziałam, że to aż takie bagno. Myślałam, że trochę mniejsze. Już bym się z tego chętnie wypłatała, bo inwestycje mi się dawno zwróciły i coś tam sobie zyskałam na boku, pod tym względem nie narzekam, ale Antoś w gnojowisku po uszy siedzi i trochę mi go szkoda, bo powiem ci, że go nawet dosyć polubiłam. Stary, ale jary. . . No nic, nie zwracajcie na nas uwagi i nie mów o tym nikomu. Hortensji powiedz, że to o zdrady małżeńskie poszło albo coś w tym rodzaju, wymyśl jakie romanse, a jak chcesz, to nawet pojedynek. . .

Pojąwszy dokładnie, iż Barbarze udało się poślubić szantażystę, partyjnego hochsztaplera i bezwzględną pijawkę, i doceniając wartość tej ostatniej rady, Justyna zdołała w pełni usatysfakcjonować oszalałą z ciekawości Hortensję, która w rozwydrzenie i rozpustę dostojników rządowych uwierzyła bez chwili wahania. Odniosła się do niej nawet z pewną melancholią o rzewnym zabarwieniu.

— Popatrz, jak to w gruncie rzeczy, żeby nie wiem jakie czasy, nic się ci ludzie nie zmieniają! Za mojej młodości też tak było, ministrowie, generałowie, na stanowiskach, a bale sobie gorszące urządzali i te żony i narzeczone, to tak, na

prawo i na lewo! Im wyżej, tym gorzej. To ci obecni im pewno pozazdrościli i tak myślę, że dlatego Fełę na uboczu trzymają, bo na takie różne widoki jeszcze by do księdza ze skargą poleciała. . .

W obliczu podobnego rozpasania zapiski prababci, acz teraz już nieco denerwujące, mogły działać wyłącznie jak balsam. . .

*. . . a nic nie wiedziałam, końmi naszymi zajęta i tym balem wielkim, że taki skandal tam na boku się zrobił! Pani Maszkowska, a to przecież Waldecka z domu, pani Waldeckiej średnia córka, w romans się wdąta z oślawionym panem Wolskim i mąż ich na wyścigach właśnie wypatrzył. A trusia taka była za panięńskich czasów, doskonale ją pamiętam, prawie ust nie otwierała i za niedojdę ją wszyscy mieli. A tu romans ognisty taki, że już stajenni się śmieli, bo przeważnie po stajniach się spotykali, dla konnej jazdy rzekomo. Pan Maszkowski nerwowo się zachował, opanowania żadnego nie okazał i ma być z tego pojedynek, a możliwe, że już dziś rano był, chociaż łagodziec usiłowano. Wypierać się pani Maszkowska nie da rady, bo na uściskach ich złapał, zdrowe zmysły chyba stracili, tak prawie na ludzkich oczach. . .*

*. . . no i był, strzelali się, pan Maszkowski panu Wolskiemu nogę nad kolaniem drasnął, a pan Wolski w rękę pana Maszkowskiego trafił, ale obaj żyją i nic im nie będzie. Pani Maszkowska aż pod Zamość do dalszej rodziny na głuchą wieś została wysłana, zapłakana pojechała i obrażona, ale ciotka Klementyna powiada, że dla zapomnienia sprawy ledwie rok wystarczy, o ile pan Maszkowski nie będzie głupstw robił. Byle się teraz progenitura nie pokazała, bo to by mogło drażliwość powiększyć. Ale mnie się nie zdaje, po czymś takim jeszcze długo nikt ich znać nie zechce, a i pan Wolski lepiej, żeby wyjechał, choćby i z tą nogą. . .*

*. . . po zimie dosyć surowej wilków pełno upolowanych i już mi Mateusz obiecał pelerynę wilczym puchem podbić, ale to potrwa, bo włos wyrwać trzeba, na przyszły rok będę miała. Nic cieplejszego na świecie nie ma, a nie cięży wcale. Nasze konie w wielkiej cenie już trzeci rok, przeto kłopotów pieniężnych żadnych nie mamy i Tomaszka będzie można wysłać dla edukacji choćby i na dwa lata. Angielskim językiem nie bardzo dobrze mówi, niechby w Londynie trochę posiedział, stać nas na to. Ale jeszcze chyba za młody, akurat tak wypadnie, że Tomaszek wyjedzie, a pan Władysław Łukaszka pod opiekę przejmie. . .*

*. . . jak by tu zrobić, żebym udawać mogła nieświadomość całkowitą? Pan Władysław oszalał dla mojej garderobianej, a ona mu jest zbyt przychylna, nie daj Boże jedno i drugie będę musiała stracić, a wcale nie chcę. Tomaszek, widzę przecież, i wykształcenie, i maniery, i wzięcie, a Emilka do strojów ma wprost paryską rękę, ale przecież zgorzenia tolerować nie mogę. Oto mi głupiego kłopotu narobili! Chyba na jakiś czas głucha się zrobię i ślepa, a może Mateusz mu w cztery oczy do rozumu przemówi. . .*

*... Zenia po dwóch synach córki się doczekała, a Klaryssa po trzech córkach nareszcie syna, prawie w tym samym dniu. Tośmy się śmiały, jak się akurat u mnie zjechały obie razem, że każda szczęśliwa z odwrotnego powodu. Zenia doskonale wygląda, ale Klaryssa nadmiernie ciała nabrała, narzeka, że sukni już nie ma z czego poszerzać, a tyje zjedzenia. Powiada, że słodyczami się karmi, żeby jakieś antydotum mieć na pana barona...*

*... Zosię moją rzadko widuję, bo tylko ja do niej jechać muszę, ona do mnie wyrwać się nie może przy sześciorgu już dzieciach i całym gospodarstwie, choć pani Lipowiczowa, co też ja mówię, pani Holderowa już od ładnych paru lat, od Zeni do niej przy swoim rządcy przeszła i trochę jej pomaga. Nawet całkiem zadowolona z tego mariażu niestosownego, śmiechy były, a tu widać, że dobrze uczyniła i na swoim wprost kwitnie...*

Już po tych kilku stronach Justyna zorientowała się, że prababcia jakoś rzadziej pamiętnikowi się zwierza. Po dzieciach sądząc, całe miesiące a nawet lata przeskakuje, jakby nic się w tym czasie nie przytrafiało. Albo może straciła natchnienie...?

Rychło wyszło na jaw, że inne były przyczyny owej powściągliwości. Prababcia była mocno zajęta.

*... Ciągle nie wiem, czym dobrze zrobiła z tymi zmianami w bibliotece. Ale chyba udało mi się te nowomodne wygody symulować i wynalazki różne, a że Mateusz mocno sarkał, amerykańskie pomysły mi wmawiając, zatem Błędów przed Głuchowem nikogo zbyt nie zdziwił. Elektryczność to się nazywa, zapamiętałam sobie, a kosztowało więcej niż owe łazienki i rury z ciepłą wodą i wygodki domowe, do czego służba najprędzej przywykła, ile że się obchodzi bez wylewania nocników. To jest prawda, że za wariatkę mnie wzięto, bo choć w Warszawie już w modę wchodzi, na wsi nikt się za to nie bierze. Niemca wzięłam, co w Ameryce był i w Petersburgu praktykował, aż się czerwienił z zapachu, choć, jak to Niemiec, flegmatyk. Nic od początku nie rozumiałam i nie rozumiem, ale co mi to szkodzi, grunt, że roboty wielkie były. A Niemiec do Prus wrócił i tyle go widzieli.*

*Przez te ekspensy ledwo dwie suknie nowe na karnawał sprawiłam i znów widzę, jakie to szczęście było, owa intercyza moja ślubna, bom się na Mateusza oglądać nie musiała wcale. Tak go to rozzłościło, że całe trzy tygodnie w Warszawie spędziliśmy na balach, z czego Hania z panną Wandą skorzystały, bo skorom córkę w siedemnastym roku w świat wprowadziła, teraz mogła balować. Z Mateusza się trochę natrzęsalam, rzekłszy mu, że skoro żony nie musi, córkę może ubrać i nie powiem, pokazał się pięknie. Do Paryża chciałam znów jechać, ale na to mi nie starczyło, bo Tomaszek trochę kosztuje, choć mniej niż się bałam.*

*Suknia jedna jedwabna szafirowa, ale ciemna dosyć, drapowana mocno i z siateczką złotą, a do niej szafiry z rubinami, druga zaś z mięsistego atlasu zielona, ale ze srebrnym tiulem łączona i wreszcie przy niej diamenty pokazałam. Hanusi wzbroniałam całkiem na biało występować, dobre to było w zeszłym roku, teraz już kremowe i łososiowe niech nosi, bo w tym przy ciemnych włosach jej najlepiej. Nie pożalowałam córce, skoro ojciec płacił...*

Opis karnawałowego wyposażenia babci Hanny zdradzał między wierszami wręcz upojenie prababci, przejętej garderobą córki, kto wie, czy nie więcej niż własną w młodości. Gorseciki, rękawiczki, wachlarze, pończochy ze strzałkami wedle najnowszej mody paryskiej, gdzie właśnie szalała jakaś rozwiązłość, wedle której ważniejszy był spód sukni niżli wierzch, a ten spód winien być cały w falbanach. Nieprzyzwoite to było ogromnie, a donosił o zjawisku wojażujący już od dwóch lat Tomaszek. Z roztkliwieniem Justyna pograżyła się w fatałaszkach, stanowiących żywy kontrast z perypetiami takiej, na przykład, Barbary. Zaniepokoiły ją tylko na nowo wzmianki o szafirach i diamentach, do licha, opróżniła prababcia napoleoński skarbiec czy nie...? Oj, chyba tak...

*... na czas robót wolałam pod ręką wszystko trzymać, tyle że nikt nie wie gdzie, nawet Mateusz. I tego już jawnie nawet i sobie nie napiszę. I znów nie wiem, czym błędu nie zrobiła, bo koło Hanusi mocno się kręca różni, aż trudno rozeznąć, kto jest kto. Też bym nie chciała, by mi córkę dla pieniędzy wzięto. A tak jak Czesia Gawrocka za nic nie uczynię, toż to skromna panienska za dawnych czasów była, a rozwyrzyła się nie do pojęcia, trzy lata ode mnie starsza i czas by jej było trochę się zestarzeć, to nie, córki obie, od Hanusi starsze, do tej pory w domu trzyma i za małe dzieci podaje. Do wieku własnego pod karą śmierci się nie przyzna, choć i tak wszyscy wiedzą, bom im sama na ucho powiedziała, że czterdzieści lat przekroczyła. To prawda, że nieźle wygląda, ale świeżość widać, że sztuczna, do tańca się rwie i do hołdów aż piszczy, wstyd i obraza boska. Inna rzecz, że pan Gawrocki stary ramol się zrobił...*

*... co na Mateusza spojrzę, to myślę, że jednak dobrze sobie męża wybrała, może i rzeczywiście przez te konie tak się doskonale trzyma, w siodle bezustannie i w stajni siebie nie żałuje. Przy mazurze ostatnim młodszych doszczętnie zakasował, a w salonie prezentuje się tak, że niejedna by za niego bez namysłu poszła. No, hrabia Strumiński też dobre wrażenie robi, ale na mój gust za wiotki i nie wiem, czyby mnie tak na ręce chwycił i po schodach niósł, jak dla Mateusza żadna sztuka. Podobno, takem czytała, cielesne różne ćwiczenia na świeżym powietrzu bardzo młodość konserwują...*

*... tak myślę, jak by tu moje córki od tego mariażu interesownego uchronić.*



*Hania dosyć niegłupia i rozumie, co się do niej mówi, ale panna Wanda trochę jej zaszkodziła. Po niej widzi, że bez pieniędzy kariera żadna i nikt jej nie weźmie, więc nie bardzo chce się z posagiem ukrywać. A i po tych moich klejnotach też wszyscy sobie za dużo wnioskujeją, więc sama nie wiem... Udać, że fałszywe wprawiłam? Za nic! Babka by się w grobie przewróciła...*

*... a cóż za epidemia jakaś, wszystkie kury, co do jednej, kwoktać razem poczęły, a kto będzie jajka niósł? Omal tydzień tym jednym byłam zajęta, by ich kręcenia dopilnować, co ledwo tuzinowi rozum przywróciło, a reszta dalej chce siedzieć. Jedyna rzecz, gęsi i kaczek stado powiększyć, trudno, niech na gęsiach i kaczkach siedzą, dobrze jeszcze, że gęsi i kaczki do siedzenia nie bardzo chętne. I czego mi Bujnowska tym głowę zawraca, jakby sama nie wiedziała, co robić...*

Justyna znów się oderwała od przepisywania. Co za Bujnowska jakaś, mowy o żadnej Bujnowskiej dotychczas nie było. Któż to taki, do licha...? A, może gospodyni, zarządzająca... Jakaś gospodynię prababcia musiała przecież mieć, widać, że w domowe drobiazgi osobiście się nie wdawała...

*... no i ma Czesia swoją młodość wieczną i dziewczyneczki małe w domu, dobrze jej tak. Ledwom o niej tu sobie wspomniała, już jej się przytrafiło, starsza córka, Bronią chyba, z nowym pisarzem uciekła. Z karnawałowych balów i triumfów wróciwszy, rwetes straszny w domu zastała, bo panna Bronią zgrabnie rzecz urządziła. Podobno do Pamiętowa się udała w odwiedzinach do Krysi Pamiętowskiej, co nogę skrzyła i chodzić nie może, żeby przyjaciółkę w chorobie pocieszyć, pan pisarz wiadomość dostał o wuja pogrzebie i tak się rzekomo w dwie strony razem rozjechali. Na trzeci dzień dopiero wyszło na jaw, że Broni wcale w Pamiętowie nie było i nie ma, a młodzi państwo Kozłowski w Radomiu i już po ślubie. A było nie zostawiać dorosłych córek na wsi, jak matka w Warszawie baluje! Nikomu pani Gawrockiej nie żal i każdy powiada to samo, że dobrze jej tak.*

*A jak młoda pani Kozłowska wnusia babci przywiezie, sama przy tym chce być i na własne oczy uciechę Czesi widzieć... cała młodzież rewolucję jakąś wprowadza, aż uwierzyć trudno. Najmłodszy Waldecki prawo chce studiować i adwokatem albo notariuszem zostać, młody Pamiętowski na studia rolnicze się rwie, na medycynę idą, na inżynierię, politechnicznych nauk im się zachciewa. A najgorzej już, że i pannom przewraca się w głowach, mała Zielińska dorosła i nie żadnego pierwszego balu żąda, tylko Genewy, bo też doktorem chce zostać. Okropne to rzeczy! To już z dwojga złego wolę mojego Tomaszka, który nic wcale nie chce robić i za bogatą żoną zaczyna się oglądać. I co do Hani nie ma obawy, żeby wielkich nauk zapragnęła...*

*... dopiero się teraz dowiedziała, bo nie wiadomo dlaczego w tajemnicy*

przede mną trzymali, że pan Pukielnik strasznie węszył Bezczelny się taki okazał, że Zeni wizytę złożył, wielką szczerość udawał, sam o przeszłości wspomniał i za swoje zbrodnie strasznie przepraszał. Na karb młodości i głupoty je składał, o przebaczenie błagając, i Zenia mu przebaczyła. Myślałam, że rozum postradała, ale pokazało się, że nie tyle rozum, ile sumienie.

W tajemnicy wielkiej sama mi rzekła, że na sam widok pana Bazylego pierwszy mąż się jej przypomniał i przez mgnienie oka o mało mu nie zaczęła dziękować, że ją od potwora uwolnił. To jakże miała udawać, że mu nie przebacza? A jej w końcu przecież z tego świata nie zglądził, więc niech tam pan Bóg się jego duszą zaopiekuje, a ona mu może ulżyć. Na jej miejscu wołałabym go nie widzieć na oczy, czworo dzieci w domu, to kto go tam wie...? Ale Zenia powiada, że pan Bazyli już spadku po niej nie potrzebuje, na żonie się wzbogacił, to od służby wiadomo. Nową ma pokojówkę, córkę owej Kundzi, co tam się kiedyś w całą sprawę wmisczała, dziewczynę bardzo młodziutką, ale takiej urody, że jej i kamień wszelkie sekrety wyjawia.

A pan Bazyli wyznał, że konie kupować przyjechał i do Mateusza protekcji potrzebuje. Bo Mateusz podobno zaparł się i sprzedać mu nie chce...

... i w końcu mu nie sprzedał. Już parę lat temu to było, a teraz dopiero do mnie doszło, że we wszystkich naszych majątkach był, najdłużej zaś w Błędowie siedział. Aż mi ścierpło wszystko i ucieszyłam się tymi zmianami, com je zdążyła poczynić. Może i niepotrzebnie podejrzewam, ale Błędów Błędowem, a co w Placówce miał do roboty? Tam Mateusz perszerony hoduje, a pan Bazyli na folbluty ma chrapkę, to jakże to? Na co mu perszerony? W wyścigi je będzie puszczał?

Oj, nie podoba mi się to wcale, chyba znów do Błędowa pojedę z Dominika po przyjacielsku pogadać...

...jeszczem więcej i niespokojna, i kontenta razem. W komitywę się wdawał z każdym, rzekomo dla koni, tych, co u mnie przy robotach zatrudnieni byli, mocno szukał, podziwiał i te rury, i elektryczność, mówił, że sam też by takie rzeczy chciał, i tu sama siebie pochwaliłam, że owego Niemca wzięła. Tyle się mógł dowiedzieć, ile kot napłakał...

— Co ty tam wycytujesz takiego, że świata bożego nie widzisz? — powiedziała znienacka zniecierpliwiona Hortensja od drzwi. — Stoję tu i stoję, i mówię do ciebie, a ty jakbyś ogłuchła! To już cię nic więcej nie obchodzi, tylko te stare szpargały?

Tak nagle oderwana od pana Pukielnika Justyna z pewnym trudem przemieściła się w czasie i pozbiierała myśli. Zaczynała się właśnie denerwować nie mniej niż prababcia jego szpiegowską działalnością, pewna, że wywęszył cesarskie podarunki, widział przecież na prababci szafiry i diamenty, i może jego brak osiągnąć prababcia oceniała zbyt optymistycznie...?

— Nie — powiedziała do Hortensji, przecierając oczy i twarz. — Tylko się męczę, bo to strasznie trudno odczytać.

Hortensja podeszła do niej i rzuciła okiem na biurko.

— Nawet bym nie próbowała. Co to w ogóle jest, przecież nie ludzkie pismo! Jakby brudna mucha po papierze łąziła. . . Mówię ci, że Antoś wrócił.

— A wyjeżdżał? — zdziwiła się niepewnie Justyna.

— Ty nieprzytomna jesteś czy co? Jak wyjechał po tych zbrodniach, tak więcej niż pół roku go nie było. I Barbary nie widziałas, jak tu przylatywała? Rozmawiałaś z nią przecież!

Justyna oprzytomniała całkowicie. Istotnie, przypomniała to sobie, Antoś przesiedział we własnej twierdzy prawie trzy miesiące, po czym wyjechał, nie wiadomo dokąd. Padały supozycje, że uciekł i więcej nie wróci. A oto wrócił. . .

— I co?

— Co, co?

— No, skoro wrócił, to co?

— A bo ja wiem? Ale tak się boję, że znów się zacznie. I Barbara niespokojna, dobrze to widzę. Co by tu zrobić?

— A co ciocia może zrobić? Nic. I po tamtych wydarzeniach nic się przecież nie działo, wszystko przyszło. . .

— A tak. Na serce im ci goście poumierali. Ale jak znowu zaczną ataków dostawać, w końcu mieszkanie im zabiorą albo co. Trzeba z Barbarą pogadać, ty po niej dziedziczysz, powiedz jej, niech ona się uspokoi. Jak na razie jeszcze Antoś cichutki jakby go wcale nie było, ale na ulicę wychodzi, więc nie wiem. . .

Dla świętego spokoju Justyna obiecała interwencję. Bardziej ją niepokoił pan Bazyli niż Antoś, chciała czym prędzej wrócić do prababci. . .

*. . . Hania, aż dziw bierze, jaka do haftu zręczna, cała szarfę wyhaftowała tak, że nikt nie wierzy i każdy podziwia. I to dla haftu samego, bo w stroje mniej wpatrzona niżby się wydawało. Prawie jej wszystko jedno co ma na sobie i wcalem z takiego niedbalstwa niezadowolona, chociaż kolory, to muszę przyznać, pięknie dobiera. Kręcą się przy niej, a najwięcej średni Burski, i tym się niepokoję. . .*

*. . . a cóż się pokazuje, wreszciem to wypatrzyła! Pan Kazimierz Kolski na zięcia mi się szykuje, niby nic, a widziałam, jak się moja Hania płoniła. Mateusz powiada, że na posag chyba nie leci, bo Kolskim się nieźle wiedzie, córkę już wywianowali, jeden syn im został, ten Kazio, i prawie sam zaczyna gospodarować. Stary pan Kolski podupadły całkiem, a pani Kolska łagodnego charakteru, więc niesnasek tam nie będzie. Ale możliwe, że Mateusz im przychylny, bo dobre konie mają. . .*

*. . . deklarował, zgodziłam się, chociaż Kolscy daleko, aż nad Pilicą. Hania uszczęśliwiona, wcale się z tym nie kryje. Żeby jeszcze Tomaszek jakiego głupstwa*

*nie zrobił, bo znów mi się wyrwał do Londynu, ale na ślub siostry musi wrócić. Niech im będzie za trzy miesiące, z wyprawą się zdąży, a na co niby mają czekać...*

Przebijając się przez szczegółowy opis owej wyprawy, Justyna smętnie wspominała sobie posiadłość babci Hanny sprzed pierwszej wojny światowej. Nie było jej wtedy jeszcze na świecie... To co widziała później, w okresie międzywojennym, nie umywało się podobno do wcześniejszej świetności, ale jeszcze mogło zaimponować. Zdaje się, że dziadka zgubiły konie, miał w nich wielki majątek i w czasie pierwszej wojny przepadły wszystkie. A w konie obrósł zapewne pod wpływem teścia...

No dobrze, ślub babci ślubem babci, ale gdzie się podział ten cholerny Pukielnik...?

*...oj, tak mi się wydaje, że panna Grażynka Winiczówna na Tomaszka parol zagięta. Choć wesele huczne, miałam oko na wszystko, jakoś mu ciągle pod ręką była, a i Tomaszek jej nie unikał. Bliska znajomość wyraźna, a to skąd...? Na wszelki wypadek wypytałam się zaraz, korzystając z gości, bo ludzie zawsze wszystko wiedzą. Rodzina się zmieszczaniła, choć Winiczowie oboje z senatorów po kądzieli, ale głównie pieniądze mają, a ziemi ledwo co. No, duże lasy jeszcze im zostały na wschodzie i zyski z nich ciągną, ale więcej na przemysł pan Winicz patrzy. Może to i nie takie głupie, ale czy ja wiem... Pana Szeligę zaczynam dobrze rozumieć, milsza synowa z magnatów niż z mieszczan. Z drugiej znów strony długów tu nie ma, wierzyciele na karku nie siedzą... Panna Grażynka wykształcona, obyta, może trochę nadto śmiała, ale co począć, skoro w miastach się obraca, po Europie wożona. Ejże, zaraz, czy to przypadkiem nie dla niej tak się Tomaszek do Londynu rwał i tak rychło bez oporu wrócił...? A uwierzyłam, że dla koni...! No nie wiem, Mateusza się jeszcze poradzę...*

*...a jemu tylko te konie w głowie, własny syn go nie obchodzi, bo w stajni nie mieszka. A ja Bogu dziękuję, że po ojcu bzika nie odziedziczył, chociaż i do gospodarstwa Tomaszek nic bardzo chętny, a to mnie już niepokoi. Może i lepiej, żeby z pieniędzy żył...*

*...wcale nie chcą tam mieszkać i z remontem pałacu się ociągają, który już się więcej dla myszy i nietoperzy nadaje niżli dla ludzi. Dworek pod Warszawą blisko całkiem im wystarcza, a ten też odnowienia wymaga. Miast zadbać, podróż poślubną na nieskończoność sobie rozciągają, a tu ani pan Winicz nie wieczny, ani Mateusz, cóż on sobie myśli, ten mój najstarszy syn, tracić tylko zamierza?...*

Dość długiej chwili Justyna potrzebowała, żeby uświadomić sobie, iż siedzi właśnie w owym dworku dziadka Tomasza. Odnowienia bez wątplenia dokonano,

i nie tylko, przebudowano go kompletnie, już na długo przed wojną przeistoczył się w nowoczesną willę. Chyba to łaska boska, gdyby nie ta wzgardzona przez prababcie budowla, Bóg raczy wiedzieć, gdzie podziałaby się rodzina, bo przecież pałac, bez względu na zdanie myszy i nietoperzy, zostałby im odebrany tak samo jak i cała reszta. Cioteczny dziadek Tomasz, oczywiście, z Grażynką się ożenił. . .

*. . . a cóż ja mam zrobić z tą Naścią, najlepsza dójka, dziesięć krów doi sama jedna, i to jak! Ni kropli mleka po niej nie wyciśnie! Wcale jej nie chcę wyrzucać, a już z taką zmienioną figurą chodzi, że wstyd i obraza boska. A ów drwal, co mu tak dwojaki nosiła, pokazało się, że żonaty, o ślubie z Naścią mowy nie ma, bękart pewny i znów będzie gadanie, że niemoralność toleruję. Może Mateusz jej jakiego stajennego znajdzie, zapłaci mu się, byle ją wziął. Drugie zmartwienie Łukaszek, ten mi jakieś botaniczne studia wyprawia, zaraził się tą epidemią, a tak cichutko, że nic nie spostrzegła. W świat wcale nie chce jechać, jakąś fabrykę chce sobie założyć, laboratorium, tak o tym powiada i zbója jakiegoś brodatego za instruktora sobie sprowadził. . .*

*. . . dopiero teraz Dorotce chrzciny urządzili, przeciwna byłam, żeby trzy lata czekać, chociaż z wody była od razu ochrzczona, ale się uparli przy owej krewnej Kolskich, co z Rosji wcześniej przybyć nie mogła. Księżna, no i cóż takiego księżna dla chrzestnej córki, tyle w tym sensu, że ten jej ksiązę, co go tak pielęgnowała, wreszcie umarł i cały majątek jej zostawił. Może i dobrze pani Kolska liczy, że o chrzestnej córce w testamencie nie zapomni, ale kto ją tam wie, nie bardzo stara jeszcze. . .*

Zainteresowanie prababci jej własnymi dziećmi wydało się Justynie raczej mierne. Słowem o nich prawie nie wspominała, aż nagle jej uwagę zaprzątęły mariaże, przy czym urodzenie pierwszej wnuczki całkowicie pominęła milczeniem. Trzy lata matka Justyny sobie liczyła, kiedy wreszcie została dostrzeżona z okazji spóźnionych chrzcin. Z chrzestnej księżnej nic jej nie przyszło, bo lekko-myślna dama nie przewidziała rewolucji i cały majątek przepadł, to już Justyna sama pamiętała z gadania, zasłyszanego w przedwojennym dzieciństwie. Ciekawe, swoją drogą, po jakim czasie prababcia zauważy istnienie pozostałych wnuków. . .

Nim zdołała to stwierdzić, przerwano jej lekturę radykalnie. Sprawdziły się złe przeczucia Hortensji, Antoś Barbary został zabity. Jego śmiertelne zejście określono mianem katastrofy samochodowej.

Komentarze rozpoczęła Hortensja. — Akurat, już on tam sam katastrofy nie robił, bo gdzie, pod Pasłękiem? A niby co go tam zaniósł? Wyrwało się Barbarze, że wcale za miasto nie wyjeżdżał, myśleli, żeby znowu to swoje kasyno otworzyć, po Warszawie tylko jeździł, z ludźmi się nawet widywał, no i proszę, nie darowali

mu. Bał się i tak ryzykował, ale ja myślę, że może go kto zmuszał, aż go gdzieś przydybali, pod ten Pasłek wywieźli, nie wiadomo czy żywego, i tam katastrofę zrobili. Podobno tam jakieś niebezpieczne zakręty na górze, zepchnąć łatwo, a kto zleci, to już trup. Co ty o tym myślisz?

Justyna posiadała wiedzę wyłącznie o zakrętach. — Tam stromo, droga rzeczywiście niebezpieczna... To na cóż by się tam pchał? Gienia mówi, że Fela że nerwowo się zrobił okropnie, apetyt stracił i aż wychudł jak szczapa. Nie do zakrętów mu było. I złośnik, o byle co się awanturował, nie chcę nieboszczyka szkalować, świeć Panie nad jego duszą, ale dla Barbary chyba lepiej się stało. Ona też wychudła. Okropności tam były, rewizję robili, Gienia mówi, że Fela mówi, że dwa dni po tej rewizji sprzątała. Cud, że Barbary nie zabrali. Może teraz wreszcie spokój nastanie, ale tak jej samej zostawiać nie można. Musisz iść do niej...

Justyna była podobnego zdania, poszła zatem do nie zabranej i osamotnionej Barbary i usłyszała dalszy ciąg.

— Jasne, moja droga, że sam z własnej woli do Gdańska nie jechał — przyświadczyła Barbara melancholijnie, siedząc przy stole i obciążając koniaczek. — Pozwól sobie, takie trochę ci nie zaszkodzi, a Fela zaraz zrobi kawę... Z dnia na dzień czekałam, kiedy go załatwią, bo się niewygodny zrobił. No i zemścić się mieli wielką ochotę, za te ostatnie straty. Mnie w spokoju zostawili, byłam sól w oku, bezpartyjna i co to za pochodzenie, przedwojenne ziemiaństwo, ale właśnie dlatego, rozumiesz, ta rozpusta i demoralizacja w ludowym państwie, to broń Boże nie żadne czynniki, tylko klasowy przeciwnik. To ja, ten klasowy przeciwnik. Słusznie należało takich na latarniach powywieszać we właściwej chwili, ale skoro zaniedbali i właściwa chwila przeszła... Teraz już się zmieniło i klasowego przeciwnika mają tylko w gębie.

— A cioci nic złego nie zrobią? — zatroskała się Justyna.

— Nie, bo ja jestem święta krowa. Wdowa po zasłużonym. Pusto tu trochę...

Justyna obejrzała salon, idąc wzrokiem za gestem ciotki. Rozsunięte czteroskrzydłowe drzwi ukazywały dużą część jadalni.

— Sama ciocia kazała usunąć meble. A skoro teraz ciocia wyrzuciła stoły do gry...

— Oszalałaś, takie drogie rzeczy bym wyrzucała! Nie wyrzuciłam, tylko mi zabrali, gdzie indziej sobie kasyno otworzą, bez tego już się nie obejdzie, skądś te swoje tajne pieniądze muszą brać. Antosia rzeczy też zabrali, przeszukanie zrobili, ja już, chwalić Boga, nie mam żadnego znaczenia, nic nie posiadam, nikomu nie zagrozę i można się mnie nie czepiać. Tak się ustawiłam, bo resztką rozumu jeszcze mi została. I powiem ci, moja droga, że chętnie trochę pożyję spokojnie.

— To dlaczego ciocia jest taka... podupała? Z żalu po Antosiu? No, ja rozumiem...

— E tam, z żalu, nie wyglupiaj się. Przez ostatnie miesiące dojadł mi już nie

do zniesienia, można przy nim było zwariować. Mam raka.

— Co...?!

— Raka mam, nic ci na to nie poradzę. Nie ja pierwsza, nie ja ostatnia. Ale krócej będę żyła niż miałam nadzieję, więc trochę mi przykro.

Justynie mowę odjęło. Dość gwałtownie chlupnęła sobie koniaku, złapała dech i spróbowała się odezwać. Musiała odchrząknąć kilka razy.

— Czy to pewne...? Skąd ciocia wie...?!

— No chyba nie uważasz mnie za kretynekę? Operację chcą robić, chociaż możliwe, że ciut za późno. Ale niech będzie, zgodziłam się. Może dzięki temu pożyję ze dwa lata dłużej, ale od razu ci powiem, przez te dwa lata, jeśli zdołam, będę rozrywek zażywać. Może do Monte Carlo pojedę, mam chody i paszport dostanę. Ale...! Żeby nie zapomniała. Ludwika warto by ostrzec.

— Przed czym...?!

— Przed tymi szakalami. Już mi tu podsłuch zdemontowali, jeden znajomy sprawdzał, mogę mówić. Z wyścigów też chcą ciągnąć takie tajne pieniądze. Mogą żądać ustawianych gonitw, Ludwik powinien wiedzieć, co to jest i jak się to robi, rozumiesz, lepszy koń wstrzymany, a gorszy wygrywa. Jakiś skandal był w Anglii na tym tle jeszcze przed wojną.

Ku własnemu zdumieniu Justyna poczuła, że rozumie i wie, o co tu chodzi. Mimo braku zainteresowania, końskie sprawy były jej bliskie, to musiało tkwić w genach po pradziadku Mateuszu. Jakaś lekceważona wiedza z dzieciństwa, z wczesnej młodości...

— Dobrze, powiem wujkowi. Skoro nawet ja rozumiem, on zrozumie tym bardziej.

— Tylko po cichu, żeby nikt nie słyszał. A o moim raku możesz nie mówić nikomu, co mi Hortensja ma nad głową skrzeczeć. Przeprowadzicie się po mojej śmierci, „to mieszkanie jest już twoje, przepisałam na ciebie notarialnie. Rób sobie, co chcesz i Bolek też, ale gdybyś je straciła, szlag by mnie trafił na tamtym świecie...!

Solidnie ogłuszona wizytą, Justyna musiała udać się na daleki spacer, żeby odzyskać równowagę przed powrotem do domu. Dzięki obejściu dookoła kilku ocalałych z zawieruchy wojennej budowli, pałacyku Szustra, Królikami i pałacu Wilanowskiego, zdobyła siły na pogawędkę z Hortensją.

Nowotwór zamieniła na wyrostek robaczkowy, suponując, że Barbarze chyba wytną, bo ją bardzo kłuje. Tym się Hortensja zbyt nie przejęła. Resztę powitała z ulgą, uspokoiła się w kwestii podstępnych represji, pochwaliła zamiar szwagierki pożycia spokojnie, po czym z wielką troską ją rozpatriwać strój na pogrzeb Antosia. Sam kapelusz czy do niego czarna woalka? Przed wojną woalka byłaby niezbędna...

Więcej kłopotu przysporzył Justynie ostrzegany Ludwik, który za nic nie chciał przyjąć do wiadomości ewentualnych machinacji wyścigowych. Wezwała

do pomocy Jureczka i Krysie, pomogło, ale niewiele. Ludwik uparcie zamierzał trzymać rękę na pulsie, pilnie sprawdzać uczciwość gonitw i protestować przy najmniejszym podejrzeniu. Nie udawało się wytłumaczyć mu, że oficjalnie nie ma żadnych praw, uznawany jest tam niejako z grzeczności i rezultat osiągnię taki, że go z tych wyścigów całkowicie wyrzucą i zabronią mu wstępu. Przy całej łagodności charakteru tym denerwował się niebotycznie i nie chciał słuchać głupiego gadania.

Operacja Barbary przebiegła pomyślnie, acz Justyna od prowadzącego lekarza uzyskała poufną wiadomość, że mogą się pojawić przerzuty. Zważywszy, iż wynalazek Fenicjan wciąż działał bez zarzutu, a Barbara nim znów swobodnie dysponowała, zrobiono wszystko, co było możliwe. W podróż, owszem, proszę bardzo, mogła sobie wyjechać, gdzie i kiedy jednakże miałyby się objawić dolegliwości, nikt nie umiał przewidzieć.

Barbara powinna była prowadzić spokojny tryb życia, Justyna zatem załatwiała za ciotkę, co tylko się dało. Zajęła miejsce w ogonku po paszport, przyniosła i odniosła formularze wizowe, kupiła bilety na pociąg do Paryża. Ogonka w banku uniknęła, bo Barbara teoretycznie wyjeżdżała z przydziałowymi pięcioma dolarami.

— Nie zawracaj głowy, moje dziecko — odpowiedziała z irytacją na nerwowe i pełne troski pytania siostrzenicy. — Przecież ja jestem w kontakcie z Darkiem i z Pawełkiem, to jedno, a po drugie niech tylko dotrę do Genewy. Załatwię przy okazji wszystko co trzeba, bo Antoś o tamtym koncie pojęcia nie miał, więc te gnidy też o nim nie wiedzą, i udało mi się resztki ocalić. Poza tym, co ty sobie wyobrażasz, że ja jadę z pięcioma dolarami? Nie rozśmieszaj mnie.

Nie mając zielonego pojęcia, co też Barbara mogła przemyślać, Justyna uspokoiła się dopiero, kiedy z Paryża przyszły radosne pozdrowienia. Najwyraźniej w świecie ciotka handlu wódką nie uprawiała i pod mostem nie musiała nocować.

Do mieszkania przy Madalińskiego przeniosła się chwilowo wściekła i rozgorączkowaną Amelia, rozwodząca się właśnie z drugim mężem i poprzysięgająca z zaciętością, że żadnych więcej związków małżeńskich w życiu nie będzie zawierać.

— Żadnego meldowania — rzekła z furią do zaniepokojonej Justyny. — Ja tu kwiatki podlewam i Feli towarzystwa dotrzymuję. Pracowni łobuzowi nie oddam, w połowie moja, ale nie chcę tam być, bo go zabiję. Pluskwę zabijesz, a za człowieka pójdziesz siedzieć, on mnie specjalnie prowokuje, tutaj przeczekał i spłace drania. On nie może znieść, że w zawodzie jestem lepsza od niego!

Razem, chora Barbara na obczyźnie, rozwścieczona Amelia w jej mieszkaniu, dziko zdenerwowany Ludwik i niebotycznie zainteresowana całą sytuacją Hortensja, nie pozwalali wrócić do kojących minionych czasów. Jedyne pociechę stanowiła dla Justyny piętnastoletnia Idalka, spokojna, zrównoważona, rozsądna, racjonalnie dzieląca swój czas pomiędzy szkołę i konie, kwitnąca zdrowiem zapewne



dzięki świeżemu powietrzu.

— Niech się mama nie martwi — rzekła ze współczuciem. — W razie czego ja dziadka Ludwika powstrzymam. Jeżdżę na treningach, a tam dużo się gada, wszystko wiem. Tych takich... no, tych... rozumie mama... ich nikt nie lubi. Będzie wiadomo, kiedy co, i ja wtedy powiem... .

Obietnica była wprawdzie trochę niejasna, ale jakoś Justynę uspokoiła. Na uboczne usunęła wątpliwość, czy przypadkiem jej córka nie obraca się w jakimś nieodpowiednim towarzystwie, co już zaczynało ją nurtować, posiadała za to inną troskę. Justyna zaczęła się zastanawiać nad sobą. Wyglądało na to, że prababcia działa sugestywnie, obyczajowość jej czasów rzutuje na poglądy współczesne jej prawnuczce. Oby tylko nie popaść w przesadę... .

Darek z Joasią i Stefankiem przyjechali na urlop i w domu zrobiło się ciasno. Dziewięć osób w siedmiu pokojach da się, co prawda, jakoś pomieścić, ale wszyscy od dawna przywykli do dużej swobody mieszkaniowej i nie najlepiej znosili zagęszczenie. Justyna straciła swoje miejsce pracy, papiery musiała zgarnąć na kupę i gdzieś utknąć, o pamiętniku prababci nie mogło być mowy. Pięcioletni Stefanek sypiał w salonie, Bolesław swoje zajęcia naukowe odwał w sypialni. Cała rodzina pocieszała się nadzieją, że przy następnej okazji, po powrocie Barbary, trzy osoby będą mieszkały już gdzie indziej i dom stanie się bardziej przestronny.

Zanim po odjeździe młodszego pokolenia Justyna zdołała zrobić sobie jakiś porządek, Hortensja jęła wyplakiwać się na jej łonie.

— On jakichś odkryć dokonał — chlupała. — I na co mi było takie zdolne dziecko! Teraz go chcą zatrudnić w Ameryce, na jakimś uniwersytecie czy coś takiego. I on mówi, że to przyjmie, bo doskonale płacą, a możliwe, że w jakieś dzikie strony go wyślą, to już wolałabym tę Afrykę, nawet i bez miast! I więcej nie wróci! Jedyne go syna na oczy nigdy w życiu nie zobaczę!

— Ależ ciociu, przecież on tam jest legalnie, znów na urlop przyjedzie — pocieszała ciotkę Justyna. — Z pracy będzie miał dosyć podróży po całym świecie, urlop spędzi spokojnie u nas. A nawet jakby nie, ciocia pojedzie do nich. Ciociu, ja mam gorzej, Pawełek przyjechać nie może... .

— Córki ci jeszcze zostały! — załkała Hortensja rozdzierająco.

— I chwała Bogu, ale syn też się liczy. A ja się cieszę, że mu się powodzi, i nic nie mówię, może do Europy wróci... .

— To będziesz miała bliżej!

— Samolotem wszędzie blisko... .

Mniej więcej po miesiącu Hortensja dała się uspokoić. Przyczyniła się do tego Amelia, mniej osobiście, a więcej przez męża, który w przeddzień rozprawy rozwodowej zrobił jej grzeczność i całkowicie dobrowolnie zabił się w prawdziwej katastrofie samochodowej, przez siebie samego spowodowanej. Pijany był kompletnie, wiózł aktualną wybrankę nie wiadomo dokąd i bez żadnych racjonalnych

powodów trafił w betonową budkę transformatora na skraju Łomianek. Wybranka wyszła z tego bez najmniejszego szwanku, ale, zważywszy podobny stan upojenia alkoholowego, nie umiała wyjaśnić, dokąd się udawali i po co. Rezultatem wydarzenia był błyskawiczny zanik problemów Amelii, nie tylko ujrzała się wolna od więzów matrymonialnych, ale także, jako spadkobierczyni wciąż jeszcze legalnego męża, stała się prawną posiadaczką całego mieszkania z pracownią. Ku zdumieniu Justyny wcale nie była z tego zadowolona.

— Chciałam się na nim zemścić za to jego dziwkarstwo — rzekła gniewnie. — Wymknął mi się z pazurów. Nie daruję mu tego, dopadnę drania na tamtym świecie...

— A coś ty myślała, zdradzał ją na prawo i na lewo, i tak mu przeszło ulgowo — skomentowała te słowa Hortensja z pełnym zrozumieniem. — Ja ci powiem, jakby miał sam wybierać, pewno by wołał tamten świat niż wpaść jej w ręce.

Aż do powrotu Barbary Justyna nie zdołała uporządkować swoich historycznych papierów, ponieważ u Ludwika stwierdzono stan przedzawałowy. Przyczyną, rzecz oczywista, były wydarzenia wyścigowe, doskonale znane zmartwionej Idalce.

— Mówiłam dziadkowi, że to wyjątkowo i tylko ten jeden raz, ale nie dał sobie przetłumaczyć — wyjaśniała żałośnie.

— Sam dyrektor im kazał i zgrzytał zębami, ale mu wyraźnie powiedzieli, że inaczej wyleci. Gonitwę im wymyślił czwartej kategorii, więc nic takiego, ale dziadek znał konie i niepotrzebnie się zdenerwował...

Kuracja Ludwika trochę potrwała, należało trzymać go z daleka od wyścigów, co nie było łatwe, bo z wiekiem jego upór narastał. Pomógł Jureczek, zabierając dziadka do siebie i błagając o pomoc w hodowli dwóch klaczy i jednego wałacha, i to okazało się terapią nadspodziewanie skuteczną.

Barbara wróciła do pustego mieszkania, zaopatrzonego wyłącznie w Felę, i postanowiła jeszcze trochę pożyć.

— Doskonale mi zrobiło to Morze Śródziemne — powiadomiła Justynę. — Wcale mi nie zależało, dzięki czemu w Monte Carlo wygrałam. Mam na myśli ogólnie, bo nie poprzestałam na jednym razie. Boże drogi, tam prawie tak wygląda jak przed wojną, tyle że tłok trochę większy i mniej elegancko, ale co tam, na drobiazgach mi też nie zależało, młodość mi wróciła. Teraz będę robiła, co mi się spodoba.

Wydawało się, że chwilowo nastał spokój, Justyna zatem odwaliła do końca roboty porządkowe po wizycie krewnych.

Odnalazła swój rękopis, maszynopis i rozszyfrowywany oryginał.

*... nie ma ta moja Zosia szczęścia w życiu, ledwo mąż jej od notariuszowej się odczepił, co niby ukrywali, ale wszyscy o tym wiedzieli, już zaczyna z guwernantką*

romansować. A dopiero co ją wzięła! Zapoznam zobaczyła, kogo bierze, bobym jej zaraz rzekła, że takiej młodej i urodziwej panienki, przy takim mężu, lepiej w domu nie trzymać, a teraz sama nie wie, co robić, bo choćby ją oddaliła, toż on gotów sam dla siebie gdzie blisko ją umieścić. Nic innego nie może, jak tylko udawać, że ślepa...

... Dorotka u mnie, bo Hania lada dzień zlegnie, a zawsze kłopot z trzymaniem dziecka na odległość. Z niańką razem, szczęście to, że chociaż moja córka nie taka głupia, żeby urodziwą służbę sobie wybierać. Najstarsza Szeliżanka, dziś hrabina Strumińska, wizytą mnie zaszczycić raczyła, nadęta niczym balon, ale zaraz na widok dziecka zmiękła w sobie i ciężko się nad moją wnuczką splotała. Czwo-ro poroniła, jedno niewydarzone im umarło i nie wiadomo czy jeszcze coś mieć będzie. Pewno już nie. Aż mi się jej żal zrobiło...

... pokazuje się, że słusznie młody Pamiętowski tak Pamiętowo okroił, bo obciążenia polikwidował, a dochód z mniejszego wcale ma nie mniejszy, powiada Mateusz, że to ta racjonalna gospodarka tak mu się opłaca. I całą sensację zrobił, raili mu kupców z Radomia, podobno sto tysięcy w posagu wносиła, i już wszyscy deklaracji czekali, a on z nagłą pannie Turskiej się oświadczył, co nie wiem, czy dziesięć będzie miała, a i to wątpię, czy wypłaca. Stary Turski na dorobku, z rządcostwa na własne przeszedł, jak Starą Wieś parcelowali częściowo, i żeby nie dobra rodzina, w towarzystwo by nie wszedł. Ale gospodaruje, aż huczy. Młody Pamiętowski podobno publicznie rzekł, że gospodyni potrzebuje, a nie lalki do ozdoby,, na siebie mnóstwo osób obraził, a kupcówna truciznę piła, bo się znalazła skompromitowana. Ale ją odratowali. Z ciekawości pannę Turską pojechałam obejrzeć i nie powiem, wdzięczna bardzo...

... czy to ja już same wnuczki będę miała, a wnuka ani jednego? Dziewczynki się sypią, po Jadwiśce Hani teraz Grażynka Tomaszka Basię urodziła. To już ich trzy. Ciekawa rzecz co będzie, jak przyjdzie wszystkie wyposażać, chociaż nasze majątki jeszcze w dobrym stanie. Nic nie mówię, ale chyba to dzięki koniom, Mateusz nimi rządzi nad podziw rozumnie i ciągle w różnych wyścigach wygrywa. Odżałować nie może, że Tomaszek serca do nich nie ma i wcale udziału nie bierze, to już w lepszej komitywie jest z zięciem niż z własnym synem. Może i z tej przyczyny wnuka bym chciała...

... gąsior z winem porzeczkowym dla służby pękł i głupia dziewczka do koryta wylała, przez co wieprz się wdarł do ogrodu, całkiem pijany. Porył, podeptał, złapać się nie dawał, w życiu nie widziała, żeby tuczna świnia takie skoki i biegi wyprawiała. Aż z tego pijaństwa zasnął wreszcie, akurat w liliach się uwaliwszy, i wtedy wreszcie go dopadli i wywlekli. Klomb cały zrujnowali do reszty. Zdaje się, że więcej pijanych świń w podwórzu się pospało, ale taki wigor tylko ten jeden wieprz okazał...

... kandyzowane owoce wyszły wreszcie doskonałe, bom już teraz osobiście przypilnowała, by ostatniego potrząsania i suszenia nie zaniedbano. Tak mi się

*zdaje, że w zeszłym roku dziewczka z lenistwa, miast potrząsać, ręką zamieszała, co przede mną ukryto...*

*... coś takiego, pojedę chyba, już mi nie do podróży, więc ostatni to może raz okazja wielki świat zobaczyć. Mateusz w Paryżu chce konie puścić, koszt ogromny, ale i Diana, i Rozbójnik, sama widzę, że wielkich zalet. Nie zbankrutujemy przez to. Suknie muszą nowe sprawić choć na początek, bo z dawniejszych prawie żadna już mnie nie obstaje, Klaryssie co prawda nie sięgam, ale też figura mi się pogrubiała. Zeni można pozazdrościć, jaka była, taka została, z daleka na młodą dziewczeczkę wygląda. W Warszawie każe zrobić wedle paryskiej mody, a pilne to, Mateusz tak chce jechać, żeby konie na miejscu powstały, a nie prosto z podróży. Teraz te koleje żelazne bardzo czas podróży skracają. I jak już mam się pokazać, co tam, klejnoty cesarskie wezmę...*

*... w tym jedwabiu ciemnozielonym o połowę się wydaję smuklejsza...*

*... wahałam się, ale kupcom żydowskim sprzedałam wszystko, cały zapas, po rublu za funt, lepsze moje niż kijowskie. I mam co trwonąć, a na przyszły rok nowe się zrobi...*

Oderwawszy zmęczone oczy od owych śladów brudnej muchy, Justyna zastanawiała się przez chwilę, co też prababcia mogła takiego sprzedać i jaką sumę na trwonienie zyskała. Na samą myśl, że nie dowie się tego, bo prababcia zlekceważy temat, poczuła irytację i rzuciła się na dalszy ciąg tekstu, nie bacząc na odgłosy, dobiegające z dołu.

*... a otóż słuszniem uczyniła, te pięćset rubli za suche konfitury...*

Tu Justyna doznała ulgi niezmierniej.

*... na początek miałam jak znalazł, w warszawskich sukniach pokazać się mogłam, a za paryskie już Mateusz zapłacił. Nigdy bym nie pomyślała, że na starość tak dobrze jeszcze bawić się mogę. Oba noszę konie wygrały, choć w mniejszych gonitwach, i cały koszt tyflm się zwrócił, a na maskaradzie nawet powodzenie miałam. Nikomu się nie przyznałam, że na maskaradę poszła, Zeni jednej, a nawet Zosi nie, bo może by jej przykro było. Zenia sekret utrzymać potrafi, a nie chciałabym, żeby do moich dzieci doszło, jak matka sobie w Paryżu poczyna. Mateusz humor ma doskonały, umiar okazał wielki, do Łuku Triumfalnego się nie pchając, choć kto wie...*

*... wreszcie się wnuka doczekała, Grażynka Tomaszka obdarzyła mnie Ludwikiem. Z Klaryssą się umówiłam, że moja Zosia z jej średnią, Izabelką, razem*

*wystąpią w świecie i może bym Zosię jeszcze z rok w domu pottrzymała, ale, prawdę mówiąc, sama paryskie suknie chcę pokazać, a i dla niej kreacje przywiozłam, tylko dopasować...*

Odgłosy z dołu wprawdzie ucichły, ale Hortensja nie popuściła. Oderwała Justynę od cudownej lektury.

— A to nie wiesz nawet, że tam twoja córka z pomyłonym dziadkiem wojnę toczy! O konie wszystko, już mi te konie życie zatruwają! Upiera się jeździć, do szkoły przecież chodzi, a już sama nie wiem, kto tu ma rację, bo Ludwik jej zabrania...!

— Zaraz, ciociu, spokojnie — poprosiła oszołomiona lekko Justyna, bo z reguły w takich chwilach mylił się jej czas terażniejszy z czasem przeszłym. — Niech ciocia usiądzie. O co chodzi?

Hortensja sapnęła, prychnęła i padła na fotel.

— Jak to o co? Ona już ma szesnaście lat ukończone, chce jeździć w wyścigach jako uczeń! Tak to się nazywa! Jako amator, jeszcze rozumiem, ale uczeń...?! Toż konie obrządzać musi, jak ona to ze szkołą pogodzi, a i Ludwik jej zabrania, bo tam jakieś machinacje okropne, to Idalka ma w tych oszustwach brać udział...?!

Justyna milczała przez chwilę.

— Ja może od Idalki dowiem się dokładnie — zaproponowała, usiłując przypomnieć sobie komplikacje sprzed roku. — Wuj pewno przesadza... A ona przecież jest rozsądna i do tej pory żadnych kłopotów z nią nie było...

— I panu Bogu za to dziękuj! Ale może byś się tak w to wdała, bo ja już sama nie wiem, co robić. Po co on z tego Kośmina wrócił, a, prawda, bo od Jureczka konia odkupili, któraś tam stajnia dla siebie, na skoki go wyznaczają. A co gorsza, Barbara na wyścigi chodzi, na wiór wyschła, czy to nie jakaś choroba czasem...?

W Justynie silnie coś drgnęło i poczuła się zmuszona wniknąć w sprawy rodziny. Znów legły się komplikacje nie do ominięcia. Nie pozwolą jej spokojnie prababci do końca odpracować!

Zaczęła od córki, którą miała pod ręką.

— Ależ mamu, to przecież właśnie na okres wakacyjny — powiedziała spokojnie Idalka, zdziwiona zamieszaniem.

— Trzy miesiące na próbę. Jak nie dam rady, zrezygnuję, a tak przynajmniej pensję dostanę. I w gonitwie pojedę, już mi obiecali. Na dziadka nie trzeba zwracać uwagi, oni tam czasem muszą trochę oszukać...

— I chcesz brać udział w oszukiwaniu?!

— Może nie na mnie padnie. I przecież na faworyta mnie nie posadzą. Ja sobie tylko spróbuję, co mamie szkodzi?

— Mnie właściwie nic — przyznała Justyna po krótkim namyśle. — A dziadkowi co?

— Dziadek w ogóle protestuje. Dziadek uważa, że wyścigi muszą być idealnie uczciwe, jak w dawnych czasach, i nie wiem gdzie, a u nas się zdarzają różne rzeczy... No, dziadek jest niedzisiejszy... Babcia Barbara to rozumie, własne wnioski sobie wyciąga. Ale ja przecież nie oszukuję i na oszustwo nie pójdę, więc chyba można mieć do mnie trochę zaufania...? A kto wie, może mi się uda i zostanę dżokejem?

— I chciałybyś?

— Dlaczego nie?

Justyna przyjrzała się córce krytycznie.

— Ekspertem nie jestem — oznajmiła sucho. — Ale widzę jedną przeszkodę. O ile wiem, dżokej musi być mały i lekki, a ty, niestety, pochodzisz z rodziny kobiet dorodnych. I za jakieś dwa-trzy lata albo umrzesz z głodu, albo przekroczysz wagę. Więc się zastanów...

— No to tyle mojego, co teraz — powiedziała rozsądnie Idalka. — Pojeżdżę sobie i przestanę, a na starość będę mile wspominać. Niech mi mama nie żałuje.

Następną rozmowę Justyna musiała odbyć ze zdenerwowanym Ludwikiem, który ogólnie gromy ciskał na demoralizację i głupotę. Ukrywanie zalet i możliwości dobrego konia, jego zdaniem, wołało o pomstę do nieba, a finansowe potrzeby tajemniczycy instytucji nie obchodziły go w najmniejszym stopniu. Nie życzył sobie mieszania w bagno moralne ciotecznej wnuczki, pra-prawnuczki jego dziadka, który konie cenił wyżej niż życie. Przekonanie go, żeby jednak nie wyklął Idalki, kosztowało mnóstwo czasu i wysiłku.

W ostatniej kolejności Justyna udała się do Barbary.

— Przecież ci mówiłam, że tak będzie i kazałam ostrzec Ludwika — powiedziała Barbara spokojnie. — Chodzę na te wyścigi z ciekawości, bo chciałam to zobaczyć na własne oczy. Nie jest najgorzej, że dwa razy do roku każą robić gonitwę dla siebie, a reszta to już zwyczajne kanty. Nic takiego. Owszem, Ludwika może apopleksja trafić, ale tylko od czasu do czasu. A w ogóle on ma niskie ciśnienie, więc może przetrzyma. A przede mną właśnie ukrywają, że mam przerzuty, i dziwią się trochę, że żyję, ale nie zawracaj sobie tym głowy. Nic nie poradzisz. Sama z siebie będę żyła aż do śmierci.

Wychudzona już była bardzo i zaczynała tracić siły, ale trzymała się siłą upor. Zanim umarła, Idalka zdążyła zrezygnować z dżokejskiej kariery, a Justyna odpracować wielki kawał tekstów prababci.

*...szemranie służby słyszę doskonałe, alem sobie postanowiła do dawnych zapasów wrócić i nawet Dominikę do tego przyłączyć. Może im premię obiecuję, bo lada chwila potrzebne się to wszystko okaże. Zosieńka od pierwszej chwili ma*

powodzenie nadspodziewane, zaślepiona nie jestem i widzę, że najmłodsza moja córka, chociaż ładna bardzo, nadto chuda jest, choć nie drobna, a pulchniejsze w modzie. Rączki smukłe, o dołeczkach na łokciach nie ma co i marzyć, w kłębie więcej na chłopca patrzy niż na pannę i biuścik niewielki. A skaczą koło niej. Może znów to samo, powszechnie wiadomo, że majątność trzymamy, rośnie nawet, Zosia ma posag niewątpliwy, jak rzadko która panna, a nadal bym nie chciała, by mi córkę dla pieniędzy wzięto. Z Hanią dobrze, mąż ją kocha, spojrzawszy widać, jak kwitnie, o Zosię teraz się boję. . .

. . . ależ chodzą wokół młodego Porajskiego! Ledwo się pokazał z wojaży wróciwszy, wszystkie panny pod bronią. Najlepsza partia w okolicy, majątki wielkie pod Lublinem, nie dość na tym, firma jakaś ogromna przemysłowa i speranda po stryju bezdzietnym. Milionowa fortuna. Dla Zosi wcale go nie chcę, zmanierowany taki, że szczęścia by przy nim nie zaznała, za to Klaryssa dla swoich córek aż płonie. Wojniczowie wręcz do kompromitacji dopuścili, Emilkę z nim razem na całodzienny rzekomy spacer wysyłając, i też nic im z tego nie przyszło, bo pan Porajski nie w ciemną bity, chłopskie chaty odwiedzał i ni przez jedną chwilę z ludzkich oczu nie zszedł. Paulinkę Wiśnicką aż spod Garwolina przywieźli, tu się z nim zamknąć dała w oranżerii i też na nic, pan Porajski szybko wybił i w przytomności ogrodników damę z zamknięcia uwolnił z szacunkiem wielkim. Śmiech mnie ogarnia na te zabiegi. Chwili spokoju mu nie dadzą, a w Warszawie na dodatek bankierówny i kupcówny w procesji idą. Przebierać może jak w ulęgałkach. . .

. . . Łukaszek na swoim postawił z ową botaniką, a, co tam, niech ma. Gorsza rzecz, że te pół włóki na same rośliny, dziwaczne jakieś, jakby chwasty hodował, między naszymi stawami a Zagrobem leżą, a tam panna Flora Grobelska już ze świata zjechała. Wojażowali Grobelscy, aż całą majątność stracili, aż pan Grobelski gdzieś pod Wiedniem umarł i podobno w sposób nieprzyzwoity. Takem słyszała, że do domu go wiozły obie, żona i córka, już ciężko chorego, bo się przy tym upierał, i na jakowejś stacji doktorów wołali, ale za późno, na rękach im ducha wyzionął, na peronie kolei, jak nędzarz jakiś, Bagaże im odjechały, a ze służby ledwo jedna pokojówka została i działały się tam straszne rzeczy. W trumnie go narzeczcie do Zagrobla dowiozły. Na resztkach siedzą, do oszczędności pozór mają, bo żałoba, ale powszechnie wiadomo, że im nic prawie nie zostało. A tu od służby mnie dobiega, że Łukaszek samo imię panny Flory za omen sobie poczytuje, bo tu Flora i tam flora, i tylko do niej od swoich badań się odrywa. A panna Flora straszną miłość do zielska przejawia. . .

. . . no i masz, teraz się dopiero dowiaduję, że do stawu wpadła, Łukaszek ją ratował i tak znajomość została zawarta, coś okropnego. Zgorszenie publiczne, bez ubrania oboje, Łukaszek w samej koszuli, panna Flora boso, w pończochach tylko, bo pantofle lekkie w wodzie pogubiła, wierzchnią suknię z niej zdarł, o sito wie zaczepioną, w halkach ledwo została, i jeszcze na rękach ją niósł do dworu. Wszyscy ludzie na to patrzyli. Już widzę, co z tego będzie, nie musi mój syn wiel-

*kiego posagu szukać, ale żeby zaraz z córką bankruta się żenić, tegom nie chciała. W dodatku do Paryżów, Wiedniów i różnych bodów przywykła...*

Metoda podrywania ciotecznego dziadka Łukasza przez cioteczną babcię Florę rozbawiła Justynę ogromnie. Z rzewnym westchnieniem wspomniała, że kochali się podobno zgoła nad życie, co nawet sama miała okazję we wczesnej młodości stwierdzić, i razem w czasie ostatniej wojny to życie stracili. Dzieci ich również. W trzydziestym dziewiątym roku w samochodzie siedzieli wszyscy, do Głuchowa usiłując dojechać, i w ten samochód bomba trafiła. Nie musieli płakać po sobie nawzajem...

*... mnie na złość Mateusz mówi, że młodszy syn rozumny, obejrzał, co bierze, nim się namyślił, bo to pod sukniami różne defekty mogą być ukryte. Może i nie było tam takiej wielkiej potrzeby suknię z niej zdzierać, ale z okazji skorzystał, a podobno panna Flora nogi ma niezwykle kształtne i same nogi za dobre wiano wystarczą. Wstyd i obraza boska. Chichocze jak taki diabeł i ze zgorszenia się wyśmiewa...*

*Tu Justyna przypomniała sobie nagle. Jakże, widziała przecież wujeczną babcię Florę na owym złotym weselu pradziadków! Zabrzęczały jej w uszach kąśliwe szeptki, jak to Flora nową, gorszącą modę wykorzystuje, żeby nareszcie publicznie nogi pokazywać, na co chęci od młodości miała, i że też Łukaszek jej tego nie wzbroni... W złotej sukni była, mieniącej się, z przodu aż do kolan rozciętej, stąd te nogi. Co za przedziwne rzeczy dziecko potrafi zapamiętać...!*

*... nie do wiary, żeby młoda panienska sama z siebie tyle rozumu miała! Przyszła mnie Zosia prosić, by pana Porajskiego deklaracji, Boże broń, nie przyjmować, bo choć ona wprost powiedziała, że go nie chce, on się upiera przed rodzicami stanąć. A ona go nie chce, bo jest bufon nadęty, twarz ma do owcy podobną, a pretensje jak co najmniej następcy tronu, i głupi do tego. Całą rozmowę szczerą z najmłodszą córką odbyłam i sama byłam zdumiona, że się na lep tej mody na pana Porajskiego wziąć nie dała. I coś mi z tego wychodzi, że tam ktoś inny jej się podoba, ale nie wiem kto, bo tak daleko w zwierzeniach już się nie posunęła. Niepokoję się trochę, a ona chyba milczy, bo jego niepewna...*

*... parę tygodni owocami miałam zajęte, dziewczek ustawicznie pilnując, ale już strata odrobiona i nowe zapasy stoją. A i żydzi mnie nagabują, proszę, pokazuje się, że moje wyroby lepsze niż kijowskie...*

*... no i kupił Mateusz tę kamienicę w Warszawie. Zła byłam, że krył przede mną, alem, obejrzawszy, już nic nie mówiła, bo dom nader piękny. Świeżutko dopiero co wybudowany, nowoczesność w nim zaprowadzona, łazienki wszędzie i toalety, elektryczne światło i wszelkie wygody. Zdradził mi w końcu, że tanio bardzo,*



*bo ów budowniczy dla rejenta Wierzbicy go stawiał, a rejent zbankrutował, pieniądze przepadły i kamienica za pół ceny poszła. Coś takiego, do głowy mi nie przyszło, gdy o skandalicznym romansie rejenta z jakąś awanturnicą słyszała, że Mateusz z tego korzyść odniesie...*

*... pani Grobelska na wielkie ustępstwa poszła dla Flory, wszystko jej oddając i sobie tylko zawarowawszy mały dochodzik na życie w Trouville. To i lepiej, że Łukaszowi teściowa na głowie nie będzie siedziała, samam gotowa jej za to płacić, szczególnie że przesadnych wymagań nie prezentowała...*

*... wyszło szydło z worka, pan Marian Kostecki Zosię opętał. Cóż ona taka, bez ambicji i w wymaganiach skromna, gdzie panu Kosteckiemu do pana Porajskiego! Ale że przystojniejszy o wiele, to przyznaję. Nie majątny, cóż on ma, ledwo trzydzieści parę włók pod Wyszkowem, no, lasu duży kawał... Teraz mi na myśl przychodzi, jakie to szczęście, że” mamy pieniądze, toć tylko dzięki temu moje dzieci mogą się żenić, jak chcą, na majątki i posagi się nie oglądając. Pan Marian, tego się Mateusz wywiedział, gospodarz zawołany, po świecie nie jeździ, tylko sam wszystkim zarządza i powoli nawet z długów ojca wychodzi. A Zosia, to widać, wieś kocha i na miejskie rozrywki wcale nie łąsa...*

*Dobrowolnie oderwawszy się od uciążliwego tekstu, Justyna westchnęła smętnie. Pieniądze, wiecznie pieniądze! Wyłącznie dzięki tej zasobności materialnej życie rodziny biegło ulgowo i bez problemów, ileż nieszczęść przytrafiłoby się, gdyby nic nie mieli...*

*... zgroza ogarnia! Musiało to Zosięki wesele złoczyńcy tak postużyć, a i tak cud boski, żeśmy wszyscy z życiem uszli! Ze dwieście osób gości, zamieszanie zwykłe przy tym, gdzie tam kto mógł każdego pilnować, i komu by bodaj do głowy przyszło, wszak sami znajomi! Ale ze służbą byli i tu już wszystko możliwe...*

*... jeszcze mi się trochę ręka trzęsie, kiedy wspominam. Psy nasze życie uratowały. Ledwo się goście rozjechali i spokój zapanował, służba umęczona spać poszła, wiadomo, że nie wszyscy trzeźwi, bom też zbyt wiele resztek ze stołu nie pilnowała, my z Mateuszem też spoczynku spragnieni byliśmy, a i stróżę się chyba pospali. Na szczekanie zwykłe nikt nie zważał, dopiero Franja, podkuchenna, w pokoju kredensowym przez okno wyjrzała. Jużem nawet woląta nie dociekać, co ona robiła nocą w pokoju kredensowym, bo coś mi się widzi, że jej młodszy ogrodnik towarzystwa dotrzymywał i dla niego to wejście służbowe nie za dobrze zamknięte było. Ale już nic nie powiem, bo oni pierwsi alarm uczynili. Nim jeszcze krzycheć poczęli, drzwi całkiem otwarli i przez owe drzwi psy wpadły do domu z jazgotem okropnym. A dwóch zbójów już pod naszą sypialnią było i tam się straszna psia awantura zrobiła. A tu razem za oranżerią ogień buchnął. Byliby wszyscy do ognia polecieci, owych zbójów zostawiając, żeby nie psy. Mateusz odgadł, że tak oni sobie zaplanowali, podpalić gałęzie, co za oranżerią leżały, służbę całą do pożaru zwabić, a dwóch tu w domu, nas zarżnąwszy, rabowałoby spokojnie. I nie gdzie indziej, a w sypialni, dlatego mniemam, że ktoś musiał podpatrzeć,*

gdzie klejnoty trzymam. Bo gotowych pieniędzy, łatwo zgadnąć, że po weselu już dużo w domu nie było, ledwo może parędziesiąt rubli ocalało.

Żeby nie psy, tak by im się udało. Ale przez harmider okropny i krzyki najmniej połowa tuzi do nas na górę popędziła, a Mateusz z pistoletami z sypialni wypadł. Ogień folwarczna służba prędko ugasiła, ledwo dwie szyby w oranżerii pękły, zbroje zaś, pokrwawieni i poszarpani, jednak uciekli. Psy ich dobrze pogryzły, nie tak łatwo się wykurują. Od ognia uciekł trzeci, ten chyba żadnej szkody nie doznał, bo w ciemnościach obcego nie rozpoznano. Zaraz Mateusz żandarmów sprowadził, do rana już zamieszanie było, śledzili po śladach krwawych, aż w dzień sprawdzili, że musieli oni bryczką odjechać, bo urwało się jak nożem uciął. A na drodze kolein tyle, że nie rozpozna. Jeśli w dobre konie jechali, o wschodzie słońca mogli być daleko.

Oj, nie podoba mi się to wcale. Jakby tak, Boże odpuść, gardła nam poderżnęli we śnie, do swoich upragnionych łupów pewno by trafili. Choć nie na wierzchu je przecież trzymam, tylko za lustrem otwieranym sekretnie, ale odgadnąć mogli. A może i kto podejrzwał, jak je otwierałam...? Znowu mam do Błędowa zawieźć i przestać nosić? Aż żal, w Wiedniu naszyjnikiem rubinowym furorę zrobiłam...

... rychło w czas, półtora miesiąca! Chałupę starą najętą mieli pod Grójcem, tam spokojnie zajechali, nikt ich nie podejrzewał. Czterech razem było. Dwóch do tej pory ciężko chorych leżało, wyzdrowieli trochę i odjechali nie wiadomo dokąd, a przez znachorkę starą wieść się rozeszła. Siłą trzymali ją u siebie, aż owych dwóch podleczyła i jedna pociecha, to że ich psy porządnie poszarpały i jednego Mateusz, strzelając za nimi, w nogę trafił. Kim byli, też nie wiadomo, z dalszych stron. Tym bardziej myślę, że ktoś tu szpiegował, bo skąd by obcy z dalszych stron o klejnotach po babce wiedział...

... oto się dzieciniec zrobił, na imieniny wszystkie wnuki mi przywieźli, razem tego ośmioro, trzech chłopców tylko i pięć dziewczynek. Najstarsza Dorotka Hani już piętnaście lat liczy, po dzieciach widać, jak ten czas leci, najmłodsza Kasia Łukaszka, niemowlę ledwo trzymiesięczne. Hania o siebie nie dba wcale, gruba okropnie i na wątrobę narzeka, ale takoma bez umiaru. Ludwiś Tomaszka uszczęśliwił Mateusza, bo jak Tomaszek gospodarstwa nie lubi, tak Ludwiś w dziadka poszedł, konie i konie, obaj by w stajni zamieszkali. Najstarszym wnukiem Mateusz się chwali na prawo i na lewo. A Zosia, widzę, że dobrze wybrała, gospodarna nad podziw...

... ejże, czy to pan Pukielnik od naszych stron nie odczepi się nigdy? Syna przywiózł do Zeni, prawie dorosłego, dziesiętnastu lat dobiega, owdowiał i powiada, że z jedyną rodziną, bo innej nie ma, znajomość chce utrzymać. Syn całkiem do ojca podobny...

... sama nie wiem, czy uwierzyć w te żydowskie plotki. Ale z żydami jestem w przyjacielskiej komitywie, więc może i prawdę mówią. Podobno pan Pukielnik w Radomiu coś bąkał o moich skarbach, a jemu co do tego? I skąd wiedzieć może,

*spytałam, a stary Goldbaum powiada, że w Paryżu mnie widział, jak szyku diamentami zadawałam. Nic nie wiedziałam, że tam był, a rzecz jest możliwa. Jeszcze więcej mi się to nie podoba, bo pan Pukielnik do wszystkiego zdolny. . .*

*. . . jakieś gadanie o wojnie słycać. Tego by akurat brakowało. O Rosji mówią, że na glinianych nogach stoi, ciągle tam bunty i zamieszki, Prusy i Austria chcą z tego skorzystać, zawracanie głowy, toć ich Polska przegradza, tyle się jeszcze na mapie rozumiem. Ale jakby to prawdą miało być, muszę się zastanowić. . .*

*. . . gadanie ciągle, jedni wierzą, drudzy nie. Mateusz o konie zaczyna się martwić, powiada, że każda wojna konie gubi. Chyba jednak do Błędowa pojedę, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże. . .*

*. . . i tak zrobiłam. Na wszelki wypadek. Dominika na ręce próbowała mi patrzeć, alem się jej pozbyła. Spokojniejsza jestem, kiedym wszystko zabezpieczyła i nie razem, a oddzielnie. Może jednak żadnej wojny nie będzie. . .*

*. . . i różne androny o rewolucji słycać. Jaka znowu rewolucja, mało było francuskiej? Mateusz gazety ostatnio czyta, zawsze czytał, ale teraz dwa razy więcej. Co za świat się zrobił, emancypantki angielskie nawet, muszę przyznać, zawsze popierałam, chłopom u nas źle się nie wiedzie, nikt pod moją ręką z głodu nie umrze, co do tych jakichś awantur robotniczych, też uważam, że poprawa bytu im się należy, ale żeby zaraz w rewolucje się wdawać? Nic dobrego z tego nie wyniknie. . .*

*. . . maciora mi się oprosiła dziewiętnastoma prosiętami, za punkt honoru sobie wzięłam wszystkie przy życiu utrzymać. . .*

Na maciorze pamiętnik prababci nagle się skończył, reszta stron czerwonego foliału pozostała pusta. Dla Justyny była to klęska, ostatnie notatki, pomijając wojnę i rewolucję, wyraźnie wskazywały, że jednak cesarskie precjoza zostały ukryte w Błędowie. A ona zlekceważyła dom, nie sprawdzwszy, co zawiera. . .

Siedziała nad zakończonym tekstem, pełna goryczy i niezadowolenia z samej siebie, kiedy wtargnęła do niej Hortensja z komunikatem o stanie zdrowia Barbary.

— Do szpitala ją chcieli wziąć, ale się nie zgodziła. W domu leży. I chce czy nie chce, ale ktoś przy niej musi być. Pielęgniarka to nie to samo. Zostaw te gryzmoły i rusz się!

Justyną aż wstrząsnęło.

— Jak to? Leży. . . ? Trzy dni temu. . .

— Trzy dni temu, trzy dni temu! Przedwczoraj tak ją złożyło. Już z tego nie wyjdzie, głupoty mi gadałaś o ślepej kiszce, a ja już dawno wiem, co to jest! Tłum ludzi jej tam niepotrzebny, ale jedna osoba musi być!

Z tym się Justyna zgodziła bez słowa protestu. Zgarnęła swój cały papierowy chłam i znów porzuciła zajęcie od tak dawna uprawiane. Prawie całkowicie prze-

niosła się do Barbary, która, oprócz niej, dopuszczała do siebie tylko Amelię. Po królewsku opłacane pielęgniarki tkwiły przy chorej na okrągło, przez całą dobę.

Po dwóch tygodniach Barbara poddała się i umarła.

\* \* \*

Cały rok minął, nim Justyna wprowadziła wokół siebie jaki taki porządek. Ponowna przeprowadzka na stare miejsce połączona była z licznymi trudnościami, bo apartament, po Barbarze niejednego kusił. Władze na różnych szczeblach próbowały zagarnąć go dla siebie, Barbara jednak, jak się okazało, miała dość rozumu, żeby prawo własności zapewnić siostrzenicy. Na sprzedaż i zamianę na inne Justyna się nie zgodziła, Bolesław w kolejnictwie miał pozycję ugruntowaną, usunąć go ze stanowiska nie było sposobu, Idalka jeszcze chodziła do szkoły, wygryzienie całej rodziny kosztowałoby zbyt wiele wysiłku, zrezygnowano zatem z szykan. Nastąpiła chwila spokoju.

Idalka zdała wreszcie maturę i dostała się na polonistykę. Rychło pojawił się narzeczony, który Justynie bardzo przypadł do gustu, cichy był bowiem, potulny, pochodził z dobrej rodziny, a swoją niewątpliwą inteligencją i erudycją nie afiszował się zbyt. Starszy od Idalki, skończył już studia i pracował jako grafik. Profesja to była jakaś trochę niepewna i nieopisanie bałaganiarska, ale pozwalała na nienormowany czas pracy i zrywami dostarczała nawet dosyć dużo pieniędzy.

Główną troską Justyny stała się kwestia ukrycia papierów po prababci. Za żadne skarby świata nie chciała ujawnić przed rodziną popełnionego przez siebie idiotyzmu, bezmyślnej utraty owego historycznego mienia, którym prababcia olśniewała Paryż i Wiedeń. Stosownych zakamarków mieszkanie nie posiadało zbyt wiele, strychu tu nie było, do piwnicy odrobinę przenikała wilgoć, nie wychodząca papierom na zdrowie, razem wzięwszy, nie bardzo wiedziała, co z nimi zrobić. Na razie zostawiła je u Ludwika i Hortensji, świadoma, że Ludwik do nich z pewnością nie zajrzy, Hortensja zaś, acz wścibska, od dawna je lekceważy.

Zabrała za to resztki po panie Dominice z zamiarem przejrzenia ich porządku. Nie miała wielkich nadziei na uzyskanie jakiejś wiedzy, ale zbyt trudno jej było oderwać się tak raptownie i całkowicie od tamtych błogich, bezpiecznych i cudownie ustabilizowanych czasów. Przyszło jej nawet na myśl, że prababcia przestała pisać, bo i w niej wojna i powojenny świat wzbudziły dezaprobatę i niechęć. Dwudziestolecie międzywojenne musiało jej się nie spodobać.

Idalka zatem na studiach, Marynka zameżna i ustabilizowana, Bolesław, świetny fachowiec, przy pewnej, nieco może denerwującej, ale doskonale mu znanej pracy, Amelia już prawie z nazwiskiem jako uznany artysta-fotografik, Fela

szczęśliwa, że skończyła się niedawna rozpusta. . . Można było nieco odetchnąć. Kłuta trochę w serce myśl o nieobecnym Pawełku, ale wieści o nim dobiegały pomyślnie, realizował swoje marzenie, był już szefem kuchni w jednym z najlepszych hoteli i podobno raz go nawet wynajęto na jakieś milionerskie przyjęcie. Możliwe, że na przyjęciu bawiła się mafia, ale to nie miało większego znaczenia. Mafia nie była skąpa i bardzo dobrze płaciła.

Wyrzuciwszy z umysłu kłopoty życia codziennego, Justyna ponownie sięgnęła po wytęsknioną lekturę.

Rychło odnalazło się miejsce, w którym diariusz panny ustąpił z pola na korzyść prababci. Nastąpiło to zaraz po zwierzeniach na tle pana Romisza. Zaintrygowana i gnana niecierpliwością Justyna zaniedbała wówczas klucznicę i włączyła się w manuskrypt znacznie uciążliwszy, ale, jak sądziła, ciekawszy. Teraz, po wszystkim co zdołała tam wyczytać, w zapiskach panny Dominiki ujrzała zgoła rewelacje.

Zaraz po omówieniu kwestii śliwek ususzonych, które nie najlepiej wyszły, bo jedne za twarde, a drugie za miękkie i te się długo nie przechowują, panna Dominika pisała:

### **6 października 1885**

*Kuzynka Matylda nic do roboty chyba nie ma, co mi się wydaje wprost niemożliwe, skoro o takiej gorącej porze, kiedy owoce zimowe aż o przetwórkę wołają, czas znalazła, żeby mi tu nad głową marudzić. Tom jej wszak sama pokazała, które śliwki pierwsze do brania stoją i nikt się pomylić nie może. Kazała część dużą na święta do Głuchowa wysłać, bo jej wszystkie ususzone doskonale i poczekać mogą, a te się użyje. Zwykła to rzecz, że jedne rzeczy wyjdą lepiej, a drugie gorzej, i sama bym na taką myśl wpadła, a i do Kreglewa postać zamierzałam, więc na co tu te grymasy. Czyliż się ona teraz dopiero obudziła, że Błędów owocu ma najwięcej? Kościńskie sady jeszcze młode i tyle nie dają.*

*Za to na wieczór jakoś jej do gospodarstwa chęci odeszły i znów, swoim zwyczajem osobliwym w bibliotece się zamknęła. Wyznam, że jestem ciekawa, co ona tam robi, książki z takim zapalem czyta? Specjalnie poszłam do niej kawy jej zanieść, czyby ciast jakich nie chciała, spytałam, ale odmówiła i śmietanki nawet nie chciała, jakowąś niecierpliwość okazując. Książkę wyjęła wielką z szafy na prawo od środka, tom ogromny, już na stole leżał, otworzyła go i jakby w nim czego szukała. Poszłam zatem, myśląc o świecach, żeby jej za chwilę przynieść, ale mnie nie wpuściła. Jakby ogluchła. A wszak ni czytanie, ni picie kawy nijakiego hałasu nie wywołuje, przeto słyszeć moje pukanie i głos musiała, a nie odezwała się ani słowem. Dopiero po dobrej godzinie słyszałam, jak klucz się w zamku obrócił, z tymi*

*świecami znowu przyszedłam, wielka owa księga już była na miejsce postawiona, a kuzynka Matylda trzy jakieś inne do sypialni poniosła. Ale wróciła potem na dół i tak się po domu do późnej godziny plątała. Jeszcze się chyba płacze, bo mnie odgłosy jakieś dobiegają.*

### **8 października**

*Od rana do wieczora takam była zajęta, żem nawet zeszłego dnia zapisać nie zdołała. Do serów śmietankowych przyprawy kuzynka Matylda nowe odkryła i takżeśmy tymi serami się zabawiały, a muszę przyznać, że niektóre pochwały godne. Jeszczem takich dotychczas nie kosztowała. Szczególnie jeden z pomarańczą i anansem do gustu mi przypadł, a drugi grzybowy, aleć może i naprawdę suszone borowiki więcej smaku by dały i tego później sama spróbuję. Najwięcej wędzonka czasu zajęła, by to na miazgę rozsiekać i rozetrzeć.*

*Dziś odjechała wreszcie, głowy już nie zawracając. Zaraz do biblioteki poszłam, by z ciekawości ów wielki tom obejrzyć i pokazuje się, że jest to dziwactwo jakieś, zbiór cały pism jakowegoś Szekspira, z angielskiego języka przetłumaczony, na kształt sztuki pisany, gdzie każdy tylko swoje gada. Nieprzyzwoite wprost okropnie, chociaż połowy wcale nie można zrozumieć. Cóż ona w tym zobaczyła czy znaleźć chciała? Z owych trzech ksiżek, co je do sypialni uniosła, jedną na stole zostawiła, a dwie schowała czy zabrała ze sobą, więc nie wiem, czym są, a ta zostawiona to były sztuki pana Moliera po francusku pisane, co jeszcze moja dobrodziejka nieboszczka lubiła je czytać.*

*Fotel z poręczami widzę, że się przeciera, ale o tym kuzynka Matylda nawet gadać nie chciała i rzekła, bym robiła, co chcę. Muszę obejrzyć inne sztuki mebli, bo może razem trzeba będzie wszystkie obicia zmienić. Pieniądze na to z gęsi wezmę.*

### **10 października**

*Gęś jedna jeść nie chce tyle ile trzeba i tej się chyba upasać nie zdoła. Ale tak w sobie zdrowa, więc na następny rok na Cedzenie ją zostawię, bo młoda.*

### **11 października**

*Wieści mnie dobiegły, że stary Szymon, dawny sługa, żywot zakończył. . .*

W tym miejscu Justyna poczuła wyraźnie, że popełniła błąd. Prababcię ukryła u Ludwika, tymczasem bez porównania wydarzeń nie połąpie się w czasach. Panna Dominika pisała daty, prababcia przeciwnie, a najciekawszy wydawał jej się wszak ten równoległy komentarz. Bo rzeczywiście, po diabła prababcia pojechała wtedy do Błędowa? Żeby sobie przypomnieć Szekspira? I kiedy to było. . . ? Zaraz, szóstego października, czy to przypadkiem nie te pierwsze wyścigi w War-

szawie, kiedy to szafirami błysnęła...?

*... przetom na wszelki wypadek w liście o tym wydarzeniu kuzynce Matyldzie doniosła. Mniemałam, że na pogrzeb starego sługi zechce może przyjechać, ale odpowiedź od klucznicy Bujnowskiej dostała, że kuzynostwa nie ma, bo na jakieś końskie konkursy do Warszawy pojechali...*

Klucznica Bujnowska ucieszyła Justynę nadzwyczajnie. Więc jednak dobrze zgadła, gospodyni prababci, wszystkiego jeden raz w pamiętniku wymieniona. Tak małe znaczenie miała...?

Zalęgła się w niej dzika chęć spytania o to prababci wprost i absolutna niemożność zaspokojenia chęci omal nie pozbawiła jej przytomności umysłu. Ileż tych niby drobiazgów, składających się na samo życie, prababcia zdołała pominąć...?!!!

Panna Dominika w pewnym stopniu udzieliła odpowiedzi.

*... myślę teraz, czyby raz jeszcze nie napisać, boć stara Bujnowska niepewna. Rusza się jeszcze podobno dosyć żywo, ale umysłowo całkiem podupadła i wielkiej pociechy kuzynka Matylda z niej nie ma. Klucze jej nawet trzeba było odebrać, bo wszystkie gubiła. Z litości ją trzyma na łaskawym chlebie. Ze dwa dni poczekam i napiszę.*

### **12 października**

*Pogoda nad podziwienie piękna, istotne babie lato, długo trwające. Po grzyby dziewczki wystąpiłam, pilnej roboty dla nich nie widząc, i dużo przyniosły, borowików nawet, o gąskach nie wspominając. Niechże i jutro pójdą. Gąski zaraz płukać kazałam, bo dużo trzeba, by piasek z nich wyszedł, a w marynacie, gdyby w zębach zgrzytał, ze wstydu bym się spaliła. Borowiki do suszenia poszły, istna łaska boska, bo przez lato mało ich było. Jeszczem sprawdzała jak z tą gęsią, ale dalej karmić się nie da, więc niech na przyszły rok zostanie razem ze stadem wybranym.*

### **13 października**

*Samam pół lasu zeszła, bo mnie oskoma wzięła własną ręką te grzyby zbierać, i poszczęściło mi się, bo nie tylko dużo znalazłam, ale przy tym orzechy w leszczynowym gąszczu odkryła. A tyle ich było, że sama unieść nie mogła i pomocy wołać musiałam. W fartuchy dziewczki pobrały, a Kacperek Madejowej sam z siebie zaofiarował się świtem skoczyć i resztę wybierać. Piasku zaraz kazałam usypać, żeby jak najdłużej się przechowały.*

*Skusiło mnie z borowików małych marynatę uczynić i do jutra kazałam zostawić, bo już dziś późny wieczór się zrobił po tym noszeniu i czyszczeniu.*

### **14 października**

*Samam była niepewna, czy dobrze czynię, bo grzyby póki są, to są, a potem nie będzie. Ale gdyby deszcze przyszyły, gruszki zmarnieją, choć mówią, że do pełni pogoda się utrzyma. Tedy dziś było zimowych gruszek zbieranie, które poleżeć mogą nawet i dni parę, nim się je przyrządzać zacznie. Więcej niż trzy cetnary wyszły i już widzę, że ze wsi wezmę dziewczki do obierania. Do borowików samam się wzięła i z Madejową łatwiejszym sposobem zrobiłyśmy wszystko.*

*Kacperek jeszcze pół worka orzechów przyniósł z tego jednego gąszczu.*

*Kury przy cieplej pogodzie niosą się tak, żem do kupców posłała, bo jajek jest nadmiar. Dropiata kokoszka znowu jaje wielkie zniosta, które pewno dwa żółtka będzie miało, tom dla domu z ciekawości zostawiła.*

### **15 października**

*Listum się namyśliła nie pisać, boć poprzedni kuzynka Matylda albo już czytała, albo przeczyta, jak wróci, jeśli istotnie wyjechała. Dziewki do gruszek usiadły. Wczesnie rano Kacperek po cukier i przyprawy pojechał do Grójca i zaraz po południu wrócił, i zaraz się poczęły konfitury robić, a później i do marynat przystąpię. Z kupcami się targowałam, ale jaja za niską cenę poszły, boć przy takiej pogodzie wszędzie kury się niosą. Doły na warzywa zimowe wyprzątnąć kazałam, bo tylko patrzeć, jak trzeba będzie zbiór czynić, i tak mi się widzi, że cała robota razem na mnie spadnie.*

### **16 października**

*Na wieczór oto kuzynostwo zjechali, podobno prosto z imienin pani Włodarskiej, która Jadwiga ma na imię i piętnastego obchodzi, a do niej po drodze z Warszawy. Tedy w Głuchowie istotnie ich nie było. O Szymona kuzynka Matylda bardzo pytała, z jego śmierci żalność okazując, i na grób się wybiera. Bogu podziękowałam, że nie wcześniej się tu zjawili, bo cały dzień robota była, od której prawie ręce odpadały, a wieczór już się zrobił spokojniejszy. Kolację narządziłam jak należy i nawet owo jajko z dwoma żółtkami sensację zrobiło, na twardo ugotowane. Kuzyn Mateusz promieniejący, pokazuje się, że o koniach to prawda, nagrodę jakąś jego konie wygrały, o biegach i gonitwach mi opowiadał. Zaraz na jutro zapowiedział obejrzenie stajni, a pojutrze odjadą. Kuzynka Matylda wystąpiła podobno w wielkiej chwale, chciwiem słuchała o strojach różnych pań, bo to człowiek wcale świata nie widzi, więc chociaż tyle tego. Ale co mną wstrząsnęło, to że podobno na owe konie grała, kto słyszał o czymś podobnym, toż to męska rzecz! Nawet się mało kłócili, może przez ten triumf kuzyn Mateusz tyle pobbłażania okazywał.*

*Oszołomiona jestem opowieściami tymi jeszcze do tej pory, a wszak wcześniej spać poszli. Jutrzejszy dzień przede mną, a mieć będę urwanie głowy.*

### **17 października**

*Małom opanowania całkiem nie straciła. Większa połowa gruszek jeszcze została i tu mi się kuzynka Matylda wtrąciła najokropniej.*

*Po śniadaniu wczesnym zaraz kuzyn Mateusz do stajni poleciał, a kuzynka Ma-*



tylda zaprzęgać kazała, by na ów grób Szymona jechać, ale nim powóz zajechał, do kuchni przyszła. Upodobanie dziwne jaśnie pani. I zaraz krzyk podniosła, by z reszty gruszek same konfitury suche czynić, przy których jest najwięcej roboty. A czy ja mogę trzy dziewczki do jednej rzeczy zatrudnić? Uparła się, kandyzowane owoce jej potrzebne, jakby bez nich życia nie miała, widziałam, jak okiem oce- niła, ile tego wyjdzie i aż chciwość z niej biła. Pod ambicję mnie brała, bo któż lepiej potrafi dopilnować, jak nie ja, Głuchów ledwie na połowę tego się zdobę- dzie, a zimowe gruszki najlepsze. Jej Błędów, ona rządzi. W oczy mi rzekła, że roboty się boję. Zdenerwowałam się niemożebnie, godzinę z kuchni nie wyszłam, zlecenie spełniając, a co mnie gniewało strasznie, to że powóz przed domem cze- kał, a ona nie szła, tylko pewno pilnowała, czy jej życzenie się spełnia. Pojechała nareszcie, ale ledwo wróciła, o żurawinach zaczęła. A toż wiadomo, że z żurawi- nami najtrudniej, by się długo trzymały rzadka to rzecz, a ona swoje. Czy to ja cudotwórczynią jestem? Toż owoc zimowy, zrobiwszy zwyczajnie, do Wielkanocy można utrzymać, ale suche...? A ona swoje. Próby czynić i próby czynić. Cud chyba, żem spokój pozorny zdołała zachować.

Mateusz ze stajni wrócił zadowolony, ale co mówił, nie pamiętam, bo mi w uszach szumiało. Chyba coś o stanowieniu klaczy, nie moja to sprawa. Razem się zeszli, chwalić Boga, pod wieczór dopiero, kiedy już miała robotę dobrze za- częta, i tu kuzynka Matylda nagle mi czułość wielką okazała, jakam to ja gospo- dyni wprost nadzwyczajna. W jednej chwili jedno na drugie zamienię i wszystko umiem. Dużo mi przyjdzie z tej pochwały, sam kłopot. Owoc gotowy mam wystać do Głuchowa. Szczęście to, że tylko na jeden dzień przyjechali. Żeby nie wiem kto umarł, więcej wiadomości nie wysłę.

### **18 października**

Otom się już trochę uspokoiła, bo rankiem wyjechali. Robota przy gruszkach zaczęta, swoim biegiem pójdzie. Spis muszę sobie uczynić, bo marchew, selery, pory wykopywać przyjdzie, korniszony, potem zaś kapusta, zimowe jabłka jeszcze po drodze, wszystko swoją koleją, a do tego te nieszczęsne żurawiny. Tak mi jedną wizytą roboty dodała. Wypocząwszy trochę, jutro nad tym pomyślę.

### **19 października**

Grzyby jeszcze się sypią, choć już mniej. Dziw zgoła, że kuzynka Matylda z nich konfitur nie zechciała robić. Ale, szczerze mówiąc, serki śmietankowe mnie korcą...

### **20 października**

Otom sobie postanowiła, lepsze zrobię niż ona. A potem jej wysłę, niech widzi. Te wieści wszystkie rozpatruję, moda na suknie dziwaczna. Draperia trochę gorsząca mi się wydaje, ale może to być, że twarz pod kapeluszem i woalem wię- cej wdzięcznie wygląda. Nie pochwalam tych chęci, co komu pan Bóg dał, tym niech się zadowala, a nie udaje co innego. Gorset słuszny bardzo, ale owe pod- wiązki...? A komuż to potrzebne? Kwiatowe, z kokardkami? Sama myśl o czymś

*takim zgorzsenie budzi.*

*Raz bym może spojrzęła dla samej ciekawości, ale proboszcza spytam, czy ciekawość nie grzeszna. Widoki to muszą być dziwne. Osobliwe obyczaje w owym wielkim świecie muszą panować. Znow z drugiej strony, własne konie, własną ręką wyhodowane, z innymi się ściągające, to chyba rzecz zwykła i nie naganna? Proboszcza się spytam.*

### **21 października**

*Lis się próbował pod kurniki podkopać, psy go wyptoczyły i żadnej szkody nie uczynił. Ale lament drobiu pół nocy zajął. Nowa troska, też i gęsi, i kaczki w zdrowiu zachować trzeba, zapórę jakowąś postawić, bo stróżom wierzyć nie można. Pośpią się i przeckną, jak już pół inwentarza wymordowane będzie.*

### **22 października**

*Od służby się dowiedziałam, że kuzynka Matylda już całkiem umiarkowanie straciła. Dobrze mi się wydawało, że trochę jakby na figurze zmieniona, alem myślała, że z wiekiem jej tuszy w kibici przybywa, a tu pokazuje się nieprzyzwoitość. W tym stanie publicznie w oglądaniu wyścigów brać udział?! I kuzyn Mateusz na to pozwolił?! Co za czasy jakieś rozpasane nastąpiły?!*

*Cud istny, że cały garnek nie przepadł, bo co się pokazuje, Andzia nad nim zasnęła. Przecknęła się w ostatniej chwili, a gadanie słyszę jakieś gorszące, że nocą wcale nie spała, z amantem się spotkawszy. Co za amant? Ze wsi chyba, albo z folwarku, bo że nie z dworskiej służby, to pewne. Będę musiała się wywiedzieć, żeby znow jakiego zgorzsenia nie było. Garnek uratowany i gruszki już na cukrze się suszą.*

### **27 października**

*Grzyby, że sucho, już się skończyły, jeszcze się tylko gąski zbierają. Gościa mi przywiózł Feldman, co na całą wełnę naszą czyha, ale gość nie dla wełny, tylko dla koni. Jakiś pan Bazyli Pukielnik, bardzo na miejscu, miłego wyglądu i manier pięknych, przymówił się o gościnę, czemum przeciwna nie była, bo na kuzyna Mateusza się powołał. Jakoby konie ma od niego kupować, czy sprzedawać, czy zamieniać się będą, oglądać chce i wybierać. Od rozum rzekła, że oglądać może, koni się nie wstydzimy, ale co do handlu, to już nie moja rzecz. Feldman też go zna, powiada, że on spod Radomia i tam ma majątność. Zatem owa końska sława kuzyna Mateusza już się szeroko rozeszła i dziwnie prędko.*

*Zostawiłam pana Pukielnika w stajniach, zarządziwszy, by mu wstrętów nie czyniono, i dopiero przy wieczerzy z nim do stołu usiadłam. A nawet nie wiem, kiedy z folwarku wrócił. O dawnych czasach przyjemnie się z nim rozmawiało, podobno jego ojciec panią Zawadzką, moją nieboszczkę dobrodziejkę, dobrze znał i niejedną raz tu bywał jeszcze za jej młodości. On sam pierwszy raz i obiecałam mu jutro cały dom pokazać, bo dużo od ojca słyszał.*

*Żeby nie gruszek doglądanie, więcej czasu bym miała.*

### **28 października**

*Pan Pukielnik greczny bardzo, towarzystwa żadnego nie wymaga, sam sobie radę daje, co szczęśliwie dla mnie się składa, bo już marchew się kopać zaczyna. Spis muszę zrobić na nowo, żeby wiedzieć co i kiedy, bo zeszły rok był deszczowy i z niego spis na ten się nie nada.*

### **30 października**

*Dzień cały wczorajszy i dzisiejszy zajęty miałam bez chwili wytchnienia, boć lampki doszły nagrobne do zalania woskiem i wieńce z choiny i nieśmiertelników, a co pan Pukielnik robił, żadnego nie mam pojęcia. Kiedym z kredensu wróciła, w bibliotece go znalazłam, gdzie książkę do czytania sobie wybierał. Spis uczy-niony i robotę rozłożyłam, żeby nawet deszcz nie przeszkodził. Jutro wybiera się odjechać, czego nawet żałuję, bo choćby i po umęczeniu miło jest z kim grzecznym pogadać.*

*Z gruszkami jutro koniec wreszcie będzie, bom na trzy sposoby robiła i nawet nadziewane. Widzę, żem się dała wziąć na lep ambicji kuzynce Matyldzie, wstyd by mi było, jakby źle wyszły. Kaczkę tłustą na kolację kazałam upiec i bluzkę jedwabną liliową włożyłam, co może i było nadmiernie strojne, alem chciała choć na ostatek nie na służbę się pokazać. Pan Pukielnik jeszcze może przybędzie, bo decyzji co do koni ostatecznej nie powziął.*

### **31 października**

*Pan Pukielnik wczesnym rankiem odjechał. Bałaganu trochę w bibliotece narobił, lektur sobie szukając, bo czytać lubi. tak mi wyznał, alem to łatwo uprzątnęła. Że jutro Wszystkich Świętych, robota musi poczekać, ale szkody przez to żadnej nie będzie, wszystkim jak trzeba zarządziła i nawet Zaduszki widzą się dosyć swobodne. Sama wypocznę i oddam się wspomnianiu tych swoich, co już lepszy świat oglądają...*

Ze zgrozą Justyna otrząsnęła się, przeczytawszy te wszystkie zwierzenia. Więc jednak rzeczywiście upiorny Pukielnik pętał się po Błędowie i w dodatku dysponował tam swobodą wręcz przerażającą. W bibliotece bałaganu narobił, a ta idiotka, panna Dominika, żadnego skojarzenia nie miała. Prababcie Matyldę w bibliotece widziała aż za ostro, Pukielnika wcale, jakoś nie dziwił jej jego namiętny pociąg do lektury. Ciekawe co tam znalazł... Chyba nic, skoro później prababcia precjozami świeciła, jakichś odkryć jednakże mógł dokonać i kiedyś w przyszłości z nich skorzystać...

Z wielkim zainteresowaniem przystąpiła do czytania opisu smętnych świąt, urozmaiconych występem stelmacha, który urznął się na smutno i pod oknami dworu rzewnie płakał, następnie przeszła do zwycięskich dla panny Dominiki targów o doskonale upasione gęsi i doskonale zgręplowaną wełnę, zbioru i szatkowania kapusty, rozmaicie przyprawianej, wreszcie żurawinowej gehenny, która doprowadziła pannę Dominikę niemal do białej gorączki przez owe suche konfitury.

Kuzynka Matyllda nie cieszyła się tej zimy jej wielką sympatią.

Poldzio, chłopak kredensowy, w owym okresie jakoś znikł z oczu, ale rychło wyszło na jaw, że na pewien czas został oddelegowany do Kręglewa, gdzie polom i doświadczenia nabierał i skąd wrócił dopiero w rok później, po pogrzebie rodziców prababci Matylldy. Ściśle biorąc, matki. ona Dominika, na pogrzebie obecna, sama go przywiozła, czy może raczej przez niego została przywieziona. Nie kryła zadowolenia z powrotu zaufanego sługi, który z chłopięcego wieku nieco już wyrastał.

Prababcia Matyllda ponownie nawiedziła Błędów dopiero wiosną następnego roku, co pannę Dominikę znów zirytowało.

## 2 czerwca...

Zorientowana już, że panna Dominika rok pański wymienia rzadko i prawie tylko w styczniu, Justyna cofnęła się o kilka kartek i stwierdziła, iż był to 2 czerwca 1887.

*... otóż mi pożytek z kuzynki Matylldy, sto razy więcej kuzyna Mateusza bym wolala. Na jeden dzień spadła niczym grom z jasnego nieba i znów mi zamieszania zdążyła narobić. Do kandyzowanych owoców jakieś upodobanie szalone w niej siedzi, wszystko, od truskawek i czereśni poczynając, na suche konfitury mam przerabiac, zwykłych zanedbując. Dobrze chociaż, że dziewczkę jedną ze wsi pozwoiliła dobrać na stałe, bo nie wiem, jak bym dała radę. Za to moje żurawiny pochwalila szczerze i aż zdumiona była, że tak mi wyszły, czego wcale nie kryła, nawet zgoła wydziwiałając nad nimi. Zawsze to dla mnie pociecha i honor.*

*Znowu w bibliotece ugrzęzła, ale tym razem wypatrzyłam, że jedne książki przywiózłszy, drugie zabiera i tak nawet coś bąknęła, że do czytania bierze. Podobno niektórych starszych dostać trudno, a tu po dobrodziejce stoją. Będę ja miusiata w spokojniejszym czasie wziąć się do czytania i sama popatrzeć, co tam jest, bom dotychczas ledwo trochę tego czytała i całkiem reszty nie znam. A w rzadko którym dworze tyle książek stoi, całe trzy szafy wielkie.*

*A jeszcze tym mnie rozgniewała, że mam do Kręgi jechać i od Józefiny przepisy dostać. Albo od jej córki, bo Józefina całkiem już ze starości w piętke goni i zrobić jeszcze potrafi, ale powiedzieć nie umie. Samam widziała, tego garsteczkę, powiada, i tego garsteczkę, a tu w rzeczy samej jednego ledwo szczypta, a drugiego cała garść. Podpatrywać ją należało, teraz za późno. Może i czyniła to jej córka, owa Balbina, co ją na kucharkę w ostatnim czasie wzięli, ale nie mogła to kuzynka Matyllda zaraz na pogrzebie jaśnie pani Kręglewskiej powiedzieć? To nie, teraz mam jechać specjalnie, a na czymś takim może i tydzień zejdzie.*

*Jastrząb stado rozpedził i ćwierci kurczaków nie mogę się doliczyć. A truskawek tylko patrzeć. Może jakoś zdążę przed zbiorem. Niech mi ona tu nie zjeżdża za często, bo same kłopoty z tego.*

#### **14 czerwca**

*Ledwom z Kręglewa wróciła, już znów zmartwienie. Doczekała się Andzia, a jużem miała nadzieję, że o owym amancie plotka, a tu pokazuje się rzetelne zgorszenie. Z oburzenia aż pisać nie mogę. Kryła się, ile mogła, zległa akurat, jak mnie nie było, i dalej kryć się chciała, ale na jaw wyszło, bo dziecko dowód widomy. I do amanta się przyznała, oto czeladnik garbarski, co po skóry przyjeżdżał, tak jej do gustu przypadł, ale żenić się nie chce. Wypędzić ją chciałam zaraz, jednakże Marta, wierna sługa, ją uratowała. Sama nie bez winy, choć już z ogrodnikiem naszym zameżna, ofiarowała się dziecko wziąć do siebie, żeby przy Andzi w oczy nie świeciło, a i ksiądz proboszcz miłosierdzie okazał. Jeśli skruczę okaże i bogobojnie żyć będzie, niech zostanie. Tak z dwóch stron dociśnięta, zgodziłam się.*

*Co do reszty spraw, Madejowa z Poldziem wszystkiego dopilnowali. A z Kręglewa przepisy przywiozłam i wypróbować w wolnym czasie będę, bo niektóre strasznie dziwne mi się wydają.*

#### **17 czerwca**

*Wreszcie roboty uładziłam i chleb dzisiaj upieczony został. Truskawki poczynają się sypać i czereśnie. Magdzia, com ją to ze wsi wzięła, pracowita i zręczna, bardzo dobrze pomaga, za to Jagusia, co przy Madejowej gotowania się uczy, jej siostrzenica rodzona, całą dzieżę mleka na sery już ściętego na podłogę wylała. A że nie jest niezgraba żadna, to mnie bardzo zdziwiło. Zagapiła się jakoś i, dzieżę z blachy biorąc, o kota się potknęła, tak mi mówiono, osobliwość to jakaś, nigdy nikomu do tych pór koty pod nogi nie wpadały, to już prędzej pies w gonitwie. I na co też się mogła tak zagapić? Sekret jakiś kuchenny tu przeczuwam.*

*Na Andzię nawet i nie patrzę, chociaż jej wstrętów żadnych nie czynię, księdzu proboszczowi posłuszna. Stara się z całej siły, więcej niż przedtem, przeto udaje, że nie widzę, jak się od roboty odrywa, żeby dziecko nakarmić. Jakoś tam obie z Martą swoje konszachty czynią na stronie i wstydliwie, ale boję się, czy zły przykład się nie rozpowszechni. Ksiądz proboszcz w tym głowa.*

#### **22 czerwca**

*O panu Romiszu wieści mnie dobiegły przez żydowskich handlarzy, że podobno awansu nie dostał, bo żona jego zbyt głupia. Z godzinę, już wieczorem późnym, w okno otwarte patrząc, myślałam, czym jednak zbyt wiele umiaru nie okazała...*

*Tak patrząc, że cisza była, kroki skradające się pod domem usłyszałam i zaraz mnie złe przecucia opadły. Gdzież psy, takem sobie pomyślała, i od razu dalej, że nikt obcy. Zatem swój, ale na cóż się skrada? Szlafrok miałam na sobie i domowe pantofle, a strachliwa nie jestem, tedy najpierw przez okno wyjrzałam i dostrze-*

głam, że istotnie ktoś się pod domem rusza. Miast krzyczeć i wystraszyć owego, wolałam sama sprawdzić, kto to taki, tedy cichutko na dół zesztam, dwa skrzypiące schodki omijając. Cały dom już spał, do służbowego wejścia posztam, żeby sztabami przy głównych drzwiach nie brzękać, i oto proszę, niewieścia postać owo wejście za kuchennym korytarzem już otwierała.

Jeszczem obawy miała, czy nie zmowa jaka złoczyńców i służby, ale więcej mi to pasowało na całkiem inną znowę. Przekradłam się, wyjrzałam, noc widna była bardzo, księżycowa, a tu zaraz przy schodkach już się owe zmówione osoby w objęciach ścisnęły. Tu mnie gniew ogarnął, bo ileż tego zgorzenia mam tolerować, i ozwałam się głośno, oboje ich za rękaw chwytając, by mi nie umknęli bez rozpoznania. Aleć i bez tego by nie umknęli, bo ich jakoby w kamień przemieniło.

No i proszę, Jagusia, co ją Madejowa za niewinność samą miała i wychwalała, a przy niej, tego poznałam po chwili, z Kręglewa do sianokosów sprowadzony parobek, Bartek, ale imienia później się dowiedziałam. Rozgniewana, już im wypędzenie natychmiastowe zapowiedziałam, co by głupie było, bo i w kuchni, i przy sianie roboty po uszy, aż zakłopotanie poczułam w sobie, ale do nóg mi zaraz padli, przebaczenia i milczenia błagając. Jagusia zwłaszcza, by ciotce nie mówić. Nie dałam się ułagodzić tak zaraz, wyłajałam bardzo ostro, aż ów Bartek poprzysiągł, że się żenić chce. Czyś ty zgłupiał, rzekłam na to, toć ona na pańską kucharkę do wielkich dworów się szykuje, a ty co, parobek od gnoju. A nie tylko od gnoju, on mi na to, proszę wielmożnej pani, bo czytać i nawet pisać umie, i różne roboty robi, naprawy i remonty i więcej jeszcze, a tu przyszedł do kosy dla Jagusi specjalnie. Zaś Jagusia, rzewnymi łzami szlochając, powiadała, że choćby i był od samego gnoju, ona jego jednego chce. A on mi jeszcze powiada zuchwale, że Balbina w Kręglewie, co już za główną kucharkę nastąpiła, za chłopa w młodości posztła i krzyki były, a pokazało się, że szczęśliwie i w zgodzie do dziś dnia żyją. O czym wiem i jest to prawda. A z Kręglewa już ludzie do Głuchowa, do Kośmina i do Błędowa przechodzą, więc on tu będzie, bo już mu jaśnie pani Wierzchowska przyobiecała i jaśnie pan Wierzchowski też.

Więcej gniew mnie teraz na kuzynkę Matyldę ogarnął niżli na tych dwoje. Mogłaby chociaż i mnie taką rzecz powiedzieć, skoro tu rządzą, a nie za plecami ludzi nasylać. Kazałam im się rozejść zaraz, zgorzenia nie czynić i na moją decyzję poczekać, a że gniewu nie kryłam rozpierzchli się od razu. Jagusia zapłakana do domu wróciła, a drzwi zamknięcia dopilnowałam. Nie dziwi mnie teraz, że dzieże z rąk wypuszcza i mleko rozlewa.

Jeszczem w oknie posiedziata, patrząc, czy ów Bartek nie wraca, ale spokój był, tędym wreszcie spać posztła.

## **25 czerwca**

Na noc świętojańską rady nie ma, samam chętnie na wianki i skakanie przez ogień patrzyła, boć już lepiej, żeby się gromadnie zabawiali niżli gdzie po zakamarkach. Jagusię na reprimendę wzięłam, musiała mi poprzysiąc, że bodaj Ma-

deją o swoim wyborze powiadomi i niech tam ciotka dalej decyduje. A jeśli nie, sama jej powiem. Poldziam też wezwała, który przytwierdził, że ów Bartek, choć jeszcze parobek, zmysłny nadzwyczaj, wiele umie i na rządcę się szykuje, choćby i w Błędowie. Z końmi radę sobie daje, zatem jaśnie panu Wierzchowskiemu dosyć się podoba. Już tak mi się wydaje, że kuzyn Mateusz coraz więcej w konie wpatrzony.

Aż Madejowa dziś rano sama do mnie przyszła, skłopotana wielce, bo o Jagusi wiedziała. I tak mi wyznała, że tam u jej siostry bieda aż piszczy, z tej przyczyny siostrzenicę wzięła na dobrą kucharkę wychować, bo do tego zdolna, ale wiana dziewczyna nie ma żadnego, więc kto ją weźmie? A niechby i parobek, jeśli nie pijak i pracowity. Tu razem będą i to nie było złe, byle ślub się odbył jak należy. Pod tym warunkiem się zgodziłam nie przeszkadzać.

A i co do rządcy myśl jest dobra, bo nasz Buciak stary jest bardzo i trochę rady nie daje, pomoc mu się przyda. Aż dziw, że ciągle jeszcze wszystko jakoś idzie, a i to sadu, i ogrodu muszę dobrze pilnować.

A już wyraźnie widzę, co mi się dawno wydawało, że dziw tam jakaś gospodarka w Kręglewie. Obecny pan Kręglewski, obojętnego charakteru, sam własnej woli nie ma, jaśnie Kręglewska rządzi, a skąpiradło z niej takie, że o pomstę wolała. Ludzi usuwa i z pałacu, i z folwarków, powiadając podobno, że darmozjadów nie potrzebuje, i już tam upadek przyszły świta, o i kto ma robić? Jeden człowiek czterech mórg dziennie nie zaorze i jedna pokojówka wielkiego domu w czystości nie utrzyma. Balbinie nawet do kuchni produktów skąpi, com sama widziała.

Konfitury mi się robią, a czereśniowe tak wychodzą, że serce rośnie.

### **3 lipca**

Dziś mi znów kuzynka Matylda spadła na głowę, przy okazji lokajczyka przywożąc. Dobrzem słyszała o Kręglewie, ograniczenia tam są czynione wprost nie do pojęcia i ów lokajczyk z chłopaka kredensowego już trochę przyuczony. Tu go Kacper wyuczy do reszty, bo co do Poldzia, to już nie ma go co i uczyć, sam z siebie chyba wszystko umie, pierwszy Kacpra, a kto wie, czy i nie mnie zastąpi. Czas był nowego lokaja przystosować, wszak od śmierci tragicznej Albina żadnego prócz Kacpra nie było, a Poldzio jakby na wyrwyki. Więc z tegom zadowolona, alem delikatnie o innych spytała, na co mi kuzynka Matylda rzekła, że owszem, co lepszych ludzi z Kręglewa się bierze, skoro jej bratowa w szal oszczędności wpadła. Bo szkoda ich tracić. I też to wszystko, tak mi wyznała, czarno widzi.

Do serków bardzo mnie zachęciła, konfitury pochwaliła, szczęśliwie jutro rano odjeżdża, a dzisiejszy wieczór na swój ulubiony sposób spędza, w bibliotece zamknięta.

Diariusz panny Dominiki był bez porównania łatwiejszy do czytania niż bagroły prababci, Justyna zatem czas nad nim spędzony mogła uważać za odpoczy-

nek i rozrywkę. Zasmakowała w egzystencji błędowskiego dworu do tego stopnia, że też postanowiła zrobić konfitury, nie suche rzecz oczywista, bo brakowało jej silnych dziewczek do potrząsania naczyniem, tylko zwyczajne, w syropie. Czas był właściwy, panowała orgia wiśni, z Kośmina przyszły dwa kosze. Fela ucieszyła się pomysłem zgoła szaleńczo.

— Bo też to, proszę pani, dawno trzeba było — rzekła z przekonaniem. — Kupne nigdy nie takie jak domowe. A mnie czasem się młode lata przypomną i już się przyznam, że jak czasem u starszych państwa Wierzchowskich zobaczę, że Gienia robi, bo one co roku trochę robią, to aż mnie w sobie ssie. A z wiśni to każdy najbardziej lubi.

Justyna przepłotła zatem pannę Dominikę drylowanie wiśni, w czym wzięła osobisty udział. Fela zmywała z mebli i podłogi czerwone rozbryzgi wręcz w upojeniu. Panna Dominika przerzuciła się już na maliny, jeżyny, morele, renklody, jabłka, śliwki, melony i winogrona, kiedy wreszcie w kuchni prawnuczki jej dobrodziejki stanęły gotowe słoje, budzące wielki zachwyt całej rodziny. Fela nie popuściła, konfitury musiały być robione wedle starych przepisów i trwało to przeszło dwa tygodnie.

— Jaki to ten cukier brudny teraz — powiedziała z nie smakiem, zgarniając pianę z syropu Bóg wie który raz. — Pani popatrzy, szumuję i szumuję, a jeszcze wyłazi. Dawnymi czasy to prawie raz wystarczyło. . .

Przez cały ten konfiturowy czas Justyna zdążyła się dowiedzieć, że pannie Dominice ostatnie truskawki źle wyszły, bo były przejrzałe, kaczęta od kwoki na staw uciekły i jedno przepadło, Jagusia z Bartkiem ogłosili zaręczyny, nowy lokajczyk pobił się z Kacperkiem Madejowej, ale to przez pomyłkę i zgodę między nimi zaprowadzono, tyle że duży półmisek, wyszczerbiony, przy tej okazji do reszty stłukli, a w stajni nastąpiły pewne zmiany. Dwie klacze do stanowienia do Głuchowa poszły, a z Głuchowa za to jeden ogier przybył. Kuzyn Mateusz przyjechał i jedną klacz od pana Leśniewskiego kupioną sprowadził, zarządzając całym inwentarzem, nie tylko końmi, ale i krowami. Zaś chłopów okolicznych namówił żeby jego ogierem swoje klacze kryli, jak na razie nie tylko za darmo, ale nawet dwa ruble za każde takie krycie dostaną.

Panna Dominika pojmowała nawet sens owych zarządzeń i powściągliwie chwaliła dalekowzroczny rozum kuzyna. Gorzej jej się układało z kuzynką.

### **14 lutego 1889**

*Tom już się teraz porządnie zdenerwowała i może pisanie mnie uspokoi. Nic w pierwszej chwili kuzynka Matylda nie mówiła, dzień wczorajszy na gospodarstwie przebiegł, a dziś po śniadaniu późnym zaraz zaczęła. Śniadanie późne być musi, bo kuzynka Matylda w ciemnościach dnia zaczynać nie lubi, dopiero dobrze po wschodzie słońca, jak się całkiem rozwidni. I tak, jak się całkiem obudzi*



*i rozczmucha, wpół do dziewiątej godziny przychodzi, więc o dziewiątej dopiero do stołu siada. Mnie też w jadalni przytrzymała. I tak przy wetach śniadaniowych wreszcie mi rzekła, że mnie chce posiać do Placówki.*

*Małom tchu nie straciła. Toż ta Placówka na końcu świata, całkiem z drugiej strony Warszawy, wiem dobrze, bom w dzieciństwie raz z dobrodziejką moją świętej pamięci tam była. Malutki to mająteczek, gdzie mu do Błędowa! W pierwszej chwili myślałam, że już całkiem na rezydentkę zeszała, ale zaraz mi poczęła wyjaśniać, że to tylko na krótki czas. Wcalem jej nie uwierzyła i palpitacji dostałam. Podobno tam wszystko pustką stoi, klucznica jedna była jeszcze od dawnych strasznie czasów, zmarło się jej ze starości i porządek jakiś trzeba uczynić. Dwór naprawy wymaga i uprzątnięcia, bo już się nietoperze zaległy i ja mam z tymi nietoperzami wojnę stoczyć!*

*Dalej mi mówiła i nawet sens jakiś w tym ujrzałam, ale uspokoić się tak zaraz nie mogłam. Tam pamiątki podobno jakieś jeszcze po babce dobrodziejki mojej zostały umieszczone i o te troskliwie zadbać należy, portrety szczególnie, a możliwe, że i mebelki jakieś, domostwo i oczyścić, i ponaprawiać, służbę nająć czy zwolnić, jak tam potrzeba wskaże. Byłe kogo, tak mi rzekła, do tego przeznaczyć nie może, ja jedna jej babkę, dobrodziejkę moją, znałam i ja jedna z sercem się do tego przyłożę. Tę pojęła, że odmówienie w rachubę nie wchodzi. A potrwać może i miesięcy parę, bo dopilnować do końca trzeba.*

*A Błędów, tak mi rzekła na moje pytanie, sam własnym rozpędem pójdzie, przeze mnie mu nadanym. Wróciwszy, gdyby coś, z łatwością naprawię. A do tego kuzyn Mateusz więcej tu będzie przebywał z racji koni, co prawdą być musi, bo już się niektóre ożrebiły i źrebięta od dwóch pierwszych nadziei nie zawodzą. Tak wszyscy mówią, bo sama się na tym nie znam, choć urodę w nich widzę.*

*Bartek, z Jagusią niedawno ożeniony, w stajni zarządzać poczyna i z parobka powoli na coś lepszego wyrasta, to też widzę, bom wcale nie zaślepiona. Folwark dobrze pójdzie, ta rzecz jest pewna, ale co z domem? Tak mam zostawić na łasce boskiej? Aż mnie to przerażyło. Poldzio i Kacper wszystkiego dopilnują, tak mnie upewniała kuzynka Matylda, ona sama też wejrzy, a czemuż to sama nie wejrzy w Placówkę? Pewno mi się tu jakieś wątpliwości wyrwały, bo rzekła, że tam trzeba pobyć bez przerwy, rękę na wszystkim trzymając, a ona Głuchów ma na głowie. Bujnowska do niczego, to sama wiem. No wiem. I też by mi żal było, gdyby się ostatnie pamiątki po przodkach dobrodziejki mojej zmarnowały.*

*Żebyż tylko tyle! Już się z myślą okropną poczęłam godzić, kiedy mi rzekła zniecka, że tam pożar był. W Placówce owej. Służbowa część się spaliła od kuchni i czeladnej, już odbudowa idzie mimo zimy i mrozu, jak przyjadę, kuchnia gotowa będzie. Panie, zmiłuj się. Cóż ja tam jeszcze zastanę i wszystko na mojej głowie, a odmówić nie mogę żadnym sposobem, bom i zdrowa, i do wdzięczności zobowiązana.*

*O portrety szczególnie kazała mi zadbać, by ich żadna szkoda nie tknęła. W sa-*

lonie tamtejszym wiszą.

*Kura jedna kwoktać zaczęła, co mnie do reszty już równowagi pozbawiło. Toć najmniej dwa tygodnie za wcześnie, takem z tego ogłupiała, że ją posadzić kazałam. No i trudno, jakże ja do tej Placówki pojedę, toż trzy dni sama droga zajmie!*

### **16 lutego**

*Lokajczyk Fabian srebra wyuczył się czyścić tak, że aż mi Kacper w sekrecie przyniósł do pokazania. Nicem zganić nie mogła, może i będą z niego ludzie. Kura siedzi, zadowolona taka, jakby już nic lepszego na świecie nie mogło się jej przytrafić. Przez kuzynostwa pobyt dom więcej po pańsku idzie, rolada wieprzowa z grzybami nad podziw wyszła, a serki moje lepsze się pokazują niż kuzynka Matylda mniemać mogła. Co jej muszę przyznać, to to, że pochwał nie skąpi i zawiści nie okazuje.*

*Kuzyn Mateusz mnie pocieszył, że podróżować będę królewskim zgoła zaprzęgiem, bo konie do Gluchowa ma przeprowadzić, a stamtąd drugie nawet i do Warszawy. Nocleg mam mieć u jaśnie panny Klementyny, która w Warszawie rezyduje i opiekę nade mną roztoczy. Jaśnie panna Klementyna Zawadzka, bratanica mojej dobrodziejki, znana mi jest aż za dobrze i może kogo innego wolałabym mieć za przewodnika, ale lepszy rydz niż nic. Do Placówki po noclegu wysłać mnie chyba potrafi, szczególnie że konie z Placówki podobno będą czekać.*

*Aż prawie zawrót głowy po tym wszystkim czuję. I nagle, to strasznie, skorom się zgodziła, pojutrze mam jechać. Jużem upakowała rzeczy niezbędne. Poldzia na rozmowę o gospodarstwie wzięłam, bo więcej bystry niż Kacper, może przez to, że młody.*

### **17 lutego**

*Tedy jutro rankiem wyruszam. Ilem zdołała, tylem zarządziła. Wedle wszelkich wyliczeń, najmniej cztery miesiące mnie tu nie będzie, a kto wie czy nie dłużej. No trudno, kuzynka Matylda sama chciała. . .*

Oderwawszy wzrok od tekstu i oglądając przestwór za spróbowała pomyśleć. O wysłaniu panny Dominiki do Placówki prababcia w swoim pamiętniku słowa jednego nie napisała. Może i był tam pożar, może i rzeczywiście należało wypłóścić nietoperze, posiadłość ogólnie była chyba mało używana. Nie w tym rzecz jednakże. Wszystko wskazywało na to, że prababcia po prostu pozbyła się stałej zarządzającej, żeby swobodnie wygrzebać cały skarb z tajemniczych zakamarków biblioteki.

Później przecież w Paryżu i Wiedniu klejnotami świeciła. . .

Ponadto Placówka chyba rzeczywiście wymagała remontu. Stary dwór był drewniany. I drewniany pozostał. Dąb, modrzew, są to materiały trwałe, możliwe, że do dziś dnia dębowa konstrukcja doskonale się trzyma, tyle że została z niej ledwo połowa. Justyna pamiętała ją sprzed wojny i z okresu powojennego jako

wielką, zdewastowaną, ale wciąż godną uwagi willę, co najmniej kilkunastopokojową. Może nawet więcej, ostatecznie dzicy lokatorzy prezentowali sobą jakieś osiem czy dziewięć rodzin. Trzy izby na jedną rodzinę, to byłoby dwadzieścia cztery albo dwadzieścia siedem pomieszczeń. Od czasów prababci musiało to być przerabiane kilka razy. . .

Z nowym zaciekawieniem wróciła do tekstu.

Przeżycia panny Dominiki w trakcie podróży były wręcz wstrząsające. Rozweselona okazją ciotka Klementyna, kobieta doskonale światowa i już dostatecznie leciwa, żeby sobie pozwalać na rozmaite ekscesy, zabrała ją na kolację, rzecz oczywista nie sama, tylko w towarzystwie męskim, szacownego pana radcy. Postanowiła chyba dostarczyć pannie Dominice przeżyć stulecia, skoro wybrała lokal, tłumnie odwiedzany przez rozrywkową część społeczeństwa. Strzelający do luster carscy oficerowie i wesołe panienki tańczące kankana na estradzie i na stołach ogłuszyły damę z prowincji do tego stopnia, że bez mała utraciła umiejętność pisania. Musiał chyba później ksiądz proboszcz z wielkim zainteresowaniem wysłuchiwać spowiedzi. Na całe szczęście panna Dominika zdążyła się posilić wyszukаныmi potrawami, zanim ogólna wesołość wzrosła, inaczej bowiem głodna dojechałaby do Placówki.

Dojechała za to mocno niewyspana, bo po strasznych doznaniach nijak zasnąć nie mogła. Świt błądy zastał ją z otwartymi oczami i pobladłym obliczem i prawie godzinę całą czekała na konie, spakowana i całkowicie gotowa. Dopiero w trzy dni później przysła do siebie.

Wzięła się do roboty i Placówkę uporządkowała, i zorganizowała tak, że przez następne pół wieku nie było w posiadłości nic do poprawiania. Matyllda nie miała żadnych szans wysłać jej tam ponownie. Dlatego też cały remont Błędowa, wbrew jej chęciom, przebiegł pod okiem panny Dominiki, trwale obecnej w swojej stałej siedzibie i przez lata wspominającej ze zgrozą frywolne sceny w stolicy.

### **5 lutego 1894**

*Czy też nie za wcześnie kuzynka Matyllda najmłodszą córkę w świat wprowadza? Słuchy mnie dobiegły przez służbę, która chyba od żydów takie wieści miewa, że tegoroczny sezon dla Zosienki przeznaczony. Nie wiedzieć przy tym, która piękniejsze suknie ma na sobie, podobno kuzynka Matyllda z Paryża stroje przywiozła, gdzie kuzyn Mateusz sukcesy wielkie końskie odniósł. Co też, na miły Bóg, może się dziać w tym Paryżu, skoro owych przerażająco rozpustnych obrazów w Warszawie do dziś dnia zapomnieć nie mogę.*

*Pan Pukielnik dziś rano o gościnę poprosił, na co chętnie przystałam. Dziwić mu się trudno, skoro też go konie obchodzą, bo kuzyn Mateusz ma do nich chyba szczęśliwą rękę. Na wyścigi moda jakaś panuje i pan Pukielnik zwierzył mi się, że stadninę własną rad by założyć. Tyle umiem zrozumieć, że angielskie konie,*

*z Anglii sprowadzone, nie to że droższe, ale w innym klimacie chowane, i przez to wolałby swojskie. Ciekawa rzecz, dlaczego kuzyn Mateusz jemu akurat sprzedać nie chce. A na to mi się skarżył.*

*Potem zaś do późnego wieczora po kolacji dyskurs z nim wiodłam o mojej owej podróży strasznej sprzed pięciu lat, kiedy w Warszawie rzeczy takie widział, co się w głowie nie mieszczą. Pan Pukielnik, też potępiając ową rozpustę okropną, powiadał mi, że obyczaję takie zapanowały jeśli nie w świecie, to w Europie całej. I jeszcze rzekł mi coś nie do pojęcia całkiem, że owe tancerki, publicznie nagość prezentujące, wcale nie ladacznice żadne, a bywa, że w prywatnym życiu swoim cnotliwe i jeno dla zarobienia pieniędzy rozpustę udające. Że się ze wstydu nie spalą, zrozumieć nie potrafię, toć z głodu lepiej umrzeć. Na co mi rzekł, że bywa, iż która matkę tym sposobem ratuje albo młodsze rodzeństwo. Okropność to, choć jaśnie panna Klementyna podobną rzecz mówiła, w com uwierzyć nie mogła.*

*Zmartwił się wielce, że w Placówce kuzyn Mateusz jeno robocze konie hoduje i prawie wierzyć nie chciał. Sam zobaczyć musi, chce, niech ogląda. Konie do pracy w polu wprost doskonałe, może mu się na co zdadzą. Na kolację podać kazałam pieróg duży z nadzieniem mięsno-grzybowym, który bardzo pan Pukielnik chwalił.*

Między jednym zapiskiem a drugim Justynie przemknęło przez głowę, że tych szczegółów prababcia znać nie mogła, bo szlag by ją chyba trafił na takie fetowanie pana Bazylego. Panna Dominika z kolei z pewnością o jego dawnych zbrodniczych poczynaniach nie miała najmniejszego pojęcia. . .

#### **14 lutego**

*Okropną rzecz usłyszałam. Że mróz zelżał trochę, stara Zenobia, żebraczka z Grójca, się przywlokła i powiada, że tam zbrodnia straszna się przydarzyła, żona jedna mężowi głowę siekierą odrąbała. Zły był, niedobry, bił ją, choć nie było za co, wiecznie gorzałką zamroczony, aż jak dziecku jednemu, a troje im tam żywych zostało, rękę przetrącił, owa żona wyczekała, żeby twardo zasnął, dzieci do sąsiadów wysłała i odrąbała mu łeb. Zgroza ogarnia. A potem podobno wszystko posprzątała, jego razem z przyłożoną na miejsce głową na postaniu ułożyła i pochować chciała jako nieżywego. Ale kiedy do trumny go kładli ów odrąbany łeb odleciał i tak się wszyscy o zbrodni dowiedzieli.*

*Okropna prawie że wojna tam wybuchła, bo jedni byli za nią, a drudzy przeciw. Zły był człowiek ten mąż nieboszczyk, ale zawsze to ciężki grzech. Żandarmi ją zabrali, dzieci same zostały, najstarsza córka ledwo czternastoletnia, a dwóch synków małych całkiem. Po rodzinie je rozebrali, a całe miasto aż szumi do tej pory, bo ją sądzić będą.*

*Kury się niosą coraz lepiej, młode kokoszki już co drugi dzień jajko mają.*

### **3 marca**

*A otóż mi się tu nowy bal szykuje, za długo już było kuzynce Matyldzie spokojnie siedzieć! Człtek jakiś z Warszawy przyjechał i z Poldziem konferował, aż do mnie przyszli i co się pokazuje, wielkie zmiany nadchodzą, dwór cały ma się przerabiać i wynalazki nowomodne stosować. Do góry nogami się wszystko przewróci. Już tu w ściany zaczął pukać, mury i pokoje oglądać, mierzyć i rozmiary zapisywać. Jak mi tłumaczył, co ma być, nicem nie zrozumiała, o wodociągu coś gadał i sile jakiejś strasznej, elektryką zwanej. Światło ma dawać. Kuzynka Matylda tylko patrzeć jak sama zjedzie to zamieszanie robić.*

*Kury na jajach już siedzą, gęsi i kaczki lada chwila posadzę, indyczki się niosą doskonale, com je od mrozu upilnowała, Wielkanoc niedaleko, a ona mi tu rujnację wprowadza. Sama już nie wiem, czy porządki zaczynać, boć to się zaraz bałagan i nieład okropny zrobi. A już kotary do prania chciałam zdejmować...*

Wreszcie pojawił się Justynie ów remont błędowskiego dworu, z którego prababcia taka była zadowolona, w przeciwieństwie do panny Dominiki. Nie od razu nastąpił, panna Dominika mogła spokojnie odpracować sprzątanie świąteczne i wszystkie wczesnowiosenne roboty, bo Niemiec z Petersburga przybył dopiero w czerwcu.

Potem już cały diariusz wypełniły słowa krytyki, narzekania i obawy. Ciężką pretensję panna Dominika miała do okolicznych ziemian, którzy w pewnym stopniu poszli na lep rozszalałego nowatorstwa kuzynki Matyldy i finansowo wspomogli jej dzikie wybryki. A już była nadzieja, że kuzynka zbankrutuje i fanaberie się skończą, bo kto to widział, taką rzecz mieć we własnym domu, żeby od przekręcenia skrzydełka na ścianie światło się w żyrandolu u sufitu zapalało! Albo woda w łazienkach wprost ze ściany leci, no i te urządzenia bardzo prywatne, z których niczego nie trzeba wynosić, tylko samo gdzieś znika. Owo znikanie bardzo pannę Dominikę gnębiło, bo choć układanie rur oglądała na własne oczy, do snucia właściwych skojarzeń nie czuła się zdolna.

Jedno co jako tako do niej przemawiało, to temperatura owej lecącej ze ściany wody. Potężny bojler w kuchni mówił sam za siebie, ogień się pod nim palił, miał prawo wypuszczać z siebie nawet ukrop. No i piece w łazienkach, rozpałało się w nich i woda się grzała, a rozpałało się bardzo łatwo. Ciąg miały nadzwyczajny i w dodatku nie wymagały żadnego wymyślnego opału, byle jakie drewno im wystarczało.

Do centralnego ogrzewania Matylda nie doszła, ale i tak w błędowskim dworze cywilizacja rozkwitła. Panna Dominika tak była zajęta owym światłem, wodą i kanalizacją, że całkowicie przeoczyła generalną przebudowę biblioteki, w której głównie działał ów Niemiec z jakimś swoim pomocnikiem. Ponadto musiała kar-

nić całe towarzystwo, co napotykało pewne trudności, bo kuchnia przez czas jakiś pozostawała w stanie chaosu. Rozzłoszczona panna Dominika sama siebie pytała, czy ma przyrządzać potrawy na ognisku rozpalonym przed domem, i wyrażała gorące życzenie, żeby wszyscy zagustowali w kartoflach, pieczonych w popiele.

Uspokoiło się to okropieństwo dopiero późną jesienią. Jedyłą satysfakcję sprawił panice Dominice fakt, że przez całe lato nie można było robić owych suchych konfitur, ulubionego produktu kuzynki Matyldy, rujnacja kuchni bowiem na takie wymyślne sztuki nie pozwalała. Niestety, kuzynka Matylda nie przejęła się tym wcale.

Przejęła się za to Justyna. Zmodernizowaną wówczas kuchnię błędowskiego dworu znała doskonale, z podziwem pomyślała nawet, że ów bojler, niemal na przełomie wieków zawieszony, przetrzymał dwie wojny i po pięćdziesięciu latach jeszcze niezłe służył. Instalacje wszelkie również działały i szlag trafił tylko lokalną elektrownię, a i to dopiero podczas drugiej wojny światowej. Natomiast o tajemniczych pracach w bibliotece, widać już było, nie miała szans uzyskać żadnej wiedzy.

Zostały one jednakże przeprowadzone, prababcia odwaliła robotę dyplomatycznie i podstępnie, i bez wątpienia w chwili wybuchu pierwszej wojny wykorzystwała swoje skrytki. Następnie wyrzekła się pamiętnika i nie napisała już ani słowa. Jedyłą możliwość odzyskania cesarskich podarunków mogła stanowić osobista penetracja budowli, a tę właśnie głupia prawnuczka utraciła bezpowrotnie, z lekkim sercem porzucając nieruchomość razem z tajemnicą.

Smętne resztki nadziei leżały jeszcze w diariuszu panny Dominiki, która też jakoś rzadziej sporządzała notatki. W każdym razie pociągnęła tę pracę pisarską dłużej niż prababcia. . .

### **7 stycznia roku pańskiego 1909**

*Jak to przez żydów różnych i służbę plotki rozmaite dochodzą! Teraz dopiero się dowiaduję, że podobno we Wiedniu i w Paryżu kuzynka Matylda ledwie lat temu parę tak się zabawiała, jakby całkiem pamięć o wieku własnym straciła. A toż nie więcej niż sześć lat ode mnie młodszą! Kuzyn Mateusz swoje konie na wyścigi puszczał, co do koni, to nie powiem, ekstraordynaryjnie mu się hodują i zyski ma z tego procederu, a małżonka jego wprost nie wiadomo jakie ekscesa wyprawiała. Przypomniała sobie babka dziewiczy wieczór. Zaś gadanie żydowskie stąd, że podobno klejnotami takimi obwieszona była, że Boże odpuść, zawiść ogólna ją otaczała. Skądże takie precjoza? O diamentach mówiono, rubinach, szafirach, a co do szmaragdów, tom je sama raz na niej widziała nie tak dawno temu, jak mi tu bal znienacka urządziła po wyścigach warszawskich, całe towarzystwo przywoząc. Hrabia Potocki wtenczas ową okropną maszyną przyjechał, co ją zwąq automobil, a bez koni jedzie.*

*Klejnoty kuzynka Matyllda ma, to wiem, ale żeby aż takie, żydowskiego gadania warte? Czy to przypadkiem nie z owego zgorszczenia dawnego, co już go nawet wspominać nie chcę?*

*Zziębłam strasznie wczoraj od leśniczego wracając na piechotę ten ostatni kawałek drogi, kiedy to i koń, i sanki w gałęziach pod śniegiem ukrytych ugrzęzły, ale jużem wolała iść sama i pomoc stangretowi wysiać niż tam na mrozie i wicherze nieruchomo czekać. Dwóch ludzi poszło, by konia z pułapki bez szkody wydobyć, i powiodło im się, alem ja ledwie żywa do domu dotarła. I teraz wreszcie zgodziłam się, że te fanaberie kuzynki Matylldy może i nie takie złe, bo mi Józia zaraz w łazienkowym piecu rozpałała i w gorącą wodę do wanny weszłam. Rozgrzałam się w okamgnieniu i widzę, że dobrzem uczyniła, bo dziś nawet i kataru nie mam. A jużem myślała, że choroba pewna.*

### **20 maja**

*Straszna rzecz: się stała i nie do pojęcia. Ową świecącą bańkę szklanną w garderobie kazałam Stasi odkurzyć, bo pyły na niej z daleka wdać było, ona, że na drabinę wejść musiała, Fabiana wezwała do pomocy, i cale szczęście. Ledwo ścierką dotknęła, huk straszny się rozległ i błysk okropny nastąpił, Stasia z drabiny spadła i byłaby się może zabiła, ale Fabian ją złapał, choć sam wystraszony. W całym domu popłoch się zrobił i dopiero Poldzio uspokojenie wprowadził. Mokrą ścierką, rzekł, takowej bańki nie wolno dotykać, jeśli się świeci, bo gorąca bardzo od świecenia się robi, aleć ścierka Stasi ledwo wilgotna była. Wilgotne lepiej pyły i kurze ściąga. A oto wilgotnym też nie, bo to jakby w zimny kryształ nagle ukropu nalać, tedy pęknie, a tu całkiem to samo, ale odwrotnie. O kryształach rozumiem, to każdy wie, że od nagłego gorąca szkło pęknąć może, ale tu od zimna. Tego rozumieć wcale nie chcę. Dość że Poldzio zrobił co należy i w parę minut ową szkodę naprawił. Może i wygodna to rzecz, ta elektryka, ale okropnie niebezpieczna.*

### **26 czerwca**

*Przejazdem kuzynka Matyllda ledwo dzień jeden zabawiła, z imienin pana Michowskiego wracając, i aż dziw bierze, od suchych konfitur mnie uwolniła. Już nie muszę wszystkiego owocu na kandyzowany przerabiać, teraz jej chętka na marynaty przyszła. To już z dwojga złego marynaty wolę, bo syropu tak nie trzeba pilnować, a i ocet od cukru tańszy.*

*Kaczki młode w sitowiu mi się pokryły, cały wieczór kłopotu, powiada Bartek, że od jutra każe staw czyścić...*

W smętnym upojeniu Justyna czytała dalej, jak to kot fotel skórzany po pradziadku pazurami poorał, aż oparcie w strzępy poszło, jak doskonale śliwki suszone wyszły, bez pestek sporządzone, bo w zeszłym roku młody pan Kręglewski ząb sobie na śliwkowej pestce złamał, jak awantura wielka we wsi wybuchła, bo

sołtys córki pomocnikowi rymarskiemu odmówił, za nędzarza go mając. . .

### **22 listopada**

*. . . Zięcia sobie upatrzył w Dalbowski, co na dwudziestu morgach siedzi, choć Dalbowski niemłody, wdowiec i troje dzieci hoduje. Sołtysówna rozpacza, rymarski pomocnik się odgraża, że Dalbowskiego spali, i nie wiem, co tam z tego wyniknie.*

### **3 grudnia**

*Powiada mi służba, że ledwo nieszczęścia nie było, bo też istotnie ów pomocnik rymarski podobno do stodoły Dalbowskiego z ogniem się podkładał, jak go ksiądz wikary naszedł i od grzechu powstrzymał. Ksiądz wikary, choć młody, poważanie ma wielkie i siły dużo, mówią, że własną ręką tak go skarcił, że oko ma zapuchnięte, ale mu te zamiary ogniowe przeszły. A sołtys i tak mu córki nie da, choćby nawet Dalbowski konkurów zaniechał. Sołtysówna uparta i w domu tam u nich czyste piekło i obraza boska.*

### **8 grudnia**

*Spotkawszy przy cmentarzu księdza wikarego, samom i o to zgorszenie i rzekł mi, że owego rymarskiego pomocnika namawia, by gdzie indziej roboty poszukał, co mu powinno być bez różnicy, bo tu swojego nie ma nic i kątem u rymarza w stajni mieszka. Do siodlarza pod Piasecznem może go zaprotegować i może tak się ta rzecz rozwikła, bez wojny żadnej. Trochę on się opiera, ów pomocnik, bo i sołtysówna urodziwa, i ambicja go trzyma, że to staremu dziadowi nie chce ustąpić, ale ksiądz w dobry wynik wiary nie traci.*

### **3 stycznia roku pańskiego 1910**

*No i tak się stało, jak ksiądz zapowiedział. Od nowego roku pomocnika rymarskiego już nie ma, do Piaseczna poszedł bez awantury wielkiej. Sołtysówna tylko we łzach została i w uporze zapowiada, że za Dalbowskiego nie pójdzie, żeby nie wiem co.*

### **11 stycznia**

*Kuligiem na mnie spadli jak taka szarańcza i żeby nie kuzyn Tomasz, co tu posłańca do Bartka dla końskich spraw przysłał, nic bym nie wiedziała. Łaska boska, że choć dwa dni miałam na przygotowania. W dwanaście sań przyjechali, a i konno jeszcze, więcej niż czterdzieści osób gości, karnawał sobie odtańcowywać. . .*

*. . . A cóż to za moda nastąpiła, oczom własnym nie mogłam uwierzyć. Suknie dzienne u panien dorosłych tak nieprzyzwoicie krótkie, że prawie kostkę u nogi widać. Zgroza istna, toż nie moda, a rozwyrzenie wprost! Słyszę, że podobno niektóre na nartach po śniegu jeżdżą w sukniach jeszcze krótszych, do pół tydki prawie, ale to już chyba niemożliwe.*

### **14 stycznia**



*Jużem porządki po najeździe porobiła. Cielak jeden z obory wyskoczył i po dziedzińcu całym brykał, aż przed zachodem słońca dopiero go złapali. Pieprz prawie wyszedł, ale zamieć się poczyna, przeto dopiero jak się pogoda ustali, do miasta wyśle.*

## **2 marca**

*Owocowe drewno, co Bartek zimą w sadzie wyciął, stare drzewa trzebiąc, całe do wędzenia biorę, akurat takie jak trzeba. Na święta do Kręglewa mam wystać mięs trochę...*

Aczkolwiek diariusz panny Dominiki czytało się znacznie łatwiej niż pamiętnik prababci, to jednak czas płynął. Idalka zdecydowała się poślubić swojego narzeczonego i rodziny zawarły bliższą znajomość. Narzeczony, Andrzej, miał tylko matkę, jego ojciec już nie żył, ponadto posiadał jedną siostrę, Beatę, i jednego brata, Karola. Mieszkali wszyscy razem w trzech pokojach z kuchnią przy ulicy Dąbrowskiego, zatem dość blisko i z łatwością nabrali zwyczaju wpadania do przyszłej bratowej, gdzie przestrzeń życiowa kusiła swoim ogromem. Lada chwila Andrzejek miał się tam wprowadzić na stałe i już jeden cały pokój zajął bez reszty, nie mieszcząc się w nim ze swoimi pracami do tego stopnia, że o kolorowe plansze można było niekiedy potknąć się nawet w salonie i przedpokoju.

Amelia po nieudanych mariażach zdecydowała się żyć w konkubinacie z kimkolwiek i przestała prezentować stałość uczuciową. Konkubenci zmieniali jej się tak często, że Justyna rachubę w nich straciła kompletnie, niektórych nie zdążywszy nawet poznać osobiście. Nie czyniła zresztą żadnych starań w tym kierunku w obawie, że musiałyby w końcu szwagierkę potępić.

Zarazem dramat potężny wybuchł u Marynki. Nie sprawiający dotychczas żadnych trudności mąż dostał nagle tak Zwanego małego rozumu i uległ wdziękom sekretarki swojego dyrektora. Tak przynajmniej twierdziła dziko zdenerwowana Marynka, mąż jednakże w poufnej rozmowie z teściem wyznał, że sekretarka sekretarką, a on zwyczajnie z tą rozlazłą kretynką dłużej nie wytrzyma. Przykro mu, ale rozmiar głupoty jego żony przekracza ludzką wytrzymałość, to w ogóle jest już w tej chwili klabzdron jakiś, a nie kobieta, i on się z nią musi rozwieść, bo inaczej zwariuje. Bolesław przypomniał sobie, że istotnie, jego starsza córka nie mieści się w normalnym salonowym fotelu i słowa nagany zamarły mu na ustach. Decyzja o rozwodzie zapadła, Marynka chwilowo oddała jedenastoletnią Ewę na przechowanie Justynie, żeby nie czynić dziecka świadkiem gorszących scen w domu, Ewa grymasiła przy jedzeniu, histeryzowała na tle strojów, chętnie zażywała rozrywki w postaci wagarów i, ogólnie biorąc, była dzieckiem wściekle kłopotliwym.

Równocześnie pojawiły się kłopoty finansowe, bo coś należało zrobić z mieszkaniem. Albo mąż spłaci żonę, albo żona męża, i któreś z nich zostanie w swoich

trzech pokojach z kuchnią. Na myśl, że spadłyby jej nagle na głowę obie córki, jedna z przeraźliwie bałaganiarskim mężem, druga z nieznośnym dzieckiem, Justynie pociemniało w oczach i natychmiast postanowiła wyzuć się z resztek mienia, a mieszkanie Marynki ocalić. Na szczęście przed dwunastu laty za to mieszkanie w dużym stopniu płaciła Barbara, udało się zatem sprawę załatwić kosztem przedostatniego naszyjnika, ale Ewa na razie jeszcze u dziadków została, bo jej matka jakoś nie mogła odzyskać równowagi. Jediną dobrą stroną wydarzenia stanowiła utrata prawie dziesięciu kilo z nadwagi nieszczęśliwej małżonki.

Wesele Idalki odbyło się u Hortensji, która sama się przy tym uparła. Urządzenie przyjęć zawsze było jej ulubionym zajęciem, a z wiekiem przerodziło się niemal w namiętność.

Zaraz potem zmarł Ludwik, trochę znieca. Na serce chorował już od pewnego czasu i, zdaniem Hortensji, szlag go wreszcie trafił przez te jakieś końskie oszustwa. Darek z Joasią i dziećmi na pogrzeb nie przyjechali, bo znajdowali się gdzieś w Ameryce Południowej i nim wiadomość o śmierci ojca odnalazła ich w zakamarkach Argentyny, Ludwik leżał już w grobie. Hortensja jeła przemyśliwać nad wynajęciem lub nawet sprzedażą domu, który dla niej samej, nawet z Gienią, zrobił się stanowczo za duży, nic jednakże nie mogła uczynić bez syna-spakobiercy i na razie poprzestawała na wahaniach.

W tym wszystkim diariusz panny Dominiki stanowił wytchnienie jeszcze większe niż przedtem pamiętnik prababci. Tak błogi spokój panował w tym Błędowie na przełomie wieków, tak rozczulająco łagodne były ówczesne dramaty i sensacje, że dla Justyny lektura stała się w końcu środkiem uspokajającym. Lekarstwem, do którego rwał się cały jej organizm, tym doskonalszym, że nie miało żadnych złych skutków ubocznych.

Aż do wybuchu pierwszej wojny światowej tonęła wraz z panną Dominiką w kojącej atmosferze zasobnego i doskonale prowadzonego pańskiego dworu. Z tkliwym uśmiechem na ustach dowiadywała się, że głupia pomoc kuchenna do wędzenia szynki podłożyła świerkowego drewna i wszystkie przeszły żywicą do tego stopnia, że nawet psy się wahały, czy można to zjeść. Że sołtysówna jednak poślubiła wdowca Dalbowskiego, który skusił ją prawdziwym złotym zegarkiem do zawieszania na szyi. Nie bardzo wprawdzie umiała rozpoznać na nim godzinę, ale co klejnot, to klejnot. Że pan Pukielnik znów złożył wizytę razem z dorosłym już synem, co pannę Dominikę wielce skłopotowało, bo gdzieś tam po drodze dowiedziała się, iż kuzynka Matylda pana Pukielnika z tajemniczych przyczyn nie znosi i u siebie w domu za próg nie wpuszcza. W Błędowie też zabrania go przyjmować, ale jakże tu znajomego gościa od drzwi odpędzić...? Że kuzyn Mateusz jakieś nieduże targi na konie tu w Błędowie urządził, bo miejsce mu jakoś w połowie drogi wypadło między Białobrzegami a Głuchowem, i panna Dominika nową

suknię jedwabną kazała sobie sporządzić, bo starych już między ludźmi pokazać nie mogła. Kuzynka Matylda dzieło pochwaliła, sama nawet za materię płacąc.

Dowiedziawszy się, że prawie całą jedną zimę w piecach i kominkach palono niemal wyłącznie szyszkami, których, jak twierdziła panna Dominika, był nadmiar wielki przy równoczesnym zbytnim ubytku drewna, Justyna nie wytrzymała. Doskonale wiedziała, jak to mogło wyglądać. Szyszki pachniały, trzaskały, strzelały iskrami, panna Dominika po całym domu szalała, pilnując, by ognia gdzie nie zaproszyć, i było to coś tak cudownie pięknego, że postanowiła znaną z dzieciństwa przyjemność przeżyć jeszcze raz. Zabrała Bolesławowi samochód, zabrała Ewę, która z radością zamieniła nudne lekcje w szkole na niespodziewaną wycieczkę z babcią, i pojechała do lasu.

Przywiozły dwa wielkie wory szyszek, Justyna ciężko schetana, Ewa trochę rozczarowana monotonią wagarowych rozrywek, po czym kominek w salonie począł najpierw strasznie dymić, a potem uroczco trzaskać. Dymił, bo był to pierwszy ogień po długim okresie wiosenno-letnio-jesiennym i coś tam w kominie przeszkadzało, ale przeszkoda okazała się nietrwała, uleciała z wiatrem i wrócił normalny ciąg, a trzaskał, bo szyszki chwyciły.

— Pani chce dom spalić? — spytała podejrzliwie Fela na widok strzelających fajerwerków. — Toć wszystko z dymem pójdzie. To już nawet jaśnie pani Barbara nieboszczka takich sztuk nie wyprawiała.

— A Feli młodość przy takim ogniu nie wraca? — westchnęła na to Justyna.

Fela skrzywiła się, pokręciła głową i też westchnęła.

— Na co mnie młodość, toć wojna wtenczas była. Nie wymawiając, pani ode mnie więcej niż dziesięć lat starsza. A i potem zaraz niełatwe czasy nastały, że lepiej nie wspominać...

Justyna przypomniała sobie nagle, że w rodzinie bąkano coś niewyraźnie o potknięciu się Feli, a może tam któreś wojska w grę weszły...? Pamiątka po nich podobno została. Popatrzyła pytająco.

— Ruski żołdat to był — nie wytrzymała melancholijnie Fela. — Jak taki zwierz dziki, a ja wszystkiego szesnaście lat miałam... Mój Michałek nie wie, nigdy mu nie zdradziła, myśli, że nasz. Na Berlin poszedł i zginął. Tak mu zawsze mówiłam, nawet o ślubie nakłamałam, a ksiądz głuchowski człowiek miłosierny, metrykę jak trzeba wystawił.

— Toż on już dorosły, ten Feli Michałek. Co się z nim dzieje?

Najstarsza prawnuczka

— Za mechanika w POM-ie robi, przy traktorach i takich tam innych, ale coraz więcej do samochodów go ciągnie. Tam jednemu takiemu pomaga. Dobrze mu się wiedzie i rodzina tam blisko...

— A Fela więcej za męża iść nie chciała...?

— Aż mnie otrząsało, proszę pani, a teraz to już nie te lata...

Obie wpatrzone były w sypiący iskrami kominek i Justyna uświadomiła sobie nagle, że to ten ogień zwierzenia wywołał. Mogła sobie Fela nie chcieć dawnych czasów wspominać, ogień jednakże swoje zrobił. Stanowczo, wzorem panny Dominiki, będzie przez całą zimę szyszkami paliła w kominku!

Całą rodzinę zapędziła do roboty. Zięć, Andrzej, musiał postarać się o kawał blachy odpowiednich rozmiarów, żeby od iskier nie zajęła się posadzka, Idalka, Bolesław i Amelia jeździli rozlatującym się już Wartburgiem po szyszki do okolicznych lasów, Beata, szwagierka Idalki, zapłonęła upodobaniem do popiołu i wywoziła go gdzieś na czyjś kompost, twierdząc, iż stanowi doskonałą pożywkę. Nikt nawet specjalnie na dodatkowe zajęcia nie narzekał.

Justynie ogień był potrzebny dla poprawy samopoczucia, bo panna Dominika zbliżała się już powolutku do gwałtownych przemian historycznych.

### **2 stycznia roku pańskiego 1913**

*Pierwszy to raz się zdarzyło, choćby i przy święcie, że Madejowa do karczmy poszła, zaciągnęli ją tam na zaręczyny jej najstarszej wnuczki, i nic dobrego z tego nie wynikło, bo chustkę gdzieś w śniegu zgubiła. Krzywduje sobie teraz i odżałować nie może, aż obiadu nawet nowego nie przyrządziła i wczorajszy odgrzewany mi dała. Zręcznie to uczyniła, ale mnie nie zmyli. Wymówkę jej zrobiłam, nawet dosyć łagodną, boć szkoda wielka z tą chustką i już starczy, że ją sam Pan Bóg skarał.*

*Że to karnawał i kuligi latają, bigos nowy kazałam gotować i niech stoi na wszelki wypadek.*

### **9 marca**

*Kury już siedzą, a co dziwniejsze, z żadnym drobiem kłopotów nie ma. Gęsi, kaczkę, nawet indyczki, jakby się zmówiły. Jajek wielka ilość była, może dzięki ziemi dosyć łagodnej. Oczy zamknęłam całkiem na ową Florę, podkuchenną, co osobliwą chorobę z siebie wydała i niech z nią robi, co chce, byłem o tym wiedzieć nie musiała. Dawnymi czasy wyrzuciłoby się takową niemoralność z domu, ale teraz takie rzeczy się przytrafiają, że już sama nie wiem. A co wiem, to że Madejowej ona jedna może dorównać i na kucharkę kształcić ją trzeba, bo inaczej nikt by już gotować nie umiał.*

### **14 kwietnia**

*Okropność istna, kotka jedna okociła się na środku łóżka w gościnnym pokoju trzema kociętami i oczy już otwierały, kiedy się je znalazło. Toć całą pościel prać i wietrzyć trzeba, ale kocięta wszystkie trzy zostawię, bo ta Sabcia, tak ją dziewczki nazwały, łowna jak żadna inna i mysz się przy niej nie pokaże. Może i małe po niej takie same łowne będą.*

*Cyganie podobno koło Grójca tabor sobie rozłożyli, co mi się wcale nie podo-*

*ba, bo łatwo i tu nadciągnąć mogą. . .*

Cyganie owszem, nadciągnęli, ale koni nie ukradli. Na próbie się skończyło, bo straż folwarczna pilnie czuwała i zaraz potem tabor precz przepędzono. Dwie półki nowe w kuchni zrobiono, bo stara jedna zarwała się pod kadziami z mlekiem. Niejaki pan Remiszewski zamieszania narobił, młodej żony szukając, która mu się po kuligu jeszcze w lutym gdzieś w śniegach zawieruszyła z jakimś panem Pigwą, i reperkusje to miało wielomiesięczne. Gości w ogóle bywało mnóstwo. . .

### **3 sierpnia**

*Akurat mi znów przyjechali, i to w siedem osób, jak Madejowa rękę sobie przytłukła z drabinki zleciawszy, i cała uszkodzona trochę w łóżku stękała. Pokazało się, że młodsza siostra czy zamykała na Florkę, która całej robocie kuchennej radę dała i nie gorzej od swojej preceptorki wszystkich karmiła. Inna rzecz, że jej tam Madejowa instrukcji udzielała, a za dwa dni i sama wstała. Ale widzę, że kucharka będzie z Florki osobliwie dobra.*

*Szczęście to, że zbuk się do jajek zaplątał wczoraj dopiero, jak już odjechali. Jajecznicę kazałam robić, by wychnąć po tych frykasach, i ostatnie jajko pokazało się zepsute, a że Madejowa, która sama biła, jeszcze z ręką szwankuje, nie zdołała uchwycić i wpadło. Cały mendel na nic, trzeba było wyrzucić prędko, by się fetor nie utrzymał.*

Stary Kacper, kamerdyner, starzał się wyraźnie i panna Dominika troskała się o nowego lokaja, bo Kacperek Madejowej wydawał się jej zbyt żywy. I dobrze go chyba oceniała, skoro, do stołu podając, półmisek z indyczką nadziewaną upuścił, aż się nadzienie rozprysło, na którym to nadzieniu jeden kuzyn państwa nieźle się przejechał, tylną część figury sobie tłukąc. Starej Bujnowskiej w Głuchowie się zmarło. Omal pożaru nie było, bo iskra z pieca w gabinecie na dywan upadła. Młoda pani z Kręglewa pokazała się skąpiradłem najokropniejszym, co od służby wiadomo, a kuzynka Matylda zaczęła wnuki żenić. Panny Doroty wesele wielce hucznie się odbyło i przy tej okazji nową suknią perłowego koloru została obdarzona. . .

No i wreszcie. . .

### **24 lipca roku pańskiego 1914**

*Coś mi tu kuzyn Mateusz dziwnego opowiadał, do koni, że jakowegoś arcyksięcia austriackiego zabito — wojna może być. Zatroškany bardzo. Nawet nie rozumiałam, kto z kim ma wojować i co nam do tego. Żeby Rosję kto pobił, o,*

toby było dobrze, ale kuzyn Mateusz powiada, że wtedy Niemcy by nam wleźli i nie wiadomo co gorsze. Gazety przywiózł, ale jam do gazet czytania nie przywykła i dalej nic nie wiem. Dwa dni ledwo był i pojechał. Chyba księdza wikarego spytam.

### **10 sierpnia**

Jabłek urodzaj taki, że polowa na sprzedaż bez przerobienia idzie. Prawie z robotą nie nadążam, sierotkę Władzię ze wsi musiałam wziąć do pomocy. Ksiądz wikary powiada, że wojna może być i modlitwę zaleca.

### **21 sierpnia**

Znów okropne zdarzenie. Buhaj się wyrwał, na którego jedna krowa czekała. Do sąsiaka był chwilowo uwiązany, krowę poczuwszy, sąsiaka kawał wielki odłamał, wierzei pół położył i razem z łańcuchem i ową wyłamaną belką wyleciał. Krowę zaś pokrywszy, nic wcale wigoru nie utracił, tylko dalej popędził, wszystkich płosząc, że z krzykiem uciekali. Jak raz z ogrodu wracałam i samam uciekła, w ogrodowym składziku się kryjąc, a on nareszcie dał się złapać, belką o kierat zaczepiwszy. Nim ją do reszty połamał, ludzie dobiegli i dziką bestię uchwycili.

Niepokój wielki we wsi i na folwarku, bo o brance do wojska mówią, a któż by chciał Moskalom służyć.

### **14 września**

No i jest ta wojna podobno, a mówią, że i do nas dojdzie. Kuzynka Matylda przyjechała na dni parę, zarządziła, żeby co tylko można z rzeczy i zapasów pokrywać. Tyle tom i sama wymyślić potrafiła, aleć ona mi pokazała piwniczkę, do której wejście tak schowane, że nikt nie znajdzie. Życie całe tu pędzę, a nicem o niej nie wiedziałam i nawet wyrzut jej uczyniłam, na co mi rzekła, że przez wiele lat wieść by się rozeszła, bo zawsze tak bywa. A jak teraz, nikt nie wie, prócz paru osób zaufanych. Kazła mi zaraz zapasy uporządkować i schować najmniej połowę, a sama nie wiem, co robiła, znów w tej bibliotece i w gabinecie. W altanie ogrodowej gadzinami siedziała, też nie wiem po co, chyba że dla pogody pięknej i suchej.

Kura biała dropiate jajko zniosła tak całkiem jakby indycze, aż się wszyscy nadziwić nie mogli. Wydmuszkę mi z niego kazła zrobić, żeby skorupa została na dziwowisko...

Kto kazał...? — pomyślała w tym momencie odrobinę Justyna. — Kura czy prababcia...?

### **18 października**

Niczego wcale dostać nie można, Bogu dziękuję, żem o cukier i przyprawę jeszcze wiosną zadbała, choć przecucia żadnego nie miałam, ale jak raz się trafiło

hurtem i tanio kupić. Parobka jednego Moskale do wojska wzięli, a ze wsi paru ludzi i płacz tam wielki. Chłopak, co ostatnie gruszki zrywał, z drzewa zleciał, bo się stara gałąź pod nim złamała. Krowy i konie próbowali nam brać, ale kuzyn Mateusz jakoś je uchronił. . .

### **16 stycznia roku pańskiego 1915**

Zimowa porą podobno mniej się biją na tej wojnie, tak stary Szmul powiada, że to w zmarzniętej ziemi trudno owe okopy kopać, co bez nich się nie obejdzie. Węgę całą chcieli kupcy wziąć, alem dużo zostawiła do własnego sprzedzenia, bo kto to wie, co będzie. Sanna dobra i kuzyn Mateusz na jeden dzień przyjechał, zatroskany o konie.

### **22 kwietnia**

Cukru jeszcze dostałam z cukrowni pana Potyry, który z kuzynostwem dobrze się zna i sami z nim rachunki robią, tak, że płacić nie muszą. Podobno Niemcy ku nam się zbliżają, o alem jeszcze nie widziała, choć czasem z dala huk słysząc. Na kaczych jajach kury musiałam posadzić, bo kaczki tylko dwie siedzieć chciały. Poldzio radzi, by nafty kupić, póki jeszcze żyd w Grójcu sprzedaje, ale drogo bardzo, więc się waham.

### **3 lipca**

A to już myślałam, że koniec świata nastąpi. Moskale pobici i Niemcy się panoszą, zamieszanie tu było takie, żeśmy wszyscy jak mysz pod miotłą siedzieli, choć najgorsze jakoś bokami przeszło. Ale pokazuje się, że Poldzio miał rację i dobrzem uczyniła, jego rady słuchając. Kula jakaś armatnia, czy może jeszcze co gorszego, trafiła w ową naszą elektrownię i już elektryki nie mamy. Do składziku poszłam z serca kołatanem zapas świec sprawdzić, bo dawno nie były używane i łaska boska istna, wielką ilość znalazłam. Inaczej już by trzeba było chyba samemu w domu robić, a wosku niewiele zostało. Teraz przy miodzie nowy zbierać każę.

Rannych paru żołnierzy w szopie naszej się kurowało, ale sami wrogowie. Po chrześcijańsku wykurowani, poszli precz.

Konie nam trzy zabrali, a że nie więcej, Poldzia zastuga, bo znów jakieś konaszchy z oficerami miał i na to musiałam wydać mały gąsiorek miodu, com go przed laty dziesięciu syciła. Jest i starszy, ale i tego żal mi strasznie było dla obcej gęby. Ale podobno Poldzio znów jakiś papier dostał, co go Niemcy szanują.

We wsi jedna chałupa spalona, co na skraju stała, i dzięki temu ogień na inne nie poszedł, a że pora letnia, odbudują sobie. Na własną odpowiedzialność drzewo dałam, a każdy tam pogorzelcom coś pomógł. Owocu wczesnego wielka moc się zmarnowała, bo któż by pod takim strachem okropnym w kuchni syropu pilnował.

### **12 sierpnia**

Kacprowi ze starości się zmarło, a sługa był to już chyba stuletni, świeć Panie nad jego duszą. Pogrzeb miał godny, kuzynka Matylda nawet przyjechała, ale na krótko, duchowa, tak rzekła, pilnować musi, bo Niemcy podobno chciwsze od

*Moskali.*

*Porządki tu jakieś nowe zaprowadzone być mają, jakby wszystko co nasze, wcale nie nasze było, tylko ich. A to z jakiej racji? Owocu mi w żadnym razie nie wzbronią, a ludność wokół ostrzeże, jakby jaki żandarm nadchodził, bom wielu wspomogła i z dworem trzymając.*

### **26 sierpnia**

*Panicz z Pamiętowa u nas się pokazał i nowiny wielkie przywiózł, ale cała okropna awantura z nim była. Jak raz akurat za oknem ogier wyprowadzany się spłoszył i na tupot wielki i rżenie Florce cały garnek syropu gotowego i gorącego z rąk wypadł. Gęstość słodka po całej kuchni się rozlała aż pod próg. Rozgniewałam się bardzo i wycierać zaraz kazałam, nim zastygnie, cała służba w kuchni i w kredensie była i na to właśnie panicz Pamiętowski nadjechał, konia od niego stajenny wziął, ale tu nikt o nim nie wiedział, a że gwar duży panował, jego wołania słyhać nie było. I tak, szukając żywej duszy, za głosami do kuchni trafił i tuż za progiem w rozlany syrop wlażł. Gorzej, że się zatrzymał, a syrop prędko zastygał, sam z siebie przylepny, tak że panicz do niego przywarł i nóg oderwać nie mógł. Musiał buty zdjąć, a nie było sposobu mu pomóc, bo kto wszedł w rozlane, ten się przylepiał. Aż bosy wyszedł, a na końcu się jeszcze poślizgnął i całym rękawem w słodkości wpadł.*

*Ale, choć zły był i trochę pomstował, humor prędko odzyskał i śmiać się począł, że go tu słodko witają. Anielcia mu surducik zaraz chwyciła do uprania, a Kacperek te konfiturowe buty złapał, pogrzebaczem sięgając. Panicz Pamiętowski zaś wieści doniósł, że podobno u nas już spokój będzie, bo front na wschód i gdzieś daleko walki się toczą. A i nowina lepsza, podobno polskie wojsko, nasze własne, gdzieś tam się pokazuje i chce wolność między wrogami wywalczyć. Aż tak pięknie, że do uwierzenia trudne. Panicz Pamiętowski właśnie jeździł, żeby ich odnaleźć, bo nie bardzo wie, gdzie są, ale że są, rzecz jest pewna. Co daj Boże, amen.*

### **14 września**

*Żandarmów dwóch niemieckich gęs ze stada ukradło, rozum im chyba odjęło. To już nawet głupie Moskale wiedzieli, że gęs o tej porze do jedzenia całkiem niezdatna. Z serca im życzę, żeby się chociaż udtawili.*

### **18 października**

*By cały inwentarz od tych chciwców uchronić, wielka to sztuka i chować trzeba, co można. Widzę, jak się Poldzio z Bartkiem troskają, jak stogi pochować, boć co innego wieprzek, a nawet krowa, a co innego plony całe. Owies dla nich najcenniejszy przez konie, ażem sobie pomyślała, czyby nie we dworze trzymać. Sienniki napchać i udawać, że to postania, dla gości przysposobione, w każdy jeden najmniej cetnar wejdzie. Wahał się Poldzio i zastrzeżenie uczynił, by nikt przypadkiem na tym nie spał, bo się zaparzy, alem mu przypomniała, że goście w tych złych czasach nie tak obficie przybywają. Zaś Fabian jeszcze lepiej wymyślił, choć robota przy tym będzie. Worki po pół cetnara na ścianach zawiesić poprzybijane,*



*choćby i w salonie, w jadalni, gdzie jaki kawałek ściany wolny, draperia na tym stara i wysiepana, co nikogo nie skusi, i niech tak sobie wiszą, a po jednym brać czy po dwa. Sucho, ciepło, przeto nie zatęchnie. To mi się nawet dosyć spodobało.*

### **25 listopada**

*Więcej niż trzy tygodnie ta robota zajęła, bo tylko we czterech przy tym pracowali, jako czwarty Kacperek pomagał. Kto wbijanie gwoździ słyszał, temu się mówiło, że dla ciepła opony się zawiesza, żeby drewna zbyt dużo nie marnować. Aleć teraz, można by rzec, w owsie mieszkamy. . .*

*Ze wzruszeniem Justyna pomyślała, że o tym owsie nie miała pojęcia. Nikt rozumu i zapobiegliwości panny Dominiki nie docenił, a wszak przez takie dziwne sztuki chyba ta pierwsza wojna nie zubożyła ich zbytnio. . .*

*. . . Siana zbraknie, to już słyszę, stogi nam jeszcze przed świętami pobrali. Kuzyn Mateusz, przyjechawszy, rozzłościł się bardzo, bo krowy mleczne bić to już obraza boska. Tom mu wyznała, że głąby, te trochę buraków pastewnych i rajskie jabłka w wielkich bekach zakisiłam, co wkopane w ziemię i prawie ich nie widać, niby to mierzwą przyrzuczone. Rozanielił się i po rękach mnie całował, skarbem nazywając. Zawsze to jakoś do pierwszej trawy krowy przy życiu utrzyma, choć całkiem bez siana ciężko będzie. Tom mu przypomniawszy pannę Przementowską i naśladować ją obiecałam.*

*A panna Przementowską, co już dawno nie żyje, wszystkim była znana z manii swojej, dla której wszyscy trochę ją wyśmiewali, a trochę zazdrościli. Pod Belskiem swoją resztówkę miała i dworek średni. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni po polach, łąkach i ugorach chodziła i trawy rozmaite zbierała, nożyczkami po źdźbłach wycinając. Bukiety z tego układała ogromne, na ścianach ozdoby przyczepiała, wrzos dokładała i nieśmiertelniki, i kocankę, schło jej to wszystko i ruszyć się w jej domu nie było gdzie. Ale niektóre z dekoracji owych, a właściwie prawie wszystkie, takie piękne były, że niby nic i głupstwo, a patrzyło się z przyjemnością. Śmieli się z niej, że dwie krowy samymi ozdobami przez zimę wykarmić by mogła. Może i prawda, bo jak stare wyrzucała, żeby nowe zrobić, dobry stóg z tego wychodził. To mi teraz na myśl przyszło pannę Przementowską naśladować i nie dość, że w owsie mieszkać, to jeszcze i w sianie.*

*Też mogę manii dostać, tyle że nie nożyczkami po jednym wycinać, ale grubiej trochę. Może mniej piękne wyjdzie, za to więcej, a nikt wszak bukietów z domu nie będzie rekwirował. Teraz oto chociażby, przy kiszonkach, bardzo by się przydało. . .*

No i poszła panna Dominika za przykładem panny Przementowskiej, nie bacząc, że ją za głupią będą mieli. Dwór cały zielskiem zapchała gruntownie i aż do końca wojny zapchany bywał od wczesnej wiosny do późnej jesieni, dopiero zimą to wszystko znikało. Sztuki, czynione przed wrogiem dla ukrycia wszelkiej

żywny, cały diariusz bez mała zajmowały i okazywały się nadzwyczaj skuteczne, przeciwnie niż u jaśnie pani Kręglewskiej, która sobie zlekceważyła i żółcią się zalała, kiedy im pół trzody, dwa konie robocze i cały zapas masła zabrali. . .

Ale w zasadzie dość długo spokój panował, tyle że drobnymi rabunkami przeplatany. Aż przyszło gorsze.

### **9 stycznia roku pańskiego 1918**

*Rzecz się stała wprost straszna i nieszczęście okropne. Mówią, że Niemcy tę wojnę przegrać muszą, a tu nam wszystkie konie pobrali. Z całej stadniny cztery robocze zostały, których nie było, bo nimi Poldzio do lasu po pnie pojechał, przeto i Poldzia nie było. Bartek chciał bronić, ludzie go powstrzymali, a i tak postrzelony został i ranny leży, a koniuszy ledwo jedną klacz żrebną ocalił, do dworu ją wprowadziwszy i w garderobie przy salonie trzymając. Chlebem ją sama karmiłam, by nie rżała, a ona największy apetyt na moje bukiety miała i cały jeden kąk objadła. Od nieczystości stare i wystrzępione dywany ze strychu prędko znieść kazałam, a chłopak z wiaderkiem czekał.*

*Pięć koni z trzydziestu dwóch! Toż kuzyn Mateusz trupem padnie! A czymże orać będziemy? Największe to nieszczęście, jakie spotkać nas mogło, a do tego jeszcze i trzy krowy wzięli!*

### **14 stycznia**

*To już rozpacz zupełna, bo słyszę, że nigdzie koni uratować się nie dało. Z Głuchowa też wzięte, kuzyna Mateusza o mało co nie zabito, kuzynka Matylda ledwo cztery ukryła, w tym trzy klacze żrebne i ogiera młodego, a z roboczych ocalały wszystkiego trzy, co też na wyjeździe były. A wszak ich tam mieli więcej niż sześćdziesiąt! Przepadły i te spod Białobrzegów, które zięć kuzyna hodował, tu jednakże tyle pociechy, że dla polskich wojsk poszły i Niemcy ich zrabować nie zdążyli. Ale i tak ich nie ma. Czysty dopust boży. Kuzyn Mateusz podobno jeść przestał i upił się strasznie, rzewnymi łzami płacząc. . .*

Bez zdziwienia Justyna pokiwała głową nad reakcją pradziadka i wielką przyjemność sprawił jej kolejny komunikat, mianowicie klacz owa, w garderobie trzymana, ożrebiła się szczęśliwie ogierkiem. Po czym z wielkim zainteresowaniem poczytała sobie o Gieni, poprzedzonej informacjami o wydarzeniach dziejowych.

### **14 maja**

*Kuzyn Mateusz był dwa dni, od niego się dowiaduję, że to cały świat w tej wojnie udział bierze, bo nawet Ameryka i Japonia a i w Afryce się bili. W Rosji rewolucja okropna, co o niej było żydowskie gadanie, cara już nie ma i nie będzie, motłoch jakiś rządzi, z czego jest straszny bałagan. Niemcy już całkiem przegry-*

wają i też u nich jakaś tam rewolucja. A polskie wojska są zgola wszędzie i teraz już chyba Polska wolność odzyska. Daj to Boże, amen.

#### **24 października**

*Najmłodszą pokojówkę, już przyuczoną, z Pamiętowa wzięłam, a tu cóż się pokazuje, z przychówkiem. Córeczkę ma półroczną, którą ukryć przede mną próbowała, i sama nie wiem, co z tym zrobić, bo pracowita i zręczna. Księdza się poradzę.*

#### **18 listopada**

*Osiemnaście lat ma ta Marysia, a wdowa. Ksiądz mi zaświadczył, że ślub brała w tajemnicy przed państwem, mąż jej do polskich legionów poszedł i wieść o jego śmierci przynieśli, a tu stan odmienny. Ową małą Gienię powiła, z dzieckiem jej trzymać nie chcieli, bo Pamiętowscy też zubożeli, przeto do Błędowa przyszła i nadzieję miała ukryć wszystko i za pannę uchodzić. Jeszcze stać nas na to, by jedną więcej gębę nakarmić, a skoro zgorszenia nie ma, tom jej rzekła, by głowy sekretami nie zawracała i przyznała się zwyczajnie do wszystkiego. Niech małą chowa, aby tylko w pracy nie przeszkadzała.*

*Wieści rano słyszałam, że podobno ruch wielki w Warszawie, bo to już koniec Niemców i niepodległość ogłoszono. Żandarma niemieckiego spotkawszy, choćby i kłonicą zabić go można. Toż chyba sama z kłonicą nie pójdę? Ale też i, tych zbójów, nie widać...*

Wiodło się panie Dominice przy gospodarstwie całkiem nieźle, przezorność wojenna wydawała owoce. Madejowa się zestarzała beznadziejnie, Florka, niemoralna za młodu, doskonale ją zastępowała. Młynarz nogę złamał i młynarczyki same musieli dawać radę. Kuzynka Matylda przyjechała i wyraziła satysfakcję z zaniedbania portretów przodków w Placówce, bo dzięki temu, że poczerniałe i niezbyt kuszące, Niemcy ich nie zrabowali.

Oderwawszy na chwilę wzrok od diariusza, Justyna niepewnym okiem rzuciła na owe portrety, poczerniałe jeszcze bardziej, wiszące obecnie u niej na ścianie. Po śmierci Ludwika Hortensja jej te dzieła sztuki oddała, twierdząc, iż należą do linii po kądzieli. Westchnęła ciężko i czym prędzej wróciła do lektury.

#### **18 września**

*Coś podobnego, młody pan Pukielnik mnie nawiedza. Pochwalil się, że żonaty już i synka ma rocznego, wizytę z ojcem wspominając, o gościnę poprosił. Czy ja wiem, co tam kuzynka Matylda teraz o nim myśli, przyjełam, nowiny ze świata przywiózł. Jakieś tam konferencje się odbywają, Niemcy podupadli doszczętnie, Polskę wszyscy uznali, republiką teraz będziemy, choć o królestwie podobno zamysłano. Cesarza niemieckiego też usunięto, a co do cara, teraz dopiero się do-*

wiedziałam, całą rodzinę wymordowano skandalicznie. Straszne to rzeczy, Rosja się przemienia w kraj bolszewików, nie wiem, co to znaczy, ale podobno kto może, to ucieka. Wolę ja już te moje kłopoty niż owe wielkie sprawy światowe.

Mówił też młody pan Pukielnik, że ojciec jego wojnę jakoś przetrzymał bez wielkich strat, a on sam starościami się zajmuje, bo upodobanie ma takie. Mnóstwo rzeczy starych się poniszczyło, a szczególnie książki, które w każdym pożarze płoną, i on teraz chce ratować, co jeszcze ocalało. Bibliotekę oglądał, gratulując mi, że nic stamtąd nie przepadło. Może by co chciał nawet kupić, jak już sobie taki gabinet starożytności założy...

W tym miejscu Justynie dreszcz niepokoju po plecach przeleciał,

... Pytał też, co po dawnych pokoleniach zostało, alem mu zaraz rzekła, że to do kuzynki Matyldy należy i choćby szpilka, ja do niej nie mam prawa. Dziwił się trochę, że jak to, całe życie tu spędzam i o majątność dbam, więc prawa chyba muszę mieć, ale wydal mi się do zwierzeń za młodym, tedym mu nic nie wyznała. Poldzio przyszedł na końcu z wieściami gospodarskimi, tom ich zostawiła w jadalni przy miodzie, żeby sobie też pogadali.

Rzekł mi Poldzio rankiem, że pana Pukielnika sam na plecach do łóżka odniósł po owym pogadaniu, a na drugi dzień dopierom go koło południa zobaczyła. O świcie nazajutrz odjechać zamierzał, a czy odjechał, to już sama nie wiem, bo nikt go więcej na oczy nie widział. Koń i dwukółka jego ze stajni zniknęły, więc chyba tak.

## **22 września**

A cóż to mi za plotkę jakąś głupią przynieśli, że we dworze straszy. Nigdy nie straszło i teraz nagle miało zacząć, niedorzeczność całkiem. Andzia podobno taką rzecz rozpuściła, że jakoby jęki grobowe i wycie głuche słyszała, w gabinecie kurze ścierając, i to kiedy, w dzień biały o południu prawie. Żebyż to chociaż o północy! Androny zwykłe...

Androny się powtarzały, wieś plotkowała, że w gabinecie we dworze dusza pokutująca mieszka, aż pannę Dominikę te w końcu zirytowało i sama osobiście w owym nawiedzonym gabinecie spędziła pół nocy. No, nie całkiem sama, Poldzia dla bezpieczeństwa ze sobą wzięła, Poldzio rychło zasnął na krześle i chrapał, a ona nic nie słyszała. Poldziowe chrapanie, owszem, także odległe poszczekiwanie psów, ale żadne potępieńcze jęki w ten koncert się nie wmieszały. Nikt zresztą, później już nic nie słyszał i gadanie o duchach ucichło. Za to pod koniec października nowe plotki doszły, mianowicie o jakimś koniu, co się gdzieś tam komuś przybłąkał i z dwukółką, nie wiadomo czyją. Mętne były bardzo i pan-

nie Dominice błysnęła nawet myśl, że może pan Pukielnik swój zaprzęg sprzedał, albo mu ukradli, ale nie zajmowała się tym, bo miała co innego na głowie.

### **16 listopada**

*Rozzłościła mnie trochę kuzynka Matylda, ostro bardzo w liście napominając, bym żadnego Pukielnika nigdy więcej za próg nie puściła. Cóż za nienawiść w niej taka na lata całe? Oba panowie Pukielniki, i ojciec, i syn, grzeczni bardzo, miło się z nimi gawędzi, czemuż to ja mam im afronty czynić? Jeszcze raz do niej napiszę, boć przecież jechać specjalnie nie będę.*

*Młynarczyki radę mieleniu dały, jeden, ambicją wzdęty, drugiemu przewodził, ale mądrze całkiem. Młynarz zły trochę, bo go jakieś dodatkowe zarobki ominęły, mówiono mi, że za odmianę kolejności kazał sobie dopłacać, przeto jego noga złamana to czysty zysk dla porządných ludzi. Co to za jakieś dziwne rzeczy się dzieją, prawdę chyba słyszę, że przez tę wojnę wszelka moralność ludzi odbiegła. . .*

### **10 grudnia**

*Boże mój wielki, w coś takiego wprost trudno uwierzyć! Specjalnie kuzynka Matylda w tym celu przyjechała, by nie pisać, a powiedzieć. Pan Pukielnik starszy w młodości zbrodnię popełnił, co zatuszowane zostało. Pani Zenobia Roztocka omal ofiarą nie została, a jej pierwszego męża pan Pukielnik własną ręką zamordował!*

*A toż się w głowie nie mieści. . .*

*Jeszcze nie ochłonęłam z tych wieści, ale już wiem, że jej życzeniu zadość uczynię i żadnego pana Pukielnika w domu nie przyjmę. Dyplomatycznie to uczynię, a nie wprost, skoro sama chce, by nie ujawnione zostało.*

*Koguty się dwa pobiły i młodszy starszego zwyciężył. Niech i tak będzie.*

### **20 stycznia roku pańskiego 1920**

*Pani Kręglewska na wątrobę zmarła i dopiero co z pogrzebu wróciłam. Upadek tam całkiem w Kręglewie, tym gorszy, że młody panicz Kręglewski pomyłony całkiem z wojny wrócił i do żadnej roboty się nie nadaje, a starszy pan Kręglewski, choć od kuzynki Matyldy o dwa lata młodszy, już się starcem zupełnym wydaje. Panicz na wojnie w głowę był ranny i od tego podobno owo pomylenie. Po ogrodzie zapuszczonym chodzi tylko i coś sam do siebie mamrocze, deszczu, śniegu i mrozu całkiem nie zauważa, a gdzie go kto pchnie, tam pójdzie. Słyszałam, jak się starszy pan Kręglewski z notariuszem naradzał, by te resztki żałosne siostrze testamentem zapisać z warunkiem, by o panicza pomyłonego do końca życia zadbała. Pewno tak i zrobią.*

*O meblach do mnie kuzynka Matylda napomykała, żeby o odnowieniu pomyśleć.*

### **16 lutego**

*Człeka w śniegu zamarznętego znaleźli, a że blisko dworu, tedy mnie go przy-*

nieśli. Nie całkiem na śmierć zamarzał, choć mu już mało brakowało, ale odżył jakoś i jakoby na zamówienie się pojawił. Powiada, że czeladnikiem był u stolarza meblowego w Warszawie, do rosyjskiego wojska wzięty, cudem boskim wojnę przetrwał, a teraz dopiero wraca, bo tam, w tej Rosji, okropne rzeczy się dzieją i z trudem wielkim się wyrwał. Majstra swojego szukał i nie znalazł, podobno na początku wojny z rodziną przed Niemcami ku wschodowi uciekł i ślad po nim zaginął. Zaś ten odratowany czeladnik, Leon Jasiński się zowie, nic nie mając, do rodziny dalszej ruszył kawałka chleba poszukać i siły odzyskać, a rodzina owa aż w Rawie Mazowieckiej, i też nie wiadomo czy żyje.

Przeznaczenie w tym zobaczyłam i zostać mu u nas kazałam, zaraz o meblach pomyślawszy. Toż i Moskale nam poniszczyli, i Niemcy, tu sobie we dworze libacje urządając, o czym słowa jednego nigdy nie napisała, bo aż mi od tego cierpło wszystko i ręka drętwiała. Teraz już bodaj wspomnieć mogę. Sierotkę Władzię, com ją ze wsi wzięła, strasznie sponiewierali, choć ledwo szesnaście lat ukończyła, ale że upili ją przedtem, niewiele pamiętała i nie zwariowała od tego. Chora leżała z tydzień, a potem wstała i całkiem do równowagi wróciła. Tak ich źle karmitam, jak tylko mogłam, kapustą najwięcej, bo tej mi nie brakowało, i gorzałki nie żałowałam, domowym sposobem pędzonej z byle czego, chcąc, by się prędzej upili i pospali, dużych szkód nie robiąc.

Ale ten odmarznięty czeladnik może się przyda. Obaczę, co potrafi.

### **18 marca**

Mało mnie nie zatchnęło, kiedym pana Pukielnika starszego do domu wpuścić zakazała i cała awantura z tego była, chociaż w pierwszej chwili pan Pukielnik grzeczność pokazywał. Ale po wszystkim, co mi kuzynka Matylda zwierzyła, cóż ja miałam z nim robić? Na ganek wyszłam i wprost rzekłam, że z racji dawnych bardzo wydarzeń wejść tu więcej nie może. Nie napierał się zbyt, zdziwiony jakby, ale o syna spytał. Od paru miesięcy, rzekł, jak syn w podróż za interesami wyjechał, tak do tej pory go nie ma, przeto chce wiedzieć chociaż, czy tu był. Być był, dawno temu, tak mu odrzekłam, jak odjechał, tego nie wiem, bom nie widział. Więcej chciał wiedzieć, ale nieustępliwa byłam. Pan Fularski w grobie spoczywa i to samo za siebie starczy, a dom do kuzynki Matyldy należy i jej polecenie mnie wiąże. Poldzia niech pyta, bo we dwóch dyskurs przy miodzie wiedli.

Rzekł mi później Poldzio, że istotnie pan Pukielnik pytał go bardzo wytrwale, co syn robił i o czym gadali. Ano, o wydarzeniach na świecie, a o czym więcej, sam nie wie, bo też tego miodu zażywał. Tak panu Pukielnikowi starszemu odpowiedział, ale mnie wyznał, że pan Pukielnik młodszy strasznie się naszymi komfortami ciekawił i o te remonty we dworze wypytywał. Dużo się nie dowiedział. A on sam odjazdu też nie widział, bo na folwarku był zajęty.

Pan Pukielnik starszy nie tak zaraz odjechał, ludzi i służbę całą zaczepiał, każdy mu zaświadczał, jak to pan Pukielnik młodszy powiadał, że o świecie nazajutrz gdzieś się dalej wybiera. A jak i gdzie, jego rzecz. Aż w końcu złościć się począł

*i o policji coś tam wykrzykiwał, ale nic tym nie zyskał, bo o panu Pukielniku młodszym nikt tu nic nie wiedział i nie wie. Pojechał sobie w końcu i słyszę, że jeszcze całe badanie we wsi i u żydów przeprowadzał. Samom ciekawa, co też to osobliwe zniknięcie młodszego pana Pukielnika może oznaczać, ale wdawać się w to nie będę.*

Oderwawszy wzrok od tekstu, zdumiona Justyna poczuła zaciekawienie nie mniejsze niż panna Dominika. Cóż to był za dziwoląg jakiś? Facet znikł tajemniczo i nic z tego nie wynikło? Czemuz ten zaniepokojony ojciec o policji tylko wykrzykiwał zamiast oficjalnie zgłosić zaginięcie i zażądać poszukiwań? A, prawda, zamieszanie powojenne jeszcze zapewne panowało i możliwe, że ginęło tak więcej osób... Z drugiej jednakże strony ostatnim pewnym miejscem pobytu pana Pukienika młodszego był Błędów i coś to powinno oznaczać. Zabił go tam ktoś czy co? A ten koń z dwukólką gdzieś tam przybłąkany, nikt już nawet gadania o nim nie pamiętał...?

A może naprawdę obaj Pukielnikowie wdawali się w interesy tak śliskie, że woleli na siebie uwagi nie zwracać...?

Ze zwiększonym zainteresowaniem wróciła do diariusza.

## **22 kwietnia**

*Żadnej pociechy już z Madejowej nie mam, nogami ledwie powłóczy i na zęby strasznie cierpi, których najmniej połowy brakuje.*

*Czeladnik Jasiński dobrym nabytkiem się pokazał, zje tylko strasznie dużo. No, niech mu będzie, sama widzę, że chudy jak szczapa. Na próbę kazałam od stolika karcianego zacząć i nie ma co skrytykować, stolik jak nowy. Fornir nawet Jasiński zrobić potrafi, a pni suchych dosyć leży, też przed Niemcami uratowanych. Zapłaty wcale nie chce, za życie i odzienie woli pracować, czemu się wcale nie dziwię przy tych cenach głupich...*

O Jasińskim dużo panna Dominika pisała, bo okazał się istną perłą. Za to Połdzio zgorzenie wywołał i nie pozwolił jej dalej za niemoralność oczu zamykać, bo wśród nieprzeliczonych jego podrywek znalazła się i taka, której mąż niepotrzebnie z wojny wrócił, nadprogramowy przychówek zastając. Ledwo załagodzono sprawę, już wieści nadeszły o nowej wojnie z Moskałem...

*... Nie dosyć, że koniec świata nad nami wisi, to jeszcze trzy kury gdzieś po*

*zakamarkach się niosą i jajek od nich znaleźć nie można...*

Pisała rozpaczliwie panna Dominika, po czym, po Cudzie nad Wisłą, ulgi doznała ogromnej i podwójnej.

### **30 sierpnia**

*Nim wieści doszły, małośmy tu do reszty głów nie potracili. A oto cud boski nas od klęski ostatecznej uratował, chwala Panu na wysokościach! Polskie wojska całkiem tych Moskali pobiły i już teraz oni nie wrócą. Aż prawie przyjąć do siebie nie mogą z tej ulgi wielkiej, bo i kury pobłåkane się odnalazły. Gniazda sobie porobiły w żarnowcu, co resztki siana omotane na nim zostały, i żeby nie pies, co ludzie spostrzegli, że po jajku się oblizuje, do zimy bym tak stratę miała.*

*Kuzynka Matylda jesienią zjechała i znów zaprezentowała denerwującą fanaberię. Zabroniła Jasińskiemu odnawiać meble w bibliotece, chyba że przy niej samej, a to nie wiadomo kiedy nastąpi...*

No i proszę, dotarła Justyna do czasów, których już prababcia w pamiętniku nie uwzględniła, i od razu wystąpiły perypetie z biblioteką. Ciekawe, czego też jeszcze dowie się z diariusza panny Dominiki.

Ze wzruszeniem przeczytała opis kuligu prawie takiego jak za dawnych dobrych czasów, zepsutego tylko nowomodnym wynalazkiem, mianowicie dwoma samochodami, które co i raz to zaczynały się pokazywać. Całą rodzinę, wówczas młodą, wśród gości znalazła. Dowiedziała się, że Jasiński sponiewieraną Władzię poślubił, pretensji do niej o wojenne nieszczęście nie żywiąc, że w karczmie pobili się okropnie przez dziewczkę jedną, że przedwojenna kłaczka ożrebiła się ponownie tym razem kłaczka, że na to przyjechał kuzyn Mateusz, szampana ze sobą przywiózł i pannie Dominice zdrowie konia kazał pić. Do tego jeszcze ostatki lodu musiała wydostać by owego szampana ochłodzić.

### **28 czerwca**

*Obie córeczki pani Dorota mi przywiozła, żeby pobyły i nie wiem dlaczego. Podobno gospodarstwa przy mnie mają się uczyć, a toż dzieci zaledwie, Helenka lat dziesięć, a Justysia osiem sobie liczy...*

Przez długą chwilę Justyna nie wiedziała, o kim mowa, aż uświadomiła sobie nagle, że czyta pierwszą wzmiankę o sobie. Chociaż nie, drugą chyba, już raz jej matka z dziećmi w Błędowie była...? No tak, nie została tam z imienia wymie-



niona, ponadto ileż lat miała? Dwa? Cztery...? Nic jej w pamięci nie zostało...

Ten drugi pobyt natomiast stanął jej w oczach, jakby miał miejsce przed miesiącem zaledwie. Obie z Helenką guwernantką na piętrze zamieszkały, w gościnnych pokojach i od pierwszego dnia wystąpiły kontrowersje między opiekunkami. Panna Dominika obowiązek wdrożenia młodych dam w tajniki gospodarstwa domowego potraktowała poważnie, guwernantka natomiast... zaraz, któraż to była...? Klara chyba...? Nade wszystko przedkładała wychowanie salonowe i wizytę w kurniku uważała za coś w rodzaju obrazy osobistej. Nie wspominając już o chlewie. Pobyty i udział w szumowaniu syropu usiłowała podstępnie ograniczać...

Jakże, to w tamtych czasach chyba osobiście była świadkiem sporządzania przez pannę Dominikę rachunków codziennych. Jajek 89, mleka 61 garncy, śmietany od cetryfugi 7 i pół garnca. Na masło poszło 5 garnców, z czego jest półtora funta...

Zbiór owoców codzienny był też zapisany, truskawki pamiętała doskonale, szły na suche konfitury, funty owocu, funty cukru... Obie z Helenką drylowały czereśnie i wiśnie specjalną szpilką do włosów. Czereśnie i wiśnie to nic, przypomniało jej się drylowanie porzeczek... I agrestu!

Przez długą chwilę, wpatrzona w przestrzeń, wspominała owe chwile, zarazem straszne i piękne. Boże jedyny, ileż czasu człowiek miał na te upiorne i cudowne zajęcia... Dobrze, że panna Dominika czasów współczesnych nie dożyła, bo szlag by ją trafił co najmniej pięć razy, a z drugiej strony szkoda. Kilka takich nieśmiertelnych panien Dominik i niebiańskie artykuły spożywcze nie zginęłyby w niepamięci Ciekawa rzecz, co by teraz Fela powiedziała na drylowanie porzeczek...

A Marynka, a Idalka, a Ewa...?

Westchnęła, otrząsnęła się ze wspomnień, popatrzyła na sekretarzyk, przy którym panna Dominika prowadziła rachunki i wróciła do lektury.

*... choć z innej strony czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. I któż inny ma te dzieci przystosować, jak nie ja? U kuzynki Matyldy chyba inaczej dom prowadzoną Niechże będzie, starań dołożę przez pamięć mojej dobrodziejki.*

### **12 sierpnia**

*A cóż to się na tym świecie wyprawia, w osłupieniu istnym piszę. W odwiedzi-ny do panienek kuzynka Matylda rodzinę dalszą i przyjaciółki przywiozła i dzieci to dzieci, ale panny dorosłe nagie wprost się pokazują! Blisko do kolan nogi im widać, rękawy codzienne ledwo do łokcia, cóż to za obyczaje, co za moda nowa? A mówią mi, że w mieście panna sama z lokajem tylko czy z pokojówką, na ulicę piechotą wychodzi, a niektóre i całkiem bez tego! Aż na ślub i wesele panny Barbary pojedę, by na wiosnę oczy to zgorszenie ujrzeć, bo nie uwierzę inaczej,*

*choć i roboty mnóstwo, i zdrowie mi, szwankuje. We wrześniu ma być. Panienska Helena, z kuchni mi uciekając, w świeżo przyniesiony kosz jajek wpadła i wytłukła tak wszystkie, że tylko cztery ocalały i bułki jajeczne zaraz kazałam robić, by się to nie zmarnowało całkiem.*

Rachunki panny Dominiki zaczęły się w tym momencie wydawać Justynie bardziej interesujące niż diariusz, bo owa katastrofa jajeczna została w nich uwzględniona z wyraźną urazą. Jajek kopa i dwa, świeżo podebrane, wytłuczone jednym upadkiem panienski Heleny. Cztery całe zostały. Do nich 28 doszło z wieczora, razem 32, a było od kur 94. Wytłuczone na wypiek użyte, do czego poszło trzy garnce mąki, trzy funty cukru. . .

Aktualne w owym czasie koszty zostały uwidocznione przy wyliczonych produktach z wyraźną niepewnością. Świadoma zmian historycznych i panującej wówczas inflacji, Justyna doskonale rozumiała stan ducha nieszczęsnej panny Dominiki, zmuszanej do oceny zysków i strat majątności niemal co tydzień inaczej.

Wróciła do diariusza.

### **28 września**

*Prawdę mi mówiono, ledwo dech złapać mogę. Wieczorowe i balowe suknie jak trzeba, aleienne zgrozę budzą. Nie dosyć na tym, na własne oczy widziałam pannę Szeliżankę jak na konia w spodniach siadała po męsku. W spodniach! Po męsku! A toż nie do pojęcia zgoła i ażem oczym przetarła.*

*Wieprzek jeden oderwał się i w świat poszedł, gdzie go chyba ukradziono, bom o jakiejś uczcie we wsi słyszała, ale nawet mnie to nie obeszło wobec takiego moralności wszelkiej upadku. A oto mi jeszcze Poldzio powiada, że podobno młode panny różne w innych krajach, nawet i z dobrych rodzin, same mieszkają i na uniwersytety jakieś idą nauki wyższe studiować i potępiane wcale nie są. Co też z tej wojny przekłętej wynikło, koni upadek, i niewiaś!*

### **9 grudnia**

*Madejowa zmarła na starość i choroby różne, a w ostatnie chwile już świata wprost nie rozumiała. Florka na jej miejsce nastąpiła, a całkiem nie wiem, jak jej płacić, bo chyba co miesiąc pobory zwiększać. Cała służba za wikt i resztę pracuje i gubię się w tym do reszty. Chyba i mnie zemrzeć trzeba w takim świecie, co sobie z nim poradzić nie umiem.*

### **23 lipca**

*Z dziewek kuchennych dwie musiałam odnowić, bo za mąż idą na swoje, alem już znalazła jedną we wsi sąsiedniej, a drugą w Grójcu i zobaczę, jak się nadadzą. Florka Madejową z nawiązką zastępuje. Kacperek na miesiąc mi uciekł, mniemając, że w świecie karierę zrobi, wrócił i przebaczenia błagał, czegom dość łatwo*

*udzieliła. Owoce idą i konfitury suche się robią.*

Co jakiś czas zaledwie panna Dominika opisywała wydarzenia odmienne od serków, owoców, jajek i drobnych kłopotów kuchennych. To kupiec się głupio targował, to mleko za mało kwaśne wyszło, to znów zbyt wczesne chłody złapały i cała reszta ogórków na korniszony poszła. Pestki z dyni marynowanej zmniejszyły pracowitość personelu, bo wszyscy je spożywali namiętnie i nie mogli przestać, a ręce przy tym mieli zajęte. Żebyż się chociaż coś tłukło, ale i to nie, monotonia przeraźliwa i anielski spokój. . .

Od czasu do czasu zaledwie przytrafiał się rok, obfitszy w rozrywki.

#### **14 stycznia roku pańskiego 1923**

*Najokropniejsze kłopoty mam i aż nie wiem, jak o czymś takim pisać. Luksusy kuzynka Matylda pozakładała i już nich wszyscy przywykli, a tu owe luksusy pękły gdzieś w sobie i substancja z fetorem strasznym przez wierzch się wylewa. Poldzio sam temu nie daje rady i człeka trzeba sprowadzić do owych robót, mówię, że w ziemi kopać będzie, a tu zamarznęte wszystko. Jakże to tak, do samej wiosny wytrzymać? Niewygoda i obrzydliwość.*

#### **6 marca**

*Jużem się o mało co z dworu na folwark nie przeniosła ale że rozmarzło, trzech ludzi aż z Warszawy sprowadzonych naprawiać to poczęło i wreszcie koniec. Jeden tam kawał jakowejś rury na inny zamieniać musieli i pół ściany jednej w łazience zrujnowali, ale mówią, że teraz dobrze będzie. Na zapłatę w asygnatach papierowych się zgodzili, którym prędko bardzo za tuczne wieprze dostała, i nawet zadowoleni byli. Jeden żonę i dziecko małe na czas robót przywiózł, chude niezmiernie, na com się zgodziła z warunkiem, że w porządkowaniu żona potem pomoże. Chętnie to uczyniła, a służba z dziecka wydostała, że w mieście nic wcale do jedzenia nie mieli, bo zimą owych robót się nie przeprowadza.*

*Karmiłam ich dobrze i trochę się odpaśli. Dom cały wietrzę, choć zimno jeszcze, okna pootwierane i cugi latają. Aż się kataru nabawiłam. Ale fetor już całkiem od cugów i od szorowania znika.*

#### **29 kwietnia**

*Na swoim Bartek postawił, lokomobila przybyła, zwą to ciągnik albo traktor jakoś z cudzoziemska. Z podziwieniem patrzyłam, jak to w pole samo wjeżdża i poczwórny pług za sobą wlecze. To już ugoru mieć nie będziemy i zboża ani kartofli nie zbraknie, a i konie nam w liczbę rosną. Drób cały na jajach siedzi jak należy i już się lęgnąć poczyna, później trochę niż zawsze, bom przez ten fetor głowy nie miała.*

#### **30 lipca**

*A już na te stroje panien to wprost patrzeć nie mogę. Oczom się wierzyć nie chce. Fotografie mi pokazywano, gdzie do wody wchodzi w nic prawie wcale nie ubrane!*

Coś oderwało nagle Justynę od porozbieranych panien.

— Mamo, czy mama ogłuchła? Czy mama mnie wcale nie słyszy? — rozpaczała jej nad głową Marynka. — Niechże się mama odezwie!

— Co się stało? — spytała jeszcze nieco oszołomiona Justyna, z niepokojem patrząc na zapłakaną córkę. — Słyszę, oczywiście...

— I mama na to nic? Słyszy mama i nic?!

— A co...? No dobrze, powtórz jeszcze raz, możliwe, że nie słuchałam uważnie...

— Wcale mama nie słuchała! Stasieczek mną poniewiera!

Przez moment Justyna nie wiedziała, kto to jest Stasieczek. A, prawda, jej kolejny zięć, drugi mąż Marynki. Z pewnym wysiłkiem przypomniała sobie, że natychmiast po rozwodzie Marynka wyszła za mąż ponownie, jakoś cichutko i nieznacznie, po czym powiadomiła rodzinę, że znalazła się w raju. Przypadł jej w udziale najcudowniejszy mężczyzna wszechczasów, bóstwo absolutne, niech zatem Ewa jeszcze trochę tutaj pobędzie, żeby ona mogła nacieszyć się drugą młodością i miesiącem miodowym...

Ewa została już trochę wytresowana i była znacznie mniej okropna. Dawało się z nią wytrzymać.

— Uspokój się przede wszystkim. Cóż to za nagła tragedia? Przecież byłaś zachwycona, rok jeszcze nie minął, skąd niesnaski...?

— Niesnaski, ładne mi niesnaski, mówię mamie, że mnie bije, a do tego jeszcze za taką szantrapą lata, a teraz chce się z nią żenić! Wymawia mi, że jestem głupia! Do domu mi ją sprowadza, a ja się mam wynosić! Co ja mam zrobić? ja się zabiję!

Okazało się nagle, że w pokoju przebywa także Amelia.

— Zabij się, zabij — zachęcała Marynkę gorliwie. — Masz pojecie, jak oni się ucieszą, twój mąż i szantrapa? Wszystko im ułatwisz.

— Co...?

— Umilisz im życie. Bez rozwodu, bez kłopotu... Stasieczek cię chętnie pochowa i już ma wolną drogę. I mieszkanie. Zabij się, świetny pomysł.

Łzy Marynki obeschły w mgnieniu oka.

— A niedoczekanie — rzekła z zaciętością. — Właśnie na złość im będę żyła!

— Jeśli nie masz innego powodu, dobry i taki...

— Masz córkę — przypomniała sucho i z naganą oprzytomniała już Justyna.

— Tego twojego... Stasieczku... właściwie prawie nie znamy...

— Jak kto — wtrąciła z naciskiem Amelia.

— ...nie wiem, co to za indywiduum, sama go sobie wybrałaś...

— Zwyczajny łobuz, naciągacz i dziwkarz — poinformowała znów Amelia bez miłosierdzia. — Mówiłam jej, ale nie chciała słuchać. Poleciał na mieszkanie i teraz będzie próbował ją wygryźć. Wspólnota małżeńska.

Justyna się trochę zdenerwowała.

— Zatem weźmiesz z nim rozwód i niech on się wyprowadzi...

— On nie chce! — zakwiliła Marynka.

— Jak to, nie chce...?

— No nie chce! On chce przeciwnie... Rzeczowych informacji udzielała tylko Amelia.

— On chce, żeby to ona się wyprowadziła, zostawiając mu mieszkanie za nic. Dlatego tam sobie panienki sprowadza i nawet się z tym nie kryje. Żona u niego ma być cicha i bezwonna, a jak się będzie czepiać, spierze ją zdrowo.

— Moje dziecko, i ty to wytrzymujesz?! — wykrzyknęła Justyna ze zgrozą.

— Wcale nie wytrzymuję, przecież mamie mówię!

— No więc rozwiedź się. Mieszkanie notarialnie należy do ciebie. Będziesz miała prawo go wyrzucić razem z tymi jego... przyjaciółkami.

— A z czego będę żyła? — zbuntowała się nagle Marynka.

— Wyrzucić, łatwo mówić, ale to on zarabia! A teraz co?

— I za te zarobki zgadzasz się być poniewierana...?!

— A co mam robić?

— Po pierwsze, masz alimenty od Jasia na Ewę, a po drugie, możesz iść do pracy. Młoda jesteś i zdrowa...

— Do jakiej pracy?! Przecież ja nic nie umiem!

— Słusznie chyba Stasieczek twierdzi, że jesteś głupia... — mruknęła Amelia.

— Gotować potrafisz — powiedziała równocześnie Justyna. — Możesz się zatrudnić jako kucharka. Pisać i czytać też umiesz, istnieją chyba jakieś pomoce biurowe...?

— Jeśli o to idzie, mogłaby być nawet całkowitą analfabetką — zauważyła Amelia uprzejmie. — Proponuję adeemy. Tam żadne umiejętności nie są potrzebne.

— Ale ja wcale nie chcę! — oburzyła się Marynka.

— W takim razie spróbuj wyjść za mąż po raz trzeci. — A czy to rodzina nijak mi nie pomoże?

— Na łasce losu, nie ma obawy, nie zostaniesz — zapewniła córkę Justyna i omal nie zabrakło jej głosu na myśl o utraconym przez nią samą majątku prababci. Nie byłoby teraz problemu, gdyby się tak nie wygłupiła... — Ale wielkich rzeczy się nie spodziewaj. Ostatecznie, sama sobie jesteś winna...

— Mogłaby mi mama w takiej chwili nie wypominać...!

— Nie wypominam, stwierdzam fakt.

— Uspokój się w ogóle i przestań histeryzować! — zażądała stanowczo Amelia. — Czyś już w ogóle wystąpiła do sądu? Masz adwokata?

Krzyż pański z Marynka nie od razu zelżał. W gruncie rzeczy wcale nie chciała się rozwodzić, chciała, żeby ktoś nakłonił Stasieczka do umiaru w postępowaniu, chciała go mieć dla siebie bez szantrapy zasadniczej i licznych dodatkowych. Faktu, iż Stasieczek był autentycznym, acz dopiero początkującym hochsztapletem i bardzo zręcznym żigolakiem, nie przyjmowała do wiadomości. W rezultacie jego i własnych poczynań znalazła się w sytuacji godnej pożałowania i wyraźnie stało się widoczne, że nie pozbędzie się swojej pomyłki życiowej inaczej, jak tylko za wielkie pieniądze. . .

Do panny Dominiki Justyna wróciła dopiero po pierwszej rozprawie rozwodowej, która niczego na razie nie rozwiązała.

### **18 sierpnia**

*A to już się robi coś takiego, że rozumu ludzkiego nie starcza. Tom do tej pory myślała, że drożyzna rośnie i ceny coraz głupsze, tymczasem było to tak jakby nic. W miesiąc jeden wszystko dziesięć razy zdrożało, a podobno jeszcze gorzej będzie, czego już całkiem pojąć nie umiem. Za jedno listu wysłanie więcej niż tysiąc marek opłaty na pocztę żądają, a już i tego dosyć, żem całe życie w złotówkach i rublach liczyła, a od tej wojny nagle marki. Rachunki robię jak zawsze, ale sama ich chyba nie rozumiem.*

### **17 listopada**

*Kręglewo całkiem przepadło, a oba panowie Kręglewscy nie żyją. Starszy pan Kręglewski w melancholię popadł i mówią, że wypadek był przy czyszczeniu pistoletów, bo mu się ręce bardzo trzęsły, ale służba szepcze na ucho, że sam się zastrzelił. Świeć Panie nad jego duszą. Że ratować próbowano, bo jeszcze dyszał, zamieszanie okropne było, po księdza posyłano i po kuzynostwa, tak nikt o paniczku Kręglewskim nie pamiętał. Sam sobie zostawiony, w ogrodzie tak się zabłąkał, że na drugi dzień po całej nocy dopiero go znaleziono. Przemóktł i przeziął najokropniej, zapalenia płuc dostał i w dniu pogrzebu ojcowskiego Bogu ducha oddał. Zaraz przeto po jednym pogrzebie był i drugi.*

*Ostatni to raz Kręglewo widziałam. Na kuzynkę Matyldę testamentem przeszło, choć już tej schedy prawie nic nie było, wierzyciele jak te kruki obsiedli. Wcześniej po drugim pogrzebie odjechałam, a kuzynka Matylda została i na samym odjeździe usłyszałam przypadkiem, jak do kuzyna Mateusza mówiła, że nieboszczka pani Kręglewska coś przecież z pieniędzmi robić musiała, na wszystko skąpiąc, a dochód wtedy jeszcze był. Podobno jej przepadło w wojnę, bo z żydami interesy robiła, których Niemcy rabowali.*

### **18 kwietnia**

*Od służby słyszę, która zawsze jakieś wieści między sobą miewa, że kuzynka*

*Matylda podobno coś tam po nieboszczce pani Kręglewskiej znalazła. Mówią, że złote imperiały z czasów przed wojną. Ile w tym prawdy, nie wiem, bo Kręglewo licytowane, a ona całkiem zadowolona do duchowa wróciła I u kuzyna Mateusza nowy koń się pokazał.*

*Sześć sztuk mebli od korników całkiem poniszczone z Jasińskim razem znalazłam. Robactwo trucizną zabite, ale meble na nic.*

### **26 maja**

*Przez kupców różnych doszły mnie słuchy, że pieniądze uporządkowane zostały i na dowód markę pocztową mi przynieśli, co dwa grosze kosztuje i wyraźnie to na niej napisane. Ażem prawie oczom nie uwierzyła i balsam na sercu poczułam. Toż wreszcie gospodarstwo jak należy iść by mogło, ceny uładzone, ile za jajko, ile za masło, za węgiel, pierze, owoce, za mięso i kapustę, a za cebulę szczególnie, której żydzi bardzo chciwi. To mi się pięknie wydaje niczym w raju. Zobaczę przez lato, jak będzie i czy nie plotka to tylko chwilowa, ale na wszelki wypadek konfitur suchych narobię, ile zdołam.*

### **16 lipca**

*Miesiąc już mam u siebie obie panienki, Helenkę i Justysię, guwernantka ich jaka była głupia, taka i została, żaby, co na taras wskoczyła, wystraszyła się jakby potwora jakiego, krzyku narobiła, że prawie we wsi było słychać. Cóż to, w Głuchowie wcale żab nie ma? Helenka dalej z kuchni ucieka, ale Justysia gospodarstwa ciekawa i rozważna się wydaje. Kazła mi kuzynka Matylda obie te swoje prawnuczki wszystkiego wyuczyć, przeto posłuszna jestem, choć roboty jest powyżej uszu.*

*Gęsi na tuczenie już zaczynam oddzielać. Guwernantkę osa ugryzła, od czego spuchła na twarzy gorzej niż od zęba, a panna Helenka w bagienko wlaźła, choć było mówione, żeby tam nie szła. Szczęście, że lato suche, to się nie zapadła i tylko jeden pantofelek w topieli został.*

### **23 października**

*Chybam przeziębła trochę, bo kaszel się mnie trzyma. Starość odczuwać zaczynam. Kto też tu po mnie nastanie, tym się kłopotczę, żeby upadku żadnego nie było. Florka kuchnią rządzi, a Fabian całym dworem, ale ktoś jeden musi być nad i choćby dla rachunków. Chyba że Poldzio, który i tak już folwarczne wszystkie rachunki robi, ale czy to bez niewiasty gospodarstwo domowe pójdzie?*

### **4 listopada**

*Tuczenia gęsi najciężej mi pilnować, bo w gęsiarni chłód mnie przenika. Nie bardzo dobrze się czuję. Porządki w papierach zrobiłam i pióro do ręki wezmę dopiero, jak mi zdrowie wróci.*

Na tym się skończył diariusz panny Dominiki i Justyna musiała sięgnąć do własnych wspomnień. Szwankujące zdrowie już nie wróciło i krótko przed świę-

tami panna Dominika umarła prawdopodobnie na zapalenie płuc. Prababcia Matylda z pradziadkiem Mateuszem pojechali na pogrzeb, zabierając ze sobą część rodziny, w tym i ją, Justynę. Obie z Helenką były na pensji w Warszawie, przez ten pogrzeb wcześniej zaczęły ferie świąteczne. W Błędowie rządził Poldzio, najdoskonalszy majordomus, i tak już zostało, bez niewieściej pomocy wszystkiemu dał radę.

Zamknęła ostatni zeszyt i posępnie zapatrzyła się w stos przejrzanych już prawie całkowicie rachunków. Na własną rehabilitację straciła nadzieję ostatecznie, idiotyczny błąd stał się faktem dokonany. Ze wszystkich zapisków wyraźnie wynikało, że nie tylko napoleońskie klejnoty prababcia ukryła w Błędowie, być może znalazły się tam również oszczędności ciotecznej prababci Kręglewskiej, owe złote imperiały, suponowane przez pannę Dominikę. Tym większa strata! Ciekawe, co się w tym dworze dzieje obecnie...?

Na moment zakorciło ją, żeby pojechać i osobiście zobaczyć. Chęć pisnęła i zdechła. Nie, nie czuła się na siłach oglądać podupadłą ruinę, a przy okazji własną, wstydliwą klęskę. Z tym wszystkim tutaj też będzie musiała coś zrobić, ukryć przed rodziną, nikt nie powinien się dowiedzieć, że okazała się kretynką. Spalić może...?

Nie, spalić się nie ośmieli. W końcu zawarta jest w tej makulaturze historia. Głupia bo głupia i może zbyt kameralna, ale jednak spisywana na żywo. Rozdzielić zatem... Ukryć tylko część dotyczącą utraconych skarbów, a resztę, te wszystkie gęsi, falbany, wyprawy ślubne i skandale zostawić młodszemu pokoleniu i proszę bardzo, niech sobie czytają... .

\* \* \*

Wiszące na ścianie dwie czarne zmazy kłuły w oczy. Coraz gorzej Justyna wytrzymywała ten widok głównie dlatego, że skończyła się jej kojąca lektura, która tak cudownie odrywała ją od rzeczywistości i przenosiła w spokojne, bezpieczne, dawne czasy. Współczesność stawiała przed nią idiotyczne problemy: całą okropną sytuację Marynki, przestrzeń życiową dla Idalki z dwuletnim dzieckiem i mężem, dobrym, sympatycznym, utalentowanym i pracowitym Andrzejkiem, który zajmował swoimi dziełami już prawie dwa pokoje, jakiś kawałek miejsca dla Ewy, separowanej od nieprzyzwoitych problemów małżeńskich matki, nie da się ukryć, że głupiej, wszystkie potrzeby nie do zaspokojenia na skutek prozaicznego braku pieniędzy. Cały jej organizm łaknął powrotu do historii, której ostatnim elementem były wizerunki przodków.

Do załatwienia sprawy przyczyniła się Idalia, która odziedziczyła po Justynie



skłonność do porządku i poczucie odpowiedzialności. Mężowski nieład artystyczny zносиła z trudem, rozumiała specyfikę zawodu, ale więcej znieść nie miała siły. Osobliwa dekoracja w salonie przekroczyła jej wytrzymałość.

— Mamo, czy mama zabrała te bohomy od dziadków; tylko po to, żeby straszyły? — spytała w końcu Justyna. — Czy one muszą tu wisieć?

Justyna uniosła wzrok znad książki o treści, rzecz jasna, historycznej.

— Powinny — odparła z westchnieniem. — Jak sama wiesz, jest to spadek po prababci, uwzględniony w testamencie. Nie wolno ich sprzedać.

— I tak nikt by nie kupił. Ale można je chyba odrestaurować? Prababcia w testamencie nie zakazała?

Justyna znów westchnęła.

— Sama już dawno to proponowałam. Ale zdaje się, że za każdym razem przytrafiało się coś takiego, że do obrazów nikt nie miał głowy. I na długo o nich zapominano. Nikt chyba nie wiedział, jak i gdzie to zrobić, nie znaliśmy odpowiedniej osoby.

— Konserwacja zabytków. Ktoś w muzeum. Można by przynajmniej zapytać.

— Zapytać można, owszem. Ciekawe, swoją drogą, ile by to kosztowało. Mam wrażenie, że drogo, ale chyba nie majątek.

Idalia milczała przez chwilę, oglądając czarne placki.

— Co to w ogóle jest? — spytała niepewnie. — Pejzaże? Portrety? Wizerunki Napoleona?

— Portrety prababci i pradziadka. No nie, kilka pra trzeba dodać. Skąd ci przyszedł na myśl Napoleon?

— Nie wiem. Mam niejasne wrażenie, że w dzieciństwie coś słyszałam, od Maryny chyba, jakoby Napoleon z naszą rodziną miał coś wspólnego. Czy może odwrotnie, nasza rodzina z Napoleonem. Podświadome skojarzenie. Mamo, ja nie chcę, żeby to tu wisiało, coś trzeba zrobić. Poza wszystkim, z szacunku dla testamentu, o spadek powinno się zadbać. Czyje to w ogóle jest? Nasze? Mamy?

— Chyba teraz już moje. Testamentem dostał to dziadek Ludwik...

— Dziadek Ludwik miał w głowie wyłącznie konie.

— ... a babka Hortensja przed samą śmiercią oddała to mnie. Podobno dziadek Ludwik tak sobie życzył.

— Więc jednak trzeba to odnowić. No dobrze, spróbuję zadzwonić do muzeum...

— Nie — przerwała córce Justyna, którą ruszyło nie tylko mienie, ale także irracjonalna nadzieja, że tym sposobem znów się zbliży do prababci Matyldy. — Ja to zrobię. Masz rację, zaniedbałam sprawę.

Niewielka ilość wysiłków wystarczyła, żeby uzyskać upragnione informacje. Owszem, dział konserwacji zabytków mógł przyjąć prywatne zlecenie, ale po pierwsze kosztowało to dość drogo, po drugie trzeba było długo czekać, bo do

renowacji obrazów pchała się cała kolejka, a po trzecie należało przynieść dzieło do pracowni, ponieważ gdzie indziej konserwatorzy nie mieli warunków.

Po naradzie z Bolesławem Justyna zdecydowała się ekspens i teoretycznie stanęła w owej kolejce. Najwięcej trudności przysporzył ostatni wymóg, mianowicie transport portretów. Dotychczas przewożono je dwa razy, raz z Placów na Służew i raz ze Służewa na Mokotów, i za każdym raz brali w tym udział silni tragarze, były bowiem zaskakują ciężkie. Z tej zresztą przyczyny tam wisały, gdzie je w pierwszej chwili zawieszono i nikt ich nigdzie nie przemieszczał.

— To ramy tyle ważą — orzekł Bolesław — bo chyba są malowane na złotej płycie. Nie ma sensu wozić wszystkiego, trzeba je wyjąć z tych ram.

— Ramy też wymagają odnowienia — zauważyła Justyna z powątpiewaniem.

— A czy one w ogóle są potrzebne? Też pamiątkowe? Można dać inne, lżejsze, a te wyrzucić.

— Czy one nie były złocone? — spytał delikatnie Andrzej, mąż Idalii, wezwany do pomocy. — Może szkoda...?

— Nawet jeśli były, to tego złota już na nich nic nie zostało — stwierdziła stanowczo Idalia. — Tatuś ma rację, mamó, dajmy nowe ramy.

— Jakie?

— Nie wiem. Zobaczymy, co będzie pasowało po odnowieniu. Przecież teraz nawet nie wiadomo jaki to miało kolor.

Justyna zawahała się. Miała mgliste wrażenie, że obramowanie ściśle należało do portretów i powinna zachować całość. Bolesław przyglądał się ramie z bliska z wielką uwagą i po chwili sięgnął po lupę.

— Korniki — powiadomił rodzinę, jadąc szkłem powiększającym po narożniku. — Widać dziurki, pełno tego. To chyba przesądza sprawę?

— Ciekawe dlaczego to takie ciężkie, jeśli połowę korniki zeżarły — rzekł w zadumie Andrzej.

— Bo zostały w środku razem z tym, co zjadły — pouczyła go Idalia.

— No dobrze — zdecydowała się nagle Justyna. — Niech będą nowe ramy. Stare spalę w kominku. Zdejmijcie to ze ściany. Dacie radę?

— Owszem, jeśli któraś z was zdejmie sznur z haka. Pogrzebaczem chyba da się dosięgnąć...

Wspólnymi siłami i z wielkim mozołem teść i zięć zdjęli oba obrazy kolejno i ułożyli je pod ścianą plecami do góry, nie waląc nawet zbytnio w posadzkę. Idalia już czekała z obciążkami. Mąż wyjął jej narzędzie z ręki i przystąpił do odchylania gwoździków, których była ilość przerażająca.

Mimo wyjęcia wszystkich, szeroka listwa nie chciała odejść. Wysunięto przypuszczenie, że została przyklejona jakimś tajemniczym, staroświeckim klejem stolarskim. Po wnikliwym obejrzeniu jej przez lupę Bolesław odkrył drugi rząd gwoździków przy zewnętrznej krawędzi ramy i zaczął je wydłubywać. Szło znacznie trudniej niż z tymi pierwszymi, zagiętymi.

— Trzeba przyznać, że w dawnych czasach robota była solidna — wysapał.

Andrzej znalazł kombinerki i wspomógł teścia, podważając gwoździki z drugiej strony. Obaj sapali i stękali. W drzwiach salono-jadalni pojawiła się Fela i przez chwilę przyglądała się mało ruchliwej, ale za to pełnej wysiłku scenie.

— Jak państwo tak się męczą, to ja zrobię herbatę — oznajmiła.

Justyna kiwnięciem głową zaaprobowała pomysł. Idalia żuła się odrobinę nie-swojo, bo nie przyszło jej wcześniej myśl, że zmiana ram okaże się tak skomplikowana.

— Do renowacji i tak musiałyby to zostać wyjęte — pocieszyła sama siebie.

Wreszcie wszystkie gwoździki z jednej strony usunięto i długa, szeroka listwa pozwoliła się poruszyć.

— To się składa z czterech części — pouczył nie wiadomo kogo Andrzej i jednym silnym szarpnięciem oderwał płaskie drewno.

Wpatrzona w ramę i lekko już zniecierpliwiona rodzina na moment straciła dech i zamarła.

Cała boczna część obramowania wyłożona była porządnie złotymi krążkami, jeden przy drugim. Tworzyły równiutki rządki i w świetle lampy błysnęły wesoło. Widok był niewiarygodny.

— Czy mnie oczy mylą? — powiedział zdumiony Bok

— Cóż to jest?

Sięgnął ręką i wydłubał jedną sztukę. Równocześnie Idalia uczyniła to samo.

— Pięć — odczytała. — Pięć rubli chyba? Mamo, czy to może być prawdziwe?

— Złoto — rzekł jej ojciec, podrzucając monetę na dłoni. — Pięciorublowki, o ile pamiętam, za okupacji to się nazywało świnki. Co to ma znaczyć? Skąd to się tu wzięło? |

— To dlatego to było takie cholernie ciężkie! — wykrzyknął Andrzej z nagłym zrozumieniem.

— Czy to nie jest jakaś imitacja? Atrapa? — spytała nieufnie Idalia.

Justyna milczała. Była absolutnie pewna, że żadna imitacja w grę nie wchodzi. Więc to tu właśnie prababcia ulokowała oszczędności skąpej bratowej, ciotecznej prababki Kręglewskiej. . . zaraz, czy ciotecznej. . . ? Brat matki, to wujek, jego żona, to wujenka, brat prababki zatem, to wujeczny pradziadek, a jego żona, to wujeczna prababcia. . . No więc wujecznej prababki Kręglewskiej, przez którą podupadłe Kręglewo szlag do reszty trafił. Majątek im wisiał na ścianie przez cały ten czas, kiedy Ludwik gonił resztkami, jej matka żyła ze skąpej emerytury, Jadwiga z Jureczkiem harowali niczym niewolnicy na plantacji, a dzieci emigrowały dla poprawy bytu. Ona sama dziesiąty rok chodzi w tym samym palcie, Amelia do tej pory spłaca swoje poddasze, Marynka przegrywa wojnę z mężem-łajdakiem, Idalka z Andrzejem zaś nie mają gdzie mieszkać. Ciekawe, ile też razem głupia jaśnie pani Kręglewska zaoszczędziła. . . ?

— Nie — odezwała się wreszcie. — To nie atrapa. Prawdziwe. Zresztą, niech ktoś sprawdzi czy prawdziwe, bo wujeczną prababcie też mogli oszukać. . .

Weszła Fela z herbatą i ujrzała znalezisko. Na szczęście zdążyła przedtem ulokować tacę na stole, wyleciała jej z rąk tylko popielniczka, przestawiana na bok, żeby nie przeszkadzała.

— O mój Boże, a to co? Państwo skarb znaleźli? Czy to po pani Barbarze?

— No właśnie, skąd to. . . ? — poparł ją surowo Bolesław i popatrzył na żonę podejrzliwie.

— Jaką wujeczną prababcie? — zainteresował się Andrzej.

Zakłopotana Justyna uświadomiła sobie nagle, że prababcia Matylda, jej bratowa Kręglewska i panna Dominika są to postacie dla całej rodziny kompletnie obce. To tylko ona sama, przez te upiorne pamiętniki, ma wrażenie, że znała je osobiście i bezpośrednio. Jak im teraz wyjaśnić stopnie pokrewieństwa w kolejnych pokoleniach, szczególnie że znajdują się właściwie w bocznej linii. . .

— Moja matka, babcia Dorota, miała babkę — zaczęła trochę bezradnie. — I to była moja prababka Matylda. Babcia Dorota miała brata. . . Nie, zaraz, nie tak. Prababcia Matylda miała brata. . . Nie, jeszcze nie tak, to znaczy owszem, prababcia miała brata, ale nie o to chodzi. . .

— Niech mama zacznie, wobec tego, od góry — zaproponowała Idalia. — Była prababcia Matylda z bratem. I co?

— I prababcia miała dzieci, wśród tych dzieci była moja babka Hanna i jej brat Tomasz. Córką Hanny była właśnie babcia Dorota, a synem Tomasza był dziadek Ludwik. . .

— Wreszcie ktoś znajomy. . .

— Portrety przeszły na dziadka Ludwika po jego ojcu, Tomaszu. A dziadek Ludwik chciał, żebym ja je dostała i dlatego są tutaj.

— To jeszcze zupełnie nie tłumaczy pochodzenia tego farszu w ramach — zauważył surowo Bolesław.

— Bo mi co chwilę przerywacie. . .

— Państwo do stołu usiądą — zażądała Fela. — I ja to bym kieliszki podała, póki Agnisia śpi, bo tak na sucho to żadne gadanie. Skarbu nie opić, to jeszcze się w próchno zamieni.

Do tego poglądu przychyłili się wszyscy. Napoczęte obrazy razem ze złotą ozdobą pozostały na podłodze, rodzina usiadła przy stole. Przy czerwonym winie i słonych ciasteczkach Justyna podjęła wyjaśnienia.

— Otóż prababcia Matylda, jak mówiłam, miała brata i po tym bracie odziedziczyła wszystko. Ale brat miał żonę, która umarła wcześniej. . .

— A dzieci nie miał? — zainteresowała się Idalia.

— Miał, zaraz do tego dojdę. Miał jednego syna, który zwariował na skutek urazu głowy. Zaziębił się i umarł. Ale to było potem. . .

— A przedtem co? — spytał Bolesław z naganą. — Czy nie mogłabyś opowiadać jakoś po kolei?

— Proszę, żeby wszyscy przez chwilę milczeli! — zażądała gniewnie Justyna. — Poznawałam tę historię w ciągu dwudziestu pięciu lat. Chcecie też słuchać przez dwadzieścia pięć lat?

Pytanie zabrzmiało niczym groźba i przeraziło słuchaczy. Wszyscy poprzysięgli sobie nie odezwać się już ani słowem, bez względu na to, jakie nonsensy mieliby usłyszeć. Justyna przyjrzała się rodzinie wzrokiem pełnym wyrzutu i nagany.

— No więc przestańcie mi przerywać! Otóż żona tego brata prababci Matyldy... bratowa krótko mówiąc... była chorobliwie skąpa, a przy tym despotyczna. Rządziła Kręglewem idiotycznie, żałowała pieniędzy na wszystko i w rezultacie zniszczyła majątek. Brat prababci Matyldy popadł w długi, co wszystkim dziwiło, bo majątek, zanim podupadł, dawał dochody i nikt nie wiedział, co się z tymi dochodami działo. Po śmierci bratowej, brata i bratanka odziedziczyła te zadłużone resztki prababcia Matylda, która Kręglewo sprzedała, ale przedtem podobno znalazła owe dochody. Krążyły plotki, że ta skąpa bratowa ukrywała pieniądze. W gotówce, w złocie. Prababcia Matylda zabrała je i też ukryła, bo działo się to tuż przed pierwszą wojną światową i nie chciała ich ujawniać. Możliwe, że część wydała na konie pradziadka Mateusza, a ukryła tylko resztę. No i teraz widać, gdzie...

Uczyniwszy gest w kierunku podłogi, Justyna zamilkła i napiła się wina. Rodzina przetrawiała informacje.

— Stryj Ludwik, oczywiście, nie miał o tym pojęcia? — spytał sucho Bolesław.

— Najmniejszego. Nikt nie miał pojęcia.

— To jest cud, że we wojnę nie przepadło — zauważyła pobożnie wsparta o kredens i słuchająca z uwagą Fela.

— Zaraz. Dała ci to ciotka Hortensja po śmierci stryja Ludwika na jego życzenie, tak? Czy on rzeczywiście chciał nas obdarować tym złotem? Miał przecież syna. Naturalnego spadkobiercę. Jak to należy rozumieć?

Justyna zastanowiła się. Znała swego męża i wiedziała doskonale, że prędzej by umarł niż dotknął cudzych pieniędzy. Ona też nie zamierzała podstępnie okradać krewnych. drugiej jednakże strony z pamiętnika prababci coś wynikało, a ten pamiętnik przypadł jej. I ten Błędów... Ale portrety przypadły synowi...

— Nie wiem — odparła uczciwie. — Możliwe, że stryj Ludwik... Nie, nie wiem. Prawnie powinno to należeć do Darka...

— Ale co też pani! — wybuchnęła oburzeniem Fela. — Panicza Darka całkiem nic nie obchodziło, jak pojechał precz, tak rodzinę miał za nic! Od Gieni wiedziałam! I dziecko za ostatnim razem nie wiadomo po jakiemu gadało! A dom sprzedał za psi pieniądz, nawet nie spytał, czy kto nie chce, wszystko poszło!

Połowę rzeczy na śmietnik wyrzucił i te i obrazy też by wyrzucił, żeby pani nie wzięła! Obcy całkiem! Obcemu się nic nie należy!

Pozycja Feli w rodzinie w żadnym wypadku nie pozwalała kazać jej zamknąć gęby i nie wtrącać się do rozmowy. Obraziłaby się śmiertelnie.

— Nawet gdyby Stefanek mówił po chińsku, prawo jest prawem — powiedział Bolesław sucho, ale grzecznie. — Można mniemać, że pamiątki rodzinne z całą pewnością zostałyby przekazane tobie, ale ich zawartość przeznaczyłby synowi. . .

W tym momencie brzęknął dzwonek u drzwi i Fela poszła otworzyć.

— A czy podarunek, jako taki, nie pozostaje podarunkiem nawet, jeśli okaże się czymś innym niż się wydawało? — spytał? ostrożnie Idalia. — Gdyby tatuś dał komuś stary płaszcz i okazałoby się, że w kieszeni tego płaszcza znalazł się portfel z majątkiem po przodkach. . . Czy tatuś by ten płaszcz odebrał?

— Płaszcz z pewnością nie. Ale nie rozważamy sprawy zwrotu obrazów. . .

— A portfel. . . ?

Bolesław zakłopotał się. W drzwiach salonu ukazała się Amelia, już świadoma sensacji, bo Fela nie omieszkała od progu posłużyć nowiną. Z miejsca dostrzegła skarb na podłodze.

— Hej, jak się macie? Cóż to za nowe znalezisko? O rany boskie. . . Dostanę wina?

Wyjaśnienia potrwały krótko, Amelia obejrzała pieciorublówki, nadgryzła jedną, usiadła przy stole i wzięła udział w obradach.

— Mój brat głupstwa mówi — orzekła beztrzesko, dyskredytując Bolesława. — Założmy, że to zostało po tym waszym ciotecznym dziadku Tomaszu, niech będzie, ale on miał przecież dwoje dzieci, nie? Ciotka Barbara to pies? O ile wiem, była rodzoną siostrą dziadka Ludwika?

— Była, istotnie — przyświadczyła żywo Justyna.

— A po ciotce Barbarze ty wszystko dziedziczysz. Zatem, gdyby zaakceptować Darka, połowa spadku należy do was. Ile tam tego jest?

Teraz dopiero rodzina zainteresowała się bliżej rozmiarami skarbu. Oderwano wszystkie pozostałe listwy. Obie ramy, przyozdobione mniej więcej równo, zawierały w sobie dwieście sztuk półimperiałów.

— To nie tak znów dużo ta skąpa wariatka sobie zaoszczędziła — zauważyła krytycznie Amelia. — Pięć razy dwieście, wszystkiego raptem tysiąc rubli. Co za to można było kupić?

— To zależy — odparła odruchowo Justyna. — Zdaje się, że prababci na trzy suknie by starczyło. Ale ona nosiła bardzo drogie suknie.

— I tak wątpię, czy tysiącem rubli dałoby się majątek uratować.

— Możliwe, że część tych oszczędności rzeczywiście poszła na konie — powiedziała w zadumie Idalia. — Zaraz po pierwszej wojnie światowej z końmi był okropny kłopot. Ten pra-pradziadek, dziadek dziadka Ludwika, nigdy już nie

zdołał odnowić swojej stadniny. Z dokumentów to wiem, razem z dziadkiem Ludwikiem robiłam porządek w papierach.

— Sto świnek, zdaje się, że mniej więcej po dwa i pół tysiąca — liczyła ciągle Amelia. — Dwieście pięćdziesiąt tysięcy, ćwierć miliona. Nieźle. Trzy używane samochody przyzwoitej marki, mieszkanie, dwa pokoje z kuchnią, dwa i pół tysiąca dolarów, to jest luksusowa podróż po Europie. . .

Justyna wyraźnie poczuła, jak jej się robi ciepło na sercu.

— W każdym razie uczyniłaś słuszną uwagę — zwrócił się Bolesław do siostry. — Połowa tego powinna należeć do ciotki Barbary, a zatem przechodzi na moją żonę. Przyznam się wam, moi drodzy, że doznaję dużej ulgi. . .

Dopiero po dobrej godzinie i rzetelnym uczczeniu znaleziska przypominano sobie, że obrazy miały zostać pozbawione ram w celu przewiezienia ich do renowacji. Po odjęciu owych szerokich listew nic już nie stało na przeszkodzie, żeby wyjąć malowidła z zewnętrznej oprawy. Niezbyt gadatliwy Andrzej ośmielił się wysunąć supozycje, że ta zewnętrzna strona również mogła zostać wybrukowana złotem, na co wskazywałby ciężar ogólny, i cała rodzina zainteresowała się wizerunkami przodków na nowo. Idalia uniosła płótno będące prawdopodobnie pradziadkiem, Justyna przyklekła nad hipotetyczną prababcia. Ujęła w dłonie sztywny obraz, podniosła go łatwo, wstała z przykleku i usunęła się na stronę, bo teść z zięciem jęli badać ramy.

Zewnętrzna ich część zawierała dokładnie to samo co wewnętrzna, dwieście złotych pięciorubłówek. Trudno już było ukryć euforię, Bolesław się rozpromienił, Idalia dostała wypieków, Amelia radośnie wyliczała dobra materialne, jakie nagle stawały się dostępne, Andrzej przyglądał się kupkom złota wzrokiem pełnym smętnej nadziei. Nikt nie zwracał uwagi na Justynę, ostrożnie lokującą na kanapie trzymany w dłoniach obraz.

Justyna zaś dziękowała Panu Bogu za tę chwilę odosobnienia. Plecy obrazu pod jej dłońmi poruszyły się, twarda, cienka dykta odpadła. Pomiedzy nią a tylną stroną płótna pojawiły się papiery. Równo rozłożona, gruba warstwa jakichś kopert, poskładanych na pół dokumentów i przewiązanych wstążeczką plików. . .

Nie miała najmniejszych wątpliwości, co to jest. Wołałaby stracić całą zawartość wyłożonych ram niż pokazać te papiery rodzinie. Ręce jej się trzęsły, kiedy w pośpiechu zgarniała je razem, w ułamku sekundy pożałowała, że nie ma na sobie sukni po prababci, obfitych falban, w których można by ukryć niedużego słońca, całość zdążyła wepchnąć pod jedną z poduch kanapy, nim wreszcie wszyscy odwrócili się ku niej. Usiadła na owej podusze.

— I mama nic o tym nie wiedziała, chociaż czytała mama te wszystkie pamiętniki prababci? — zdziwiła się Idalia z leciutkim zgorznięciem.

— Ogólnie wiedziałam — przyznała się Justyna. — Chociaż prababcia nie chwaliła się tym specjalnie. Dawała do zrozumienia, że coś gdzieś ukryła, ale nie napisała gdzie. A co do tych obrazów, to tylko podkreśliła, że nie wolno ich

sprzedać. Nie przyszło mi do głowy, że mogą być faszerowane.

— Tak to Pan Bóg porządność nagradza — wtrąciła się Fela. — Jak już narzecie pani się namyśliła, żeby starszych państwa umyć, proszę, zaraz się złoto pokazało. Dawno się należało, a już od kiedy gadanie było, od Gieni słyszałam, i tak ciągle nic.

— No to wreszcie coś — posumowała Amelia. — Co za to zrobicie?

Rodzina zajęła się rozpatrywaniem potrzeb i dzieleniem spadłego z nieba majątku. Justyna znów zamilkła, przyglądając się, jak Andrzej pod nadzorem Idalii pakuje elegancko dwa płótna, nie próbując ich zwijać i czyniąc z nich płaską pakę, okręconą prześcieradłem, bo papier pakowy nie istniał. Fela poświęciła sznur od bielizny. Malowidła zresztą, same, bez ram, były zupełnie lekkie.

Widok skarbu po skąpej Kręglewskiej dziabnął ją w samo serce wspomnieniem Błędowa. Jeśli tu znalazło się coś takiego, co mogło pozostać tam...?

Nie słuchała gadania uszczęśliwionej rodziny, zajęta jedną tylko myślą. Za nic w świecie nie wstanie z tej kanapy, dopóki wszyscy nie pójdą spać...

Kryjąc się przed wszystkimi z Felą włącznie, zaraz nazajutrz spróbowała zająrzeć ukradkiem do wydobytych spod poduchy papierów. Nie było to łatwe. Pod opieką miała Agnieszkę, dziewczynkę grzeczną, ale przerażająco żywą i ciekawą świata. Upodobanie do ściągania sobie na głowę wszystkiego, co znajdowało się wyżej, prezentowała zupełnie wyjątkowe i czas nieobecności Idalii Justyna spędzała chodząc za wnuczką i delikatnie, acz stanowczo, wyjmując jej z rąk wszelkie wazony, serwety, szkatułki, naczynia stołowe, lampy stojące, albumy z fotografiami, flakony z wodą kolońską, kryształowe popielniczki i szklanki z gorącą herbatą. Równocześnie z Idalią zaś wracała do domu reszta rodziny i potajemna lektura odpadała.

W ten sposób wcześniej pojawiły się z powrotem oba odrestaurowane portrety niż Justyna zdołała przeczytać więcej niż dwie luźne kartki, które zresztą robiły wrażenie urzędowych dokumentów i nie sprawiły jej żadnej przyjemności.

Portrety przyniósł Andrzejek. Cała rodzina zgromadziła się w celu obejrzenia wizerunków, ze szczególnym uwzględnieniem pra-prababci, podobno słynącej urodą. Plotki na temat owej urody leżyły się przez lata nie wiadomo jak i w końcu wszyscy w nie uwierzyli. Pra-pradziadek budził mniejszą ciekawość.

W milczeniu, nie oceniając na razie urody przodkini, Justyna wpatrywała się w popiersie młodej kobiety, doskonale oświetlone, zawieszane już na ścianie na dawnym miejscu. No owszem, dama była bez wątpienia urodziwa, miała na sobie suknię w stylu empire, angielskie loki okalały piękną, pełną słodyczy twarz, ale nie to wstrząsnęło przyglądającą się jej pra-prawnuczką. Oczu nie mogła oderwać od elementów dekoracyjnych.

Na obnażonym gorsie lśnił diamentowo-rubinowy naszyjnik z ogromnym,



rozczłonkowanym wisiolem, z uszu zwisały kolczyki, wymyślną fryzurę ozdabiały dwie spinki rozmiaru talerzyków deserowych, całe złożone z rubinów i diamentów, zmarszczony tiul na biuście spięty był dodatkowym klejnotem, wręcz budzącym wątpliwości, czy go sobie malarz nie wyimaginował. Z rozgoryczeniem Justyna pomyślała, że nie jest to portret pra-prababci, tylko reklama wystawy jubilerskiej. Czy ona nie mogła ubrać się do tego pozowania jakoś odrobinę skromniej...?

I po co ją było restaurować? Jeśli całe mienie po tej... kochanicy Napoleona... przeszło na prababcię Matyldę, wszyscy teraz zobaczą, ile ona, Justyna, straciła i zmarnowała przez głupią lekkomyślność, karygodną i nie do darowania. Nic z tego wprawdzie praktycznie nie wyniknie, ale w powszechnej opinii zejdzie do poziomu najgłupszych kobiet w rodzinie, a może nawet jeszcze niżej. Dotychczas cieszyła się ogólnym szacunkiem z racji walorów umysłu i charakteru, w porównaniu z taką Heleną, Hortensją, własną córką Maryną, z wariatkami jak Barbara i Amelia, świeciła wręcz własnym blaskiem, teraz okaże się, że bije rekordy w dół. Nie zniesie tego absolutnie!

Zarazem wystrzeżło w niej namiętne, masochistyczne pragnienie odczytania tej reszty papierów, dokumentów odkrytych na plecach pra-pra-prababci. Niech już dobije sama siebie, niech ostatecznie stwierdzi, że zaprzepaściła coś, co kiedyś było zapewne łatwe i proste i co mogło całej rodzinie zapewnić jedwabne życie...

Dotarły do niej dźwięki z zewnątrz.

— Przystojny chłopak był z tego waszego pra-pradziadka — mówiła z uznaniem Amelia do Idalii. — Sama bym na niego poleciała. Napoleońskie mundury były jednak twarzowe...

— Ale coś ty, jakie klejnoty, one to sobie wypożyczały do pozowania — pouczała Marynkę siostra Andrzejka, Beata.

— A bywało nawet, że facet malował oddzielnie babę, a oddzielnie biżuterię, tak jak z końmi było. Portret gościa na koniu, co ty sobie wyobrażasz, że ten koń tak godzinami stał w bezruchu?

— Ale naszyjnik to nie koń — upierała się Marynka. — Nie biega i nie skacze.

— Za to, w przeciwieństwie do konia, może być fałszywy...

— Kwestia gustu — krzywił się trochę Karol, brat Andrzeja. — No, brzydka nie jest, ale mnie się wydaje niemrawa.

— Taka była moda w owym czasie — zaopiniował Bolesław. — Wśród współczesnych mogła uchodzić za piękność. I zdaje się, że Napoleon lubił kobiety uległe...

— Ta moda empire była jednak okropna — skrytykowała Idalia.

— Państwo usiądą do stołu, bo grzanki zrobiłam i całkiem wystygną — zażądała energicznie Fela.

Justyna zorientowała się nagle, że w salonie są już wszyscy, przyszli nie wiadomo kiedy i w swoim zamyśleniu nawet tego nie zauważyła. W dodatku na pre-

cjoza prababci właściwie nie zwracają uwagi, zajmują się malowidłami ogólnie, no, poza Marynką. . . Jaka to inteligentna dziewczynka, ta Beatka. . .

Doznając nikłej ulgi, opanowała wewnętrzne emocje i podjęła obowiązki pani domu.

Nie tak zaraz zdołała zrealizować swoje namiętne pragnienie. Przedtem należało porozumieć się z Darkiem, tkwiącym gdzieś w Ameryce Południowej, załatwić sprawy Marynki, kupić mieszkanie dla Idalki, wspomóc Amelię. . . Potem nastąpiła przeprowadzka, która przeciągnęła się mocno, bo nowe mieszkanie wymagało przyzwoitego wykończenia, potem Darek został odnaleziony i osobiście przyjechał po swoją część spadku, a zamieszkał oczywiście u Justyny, która ledwo zdążyła pozbyć się córki i zięcia i właśnie zaczynała usuwać pozostałości po miejscu pracy Andrzejka. Ewa wróciła wprawdzie do matki, ale u babci wciąż jeszcze mieszkała Agnieszka, bo przy remoncie małe dziecko potrzebne jest jak dziura w moście. Tyle że nie było już z nią kłopotu, przestała ściągać sobie wszystko na głowę i bawiła się sama, najchętniej rozmaitym żelastwem.

Po dwóch latach dopiero życie wróciło do normy, Justyna pozostała z Boleśławem i Felą, i mogła wreszcie rozłożyć upragnioną i niewątpliwie denerwującą lekturę.

Korespondencji od cesarza w niej nie było. Paczka listów pochodziła od jakiejś przyjaciółki czy może kuzynki pra-pra-prababci i stanowiła odpowiedzi na wieści od niej oraz liczne rady i pouczenia. Wynikało z niej niezbitie, iż romans z Napoleonem był faktem, rozkwitł gwałtownie i trwał tak krótko, że historia nie zdążyła go zauważyć. Za to przypadł chyba na chwilę jakiejś rozszalałej szcudrośliwości cesarza, nie bardzo na ogół w tej dziedzinie rozrzutnego, bo pamiątki po zgasłych uczuciach runęły lawiną, wprawdzie raz tylko, ale za to obficie. Dostatecznie, żeby otrzeć najbardziej nawet gorzkie łzy i ukoić wszelkie boleści.

Emocje prababci Matyldy Justyna zrozumiała w pełni, odczytawszy kilka innych listów, pochodzących diabli wiedzą od kogo, ale chyba od kogoś z cesarskiego otoczenia. Jakiś może adiutant, może inny sługa i zausznik władcy, niewątpliwie śmiertelnie zakochany w pięknej adresatce, z goryczą wyjawiał wstydlive tajemnice. Rzeczywiście owe precjoza pochodziły z łupów wojennych, zapewne dlatego cesarz tak się nimi szastał, rzeczywiście niezbyt szlachetną drogą do jego rąk dotarły, i nic dziwnego, że kolejne prababcie wołały klejnotami ludzom w oczy nie świecić.

Znów lektura napotykała trudności, większość korespondencji bowiem pisana była po francusku. Na szczęście Justyna nie zdążyła znanego od dzieciństwa języka całkowicie zapomnieć i jakoś dała sobie radę. Przy okazji wyszło na jaw, że wtedy właśnie pra-prababcia dostała w prezencie Placówkę, cesarz kupił ją dla niej i na jej nazwisko, akt kupna i jakiś wypis notarialny świadczyły same za sie-

bie. Portret był malowany specjalnie dla Napoleona, za późno trochę, w chwili ukończenia cesarz już go nie chciał. Zarazem, dla niepoznaki i zmylenia przeciwnika, namalowano portret pra-pradziadka, któremu dostoyny władca pozwolił wrócić z jakichś tajnych wojaży. Znów trudno się dziwić sentymentom, dla których oba wizerunki przez wiek cały wisiły w owej pamiątkowej Placówce...

Pismo na owych wszystkich papierach było rozmaite, ale dość wyraźne i dało się odczytać bez wielkiego trudu. Znajome gryzmoły prababci Matyldy Justyna zostawiła sobie na koniec.

Wstrząsu doznała już od pierwszych słów.

*Do mojej prawnuczki to piszę...*

Boże jedyny! Do niej, wprost do niej skierowany list zza grobu czyta po... iluż...? Po czterdziestu...! Nie, więcej, przecież prababcia musiała to pisać równocześnie z ukrywaniem klejnotów, przed ostatnią wizytą w Placówce, w czasie pierwszej wojny albo nawet przed! Po przeszło pięćdziesięciu latach, więcej niż pół wieku, po dwóch wojnach światowych...! Z głupoty, z niedbalstwa, z lekceważenia...!

Nagle, po raz pierwszy w życiu, pojęła cel i sens walenia głową w coś twardego.

„Co za szczęście, że Feli nie ma” — pomyślała ponuro, otwierając kredens w kuchni i wyciągając napoczętą butelkę koniaku. — „To cud będzie, jeśli przez prababcię nie wpadnę w alkoholizm...”

Odetchnęła głęboko, uspokoiła się trochę i wróciła do zielonych bazgrołów.

*Jeśli czytasz te słowa, moja prawnuczko, znaczy miałaś dość rozumu, żeby zadbać o portret babki mojej, którego sprzedaży wyraźnie zakazuję. Jeśliby zaś kto inny to znalazł, nic wiedzieć nie będzie, bo wyraźnie o miejscu nie napiszę.*

*Spadek po mnie obejrzyj dokładnie. I pamiętaj, że przechodził z prababki na prawnuczkę albo z babki na wnuczkę, i o ten mi właśnie idzie. Tam klejnoty wszystkie ukryłam w sposób następujący:*

*Szafę jedną w bibliotece odchylić od ściany należy, a to w ten sposób, że we środku, nad półką najwyższą po lewej stronie ostatni kawałek szponki drewnianej ucisnąć trzeba tak jakby klamkę. Nad nią się mały zamek pokaże. W ów zamek włożyć kluczyk, który razem z moim pamiętnikiem się znajdzie, jeden z trzech na jednym kółku zawieszonych...*

Jak grom z jasnego nieba rąbnęło Justynę przypomnienie owych trzech kluczyków na jednym kółku, odkrytych w sejfie Ludwika razem z pamiętnikiem prababci. Na litość boską...!!!

Były tam. Leżały. Zajęta pamiętnikiem, w ogóle nie zwróciła na nie uwagi. Co się z nimi stało? Zaraz, chwileczkę, czy nie wzięła ich ciotka Barbara...?

Z wysiłkiem przypomniała sobie pierwsze, burzliwe, powojenne lata, dziką energię i ruchliwość ciotki Barbary, i krótką, wręcz niedostrzegalną scenkę. Barbara coś jej dała, położyła na biurku, coś mówiła przy tym. Oczywiście, o kluczyczkach z sejfu. „Wzięłam dla ciebie — powiedziała — masz tu obiekt historyczny, schowaj sobie”.

I Justyna schowała. Schowała z całą pewnością, odruchowo, bezwiednie i bezmyślnie. Dobry Boże, gdzie...?!!!

Pomyślała, że to ostatnie znalezisko przyprawi ją o zawał. Jakby specjalnie prababcia chciała jej wytknąć wszystkie błędy życiowe hurtem, jakby przewidziała zidiocenie prawnuczki i postanowiła ją srogo ukarać. Miała rację, co za jakieś zaćmienie umysłowe ją opętało, że tak zaniedbała najważniejszy legat! Jakim cudem znajdzie teraz te piekielne kluczyczki, po wszystkich przeprowadzkach, po przeróbkach i remontach, po nieprzeliczonych generalnych porządkach...

Zajrzawszy nerwowo do dwóch szuflad biurka, Justyna opamiętała się nieco. Kluczyczki nie zając, gdziekolwiek leżą... o ile leżą... same stamtąd nie wybiegną. Resztę życia poświęci poszukiwaniom, teraz jednak należy korespondencję od prababci przeczytać do końca.

Z koniakiem pod ręką mężnie podjęła dalszy ciąg lektury.

*... ten trzeba przekręcić w prawo dwa razy i całą szafę lewą ręką pociągnąć ku sobie. Nie otworzy się całkiem, tylko uchyli, by człowiek mógł się przecisnąć, i nie pomieści się tam osoba mocno korpulentna. Tak owa szafa jest uczyniona, że gdyby kto ją przemocą wyrwał ze ściany, mur tylko za nią zobaczy i nic więcej, jeśli jednakowoż kluczyczkiem pokręci, ów mur razem z nią się otworzy.*

*Po wąskich bardzo schodach zejść na dół potrzeba. Ale pamiętać, by nie stąpnąć na trzeci schodek od góry, bo ten zamknie owo przejście, którego od środka nijak się nie otworzy. Krzyki ani stukanie nic nie pomogą, bo ich nigdzie słyszeć nie będzie.*

*Na dole samym drugie drzwi się pokażą, ale nie wprost, tylko w murze ukryte. Cegłę wymacać należy, w prawo się obróciwszy, będzie to od lewej strony czwarta, a od dołu trzynasta, i tę wyjąć trzeba. Za nią jest zamek mały do otwarcia drugim kluczem z kółka. Ten w lewo dwa razy przekręcić trzeba, razem pociskając ręką trzecią cegłę na lewo, byle którą. Mur się znowu uchyli, a za nim jest wąski bardzo korytarzyk piwniczny, w prawo wiodący. Ale po lewej jego stronie pomieszczonko znajduje się małe, o którym się nie wie, w mniemaniu, że to już piwniczna ściana. Tu klucza nie trzeba, tylko cegły pocisnąć po kolei, od dołu licząc i od lewej strony siódmą i trzecią, potem trzy-*

*nastą i drugą, potem dwudziestą czwartą i trzecią, a potem razem obiema rękami znów trzynastą i trzecią. Jeśli kto się pomyli, nazad się wszystko zamyka i na nowo zaczynać trzeba.*

*Mur się otworzy do zewnątrz, na człowieka, z impetem wielkim, przeto uważać trzeba, by nie przygnoił. Odsunąć się trochę. Za nim zaś leżą w puzdrach i szkatułach klejnoty różne, ale nie wszystkie.*

*Owym korytarzykiem w prawo przecisnąć się daleko bardzo, bo on za dom wychodzi, aż do altany. Na końcu ma drzwi zwyczajne, żelazne, i te się otwiera trzecim kluczem, ale nim kręcić trzeba raz w prawo, trzy razy w lewo, znów w prawo cztery razy i wreszcie w lewo dwa razy. Otworzą się. Za nimi pokoik troszeczkę szerszy i w nim reszta mienia, ale powrotu nie ma, jeśli drzwi się zamkną, a zamykają się same. Chcąc wyjść tą samą drogą, kamień należy położyć, by zamknięciu przeszkodzić.*

*Druga jest droga przez altanę. W niej na ścianie jednej dużo kamieni wystaje, jakby dla ozdoby. Te pociskać należy, też od dołu i od lewej strony licząc, w takiej kolejności: trzeci i siódmy, ósmy i czwarty, szósty i piąty, aż razem dwa ostatnie, dziewiąty i trzeci z siódmym i czwartym, co da się rękami łatwo dosięgnąć. Wtedy posadzka w kącie się zapada, schody w dół się pokazują i nimi dojść można do drugich drzwi, tym samym trzecim kluczem i takim samym sposobem otwieranych. Ale tu znów uważać trzeba, bo jeśli się zamkną, nie dość że od środka otworzyć się nie da, to jeszcze zamyka się owa zapadnia w posadzce i ślad nawet nie zostanie.*

*Wszystkom to uczyniła, by złoczyńców uniknąć, a pomógł mi Niemiec z Petersburga pod pozorem zaprowadzania owych nowości elektrycznych i rur do wody kładzenia. Po polsku nie umiał, po rosyjsku słabo bardzo, przeto z nikim nie gadał, bo ledwo Poldzio trochę niemieckiego języka chwycił, a jego przy tych robotach nie było, tylko tego, co na wierzchu, pilnował.*

*Jeśli nawet dom cały zburzony zostanie, jeszcze te podziemne roboty mogą ocaleć.*

*Liczby wszystkie dla pamięci na oddzielnym karteluszkę spisałam i te w książce zostały specjalnie, bo jeśli jedno w jednym miejscu zaginie, drugie w innym może się zachować. Jest to powieść pana Hugo „Les misérables” i tej strzeż jak oka w głowie. . .*

Na wspomnienie opisów panny Dominiki, jak to pan Pukielnik, już wszystko jedno który, starszy czy młodszy, w bibliotece przesiadywał i książkami się interesował, Justynie prawie zrobiło się słabo. Znów musiała wspomóc się koniakiem. No, owych kluczy nie miał. . . Ale może dysponował wytrychami. . . ?

Podniosła się od biurka w sypialni i poszła do salonu. Wzrokiem posępnym i pełnym rozpaczy popatrzyła na lśniący nowością portret pra-pra-prababci. Zaraz, jak ona miała na imię...? A, prawda, Gabriela. Rubiny i diamenty na wizerunku malarz wyeksponował jakby na złość, odpracował detalicznie, wręcz z lubością, podlec jakiś. Świeciły niemal jak prawdziwe. Kochał ją ten łobuz, Napoleon, może tylko przez trzy dni, ale za to ognićcie...

I nie miała prababcia Matylda nic lepszego do roboty, tylko po Wiedniach i Paryżach precjozami cesarskimi szyku zadawać...!

Wróciła od biurka, zużyła jeszcze trochę koniaku i przestała sobie czynić wyrzuty. Trudno, przepadło. Nawet jeśli to wszystko nadal tam gdzieś leży, teraz już jest jej niedostępne. Chyba żeby się zakraść podstępnie, bez względu na to, co się obecnie we dworze znajduje... A, może nic, konserwacja zabytków podobno wkroczyła, jest duża szansa, że pusty dwór spokojnie sobie niszczeje, czekając lepszych czasów lub też ruiny ostatecznej...

Prababcia dołożyła jeszcze trochę tekstu.

*Ja już, moja prawnuczko, używać tych klejnotów nie będę, ale ty możesz. Choć tam monogramy cesarskie, ale po tylu latach nikt pretensji nie zgłosi. W wojaże żadne się nie wybiorę, bo choć zdrowie mi dopisuje, to jednak sił i chęci braknie. Hania, córka moja, głupia, wnuczka Dorotka sztywna jakaś i niemrawa, może ty trochę fantazji okażesz. W testamencie zadbam, byś swoje dostała...*

Tu Justyna przypomniała sobie nagle, że przecież nie do niej ten list był pisany, tylko do jej starszej siostry, Heleny. No, jeśli na rozum Heleny prababcia liczyła...

Znów pomyślała o sobie i wstręt ją ogarnął. Odsiedziała przy biurku jeszcze dobrą godzinę, bezskutecznie starając się uporządkować myśli. Podniosła się wreszcie, z wszystkich pozostałości po panie Dominice i prababci zrobiła wielką pakę, okleiła ją plastrem opatrunkowym, dodatkowo obwiązała sznurkiem i najzwyczajniej w świecie upchnęła na dolnej półce staroświeckiej etażerki, stojącej w dawnej sypialni Idalki i Andrzeja.

Po czym, wbrew sobie i z wielką niechęcią, przystąpiła do szukania kluczy na kółku...

\* \* \*

Od swoich najmłodszych lat Agnieszka słyszała mnóstwo gadania o pieniądzach.

Z gadania wyraźnie wynikało, że stanowią one podstawę i świat na nich stoi. Likwidują wszelkie kłopoty, decydują o ludzkiej egzystencji, rozwiązują problemy i ułatwiają wszystko, bez nich zaś życie robi się okropnie skomplikowane i niezdalnie trudne.

Jako dziecko grzeczne i dobrze wychowane, nie wtrącała się do rozmów osób dorosłych, siedziała przy stole cicho i tylko pilnie słuchała. Dzięki czemu w wieku dwunastu lat, na imieninach babci, zapamiętała sobie niezwykłą uwagę, jaka przy owym stole padła.

Najpierw była mowa o Ewie, jej ciotecznej siostrze, która świeżutko uzyskała pełnoletność, przed dwoma tygodniami zaledwie wyjechała na wycieczkę do Wiednia i właśnie wyszło na jaw, że już nie wróci. Wybrała wolność. Wyjdzie tam za męża i dostanie zezwolenie na pracę, zapewne w jakimś hotelu. Nikt się na nią zbyt nie oburzał, bo wiadomo było, że cokolwiek by robiła, z pewnością zarobi więcej pieniędzy niż tu.

Z Ewy rozmowa jakoś automatycznie przeszła na żonę stryja Karola, brata ojca Agnieszki. Od stryja Karola jakiś czas temu owa żona uciekła, zabierając ze sobą trzyletniego syna i łącząc się węzłem pozamałżeńskim z tureckim handlowcem. Takie słowa Agnieszka słyszała już wcześniej i również zapamiętała doskonale. Skąd wytrzasnęła tureckiego handlowca, nikt nie miał pojęcia, ale pewne było, że on się dziko zakochał w korpulentnej blondynce, ją zaś skusił pierścieniem z brylantem i diamentowy naszyjnik. Stryj Karol na pierścienie i naszyjniki nie mógł sobie pozwolić. Właśnie ostatnio dostał od niej list.

— Z wielką satysfakcją wytyka mi różnicę majątkową, moją i pana Selima czy jak mu tam — rzekł z westchnieniem.

— Nie umygam się do niego, ponadto płomienne uczucia Wschodu zdecydowanie przerastają chłód uczuć europejskich. . .

— Płomienne uczucia już w niej przecież szalały, te do ciebie — zauważyła zgryźliwie cioteczna babka Amelia.

— A tak, ale to było wtedy, kiedy wasza pra-prababcia sypnęła złotem ze ściany. Złoto nie wytrzymało konkurencji z diamentami i uczucia odbiegły w stronę dal. . .

Te ostatnie słowa zaciekały Agnieszkę nadzwyczajnie. Cóż to za sprawa ze złotem, sypiącym się ze ściany? Niczego podobnego nie pamiętała, zapewne taki cud nastąpił jeszcze przed jej urodzeniem? Dyskretnie rzuciła okiem na dwa stare portrety rodzinne i postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej o niezwykłym wydarzeniu.

Zaraz nazajutrz nie wróciła do domu prosto ze szkoły, tylko udała się z wizytą do babci i dziadka. Była pewna, że o tej porze zastanie ich w domu. Prawdopodobnie nawet zaproszą ją na obiad, a matkę o jej obecności zawiadomią przez telefon. Z wczorajszych imienin został tort i szarlotka. . .

— Babciu — spytała grzecznie, jawnie spoglądając na portret staroświecko

ubranej damy. — Jak to było z tym złotem, które prababcia sypała ze ściany? Bo to jest prababcia, nie?

Justyna wzdrygnęła się lekko, ale tylko wewnętrznie. Przypomniała sobie nagle, jak u Marynki w szkole przeszło ćwierć wieku temu wybuchła awantura przez kochankę Napoleona.

— Skąd ci coś podobnego przyszło do głowy?

— Stryj Karol wczoraj mówił, że prababcia sypała.

— Dla ciebie jest więcej tych pra. Czeka, policzę, ile to wychodzi... Dla mnie... dla prababci... i w drugą stronę... Pięć. Dla ciebie to jest pra-pra-pra-pra-prababcia.

Agnieszce spodobała się ta ilość przodkiń w prostej linii. Lubiała przeszłość, zamiast bajek domagała się opowieści o zamierzczłych czasach i wydarzeniach, wszystko jedno jakich, drobnych czy ważnych. Celowała w tych opowiadaniach babcia, niekiedy uzupełniała je cioteczna babcia Amelia, a czasem dorzucał swoje dziadek. Nikt inny nie wiedział tyle co oni.

— No więc, babciu, bardzo dobrze, to jak ona sypała? I kiedy to było? I jak to wyglądało? Opowiedz!

— Teraz zaraz? Za chwilę będzie obiad.

— Zaczynaj teraz, a resztę po obiedzie. Bo potem muszę wrócić do domu i odrabiać lekcje.

W czasie obiadu mógł się wtrącić dziadek i uzupełnić tajemniczą historię, która w ten sposób byłaby jeszcze ciekawsza. Agnieszka bardzo na to liczyła.

Justyna dała się przekonać bez trudu. Już od pewnego czasu dostrzegała we wnuczce historyczne upodobania, bliskie jej własnym. Obawiała się ich trochę, całą jej klęskę życiową, dotychczas utrzymaną w sekrecie, Agnieszka mogła kiedyś wykryć i ujawnić powszechnie, że szacowna rzekomo babcia de facto była idiotką, niegodną nawet potępienia. Gdybyż przynajmniej zachowała to przy sobie...! Na wszelki wypadek Justyna wołała nie narażać się wnuczce i pozostać z nią w jak najściślejszej przyjaźni.

— No dobrze. Zaczęło się to wszystko okropnie dawno temu... .

Zgodnie z nadziejami Agnieszki cudowna opowieść przetrwała cały obiad razem z deserem i cały poobiedni odpoczynek. Dziadek zaczął się wtrącać pod koniec.

— Od początku należało się zastanowić, skąd ten okropny ciężar — mówił z niezadowoleniem. — Nawet najtwardsze drewno znacznie mniej waży. A było to przecież przenoszone dwa razy i nikomu nic do głowy nie przyszło. Nie dość na tym, po rozdlubaniu pradziadka należało od razu pomyśleć o prababci, bo przecież oba obrazy ważyły jednakowo, a my nic. Długo jeszcze prababcia leżała... .

— Nie, to nie tak było — przerwała mu babcia. — Nikt nie pomyślał, że i druga strona może być wyłożona złotem... .



— To właściwie miałem na myśli. Bo ta połowa byłaby lżejsza. . . To chyba Andrzej uwagę uczynił, bo też nosił i ten ciężar ocenił. . .

— Tatuś? — upewniła się cichutko Agnieszka.

— Tak, twój tatuś. Zgadł, że tam jest tego więcej. No i było. . .

— I, niestety, niewiele nam z tego przyszło — westchnęła babcia i jakby ugryzła się w język. — No, może przesadzam. Mieszkanie własne z tego macie i samochód. . .

— I Placówkę — przypomniał dziadek ponuro.

Agnieszka nie wnikała na razie w sposób rozchodowania owego złotego strumienia ze ściany. Całe wydarzenie podobało jej się niezmiernie, a wartość dóbr nie docierała do niej w pełni. Z pewnością nastąpiły potem jakieś komplikacje z pieniędzmi, oczywiście, normalna rzecz, znów pieniądze. . .

Usatysfakcjonowana wróciła do domu.

\* \* \*

Kiedy przyszła do nich z wizytą zapłakana przyjaciółka matki, Agnieszka miała już trzynaście lat i kwestie pieniężne nie były jej obce. Natykała się na nie na każdym kroku, także w szkole, gdzie odzież niektórych koleżanek, jako też i tryb życia niektórych kolegów, mówiły same za siebie. Nie zaliczała się do tych najgorszych, cóż znowu, ale byli i lepsi. Niby nic, niby obojętny był status finansowy, liczyły się inne wartości, ale w gruncie rzeczy. . . Agnieszka umiała patrzeć pilnie, dostrzegać szczególiki i wyciągać wnioski.

Przyjaciółka matki była tak znękana i tak zdenerwowała panią Idalię, że obie zupełnie zapomniały o obecności Agnieszki w domu i nie zwracały na nią najmniejszej uwagi. Oto przyjaciółkę porzucił mąż, choć ściśle biorąc nie był to ślubny mąż, tylko stały konkubent, tworzący z nią stadło już od czternastu lat. Posiadany, zdawałoby się, na zawsze. A tu cios i grom z jasnego nieba.

— I tak mi się wydaje — mówiła zestresowana i roztrzęsiona pani Halinka — że o pieniądze poszło. Straciłam wszystko i od tego momentu on mnie nagle przestał kochać. . .

— Czy nie przesadzasz? — przerwała zaskoczona i nawet jakby nieco zgorziona pani Idalia. — On był przecież zawsze taki bezinteresowny!

— Bezinteresowny! Akurat! Udawał takiego. Wiesz, z kim zamieszkał? Ze Świerczykową!

— Niemożliwe! Z tym potworem?!

— Ten potwór jest wdową po milionerze i posiada willę, mercedesa, knajpę na Pradze i dwa kilo biżuterii ze Związku Radzieckiego. I kilometr kwadratowy

szklarni, które komuś dzierżawi. Wiem, bo bez mała codziennie dzwoniła, żeby jej rad udzielał. No to poszedł udzielać bezpośrednio i zobaczysz, jeszcze się z nią ożeni!

— A właściwie dlaczego nie ożenił się z tobą...?

Zniechęcona nagle pani Halinka wzruszyła ramionami.

— Bo mu się sprawa rozwodowa ciągnęła prawie do tej pory. A ja za nią płaciłam. Teraz pani Naścia zapłaci więcej i wyrok się uprawomocni przed terminem. Zobaczysz.

— Nie do wiary — powiedziała pani Idalia ze zgrozą i nalała przyjaciółce kieliszek brandy. — A już myślałam, że na świecie istnieje chociaż jeden przyzwoity człowiek. Z drugiej jednakże strony trudno uwierzyć, że poleciał na jej intelekt i urodę. Przecież to prymityw! A jeszcze w porównaniu z tobą...?

Pani Halinka siąknęła nosem, ponownie wzruszyła ramionami i wypła brandy. Agnieszka sama gotowa była zadać podobne pytanie, bo przyjaciółka matki, mimo nader podeszłego wieku, prawie całych czterdziestu lat, wyglądała na młodą dziewczynę i była bardzo piękna. Twarz, figura, śliczne nogi... I umysł miała błyskotliwy. No, może w tej chwili prezentowała się gorzej, ale to wynik obfitych łez i przygnębienia, stan przecież nietrwały... .

— Więc dlatego, moja droga, zaczęłam wreszcie podejrzewać, że w grę wchodzi po prostu pieniądze. Niby nigdy ich nie chciał, ale zawsze używał. Sama je w niego pchałam. A teraz się urwało, nie mam co pchać, przez ten stan wojenny straciłam szansę na wyjazdy, samochód mi się rozleciał, z pracy mnie wygryźli, bo za dużo wiedziałam, dobrze jeszcze, że mi łba nie ukręcili, chociaż teraz już mi wszystko jedno. Pożytek ze mnie żaden, a pani Naścia na żywej forsie siedzi... .

Pani Idalia pokręciła głową, westchnęła i też wypła kieliszek brandy. Musiała się rzetelnie przejąć, bo zazwyczaj nie używała alkoholu. Ta napoczęta butelka brandy stała w kredensie już chyba pół roku, a spotkania towarzyskie odbywały się przy kawie i herbacie.

— Że też nic ci nie dał przykład Maryny! — powiedziała gniewnie i z wyrzutem. — Znałaś przecież sprawę?

— No i co z tego? — odparła smętnie pani Halinka i podsunęła przyjaciółce pusty kieliszek. — Spieszona jestem, mogę się nawet upić... . Przecież sama wiesz, że takie rzeczy spadają zawsze na kogoś innego, nas nie dotyczą. Wierzyłam w niego jak w ewangelię... . A Maryna, czy ja wiem... . Skąd właściwie miała wiedzieć, że trafia na pijawkę?

— Należało się przynajmniej zabezpieczyć... . Agnieszka nie знаła dokładnie sprawy ciotki Maryny.

Teraz właśnie doznała nagłego skojarzenia, prawda, przecież to przez nią podobno rodzina straciła wszystkie pieniądze razem z tym złotym strumieniem ze ściany. Ciekawe, jak to było, matka nie powie, nie lubi takich zwierzeń, może babcia albo sama ciotka Maryna... ?

Ciotkę Marynę Agnieszka wzięła podstępem.

Miesiąc ożywionej akcji w szkole pozwolił jej zdobyć prawdziwą arabską chałwę, dostarczoną przez jednego ojca, przebywającego na kontrakcie w Libii. Zapłaciła za tę chałwę trzema wiązkami szparagów, wycyganionych od wujka Jurka z Kośmina, dokąd udała się na rowerze, co zajęło jej czas od piątkowego popołudnia do niedzielnego wieczoru i pozwoliło doskonale poznać własną anatomię. Miała wrażenie, że każda kość i każdy mięsień przemawia do niej wielkim głosem.

Podleczywszy się z tej konwersacji biologicznej, poszła z chałwą do ciotki Maryny.

— Bo tylko ciocia to naprawdę lubi — powiedziała wdzięcznie już od progu. — A jakby zjadł byle kto, toby się ta chałwa właściwie zmarnowała. Wiec przyniosłam.

— Dziecko, przecież ja się odchudzam! — jęknęła ciotka Maryna, łapczywie i z roziskrzonym wzrokiem chwytając przysmak.

— Nic nie szkodzi. Przecież codziennie ciocia chałwy nie jada. A raz na dziesięć lat, to nawet derwisz nie utyje.

Argument był nie do odparcia. Sylwetka derwisza wydała się Marynie tak pociągająca, że natychmiast skojarzyła ją z chałwą i ostro przydeptała wyrzuty sumienia. Agnieszka mogła teraz rozmawiać z nią na dowolne tematy.

Dowiedziała się zatem, że w czasach zupełnie zamierzchłych, wręcz historycznych, rodzina była bardzo bogata. Wojny zmieniły ten stan na gorsze. Ostatni zastrzyk finansowy, ostatnie mienie przodków wpadło im w ręce właśnie wtedy, kiedy pra-pięć razy-babcia sypnęła złotem ze ściany. Już się wydawało, że uda się tym odbić od dna, ale niestety, połowę zabrał współspadkobierca, kuzyn Darek z Ameryki, a drugą połowę. . .

Tu Agnieszka musiała sobie dużo dośpiewać sama, bo ciotka Maryna z całej siły próbowała się wybielić. Podkreślała z naciskiem, że dzięki tym pieniądzom Amelia się urządziła, rodzice Agnieszki spłacili długi i kupili mieszkanie, opróżnili tę rudere w Placówce i zdołali za nią zapłacić podatki, no i ona sama. . .

Aż wreszcie nie wytrzymała i ułało jej się. Najpierw spłaciła swojego rozwiedzonego męża, dzięki czemu mieszkanie zaczęło należeć wyłącznie do niej, a potem, niestety, wyszła za mąż drugi raz i mąż okazał się niedobry. Ściśle biorąc, był istnym potworem. Oszukał ją jakoś tak dziwnie, że musiała wydać straszne pieniądze, żeby się go pozbyć. Poszło na to właśnie złoto ze ściany. . .

— A mieszkanie. . . ? — spytała w tym momencie Agnieszka, rozglądając się po dwóch skromnych pokojach z kuchnią.

Okazało się, że mieszkanie było znacznie większe, trzypokojowe, i ciotka Maryna musiała je zamienić na mniejsze, to właśnie, bo nie miała już pieniędzy. . .

No tak. Rzeczywiście sprawa ciotki Maryny stanowiła kliniczny przykład władzy pieniądza. Ładnie by wyglądała z tym jakimś zwyrodnialcem, gdyby nie mo-

gła mu zapłacić. . .

Krótko potem przypadek sprawił, że Agnieszka złapała świnkę akurat, kiedy w domu jej rodziców nastąpiła awaria centralnego ogrzewania. Świnka to choroba długotrwała i wymaga ciepła. Temperatura ośmiu stopni powyżej zera wydawała się dla chorej nieodpowiednia, przewieziono ją zatem do dziadków i tam została na cały czas remontu urządzeń ogrzewczych, które zaczęły doskonale działać dokładnie w chwili nadejścia ciepłej wiosny.

Okres rekonwalescencji spędziła czarownie. Poszukując starych czasopism do czytania, trafiła na wielką pakę, którą rozkopała z ciekawości, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni. Do głowy jej nawet nie przyszło, że babcia mogłaby tak zwyczajnie, na wierzchu, trzymać wielkie tajemnice.

Jako pierwsza wpadła jej w ręce wielka, czerwona księga, której tekst był doskonale nieczytelny, razem z księgą jednakże ułożony został ogromny plik kart, zapisany częściowo ręcznie a częściowo na maszynie. Agnieszka od razu zorientowała się, iż oba dzieła zawierają tę samą treść. Była dzieckiem inteligentnym i myślącym. Przyjrząwszy się podwójnej lekturze, pojęła, iż jest to autentyk, najprawdziwszy w świecie pamiętnik pra-pra-prababci, przez kogoś rozumnego przepisany. Zaczęła czytać zachłannie i od tego momentu stała się stracona dla świata.

Miłość jest sprawą ulotną, tak naprawdę świat stoi na ekwiwalencie wymiernym. Pogląd w tej kwestii, wraz z upodobaniem do historii, ugruntował się w niej ostatecznie, poparty zdaniem pra-pra-prababci Matyldy. Dramat nieszczęśliwej Zosieńki, wystawionej rufą do wiatru przez pana Wacława, Petronela, porzucona dla pieniędzy przez lokaja, sama pra-pra-prababcia, śmiertelnie wystraszona perspektywą interesownego mariażu, wreszcie upiorna sytuacja zmaltretowanej Zeni. . . Jedno za drugim świadczyło o tym samym i nie zostawiało miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości.

Zdążyła dotrzeć aż do zbrodni pana Pukielnika, kiedy Justyna zorientowała się nagle, jakiej to lekturze oddaje się jej wnuczka. Nie zauważyła tego wcześniej, chociaż Agnieszka ze swoim zajęciem wcale się nie kryła. Ale, z natury porządna, wyjąwszy do czytania jedno, resztę elegancko poukładała na dolnej półce etażerki, dzięki czemu nie było żadnego bałaganu i rozkopanie paki nie rzucało się w oczy.

Stwierdziwszy straszny fakt, Justyna nie zrobiła awantury i nie wydarła wnuczce z rąk własnego rękopisu, aczkolwiek prawie dech jej zaparło. Zadziałała radykalnie. Obudziwszy się nazajutrz rano, Agnieszka zastała na etażerce wyłączony albumy z fotografiami i nic więcej. Cudowne czytało zniknęło.

Popędziła do babki.

— Babciu, co się stało? Tam były takie piękne rzeczy do czytania, gdzie się podziały? Czy ty to zabrałaś? Dlaczego?!

— Ponieważ jeszcze żyję — odparła Justyna lodowato. — I póki żyję, nie

udostępnię tego nikomu. Możliwe, że nawet zabiorę ze sobą do grobu. Musisz się z tym pogodzić.

Agnieszkę niemal замуrowało.

— No nie... No dobrze, ale dlaczego...? Justyna zawahała się.

— Powiedziałyby ci nawet dlaczego, ale przez usta mi to przejść nie chce. I chyba nie przejdzie. W każdym razie... Nie. I lepiej mnie o to nie pytaj.

Przy ostatnich słowach głos babci zabrzmiał tak, że Agnieszka nie ośmieliła się nalegać. Stłumiła bunt i żal, nie próbowała nawet podstępnie odnaleźć ukrytej gdzieś lektury, ale przeczytane zapadło jej w pamięć na zawsze. Świat stał i stoi na ekwiwalencie wymiennym...

\* \* \*

Justyna złamała się dopiero tuż przed samą śmiercią. Tradycyjnie wybrała wnuczkę, która i tak już napoczęła ukrywane rękopisy, poza tym przejawiała właściwe cechy, jakich brakowało co najmniej kilku pokoleniom. Napisała testament, zamieściła w nim dodatkową klauzulę i wydłubała z siebie odrobinę prawdy.

Dwudziestoletnia już wówczas Agnieszka z niewyraźnych i ledwo szeptanych zwierzeń babci zrozumiała, że owe papiery, odebrane jej siedem lat temu, teraz ma przeczytać, i nie tak całkiem sobie a muzom, tylko w jakimś celu. W jakim, na Boga...?

Tego już babcia nie wyjawiała. Miała na myśli coś, co ją ciągle dławilo i co Agnieszka powinna odgadnąć. Zagadka stanowiła fragment spadku.

Przyjęła ów spadek z dobrodziejstwem inwentarza. Odziedziczyła mieszkanie z całą zawartością, przeciwko czemu nikt nie protestował, nawet złotodajna prababcia pozostała na ścianie. Dziadek już nie żył, umarł wcześniej, obiektem ruchomym w lokalu była tylko Fela, młodsza od babki, wciąż pełna życia i siły, czyste błogosławieństwo, cudem chyba przywiązane do rodziny. Dobiegała siedemdziesiątki, a ruszała się tak, jakby była o dwadzieścia lat młodsza. Agnieszka zaproponowała jej emeryturę bez obowiązków, ale Fela nie chciała.

— Co też panienka — rzekła ze zgorzaniem. — Emeryturę to ja mam tu, teraz te wszystkie wynalazki, to żadna robota. U syna nie chcę, bo tam gorzej, zaraz by mi ten łaskawy chleb kością w gardle stanął. A tu przywykłam, suchych konfitur trząchać nie muszę.

Ostatnie zdanie błysnęło Agnieszce jakimś wspomnieniem. Zastanowiła się i w pierwszej kolejności ją szukać zapomnianego już nieco pakunku. Znalazła, go w starym tapczanie.

Studiowała, oczywiście, historię, najbardziej zainteresowana średniowieczem.

Dzieje ostatnich Piastów stanowiły dla niej bez mała sens życia. Wciąż jeszcze finansowali ją rodzice, ale wyraźnie już widziała, że ich zarobki na wszystko nie starczą i nawet zastrzyki pieniężne ciotecznej babki Amelii, znanej i cenionej fotograficzki, prędzej czy później muszą się skończyć. Cioteczna babka Amelia, chwalić Boga, przekroczyła siedemdziesiątkę i aczkolwiek talent jej przez to nie zdechł wcale, to jednak sił jej już trochę brakowało. Pogoń za obiektami odpadała, modele musiały przyjść do niej. Lada chwila Agnieszka mogła zostać pozostawiona samej sobie.

Studia historyczne możliwości finansowych nie stwarzały. Języki obce, szczególnie tradycyjny w rodzinie francuski, wystarczały na jej potrzeby, ale nic dalej. Mężczyźni, wedle jej wiedzy, nie wchodzili w rachubę. A z czegoś przecież musiała żyć, opłacać Felę, płacić za wszelkie świadczenia, z telefonem na czele. . .

Mogła jeszcze w swoim ogromnym mieszkaniu wynająć komuś ze dwa pokoje, ale to zostawiła sobie jako ostateczność. Nie chciała wynajmować. Lokal po babkach i prababkach został uratowany z zawieruchy wojennej i ustrojowej, i stanowił ostatnią isierkę dawnego dobrobytu. Za wszelką cenę usiłowała zachować całość nie tylko dla siebie, ale także dla przyszłych pokoleń, tych, które przyjdą po niej.

Wyrosła na piękną dziewczynę. Może nie tyle piękną, ile dorodną. Metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, sześćdziesiąt dwa kilo wagi, mięśnie ukryte pod płynną, łagodną linią, twarz, przy której brzoskwinia robiła złe wrażenie. . . Kiedyś, przyglądając się jej, matka, kobieta podobnej postury, uczyniła zwierzenie, mianowicie chciała kiedyś zawodowo jeździć na koniach, niestety, za dobrze wyrosła i mowy nie było o utrzymaniu wagi. Nawet jako szkielet byłaby chyba za ciężka. Agnieszka przy konnej jeździe nie upierała się przesadnie, aczkolwiek lubiła ten rodzaj sportu, mogła jeździć na półkrewkach, na arabach, na koniach starszych. . . Proszę bardzo, wujek Jurek miał konie, jeździła czasem u niego, słuchając, jak to niegdyś konie stanowiły zasadniczy punkt egzystencji rodziny. Bywała nawet czasem na wyścigach i, śmieszna rzecz, jakoś zawsze umiała zagrać na te, które pierwsze przychodziły do mety. Podobno tę cechę odziedziczyła po pra-pra-pradziadku. . .

Chciwie rozkopując dodatkowo zabezpieczony toból, wydobyty z tapczanu babci, zastanawiała się, czy przypadkiem wyścigi nie mogłyby stać się dla niej źródłem dochodu. Może do tej pory lekceważyła możliwości? Jeśli te pra-pra-dziadkowe geny ciągle działają. . . ?

Pakunek oklejony był plastrem opatrunkowym, nader trudnym do oderwania. Odszarpując go obcęgami, szukając nożyczek i przecinając warstwy ochronne, Agnieszka, bez racjonalnych powodów, przebiegała myślą swoich partnerów życiowych. Nie było ich wielu, trzech zaledwie. Jarek, uroczy chłopak, w którym się zakochała śmiertelnie, mając szesnaście lat, i który głądził głupoty o dowodach miłości, usiłując pozbawić ją cnoty. Nie chciała, coś w niej stawiało opór.

Obraził się i puścił ją w trąbę powietrzną tak haniebnie, że zemściła się na następnym, może niesłusznie, Rysio to był, nieśmiały i zakochany, wymagań nie miał żadnych, aż ją nawet zdenerwował uległością i o mało co sama go nie zmusiła do jakiejś energii, ale szczęśliwie nic z tego nie wyszło. I teraz, ostatni, Tomasz... Kończył prawo. Zachował się jak trzeba, błędu żadnego nie popełnił, zmiłuj się Panie, chciałaby tego Tomasza nawet na zawsze. Żyła z nim...? Wielkie mi życie, te kilka razy... Ale chyba coś w tym było...

Ochronne warstwy pękły, Agnieszka oderwała się od swoich stanów uczuciowych i niecierpliwie sięgnęła do wnętrza tobołu. Odnalazła czerwoną księgę, znajomy manuskrypt, ujrzała dokumenty i listy...

— Panienska by co nie zjadła? — spytała podejrzliwie Fela mniej więcej o wpół do dziewiątej. — Od czwartej godziny panienska tu siedzi, ja to dobrze widzę, pani Justyna też tak potrafiła, ale kolację zjeść trzeba. Nie mówię, że dużo, tylko omlet z pieczarkami zrobiłam, żadne jedzenie, ale zawsze. Póki gorące, właśnie dochodzi...

— Felu — spytała Agnieszka z płomieniem na twarzy — czy mamy w domu jakieś wino?

— A co też panienska mnie pyta, toż zostało jeszcze nawet i po pani Barbarze. To już ma z pięćdziesiąt lat. Chce panienska do tego omletu?

— Chcę — powiedziała Agnieszka uroczyście. — Pod warunkiem, że Fela napije się razem ze mną. Felu, zjemy wspólnie kolację stulecia...

\* \* \*

Z ogromnym wieńcem poszła Agnieszka na grób Justyny, nie umiejąc wykombinować innego sposobu uczczenia babci, istoty genialnej, która w ostatniej chwili przepisała pamiętnik pra-pra-pra... zaraz, na litość boską, ile tych pra...? Prababcia babci, zatem chyba tylko trzy...? Mamusia babci, prababcia, babcia, pra-pra, prababcia, pra-pra-pra... Zgadza się, trzy. Przepisała zatem pamiętnik pra-pra-prababci, który w tej chwili byłby już nie do odczytania. Co za atrament idiotyczny w tamtych czasach istniał?! Czarny istniał również, zachował się, pan-na Dominika pisała czarnym, wyraźnie i porządnie. Dlaczego prababcia, do diabła, zielonym...?

Ciekawe, jakim cudem babcia odczytała to coś, co robi wrażenie płasu po papierze pijanej muchy? Agnieszka nabyła już umiejętności odczytywania rozmaitych średniowiecznych gotyckich gryzmołów, to jednak przekraczało wszystko. Nie gotyk, cóż znowu, nie łacina i nie średniowiecze, indywidualny, można powiedzieć, charakter pisma. To ta pra-pra-pra... Co gorsza, wyblakło i nic nie

widać. Elektronika do tego potrzebna, co za szczęście, że babcia odwaliała tę całą robotę, dopiero teraz Agnieszka może to docenić, siedem lat temu nie zwróciła uwagi...

Justynie odczytanie zapisków przodkiń zajęło więcej niż ćwierć wieku. Agnieszka odwaliała całą robotę w półtora miesiąca. Co prawda budząc niepokój Feli, która potępiała siedzenie po nocach, ale za to skutecznie.

Zrozumiała wszystko. Z wielkim trudem opanowała potężne emocje.

Jak niegdyś dla Justyny, tak obecnie dla niej, panna Dominika stała się osobą bliską i znajomą, a pra-pra-prababcia niemal stanęła jej nad głową. W Błędowie w życiu nie była, teraz zaś nagle poczuła się tak, jakby spędziła tam co najmniej całe dzieciństwo. Na litość boską, przecież ten Błędów, niegdyś tajny skarbiec, wedle wszystkich kolejnych testamentów, obecnie powinien należeć do niej... !!!

Mur berliński, zmiana ustroju nastąpiła, przekształcenia własnościowe... Zaraz, może dałoby się to jakoś odzyskać... ?

Do Błędowa na rekonesans pojechała razem z Tomaszem, samochodem ciotecznej babki Amelii, która zawarła z nią układ. Zapłaciła za ten samochód i oddała go ciotecznej wnuczce pod warunkiem, że w razie potrzeby będzie wożona. Nie prowadziła trybu życia zbyt ruchliwego, układ był zatem do przyjęcia i nie zatrwał życia przesadnie.

Tomasz, kończąc prawo, orientował się nieźle w nowych przepisach. Całą drogę tłumaczył Agnieszce, jakie dokumenty powinna posiadać i komu je przedstawić, żeby upomnieć się o spadkowe mienie. Dokumenty istniały, znalazły się w tobole, akta notarialne, kopie zapisków hipotecznych, testamenty... razem z ostatnim testamentem babci Justyny, napisanym na wszelki wypadek, w sposób doskonale formalny i przy udziale notariusza. Tomasz był zdania, że to wystarczy i nawet popierał chęć Agnieszki zawładnięcia dobrami przodkiń, chociaż wielkiego sensu w tym nie widział.

Sam od wieków pochodził z tak zwanej inteligencji i żadnych dóbr w rodzinie sobie nie przypominał, stanowiło to zatem dla niego nowość, a przy tym coś w rodzaju chrztu bojowego. Ciekaw był, czy uda mu się zorganizować sprawę tak, żeby praktykujący adwokat nie miał już nic do roboty, bo oczywiście przez oficjalną placówkę należało to przepchnąć. On na razie nie miał jeszcze nie tylko stosownych uprawnień, ale nawet dyplomu.

— A co na to właściwie twoi starzy? — zainteresował się, kiedy wyczerpali już tematy urzędowe.

— Nic — odparła Agnieszka trochę smętnie, a trochę gniewnie. — Ojciec się w ogóle nie wtrąca, a matka jest chyba obrażona na babcię, że mnie to zostawiła, a nie jej. Chociaż uczciwie przyznaje, że nigdy się nie interesowała starociami. Babcia przez całe życie czytała stare szpargały, a ją to denerwowało i nic nie



mówiła wyłącznie z grzeczności. Żeby nie Fela, musieliby sami gotować posiłki, sprzątać i tak dalej, bo babcia umiała tylko rządzić. Wydawać polecenia. I cześć.

— No i czytać...

— A tak. To udowodniła. I także, mam wrażenie, trwonić pieniądze.

— Bardzo atrakcyjna umiejętność. Miała co trwonić?

— Od czasu do czasu. Gdybym ten cały nabój odzyskała, też bym mogła sobie trochę potrwoić.

— Ciekawe, jak tam teraz wygląda...

Wyglądało dość okropnie. Dawne wsie przekształciły się w miasto, dawny ogród przestał istnieć, dawny folwark wszedł w skład pegieeru, który rozleciał się po ośmiu latach niedołęstwa. Dwór stał w niejakiem odosobnieniu, jego otoczenie wyglądało jak wysypisko śmieci. Też się trochę sypał, raz jeden zaledwie odnawiany, użytkowany kolejno jako ośrodek zdrowia, dom kultury z kawiarnią, siedziba dyrekcji pegieeru, magazyn produktów rolnych, prywatne mieszkanie ogrodnika i miejsce schadzek okolicznej młodzieży. Obecnie stał pustką, a wisząca na jednym gwoździu tablica „Obiekt zabytkowy” straszyla w sposób niepewny.

Młoda para dojechała po bezdrożach prawie do samych drzwi wejściowych. Obydwoje wysiedli. Agnieszka zatrzymała się przy samochodzie, popatrzyła i poczuła, jak ogarnia ją potężne wzruszenie.

To była siedziba owej pra-pra... zaraz, ile tego? Wychodzi chyba cztery razy...? ...babci, nielegalnej napoleońskiej córki, tu całe życie spędziła panna Dominika, tu pra-prababka, źle, więcej tych pra... Znów się zgubiła w pokoleniach, przez chwilę próbowała liczyć, ale machnęła ręką. Wszystko jedno, pra-prababcia Matylda... chowała cesarskie precjoza i robiła rozmaite sztuki. Ciekawe, swoją drogą, gdzie się podzieli „Nędznicy” po francusku, w których podobno ukryta została informacja dodatkowa... I ciekawe, czy tam w środku cokolwiek zostało...

Co najmniej minuty potrzebowała, żeby opanować nagle wybuchłe emocje. Tomasz jej w tym nie przeszkadzał, oglądał budowlę.

— Nikt tego nie pilnuje? — zdziwił się, patrząc po oknach, które nie wszystkie jeszcze utraciły szyby.

Agnieszka złapała już dech i odzyskała normalny głos. W dziejach dworu była doskonale zorientowana.

— Pilnował tego prawie sto lat taki majordomus, Poldzio. Żył jeszcze po wojnie, babcia go tu spotkała. Do tej pory już chyba umarł, bo miałby teraz tych lat... zaraz... około stu dwudziestu pięciu. Może zostawił jakiegoś następcę, bo jak na pół wieku dewastacji to jest w zdumiewająco dobrym stanie. Trzeba się popytać.

— Można tam w ogóle wejść? Drzwi, jak widzę, istnieją i wyglądają na zamknięte...

— Tu jest więcej drzwi. Troje co najmniej. Front, służbowe i od ogrodu. Chodź, spróbujemy.

Obeszli dookoła cały budynek, stwierdzając przy okazji, że okna bez szyb widnieją tylko na piętrze, parter oszklony był porządnie. Ponadto wszystkie wejścia okazały się zamknięte na mur, w celu dostania się do środka należałoby tłuc następne szyby albo wywalać solidne drzwi.

— Chyba rzeczywiście Poldzio się postarał — mruknęła Agnieszka.

— Jak on się nazywał, ten Poldzio?

— Nie mam pojęcia... a nie, mam! Czekaj... Przypomniała sobie. W zapiskach gospodarskich panny Dominiki znajdowały się ściśle informacje o najmowaniu służby. W 1877 roku na chłopaka kredensowego przyjęty został niejaki Apoloniusz Krzepa z Dąbrówki, sierota po dawnym słudze jaśnie pani, i oprócz wikt, spania i przyodziewku miał dostawać całe dwa ruble rocznie. Nigdzie więcej w notatkach jego nazwisko nie zostało wymienione, ale Agnieszka miała dobrą pamięć.

— Krzepa się nazywał. Nigdy się nie ożenił, ale dzieci zapewne miał, bo podobno ostro za babami latał i dużo dziewczuch we wsiach okolicznych za jego sprawą przychówkiem się cieszyło. Ponadto pilnował służby i szkolił młode pokolenie.

— Skąd to wiesz? — zaciekawił się rozśmieszony określeniami Tomasz.

— Z dziewiętnastowiecznych pamiętników i rachunków. Cudem się przez dwie wojny uchowały.

— Może i te dzieci się uchowały. To co? Pytamy?

— Spróbujmy. Tych najstarszych łapiemy, może kto jeszcze coś pamięta. Dzieci jak dzieci, ale wnuki...?

Przez zielska i śmieci przedarli się do najbliższej chałupy, która była elegancką willą, pochodzącą z okresu prosperity ludności wiejskiej. Kapsle od piwa w podmurówce trzymały się doskonale, a sterczący nad wejściem balkonik zaopatrzone był w wymyślną balustradę. Dalej w głębi widać było szklarnie, przed domem zaś siedziała nader wiekowa osoba w spodniach i rzucała ziarno kurom i kaczkom.

Agnieszka uznała ją za obiekt właściwy i rychło wyszło na jaw, że nie pomyliła się wcale.

— A, co tam — rzekła osoba pobłażliwie w odpowiedzi na zadane pytania.

— Teraz to już można się przyznać. To ja jestem córką Apoloniusza Krzepy, i nie ja jedna. Matka mi to wyznała, jak ojciec umarł, bo on nic o tym nie wiedział. Osiemdziesiąt lat już żyję, po prawdziwym ojcu to mam, on stu prawie dożył i tak wszyscy po nim. A panienska to co? Po panie Dominice?

— Pani znała pannę Dominikę? — ucieszyła się Agnieszka.

— A jakby inaczej? Już szesnaście lat miałam, jak dopiero umarła. Panienska po niej? Jakże to? Toć ona panną była?

— Nie. Ja po pani Wierzchowskiej...

— A, po jaśnie pani? Jaśnie panią też znałam. Jak przyjeżdżała, każdy ją leciał oglądać, bo suknie miała piękne, a do tego przystępna była i całkiem nosa nie

zadzierała, aż dziw brał. A to przecie wielka pani. No, młoda już nie była. . . Po tamtej wojnie, za mojej młodości, ledwie że ze dwa razy była, ale mi opowiadali. I ojciec mówił, ten prawdziwy, choć wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to mój ojciec. Ale on wiedział, dobry był dla mnie bardzo, wyposażył mnie, jak szłam za mąż po tamtej wojnie, a przed tą drugą. Panienska tu wraca? Bo to teraz takie czasy nastąpiły, że całkiem prawie jak kiedyś i bolszewicki komunizm się skończył, żeby on z piekła nie wyrzął. Łagodnie wyrażone życzenie wręcz Agnieszkę wzruszyło. Stanowiło dobitny dowód, że miniony ustrój nie podobał się nikomu, poza ścisłą elitą partyjną. Na własnej skórze tego nie odcierpiała, opowiadano jej tylko, no i przeżyła przełomowy okres zmian, których istota nie docierała do niej w pełni. To co nastąpiło, wydawało jej się naturalne. Tej starej babie, najwyraźniej w świecie, też.

— Nie wiem, czy wracam — westchnęła. — Zabrali nam to przecież, od mojej babki wiem. . .

— Zaraz — przerwała baba. — A jaśnie pani Wierzchowska to dla panienski kto? Bo tu córka jaśnie pani przyjeżdżała z córeczkami małymi, jeszcze za życia panny Dominiki, znaczy te córeczki, to dla jaśnie pani wnuczki. . .

— No i ja jestem wnuczką jednej z tych wnuczek.

— A druga wnuczka co?

— Umarła bardzo młodo, jeszcze w panienskich latach.

— Znaczy, panienska. . . zaraz. . .

Baba zaczęła sobie liczyć na palcach, kim też jest Agnieszka dla znanej jej jaśnie pani. Tomasz słuchał zachwycony. Podobała mu się nadzwyczajnie zarówno ta historia na żywo, jak i zdumiewająca umiejętność Agnieszki operowania właściwym językiem. Z babą dogadała się w mgnieniu oka, jakby sama pochodziła z owych zamierzchłych czasów.

Ustaliły wreszcie owe trzy pra i przystąpiły do tematów aktualnych.

— A mój syn pilnował, proszę panienski — rzekła baba dumnie. — Sama mu kazałam, jak ojciec umarł, znaczy Krzepa Apoloniusz, bo już wtedy wiedziałam, że to mój ojciec. Na łożu śmierci tak wszystkim przykazał. Syn partyjny był i byle kogo nie puszczał, rujnować nie pozwolił, syn znaczy, a teraz wnuk w gminie ważny i sprzedać byle komu nie zezwała. Pod klątwą mu zakazałam. Bo już tu różni chcieli. Panienska to co innego, do ojcowizny prawo największe. A ja spadek po ojcu jeszcze uchroniłam, wydiedziczę, jakby co, chcą czy nie chcą, słuchać mnie muszą, bo nie co innego, a pieniądz światem rządzi. Ja szkołę skończyłam i dobrze wiem, co notariusz znaczy.

— To coś niezwykłego, że tak od razu na panią trafiliśmy! — wyrwało się zdumionemu Tomaszowi.

— Co też pan mówi, kawalerze — obruszyła się baba i rozejrzała dookoła. — A o, ten tam, ten co tam idzie. . . To pan myśli, że kto? On weterynarz i też wnuk mojego ojca. Że nieślubny, nie szkodzi, wszyscy wiedzą. A tam, z tamtej

strony, wnuczka ojca, po synu, moim przyrodnim bracie mieszka, ona doktor od roślin i ziół różnych. Też wie, od kogo pochodzi. Toż tu jednego domu pan nie znajdzie, gdzie by krewnych po moim ojcu nie było, a każdy wszystko to samo wie, tyle że młodszy sami panny Dominiki i swojego dziadka nie pamiętają. Ja tak naprawdę nawet wcale najmłodsza z córek nie jestem, najmłodsza w Grójcu w szkole uczę...

— To ja wiem, panna Dominika pisała — wyrwało się z kolei Agnieszce. — Poldzio... przepraszam... pani tatuś... był pies na baby...

Potomkini tatusia-Casanovy rozpromieniła się dumą i triumfem.

— Panna Dominika to oczy zamykała, żeby nic nie widzieć. Ale od ludzi wiadomo. Toż mówię, wojna była, ta pierwsza, chłopcy w żołdacy poszli albo do legionów, no to ojciec baby pocieszał. A i potem jeszcze, nie było takiej, co by mu nie uległa. I piękny był, i taki jakiś... jak z panów. Pół wsi tu po nim.

Agnieszka sama omal nie poczuła żalu, że nie pochodzi od owego ognistego przodka. Baba ciągnęła dalej, rozrzewniona wspomnieniami.

— A mówili, że podobno z tej przyczyny nigdy się nie ożenił, że na umór kochał się w jaśnie pani Wierzchowskiej, co i nieprzyzwoite było, i w tamtych czasach całkiem do niczego. A za dziewczuchami latał swoją drogą...

Po długiej dopiero chwili Agnieszce przypomniało się, o co właściwie miała na samym wstępie zapytać. O klucz do dworu. O możliwość wejścia i obejrzenia siedziby przodków wewnątrz.

Baba na to wzruszyła ramionami, stęknęła, podniosła się z krzesła, lekko podpierając kijem, strząsnęła z gorsu i kolan resztki ziarna i ruszyła w stronę wejścia do willi.

— A klucze od drzwi, proszę panienki, to tu wiszą od śmierci ojca. Kto chce wejść, stąd bierze. Przez to ja względnie mam na wszystko i pozwolenie mogę dawać albo nie. Reszta się na to zgodziła, bo ja pierwsza na emeryturę sobie poszłam i czasu mam tyle, ile chcąc. Jedna Joaśka mi zazdrości, ona średnia, między mną a najmłodszą, bo starsi poumierali, wieku ojca nie dożyli, to przez tych komunistów pewno...

Zatrzymała się nagle i obejrzała na dwoje młodych.

— A niech państwo sobie nie myślą — rzekła zniecierpliwiona. — Ja czytać umiem od dziecka. Co tylko można przeczytałam i całkiem dużo rozumiem. A że we dworze straszło, wcale nie wierzę...

Ogłuszona nieco ostatnim komunikatem, Agnieszka przez króciutką chwilę grzebała w pamięci. Jakże, oczywiście, panna Dominika o straszaniu napomykała, ale też nie wierzyła i w ogóle straszło krótko i nieszkodliwie...

— ... bo jakby miało straszyć, to nie wtenczas, tylko później o wiele. Jak trupa w gabinecie, czy tam w salonie, czy gdzieś, znaleźli. Ale to zaraz po wojnie się stało i straszanie było nie w modzie.

— Jakiego trupa? — zainteresował się podejrzliwie Tomasz.

— A jakiegoś obcego. I żeby prawdę powiedzieć, bo to już tyle lat... — zaważała się i łypnęła okiem na swoich młodych słuchaczy — nikt już nikomu nic nie zrobi... A ja zawsze wiedziałam, że to mój ojciec, ten prawdziwy, własną ręką go utłukł, bo dla złodziejstwa się zakradł. Tylko co ledwo dawne panie tu były, o, babcia panienki, panna Justyna z mamusią, panią Dorotą. Ja dobrze pamiętam. I zaraz potem bandyta się pokazał, ale to go prędko zabrali i tyle że gadania trochę było. Ale mało, bo po prawdzie każdy swoje wiedział.

— Przedawnione — zawyrokował Tomasz krótko.

— A pewnie. Zaraz klucz przynieść...

Ruszyła w głąb domu i po krótkiej chwili wróciła.

— Proszę, to ten. Od frontu. Panienka ma prawo. Osobliwie milcząca Agnieszka z wdzięcznością przyjęła klucz. Obiecała zwrócić. Ponownie przedarli się przez zielska i śmietniki.

— Co za fenomenalna facetka! — zachwycił się Tomasz. — Żywa historia! Rozmawiałaś z nią, jakbyś to wszystko znała! Znasz, naprawdę?

— No pewnie. Z pamiętników, mówiłam ci.

— I w tym dworze straszycie? O tym nie wspominałaś...? I co to za historia z powojennym trupem?

— O trupie nic nie wiem — odparła Agnieszka stanowczo. — A co do straszenia owszem, były jakieś niepewne wzmianki. Ale zdaje się, że nikt w to nie wierzył, a nawet jeśli wierzył, wołał się nie przyznawać.

Dotarli do drzwi, klucz pasował, obracał się lekko. Niebotycznie przejęta Agnieszka wkroczyła do siedziby przodków.

Wnętrze ziało zaniedbaną pustką. Gdzieniedzie poniewierały się jeszcze jakieś szczątki mebli, resztki połamanych krzesel, przewróconego stołu na trzech nogach, naderwanej konsolki, wspomnienie po sekretarzyku czy żyrandolu, związającym na wąsach przewodów. W jadalni pod ścianą stał stół na dwadzieścia cztery osoby, zdewastowany kredens z wyrwanymi drzwiczkami i zaledwie jedno gięte i nader obdrapane krzesło. Salon uderzał w oczy ogromną piramidą starych opakowań, jakichś pudeł, skrzynek i papierów, wznoszącą się na środku. Z drżeniem serca Agnieszka wkroczyła do biblioteki.

Ujrzała szafy wmurowane w ściany i boazerię, wszystko z niewiadomych przyczyn pomalowane na zielono olejną farbą. Na półkach poniewierały się nieliczne książki w strzępach, treści mało pociągającej, najwidoczniej nikomu niepotrzebne. Jako mebel występowała drabina malarska w nie najlepszym stanie.

Z pewnym trudem Agnieszka powstrzymała chęć obmacania górnych półek w szafach i znalezienia owej listewki, która powinna uginać się jak klamka. Nie chciała tego robić przy Tomaszu, nie tyle z braku zaufania do niego, ile w obawie rozczarowania. Gdyby się miało okazać, że coś nie gra, listewki nie ma, właściwą szafę ukradziono albo coś w tym rodzaju, wołała przeżyć klęskę samotnie.

Przeszli do gabinetu, a potem udali się na górę. Potomkowie Poldzia musieli

dobrze się starać, bo z kranu w łazience pociekła woda. Łazienek w ogóle było dwie, luksus szalony, a na dole, bliżej kuchni, powinna była znaleźć się i trzecia. Instalacja elektryczna działała, ocalał nawet jeden żyrandol pod sufitem. Dwór, najwyraźniej w świecie, wymagał tylko solidnego remontu i niczego więcej.

— To się kompletnie nie nadaje na nic innego, jak tylko na budynek mieszkalny — orzekł Tomasz stanowczo. — Żadnych przychodni lekarskich, żadnych szkół, żadnych domów kultury z tego się nie zrobi. Zwyczajny dom rodzinny. No, dosyć obszerny.

— Dla odludka — mruknęła Agnieszka. Tomasz wyjrzał przez okno z jedną szybą wybitą.

— W pewnym sensie owszem — przyznał. — Dojazdu właściwie nie ma, do drogi daleko. Ale może dzięki temu nikt tego jeszcze nie złapał.

— Mówiła ta baba, że już ktoś próbował. Gmina odmówiła.

— Bali się komplikacji z prawem własności. Powinna tu być jeszcze piwnica na wina. Zajrzę, chcesz?

— Zajrzyj. A potem...

— Co?

— Nie, nic...

Wrócili na parter, Tomasz odnalazł schody do piwnicy i kontakt na ścianie. Pstryknął, zapaliła się słaba żaróweczka, zszedł ku niej na dół. Agnieszka porzuciła penetrację kuchni i pomieszczenia obok, będącego zapewne pokojem kredensowym, i przeszła znów do biblioteki.

Nie wytrzymała, skorzystała z chwili samotności. Na właściwą szafę trafiła już za drugą próbą. Przysunęła sobie drabinę malarską, pomyślała, że kiedyś z pewnością używano tu małych schodków, i z lewej strony na samej górze, nad ostatnią półką, domacała się grubej listwy. Kawałek listwy rzeczywiście przesunął się w dół. Za nim, w drewnianych plecach szafy, z łatwością dało się wyczuć dziurkę od klucza.

No tak...

Trzy klucze na jednym kółku...

Agnieszka puściła listwę, która sama wróciła do góry, i zlazła z drabiny. Odciągnęła ją od szafy, głęboko zamyślona, pełna rozgoryczenia, wstrętu do samej siebie i lekkiej pretensji do babci.

Jako dziecko uwielbiała bawić się kluczami. Podobały jej się bardziej niż klocki, układała je w rozmaite wzory, uczepiała na kółkach całymi pęczkami, pobrzękiwała nimi, wieszła sobie na szyi w charakterze ozdoby... Jak można było pozwolić jej na to... ?!!!

Już babcia przecież te cholerne klucze gdzieś zaprzepaściła. Kiedy wreszcie zdecydowała się przed śmiercią pogadać z wnuczką od serca, ciągle napomykała o kluczach. One były, znalazły się w sejfie ciotecznego pradziadka czy kogoś tam, zostały zlekceważone, ale do babci dotarły. I babcia je gdzieś wetknęła, nie mając

wtedy jeszcze pojęcia o ich znaczeniu. Być może, dała je właśnie wnuczce do zabawy. Kretyńska wnuczka. . .

— Nie lubię siebie — powiedziała z nagłym gniewem do wracającego z piwnicy Tomasza.

— Proszę? — zdziwił się Tomasz.

— Jeśli chcesz wiedzieć, masz do czynienia z idiotką. Nie lubię tej idiotki.

— W przeciwieństwie do mnie. Mnie się ona podoba. Skąd ci się wziął ten wybuch uczuć?

Agnieszka westchnęła ciężko i zawahała się. Wyznać mu całą prawdę. . . ? A jeśli on przestanie ją kochać, porzuci, pójdzie precz. . . Ma pójść razem z tajemnicą? I powtórzy się na przykład historia ciotki Maryny. . . ? Miłość to sprawa przelotna, a tu w grę wchodzi ekwiwalent wymienny. . .

— I co tam jest w tej piwnicy? — spytała, usiłując wykrzesać z siebie zainteresowanie.

Tomasz ożywił się i zapomniał o idiotce.

— Coś mi się widzi, że ktokolwiek to użytkował, nie był zbyt pracowity. Piwnica prezentuje stuletni bajzel, nikt tam po kątach nie sprzątał i niech mnie dzika świnia powącha, jeśli jakieś flachy się nie uchowały. Ciężko do nich dotrzeć, bo uchowały się także zgniłe kartofle, węgiel i parę innych drobnostek, jakieś cholernie śmierdzące beczki między innymi, w pojedynkę się temu nie da rady. Ekipa silnych potrzebna, na wszelki wypadek abstynentów.

— Ekipę silnych abstynentów da się załatwić. Te beczki to pewnie kapusta. Czy ja to mogę odzyskać?

— Zdopingowany flachami, zastanowiłem się w drodze na górę. Rozumiem, że nie kapustę masz na myśli. . . Owszem, możesz. Tylko po co?

Agnieszka powstrzymała chęć wyjawienia prawdy. Po to, żeby cały dwór spokojnie przeszukać. Po to, żeby w razie znalezienia czegoś wykluczyć wątpliwości, do kogo to coś należy. Po to, żeby móc robić tu, co zechce. . .

— Żeby mieć — odparła gniewnie. — Pamiątka po prababkach. Może mi się na coś przyda. Jak. . . ?

Tomasz rozejrzał się. Przeszli znów do kuchni, gdzie ława wmurowana w ścianę pozwalała usiąść. Rozpoczął wyjaśnienia.

Przez te wyjaśnienia Agnieszka poczuła się zupełnie skołowana. W obliczu skomplikowanych działań administracyjno-prawno-bezprawnych ogarnął ją niemal przestach i nawiedziła myśl o wdarciu się tu i przeszukaniu nielegalnie. . .

Wrócili do baby, która teraz dla odmiany rozkopywała małą motyczką wielką kupę mierzwy, wznoszącą się na tyłach domu, tuż przy szklarniach. Kury i kaczki szalały ze szczęścia wśród istnej orgii odkrywanych glist. Na widok gości rzuciła motyczkę.

— Ja to lubię karmić stworzenie — wyjaśniła, patrząc z upodobaniem na pożywiający się drób. — Żeby nie ja, już by tu niczego żywego nie było. Ledwo

dwie krowy, a i to się chcą pozbyć. Głupie człowiek ma dzieci i twardą ręką trzeba trzymać.

Tomasz od razu przystąpił do rzeczy.

— Mówiła pani, zdaje się, że wnuk w gminie siedzi?

— A siedzi. I ważny. A co?

— Bo to właściwie od gminy zależy, czy panna Agnieszka tu wróci.

— Jakże to? Przecież jej się należy?

— A należy, i to nawet podwójnie. Ogród z dworem pięćdziesięciu hektarów nie miał i bezprawnie go zabrano, nawet jak na tamte czasy. W dodatku jest bezpośrednią spadkobierczynią właścicielki, co bardzo łatwo udowodnić. Ale ustawy właściwie jeszcze nie ma, więc gminy postępują, jak chcą. Mogą oddać, mogą sprzedać, mogą odmówić. . .

— A to by już była obraza boska, żeby komu jego własną rzecz sprzedawać — przerwała z oburzeniem córka Poldzia. — Niechby on tylko spróbował taką głupotę robić, ten mój wnuk! Zaraz ja mu dzisiaj do rozumu przemówię.

— Może byśmy z nim wstępnie porozmawiali. . . ?

— Można, czemu nie? Tylko od razu powiedzieć, że panienka po jaśnie pani!

Informację, gdzie ów wnuk urzęduje i jak się nazywa, uzyskali z łatwością, po czym zaczęły się schody. Najpierw go nie było i musieli poczekać, potem dał do zrozumienia, że nie chce rozmawiać przy ludziach, wreszcie, odprowadziwszy ich elegancko do samochodu, udzielił krótkich wyjaśnień, z których wyraźnie wynikało, że są kłopoty, bo na ten dwór ostro się czai jakiś dostojnik z województwa. Prawie już ma przyręczone zezwolenie na zakup, bardzo tanio, ale z obowiązkiem dokonania remontu. On sam jest po stronie panny Buczyckiej, która dziedziczy w prostej Unii, i bardzo się ucieszy, jeśli wniesienie sprawy do sądu ukróci cudze zapędy.

— Naprawdę chcesz tę budowlę odzyskać? — upewnił się w drodze powrotnej Tomasz, zamyślony nad trupem, straszaniem i posiadłością, z której nie mogło być żadnego pożytku, a za to wymagała przerażających kosztów.

— Naprawdę — odparła stanowczo Agnieszka.

— W takim razie zaczynam zdawać egzamin. Znam notariat, który specjalizuje się w spadkach, jeśli, w obliczu twoich dokumentów, nie wystarczy jedna rozmowa, to ja jestem matoł i rzucam studia. Dziś jeszcze napiszemy co trzeba. . .

Prawa spadkowe Agnieszki rzeczywiście świeciły własnym blaskiem i biły w oczy. Pomimo to pojawiły się jakieś dziwne trudności, nagle gmina straciła przyznane jej już przywileje, ktoś tam wyżej musiał wyrazić zgodę, nie wyrażał, bez podawania przyczyn. Podobno bruździł w komisji reprivatyzacyjnej, która miała zatwierdzić decyzję rady gminnej. Zwłóczono, przekraczając wszelkie granice przyzwoitości administracyjnej. Nagle wtrąciła się konserwacja zabytków



i jakiś jej wysłannik powiesił prosto naderwaną tablicę z napisem „Obiekt zabytkowy”. Zaangażowany w sprawę notariusz uzyskał skądś poufną informację, że zwrot owego spadkowego mienia byłby społecznie szkodliwy, ponieważ sprzedaż takowego obcemu nabywcy przyniosłaby gminie wielką sumę pieniędzy i może dałoby się zatkać gębę prawnemu spadkobiercy małą częścią tej sumy. No, ostatecznie, połową. . .

— Komuś cholernie zależy na tym, żebyś tego nie dostała — zaopiniował Tomasz, mimo przeszkód zadowolony z siebie, bo przygotowana przez niego dokumentacja nie wymagała najmniejszego uzupełnienia. — Pcha się jak dziki bizon i sam chce to mieć. Jakaś gruba ryba. Zdaje się, że łapówkami szasta na prawo i na lewo.

Jeszcze bardziej poufnie, od córki Poldzia i jego prawnuka, dowiedzieli się, że dziki bizon pcha się nie od dziś. Zaczął już w pierwszej chwili przemian ustrojowych i gdyby nie upór Poldziowych potomków, zapewne by mu się udało. W jakiejś tam chwili gmina musiała nawet symulować chęć zagarnięcia budowli dla siebie, w celach społecznych, niedokładnie sprecyzowanych, dziki bizon przychł, ale nie popuścił.

— Co on sobie upatrył akurat do tego domu? — dziwił się Tomasz podejrzliwie i z lekką irytacją. — Okolica średnio piękna, ogród zdewastowany, bajoro zamiast stawu, żadnych atrakcji turystycznych, od tras przejazdowych daleko. . . No, teren uzbrojony, ale to wszystko. Co on tu chce zrobić?

— Kto to w ogóle jest? — spytała nieufnie Agnieszka, siedząca na schodkach wejścia do willi Poldziowej córki, której dane personalne poznała dopiero w trakcie załatwiania swojej sprawy spadkowej. Gabriela Witczakowa. Przedtem tylko córka Poldzia i córka Poldzia. . . — Jak on się nazywa, ten obsesjonista?

Córka Poldzia wzruszyła ramionami i strzepnęła z fartucha resztkę okruszyn dla kur.

— A jakoś tak, jakby garbaty był. Puklaty. . . ? Puklatnik. . . ?

— A nie Pukielnik czasem?

— O to to, właśnie. Dobrze panienka mówi. Pukielnik Andrzej.

— Co jest? — zainteresował się Tomasz, bo Agnieszka jakby na moment skamieniała. — Znasz faceta?

— Ojciec mój nieboszczyk to go musiał znać, bo w dawnych czasach podobnie te Pukielniki tu bywały — oznajmiła Gabriela Witczakowa z niezrozumiałą satysfakcją. — Jakoś tak, jeden za drugim. Pewno już wtedy upatrzyły sobie.

Tomasz też usiadł na schodkach i patrzył pytająco, nie zaspokojony komunikatem z przeszłości. Agnieszka nieco ochłoneła.

— Osobiście nie — odpowiedziała wreszcie na jego pytanie. — Ale słyszałam o takim. To znaczy nie o nim, tylko o jego przodkach. To znaczy nie słyszałam, tylko czytałam.

— Gdzie?

— W pamiętnikach prababci.

— I co?

— I nic. Ale chyba się domyślam, dlaczego tak się tu pcha. . .

Obydwoje, i córka Poldzia, i Tomasz, z zaciekawieniem czekali na dalszy ciąg, Agnieszka jednakże zamilkła i pograżyła się w posępnej zadumie. Nie wyjaśniając niczego, sama zaczęła zadawać pytania.

— I on tu bywał, ten Pukielnik?

— Bywać bywał, ale tak łatwo to mu nie było — odparła Gabriela Witczakowa jakoś chytrze. — Coś ja z młodości pamiętałam, że miał do domu wstęp zabroniony i chociaż może nie on sam, tylko jaki dziadek albo co, na wszelki wypadek wnukowi zakazałam tak go wpuszcząć, kiedy chcąc. I sama prawie zawsze przy tym byłam, a on się pchał, aż go trzęsło.

— I co oglądał?

— A na parterze pokoje, ten z książkami najwięcej, i do piwnicy schodził, mury podobno przepatrywać, czy się wilgoć nie wdała albo i nawet grzyb. Ale tam to daleko nie zajdzie, bo porządku nikt nie robił jeszcze dłużej niż ja żyję. Po ścianach macał i pukał, jakby tylko czekał, że tynki oblecą. A to dobre tynki, nic nie obleci.

— A posadzki. . . ? Gabriela ciężko westchnęła.

— Z tym to gorzej — przyznała markotnie. — Deszcz leciał, dzieci szurały, cebula nawet leżała, jabłka, a bywało że i zboże. Trochę one się porujnowały, ale że dąb, to dużo wytrzyma. A ten chciwiec, tom już myślała, że pomylenia dostał, bo jakby krakowiaka tańczył, tak sobie przytupywał raz koło razu, całkiem wariat, bo pijany nie był. Ale nic nie wytupał.

— Dawno był ostatnio?

— Z pół roku będzie. Potem też chciał, ale go nie wpuściłam, z kluczami nakręciłam, to że wnuk zabrał, to że zginęły, to coś tam innego. I już nie wlaź, chociaż dwa razy próbował. Ejże, ja coś widzę, że tam jakaś rzecz schowana po tych prababkach panienki została, a on na to czatuje. Dobrze mówię?

Życzliwość brzmiała w pytaniu, Agnieszka zatem zawahała się. Łgarstwo wydało się jej niewskazane.

— Bardzo dobrze. Zostało coś ciekawego i możliwe, że ciągle leży. Wszystkie moje babki i prababki w grobie by się przewróciły, gdyby on to znalazł i zabrał. Akurat Pukielnik. . . ! Grubsze sprawy działy się w tamtych czasach i przy okazji, na spokojnie, wszystko pani opowiem.

— Przy okazji może i mnie też? — mruknął Tomasz nieco kąśliwie.

— Baby to, proszę panicza, ciekawsze — pouczyła z naganą Gabriela. — Chłop wytrzyma, baba nie. Panienska wie, gdzie to jest?

— Wiedzieć, nie wiem, ale chyba się domyślam. No nic. . . — podniosła się nagle ze schodków. — Tupać po zmurszałych klepkach nie zamierzam, ale obejrzymy chociaż resztki ogrodu. On był kiedyś podobno bardzo piękny, zobaczymy,

co się da z nim zrobić.

— Tam to ho ho, nawet bale się odbywały — przyznała z zapalem Gabriela.  
— Na własne oczy jeszcze widziałam, jak tańcowali w ogrodzie, tam altana taka była wielka, pod dachem, trawnik miała tak jakoś na twardo zrobiony, że i dookoła korowody szły. Już tam po niej ledwo postument został.

Postumentem po balowej altanie zaciekał się Tomasz i Agnieszka nie musiała nalegać na odszukanie zarośniętego miejsca. Córka Poldzia poszła z nimi chętnie, dumna z roli przewodnika.

Kamienny krąg okazał się ogromny. Wśród zielska i zdiczałych krzewów sterczały nawet jeszcze resztki słupków i balustrad, prawie niewidoczne. Między granitowymi płytami posadzki rosły trawy, głównie rdest ptasi, roślina, która bez trudu zarosłaby całą kulę ziemską, gdyby tylko usunąć jej z drogi Saharę, Gobi i parę innych pustyń. Chociaż kto wie, czy nawet pustyniom nie dałaby rady. Agnieszka poczuła dla niej szczerą wdzięczność, bo w jednym miejscu, jakby na dodatkowym kawałku kręgu, trawy nie było. Tutaj w szczelinach zakorzenił się wyłącznie rdest i bez niego dodatkowy kawałek zbytnio rzuciłby się w oczy.

Do domu na razie nie miała po co się pchać, w przeciwieństwie do Pukielnika. Najpierw musiała odnaleźć trzy klucze na jednym kółku. Bez nich mogłaby się pojawić konieczność rozebrania całego budynku na drobne kawałki, co, zważywszy zabytkowość obiektu, mogłoby napotkać trudności nie do przeczywienia, pomijając już uwagę prababci, że nawet rozwalenie wszystkiego do zera też nie da rezultatu.

Tomasz woń tajemnicy węszył już zupełnie wyraźnie. Milczeniem Agnieszki czuł się mocno zaintrygowany i trochę urażony. Ambicja nie pozwalała mu dopytywać się zbyt natrętnie, ale w głębi duszy postanowił dotrzeć do sedna rzeczy i wykryć sekret przynajmniej dla siebie samego. Co też za jakaś zagadka mogła spoczywać w starym, zrujnowanym dworze, zagadka pozostawiona przez same baby w kolejnych pokoleniach, kusząca w dodatku teraz także i dla faceta? Nawet nie tylko teraz, zdaje się, że i przodkowie faceta wyciągali ku niej chciwe szpony. . .

Agnieszka z kolei uparła się przy swoim. Słowa nie powie, nie wyzna niczego, nie wygłupi się z wielkimi nadziejami, dopóki nie znajdzie tych cholernych kluczy. Z pieniędzmi było krucho, studia historyczne wielkich możliwości zarobkowych nie stwarzały, raz przytrafiła się jej zlecona robota z uporządkowaniem jakiegoś prywatnego archiwum, zapłacono jej za to nawet nieźle, ale na tym koniec. Rodzice ciągnęli na dolnej granicy jakiej takiej zamożności i więcej z siebie nie mogli wydłubać. Jedna cioteczna babka Amelia miewała eksplozje finansowe i dotowała cioteczną wnuczkę, aż Agnieszcze chwilami było wręcz głupio. Dorosła była przecież, na sobie powinna się oprzeć, tylko jak. . . ?

— Nie przejmuj się — pocieszyła ją Amelia przy ostatniej okazji. — W tej rodzinie to już tradycja, że ciotki obroku podsypują. Twoją babkę też finansowała jej ciotka, Barbara. Nie, czekaj, nawet jeszcze śmieszniej, to była jej stryjeczna ciotka, nie prawdziwa.

— Ciocia też przecież nie jest prawdziwa, tylko po dziadku. . .

— Toteż właśnie. I też jestem bezdzienna, tak jak Barbara. Wszystko się zgadza.

Przez to zgadzanie Agnieszka machnęła ręką na przezorność i ambicję. Zajęta była. Szukała kluczy.

W dużym, pięciopokojowym mieszkaniu po dziadkach przeszukała metodycznie każdy kąt, podzieliwszy apartament na metry kwadratowe. O pomoc poprosiła Fełę, która, mimo bliskiej już siedemdziesiątki, nie zdradzała objawów starczego niedołęstwa i chętnie wzięła udział w penetracji.

Wiedziała, czego szuka. Kluczy. Wszelkich kluczy, luzem i w pęczkach, dużych i małych, starych i nowych, jak leci.

— Bo to, proszę panienci, już raz tak było — opowiadała, przeglądając skrupulatnie w przedpokoju pudełka ze sprzętem do czyszczenia butów. Znajdowały się w nich stare szczotki, różne skamieniałe pasty, flanelki, gąbki, skrobaczki, także korki i wkładki, oraz przedmioty dodatkowe w rodzaju gumki do ołówka, szklanego korka nie wiadomo od czego, zawiasków oderwanych od małych drzwiczek, złamanego noża, końskiej podkowy i tym podobnych niespodzianek. Również jakieś klucze. — Mnie to Gienia mówiła, co u państwa Wierzchowskich była do samej śmierci, a ona na własne oczy widziała, jak przed wojną pudła po starszej pani szukali. Jedna sodoma, wszystkie domy do góry nogami, bo nikt nie wiedział, gdzie to jest, aż w sam dzień wesela babci panienci w kapuście się znalazło. Ono do tej pory jest, to to czarne takie, co w sypialni stoi. Że też to panie świętej pamięci bodaj w ostatniej godzinie nie powiedzą. . .

Pamiętna własnych poczynań z dzieciństwa Agnieszka grzebała w zakamarkach walizek i toreb podróżnych, powywlekanych z szaf i pawlaczy.

— To moja wina — przyznała się uczciwie. — Babcia dała mi te klucze, a ja się nimi bawiłam i gdzieś wtryniłam. Nie wiedziałam, że są ważne.

— A co to tam, dziecka się czepiać. Były, to i są. Ja komórkę przy kuchni jeszcze przepatrzę. . . Sama wiem, że panienka, ile razy tu przyszła, kluczami się bawiła, na własne oczy widziałam. Za dzieciństwa całkiem, trzy latka panienka miała, a najwyżej cztery, potem już nie. Ale w domu, nie w ogródku. Raz tylko. . .

— Co raz tylko? — zaniepokoiła się Agnieszka.

Fela sieknęła delikatnie i schowała do otwieranej ławy pudełka już przejrzone.

— Raz tylko tak się zdarzyło, że panienka tak zmyślnie te klucze powiązała, jeden za drugim, że taki długi wąż się z tego zrobił, i do ogródka powlokła. Ale krótko to było, bo jak raz deszcz zaczął padać, babcia do wracania wołała i żaden się nie zgubił. A tak, to tylko w domu.

— Ja Feli prawdę powiem — westchnęła Agnieszka po krótkim namyśle. — Nie mam sumienia Feli oszukiwać. One jeszcze mogą być wcale nie tu, tylko w domu u moich rodziców. Przecież ja tam mieszkałam i możliwe, że je wzięłam ze sobą.

— O, dzwonek! — ożywiła się Fela, wyciągając z kolejnego pudła stary, srebrny dzwonek na służbę. — I dzwoni, proszę! To po jaśnie pani Wierzchowskiej jeszcze, z Głuchowa... Gdzie tam u rodziców, toż do czterech lat panienka tu mieszkała. A tak, prawdę całkiem powiedzieć, to na co te klucze?

Utrzymywanie w tajemnicy własnych nadziei było dla Agnieszki tak meczące, że nagle nie wytrzymała. Zwierzyła się Feli.

— Ja bardzo proszę, niech Fela tego nikomu nie mówi, bo mnie za idiotkę wezmą. Otóż możliwe, że ja Błędów po babci odzyskam, a tam jest jedna szafa na te klucze zamknięta. I może jeszcze spadek po babci się znajdzie. Jest to bardzo wątpliwe, dwie wojny przecież były, ale co mi szkodzi spróbować? Nikomu nie mówię, bo Fela przecież wie, tylko kretyń skarbów szuka...

— Pan Tomasz wie? — przerwała Fela surowo, unosząc głowę znad następnego pudła.

— Nie. Nikt nie wie.

— To i lepiej.

— Bo co?

— Bo jak się ma z panienką ożenić, to nie dla spadków i skarbów, tylko sam z siebie. Ja stara jestem, przedwojenne czasy jeszcze pamiętam, a do tego uszy mam w głowie, a wszyscy gęby mieli. Co ja się nasłuchałam od samego urodzenia prawie, jak to się kiedyś dla posagów żenili i jak to podobno najstarsza jaśnie pani Wierzchowska robiła, co chciała, bo miała własne pieniądze i mąż jej nic nie zabrał. Toż Gienia, w pierwszą wojnę urodzona, sama ją znała. I pamiętała. Ja nie mówię, pan Tomasz porządny chłopiec, ale kto go tam wie...

O tym, że pra-pra-prababcia Matylda robiła, co chciała, Agnieszka wiedziała lepiej od Feli. Wykonała teraz kilka sprzeczných gestów głową. Potrząsnęła nią, pokiwała, znów potrząsnęła i znów pokiwała.

— No więc właśnie. Mnie się wydaje, że on nie pasożyt, ale Fela ma rację. W połowie. Albo się na mnie zdecyduje i sam nawet nie będzie wiedział, że to pieniądze tak mi urody dodają, albo uzna zwyczajnie, że jestem głupia i chciwa. Tak źle i tak niedobrze.

— A panienka go chce?

Na moment Agnieszka znieruchomiła z rękami w kieszeni przeszukiwanej torby. Co do chcenia Tomasza, nie miała wątpliwości. Chciała go. Pikało jej w sercu na jego widok. Upodobania i poglądy mieli podobne, nie musieli się kłócić, seks im się zgadzał. Może trochę za dużo praktycznych stron życia pchało się między nich, może odrobinę za mało było w tym romantyzmu, ale to się dawało zrozumieć. Należało przecież jeść, mieszkać, w coś się ubierać, wyjeżdżać na

wakacje... Nad jezioro, do lasu, pod namiot, świetnie i tanio, pod warunkiem jednakże, iż utrzyma się piękna pogoda, inaczej znacznie właściwszy byłby pensjonat czy elegancki hotel. W Nicei na przykład, na Promenade des Anglais, tak jak wyjeżdżały prababki...

Też by chciała tak jak prababki i najchętniej z Tomaszem. Nadawał się. Nadawał się właściwie do wszystkiego, nawet jeśli czegoś nie umiał, nie szkodzi, dawał sobie radę. Ponadto, jeśli nie umiał czegoś, co ona potrafiła doskonale, chociażby osiodłać konia, okazywał podziw i zachwyt, od których wszystkiemu w niej rozkwitało. No, nieporządny był dosyć, skarpetek pod krzesłem w ogóle nie dostrzegał, niepotrzebne i zgniecione papiery mogły się znaleźć w koszu na śmieci albo dookoła, nie robiło mu to różnicy...

Nagle, na myśl o tych skarpetkach i papierach, poczuła, jak jej się robi ciepło w sercu i ogarnia ją tkliwość, i zrozumiała. Była w Tomaszu śmiertelnie zakochana.

Podniosła oczy na Felę.

— Tak — rzekła zdecydowanie. — Ja go chcę. Feli to mówię i nikomu innemu, bo wcale nie wiem, czy on mnie chce tak samo. Ale kupować go nie będę. I jakby miał lecieć na mnie dla pieniędzy, nie chcę go wcale.

Fela pojęła doskonale, wsparta zapewne o tę podbudowę z własnego dzieciństwa. Bogactwo posiadać, owszem, rzecz bardzo słuszna, ale chłopu pokazywać nie należy, bo kto ich tam wie...

— No to, proszę panienki, szukamy tych kluczy...

Wymyśliwszy stosowny pretekst, Tomasz pożyczył motor od kumpla i ruszył do Radomia na rozmowę z tym jakimś tajemniczym Pukielnikiem. Pogoda była piękna, krakowska szosa niezbyt zatłoczona, prowadzić umiał doskonale, nie miał zatem właściwie co robić i zastanawiał się nad Agnieszką. Tkwiło w nim lekkie rozgoryczenie, trochę buntu i odrobina zaciętości. Co ta dziewczyna sobie myśli i za kogo go uważa? Za jakieś popychadło, sługę do wszystkiego, za żigolaka w końcu czy co...? Samo przypuszczenie irytowało go niebotycznie, bo bez udziału megalomanii wiedział, iż prezentuje sobą wartości co najmniej godne uwagi i żadną szmatą bynajmniej nie jest. Trzy czwarte jej zachowań i postępowania wskazywały, iż nie tylko go docenia, ale nawet bardzo jej na nim zależy, jedna czwarta budziła szalone wątpliwości. Już się na tę dziewczynę nastawił, już czuł, że znalazł co trzeba, a tu nagle błędowski dwór wprowadził zadrażnienia. Ki diabeł...?

Pewna niezwykłość sytuacji polegała na tym, że tak Tomasz, jak i Agnieszka zaliczali się do istot myślących. Mimo młodego wieku od kilku już lat, każde we własnym zakresie, zastanawiali się, czego właściwie chcą. Na bezmyślną i wyłącznie rozrywkowo nastawioną panienkę Tomasz może by i poleciał, ale z pew-

nością nie zostałaby przy niej długo, potrzebna mu była partnerka w człowieczej postaci. Wiedział już o tym, jako posiadacz dużych walorów zewnętrznych miał powodzenie, dziewczynom podobał się i wzrost, i wąskie biodra, i rozwinięta klatka piersiowa, i asymetryczna nieco twarz o miłym i wdzięcznym uśmiechu. Miał czas i możliwości stwierdzić, że nie tylko seks istnieje na świecie, a pogawędka z istotą płci odmiennej sprawia niekiedy więcej przyjemności niż pogawędka z istotą płci tej samej. Pod warunkiem, rzecz jasna, że wachlarz tematów nie okazuje się rozpaczliwie ograniczony. . .

Ponadto nie lubił dziewczyn drobniutkich i kruchutkich. Bał się ich. Miał obawy, że od byle dotknięcia taka się złamie. Nie lubił także wielkich i grubych, nie lubił przesadnie chudych i kościstych, nie zachwycali go modelki. Trafiwszy na Agnieszkę, poczuł błysk w sobie, ta jest w sam raz! Szarpnęło go do niej z miejsca, od pierwszego wejrzenia. Kiedy wyszła na jaw jej powściągliwość, a tuż obok inteligencja, prawie bez namysłu stwierdził, że to jest właśnie to, ale, przywykły już do powodzenia, nie pomyślał, że należałoby ją zdobywać. Wzajemne upodobanie potraktował jak rzecz zupełnie naturalną i teraz oto nagle, poczuwszy jakąś przegrodę, która ich dzieli, doznał niemal wstrząsu. Do diabła, już się przecież na tę Agnieszkę nastawił. . . !

O tym, że Agnieszka nastawiła się na niego, nie miał najmniejszego pojęcia. Zmyliła go jej tajemniczość na tle Błędowa.

Ocknęła się w nim męska ambicja. Otóż słowa nie powie, jednego pytania nie zada, nie chce dziewczyna mówić, to nie, sam wykryje w czym dzieło i niech się okaże, do cholery, lepszy! A bodaj taki sam. Nie gorszy w każdym razie, nie musi nad nią dominować, ale z pewnością nie zamierza robić za podnózek. Nie chce jej tracić, zależy mu na niej wściekle, musi ustawić ten, daj Boże, związek na właściwych pozycjach, bo inaczej przestanie się czuć mężczyzną i zacznie latać do psychiatry.

Doznając nagłego wybuchu żywej niechęci do Bogu ducha winnych psychiatrów, tuż za Białostrzegami, Tomasz, ni z tego, ni z owego, wyobraził sobie dzieci, jakie mogłaby mu urodzić Agnieszka. Ogólnie biorąc, lubił dzieci. War go oblał potężny, aż sam się zdziwił, zarazem poczuł błogość i coś w rodzaju upojenia. Wariactwo. Nie, co tu ukrywać, zależało mu na niej cholernie.

Ale dzielących ich tajemnic nie zniesie. . . !

Nie był to rodzaj myśli, które płęć męska, szczególnie w tak młodym wieku, lubi i umie sobie precyzować. Wątpliwe jest, czy Tomasz zastanowiłby się nad Agnieszką i swoim stosunkiem do niej aż tak porządnie, gdyby nie droga, nie stwarzająca żadnej możliwości dystrakcji. Jechał po prostu przed siebie, odruchowo wyprzedzając inne pojazdy, bez żadnych przeszkód, w określonym celu, ściśle z Agnieszką związanym. Stąd temat rozmyślań. Nie mając o tym najmniejszego pojęcia, Tomasz wzniósł się na szczyty intelektu.

Pana Pukielnika znalazł w umówionym miejscu, mianowicie w Wydziale Kul-

tury Urzędu Wojewódzkiego, na stanowisku zastępcy kierownika. Zgodnie z wymyślonym łgarstwem, wystąpił przed nim jako dziennikarz, specjalizujący się w kwestiach prawnych. Jakąś wiedzą musiał się wykazać, a kwestie prawne były mu najbliższe.

Ujrzał przed sobą faceta koło pięćdziesiątki, robiącego niezwykle sympatyczne wrażenie, co go mocno zaskoczyło. Spodziewał się raczej nadętego bucefała, względnie śliskiego hochsztaplera, nic bowiem nie wiedział o wdzięku i komunikatywności panów Pukielników, opisywanych przez pannę Dominikę i pra-pra-prababcie Agnieszki. Facet w mgnieniu oka nawiązał z nim przyjacielskie stosunki.

Z góry postanowiwszy sobie walić w zabytki, Tomasz bez wstępów ruszył Błędów.

Po trzech kwadransach miłej konwersacji wiedział już, iż w grę wchodzi dwór wyjątkowo cenny dla kultury. Owszem, trochę może bezprawnie odebrany dawnym posiadaczom, ale bezwzględnie wart starań i wyjątkowo nadający się na muzeum. Nie jest to wszak przeciętny dworek szlachecki, „z drzewa, lecz podmurowany”, tylko budowla z cegły i kamienia, w stosunkowo doskonałym stanie, niemal pałacowa, coś na pograniczu szlachty i magnaterii, której utrata stanowiłaby niepowetowaną szkodę społeczną. Znajdują się tam supraporty, na widok których dech zatyka, kominki jeszcze barokowe, no owszem, do remontu, ale jednak, osiemnastowieczne szafy gdańskie, rokokowe konsole... Nie powinno się, wprost nie wolno tego zlekceważyć!

Prawnik z wykształcenia, niemniej jednak ogólnie w kulturze i sztuce oblatany, Tomasz nieco zbaraniał. Gwałtownie usiłował przypomnieć sobie owe arcydzieła. Do licha, oglądał wszak ten cholerny dwór razem z Agnieszką nie tak dawno temu i szafę gdańską przypominał mu wyłącznie jeden kredens, mocno zdewastowany. Supraporty... rany boskie, też chyba jedno coś jakieś majaczyło jeszcze nad drzwiami salonu... Co do kominków, przysięgłby, że były wykładane zwyczajnym klinkierem i cienia baroku w sobie nie zawierały, a konsolą można by nazwać wyłącznie ową ławę w kuchni, na której siedzieli. Taka ona była rokokowa, jak i on sam. Gdyby nie widział tego wszystkiego na własne oczy, panu Pukielnikowi uwierzyłby bez zastrzeżeń. Genialny łgarz!

Zatem coś w tym było. Agnieszka milczała, a pan Pukielnik kłamał jak wściekły. Obydwoje posiadali jakąś wiedzę, którą postanowili ukryć. I obydwójce uparli się ów dwór zdobyć, z tym że Agnieszka miała większe prawa.

Jej zwycięstwo było już właściwie pewne, chociaż niosło ze sobą pewne niebezpieczeństwo. Jako osoba pełnoletnia, miała podpisać zobowiązanie doprowadzenia budynku do stanu pierwotnej świetności, zamierzała to podpisać, fajnie, a potem co...? Tomasz doskonale wiedział, że pieniędzy na ów remont Agnieszka kompletnie nie ma.

— Doskonałe rozwiązanie — pochwalił wynurzenia pana Pukielnika, nie ba-



cząc, w którym miejscu mu przerywa. — Ale co będzie, jeśli to nie zostanie dotrzymane? Jest jakiś termin?

— Jest — odparł pan Pukielnik w rozpędzie. — Dwa tygodnie. Jeśli po dwóch tygodniach remont się nie rozpocznie...

— Założmy, że się nie rozpocznie. Co wtedy? Pan Pukielnik uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Były właściciel traci wszelkie prawa. Nie może w ogóle wejść na teren posesji bez materiałów budowlanych i ekipy remontowej. Przejmujemy to i za symboliczną złotówkę sami tworzymy muzeum.

— Według jakiego paragrafu?

— Nie ma jeszcze ustaleń kodeksowych. Według zarządzenia konserwacji zabytków.

— A konserwacja zabytków i wydział kultury mają prawo wejść?

— Oczywiście. Natychmiast po utracie praw właściciela. Mogę pana zapewnić, że nazajutrz rozpocznie się inwentaryzacja obiektu. Ponadto pojawi się możliwość kupna przez osobę postronną, która dotrzyma zobowiązań, takich samych albo może nawet bardziej rygorystycznych...

— Ma pan na myśli, że nowy nabywca wjeżdża na teren wywrotkami z cegłą i tak dalej?

— Zgadza się. Kto pierwszy, ten lepszy. Proszę pana, nie zamierzam ukrywać, to jest coś do oglądania, rzadka rzecz, oglądający płaci i z tego ciągnie się zyski. Jeśli nabywca zdoła się zareklamować, inwestycja szybko mu się zwróci. A dwór odzyska stan pierwotny i to będzie sukces kultury...

— A meble?

— Co meble...?

— Są tam i meble? Autentyki? Też do renowacji? Pan Pukielnik uśmiechnął się zwycięsko.

— A otóż są, ocalały w ogromnym stopniu, przez dawną służbę zostały ukryte i wrócą na swoje miejsce w chwili ustabilizowania sytuacji prawnej...

Przez całą drogę powrotną Tomasz myślał intensywnie na tematy odmienne, nie damsko-męskie i nie uczuciowe. Gdzież te meble i dlaczego córka Poldzia słowem o nich nie napomknęła...? Pan Pukielnik prawdy nie mówił...

Analizując wszystkie jego wypowiedzi wnikliwie i po kolei, doszedł do jakichś wniosków. Wyprzedził dwa TIR-y, wspominając informację podstawową, nikogo się tam nie wpuści bez tych wywrotek z cegłą. Skąd, u diabła, Agnieszka ma wziąć wywrotki z cegłą...?

Właściciela też się nie wpuści, o ile w ciągu dwóch tygodni nie sprowadzi ekipy remontowej. Wyprzedzając z kolei dwa małe fiaty, jedną skodę i trzy ciężarówki, przeanalizował możliwość zaangażowania owej ekipy remontowej. Bez pieniędzy odpada. Zatem wniosek ostateczny prosty, nie da się wejść do budynku, i o to właśnie chodzi. Możliwe, że córce Poldzia odebrano już klucze, chociaż,

jak wspomnieć tę upartą babę, nie wydaje się to możliwe. Ale niechby. Zasadniczym celem tej całej pseudokulturalnej działalności wydaje się niedopuszczenie Agnieszki do wnętrza domu.

Zatem we wnętrzu domu musi znajdować się coś, na co czyha ten cały Pukielnik i co chce odzyskać Agnieszka. Odzyskać, bo w końcu wszystko tam kiedyś należało do jej rodziny. Co też to może być takiego?

Worek złotych talarów. Nie, nie te czasy, powiedzmy złotych rubli. Obraz Rembrandta, ukryty przed grabieżcami w którąś tam wojnę. Diament z korony carów. Pamiątniki adiutanta Napoleona, dlaczego, u diabła, adiutant Napoleona miałby zostawiać pamiątniki akurat w Błędowie...? W Jabłonnie, to jeszcze... Coś w ogóle cennego, co każdemu się przyda, bo spraw ściśle rodzinnych to dotyczyć nie może, Pukielnik nie jest krewnym Agnieszki. I trzeba w tym domu posiedzieć, żeby to znaleźć, stąd owo niedopuszczanie...

Wszystko świetnie, tak być musi. Ale dlaczego Agnieszka to przed nim ukrywa?

Tu go bolało najwięcej, a rodzaju owej upragnionej rzeczy nie umiał odgadnąć. Postanowił określić ją sobie mianem „skarbu” i na tym poprzestać, symulując przed Agnieszką pełnię wiedzy, bo niech ona sobie nie myśli... Panu Pukielnikowi wyrwało się jeszcze jakieś drobne zdanko, świadczące, że zna budowlę z okresu jej dawnej świetności, co było oczywiście niemożliwe, bo nie mógł urodzić się wcześniej niż pod koniec drugiej wojny światowej. Ale chyba ją rzeczywiście znał... Skąd...? Z tego samego źródła zapewne co i Agnieszka, z opowieści przodków. Zatem jego przodkowie też się tam pchali...

Dojechał do Warszawy, zwrócił kumplowi motor i od razu udał się do dziewczyny.

Agnieszka z Felą zdążyły już odpracować cały ogromny przedpokój i przemieść się dalej, Fela do komórki przy kuchni, Agnieszka zaś do dawnego gabinetu. Dotychczasowy plon stanowiło jedenaście rozmaitych kluczy, z których żadne trzy nie wisiały na jednym kółku. Agnieszkę intrygował wygląd owego kółka, ale tu Fela nie mogła służyć pomocą, bo nawet jeśli je kiedyś widziała, nie zwróciła uwagi i nie zdołała zapamiętać, a ona sama wspomnienia miała nader mętne. Przestała bawić się kluczami w piątym roku życia, było to zatem szesnaście lat temu...

Wpuszczony przez Felę do mieszkania, Tomasz ujrzał swoją hipotetyczną narzeczoną rozczochraną imponująco, mocno przykurzoną, trochę przygnębioną i wyraźnie zaciętą, siedzącą na podłodze wśród stosu najrozmaitszych śmieci, pochodzących z wybebeszonych szuflad biurka, komody i szaf. Przechodząc obok kuchni, zdołał dostrzec kawałek podobnego widoku, zawartość komórki wysypywała się za próg. Doznał olśnienia.

— Niech mi kaktus na tyłku wyrośnie, jeśli nie szukasz kluczy — zaryzykował. — A ten cały Pukielnik rok życia by oddał, żeby cię w tym zastąpić.

Agnieszkę poderwało z podłogi.

— Skąd wiesz?

— Takie odniosłem wrażenie.

— Widziałeś go...?

— Na własne oczka. Odbyłem z nim długą i wysoce przyjacielską rozmowę.

Agnieszka zdenerwowała się okropnie. Przelazła przez śmieci, potknęła się o marmurowy przycisk do papieru i wpadła wprost w objęcia chłopaka. Pozwalając się całować, w szalonym pośpiechu porządkowała uczucia. Pukielnik, oczywiście! Wykołował przed laty pana Fularskiego, potem pannę Dominikę, teraz jeszcze i Tomasza... Wie o kluczach! Zaraz, na litość boską, nie może to być przecież ciągle ten sam Pukielnik, miałby już teraz ze sto pięćdziesiąt lat! I skąd Tomaszowi do niego...?

Łagodnie i z dużą niechęcią wysunęła się z jego objęć. Czowała, że musi na nowo podjąć decyzję, powiedzieć mu wszystko czy nie...?

— Opowiedz mi, jak to było — poprosiła z naciskiem. Tomasz opowiedział. Zuchwale i z determinacją wyznał prawdę. Zaciekało go, ona milczy nie wiadomo dlaczego, sam zdobył wiedzę, bo, poza wszystkim, ten jakiś Pukielnik wydał mu się postacią podejrzaną. Teraz wydaje mu się postacią podejrzaną jeszcze bardziej. Powyciągał sobie własne wnioski. Agnieszka rozejrzała się po śmietniku w gabinecie i zaproponowała przejście do salonu. Zdecydowała się uchylić rąbka tajemnicy.

— No to już zgadłeś, że dopadłam pamiętników prababek, po których całym prawnie i testamentowo dziedziczę. Najpierw ci powiem, że Pukielnik popełnił zwyczajną zbrodnię. Nie ten obecny, tylko jego pra... zaraz, ile będzie tych pra...? Na moje oko... czekaj... wnuk, pierwsza wojna... druga wojna... prawnuk chyba...? No więc pradziadek. Zbrodnię zatuszowano, a on, ten pradziadek, a potem dziadek... zaczęli się pchać do Błędowa.

— Wiesz po co?

— Wiem, ale nie wiem, skąd on wie.

— Od pradziadków i dziadków chyba?

— Na to wygląda. Tam podobno... — zawahała się, usiadła przy długim stole, wsparła się na nim łokciami i mężnie brnęła dalej. — Widzisz, zdaje się, że moja babcia się wygłupiła w sposób, który był dla niej kompromitujący. Nie chcę reklamować głupoty babci, która pewnie by mnie z grobu wyklęła... Wolę to nadrobić, z tym że nie wiem, czy mi się uda. Dlatego milczę. Dobrze zgadłeś, szukam kluczy, te cholerne klucze stanowią jakby sedno rzeczy, bez nich musiałabym cały dom rozłożyć na czynniki pierwsze i też nie wiem czy ze skutkiem. I w ogóle nie wiem, czy to tam jeszcze jest...

— Co? — spytał cierpliwie Tomasz, usiadłszy nie wiadomo dlaczego przy drugim końcu stołu. Razem wyglądali jak średniowieczni monarchowie, których przy posiłku musiałyby obsługiwać ze dwa tuziny pachotków.

— Jakby państwo kolację zjedli, to może by tak bliżej usiąść — zauważyła cierpko zaglądająca do salonu Fela. — Przecie gości nie ma. A ja tak latać podługowato nie będę, bo mi czasu brakuje.

Spojrzeni na nią oboje, zaskoczeni. Spojrzeli na siebie, równocześnie wybuchnęli śmiechem i razem przesiedli się na jeden koniec.

— No, tak to już lepiej — pochwaliła Fela i znikła za drzwiami.

Ten śmiech jakoś ich zbliżył i nadłamał ową niepokojącą barierę, wyrosłą ostatnimi czasy. Agnieszka podjęła temat żywiej i swobodniej.

— I sama, powiem ci szczerze, też się nie chcę wygłupić. Miałam zamiar nic nikomu nie mówić, dopóki nie znajdę kluczy. I nawet potem, najpierw sama sprawdzić, bez świadków przeżyć rozczarowanie albo sukces, i później dopiero zawiadomić rodzinę. I ciebie. Rozumiesz, odzyskawszy równowagę.

Tomasz zrozumiał. Też się poczuł swobodniej.

— Znaczy, dobrze zgadłem? W grę wchodzi klucze, Pukielnikowi niedostępne, które ty powinnaś mieć?

— Otóż to...

— I liczysz na coś, co pozwoli ci wywiązać się z tej konserwacyjno-zabytkowej umowy?

— Otóż to... Zaraz, niezupełnie. Liczę odrobineczkę... Chcę sprawdzić. A może...?

— I co to miałyby być? Bo tego, wyznam uczciwie, nie zgadłem.

Z wysiłkiem, krótkim, ale wysoce intensywnym, Agnieszka ugniotła lekko swoje poglądy na tle ekwiwalentu wymiennego.

— Jakiś spadek po pra-pra-i tak dalej-babci w postaci Bóg wie czego. Wedle pamiętników powinno to przedstawiać niezłą wartość. Ale równie dobrze może tam nie leżeć nic. Dwie wojny, okupacja, różne trupy, Pukielnikowie...

— Pukielnikowie odpadają — przerwał energicznie Tomasz. — Nie pchaliby się teraz, gdyby to wcześniej zdobyli. Trupy też sukcesu nie odniosły.

— Też tak myślę — zgodziła się Agnieszka. — I dlatego, sam widzisz, szukam kluczy. Chcę zrehabilitować babcię i możliwe, że przy okazji się wzbogacić.

Fela wniosła posiłek w postaci makaronu zapiekanego z szynką i serem. Dołożyła do niego marynaty, grzybki, korniszony i małe, zielone pomidorki. Agnieszka po bardzo krótkim namyśle sięgnęła po czerwone wino.

— I gdybym te klucze miała, zakradłabym się tam podstępnie bez żadnych umów...

— Jesteś pewna, że one jeszcze gdzieś są? Nie przepadły całkiem?

— Powinny być. Moja matka, gdyby je wyrzucała, przedtem spytałaby, czy nie są do czegoś potrzebne. Ona jest wyjątkowo porządna.

— Pomóc ci szukać?

— Jeśli masz czas...? W ogóle nie poszłam dzisiaj na wykłady...

W rezultacie poszukiwaniem trzech kluczy na jednym kółku zajęli się wszyscy. Nawet ciotka Maryna dla świętego spokoju przegrzebała swoje mieszkanie, chociaż nie miało to żadnego sensu. Szukała także Amelia, pani Idalia zaś zdecydowała się na zwyczajne generalne porządki, połączone z myciem okien i lakierowaniem podłóg. Szaleństwo sięgnęło wujka Jerzego w Kośminie, gdzie wszak Agnieszka jako dziecko niekiedy bywała. Co najmniej na dwa tygodnie całej rodzinie klucze przesłoniły świat, przy czym nikt właściwie nie wiedział, po co tego draństwa szuka.

Efekt był imponujący. Wszystkie odnalezione łupy dostarczono Agnieszce i środek gabinetu zajęła wielka góra żelastwa. Szczególnym przypadkiem wszyscy znaleźli się w dawnym mieszkaniu Barbary równocześnie, tego samego dnia. Pani Idalia z małżonkiem odwiedzili córkę, donosząc jej ostatnią torbę z kluczami, z podobnym brzemieniem przyjechał najmłodszy syn wujka Jerzego, Michałek, rówieśnik Agnieszki, rozśmieszony osobliwymi potrzebami kuzynki, cioteczna babka Amelia wpadła z odkrytym właśnie pod starymi negatywami pudełkiem, pełnym żelaznych rupieci, a ciotka Maryna przyszła tak sobie. Agnieszka zmobilizowała się ostro i w mgnieniu oka urządziła przyjęcie, fetując rodzinę całym półmiskiem śledzi w oliwie, jajkami na twardo w sosie musztardowym i ogromną ilością placków kartoflanych, na bieżąco smażonych przez Felę. Innych produktów akurat w domu nie miała. Przeczuciem zapewne tknięty Tomasz przyszedł w jednej trzeciej przyjęcia, donosząc lody.

— A właściwie na co ci te wszystkie klucze, moje dziecko? — spytała ciotka Maryna dokładnie w chwili jego wejścia, po czym, przeczekawszy ukłony i przywitania, powtórzyła pytanie.

— No...? — poparł ją żywo Michałek.

— Wszystkie potrzebne mi są jak dziura w moście — odparła Agnieszka grzecznie. — Szukam ściśle określonych trzech sztuk na jednym kółku. Mogły jednakże zlecieć z kółka i teraz nie wiadomo które to są, więc muszę obejrzeć wszystkie.

— Odniosłam z tego szukania korzyść osobistą — powiedziała Amelia — bo przy okazji znalazłam moje kluczyki do walizek. Tych ci nie przyniosłam, mam nadzieję, że mi to wybaczysz?

— I do czego one są, te trzy? — dociekała uparcie ciotka Maryna.

— Do jakichś zamków prawdopodobnie — mruknął ojciec Agnieszki.

— Pamiątka rodzinna — podsunęła sucho pani Idalia.

— I dla pamiątki rodzinnej wszyscy przewracają domy do góry nogami? — zdziwił się Michałek.

— Nasza matka z szacunku dla pamiątek rodzinnych całe życie czytała...

— Niektórzy czytają przez całe życie bez względu na pamiątki rodzinne...

— Może niech ona powie, co...?

— Cicho bądźcie! — zażądała nagle Amelia. — Jestem najstarsza i chyba pamiętam. Coś było...

Zmarszczyła brwi, unosząc nad plackiem kartoflanym kapiącą gęstą śmietaną. Rodzina zapatrzyła się w nią zarazem podejrzliwie i z nadzieją.

— No...? — nie wytrzymała niecierpliwie Maryna. Nie wytrzymała również jej siostra.

— A jak mama próbowała wyjaśnić, co czyta i dlaczego, nie słuchałaś wcale — wypomniała Marynie kąśliwie. — Ani jedno słowo do ciebie nie dotarło.

— A do ciebie dotarły wszystkie, co?

— Mnie historia nie interesowała. Ale rozumiałam przynajmniej, że mama czyta z obowiązku i przyzwoitości...

— Dla przyjemności także — przerwała im znów Amelia i przekazała łyżkę Agnieszce. — Mój ty Boże, Fela robi te placki jeszcze lepsze niż Gienia... Justyna, to wiem na pewno, lubiła dawne czasy, nawet ciotka Hortensja mówiła, że jak wetknie głowę w te szpargały, robi się stracona dla świata. Barbara z Antosiem mogli się wymordować wzajemnie, a ona by nawet nie zauważyła...

Agnieszką szarpnął nagle dziki żal, że nikt nie pisał pamiętników później. Chociażby babcia Justyna. Wydarzenia powojenne wcale nie bladły przy tych dziewiętnastowiecznych, były, jak widać, równie atrakcyjne. O ciotecznej pra-pra... ileś tam tych pra... babci Barbarze słyszała od dzieciństwa jako o postaci niezwykle barwnej. Matka twierdzi, że nie pamięta, może jeszcze Amelia...

— ...ale obowiązek to był również, owszem — ciągnęła Amelia. — I ten obowiązkowy pamiętnik znalazł się dwa razy, raz w kapuście, a drugi raz w sejfie, byłam przy tym.

— Przy obu razach? — zaciekawiał się Michałek.

— Przy obu, ale pierwszego nie pamiętam, upchnęli mnie gdzieś tam razem z innymi dziećmi. Za to drugi... Pamiętnik się znalazł, pudło tu chyba jeszcze masz? Srebrne było i kamieniami szlachetnymi wysadzane, więc chyba żadna z was na śmietnik go nie wyrzuciła?

Podejrzliwie popatrzyła na panią Idalię i jej córkę. Obie pokręciły głowami.

— No więc właśnie. Coś tam jeszcze znaleźli, jakieś papierowe śmieci i tak mi się wydaje, że także klucze. Trzy klucze na jednym kółku. W oczach mi stoi, jak wszyscy po kolei trzymali je w ręku, aż w końcu zabrała Barbara. To kółko było nietypowe, takie ściśle, czy jak to określić, w każdym razie nie dawało się ich zdjąć z niego i rozdzielić, a przyozdobione było... małe coś... wiem, czterolistną koniczynką. I tyle. Barbara oddała je Justynie.

— Tyle to i ja wiem — wyznała smętnie Agnieszka. — A babcia Justyna dała mi je do zabawy.

— Musiała mieć akurat zaćmienie umysłu — zawyrokowała Amelia, nie kryjąc zgorznienia.

— I czy ja się wreszcie dowiem, do czego one miały być i dlaczego wszyscy ich szukamy jak kto głupi? — uparła się przy swoim Maryna.

Agnieszka zawahała się. Wszyscy na nią patrzyli.

— Powiem, jak się znajdują. Sama nie jestem pewna. Ale wedle tych pamiętników pra-pra-pra. . .

— I tak dalej-babci — zniecierpliwiła się Amelia.

— . . . Matyldy. One powinny otwierać jedną taką szafę w Błędowie i możliwe, że za tą szafą ciągle jeszcze leżą bardzo cenne pamiątki, kto wie czy nie z czasów napoleońskich. Taki upór tkwi w tych wszystkich testamentach, że mnie jest głupio przynajmniej się nie postarać. I znaleźć je. . .

— Bo bez nich co? — zaciekał się Michałek.

— Bo bez nich, już mówiłam, trzeba by mur rozwałać, a konserwacja zabytków nie pozwoli i będzie mi tam patrzeć na ręce.

— Fakt — przyświadczył Tomasz, odzywając się wreszcie, wprawdzie krótko, ale z wielkim naciskiem.

— Otóż to! — powiedziała Amelia i wycelowała w niego widelec z kawałkiem placka obłożonego śmietaną, gęstą wprawdzie, ale rzadziejącą pod wpływem gorąca. Śmietana skapnęła do szklanki z herbatą Michałka. Cofnęła sztuciec.

— Co za zaraza jakaś, że jak się w tej rodzinie omawia poważne sprawy, zawsze jakieś pożywienie skacze, to samo było u Ludwika i Hortensji. . . Ciebie — machnęła z kolei widelcem w kierunku pani Idalii, przy czym zleciał także i kawałek placka, trafiając w gors Maryny. — O, właśnie. . . Ciebie, mówię, jeszcze na świecie nie było. . .

Michałek zachichotał. Amelia zwróciła się do niego.

— Ciebie też. To wtedy właśnie wyszło na jaw, że twój ojciec istnieje i zdaje się, że miał już rok. . .

— Tak ciocia wszystko doskonale pamięta, a jak przychodzi do tych kluczy, to jakoś całkiem nic — zganiła gniewnie Maryna i zjadła placek zza dekoltu.

— Ja miałam wtedy i zaraz potem swoje własne kłopoty. Komplikacje małżeńskie. . .

— A pewnie — wtrąciła się Fela, wchodząca z nowym półmiskiem. — Jak raz właśnie wtedy nastalam, jak pani po całym domu z nożem za mężem latała, a państwo kazali panią łapać, bo on tylko uciekał. Kto to ma pamiętać jak nie ja, wszyscy inni umarli. Te dwa zimne to już niech państwo zostawia, tu są świeże gorące.

Amelia nagle zaciekała się wspomnieniem.

— I coś mówiłam? Bo nie pamiętam, zdenerwowana byłam.

— Zabiję cię ty świnió, krzyczała pani, zabiję cię ty świnió, i tak w kółko. Stłukł się wtedy ten taki wazon, co to podobno okropnie był drogi, i pani Barbara kazała nie wyrzucać, tylko do sklejenia oddać. Nóż pani w końcu zabrali i spokój nastął.

— No to rzeczywiście do kluczy ciocia głowy nie miała — przyznał łagodnie Andrzej, ojciec Agnieszki.

— A co się z tym wazonem stało? — spytała w zadumie pani Idalia. — Został oddany do sklejenia?

Fela zabrała ze stołu półmisek z dwoma wystygłymi plackami i wzruszyła ramionami.

— Żeby tak zaraz, to nie. Stał i stał, a skorupy miał w sobie, aż przed śmiercią krótko jaśnie pani Justyna takiego, sklejacza znalazła i chyba sama zaniósła, albo może nie ona, tylko panienka Ewa, bo jeszcze wtedy była. To jakoś krótko potem jak w kominku szyszkami się paliło. Panienka Ewa dużo u nas siedziała.

Maryna ogłuchła nagle, bo pobyty jej córki u babki Justyny były wynikiem jej własnych, nader osobliwych komplikacji małżeńskich. Zważywszy, iż ostateczny rezultat owych komplikacji niemal doszczętnie zrujnował rodzinę, wołała o tym nie pamiętać.

— I gdzie on teraz jest, ten wazon? — dociekała dalej Idalia. — Wrócił ze sklejenia?

— Tego to ja nie wiem. Długo miało być. Panienka Agnieszka lepiej może wiedzieć.

Idalia surowe spojrzenie skierowała na córkę. Agnieszka nie usiłowała nawet ukryć zakłopotania.

— Zgadza się, była o tym mowa jeszcze za życia babci. No dobrze, przyznam się, na śmierć zapomniałam. . .

— Obawiam się, moje dziecko, że ten wazon mógł pochodzić z Błędowa. I obawiam się, że była to epoka Ming, a może nawet Sung. Czy przypadkiem nie zlekceważyłaś sprawy? Już dość dawno minęły czasy, kiedy mogliśmy sobie pozwalać na pewną lekkomyślność.

Ciotka Maryna odzyskała rezon.

— No proszę, ona każe nam tu grzebać po kątach za głupimi kluczami, a sama traci takie rzeczy! Gdzie Napoleonowi do Chin. . . ?!

Agnieszka zakłopotana się bardziej. Amelia ujęła się za nią.

— Nie macie co tu szat rozdzierać, potłuczona chińska porcelana to już proszek, nie sklei się. A nawet gdyby. . .

— Ona wcale nie w proszek poszła, — przerwała jej Fela z oburzeniem. — Ledwo się nadłamała od góry, bo pani Barbara złapała i tyle że w półkę puknęło i pękło. To pęknięte własną ręką odjęła, całkiem duże kawałki, w torebeczkę włożyła, żeby nie poginęły, i tak zostało.

— Przecież sama Fela mówi, że skorupy w środku były. . .

— A, to potem. Bo to się takie rzeczy zapomina. Sama pani Justyna przy dużych porządkach do torebeczki zajrzała, co też tam jest, i żeby już pamiętać, w wazon wetknęła. I zaraz niedługo tego sklejacza znalazła.

— Masz jego adres? — zwróciła się do Agnieszki pani Idalia.



- Mam. I nazwisko. Załatwię to.
- Skończcie już może z porcelaną, co? — zaproponowała Amelia. — Podobno o kluczach teraz rozmawiamy. Wątpię, czy je ktoś wyrzucił, więc gdzieś muszą być. Czy już wszystkie mieszkania przeszukane?
- Jeszcze parę kątów zostało. . .
- To popatrzcie po tych kątach. Bo o ile sobie przypominam, ona te swoje ulubione zabawki utykała po zakamarkach, chowała sama przed sobą i bawiła się w szukanie. Liczyła kroki. . .
- Umiała liczyć? — zdziwił się Michałek.
- Do dziesięciu doskonale. Mamrotała pod nosem, odmierzała odległości palcem na ścianie albo jakimś patykiem. To miało być szukanie skarbu.
- Skąd ciocia wie? — zaciekała się Agnieszka, której umknęły już z pamięci szczegóły zabaw w dzieciństwie.
- Sama mi to powiedziałaś. Wtedy kiedy zniknęły moje zapasowe klucze od mieszkania i musiałam dorobić nowe. Znalazłam je po paru latach we flakoniku na imbir, i to jeszcze nie w kuchni, a na półce z książkami, za taką jedną mniejszego formatu. Stała równo z innymi, zdziwiło mnie to i zajrzałam. Akurat było za nią miejsce.
- Co to takiego flakonik na imbir? — zainteresował się Michałek.
- O mój Boże. . . Dawno temu, moje dziecko, na wszystko były odpowiednie naczynia i każda gospodyni to miała. Na sól, na pieprz, na szafran, na imbir. . .
- A imbiru ciocia nie szukała?
- Nie. Imbiru używa się do flaków, a w tamtych czasach flaków nie można było dostać za skarby świata. Imbiru tam zresztą wcale nie było, tylko te moje zapasowe klucze. Więc obejrzyjcie takie różne dziwne miejsca. . .

Nie chcąc zwać całej roboty na matkę, Agnieszka resztki domu rodziców przegrzebała osobiście, z takim samym skutkiem jak mieszkanie po babce. Rozmaitych kluczy znalazło się mnóstwo, ale tych trzech na jednym kółku nie było. Nie było i już. Błogosławiła ciotkę Amelię za przypomnienie, że nie dawało się ich zdjąć i rozdzielić, bo już zaczynały ją gryźć obawy, iż sama zniszczyła całość, rozpraszając i gubiąc pojedyncze sztuki. W takim wypadku byłyby w ogóle nie do rozpoznania.

Zdenerwowana i dodatkowo podgryzana wyrzutami sumienia, zdecydowała się załatwić przynajmniej sprawę wazonika. Nazwisko i adres sklejacza miała na szczęście zapisane wśród innych pamiątkowych zaleceń babci Justyny i odnalazła je z łatwością.

Mocno starszy pan, nieco zramolały, ale jeszcze sprawny, ucieszył się jej wizytą nadzwyczajnie.

- Wreszcie się pani pokazała! Moja droga panienko, ja już chciałem ogło-

szenie dawać, tylko nie wiedziałem, jak je zredagować, żeby nie obudzić niepotrzebnych podejrzeń i nie zwrócić na siebie uwagi złodziei. Przecież to jest wazon z epoki Sung! Sung! Czy pani to rozumie?

Agnieszka zrozumiała. Szczerze zainteresowana historią, przejechała się po jej wątkach ubocznych, po historii zegarów, mebli, strojów, naczyń kuchennych, szkła, instrumentów muzycznych, a także porcelany. Co oznacza naczynie z dynastii Sung, wiedziała doskonale i zrobiło jej się gorąco w środku.

— To jest unikat! — mówił dalej starszy pan z mieszaniną zachwytu i oburzenia. — Takie rzeczy przytrafiają się w muzeach, a i to rzadko. Skąd się to wzięło w pani rodzinie?

W tym momencie przekonanie o płomiennym, acz krótkotrwałym wybuchu uczuć cesarza do pra-pra- i tak dalej -babci skamieniało w Agnieszce na mur. Podróże dalekich przodków do Chin nie wchodziły w rachubę.

— Napoleon gdzieś rąbnął — wyrwało się jej i czym prędzej spróbowała zatuszować nietakt. — To znaczy, tak przypuszczam, bo innej możliwości nie widzę. Znał osobiście moją... naszą...

Starszy pan nie słuchał.

— Napoleon, to możliwe. Nikt już teraz nie dojdzie, wojny niszczą kulturę. Bezcenny przedmiot! Oczywiście sklejenie odbiera mu połowę wartości, ale i tak rzecz wyjątkowa. Od roku... co ja mówię, przeszło trzy lata stoi gotowe i nadzieć się nie mogłem, że państwo się nie upominają...

— Moja babcia półtora roku temu umarła i były różne kłopoty — przerwała mu Agnieszka, z całej siły starając się nie uchodzić za idiotkę. — Dopiero ostatnio odnalazłam pańskie nazwisko i adres i od razu przyszłam.

— No tak, rozumiem. Oczywiście. Bałem się strasznie jakiegoś włamania, kradzieży... Myślałem o ubezpieczeniu, ale to wielkie koszty, a i tak w razie nieszczęścia pełnego zwrotu wartości nie dostałoby się, a sensacja nieprzyjemna. Pani krewna wpłaciła zaliczkę, należy mi się już tylko jedenaście milionów czterysta tysięcy złotych.

— Proszę...?

Zaskoczenie Agnieszki było wyraźnie widoczne. Starszy pan się zmartwił.

— Ach, pani nie jest przygotowana? No, istotnie, nie nosi się przy sobie takich pieniędzy na drobne wydatki. Ale teraz już poczekam spokojnie. Kiedy mogę się pani spodziewać?

Od tych jedenastu milionów Agnieszka tak zbaraniała, że umówiła się na przyszły tydzień. Zaraz na początku, we wtorek. Skąd je weźmie, nie miała chwilowo najmniejszego pojęcia.

Przyszła jej na myśl ciotka Amelia, ale najpierw postanowiła naradzić się z matką. Cena wazonika z epoki Sung mogła być w ogóle niewyobrażalna, jakieś setki tysięcy dolarów, a należało to przecież do niej, w myśl testamentu babki

dziedziczyła wszystko. Gdyby to sprzedała, cholerny remont Błędowa nie stanowiłby problemu.

No proszę, znów pieniądze. Szczęścia może i nie dają, ale jakżeż upiornie ich brak utrudnia życie!

Myśl z wazonika, remontu i pieniędzy jakoś automatycznie przeskoczyła na Tomasza. Gdyby był bogaty...! Boże drogi, może i rzeczywiście te baby z zeszłego wieku miały rozum, wychodząc za bogatych starych przyków... nie, właśnie nie miały rozumu, przedkładając nad nich młodych, pięknych i ubogich... Idiotki, nie wiedziały, co znaczą kłopoty finansowe. Może i ona powinna, nie bacząc na uczucia, poszukać sobie antypatycznego miliardera...? Sympatyczny, oczywiście, będzie zajęty... Wyrzec się Tomasza...

Zanim dotarła do mieszkania rodziców, zdążyła porozumieć się sama ze sobą. Nie, nie zamierzała wyrzec się Tomasza. Myśl o zastąpieniu go antypatycznym miliarderm, niewątpliwie starym, grubym i despotycznym, była nie do przyjęcia, napełniała wstrętem. Szczególnym przypadkiem wszyscy znani jej bardzo bogaci faceci byli starzy, grubi i despotyczni, niektórzy także gburowaci i źle wychowani, ponadto obleśni. Z takimi za nic! Nie miała w sobie odpowiednich skłonności, dawne kurtyzany budziły w niej głębokie współczucie i wielką niechęć do zawodu. Należało raczej zmusić Tomasza do zrobienia majątku, no i oczywiście samej odzyskać majątek po pra-prababci, co też byłoby niezłym wyjściem.

— Jak oni mogli tak wszystko stracić? — spytała z rozgoryczeniem, spotkawszy w bramie wracającą z pracy matkę. — Przecież ja czytałam te wszystkie pamiętniki, oni mieli majątek!

Pani Idalia nie żywiła najmniejszych wątpliwości, o kim jej córka mówi.

— Zdaje się, że nie było w tej rodzinie ani jednej osoby, która umiałaby o to zadbać — odparła sucho. — No, może z wyjątkiem ciotecznej babki Barbary. Ale ona też, zdaje się, potrafiła tylko zarobić, nie oszczędzać.

— To nawet nie jest kwestia oszczędzania. Można być rozrzutnym, tracić dla przyjemności, byle nie poniżej zera. Ale oni stracili głupio, a przyjemności w tym nie widzę żadnej.

— Tu, Agnisiu, przesadzasz, niesłusznie szkalujesz przodków. Najpierw były wojny, a potem załatwił ich ustrój. Na końcu zaś, trudno to ukryć, twoja ciotka Maryna. Rozumiem, że potrzeba ci pieniędzy. Co się stało?

Razem weszły do mieszkania.

— Mąż ciotki Maryny — sprostowała Agnieszka. — Poszłam odebrać wazonik z epoki Sung.

Komunikat o jedenastu milionach złotych zmartwił panią Idalię i zakłopotał, zarazem dostarczając jej pociechy, w postaci przypuszczalnej ceny naczynia. Nim jednak zaczęłoby się myśleć o cenie, należało je przedtem odebrać. Ona też w pierwszej kolejności pomyślała o Amelii.

— Jeśli się nie wybiera w żadną podróż, może wyasygnuje chociaż połowę.

Resztę spróbujemy zbierać wspólnymi siłami. Sądzę, że ogólnie mamy tyle, ale za coś trzeba żyć.

— Może wujek Jurek? — podsunęła beznadziejnie Agnieszka, zaglądając do szufladek w starym kredensie, bo odruch szukania kluczy miała już w sobie zakorzeniony.

— Nie chciałabym od niego pożyczać. Karmili nas podobno przez dwadzieścia lat, poza tym, o ile wiem, on w coś inwestuje i nie ma wolnych pieniędzy. Zostaw te szuflady, przeszukane już były dziesięć razy.

— Może coś sprzedać?

— Sprzedać jedno, żeby kupić drugie...?

— Odzyskać. I cenniejsze.

— Ale przecież nie zamierzasz tego wazonika sprzedawać? Agnieszka zaważała się. Sprzedałaby go zapewne, gdyby ktoś dał jej dobrą cenę, dzięki temu miałyby z głowy błędowskie perypetie, z drugiej jednakże strony wyzbywać się tych resztek na czarną godzinę dla złudnych miraży...? Co jej przyjdzie z Błędowa, jeśli tam nic nie ma?

— Albo Sung, albo klucze — wymamrotała mimo woli.

Pani Idalia nic na to nie odrzekła i zajęła się przyrządzaniem posiłku. Nie miała najmniejszej ochoty uczestniczyć w historycznym szaleństwie, któremu poświęciła życie jej matka i które, najwyraźniej w świecie, teraz opętało jej córkę. Szmergiel chodził falami, objawiał się w co drugim pokoleniu. Szczęście jeszcze, że Agnieszka nie prezentowała tak doskonałej nieudolności praktycznej jak Justyna.

Doznała skojarzenia i jakiś fragment jej umysłu ucieszył się zmianą stroju. Miała na obiad gotową zupkę pieczarkową, gotowe mielone kotlety i gotowe piure z kartofli. Do tego głowiatą sałatę, z której wystarczało urwać parę listków i pokropić cytryną, żadna robota. Wszystko nabyte bez kłopotu i straty czasu. Z westchnieniem ulgi wspomniała nie tak dawne czasy, kiedy ogólnie dostępny był ocet i topione serki, a nakarmienie rodziny wymagało całych godzin wystawiania w kolejkach. Nie lubiła gotować, a na sam widok kolejek robiło jej się niedobrze.

Agnieszka, patrząc na matkę, pomyślała mniej więcej to samo, chociaż owe minione wertepy codziennej egzystencji Znaczyły o nią zaledwie, nie zatruwając życia radykalnie. Pewnie, można było wyrzec się gotowych produktów i prowadzić dom taniej, ale to jedno z dwojga, albo oddać się zawodowej pracy i zarabiać, albo poświęcić się gospodarstwu i oszczędzać. Niech każdy robi to, co lubi i umie, a nie to, do czego się kompletnie nie nadaje. Gospodarstwem domowym jej matka zajmowała się wyłącznie z obowiązku i nie leżało jej to w najmniejszym stopniu, chociaż, trzeba przyznać, umiała. Nauczyła się specjalnie, żeby zajmowało jej jak najmniej czasu, i to również miało jakiś sens.

Błysnęła jej jeszcze myśl o Feli, stanowiącej czyste błogosławieństwo i szczególnie łaskę boską, po czym wróciła do gnębiącego ją tematu.

— Dwa miliony mama uszarpie? — powiedziała niepewnie. — Wchodzę na drogę kwesty i niech wiem, czego się trzymać. Zaraz lecę do ciotki Amelii.

— Co jest dzisiaj? Piątek? — odparła pani Idalia pozornie bez związku.

— Piątek.

— Powiem ci w poniedziałek. Do poniedziałku wytrzymasz?

— Wytrzymam. Umówiłam się na wtorek.

— Zjesz coś...?

— Nie, mam w domu. Fela by się obraziła. Idę.

Pani Idalia nie nalegała. Agnieszka wyglądała zdrowo i dorodnie, nie było potrzeby karmić jej na siłę. Ponadto w kochającej i dość przedsiębiorczej matce zaległa się nowa myśl. Ostatecznie, we wczesnej młodości, konie stanowiły bez mała trzy czwarte jej egzystencji. . .

Kilka razy do roku pani Idalia bywała na wyścigach. Dla przyjemności, z sentymentu i przez pamięć dziadka Ludwika. Do tej pory jeszcze odczuwała niekiedy piknicie żalu, że za dobrze wyrosła i nie mogła zostać zawodowym dżokejem, i do tej pory miała wolny wstęp wszędzie. Wiedza o koniach tkwiła w niej tak samo jak przed laty, doskonale podbudowana wiedzą o wszelkich możliwych kantsach i oszustwach.

W sobotę pojechała sama, nie zabierając męża, chociaż na ogół ogromnie lubiła bywać na torze w jego towarzystwie.

Śmieszył ją niebotycznie doskonałą nieznaną tematu i poglądami, od których zgoła kręciło się w głowie. Wciąż nie potrafił pojąć, czym koń różni się od psa, kota, wieprza, ewentualnie krowy, i wygłaszał uwagi, którymi pani Idalia bawiła się znakomicie.

Tym razem jednak zamierzała się skupić i nic nie powinno jej rozpraszać, jeśli chciała dopomóc córce.

Trafiła na właściwy układ, wypatrzyła odpowiednie konie, odgadła rodzaj kantu, jaki ma nastąpić. Sprawdziła grę, mafia omijała faworyta. Pani Idalia była przeciwko mafii.

Kiedy konie wychodziły na tor znalazła się tuż przy murku. Faworyta miała o metr.

— Jasiu! — wysyczała dzikim, przenikliwym szeptem.

— Trzymam...!

Dżokej Jasio, znakomity jeździec światowej klasy, elita toru, poderwał głowę i poznał ją natychmiast. Zrozumiał też słowa. Poczul się wstrząśnięty.

Prawie ćwierć wieku temu Idalka była największą miłością jego życia. Jako szesnastoletni chłopaczek kochał się w niej na zabój, całkowicie beznadziejnie, ale wiernie. Widywał ją później rzadko, wciąż z nie gasnącym sentymentem,

ambicjonalnie, dla niej, chciał wspiąć się na niedosiężne wyżyny, marzył o wyświadczeniu jej epokowych przysług, co nie miało szans, bo nie grała, wyżyny już dawno zdobył, zamienił wielką miłość na rzewne wspomnienie i teraz nagle nim szarpnęło. Idalka gra go na pierwsze miejsce...!

Za spuszczenie gonitwy, czyli wstrzymanie konia, wziął już sześć milionów. Miał się w ogóle nie zmieścić w pierwszej czwórce, co wcale nie było łatwe i stąd wysoka opłata. Te sześć milionów, rzecz jasna, będzie musiał zwrócić, Zwróci, niech ich szlag trafi, niech się udławiają. Trupem padnie, a będzie pierwszy. Mafii się nie bał, to on był jej potrzebny, a nie ona jemu, na koniach ci wszyscy mafiozi znali się jak świnia na akrobacji, mógł w nich wmówić, co chciał. Idalka, rzecz oczywista, grała jakąś kombinację z nim na froncie...

Zanim dotarł do maszyny startowej, już odgadł. Wierzył święcie w jej wiedzę i nosa do koni. Musiała grać to, co dostrzegła w stawce, zatem przygotowane muszą przyjść uczciwie. Trenerka Siatkowska cholernie się zdziwi, że pozwolono jej zająć płatne miejsce, ale co to szkodzi, niech się dziwi do upojenia. Pójdzie uczciwa gonitwa i cześć!

Zważywszy iż dżokej Jasio w ogromnym stopniu rządził zespołem, pani Idalia wśród wrogich lamentów tłumu wygrała osiem i pół miliona złotych.

Rzecz jasna, z elementarnej przyzwoitości złapała byłego wielbiciela po wyścigach i wyjaśniła mu sprawę.

— Dla córki — rzekła z westchnieniem. — Nagle nam dosyć wyskoczyło i nie miałam kiedy pogadać z tobą wcześniej. Serdecznie ci dziękuję.

— Dla ciebie wszystko — odparł dżokej Jasio z galanterią. — Pewnie, że wcześniej byłoby łatwiej, ale sama wiesz, że jakby co, dużo da się zrobić.

— Nie będę cię wykorzystywać, jakoś tam się czołgamy.

— W razie czego do usług. Tyle że nie zawsze wyjdzie, to też sama rozumiesz. Te skur... jak by tu...

— ...czybyki — podsunęła elegancko pani Idalia.

— Niech będzie. Zaczynają nas trzymać za gardło ostrzej niż kiedyś.

— Rozumiem doskonale. Coś ci powiem. Moja córka ma problem, jak go rozwikła, urządzimy przyjęcie. Chcesz?

Dżokej Jasio rozpromienił się niczym skowronek w dzień wiosenny, aczkolwiek żadne przyjęcia nie robiły już na nim wrażenia. To jednak mogło być koroną życia osobistego. W obliczu takiej imprezy szejka z Ammanu miał w nosie...

— Mamo, jakiś szal — powiedziała Agnieszka przez telefon już w niedzielę.

— Ciotka Amelia deklaruje całą sumę. Ja już milion przeznaczyłam na straty. Co mam zrobić?

— Nic, podziel, pół na pół. Połowę ciotka Amelia, a połowę masz ode mnie. Ostrzegam cię tylko, że jeśli odzyskasz Błędów, będziesz tam musiała własnymi siłami urządzić bankiet. Beze mnie. Ja będę gościem.

Po dwóch sekundach Agnieszka pogodziła się z koniecznością.

— Bardzo dobrze, pra-pra-prababcia Matylida też coś takiego musiała. Stane na wysokości zadania albo przestanę być jej prą i coś tam wnuczką. . .

We wtorek, z pieniędzmi w torebce, udała się po wazonik. Obejrzała go po raz pierwszy. Kształtem ją nieco rozczarował, wydawał się nieco prymitywny, a mimo to miał swój wdzięk. I ten kolor, którego jakby nie było, a jednak istniał. Sklejenia należało szukać pod lupą, genialna robota!

Wychodziła już, kiedy starszy pan wydał nagle okrzyk.

— Momencik, proszę pani, byłbym zapomniał, coś takiego. . . ! W wazonie to było, też tu u mnie leży kilka lat. Pod torebką z kawałkami porcelany znalazłem i chciałem państwu powiedzieć, bo może potrzebne, ale tyle czasu. . . Proszę, proszę.

Agnieszka puściła popychane drzwi i odwróciła się. Starszy pan podawał jej trzy klucze na jednym kółku. . .

— Nie wiem, co masz zamiar zrobić z tym Błędowem, do którego ci te klucze były potrzebne, ale przyjmij do wiadomości, że ja tam będę przyjeżdżała — oznajmiła nadzwyczajnie zadowolona Amelia przy tradycyjnym zebraniu rodzinnym. — Na weekend, na wakacje, na cokolwiek. I jeśli nie zobaczę za oknem kur, kaczek, gęsi. . . przy indykach nie będę się upierała. . . A może powinnam się nie upierać przy gęsiach. . . ?

Niepewnie popatrzyła po rodzinie dookoła stołu. Na jej pytanie odpowiedzieć mogłaby właściwie tylko Agnieszka, zorientowana w wydarzeniach historycznych, cała reszta towarzystwa była współczesna, miejska, Michałek ostatecznie znał się na pomidorach, szparagach, jarmużu i cebuli, Idalia posiadała wiedzę o koniach, Fela byłaby doskonała przy świniobicciu, a o drobiu kto. . . ? Tylko te prababki z bocznej linii, obeznane ze słowem pisany.

— I nie wierzyć tu w astrologię — powiedziała Maryna, przełknąwszy kęs kurczaka w winie. — Wszystko się razem zrobiło, a byłam u wróżki, takiej astrologicznej właśnie, wyraźnie mówiła, że w połowie miesiąca dla całej rodziny nastąpi powodzenie. No i proszę!

— Gęsi nie — wyrwał się Tomasz prawie równocześnie.

— Cholernie hałaśliwe. Szczególnie o świtanie, spać nie dają.

— Hałaśliwe. . . ? No to czort bierz gęsi, a jak indyki. . . ?

— Indyki, proszę pani, to delikatne stworzenie — pouczyła Fela, podająca do stołu tak wolno, jak tylko to było możliwe.

— Że też pani z młodych lat nie pamięta. . . Od byle czego chorują i bez krwawnika się tego nie odchowa. Oka spuścić nie można, ale jak kto chce. . . Hałas dużego nie robią, gdzie im do gęsi.

— Albo ogród, albo drób — ostrzegł Michałek, z wysiłkiem tłumiąc rozweselenie.

Amelia z ciężkim westchnieniem zdecydowała się poprzestać na kurach i kaczkach. Agnieszka nie protestowała przeciwko niczemu, pojutrze miała objąć posiadłość, zwróconą jej prawnie. Zaparty w sobie Pukielnik nie zdołał jej tego uniemożliwić, ale dwutygodniowy termin rozpoczęcia remontu pozostał w mocy. Już się go nie bała, penetrację biblioteki postanowiła rozpocząć nazajutrz. Ponadto w zapasie miała wazonik z epoki Sung.

— Tam dziedziniec folwarczny zawsze był z boku — zauważyła delikatnie.

— Ciocia się zgodzi wychylić przez okno, żeby zobaczyć te kury i kaczki?

— Przez okno? Mogę — poszła na ustępstwo Amelia.

— Bo z frontu był podjazd, a z tyłu ogród. . .

— Chcesz odtworzyć dawny stan? — spytała niespokojnie pani Idalia.

— Nie wiem. Jeśli się uda. . .

— A bez drobiu pani tam nie przyjedzie? — zwrócił się Tomasz do Amelii.

— Przestań do mnie mówić „pani”, do licha! Żenisz się w końcu z Agnieszką czy nie? Jeśli tak, jestem twoją cioteczną babką, a jeśli nie, w ogóle z tobą nie rozmawiam!

— W obliczu takiej groźby. . . Jeśli tylko Agnieszka nie ma nic przeciwko temu. . .

— Czy mam rozumieć, że oświadczasz się oficjalnie o rękę mojej córki? — zainteresował się gwałtownie pan Andrzej.

Oficjalnych oświadczeń Tomasz akurat wcale nie miał w planach, ale nie mógł tego przecież powiedzieć. Poza wszystkim, nie był pewien, jak Agnieszka na to zareaguje, aż tak konkretnie o przyszłości jeszcze nie rozmawiali. W umyśle zamigotał mu niepokojący obraz pierścionka zaręczynowego. Usilnie starając się ukryć zakłopotanie, już otwierał usta, żeby przytaknąć, ale Agnieszka go ubiegła.

— Może byłoby słusznie najpierw uzgodnić to ze mną? — podsunęła grzecznie.

— A co? — zdziwiła się ciotka Maryna. — To ty jeszcze nie wiesz, czy on cię kocha?

— Jakże? — zgorszyła się Fela równocześnie. — To panienka pana Tomka nie chce?

— Wydawało mi się, że nawzajem traktujecie się poważnie, a nie lekkomyślnie — zauważyła sucho pani Idalia.

— Rany boskie. . .! -jęknął cichutko Michałek.

— Ja oczywiście nie nalegam — wycofał się pośpiesznie pan Andrzej, widząc, że wetknął kij w mrowisko.

Tomasz czym prędzej wziął byka za rogi.

— Publicznie oświadczam, że niczego bardziej nie pragnę, jak ożenić się z Agnieszką. Faktem jest, że nie zdążyłem jej tego powiedzieć. Nie było kiedy. I nie wiem, czy ona się zgodzi, chociaż mam nadzieję, że tak, z tym że wolałbym



może... jak by tu... no... ewentualnej odpowiedzi odmownej wysłuchać jakoś bardziej kameralnie...

— Dlaczego odmownej? — zdziwiła się ciotka Amelia. — Ja bym cię poślubiła.

Zważywszy, iż różnica wieku między Amelią a Tomaszem wynosiła równo czterdzieści lat, zabrzmiało to dość przerażająco. Mimo czysto teoretycznego charakteru deklaracji strzępki lekkiego zakłopotania uniosły się nad stołem, pani Idalia popatrzyła na ciotkę z niesmakiem, Fela fuknęła karcąco. Michałek otworzył usta i zamknął je z kłapnięciem, nie wymówiwszy słowa. Agnieszce przypomniała się nagle nieopisanie kłopotliwa klauzula w testamencie Justyny, zdrętwiała troszeczkę w sobie i uznała za słuszne wkroczyć do akcji.

— I po co tatuś z czymś takim wyskakuje... Nie, to ciocia... Od razu powiem, że tak, chcę wyjść za niego, wcale się nie wypieram, tylko rzeczywiście należało zacząć w cztery oczy, bo jest przecież ten okropny testament babci. Jak ja mam coś takiego powiedzieć mu przy ludziach? Mnie się wydaje, że to obraźliwe.

— Nie przy ludziach, tylko przy rodzinie — sprostowała ciotka Maryna.

— Nie ma sprawy — zapewnił Tomasz równocześnie. — Zniewagi od twojej babci zniosę śpiewająco i bezboleśnie.

— A co tam takiego Justyna w testamencie wykombinowała? — spytała ciotka Amelia, marszcząc brwi. — Bo nie pamiętam.

Pani Idalia pamiętała i miłosiernie wyręczyła córkę.

— Nie wolno jej wyjść za mąż bez intercyzy. Prababcia Matylda też mamie zabroniła. Nie jest to niczym obwarowane, ale sama przyzwoitość wymaga, żeby się zastosować. Nie wyłamywać się z tradycji. Czy to rzeczywiście obraźliwe? Kiedyś, o ile wiem, wszystkie małżeństwa tak zawierano i nikt się nie czuł urażony.

— Czujesz się urażony? — zwróciła się ciekawie Amelia do Tomasza.

Tomasz czuł się raczej nieco ogłuszony, aczkolwiek pojęcie intercyzy było mu doskonale znane.

— Broń Boże! Nie posiadam nic kompletnie, więc jak dla mnie możemy spisywać nawet dziesięć intercyz. Nie zamierzam też Agnieszki obrabować, więc i rozczarowanie odpada. Ale, jeśli ta intercyza ma mieć jakiś sens, trzeba najpierw załatwić do końca cały zwrot mienia i ustalić prawnie jej stan posiadania, inaczej nabruździ nam wspólnota majątkowa...

— Bardzo słusznie — pochwaliła pani Idalia. — Skoro nie zgłaszasz zastrzeżeń...

— I godzisz się poddać fanaberiom prababek — wpadła jej w słowa ciotka Amelia.

— ... bądźmy przynajmniej konsekwentni. Niech bodaj jedno z was coś ma. Oczywiście datę ślubu ustalicie już między sobą, uwzględniając całą sytuację...

Agnieszka całkowicie przestała się wtrącać do rozmowy przy stole. Równie jak Tomasz zaskoczona nagłymi zaręczynami, czuła błogość w sercu. Pośpiesznie przeanalizowała swój stan uczuciowy, tak, oczywiście, chciała mieć go za męża i pędzić życie przy jego boku nawet od zaraz, mieszkanie miała, te problemy odpadały, studia na małżeństwie nie musiały ucierpieć, na dzieci mogli poczekać te trzy lata do jej dyplomu, a pewność, że są razem i rzetelnie należą do siebie, była dla niej przyjemna. Doskonale zdawała sobie sprawę, że Tomasz znalazł się znie-nacka pod presją, bez której zapewne nie tak rychło wspomniałby o ślubie, ale gdyby tego ślubu w gruncie rzeczy nie chciał, wyłgałby się, kładąc na nim krzy-żyk. Więc widocznie ogólnie chciał i tylko czekał na jakąś właściwą chwilę. Nic się złego nie stało, wyjaśnił sobie wszystko, jak zostaną sami, teraz już niejako legalnie...

Ponadto miała te przekłete trzy klucze na jednym kółku. Instrukcja pra-pra-prababci leżała w szufladzie biurka. Nie zdecydowała się jeszcze, czy pójdzie otwierać Sezam sama, czy w towarzystwie Tomasza. Jeśli z kimkolwiek, to chyba tylko z nim...? Nie była też pewna, jak operować kluczami, zdejmować je z kółka przemocą czy pozostawić w pęczku, opis pułapek i zamykających się samoczynnie drzwi brzmiał niepokojąco. Widziała przed sobą same problemy, ale jakież te problemy były piękne...!

Tomasz, oswoiwszy się już z rolą oficjalnego narzeczonego, w rozmowie brał żywy udział. Nie przeszkadzał mu nawet pełen współczucia wyraz twarzy Michałka i uporczywe widmo straszącego pierścionka. Z dziwacznych oświadczeń zaczynał być zadowolony, głupio trochę wypadło, bo głupio, ale co tam. Najważniejsze, że Agnieszka wypowiedziała się jasno i zdecydowanie, mógł się już pozbyć wątpliwości, chciała go bez fochów, grymasów i wahań. Lubił sytuacje jednoznaczne. Owszem, zostali sami i nikt się temu nie dziwił, nawet Fela była zdania, że narzeczeni mają prawo do własnego wieczoru. Nie chwycili się w objęcia od razu.

— Chyba powinnam cię przeprosić... — zaczęła Agnieszka niepewnie.

— Oszalałaś! — przerwał jej Tomasz z energią. — Nie widziałaś, że chodzę koło ciebie jak pies koło jatki i wypatruję właściwej chwili? Daj Boże zdrowie twojemu ojcu, ciotce też, zdecydowali za mnie, cześć im za to i chwała!

— To dlaczego nic nie mówiłaś?

— Bo się bałem ciebie. Nie byłem pewien, co myślisz, i nie chciałem ci się narazić.

Agnieszka zdziwiła się szczerze.

— Naprawdę nie było widać, że na ciebie lecę? Miałam wielką nadzieję, że się ze mną ożenisz, i wydawało mi się, że się wahasz. Za skarby świata nie chcę wlec cię do ołtarza na siłę. Weź pod uwagę, że mam za sobą historyczną lekturę ponieważ intymną i zakodowane w sobie przekonanie, że to raczej panienki powinny być wleczone na siłę...

— A może byśmy tak obydwójce poszli do ołtarza dobrowolnie? Co ty na to? Nie mówię, że zaraz jutro, odwal te błędowskie fiki-miki, bo przecież widzę, że cię gryzą. Nie chcę takiej konkurencji. Masz klucze, rób, jak uważasz, i niech się to wreszcie przewali.

— Otóż to — przyświadczyła Agnieszka, która w tym właśnie momencie podjęła decyzję. — Pojedziesz ze mną? W najgorszej chwili taktownie odwrócisz się tyłem, żebym mogła samotnie pozgrzytać zębami. A gdyby się za mną wszystko pozamykało. . .

— Ejże? Dlaczego ma się wszystko zamykać?

Upór w kwestii nadrzędnej roli ekwiwalentu wymiennego pozwolił Agnieszce przemyśleć sprawę w ułamku sekundy. Jeśli skarbu pra-pra-prababci nie będzie, nic się nie zmieni, on się z nią żeni, na posag nie licząc, jeśli będzie, ożeni się tym bardziej, bo jakież normalny mężczyzna porzuciłby narzeczoną dlatego, że zrobiła się bogata? A jeśli jest nienormalny, lepiej, żeby to wyszło na jaw przed ślubem.

— Pokażę ci — rzekła z westchnieniem, podnosząc się z fotela. — Sam przeczytaj te babcine instrukcje.

Tomasz, aczkolwiek w zasadzie humanista, miał jednak w sobie powszechną męską skłonność do techniki. Od razu wyłapał podstawowe niebezpieczeństwo. Stanowczo zażądał, żeby wykonać duplikaty kluczy, jeśli osoba w środku popełni błąd i ujrzy się uwięziona, osoba na zewnątrz zdoła się do niej dostać i posłużyć ratunkiem. Inaczej Agnieszka wejdzie tam po jego trupie.

Świadoma, iż dorobienie kluczy zajmie godzinę, a najwyżej dwie, Agnieszka natychmiast wyraziła zgodę. Pełne porozumienie zostało osiągnięte.

\* \* \*

Stojąc ramię w ramię przed właściwą szafą, obydwójce starali się ukryć emocje. Przyjechali jawnie, w biały dzień, wczesnym popołudniem, mieli prawo tu wejść i nikt ich nie pilnował. Nie musieli zakradać się w nocy ze ślepa latarką, szeptać, chodzić na palcach, wypatrywać wroga. . .

Agnieszka wyobraziła sobie, jak by to było w nocy i potajemnie, i prawie zrobiło jej się żal tego trupa, którego Poldzio złapał na nielegalnej penetracji. Ona legalnie, z męskim zapleczem, a wrażenia jej uszami tryskają. . .

— No dobra, ryzyk-fizyk — powiedział Tomasz. Agnieszka zawahała się.

— A jeżeli tam nic nie będzie. . . ?

— To będzie wszystko w normie. Z reguły w takich miejscach nic nie ma. A pozbyć się głupich nadziei też warto.

Kiwnęła głową, nic już nie mówiąc, bo w gardle ją trochę dławiło, wlaźła na

szczebel drabiny i sięgnęła do listewki.

Za drugą próbą trafiła na właściwy klucz, przekręciła w prawo dwa razy, lewą ręką pociągnęła szafę ku sobie. Oporna i zgrzytająca nieco maszyna ruszyła. Z drzeniem serca i potężnym reflektorem w dłoni Agnieszka wdarła się za tajemniczy próg. Ominąć trzeci stopień, nie stąpnąć nań przypadkiem. . .

Schody, które ukazały się przed nią, rzeczywiście wykluczały jednostkę korpulentną. Musiała przeciskać się bokiem. Zaczęła schodzić ostrożnie, trzeci stopień przekroczyła, nie musnąwszy go nawet, zeszła jeszcze trochę niżej, w świetle reflektorka pojawiło się coś na dole, Agnieszka przyjrzała się temu i zabrakło jej tchu.

Czekający przed wąską, czarną szparą w ścianie, mocno zdenerwowany Tomasz pluł sobie w brodę. Jak mógł puścić dziewczynę samą w te dziwaczne kamizelki, diabli wiedzą w jakim stanie, od lat nie penetrowane, zwariował chyba, upadł na głowę. Nie może iść za nią, bo stanowi ubezpieczenie, a cholera wie, czy tam się coś nie zawali, nie zaklinuje na mur, jakim sposobem w ogóle, w razie czego, zdoła się do niej dostać. . . ?! Kretyn skończony, jeśli jej się coś stanie. . . !!!

W tym momencie nagle pojął, że kocha Agnieszkę obłądnie i życie bez niej straci wszelką wartość. Po czym udziałem jego stały się doznania pra-pra-pradziadka Mateusza.

W chwili kiedy zdążył postanowić sobie kategorycznie, że wezwie wojsko, saperów, i wysadzi ten cały interes w powietrze, w ciasnym przejściu pojawiła się Agnieszka, żywa i zdrowa, tyle że bardzo blada, a może nawet trochę zielona. Bez słowa padła mu na pierś, przywierając z całej siły. Odpowiedzi na żadne pytanie na razie nie udzielała, starając się tylko oddychać głęboko. O tym, że jej poglądy doznały właśnie wstrząsu radykalnego, Tomasz nie miał najmniejszego pojęcia, zrozumiał tylko dość gwałtownie, iż przeistoczył się właśnie w opokę i azyl, niezbędne dla słabszej płci. Wypisz wymaluj, jak pra-pra-pradziadek Mateusz. . .

Agnieszka zaś w tej jednej krótkiej chwili uświadomiła sobie, że kochający i godzien zaufania chłopak przerasta wszystkie pieniądze świata. Niech szlag trafi ekwiwalent wymienny. Nic nie zastąpi silnego ramienia, które ją teraz otacza i przyciska, opiekuńczo, kojąco, acz z niepokojem, wyraźnie łomoczącym w klatce piersiowej.

Złapała dech.

— Tam jest szkielet — powiedziała do jego koszuli jakoś martwo i słabym głosem.

— Co. . . ?

— Szkielet. Kościotrup. W ubraniu.

Tomasz próbował opanować nagle oszołomienie. Szczególnie ubranie go zaskoczyło.

— O kościotrupach twoja babcia nie pisała. . .

— Pra-pra-pra. . .

— Wszystko jedno. Nic takiego nie miało tam leżeć. Co jest grane?  
Agnieszka zdołała unieść twarz.

— Nie wiem. Leży. Nie, ja nie zemdleję. Ale takie to dosyć okropne. . .

— No, ja myślę. . .

— Nie wiem, co zrobić. . .

— Uspokoić się w pierwszej kolejności. Kielicha bym ci zaserwował, tylko skąd wezmę, nie mamy. . . Gdzie leży?

Agnieszce wstrząs powoli mijał. Odetchnęła głęboko, poruszyła się, rozwarła dłoń, kurczowo ściskające klapy kurtki Tomasza. Odsunęła się od niego na jakieś pół centymetra.

— To jest istny cud, że ten trzeci schodek ominęłam, jak leciałam na górę. Na dole leży, tam gdzie powinny być następne drzwi. To jest młody Pukielnik. . .

— Co proszę. . . ?

— Młody Pukielnik. Chyba zaczynam już myśleć, chociaż może trochę chaotycznie. Młody Pukielnik zaginął, a potem tu straszło. On musiał wejść na ten trzeci stopień. . .

Tomasz odsunął ją od siebie nieco bardziej, tak, żeby móc się jej przyjrzeć, nie tracąc jednak bezpośredniego kontaktu fizycznego.

— Czy ty przypadkiem nie bredzisz? Skąd ci przychodzi do głowy jakiś młody Pukielnik? Znamy starszawego Pukielnika. . .

— Z pamiętnika panny Dominiki. Leży od pierwszej wojny światowej. To chyba dziadek tego naszego. Albo może pradziadek. Jak tu ginął, to już był żonaty i jego syn miał rok. Więc linia się uchowała. Znikł całkiem po wizycie w Błędowie i nigdy się nie odnalazł. To znaczy owszem, właśnie teraz.

Tomasz musiał to sobie przemyśleć. Agnieszka wyraźnie wracała do równowagi, dawało się już z nią rozmawiać. Zaczął od początku, to znaczy od stwierdzenia na własne oczy obecności szkieletu u podnóża schodów. Zanim precyzyjnie się w dół i wrócił na górę, Agnieszka zdążyła całkowicie przyjść do siebie.

— Mamy trzy możliwości — oznajmiła rzeczowo, usiadłszy na szczeblu drabiny. — Pochować ten szkielet ukradkiem byle gdzie w ogrodzie, zawiadomić o nim gliny albo w ogóle nic nie zrobić i niech sobie tam leży. Udawać, że go nie widzimy. Nie umiem wybrać. Ty uważasz, że co?

— Po kościotrupie łązić nieprzyjemnie. . . Czekać, niech ja się zastanowię. . .

Przez parę minut zastanawiali się obydwójce. Tomasz rozważał kwestię swojej kariery prawniczej, na samym wstępie zagrożonej wykroczeniem. Kościotrup żądał od niego określonych działań, całkowite zlekceważenie znaleziska było wykluczone. Mógł pójść na pewne ryzyko, ale wszystko tu zależało od wytrzymałości Agnieszki.

Agnieszka ten aspekt sprawy również brała pod uwagę. Czuła się już przynależna do Tomasza i obowiązywała ją lojalność. Odezwała się pierwsza.

— Od tego się zaczyna, że wcale nie musiałam lecieć na górę — rzekła w zadumie. — Mogłam tam sobie pozipać na schodach. Ale zdenerwowałam się i miałam tylko ciebie w głowie, a gdybym nie wróciła, nic byś o nim nie wiedział. Więc załóżmy, że nie wróciłam. Poszłam dalej aż do skutku, mogę być przecież głupia i odważna, nie?

Tomasza ogarnęło głębokie wzruszenie, ale nie miał teraz czasu rozpatrywać jego przyczyn i analizować oblicza. Agnieszka sama z siebie rozwikłała problem, zrozumiał ją doskonale.

— Przetrzymasz? — spytał niespokojnie.

— Właśnie doszłam do wniosku, że tak. Duch pra-pra-prababci nade mną lata. Ona tych Pukielników bardzo nie lubiła.

— Gdybyś się złamała, wracaj i niech szlag trafi historyczne pamiątki. . .

— O, nie! Widocznie jeszcze nie wiesz, że jestem chciwa. Chciwa, nie skąpa, to są dwie różne rzeczy. Skarbom prababci nie popuszczę, chyba że przepadły.

— Szkielet wskazuje, że chyba nie. . .

Nastawiona już na okropne widoki, Agnieszka zebrała wszystkie siły i zeszła po ciasnych schodach ponownie. Udało jej się nie potraćić żadnego szczegółu anatomii Pukielnika, chociaż była świecie przekonana, że kompletne rozkopanie jego szkieletu spotkałoby się z żywą aprobatą pra-pra-prababci Matyldy. Odliczając i przyciskając rozmaite cegły, z ulgą myślała o kserokopii instrukcji, którą Tomasz miał przy sobie, w razie czego trafi tu za nią. . .

Nie pomyliła się, przycisnęła wszystko we właściwej kolejności, pamiętała nawet, że mur powinien otworzyć się gwałtownie i należy zachować bezpieczną odległość. Z dzikiej emocji zacisnąwszy zęby, strumieniem światła omiotła ma-lutkie, wąskie pomieszczenko. Po czym ponownie zabrakło jej tchu.

Kufereczek, na nim kasetki i szkatuły, na najwyższej, niczym specjalna dekoracja, cały pęk małych kluczyków na dużym srebrnym kółku. . .

I nie mogło to jeszcze być wszystko. Pra-prababcia Matylda pisała wszak o wazie do zupy, która nie zmieściłaby się w żadnym z tych pudeł. Należało iść dalej, ku altanie, droga od tamtej strony była odcięta, bo w altanie brakowało ściany z ceglami do popychania. Musiała dostać się tam stąd, pamiętając o kolejnych drzwiach, zamykających się samodzielnie. Z dwojga złego wołała podstępne drzwi niż straszące kości. . . Tomasz będzie musiał jej pomóc. . .

W pół godziny później Agnieszka odpoczywała na najniższym szczeblu drabiny. Szkielet hipotetycznego młodego Pukielnika pozostał nietknięty, cały spadek po prababci młoda para przeniosła nad zwłokami pechowego chciwca. Klejnoty w opakowaniach zaległy podłogę pod drabiną w dawnej bibliotece.

Tomasz przysiadł na parapecie okiennym i ocierał pot z czoła.

— Niesamowite — oznajmił. — Takich rzeczy w życiu nie widziałem, chyba że na obrazkach. Naprawdę myślisz, że tej wazy używano zwyczajnie, do zupy?

— Wątpię czy na co dzień. Ale od wielkiego dzwonu chyba tak.

— Kulturyistów w służbie mieli. . . Czekaj, bo nie wiem, co zrobić. Skoro już decydujemy się na defraudację twojego własnego mienia, należałoby to usunąć z ludzkich oczu, zanim złożymy doniesienie o szkielecie. . .

Agnieszka wyprostowała się nagle.

— A czy naprawdę musimy o nim donosić już teraz? Nikt tam przecież nie wejdzie. Tyle czasu leżał, poleży jeszcze trochę. . .

— Owszem, musimy. O wszelkich ludzkich szczątkach należy zawiadamić władze, jeśli nie policję, to co najmniej Sanepid. Możliwie szybko. Nie mamy prawa sami decydować, kiedy zginął, pół wieku temu czy w zeszłym roku. Jak on tam w ogóle wlaźł?

— Z pamiętników wynika, że i on, i jego ojciec znali prababcie. Bywali tu. Godzinami kotłowali się w bibliotece. Znaleźli, jak sędzę, stary egzemplarz „Nędzników”, prababcia wetknęła tam kartkę z tymi wszystkim wyliczeniami.

— I skombinowali jakiś wytrych. O trzecim stopniu nie wiedzieli. . .

Agnieszka oprzytomniała już całkowicie i przez głowę, w postaci błysków, zaczęły jej przelatywać wszystkie konsekwencje praworządności. Zakłopotana się okropnie.

— Czekaj. Nie jest słodko, widzę komplikacje. Jeśli doniesiemy o szkielecie, to po pierwsze: zaczną zadawać pytania. Po co się tam pchałam, skąd wiedziałam, że tam coś jest i tak dalej. Jeśli się przyznam do pamiętnika prababci, będą chcieli go przeczytać. Zgadną, że tam coś było i każą to sobie pokazać. Po drugie: pojawi się kwestia własności, moje to czy państwowe, pamiątki historyczne, już raz nam bezprawnie odebrali Błędów, teraz odbiorą i to. . .

— Pokażesz testament. Jest prawomocny. — Wtedy nastąpi po trzecie: każą mi zapłacić podatek spadkowy jak stąd do Australii. Po czwarte: rzecz się rozejdzie i wszyscy złodzieje Europy zaczną się do mnie włamywać. Po piąte: Pukielnik amoku dostanie.

Tomasz zawahał się. Przypuszczenia Agnieszki miały swój sens, szczególnie amok Pukielnika był gwarantowany i nieprzewidywalny. Z całą resztą, jak sądził, dałby sobie radę, ale to jedno straszło. Przez całą minutę rozważał ewentualność ukrycia znaleziska.

— Bo widzisz — rzekł w zadumie ni z tego, ni z owego — ja nie dlatego jestem legalista, że studiuje prawo, tylko dlatego poszedłem na prawo, że jestem legalista. Od urodzenia. Charakter taki. Pcha mnie teraz w niewłaściwą stronę, chociaż sam widzę, że masz rację. Zostaw mi trochę czasu, muszę się poważnie zastanowić.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Agnieszka tkliwie wpatrywała się w srebrne kółko z kluczykami, wyraźnie czując rosnącą wdzięczność dla prai i tak dalej-babci, że nie zmusiła jej do szukania następnych kluczy, tych od szkatulek, pozostawiając cały komplet na wierzchu. Doszłoby pewnie do psucia i rozbijania wszystkich zamków. . .

Tomasz podjął decyzję.

— No dobrze, charakter charakterem, ale nie rzucę nam przecież tych kłód pod nogi. Praworządny jestem, nie muszę jednak być przy tym idiotą. Pójdziemy na kompromis. . .

— Podobno widok diamentów bardzo wzmacnia inteligencję dziewczyny — przerwała mu Agnieszka. — Najpierw usuniemy to. . .

Palcem wskazała majdan, zalegający podłogę. Tomasz kiwnął głową.

— Zgadza się. Potem zaczniesz remont i w trakcie remontu wyjdzie na jaw, że za szafą są schodki i tak dalej. Co do kluczy, o duplikatach mówić nie należy. . .

— Z kluczami dam sobie radę. Powiem, że poniewierały się w domu, tradycja rodzinna kazała je szanować i spróbowałam ich tutaj tak sobie, na wszelki wypadek. Ktoś zejdzie. . . ten trzeci schodek sprawi kłopoty, ale coś wykombinuję. . . Szkielet Pukielnika się znajdzie i polecimy z donosem, z tym że przedtem trzeba wejść dalej, wpuścić ludzi, pozamiatać może, żeby nasze ślady nie rzucały się w oczy. . .

— W kwestii trzeciego schodka musimy ściśle uzgodnić zeznania — przerwał z kolei Tomasz. — Może się to okazać niepotrzebne, ale nie szkodzi. Weszłaś. . . nie, ja wszedłem. Obydwoje dobrze wiemy, dlaczego to ty weszłaś, a nie ja, ale nie będziemy tego ludziom tłumaczyć. Ja wszedłem, a ty zostałam przed szafą, wlażłem na schodek, szpara się zamknęła, wpadłaś w panikę. . .

— Wcale nie musiałam wpadać w panikę. Zamknęło się, więc otworzyłam ponownie, normalka. Klucze wisały, wetknięte w zamek, albo może je wyjęłam i trzymałam w ręku.

— Lepiej w ręku. Ja się spłoszyłem w tym zamknięciu, ludzka rzecz, klaustrofobia mnie chwyciła, wyleciałem z powrotem na górę. Sprawdziliśmy, że trzeci schodek tak świetnie działa i trzeba go omijać. Dalej nas diabli nie zanieśli z obawy, że jeszcze coś tam szkodzi.

— Bardzo dobrze — pochwaliła Agnieszka. — W ten sposób załatwimy sprawę legalnie, tyle że z małym opóźnieniem i nie będzie wisiał nad nami krew w żyłach mrozący sekret.

Tomasz z lekkim rozgoryczeniem pomyślał, że w kraju rzetelnie praworzadnym podobne androny byłyby całkowicie niepotrzebne, ale tu, gdzie uczciwi ludzie miewają koszmarnie kłopoty, a złoczyńcy cieszą się idealną bezkarnością. . . Gdyby cały ten skarb Agnieszka chciała ukraść, zapewne udałoby się jej to bez trudu, zważywszy jednak, iż należał do niej legalnie, niewątpliwie spadłyby jej na głowę przerażające troski i zgryzoty. Ponadto ten cholerny Pukielnik, który przez czystą zawiść mógł wściekle bruździć. . .

Uzupełnił pomysł.

— Trzeba będzie narobić dużo nowych śladów, żeby nasze nie podpadły. . .

— O to możesz się nie martwić — zapewniła go spokojnie Agnieszka. — Robotnicy nam to załatwią, nie popuszczą, chociażby z samej ciekawości. I ludzi



wpuścimy, ja będę miała atak hysterii, a ty sam nie dasz rady trzymać ich z daleka. Teraz pomyślmy, jak to zabrać. Wynieść po kawałku do samochodu? W tych pudłach co tam leżą w salonie?

— Rozejrzyjmy się, czy nas nikt nie podgląda — ostrzegł Tomasz, wstał z parapetu i wyjrzał przez okno.

Obmyśliwszy swoje przestępstwo doskonale, obydwójce byli tak zadowoleni, że widok zmierzającej ku nim przez dziedziniec córki Poldzia, Gabrieli Witczakowej, przeraził ich śmiertelnie. Co gorsza, Gabrieli towarzyszył jakiś obcy człowiek. Stracili głowę do tego stopnia, że w celu ukrycia skarbu nie uczynili nic. Najzwyczajniej w świecie wyszli z biblioteki i powitali przybywającą parę od progu kuchni.

— Panienska remont będzie robić — rzekła Gabriela bez wstępów. — A to jest Antoś Włodarczyk, co się na budowniczego wykierował, i on takie rzeczy potrafi, a dla mnie to chrześciak. Panienska go weźmie.

Agnieszce z ulgi prawie zrobiło się słabo, ale okazała doskonałą przytomność umysłu.

— Bardzo dobrze, z przyjemnością. Sama chciałam się pani w tej sprawie poradzić. Proszę, wejdźmy do kuchni, to jest jedyne pomieszczenie, gdzie można usiąść. Proszę, proszę. . .

— A ja od razu powiem, że się w remontach specjalizuję — oznajmił Antoś Włodarczyk, posłusznie wchodząc tam, gdzie został zaproszony. — Uprawnienia mam wszystkie, własnych ludzi też, chociaż teraz to się dużo ruskimi robi. Więcej powiem, żeby pani wiedziała, co bierze. . .

Tomasz błyskawicznie odzyskał równowagę i stanął na wysokości zadania. Niepotrzebny był mu nawet błysk oka narzeczonej. Nie wziął udziału w konferencji, wycofał się dyplomatycznie i, nie ukrywając się wcale, przystąpił do robienia porządków. Opakowania z salonu, jakieś skrzynki i kartonowe pudła okazały się idealnie przydatne, jedne wyrzucał na stos śmieci koło domu, inne wpychał do bagażnika, a zawartość tych innych ludzkiemu oku była niedostępna. Samochód Amelii stał pod samym wejściem, specjalnie przedarli się nim przez wądoły i śmietniki, żeby w razie czego znajdował się pod ręką.

Przenosząc owe ciężary, to po jednym, to po dwa, powolutku zaczynał zdawać sobie sprawę z sytuacji. Fakt odnalezienia spadku po prababkach Agnieszki dotarł do niego dopiero teraz. Dotychczas owszem, rozumiał, co się do niego mówi, wiedział o zasobności niektórych dziewiętnastowiecznych rodzin, domyślał się, że ich całe mienie nie mogło wyparować, orientował się, że niekiedy nawet potomkowie dziedziczyli coś tam po przodkach, ale osobiście z czymś takim nigdy się nie zetknął. Osobiście był przekonany, że wszelkie skarby to czysta teoria. Abstrakcja. Towarzysząc Agnieszce, w najmniejszym stopniu nie wierzył w odnalezienie czegokolwiek i widok prababcinych dóbr oszołomił go kompletnie.

Pomyślał, że zjawisko jest zgoła nienormalne. W dodatku podjechali tym sa-

mochodem. Taka przezorność z reguły okazuje się niepotrzebna, idiotyczna, wyklucza sukces. Do kazamatów mogli się dostać, czemu nie, ale powinni byli znaleźć tam coś, co elegancko można określić mianem guana. Guano, ptasie odchody gdzieś na południowych wyspach. . . No, podobno też cenne. . .

Całe napięcie, zdenerwowanie, stres, troska o Agnieszkę, z których nie zdawał sobie sprawy, rozładowały się teraz w jednym wybuchu. Na myśl o tym guanie dostał nagle histerycznego ataku śmiechu, wył i niemal płakał, wsparłszy o bagażnik ostatnią skrzyneczkę ze spadkową zawartością, niezdolny do niczego na skutek utraty sił, nie mogąc się uspokoić. Gdyby tę scenę oglądała panna Dominika, niewątpliwie opisałaby ją następująco:

*. . . A cóż to ja widzę, że pan Pukielnik przez zarośla się skrada, toć już nie ten wiek, żeby w podchody jakieś się bawić? Przypadkiem zupełnym na niego trafiam i aż się zatrzymałam w podziwieniu, bom jeszcze ujrzała, że lornetkę do oczu przytyka, jakoby spektakl w teatrze oglądał. Automobilem przyjechał, który na drodze we wsi został, i wcześniej go nawet ujrzałam, a sam tu, po krzakach i w nasz dwór wpatrzony. Tom się zaciekawiała, co też takiego widzi, a i niepokój mnie ogarnął, przeto, że lornetkę miałam przy sobie, popatrzyłam również.*

*Automobil jakiś drugi oto ujrzałam przed wejściem, a przy nim młodzieńca pięknej postury, który, skrzyneczkę na konfiturowe stoiki o maszynę ową wspierając, śmiał się tak strasznie, że lzy rześiste z oczu mu ciekły. Aż do mnie prawie jego śmiech dobiegał. Zaś pan Pukielnik tak w niego zapatrzony, jakby pierwszy raz w życiu śmiejącego się człowieka widział, i zdaje mi się, że sapał, jakoby z gniewnej uciechy albo z osobliwej jakiejś satysfakcji.*

*Aż w końcu ów śmiejący się skrzyneczkę wepchnął i klapę otwartą zatrzasnął, a tak niedbale to uczynił, że jeśli stoiki jakie tam były, niechybnie się potłukły. Prawiem się zgorszona poczuła. Zaś pan Pukielnik ordynarnie się zachował, splunął bowiem potężnie, nim się oddalił, a odchodząc, wżgardliwe jakieś słowa pod nosem mamrotał, ramionami rzucał i pięścią w czoło się tłukł. Przez krzewy się przedarł niczym zwierzę dziki. . .*

Wysoce trafne spostrzeżenia panny Dominiki w pełni oddałyby charakter sceny. Od tego śmiechu Tomasza pan Pukielnik zbaraniał do tego stopnia, że całkowicie przestał wierzyć w opowieści przodków na temat skarbów błędowskiego dworu. . .

W wieczorowej sukni, nabytej specjalnie na tę okazję, Agnieszka zaprezentowała się rodzinie. Uwiesiła na sobie tyle prababcinych precjozów, ile tylko zdołała zmieścić.

— Jeszcze tam są szmaragdy — oznajmiła beznamiętnie. — Ale nie pasowały mi kolorystycznie. I ametysty. I całe klabzdrony z granatów, nie zmieściły mi się nigdzie. Tym bardziej waza do zupy i złote puzdro. Ułożyłam wszystko na biurku i możecie oglądać, bo sama nie wiem, co z tym zrobić.

— Nie jestem już specjalnie młoda — powiedziała ciotka Amelia, przyglądając się ciotecznej wnuczce z wyraźnym upodobaniem. — Dużo w życiu widziałam, a jeszcze więcej słyszałam i czytałam. Ale pierwszy raz spotykam coś takiego, żeby stary skarb udało się znaleźć. To jest, moje dziecko, wbrew naturze.

— Mam nadzieję, że przy żadnej okazji nie ubierzesz się w to wszystko — rzekła nieco cierpko pani Idalia. — Usiłowałam zaszczepić ci dobry gust. . .

— To nie gust, tylko demonstracja — pouczył łagodząco pan Andrzej.

— Ale pieniądze w tym są, nie? — zauważyła z naciskiem ciotka Maryna. — I po co to było skąpić przez tyle lat. . .

Michałek z wielką uwagą obchodził Agnieszkę dookoła i przyglądał się ozdobom.

— A mówiłem moim starym, że warto rzucić wszystko i tu do was przyjechać — mamrotał z satysfakcją. — To nie, tu podlać, tu podgrzać, tu podziębic, tu zbierać. . . Koniowi nic się nie stanie, jak przez jeden dzień postoi. . . To nie. . .

— Fakt, że wyglądasz jak choinka wielkanocna — przyznała ciotka Amelia, wciąż nadzwyczajnie zadowolona. — Ale wyglądamy sobie, mnie przyjemnie na to patrzeć. Jak wspomnę te wojenne i powojenne lata i całe rodzinne gadanie, co kto miał i co przepadło. . . Czy wy w ogóle wiecie, że Ja jestem tylko powinowata i z głodu bym umarła, żeby nie wasz ojciec i dziadek, i cała wasza rodzina. . .

— Za to rozrywków to od pani Amelii więcej było niż od innego — oznajmiła zgryźliwie Fela, wnosząc na stół gorącą przystawkę w postaci grzanek z móździkiem. — Państwo jedzą, bo wystygnie, a ja sobie przez ten czas na panienkę Agnieszkę popatrzę. To aż miło, jak się tak w oczach mieni.

— A meble? — przypomniała sobie nagle ciotka Maryna. — Coś chyba słyszałam, że i meble się uchowały. . . ?

— Owszem, duża część. W takiej kryjówce piwnicznej, o której nikt nie wiedział. Panna Dominika maciory z prośętami tam ukrywała w czasie pierwszej wojny światowej. Sucha ta piwnica, więc wszystko jest nawet w niezłym stanie. . .

Tomasz nic nie mówił, tylko nalewał wino. Szczęścia przysparzała mu myśl o intercyzie. Jaki genialny pomysł miały te baby z zamierzchłych czasów, nikt go, chwalić Boga, nie posądzi, że żeni się dla pieniędzy z dziewczyną opakowaną w miliony. On sam siebie też nie. Może czuć się człowiekiem, a nie pasożytem, co wcale nie znaczy, że zabroni żonie podnosić egzystencję na wyższy poziom i odmówi spożywania ostryg z szampanem. . .

Agneszka, obróciwszy się jeszcze raz dookoła, usiadła przy stole.

— Jeszcze mamy przed sobą odkrycie szkieletu — przypomniała. — Wszyscy wszystko wiecie, liczę na was. W razie czego trzeba zaświadczyć, że te klucze. . .

— Stanowiły twoją osobistą świętość i relikwię. Wiemy i zaświadczymy.

— Co do kluczy, nikt o nich zapomnieć nie zdoła — rzekł stanowczo pan Andrzej. — Nigdy o tym nie mówiłem, ale teraz już chyba mogę i nie będziecie mieli do mnie pretensji. To ja osobiście schowałem do potłuczonego wazonu te trzy klucze na jednym kółku, bo nimi akurat brzęczałaś tak, że nie mogłem tego wytrzymać. Innymi bawiłaś się ciszej. Bardzo cię za to, moje dziecko, przepraszam.

Przez chwilę panowała cisza.

— Jak to? — zdumiała się Agnieszka. — Tatuś? Nie babcia?

— Nie. Ja. I dlatego zapewne babcia oddała do sklejenia wazon razem z kluczami. Nie miała o nich pojęcia.

— I dlaczego tatuś tego nie powiedział, jak wszyscy szukali...?!

— Bo zupełnie o tym zapomniałem. Przypomniałem sobie dopiero, jak przyniosłaś wazonik i okazało się, że one tam były. Nie, właściwie dopiero wtedy kiedy ten wazonik zobaczyłem.

Znów cisza kamienna potrwała nad stołem.

— Andrzej — powiedziała stłumionym i strasznym głosem pani Idalia — a gdyby ten sklejacz ich nie oddał...?

Reszta uroczystego wieczoru została poświęcona przywróceniu dobrych stosunków pomiędzy rodzicami Agnieszki.

Antoś Włodarczyk o szafie bibliotecznej coś wiedział. W długiej i szczerej prywatnej rozmowie wyznał Agnieszce, iż wiedza ta przechodzi z pokolenia na pokolenie, on sam jest potomkiem z bocznej linii kowala, który niegdyś, w ubiegłym wieku, dokonywał tu jakichś tajemniczych robót, i jest pewien, że dodatkowe pomieszczenia gdzieś tam istnieją, tyle że nie wiadomo jak się do nich dostać. Agnieszka konsekwentnie odpracowała całe przedstawienie z kluczami i szkielet młodego Pukielnika został odkryty.

Do zatarcia wszelkich śladów klasy robotniczej nie trzeba było zachęcać. Na trzeci schodek wlażyły kolejno co najmniej trzy osoby i niebezpieczeństwo stało się powszechnie znane. Przybyły razem z policją pan Pukielnik ugruntował się w wierze, iż wieść o skarbach stanowiła zwyczajne majaczenie, bo któraś z tych wstrętnych bab co najmniej pół wieku temu zabrała wszystko. Dostał mu zewłok dziadka, wymagający pochówku. I nic więcej.

— Teraz jest jak się należy — pochwaliła Gabriela Witczakowa, kiedy na wielkie przyjęcie powitalne przybyła cała rodzina, a także czołowy dżokej słuźwiecki, Jasio. — Panienska do swego wróciła po prababci jaśnie pani Matyldzie i tak powinno być, bo jak kto po cudze sięga, to go pan Bóg karze. Mogę nareszcie spokojnie umrzeć, skórom dopilnowała, jak mi ojciec nakazał.

— Ale może nie zaraz, co? — zatroskała się Amelia. — Trochę z tym pani

Gabriela poczeka?

— A czy ja mówię, że mnie się śpieszy? Powinność nie gniece, to się jeszcze pożyje...

— Lato, wakacje, weekendy — wyliczała zachwycona ciotka Beata, siostra pana Andrzeja. — Wszystko można będzie tu spędzać. Cudowne miejsce!

— A jak się jeszcze staw oczyści...

— Ty wiesz, że tu można stajnie odnowić i konie trzymać...? — podsunął żywo Michałek.

— Obawiam się, moje dziecko, że będziesz miała urwanie głowy — rzekła na stronie pani Idalia z lekkim niepokojem. — Cała rodzina się pcha, dom duży, ale kto ich będzie karmił? Fela nie da rady. Sprzątać, gotować, zmywać... Kto to będzie robił?

Agnieszka popatrzyła na matkę jakimś zagadkowym wzrokiem.

— Ekwiwalent wymienny... — odparła z najgłębszym przekonaniem.

\* \* \*

Kiedy w cztery lata po dyplomie urodziła drugiego syna, zakłopotana się nieco. Sami chłopcy... Skarb po prababci został upłynniony zaledwie w drobnej części, reszta spoczywała w ukryciu. Tomasz jako adwokat zarabiał doskonale, jej samej opracowania historyczne, wbrew obawom, przynosiły niezłe zyski. Co właściwie miała zrobić, żeby mienie po przodkach zabezpieczyć dla przyszłych pokoleń? Prababki zadbały, miały rozum w głowie, ona również powinna i nie wolno jej sprawy zlekceważyć...

Usiadła przy biurku, sięgnęła po gruby, elegancki papier i własną ręką zaczęła pisać:

*Ten list przeznaczam dla mojej najstarszej wnuczki, a gdyby takiej nie było, ma być przechowany i oddany mojej najstarszej prawnuczce...*